



LUCYNA
OLEJNICZAK

Czy dziś,
czy kiedyś
ludzkie
emocje są
tak samo
gorące.

LILLIE
KROLOWEJ

SAGA ŚREDNIOWIECZNA

TOM I

SIOSTRY

Prószyński i S-ka

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LUCYNA
OLEJNICZAK

❖ LILIE ❖
KROLOWEJ

SAGA ŚREDNIOWIECZNA

TOM I

S I O S T R Y

Prószyński i S-ka

Copyright © Lucyna Olejniczak, 2022

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce
© Dorota Gorecka / [Trevillion Images](#)

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Katarzyna Kusojeć
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8295-654-2

Warszawa 2022

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

PROLOG

Litwa, rok 1382

To ranny jastrząb uratował życie ośmioletniej Mildy.

Wiele lat później, kiedy była już dorosła i mieszkała w obcym kraju, często zastanawiała się, czy owo ocalenie było dla niej błogosławieństwem, czy też – wręcz przeciwnie – przekleństwem. I czy to właśnie nie ona sama, jasnowłosa, głupiutka Milda, przygarnąwszy drapieżnego ptaka, nie zaprosiła do rodzinnej osady bezlitosnej Ragany, bogini śmierci i przeistoczenia.

Bo przecież Ragana potrafi przyjąć wiele postaci.

Na jastrzębia natknęła się pewnego poranka na łące, nad zasnutą mgłą rzeką, gdy z zawieszonym na plecach wierzbowym koszem zbierała zioła dla matki. Ptak leżał w wysokiej trawie, wydając cieniutkie odgłosy, jakby piszczał. Dziewczynka przyklękała nad nim, wpatrując się w drapieżnika z mieszaniną współczucia oraz zwykłej dziecięcej ciekawości. Leżał na boku, szaropopielaty, z niemal białym upierzeniem na brzuchu. Dziwnie delikatny i bezbronny. Miał zakrwawione skrzydło i dla Mildy było oczywiste, że nie przetrwa w tym miejscu nawet dnia. W okolicy roiło się od lisów – aż dziwne, że żaden z nich jeszcze nie dobrał się do bezbronnego ptaka. A jeśli nawet nie padnie ich łupem, wkrótce zginie z głodu.

– Bardzo cię boli? – spytała łagodnie, odgarniając z czoła jasne włosy. – Kto ci to zrobił? Uderzyłeś się o gałąź?

Jastrząb, rzecz jasna, nie odpowiedział – wiedziała już, że tak się dzieje jedynie w bajkach – jednakże Mildzie wydało się, iż spojrzał na nią błagalnie pomarańczowo-czarnym, paciorkowatym okiem. Jakby prosił

o pomoc. No i w tym momencie wszystko zostało przesądzone. Wiedziała, że nie może go tak zostawić. W końcu nadano jej imię na cześć bogini miłości, prawda? Od zawsze opiekowała się chorymi zwierzętami, wraz z matką, która nauczyła ją wszystkiego, co dziewczynka powinna była na ten temat wiedzieć. Wprawdzie zdawała sobie sprawę, iż ojciec nie pozwoli trzymać w domu czegoś, co poluje na jego kury i może zaniepokoić opiekuńczego węża, który miał swą siedzibę w głównej izbie pod progiem, ale w jednej chwili ułożyła sprytny plan: ukryje ptaka w starej szopie po dziadku.

Tak, zdobędzie jakąś klatkę – o to nie powinno być trudno, ponieważ hodowali króliki – i będzie się nim opiekować, póki ptak nie wyzdrowieje i nie uleci radośnie prosto w niebo. Tak to sobie przynajmniej wyobrażała tego zamglonego poranka. Zastanawiała się tylko, czy jastrzębie prócz surowego mięsa jedzą coś jeszcze: na przykład jakieś resztki ze stołu, które mogłaby po kryjomu zbierać po posiłkach i zanosić do szopy.

Rozejrzała się, aby mieć pewność, że nikt jej nie obserwuje, i czując szybsze bicie serca, zsunęła z ramion lniane szelki kosza. Nad jej głową zaczęły krakać wrony, gdy delikatnie unosiła ciepłe, pulsujące ciało. Czy powie o jastrzębiu młodszym siostrze?

Nie, nie powie. Po pierwsze, mogły się wygadać, po drugie zaś – to będzie jej tajemnica.

Uważając na szpony i dziób ptaka, ułożyła go w koszu.

W tym momencie, gdzieś w krainie bogów i demonów, rozstrzygnął się jej los.

Śmierć zawitała do wioski w dniu zaślubin Alanki, starszej siostry Mildy.

Było późne lato, upalne i duszne. Przez wiele dni po jasnym niebie przetaczały się gwałtowne burze, co, zdaniem wróżbitów oraz starców, świadczyło o niezadowoleniu i niepokoju potężnego Andaja. Jak miało się okazać kilka lat później, zły humor boga był uzasadniony, bo nadchodziły drastyczne zmiany w niebiańskim panteonie, lecz wtedy jeszcze nikomu w osadzie nawet się o nich nie śniło. Groźne pomruki Andaja tradycyjnie powiązано więc z upadkiem obyczajów, a kapłani, jak to oni, zaczęli

narzekać na niewystarczające ofiary. Ale tak naprawdę nikt się tym szczególnie nie przejmował, wszyscy oczekiwali zaślubin Alanki.

Zwykle większe uroczystości urządzano wczesną jesienią, już po zakończeniu prac w polu, lecz tym razem należało się pospieszyć. Za kilkanaście dni miała wyruszyć książęca wyprawa pod wodzą wielkiego Kiejstuta na tereny zamieszkałe przez Prusów i wszyscy mężczyźni z okolicznych wiosek musieli w niej uczestniczyć. Także narzeczony Alanki – Jonas.

Naturalnie dziewczyna nie miała nic do powiedzenia w kwestii wyboru kandydata na męża, ale trzeba przyznać, że mogła trafić o wiele gorzej. Jonas należał do bogatego rodu, na tyle bogatego, że jego członkowie mieli swój własny dom poza obrębem osady – otoczony palisadą i z szerokim dziedzińcem. Ojciec chłopaka, gruby i wiecznie podpity Oleg, pośredniczył w handlu niewolnikami, co było całkiem dochodowym zajęciem, bo z zachodu napływało ostatnio coraz więcej żywego towaru, zwłaszcza pruskich i polskich kobiet oraz dzieci, za które kupcy z południa oferowali wysokie ceny. Tak więc zaradny Oleg szybko się wzbogacił. Z tego powodu ojciec Alanki i Mildy niezbyt go lubił, uważał, że „ten krętacz nie jest wart łupiny z cebuli”, ale szybko zmienił zdanie, kiedy młody Jonas wysłał do niego swatów z darami, by zgodnie z obyczajem kupić sobie narzeczoną.

Milda pamiętała wielkie poruszenie, kiedy pod dom zajechały dwa wozy zaprzężone w białe woły. W drewnianych skrzyniach leżały futra niedźwiedzie, sobolowe i lisie, dwie głowy turze i poroża jeleni. Poza tym broń dla ojca, a dla matki zwój cienkiego płótna. Potrzeba było czterech sług, by rozładować wozy. Większość rzeczy pochodziła z napadów na ziemie ruskie, przez to podarki zdawały się jeszcze cenniejsze. Ojciec przyjął wszystko, nawet nie kryjąc satysfakcji, i zaprosił narzeczonego oraz swatów na ucztę, podczas której ustalono dzień zaślubin. Dziewczęta nie miały prawa brać udziału w tych ceremoniach, toteż podglądały tylko gości przez szpary w ścianach i z chichotem wymieniały uwagi na temat narzeczonego. Jonas nie był tak gruby jak jego ojciec, ale zanosilo się na to, że niedługo będzie go przypominał. Miał szeroką, dobroduszną twarz i jasne włosy, które niesfornie opadały mu na czoło.

Prawdę mówiąc, Mildzie szczególnie się podobał, ale Alanka wydawała się uszczęśliwiona, jakby trafił jej się jakiś książę. Miała nadzieję, że jako pierwsza żona będzie dla niego najważniejsza. Co do

reszty rodziny przeważało zadowolenie. Dom Olega był zamożny, więc wszyscy na tym skorzystają. Nawet Aldona, trzecia żona ojca Alanki, zwykle niechętna obcym i ogólnie ze wszystkiego niezadowolona, uznała, że to dobry konkurent do ręki pierwszej córki jej męża.

Kiedy odjechał, rozpoczęły się przygotowania do zaślubin. Solono i wędzono mięsa oraz ryby, pieczono chleb i ciasta. Dokładnie uprzątnięto obejście: wyniesiono nad rzekę kupy popiołu i gnoju, pozbierano wszystkie deski oraz wiadra. Część z tego wszystkiego trafiła do szopy dziadka, co pokrzyżowało Mildzie plany związane z jastrzębiem. Musiała przenieść ptaka do dziupli w rosnącej nad stawem wierzbie. Umieściła go tam w klatce, którą sama uplotła z wikliny. To nawet lepsza kryjówka, gdyż poprzednia znajdowała się zbyt blisko obejścia i kury zachowywały się niespokojnie, wyczuwając drapieżnika.

Teraz tajemnica Mildy była bezpieczna.

No i nadszedł w końcu długo wyczekiwany dzień zaślubin.

Na szczęście tego dnia nie zanosiło się na burzę. Według zwyczaju narzeczony porywał pannę młodą z domu rodziców i wiozł ją do siebie. Szesnastoletnia Alanka, z rozpuszczonymi włosami, w zausznicach z brązu, w haftowanej sukni, spiętej kunsztowną zapinką, wyszła rano do ogrodu, niby to zerwać trochę ruty, ale tam wskoczyła cichaczem do czekającego już na nią wozu. Bracia dziewczyny rzucili się konno w pościg, ale wszyscy wiedzieli, że to tylko część gry. W domu narzeczonego czekali już na przyjazd panny młodej. Była tam i Milda, wystrojona w kwietny wianek i lnianą suknię, trochę zbyt już obcisłą na rosnących piersiach. Dziewczynka obserwowała z ogromnym przejęciem, jak Jonas zatrzymał wóz i podszedł do narzeczonej z płonącym kawałkiem drewna w jednej ręce i kubkiem piwa w drugiej. Dał się z niego napić przejętej dziewczynie i przekazał jej ogień ze słowami: „Oto ogień święty, którego strzegłaś w domu rodziców. Teraz będziesz go strzec w moim domu”.

Później Alanką zajęły się kobiety, posadziły pannę młodą na stołku i obmyły jej nogi, a następnie skropiły tą wodą wszystkie kąty jej nowego domu, co miało go chronić od moru, ognia i innych nieszczęść.

O jednym zagrożeniu nie wspomniano...

Po dopełnieniu wszystkich obrzędów, gdy już złożono ofiarę z czarnego kozła zmarłym oraz przodkom w pobliskim Zagajniku Cieni, nadszedł czas na świętowanie. Nad brzegiem rzeki, pomiędzy ustawionymi tam stołami, rozpalono wielkie ogniska, wokół których rozpoczęły się śpiewy i tańce. Podnieceni miodem i piwem mężczyźni klaskali, uderzali się po kolanach, a kobiety płały w blasku płomieni przy muzyce bębenków, grzechotek i piszczałek.

Mildzie do pełni szczęścia brakowało tylko obecności jednej osoby.

– Kiedy przyjedzie Varnas? – zapytała matkę, kiedy powoli zaczęło się już ściemniać. Siedziały przy stole dla kobiet, niedaleko ogniska, opędzając się od dokuczliwych komarów.

– Nie wiem, Mildo. Z Wilna daleka droga.

Varnas był starszym bratem dziewczynki, synem tatarskiej branki, którą ojciec kupił na targu niewolnych za dwie krowy i trochę zboża. Naprawdę miał na imię Dalius, ale z powodu kruczoczarnych włosów mówiono na niego właśnie Varnas, czyli Kruk. Mimo że był synem niewolnicy, stał się dumą całej osady, należał bowiem do drużyny samego władcy Wielkiego Księstwa Litewskiego i Ruskiego, która stacjonowała w wileńskiej stolicy. Obiecał przybyć na zaślubiny siostry, jeśli tylko dostanie pozwolenie od wielkiego księcia.

Najwidoczniej jednak surowy Jogaiła nie pozwolił.

– Ale na moje święto przyjedzie? – nieśmiało dopytywała się Milda.

– A gdzie tam jeszcze do twoich zaślubin!

– Jewna miała czternaście lat, kiedy dostała męża.

– A ty masz dziewięć. W dodatku Jewna była... inna.

– To znaczy?

– Daj mi spokój, dziewczyno. Nie chcesz potaćzyć?

– Już tańczyłam.

– To zbierz trochę mis ze stołów.

– Dobrze.

Było to ostatnie słowo, jakie wypowiedziała do matki.

Podniosła się z ławy. Była już trochę zmęczona muzyką i krzykami, poza tym chciała jeszcze odwiedzić jastrzębia. Pochwyciła spojrzenie siostry – roześmianej, rozgrzanej napitkami i płaśmi, wtulonej w ramię Jonasa. Tak, to był jej wielki dzień. Milda naturalnie cieszyła się dzisiaj szczęściem Alanki, lecz, co tu dużo kryć, w wyobraźni widziała już samą siebie na jej

miejscu. Też pragnęła takiej pięknej kijowskiej sukni i zausznic z brązu zamiast tego głupiego dziecinnego wianka, który jak zwykle kazali jej nałożyć. Marzyła, aby choć raz znaleźć się w centrum uwagi. Jaki będzie jej narzeczony? – zastanawiała się, idąc w kierunku zabudowań. Gruby czy chudy? Wesoły czy mrukliwy jak ojciec? Na pewno wybiorą dla niej kogoś piękniejszego i bogatszego niż Jonas, bo przecież ona sama była bardzo ładna. Wszyscy tak mówili.

Zebrała kilka mis ze stołów, na których wielu mężczyzn złożyło już ciężkie od piwa głowy, i tak obciążona ruszyła w kierunku ciemniejących na wzniesieniu chat, które wyglądały teraz jak przycupnięte w polu, nastroszone ptaszyska. Czerwona słoneczna tarcza chowała się za czarną ścianą lasu, śpiewały ostatnie ptaki. Zerwał się lekki wietrzyk, niosąc orzeźwienie po upalnym dniu. Milda nabrała głębiej powietrza, aby pozbyć się drażniącego zapachu dymu, intensywnych woni smażonego mięsa, piwa, spoconych od tańca oraz gorąca ciała. Minęła łaźnię, w której umarł dziadek, oborę, potem stajnię i spichlerz. Zniosła naczynia do mrocznej, pustej teraz izby, ułożyła je starannie obok paleniska, a następnie ruszyła do kryjówki za numą¹, aby zabrać stamtąd kawałek surowego mięsa dla jastrzębia. Podkraśla je w trakcie przygotowań do uczyty. Teraz, gdy wszyscy byli nad rzeką, mogła spokojnie nakarmić swojego przyjaciela, zanim zrobi się całkiem ciemno. Ptak będzie z pewnością zachwycony, myślała, grzebiąc pośród odpadków w zaroślach, gdzie ukryła ochłap. Bo ostatnio karmiła go tylko myszami i większymi robakami. Zadowolona z siebie, udała się w kierunku stawu.

Idąc przez wysoką trawę, nuciła piosenkę, wielokrotnie, aż do znudzenia wyśpiewywaną już przy ognisku przez rozochoconych biesiadników: o garbatej staruszce, co przechytryła rogatego Pokola. Była to wesoła śpiewka, nawet trochę nieprzyzwoita, lecz dziewczynce zrobiło się jakoś dziwnie w świetle gasnącego dnia. Poczwała niepokój i umilkła. Obejrzała się nerwowo w kierunku rzeki: kilka osób wciąż tańczyło, ogniska płonęły, jej ojciec ścisnął się z ojcem Jonasa – można by pomyśleć, że są najlepszymi w świecie kompanami. Na pozór nic się nie zmieniło, a jednak Milda miała wrażenie, iż pomiędzy tamtym hałaśliwym brzegiem a łąką

istnieje jakaś niewidzialna przegroda, jakby oddzielająca dwa odrębne światy: jasności i mroku. Im bardziej oddalała się od pierwszego, tym głębiej pogrążała się w tym drugim i coraz ciężiej robiło jej się na duszy.

Jeszcze nie mogła tego wiedzieć, ale tak naprawdę właśnie opuszczała tamten świat na zawsze.

Zapewne gdyby nie to, że musiała nakarmić swojego ptaka, najchętniej zawróciłaby do swoich. Jednak była na to zbyt sumienna. Miałaby stchórzyć? Nie, nie ona. Nie Milda. Poważna nad wiek, obowiązkowa i mądra. Skoro już zdecydowała się zaopiekować jastrzębiem, nie mogła teraz się poddawać dziecięcym strachom.

Przecież nawet jeszcze się nie ściemniło.

Nabrała głębiej powietrza i przyspieszyła kroku, starając się nie patrzeć na pas lasu, który wyglądał teraz jak palisada ponurego, nawiedzonego przez złe duchy grodu. Minęła wreszcie łąkę i weszła na porośniętą mchem ścieżkę, która, wijąc się pomiędzy brzoźami, prowadziła nad staw. Wokoło panowała nienaturalna cisza. Umilkły ptaki. Żaden zwierzak nie zaszeleścił w zaroślach.

A najgorsze, że miała wrażenie, iż jest obserwowana.

Ale przecież nikt na nią nie patrzył. A jeśli nawet patrzył, musiał to być ktoś z osady.

Bo któż by inny?

Obcy...

Poczuła, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz. Na samo wspomnienie tego słowa. Rok temu w okolicy kręcił się dziwny człowiek. Nazywano go właśnie Obcym. Był wysoki, chudy, miał długie, czarne włosy i widziano, jak z daleka przygląda się dzieciom. Nikomu nie udało się go schwytać. Mówiono o nim, że jest włóczęgą, wędrownym wróżbitą, szpiegiem, zbiegiem, a nawet leśnym demonem. Opowieści o Obcym, których Milda wysłuchiwała wieczorami przy ogniu paleniska, sprowadzały potem na nią złe sny. Jej oraz innym dziewczynkom nakazano uważać na tego człowieka, ponieważ najprawdopodobniej krzywdził dzieci. Mniej więcej w tym czasie dużo mówiło się o grupce ludzi, włóczęgów pod przewodnictwem kapłana, którzy porywali maluchy, po czym oślepiali je

albo odrąbali im stopy, aby tak okaleczone żebrały dla nich w bogatych dworach. Wprawdzie sprawców złapano i powieszono w Wilnie, jednak mało to podobnych ludzi chodzi po ziemi?

Znajdowała się już prawie przy samej wierzbie i głupio byłoby wycofać się właśnie teraz. Ukryty w dziupli ptak chyba wyczuł mięso albo rozpoznał jej kroki, bo zaczął kwilić. Nie mogła teraz uciec.

Z mocno bijącym sercem podeszła do drzewa. Jastrząb zaczął szarpać się w klatce, najwyraźniej zniecierpliwiony. Położyła na trawie mięso i ostrożnie wydobyla klatkę z dziupli. Trzęsącymi się dłońmi rozsypała sznurek mocujący prowizoryczne drzwiczki. Jeśli zaatakują mnie Obcy, nikt nie usłyszy mojego krzyku, myślała gorączkowo. Jak na złość sznurek był tak splątany, że w zdenerwowaniu nie mogła sobie z nim poradzić. Kiedy wreszcie jej się to udało, wydała z siebie pełne ulgi westchnienie. Sięgnęła po kawałek mięsa i szybko wrzuciła go do klatki. Zamknęła drzwiczki, zawiązała na nich kilka pospiesznych supłów, coraz bardziej przekonana, że ktoś ją obserwuje.

Jeszcze tylko chwila. Zaraz znowu będę nad rzeką, pocieszała się w myślach.

Jastrząb zaprotestował, gdy gwałtownie uniosła klatkę i wepchnęła ją na powrót do dziupli. Nie zawracała już sobie głowy tym, czy ułożyła ją równo.

Gotowe.

Wytarła brudne ręce o trawę i szykowała się już do pospiesznego powrotu, kiedy naraz doszedł do niej ostry trzask łamanych gałęzi. Zamarła, wpatrzona w linię drzew. I wtedy ujrzała, jak z gęstwiny starych świerków wyłonił się... olbrzymi czerwony smok.

A przynajmniej tak jej się w pierwszej chwili zdawało. Była bowiem przekonana, że właśnie ma przed sobą olbrzymiego ognistego Żmija, baśniowego stwora, którym starsze kobiety straszyły niegrzeczne dzieci. Bardziej zdumiona niż przestraszona, głośno wypuściła powietrze z ust.

– Och – wyszeptała.

Lśniący krwawą czerwienią rogaty stwór wystawił łeb spośród zarośli, ciekawie rozglądając się wokół. Dziewczynka stała zaskoczona

i zafascynowana, nawet nie mogąc się poruszyć. Smok postąpił dwa kroki do przodu, ciężko i mozolnie, kołysząc się na boki, a ona tylko patrzyła, niczym we śnie, z którego nie można się przebudzić. Dopiero po kilku chwilach dotarło do niej, co tak naprawdę widzi przed sobą.

To był koń. Siwy koń. Bojowy rumak, zakuty w stal i pokryty białym, upstrzonym pajęczynami i liśćmi kropierzem, z naczółkiem i kitą piór na łbie. Zachodzące słońce nadawało blachom czerwony poblask, przez co oczami wyobraźni zobaczyła smoka. Na koniu siedział mężczyzna z brodą rudą jak święty płomień i patrzył wprost na Mildę.

Chciała krzyknąć, lecz z jej ust wyrwało się tylko kolejne ciche westchnienie. Zakręciło jej się w głowie i poczuła mdłości ze strachu.

Obok brodacza wyrosły inne konie. Wreszcie zrozumiała. To rycerze okrutnego boga, którego oni sami nazywali w pieśniach Kyrie Eleison. Krzyżacy. Każde dziecko słyszało o tych rycerzach w białych płaszczach z czarnymi krzyżami. I o ich niesłychanych zbrodniach. Tylko do tej pory Mildzie wydawało się, że tamci istnieją jedynie w opowieściach, że nie są prawdziwi. Teraz widziała ich z całą wyrazistością, aż po najmniejsze wgniecenia na blachach pancerzy.

Rudobrody mężczyzna wciąż patrzył na nią z nieruchomym wyrazem twarzy, ocienionej podniesioną przyłbicą hełmu. Jego oczy zdawały się zimne niczym kamyki na dnie strumienia. Dziewczynka dostrzegła paskudną bliznę przebiegającą przez jego czoło aż do nosa. Jeździec nic nie powiedział, na jego twarzy nie zadrgał żaden mięsień. Mildzie wydawało się, że ta chwila trwa całą wieczność. W końcu rycerz powoli uniósł dłoń, którą do tej pory opierał na wysokim łuku siodła, i wciąż przyglądając się dziewczynce tymi swoimi zimnymi oczami, przyłożył do ust palec wskazujący, nakazując jej milczenie.

Dopiero dużo później zrozumiała, co ją ocaliło tego wieczora. Krzyżacy nie zamierzali jej zabijać ani gonić, była dla nich tyle warta, co zwykły psiak. Szykowali się do ataku na dorosłych mieszkańców wioski i zależało im na elemencie zaskoczenia. Żadnych gwałtownych ruchów, pościgu ani krzyków przerażonego dziecka. Dlatego przeżyła.

Ten z rudą brodą, którego twarz Milda miała zapamiętać do końca życia, warknął coś w swoim dziwnym języku i jego towarzysze spięli konie. Osłupiała Milda patrzyła, jak ruszają powoli, chrzęszcząc żelazem. Konie parsknęły nerwowo, przeczuwając zbrojne starcie. Mogła się tylko bezradnie

przyglądać. Powinna była krzyczeć ile sił w płucach, aby ostrzec bliskich, lecz było to teraz zadanie ponad jej siły. Konie zaczęły się rozpędzać, ziemia zadrżała od uderzeń kopyt. Oddział skierował się ku rzece, gdzie świętowali wciąż jeszcze niczego nieświadomi mieszkańcy.

Niedługo potem Milda usłyszała pierwsze krzyki przerażenia.

I wrzask mordowanych.

1 Numa – prastary dom litewski.



Część pierwsza

ZNAKI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyszehrad, rok 1382

Najgorsze w tym wszystkim jest to, moja panno, że działałaś z całkowitym rozmysłem. Ex proposito.

Pani Csaksy, przełożona dam dworu wyszehradzkiego zamku, patrzyła na dziewczynkę z miną wyrażającą całkowitą dezaprobatę. Jej szeroka, niemal męska twarz okolona rogatym czepcem była zeszpecona bliznami. Podobno sprawiły to specyfiki, których tamta używała w młodości, aby się upiększyć. Ale, jak mówiono, nigdy nie była powabna, nawet jako dziewczyna – wedle słów ojca Alberta „piękniejsza raczej z cnót niż z oblicza”.

Amalia z trudem wytrzymała spojrzenie ochmistrzyni.

– Chciałam dobrze – wybąkała.

– Dobrze, powiadasz?

– Tak, ciociu.

– Kradzież nie jest żadnym dobrem! Jest obrazą Boga.

– Rozumiem.

– Nie dość, że to grzech, to jeszcze coś tak paskudnego nie przystoi dwórcie. Zdumiewające, że muszę ci tłumaczyć podobne rzeczy.

– I tak by wyrzucili... Albo by zgniło.

– Zamilcz, smarkulo. Teraz ja mówię.

Amalia spuściła wzrok. Zza ostrołukowego okna komnaty dobiegały odgłosy bębnow i piszczałek. Do zamku zbliżał się orszak młodziutkiego księcia Wilhelma. Zapewne wszyscy są już za bramą, na błoniach, aby powitać przyszłego władcę Węgier. A Amalia musiała słuchać teraz kazania z ust groźnej pani Csaksy, której podobno obawiała się sama królowa Elżbieta.

Ochmistrzyńi specjalnie wybrała tę właśnie chwilę, wiedząc, że ośmioletnie dziecko najbardziej ze wszystkiego pragnie być teraz z innymi dwórkami i świętować przybycie księcia.

Miała to być subtelna tortura.

– To, że ukradłaś te figi – kontynuowała lodowatym tonem, wciąż stojąc nieruchomo obok kaflowego pieca – by podzielić się nimi z pospólstwem, potrafię jeszcze jakoś zrozumieć. Nazwijmy to odruchem serca. Choć cały ich koszt dla Cyganki, córki wozaka, to moim zdaniem gruba przesada. Ale mniejsza z tym. Bardziej przeraża mnie podłość, jaką uczyniłaś kucharce. Potrafisz to jakoś wytłumaczyć?

Dziewczynka z wolna pokręciła głową.

W swojej sznurowanej po bokach, bogato haftowanej sukni, która była po prostu pomniejszoną wersją stroju dorosłych dam, wcale nie wyglądała poważnie, wręcz przeciwnie, jak nigdy dotąd przypominała dziecko. Jej czarne, kręcone włosy okrywał teraz skromny czepek, ale pani Csaksy dobrze wiedziała, że w tej małej diablicy próżno szukać skromności czy pokory, Amalia była uparta, bezczelna, nieposłuszna i kompletnie tutaj nie pasowała. Gdyby nie łaskawość starego króla Ludwika, który wysoko cenił lojalność nieżyjącego już ojca dziewczynki, bośniackiego barona Mladena, ta nigdy nie znalazłaby się w otoczeniu młodzietkiew Jadwigi, przyszłej królowej. Sama pani Csaksy by do tego nie dopuściła.

Z różnych przyczyn, o których wołała nie myśleć.

Za jej „rządów” przez dwór przewinęło się mnóstwo dziewcząt, pochodzących najczęściej z bogatych i wpływowych rodów, i na pierwszy rzut oka potrafiła rozpoznać te, które mogą sprawiać kłopoty. Umiała przejrzeć je na wylot. Na ogół nie zagrzewały długo miejsca na dworze, choćby ich rodziny były bardzo wpływowe. No cóż, należało dbać o poziom dwórek. A niełatwa to praca, gdyż przełożona miała pod sobą prawie sto dziewczyn i kobiet ze wszystkich najważniejszych komitatów Węgier, w tym kilkanaście cudzoziemek.

Setka niewiast – prawdziwy rój najprzeróżniejszych niewieścich słabości.

Amalia jednak stanowiła twardy orzech do zgryzienia, nawet dla niej. Ostatnimi czasy stała się prawdziwą ulubienicą Jadwigi, jej wierną towarzyszką, a to sprawiało, że pani Csaksy, chcąc nie chcąc, wciąż musiała tolerować jej wybryki.

Tym razem jednak będzie musiała interweniować u samej królowej. Nie puści tego płazem.

– Naturalnie zdajesz sobie sprawę, że śmiertelnie nastraszyłaś kucharkę i całą jej rodzinę? – spytała teraz.

Amalia potarła nos.

– Nie chciałam tego.

– A czego chciałaś, jeśli można wiedzieć?

– Żeby nic nie powiedziała. O tym, że... ukradłam te figi.

To było jednakże poważniejsze niż zwykła kradzież. Amalia została przyłapana przez jedną z kucharek, Marię, kiedy wynosiła ze spiżarni całkiem spory kosz z owocami. Zdumiona kobieta usłyszała, że to dla córki wozaka, więc natychmiast odebrała dziewczynce jej łup i zapowiedziała, że powie o wszystkim przełożonej, czyli pani Csaksy. Wtedy Amalia podobno aż poczerwieniała ze złości i zrobiła coś wyjątkowo głupiego, coś, co jeszcze pogorszyło sprawę.

Otóż oświadczyła, iż w takim razie ta cygańska rodzina rzuci na kucharkę klątwę.

Klątwy rzucane przez Cyganów potrafiły przestraszyć nie tylko prostych ludzi z zamkowej służby. Ostrzegali przed nimi nawet poważni biskupi, ponieważ na odległość zalatywały siarką, diabelskimi czarami. Ci ludzie o śniadych, często wytatuowanych twarzach, z kolczykami w uszach, wróżący z kart, budzili nieufność i strach z powodu swojej odmienności, dziwacznych zwyczajów, tajemniczego pochodzenia. Nie tak dawno temu, bodaj w zeszłym miesiącu, w majestacie prawa powieszono jednego z takich cygańskich czarowników za to, że sprowadził chorobę na krowy pewnego hrabiego.

Nic zatem dziwnego, że kucharka przeraziła się nie na żarty. Jakby tego wszystkiego było Amalii mało, tego samego dnia wieczorem wpuściła do kuchni czarnego kocura, a przecież wiadomo, choćby z ksiąg doktorów Kościoła, że taką ziemską postać szczególnie upodobał sobie Zły. W efekcie biedna Maria zasłabła, osunęła się na kamienną posadzkę, upuszczając chochlę, a gdy oprzytomniała, wraz z całą rodziną przeniosła się do innego skrzydła zamku, odmawiając powrotu do kuchni, póki nie poświęci jej ksiądz.

To chyba najbardziej wyprowadziło z równowagi ochmistrzynię.

– Przez ciebie będziemy musieli wezwać ojca Alberta, aby skropił garnki.
– Pani Csaksy nie spuszczała oczu z dziecka, które wpatrywało się teraz w długie, zadarte noski swoich zamszowych trzewików. – Miarka się przebrała.

Z zewnątrz dobiegły pierwsze wiwaty na cześć Wilhelma. Pewnie wychodził właśnie z powozu.

– Powinnam zamknąć cię na tydzień w celi, o chlebie i wodzie, abyś miała czas na przemyślenia.

Amalia zdrętwiała.

– Nie... – wyszeptała. – Proszę. Może od jutra.

– Nie przerywaj mi. I tak byłaby to dla ciebie łagodna kara. Ale nasza umiłowana Hedwig, doprawdy nie wiezieć czemu, bardzo cię lubi i już pytała, gdzie się podziewasz. Chce cię mieć dzisiaj przy sobie. Nie sprawię jej przykrości, bo kocham ją nad życie. Więc dołączysz do innych.

– Och! – Amalia musiała zapanować nad sobą, aby nie podskoczyć z radości.

– Ale wiedz – ciągnęła ochmistrzyni – że o całej sprawie dowie się królowa matka.

Prawdę mówiąc, była to zbyt odległa w czasie perspektywa, aby zająć teraz dominujące miejsce w umyśle dziewczynki. Najważniejsze, że zaraz dołączy do zabawy. Ma być uczta, popisy akrobatów, no i tańce.

Życie znów stało się piękne.

– I jeszcze coś – dodała na zakończenie pani Csaksy, kiedy mała chciała już ukłonić się i odejść. – Wieczorem pójdziesz do kucharki, przeprosisz i powiesz, że całą tę głupią klątwę zmyśliłaś.

– Tak, ciociu. Oczywiście.

– A teraz zejdz mi z oczu. Bo kiedy na ciebie patrzę, czuję się chora.

Amalia biegła mrocznymi korytarzami zamku, jakby się obawiała, że surowa ciotka Csaksy, jak nazywały ją dziewczęta, w ostatniej chwili zmieni zdanie. Szerokie rękawy sukni powiewały niczym skrzydła motyla, kiedy mijała kolejne komnaty i zakręty. Nie myślała już o słowach ochmistrzyni. Przyzwyczała się do jej kazań. Były jak prawa przyrody – kiedy jest burza, po prostu rozlegają się grzmoty. Ale burza mija i słońce

znów wschodzi. Burzę należy przeczekać, starając się nie przemoknąć do suchej nitki.

Pani Csaksy uwielbiała straszyć dziewczynki opowieściami o zepsutych białogłowach, córach Lota, wiedeńskich nierządnicach, które topiono w Dunaju, jeśli drugi raz przyłapano je na haniebnym procederze, opisywanym zresztą przez ciotkę z najdrobniejszymi szczegółami. Problem w tym, iż kilkuletnie dwórki nie za bardzo rozumiały, na czym owe grzechy polegają, nawet gdy je im obrazowo przedstawiono. Toteż traktowały podobne historie jak okrutne i fascynujące baśnie, niemające nic wspólnego z dworskim życiem. Nie inaczej odbierała je Amalia. Występki jakichś cór Lota czy mieszkańców Sodomy pozostawały dla niej niezrozumiałe i najwyżej dziwaczne. Nic ją nie obchodziły. Myślała o lalkach, śpiewie, o tym, która z jej rywalek najładniej haftuje, a która najwyżej podskoczy. Tak, ochmistrzyni i jej kazania były tym, co się zdarzało i co należało przeczekać.

Na schodach o mało nie wpadła na młodego czyściciela kominków, który niósł wiadro i szczotkę. Chłopak zaklął pod nosem, ale go nie usłyszała, bo już wybiegała na dziedziniec. Natychmiast obskoczyły ją psy, przyzwyczajone, że zawsze ma dla nich jakiś przysmak z kuchni. Nie tym razem. Przystanęła zdyszana i spojrzała na bramę. Była otwarta. Po obu jej stronach stali halabardnicy. Po ich wyprostowanej postawie poznała, że orszak księcia Wilhelma zbliża się do zamku. Zwykle bowiem strażnicy opierali się o mur albo po kryjomu grali w kości, popijając piwo.

– A ty nie ze wszystkimi? – usłyszała głos za plecami.

Odwróciła się i ujrzała doktora Viscontiego, który wiele lat temu przyjechał na Węgry z Genui. Starszy mężczyzna mówił w śmieszny sposób i niczym astrolog zawsze nosił wysoki kapelusz.

– Miałam rozmowę z ciotką.

– Oho, poważna sprawa.

Zmarszczyła nos.

– Wcale nie.

– Słyszałem, co zrobiłaś, ragazza. To nawet zabawne.

– Zabawne? – Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Chyba znowu wypił za dużo wina, bo miał błyszczące oczy i zaczerwioną twarz.

– Zabawne, jak łatwo przestraszyć przesądne baby – wyjaśnił.

Poczuła się niezręcznie, więc nie odpowiedziała, opędzając się od psa, który trącał wilgotnym nosem jej nogę.

– Ty uważaj, młoda dziewczyna – pogroził jej palcem dottore. – Bo skończysz jak biedna Klara.

Przeszedł ją dreszcz. Klara Zach. W odróżnieniu od wiedeńskich nierządnic ta dziewczyna była kimś, kogo Amalia łatwo mogła sobie wyobrazić. Dwórka, taka sama jak ona. A w dodatku najpiękniejsza w całym fraucymerze. O jasnych włosach i anielskiej twarzy. Podobno też, jak mawiano, ulubienica królewicza Kazimierza. Tę makabryczną historię znali wszyscy, choć opowiadano ją potajemnie, aby nie drażnić rodziny królewskiej.

Otóż dawno temu ojciec pięknej Klary, szalony rycerz, zaatakował rodzinę królewską i odrąbał mieczem palce czcigodnej i szlachetnej Elżbiecie, babci Jadwigi. Dlaczego to zrobił – Amalia nie zrozumiała, choć starsze dwórki próbowały jej tę rzecz niejasno tłumaczyć. Łączyło się to w jakiś sposób z samym królewiczem Kazimierzem.

W każdym razie całą rodzinę Zachów okrutnie ukarano. Nie samego rycerza, bo ten zginął z rąk giermków podczas owego zamachu, ale sprawiedliwość dosięgła wszystkich jego bliskich. Brat Klary został rozerwany końmi, a strzępy jego ciała rzucono psom na pożarcie. No a sama dziewczyna... Och, strasznie było nawet o tym myśleć. Pięknej Klarze wyrwano rozpalonymi szczypcami nos i usta, a potem odrąbano palce u rąk, tak że zostały jej tylko kciuki. Potem wsadzono nieszczęsną na konia i obwożono po całym królestwie, aby opowiadała głośno wszystkim o tym, jak kończą zdrajcy. Na koniec ją zabito.

No dobrze, ale co to miało wspólnego z niewinnym kłamstwem Amalii? Jej ojciec nie był zdrajcą, tylko bohaterem, który oddał życie za króla i którego wszyscy wspominali z szacunkiem. Wprawdzie sama Amalia go nie pamiętała, ale dużo o nim słyszała. Doktor chciał ją po prostu nastraszyć.

– Nikt nie robi krzywdy dziecku, bo coś ukradło – odparła stanowczo.

– Nie bądź taka pewna, młoda dziewczyna.

– Macie, panie, przemoczone spodnie.

Visconti spojrział na swoje obcisłe pludry, na których widniała plama – nie wiadomo, od wina czy od moczu. Zmieszał się i natychmiast zakrył plamę dłonią. Chciał coś powiedzieć, lecz właśnie w tej chwili na deskach

zwodzonego mostu zadudniły kopyta i chwilę potem w bramie ukazało się dwóch rycerzy ze sztandarami Andegawenów, haftowanymi w złote lilie. Za nimi na dziedzińcu wtoczył się czarny powóz zaprzęzony w szóstkę siwych koni i przystrojony girlandami kwiatów. Amalia słyszała gwar rozmów ludzi, którzy jechali i szli z tyłu. Psy zaczęły ujadać, a z budynków gospodarczych wyszła zaciekawiona służba.

Przybył książę Wilhelm. Przyszły mąż Jadwigi.

Powóz zatrzymał się na środku dziedzińca. Pobiegło tam kilku młodych paziów w żółtych kubrakach i zielonych biretach, aby otworzyć drzwiczki z obu stron. Amalia z zachwytem patrzyła, jak młodzieńcy pomagają wysiąść Jadwidze, która musiała dołączyć do Wilhelma jeszcze na błoniach przed zamkiem, a potem samemu habsburskiemu księciu.

Hedwig wyglądała przepięknie. Po prostu cudownie. W zielonej sukni z adamaszku, z włosami ujętymi w złotą siatkę, prezentowała się jak bogini. Była w wieku Amalii, ale przewyższała ją wzrostem o pół głowy i można by pomyśleć, że ma już przynajmniej jedenaście lat. Jak zawsze w takich sytuacjach zachowywała odpowiednią minę i postawę. Ani nie uśmiechała się głupio, ani nie była przestraszona. Urodzona królowa.

Za to Wilhelm wyglądał... pociesznie. Na jego widok Amalia poczuła łaskotanie gdzieś w brzuchu i całą siłą woli powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem. Książę był gruby, nie taki jak na obrazku, który nosiła przy sobie Hedwig. Ledwo mieścił się w kaftanie, tak opiętym, że chyba nie dało się w nim schylić. Młodzieńcza, puciołowata twarz błyszczała od potu, a przystrojony pawimi piórami kapelusz przekrzywił się podczas wysiadania z powozu. Wilhelm miał przypasany u boku jakiś mieczyk, który wyglądał niczym zabawka. Książę sprawiał wrażenie młodszego od Jadwigi, a przecież był od niej cztery lata starszy.

Wszyscy zebrali się już na zamkowym dziedzińcu. Amalia rozpoznała powóz biskupa Petara Sziklosa, a także pojazdy niektórych baronów. Zrobiło się zamieszanie – wyprzęgano konie, odganiano psy, ktoś odsuwał z drogi ludzi, aby nie blokowali wjazdu. Amalia szukała nowych twarzy, Niemców ze świty księcia, a także muzykantów i akrobatów. W pewnym momencie natrafiła na spojrzenie Jadwigi.

Królowa przesłała jej delikatny uśmiech i Amalia poczuła się szczęśliwa.

Wyszehradzki zamek był dużo okazalszy niż prastara siedziba Arpadów w Budzie. Posiadał obszerny dziedziniec, a reprezentacyjne sale oraz komnaty z wysokimi oknami i kasetonowymi sufitami budziły podziw nie tylko wielkością, lecz również nowoczesnym wystrojem. Świętej pamięci król Karol Robert, czcigodny dziadek Jadwigi, niechaj Bóg ma w opiece jego szczodłą, chrześcijańską duszę, kilkadziesiąt lat temu wybudował nowe blanki, a także sprowadził najlepszych dekoratorów z Italii, którzy mieli za zadanie tchnąć w te mury europejskiego ducha, godnego chwały Andegawenów.

Uczta powitalna rozpoczęła się późnym popołudniem.

W olbrzymiej sali jadalnej zgromadziło się tak wielu gości, iż służba musiała dostawiać ławy z całego zamku. Mimo imponujących rozmiarów wnętrza i otwartych szeroko okien panował tu zaduch. W powietrzu unosiła się ciężka woń perfum, pieczonego mięsa i przypraw. A także potu.

– Co ci powiedziała ciotka Csaksy? – zaciekawiała się Elżbieta, jedna z młodziutkich dwórek, która siedziała teraz obok Amalii i obierała jabłko.

– To co zawsze – odparła dziewczynka. – Że jestem nieznośna.

– Bo jesteś.

Amalia prychnęła.

– Ona po prostu mnie nie lubi.

– A kogo ona lubi?

– Boga. I królową.

– No tak. Widziałaś, jaki gruby jest książę?

– Aha – odpowiedziała z uśmiechem Amalia.

Spojrzały w kierunku miejsca, gdzie pod złocistym baldachimem siedzieli Wilhelm i Jadwiga. Nie było to honorowe miejsce, bo to zajmowała królowa wraz ze starszą córką, Marią, oraz z biskupem Bośni, pośrodku głównego stołu, ale i tak zadbano o to, by młodzi znaleźli się w dyskretnym oddaleniu od reszty biesiadników. Książę wskazywał właśnie palcem na galerię, gdzie muzykanci z zapalem szarpali struny lutni, choć starali się na próżno, gdyż byli całkowicie zagłuszani przez gwar rozmów. Hedwig potakiwała delikatnie, jakby trochę rozkojarzona.

Amalii bardzo imponowało, że tamci dwoje są prawie małżeńską parą. „Prawie”, bo tak naprawdę mieli nią się stać dopiero, gdy trochę dorosną,

ale przecież zostali już sobie przyrzeczeni. Jakież to było ekscytujące! Wielka miłość, podobna do tych opisywanych w rycerskich romansach. Nikt nie traktował ich jak dzieci, tylko jak poważnych, dorosłych ludzi. Tak jak Marię, siostrę Jadwigi, a także jej przyszłego męża – Zygmunta. Oni z kolei mieli władać w Królestwie Polskim, na północy, za Karpatami. No, ale ci byli starsi, Maria miała już całe jedenaście lat i czuła się tak dorosła, że traktowała Amalię jak powietrze. Dobrze, że to właśnie ona, zawsze nadąsana i sztywna, stąd wyjedzie. Wtedy Jadwiga i Wilhelm będą rządili całym krajem. Całymi Węgrami, Austrią, a może i Neapolem, który leży za morzem. Dostaną tyle złota i kosztowności, ile sobie zażyczą, a żadna ochmistrzyni nie spojrzy na nich krzywo, bo na ich najmniejszy rozkaz to ona może trafić do celi, aby tam siedzieć o chlebie i wodzie.

Amalia niepokoiła się trochę, czy ta dorosłość Jadwigi nie sprawi, że ona sama przestanie być potrzebna przyszłej królowej. No bo jak się już ma męża i koronę, to wiadomo, nie traci się czasu na zabawy czy głupstwa, wtedy trzeba rozkazywać żołnierzom i obdarowywać biedaków, być poważnym i sprawiedliwym, często rozmawiać z biskupami o Bogu.

– Ci Niemcy są ładnie ubrani – oświadczyła nagle Elżbieta.

Rzeczywiście, wszyscy mężczyźni nosili wutowane kubraki, wypukłe na piersi i wąskie w talii, z pięknymi haftami i guzami.

– Ale Niemki brzydkie. – Amalia skinieniem głowy wskazała na chudą kobietę, która co rusz przystawiała dłoń do ust, aby ukryć zepsute zęby.

– Nie gap się tak na nią. Nie wypada.

– To gdzie się mam patrzeć?

– Białogłowa winna mieć wzrok skromnie spuszczonej. Czyli patrz w swoją misę.

– Na te konfitury? – spytała Amalia, przepędzając natrętną muchę.

– Tak. Udawaj pokorę i skrucę. Cioteczka na pewno bacznie cię teraz obserwuje.

– Nawet mnie nie strasz.

Wprawdzie nie planowano na wieczór hucznej zabawy, bo z Nagyszombat dochodziły wieści, iż zdrowie króla Ludwika znacznie się

pogorszyło, nie mogło się jednak obyć bez tradycyjnych tańców. Zbyt wiele młodzieży zebrało się na zamku.

Tak więc po zachodzie słońca zapalono setki świec i rozpoczęły się pląsy w takt najmodniejszych katalońskich melodii. Atmosfera się rozluźniła. Goście wstawali od stołów, zbierali się w grupki, wino rozwiązywało języki. Amalia trochę tańczyła, trochę kręciła się po sali, przysłuchując się rozmowom, ciekawa wszelkich wieści ze świata.

Niewiele z nich rozumiała, ale niektóre słowa czarowały samym swoim brzmieniem. Jak choćby imię włoskiego poety – Petrarca. Albo inne: Tochtamysz, miano okrutnego wodza Tatarów, który wiosną tego roku najechał bajkową Moskwę. Mówiono, że pije ludzką krew, część jego ciała obrasta wilcze futro. Niewiele więcej jednak do niej docierało, kiedy tak krążyła od jednych do drugich, nastawiając ucha.

– Markiz biega za dziewczętami jak pies za patykiem – śmiał się jakiś mężczyzna w arabskim zawoju na głowie. – Niemożliwy człowiek. A jego małżonka...

– Powiadam wam, przyjaciele, Awinion nie jest miastem godnym papieży – przekonywał rudobrody mnich. – To prowansalska dziura. Ulice cuchnące, świnie tarzają się w błocie.

– A Rzym niby lepszy? – obruszył się jego rozmówca. – Same pagórki i rumowiska.

– Ale to przynajmniej miasto Świętego Piotra.

– W Paryżu znowu powstanie – mówił ktoś za plecami dziewczyny. – Żydzi podjudzają biedotę...

– Jeśli studiować, to tylko w Montpellier...

– Jadwiga bardzo urosła i wypiękniała...

– Czy biedny król Ludwik ma się już lepiej?

Uwagi Amalii nie umknęło, że kilka młodych par opuściło salę, zapewne po to, aby móc przebywać ze sobą w intymnym odosobnieniu. To było dla niej dużo bardziej ekscytujące niżli polityczne dyskusje, bo zawsze mogło dojść do zakazanych pocałunków. Znała doskonale wszystkie zamkowe kryjówki, więc nie namyślając się długo, także postanowiła „się przespacerować”.

Na krużgankach panował miły wieczorny chłód, wiał lekki wietrzyk. Ale, jak dostrzegła od razu, nic ciekawego się tu nie działo. Weszła więc do części zamku przeznaczonej dla pomniejszych urzędników, gdzie mieściły się głównie zamknięte teraz kancelarie. Pośród tych mrocznych korytarzy lubili zaszywać się młodzi ludzie. Prowadzono remont kilku pomieszczeń, toteż pełno było wiader i drabin. Musiała uważać, aby na coś nie wpaść, nie pobrudzić sukni wapnem albo czymś jeszcze gorszym. Niestety, w takich ciemnych zakamarkach goście chętnie opróżniali swoje kiszki i pęcherze. Czasami trudno było przejść, żeby nie wdepnąć w coś cuchnącego.

Wokoło panowała cisza, tylko z zewnątrz dochodziły przytłumione odgłosy muzyki. Czyżby nikogo tutaj nie było? Gdzie więc zaszyli się młodzi?

Przystanęła zdezorientowana, nasłuchując. Po chwili usłyszała przytłumiony kaszel, dobiegający z sąsiedniego korytarza. A więc jednak! Najciszej, jak umiała, ruszyła w tamtym kierunku. Po chwili doszły do niej słowa prowadzonej półgłosem rozmowy.

– Tak więc król puka już do rajskich bram – mówił męski głos. – To kwestia dni, najwyżej tygodni.

– A Bośniaczka, jak mniemam, wzięła sprawy w swoje ręce? – odparła niewidzialna w ciemnościach kobieta.

Rozmawiali po niemiecku, w języku, którego Amalia nauczyła się podczas pobytu z Jadwigą w Wiedniu.

– Ano wzięła. Aż nazbyt skrupulatnie.

– To znaczy?

Mężczyzna odchrząknął.

– Chce zmienić jego testament.

– Żartujecie, panie?

– Bynajmniej. Odsunie Jadwigę od węgierskiego tronu.

Amalia zaczęła szybciej oddychać.

– Złamię układy z Koszyc?

– Jakie układy?

– No przecież Marię wysyłano na Wawel.

– Nie ma tam mowy o tym, która z córek pojedzie do Krakowa. Początkowo miała to być Katarzyna, no, ale zmarło się biedactwu. Teraz Bośniaczka szykuje kolejną podmianę.

– Skąd o tym wszystkim wiecie?

- Palatyn Garai ma słabą głowę i długi język.
- Co za wilczyca!
- Tron obejmie Maria, ale wiadomo, że to stara będzie rządzić. Zawsze tego pragnęła.
- A co z Jadwigą?
- Mężczyzna zaśmiał się niewesoło.
- A kogo to obchodzi? Może ją wyślą do Austrii, może do Krakowa. To dziecko, a królowa nigdy za nią nie przepadała. Przez cały czas trzymała ją w Wiedniu.
- Zakon już wie? – zapytała kobieta.
- Krzyżacy?
- A któż by inny?
- Jeśli jeszcze nie wiedzą, to nastąpi to wkrótce.
- Czyli Wilhelm został oszukany...
- Na to wygląda.
- Posłuchajcie, muszę to wszystko sobie poukładać w głowie. Nie spodziewałam się takich wieści.
- Wieści są pewne. Przemyślcie to i zastanówcie się, co dalej. Wracajmy, bo zauważą naszą nieobecność. Rozliczymy się jak zawsze.
- Amalia z wrażenia nie mogła się poruszyć. Wiedziała, że podsłuchiwała właśnie rozmowę, której nie powinna była usłyszeć. Serce biło jej mocno w obawie przed tymi dziwnymi ludźmi. Co zrobią, jeśli ją zauważą? I dlaczego mówili takie cudaczne, niepokojące rzeczy?
- „Jadwiga zostanie odsunięta od węgierskiego tronu”.
- Usłyszała zbliżające się kroki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Litwa

Na godzinę przed świtem Milda obudziła się z kolejnego koszmaru, jednego z tych, które nawiedzały ją niemal każdej nocy, odkąd przybyła z bratem do Wilna. Znowu śnił jej się potworny wąż, oślizgły i oblepiony jakby rzeczonym mułem, z szeroko otwartym pyskiem, zmieniający się nagle w twarz brodatego rycerza z blizną przecinającą czoło.

Rozpoznałaby tę twarz nawet na końcu świata.

A przecież chciała o niej wreszcie zapomnieć. Na zawsze wymazać ją z pamięci i ze snów. Dlaczego ten rycerz tak uporczywie do niej powracał, niczym jakiś nocny demon? Czy nie wystarczyło mu, że zamordował wszystkich innych w wiosce? Czemu nie chciał dać jej spokoju?

Przez jakiś czas leżała w ciemnościach, spocona i rozedrgana, próbując powrócić do rzeczywistości, jak najszybciej uwolnić się od tego przerażającego widoku pół człowieka, pół węża. Bała się zasnąć ponownie, aby znowu jej się nie ukazał. Kiedy przebudziła się na dobre, z ulgą uświadomiła sobie, że nadchodzi świt.

Za przepierzeniem oddzielającym część sypialną od reszty domu słychać było cichą krzątanie – to Ina, żona jej brata Varnasa, szykowała się do rozpoczęcia dnia. Milda poczuła zapach palącego się już ognia i usłyszała szelest wkładanych na białą koszulę sukien. Przez kilka pierwszych dni, zanim Varnas wydzielił dla siostry kąt do spania, dziewczynka obserwowała poranną toaletę swojej bratowej, więc teraz już mogła wszystko łatwo sobie wyobrazić. Niemal widziała płynne, taneczne ruchy Iny, jakby młoda kobieta odprawiała jakiś tajemniczy rytuał.

Najpierw pierwsza suknia z długimi rękawami, a na to wierzchnia, ciemna, luźna, bez rękawów. Pod nią Ina zapinała wokół talii skórzany pasek, przy którym wisiał woreczek ze wszystkim, czego młoda kobieta

mogła potrzebować w gospodarstwie w ciągu dnia. Wysoka, smukła jak topola, Ina nie była wprawdzie skończoną piękną, jednak miała przyjemną, stale uśmiechniętą twarz z uroczymi dołeczkami w policzkach.

Chwila ciszy, a po niej skrzypnięcie deski w łóżku. Pewnie Ina skończyła już wkładać obie szaty oraz wiązany w pasie fartuch i usiadła, żeby wciągnąć na nogi wełniane pończochy, przytrzymywane opaskami pod kolanami, oraz buty. Piękne, z wyprawionej skóry, związane długimi rzemykami wokół łydki. Teraz tylko pozostawało spleść długie jasne włosy w warkocze, zwinąć je w węzłki nad uszami, żeby nie przeszkadzały podczas pracy, przewiązać płócienną przepaskę nad czołem i przypiąć do niej chustę z cienkiego białego płótna. To potrwa kilka chwil.

Milda przewróciła się na bok na swoim skromnym sienniku. Nie chciała przeszkadzać Inie. Postanowiła poczekać, aż bratowa wyjdzie z izby, żeby oporządzić zwierzęta. Po śniadaniu miały razem jak co dzień iść do chorych w pobliskich chatach. Ina potrafiła leczyć i znała się na ziołach jak mało kto. Obiecała nauczyć Mildę wszystkiego, co się wiąże z ziołami i lecznictwem.

– Nie śpisz już? – Dziewczynka usłyszała jej głos dochodzący z izby. – Słyszę, jak się wiercisz.

Milda mruknęła tylko.

– Złe sny? – wypytywała ją Ina.

– Aha.

Rozległ się szmer lekkich kroków i młoda kobieta stanęła koło posłania, na którym leżała Milda. Suknia Iny była tylko bielejącą plamą w przedrannym mroku.

– Znowu on? – spytała z troską w głosie.

– Był wężem.

– Miał pysk węża?

– Raz węża, a raz swój.

– To tylko sny.

Ina podeszła do siennika, przykucnęła i pogłaskała Mildę po głowie.

– Jesteś cała mokra – zauważyła.

– Już mi lepiej.

– Pamiętaj, to tylko sny. Coś nieprawdziwego.

– Teraz to wiem. Ale kiedy śpię, wszystko wydaje się bardzo prawdziwe.

– Posłuchaj, ten morderca już nic ci nie może zrobić. Jest daleko stąd. A w dodatku Varnas i ja cię chronimy.

– Wiem.

– No i nasze duchy opiekuńcze.

Na zewnątrz rozległo się pianie koguta.

– My też mieliśmy duchy opiekuńcze, a nawet węża w numie – odparła kwaśno Milda. – Ale nie pomogły.

Ina westchnęła.

– Zło musiało być od nich silniejsze – powiedziała cicho.

Milda nie wspomniała o jastrzębiu, którego przygarnęła. Była teraz pewna, że to z jego powodu zdarzyło się tamto wielkie nieszczęście. Nie chciała, by Varnas zaczął ją obwiniać.

– Ale nasze duchy są silniejsze, bo mieszkają bliżej świątyni – przekonywała ją Ina. – Tamten nie wróci po ciebie. Już raz go przechytrzyłaś, pamiętasz?

– Jak to?

– Udało ci się go oszukać, malutka.

Milda usiadła na posłaniu.

– Naprawdę? – spytała.

– Tak, okazałaś się przecież sprytniejsza niż oni.

To prawda, udało jej się wtedy oszukać zakonnych rycerzy.

Ukryć się przed nimi.

Schowała się w tej samej dziupli, w której trzymała rannego jastrzębia. Wskoczyła do środka, nie namyślając się, kiedy tylko zbrojni zaatakowali wioskę, i przycupnęła obok klatki. Musiała słuchać krzyków rozpacz, skulona i zdrętwiała ze strachu, ze świadomością, iż nic nie może zrobić. Nie miała skąd wezwać pomocy. Najbliższa osada znajdowała się za rzeką, trzeba tam było płynąć łodzią. Zresztą tamtejsi mieszkańcy i tak nic by nie poradzili. Nie mieli ani takich mieczy, ani takich stalowych koni. Mildzie nie pozostało nic innego, jak siedzieć w dziupli i zaciskać powieki. To wszystko wydarzyło się tak nieoczekiwanie, a ją ogarnęło takie przerażenie, że trudno było jej pojąć, co właściwie się dzieje. Niejasno uświadamiała sobie, że jej rodzice na pewno nie żyją, ale ta myśl wciąż jeszcze nie

potrafiła do niej dotrzeć z całą wyrazistością. To miało nastąpić dużo później. Na razie drżała na myśl, iż ten straszny człowiek z brodą zajrzy do otworu w pniu i ją odnajdzie.

Wrzaski, płacz i dudnienie kopyt zdawały się trwać całą wieczność. Cisza nastąpiła dopiero późno w nocy, wtedy też Milda poczuła drażniący zapach dymu. Palilo się. Oczy miała już otwarte i widziała docierającą z zewnątrz krwawą łunę. Ta poświata, w połączeniu z martwą ciszą zakłócaną tylko trzaskiem ognia, wydawała się jeszcze straszniejsza niż poprzedni zgiełk. Albowiem wszystko to oznaczało, że nastąpił koniec i nie ma żadnej nadziei.

Kiedy nad ranem, zmarznięta i zeszywniała od siedzenia w niewygodnej pozycji, odważyła się w końcu wyjść ze swojej kryjówki, wszędzie unosił się swąd spalenizny. Ruszyła ostrożnie w stronę wioski. Już z daleka widziała poczerniałe chaty i unoszący się nad nimi dym, niesiony przez wiatr w kierunku rzeki. Nad zabudowaniami krążyły całe chmary kruków i wron. Obok łaźni natknęła się na pierwsze trupy. Nie byli to jej rodzice, od razu rozpoznała synów kowala. Mieli w rękach jakieś kije, pewnie próbowali się bronić. Leżeli teraz w kałużach ciemnej krwi, rozplątani, z sinoniebieskimi wnętrzościami na wierzchu, wpatrując się w niebo szklistymi oczami. Im bliżej była wioski, tym więcej napotykała martwych, poskręcanych ciał – mężczyzn, kobiet i dzieci. Wciąż trzymała się kurczowo nadziei, że matka, ojciec, bracia i siostry żyją, że udało im się schronić w lesie i zaraz wrócą, aby jej szukać.

Ale nadzieja prysła, gdy dziewczynka dotarła nad brzeg rzeki, gdzie wczoraj świętowano zaślubiny. Na stołach i pod nimi leżały trupy niemal wszystkich uczestników wesela. Ojciec siedział oparty o pień drzewa, ze spuszczoną głową i wyglądał, jakby się zdrzemnął. Ale gdy Milda podeszła bliżej, dostrzegła, że jego koszula była cała ciemna od krwi, a twarz stężała i niemal obca. Obok pomostu znalazła martwą matkę, chroniącą własnym ciałem najmłodszego syna, czteroletniego Kiejstuta. Niestety, nie zdołała go uratować. Alanka i jej świeżo poślubiony mąż leżeli nieopodal, w przybrzeżnej wiklinie, twarzami do ziemi, z włosami zlepionymi krwią. W tej chwili Milda nic nie czuła, wydawało jej się, że

porusza się we śnie, że nic z tego, co widzi, nie jest rzeczywiste. Nawet nie mogła płakać.

Odnalazła ciała kolejnych bliskich jej osób. Trzej starsi bracia, dwie żony jej ojca i ich dzieci. Wujowie, sąsiedzi... Wszyscy okrutnie okaleczeni, trudni do rozpoznania. Wydawało jej się, że wśród zabitych nie dostrzegła wszystkich osób zaproszonych na wesele, niektórzy z gości musieli więc przeżyć. Zaczęła żałośnie nawoływać, ale nikt jej nie odpowiedział. Wyglądało na to, że tamci albo uciekli w głąb puszczy, albo uprowadzili ich Krzyżacy. Wokół panowała martwa cisza, wszędzie snuł się dym z dopalających się domostw, smród spalenizny zatykał oddech. Jakiś przerażony pies śmignął pod nogami Mildy, omal jej nie przewracając, i jak oszalały pognał przed siebie.

Usiadła na przybrzeżnym głazie i dopiero wtedy zaczęła rozpaczliwie płakać. Wreszcie uświadomiła sobie cały ogrom nieszczęścia. Nie miała już rodziny ani domu. Cały jej świat w przeciągu jednej nocy obrócił się w popiół. Wstrząsana szlochem, wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w rzekę, która płynęła tak jak zawsze, obojętna i spokojna, jakby nic się nie wydarzyło. W zaroślach trzepotały ptaki, pośród głązów zbierał się kozuch piany. Wszystko było takie samo jak zwykle, a jednocześnie inne, przerażająco obce.

Przesiedziała tak do południa. Słońce paliło mocno, a żar potęgowały tłące się jeszcze zabudowania. Ukryła się w cieniu drzew. Nie miała pojęcia, co ma teraz zrobić i gdzie się podziać. Najrozsądniej byłoby przeprowić się przez rzekę, do sąsiedniej osady, jednak nie potrafiła zrobić tego sama. Zawsze to ojciec albo starsi bracia sterowali łodzią. Rzeka była głęboka i niebezpieczna, pełna zdradliwych wirów, podobno zamieszkała przez zielonowłose rusałki, które wciągały ludzi w lodowatą, pozbawioną powietrza toń. Teraz ta rzeka odcinała ją od świata. Milda musiała poczekać na innych. Wcześniej czy później mieszkańcy tamtej osady dostrzegą dym, może już w nocy widzieli ogień? Ale może się boją? Może Krzyżacy ich również napadli i zabili?

Wciąż oszołomiona, na sztywnych nogach, ruszyła do dziupli. Nie wiedziała, czy jastrząb był już zdolny latać samodzielnie, ale nie mogła go przecież zostawić w klatce na pewną śmierć. Na szczęście oswobodzony ptak poderwał się niezgrabnie kilka razy w powietrze, aż w końcu odleciał

z ciężkim łopotem skrzydeł. Odetchnęła z ulgą, wiedząc, że sam da sobie już radę.

Ona też powinna była ruszyć do puszczy.

Nie mogła tak siedzieć pośród tych zgliszczy i ciał. Musiała odnaleźć kupiecki trakt, a potem dotrzeć do stolicy, do Varnasa. On jeden jej pozostał. Zaopiekuje się nią i będzie wiedział, co robić. Jest wojownikiem kniazia. Uratuje ją i zabije brodacza. Powinna iść do Wilna. Uczepiła się tej myśli, która wreszcie nadała kierunek jej działaniom.

Pamiętała, jak kiedyś dziadek mówił jej, że aby dotrzeć do traktu, trzeba iść cały dzień lasem w górę rzeki. Że trzeba trzymać się jej brzegu. Tyle musiało jej teraz wystarczyć. Wróciła do stołów i schowała do węzła trochę jedzenia, które wciąż tam leżało. Zapakowała tyle, ile zdołało się zmieścić, i nie oglądając się za siebie, wciąż pochlipując, wyszła z osady. Po chwili zagłębiła się w prastary las. Olbrzymie dęby i buki, posępne świerki i wysmukłe jodły niemal nie dopuszczały tu promieni słonecznych. Musiała się spieszyć, jeśli chciała dotrzeć do traktu przed zachodem słońca.

Aż do późnego popołudnia przedzierała się przez wysokie trawy, paprocie, głóg, ciernie i jałowiec. Jej twarz oblepiały pajęczyny, w sukienkę i włosy wczepiały się ostre gałązki. Ale się nie zatrzymywała. Napędzał ją strach, że noc zastanie ją w środku puszczy. A w ciemnościach roi się od wilków i złych duchów. Tak więc uparcie szła naprzód, potykając się o kopce mrowisk i próchniejące pnie zwalonych drzew. Oszczędzała jedzenie, bo zdawała sobie sprawę, że później samymi korzonkami i jagodami nie posili się za bardzo.

Dotarła do traktu o zachodzie słońca.

Była tak wyczerpana, że nawet nie pamiętała, kiedy zasnęła w jakiejś jamie przy samej drodze. Musiała się tam przecież położyć, a przedtem przygotować legowisko, ale później, gdy się nad tym zastanawiała, nie potrafiła sobie przypomnieć żadnych działań ani myśli, które im towarzyszyły. Wreszcie ogarnęła ją całkowita ciemność, przynosząca chwilowe wyzwolenie od koszmaru. Całą poprzednią noc spędziła w dziupli, nie przespawszy ani chwili.

Bładym świtem obudziło Mildę parsknięcie konia. Męski, jakby znajomy głos przebił się przez jej zamroczenie.

– Króliczku?

Jak oparzona poderwała się z posłania z suchych igieł, przestraszona i wciąż półprzytomna, przekonana, że odnalazł ją brodaty Krzyżak.

– Milda? – Ponownie usłyszała ten sam głos.

Jeździec zbliżył się z chrzęstem uprzęży, a jego sylwetka nabrała wreszcie wyrazistości.

Varnas? – pomyślała Milda.

– Króliczku?

Brat nazywał ją króliczkiem, bo śmiesznie poruszała nosem, kiedy była zła.

– Varnas...

Chciała krzyknąć, ale wydała z siebie tylko bezgłośnie westchnienie.

– Co... Co ty tutaj robisz?

Patrzył na nią uważnie z wysokości siodła, chyba nie dowierzał własnym oczom, jakby spotkał na drodze ducha. Szybko jednak początkowe zdziwienie na jego twarzy ustąpiło miejsca zrozumieniu i przestraszowi. Pobladł, wciąż wpatrując się w siostrę, umorusaną, w poszarpanej odświętnej sukience, patrzącą nań przerażonym spojrzeniem zaszczutego zwierzątka.

Zanim jeszcze cokolwiek mu powiedziała, pojął, że w osadzie wydarzyło się coś strasznego.

Następne dni i tygodnie przebiegały jakby poza jej świadomością. To Varnas działał, a ona posłusznie mu towarzyszyła jak bezwolny psiak, kręcący się pod nogami pana. Pamiętała powrót do osady, a potem podróż łodzią do sąsiedniej wioski, gdzie brat namówił ludzi, aby pomogli mu w pochówku zamordowanych. Widziała pogrzebowe stosy, na których płonęły rozkładające się już zwłoki. Varnas nie rozpaczał, nie płakał, cały czas milczał, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Powiedział jej tylko, że spóźnił się na wesele, ponieważ jego koń okulał w drodze i cały dzień zajęło mu znalezienie wioski, w której mógł go wymienić.

Potem zabrał ją do Wilna. Niewiele pamiętała z samej podróży, także pierwsze wrażenie, jakie wywarła na niej stolica, zatarło się w jej pamięci. Dopiero później zaczęła na nowo odkrywać świat, swój nowy dom i jego otoczenie. Ułatwiła jej to Ina, żona Varnasa, miejscowa zielarka i uzdrowicielka, która od razu otoczyła Mildę czułą opieką. Varnas pozostawał zamknięty w sobie, ponury i drażliwy, więc w tym pierwszym okresie pobytu w stolicy to właśnie Ina czuwała nad dziewczynką, starając się, jak umiała, przywrócić ją życiu. Zabierała Mildę ze sobą na wędrowniki po mieście, aby ta nie miała czasu na myślenie i wspomnienia, chciała oszołomić ją gwarem, różnorodnością nowego miejsca.

Główne miasto, wciśnięte między rzeką Wilią a wpadającą do niej rzeczułką Wilną, tworzyło jakby wielką warownię, w której znajdowały się mieszkania książęce i dworskie gmachy. Stał tam olbrzymi posąg Perkuna i wieża, z której kapłani przemawiali do ludu, a na świętej łące wznosiła się świątynia z płonącym wieczystym ogniem, Zniczem. Po tej samej stronie rzeki, na zachód od zamku, zieleniał święty gaj na Łukiszkach, a po wschodniej stronie przycupnęły skromne chaty, podobne do numy, w której Milda mieszkała z rodzicami. To właśnie tutaj mieściła się chata Varnasa. Postawiono ją niedaleko zamku i należała do tych bogatszych. Książę dbał o swoich ludzi, zwłaszcza o tych, którzy byli mu wierni.

Na południe od nadrzecznej części miasta, wśród pól, rozległych łąk i ogrodów leżało kilka wiosek z drewnianymi domami, bez murów obronnych i bez ulic. Była to chrześcijańska połowa Wilna, zaludniona głównie przez Niemców i Rusinów, z wielkim, otoczonym palisadą dworcem kupieckim, gdzie handlowali przede wszystkim przybysze z Wrocławia, Inflant i Prus.

To wszystko oszałamiało dziewczynkę, która do tej pory nie wychylała nosa ze swojej rybackiej osady. Hałas, zapachy, przeróżne twarze, ubiory, dziwaczna mowa, turkot wozów, śpiewy dobiegające z gospód. Towarzyszyła Inie podczas wizyt u chorych, zaglądając do nędznych chat, a czasami do bogatszych dworów, gdzie poznawała coraz to nowych ludzi. Przy okazji pilnie uczyła się wszystkiego, co mogłoby przydać jej się kiedyś w życiu. W krótkim czasie poznała działanie większości rosnących w borach i na łąkach roślin oraz sposoby ich stosowania. Znała nie tylko ich lecznicze właściwości, ale i wiedziała, które z ziół mogą spowodować śmierć.

– Te przede wszystkim musisz znać – odpowiadała Ina, gdy dziewczynka pytała, po co jej taka wiedza. – Powinnaś umieć rozpoznawać ich działanie i wiedzieć, jak pomóc cierpiącemu w przypadku zatrucia. I jak samej uniknąć niebezpieczeństwa.

W natłoku zajęć i nowych rzeczy udawało jej się na ogół nie myśleć na co dzień o tym, co przeżyła w rodzinnej wiosce.

Ale nocami...

Nocami strach powracał.

– Udało mi się wtedy ukryć – przyznała teraz rację Inie, siedząc na posłaniu, podczas gdy zza przesłoniętego przezroczystą zwierzęcą błoną okna przebijał pierwszy poranny blask. – Jednak on ciągle próbuje mnie odszukać.

– Zapomniał o tobie, malutka.

– Ale ja nie zapomniałam o nim. Varnas go zabije?

– Na pewno.

– Jeśli nie, to ja to zrobię. Jak dorosnę.

– Dobrze, już dobrze. Wstawaj.

Z zewnątrz dobiegały niewyraźne odgłosy ludzkich rozmów i codziennej krzątania. Ponownie zapał kogut, rozgdakały się kury, słychać było nawoływania i głośne śmiechy. Dziewczynka wstała, umyła się w cebrzyku i ubrała.

Godzinę później szły wraz z Iną w kierunku najuboższej części Wilna. Obie trzymały wiklinowe kosze, do których zapakowały potrzebne zioła i mikstury. Dzisiaj miały odwiedzić kobietę, która powinna już urodzić. Poprzedniego dnia wyglądało na to, że dziecko jest w drodze, ale akcja nagle się zatrzymała.

– To częste – tłumaczyła Ina dziewczynce, kiedy mijaly zarośnięte chwastami podwórka, po których chodziły świnię, kury i zdziczałe psy. – Czasami tak bywa i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Nie tym się martwię...

– A czym?

– Tym, że ta kobieta niedawno urodziła córkę.

– To źle?

– Rodziła już trzykrotnie i za każdym razem była to dziewczynka.

Milda przystanęła na wąskiej dróżce, żeby odgonić obszczekującego je zajadle chudego kundla.

– Nie widziałam tam żadnych dzieci. Urodziły się martwe?

– Nie. – Ina sponsepniała. – Nie słyszałaś o tym, że niektórzy ubodzy topią nowo narodzone dziewczynki, bo są one dla rodziny bezużyteczne? Chłopcy to co innego, oni dadzą sobie sami radę w życiu, ale córki, zwłaszcza jak im się nie znajdzie potem mężów, są tylko obciążeniem i dodatkową gębą do wyżywienia.

– Nie. – Milda aż zadrżała ze zgrozy. – U nas takie rzeczy nigdy się nie zdarzały. To straszne.

– Bo u was nie było takiej biedy jak w innych rodzinach. U biedaków każdy, kto jest jakimś obciążeniem, musi umrzeć. To samo dotyczy dzieci chorowitych, kalek czy też niedołączonych starców.

Milda uświadomiła sobie nagle, że nie widziała w swojej wiosce żadnych kalekich dzieci. Niezdolnych do samodzielnego życia starców też było raczej niewiele. Potrząsnęła głową, żeby odegnać straszne przypuszczenia.

– Chcesz powiedzieć, że ten człowiek utopił własne dzieci, bo były dziewczynkami?

– Tak, Mildo. Takie właśnie jest życie, okrutne i bezwzględne.

Kiedy dochodziły do chaty, przypominającej bardziej szałas niż dom, usłyszały krzyki rodzącej. Wewnątrz panował półmrok, rozjaśniany nieco dwoma okrągłymi otworami. Szeroka jama, w której płonęło ognisko, obłożona była kamieniami służącymi za ławy i stół, a w głębi, na słomie, leżała zmęczona i wyraźnie słabnąca coraz bardziej kobieta. Rodziła już drugą dobę. Na widok wchodzących spojrzała na nie błagalnie. Ina odwróciła wzrok. Wiedziała, że jeśli tamta znów urodzi córeczkę, niewiele będzie mogła zrobić. Może jedynie zdoła uprosić jej męża, żeby tym razem darował życie dziecku. Przecież mogą już nie mieć następnych. Mężczyzna wyszedł przed chatę, żeby tam poczekać na koniec porodu. Wydawał się zniecierpliwiony i zmęczony – pewnie jęki żony nie pozwoliły mu się wyspać.

– O dziewczynie nawet mi nie mówcie – mruknął do nich. – Wołajcie tylko przy chłopaczku.

Tymczasem wydarzenia nabrały tempa. Kobieta krzyknęła przeraźliwie i nagle dziecko wyskoczyło z niej wprost na ręce Iny.

– Chłopiec? – wyszeptała z trudem, usiłując się podnieść. – Błagam, niech to będzie chłopiec...

Ina triumfalnie podniosła krzyczącego wniebogłosy noworodka tak, żeby matka mogła go dokładnie obejrzeć.

– Sama zobacz. Czy tak wyglądają dziewczynki?

Położyła dziecko na piersi wymęczonej, ale szczęśliwej matki.

– Poczekamy jeszcze na łożysko i można będzie wołać męża – powiedziała do Mildy. – Na razie niech sobie jeszcze poczeka w niepewności.

W drodze powrotnej do domu Milda była milcząca i zamyślona. Dopiero teraz docierało do niej, jak niewiele wiedziała o życiu, chroniona przez kochających rodziców i przyjaznych ludzi wokół. Nie miała zbyt wielu przyjaciółek, ale nigdy się nad tym nie zastanawiała. I tak zawsze wolała być sama, a jeśli już potrzebowała towarzystwa, to wybierała chłopców. Z nimi było ciekawiej.

Mijały ostatnie biedne chaty tej części Wilna. Krzątający się przed nimi ludzie pozdrawiali z daleka Inę, widać cieszyła się tu dużą sympatią i zaufaniem. O tym drugim świadczył fakt, że niektórzy podbiegali bliżej, żeby poprosić ją o drobną poradę albo pochwalić się efektami jej leczenia. Ina była jedyną osobą, na którą ci biedacy mogli liczyć w potrzebie. Nie mieli czym opłacić medyków.

Kiedy wyszły na olbrzymi plac, gdzie sprzedawano bydło, zobaczyły nadjeżdżający z naprzeciwka zaprzężony w trzy kare konie kupiecki wóz, którym powoził potężny mężczyzna z długą jak u Rusina siwą brodą. Odsunęły się trochę, by zrobić mu miejsce, a woźnica podziękował ruchem dłoni, przyjaźnie uśmiechnięty. Ina odpowiedziała mu roztargnionym uśmiechem, lecz nagle wyraz jej twarzy się zmienił. Przystanęła ze strachem w oczach. Milda zatrzymała się również, nie wiedząc, co się stało, i w tym momencie dostrzegła, iż spojrzenie mężczyzny, kiedy je mijał, także było już inne. Spoglądał na Inę badawczo i chociaż jego usta wciąż się uśmiechały, pojawiło się w tym uśmiechu coś drapieżnego i złowrogiego, coś, co sprawiło, że dziewczynce zrobiło się zimno. Był ubrany jak kupiec i właściwie nie miał w sobie nic szczególnego, a jednak

biła od niego jakaś dziwna aura. Wóz, wypełniony pobrzękującym żelastwem, minął je, a Ina, powoli, jakby we śnie, odwróciła się za nim i stała tak, póki nie zniknął za zabudowaniami. Była śmiertelnie blada.

– Kto to był? – spytała przestraszona dziewczynka. – Ten człowiek patrzył na ciebie, jakby cię znał.

– Nikt ważny.

– To dlaczego...?

– Pospieszmy się – przerwała jej Ina.

Chwyliła dziewczynkę za rękę i szybkim krokiem ruszyły w kierunku domu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wyszehrad

Z powodu choroby i nieobecności króla na zamku panowała napięta atmosfera. Zazwyczaj podczas wizyt księcia Wilhelma bawiono się hucznie, zdaniem biskupów aż nazbyt hucznie, tym razem jednak należało odrobinę powściągać młodzieńcze temperamenty. Tak więc nazajutrz po przybyciu wiedeńskiego orszaku, z samego rana, odbyła się w zamkowej kaplicy długa msza w intencji władcy, a następnie uraczono towarzystwo budującymi, choć niemiłosiernie nudnymi przedstawieniami żywotów świętych, odegranymi na zamkowym dziedzińcu. Wprawdzie na popołudnie zaplanowano skromny turniej rycerski – tylko dla młodzieży i bez prawdziwych walk – ale wyglądało na to, iż nawet w tej formie nie dojdzie on do skutku, ponieważ niebo było zachmurzone i zanosило się na deszcz.

Ponury i senny nastrój towarzyszył wszystkim do obiadu, na szczęście potem wyszło słońce, przynosząc nadzieję, że ów dzień może nie będzie całkiem stracony.

Amalia nie mogła sobie znaleźć miejsca. To, co usłyszała poprzedniego wieczora na korytarzu, prowadzącym do królewskich kancelarii, wciąż rozbrzmiewało w jej uszach i czuła, że koniecznie musi się z kimś podzielić swoją wiedzą.

Tyle że nie wiedziała z kim.

Z królowną? Wykluczone. Po pierwsze, Jadwiga była teraz niedostępna, natrętny Wilhelm nie odstępował jej na krok, zatem istniały niewielkie szanse na rozmowę w cztery oczy. Po drugie, Hedwig zapewne i tak by Amalii nie uwierzyła. Zresztą, nie oszukujmy się, nikt by jej nie uwierzył. Była tylko niegrzecznym dzieckiem, a „te sprawy” należały do tajemniczego i groźnego świata dorosłych. Dziewczynka musiała walczyć

z pokusą, by nie wygadać się przed innymi dwórkami. Bała się, że ci dziwni ludzie, których podsłuchała, mogą ją rozpoznać. Na szczęście udało jej się czmychnąć w ostatniej chwili i nie wpadła w ich ręce, lecz po ordynarnych przekleństwach mężczyzny domyśliła się, iż ją usłyszeli. Poznała ich sekrety, toteż musieli być na nią bardzo, ale to bardzo źli. A to oznaczało problemy. Do czego byli zdolni, skoro tak pogardliwie mówili o królowej i królownie Jadwidze? Takich ludzi nazywano zdrajcami. I najczęściej wieszano albo rozrywano koźmi.

Trzymała więc język za zębami, co przy jej usposobieniu okazało się prawdziwą torturą.

Zwłaszcza że dosyć szybko przyszło jej stanąć twarzą w twarz z Jadwigą.

Po obiedzie, jak każdego popołudnia w ciągu ostatniego roku, Amalia miała lekcję gry na lutni z mistrzem z Neapolu, Giovannim Chiesą. Było to dosyć niespotykane, ponieważ gra na instrumentach stanowiła raczej domenę mężczyzn, kobiety zwykle uczyły się śpiewu, i to najczęściej kościelnego. Tyle że Amalia, jak to Amalia, robiła wszystko po swojemu i gdy tylko ujrzała Włocha grającego na lutni, natychmiast poprosiła, żeby pozwolono jej brać u niego lekcje. Nie bez znaczenia było to, że młody muzyk odznaczał się typowo południową urodą i wdziękiem, a jego długie, zręczne palce zachwycały wszystkich na dworze. Uzyskała więc zgodę, a i sam mistrz Giovanni nie miał nic przeciwko temu, więc Amalia z zapałem zgłębiała tajniki gry.

Lutnia miała kształt gruszki, wypukłe pudło rezonansowe i wykonano ją ze świerkowego drewna. Ozdobiona piękną rozetą, sama w sobie przyciągała wzrok, ale kiedy dotknęło się jej strun, zmieniała się w przedmiot magiczny. To znaczy kiedy strun dotykał neapolitańczyk, bo pierwsze próby jego uczennicy raczej raniły uszy. Gra na tym instrumencie okazała się trudniejsza, niż Amalia przypuszczała; prawa ręka to jeszcze nic, bo Amalia posługiwała się już gęsim piórem, gorzej było z lewą, i na początku biedaczkę bardzo piekły opuszki palców, mimo że podwójne struny na szyjce instrumentu zrobiono nie z jelit, lecz z jedwabiu. Także nadgarstek cierpiał przy częstych zmianach pozycji dłoni.

Mimo to zaciskała zęby i nie poddawała się, mistrz rzadko ją chwalił, a zwykle napominał.

– Dłoń swobodna, łokieć swobodny – instruował, krążąc wokół grającej Amalii, odziany w szkarłatny kubrak i spodnie podkreślające jego szczupłą, zgrabną sylwetkę. – I nie wolno się przy tym pocić, to musi być naturalne.

Łatwo powiedzieć, kiedy ma się palce tak długie jak boski Giovanni. Jej drobna dłoń z trudem radziła sobie z najprostszymi pozycjami.

– Staram się – odpowiadała.

– Nie staraj się, tylko rozluźnij. Płyn, swobodnie, dotykaj strun niczym wiatr.

Dzisiaj Giovanni raczej tylko siedział i słuchał. Amalia odgrywała akompaniament do neapolitańskiej piosenki, a reszta dwórek śpiewała, przy okazji haftując. Piosenka była wesoła i skoczna i wszystkie dziewczęta miały znakomity humor, nawet sam mistrz nie narzekał, patrząc w rozmarzeniu w okno, jakby odżyły w nim wspomnienia rodzinnych stron. W takich chwilach Amalia lubiła sobie wyobrazać, że ona i jej przyjaciółki są syrenami wabiącymi śpiewem żeglarzy. Naturalnie pomijała krwiożerczą stronę tej historii.

I właśnie pod koniec lekcji do komnaty wkroczyła królowa.

– Popatrzcie! – powiedziała rozpromieniona.

Tuliła do piersi łasiczkę o brązowym futerku.

– Jaka słodka! – zapiszczały dwórki unisono, zrywając się ze swoich miejsc.

Amalia odłożyła lutnię i ostrożnie położyła ją na aksamitnej poduszce.

Zwierzątko przestraszyło się nagłego poruszenia i wygięło grzbiet, tak że Jadwiga z trudem utrzymała je w objęciach.

– Jakie ma ostre pazurki – powiedziała. – Księżę obiecał mi też karlicę, ale ta zachorowała i została w Wiedniu.

– Łasiczka ładniejsza – zapewniła ją Amalia. – Jak ma na imię?

– Jeszcze jej nie nazwałam. Może... Klara?

– Ładnie.

– Albo nie. Na Klarę królowa matka się nie zgodzi, to imię zdrajczyni. – Jadwiga zmarszczyła nos. – Kinga? Od świętej?

– Eee...

– Masz rację, nie pasuje. Jeszcze coś wymyślę.

– To musi być włoskie imię – podpowiedziała jedna z dwórek.

– Właśnie – odezwał się Giovanni Chiesa.

Wszystkie chciały pogłaskać stworzonko, ale królowa na to nie pozwoliła.

– Nie straszcie jej – powiedziała i szeleszcząc suknią, podeszła do wykuszowego okna.

– A ja najbardziej chciałabym dostać jednoroźca – odezwała się rozmarzonym tonem najmłodsza z dziewczynek, piegowata Zofia, która właśnie traciła mleczne zęby.

– A gdzie takie są? – zaciekawiała się Jadwiga.

– W królestwie Basman.

– Gdzie?

– Na wschodzie. Tam króluje Wielki Chan.

– Naprawdę? Skąd o tym wiesz?

– Ojciec Albert nam czytał. Z grubej księgi.

Lubiły tego pulchnego, przypominającego pękata beczkę mnicha, ponieważ nie ograniczał się jedynie do zbożnych lektur, zaznajamiając młode dwórki z opowieściami mniej wzniosłymi, na przykład o dalekich krainach opisanych przez weneckiego kupca, o Saracenach, o okrutnych piratach albo córkach sułtana, niezbyt cnotliwych, przez co fascynujących. Sam chyba znajdował upodobanie w takich błażostkach, budząc tym nieufność, by nie powiedzieć niechęć, cioteczki Csaksy.

– Jednoroźce mają nogi jak słonie, bawołą sierść i czarny róg – kontynuowała Zofia.

Hedwig się skrzywiła.

– W takim razie muszą być szkaradne.

– Wcale nie.

– Z pewnością tak. Ale rzeczy brzydkie też mają swoje miejsce w Dziele Stworzenia. Aby te ładne wydawały się jeszcze ładniejsze. Świeciły jaśniejszym niebiańskim blaskiem.

To były mądre słowa ochmistrzyni, a nie królowy. Wiedziały o tym, toteż przytaknęły zgodnie, aż Amalia przez chwilę pomyślała, że wypowiedzą słowo: „Amen”.

– Jak już będę królową Węgier... – Jadwiga się zamyśliła – to sprowadzę do Budy wszystkie zwierzęta świata.

Na te słowa Amalia poczuła ucisk w żołądku i odwróciła wzrok. Gdyby nie obecność innych dziewcząt, pewnie wypaplałaby teraz wszystko. Coś

w niej pragnęło wykrzyknąć: „Chcą ci odebrać koronę!”. Zaciśnęła jednak wargi.

Tymczasem Jadwiga wyjrzała przez okno i oznajmiła:

- Trochę się rozpogodziło. Turniej jednak się odbędzie.
- To wspaniale – ucieszyła się Amalia. – Książę będzie stawał w szranki?
- Och, na pewno. Jest taki dzielny.

Na błoniach przed zamkiem rozbito trójbarwne namioty oraz ustawiono ławy ocienione baldachimami i płóciennymi daszkami. Tor dla jeźdźców został oddzielony złocistymi sznurami, wokoło powiewały na wietrze wbite w ziemię proporce. Giermkowie oporządzali rumaki i pomagali młodym rycerzom zakładać zbroje.

Amalia, siedząca obok Jadwigi pod purpurowym baldachimem, obserwowała te przygotowania bez zwykłej ekscytacji, wciąż czując w sercu niepokój.

– Czy są jakieś wieści o stanie zdrowia króla? – spytała niby to obojętnym tonem.

Hedwig pokręciła głową.

– Nie. Mamy wraz z Wilhelmem pojechać do niego w przyszłym tygodniu.

– Doprawdy?

– Nie mówiłam ci o tym? Będziesz nam towarzyszyć. Nigdy nie byliśmy w Nagyszombat.

– Cudownie. A dlaczego się tam wybieramy?

Jadwiga wzruszyła ramionami i sięgnęła po leżącą na srebrnej tacy brzoskwinię.

– Chodzi chyba o to, aby król ojciec wtajemniczył Wilhelma w sprawy rządzenia.

– Ano tak – odparła ostrożnie Amalia. – Rządzenie Węgry musi być trudne. A królowa Maria...

– Tak?

– A ona będzie królowała w Krakowie?

– To już dawno ustalone.

– I wszyscy na to przysięgali?

– Co z tobą? – Królowna spojrzała uważniej na Amalię. – Zadajesz dziwne pytania. Popatrz lepiej na Karola.

Skinieniem głowy wskazała młodego rycerza z Wiednia, który, zakuty już w blachy, z kopią w ręku, dosiadał siwego konia przykrytego kropierzem w czarno-żółtą szachownicę. Jeździec był jeszcze z gołą głową, a jego złociste kędziory falowały na wietrze.

– Pochodzi ze znakomitego rodu – wyjaśniła Jadwiga.

– O tak – odezwał się stojący niedaleko baron Kodály, wysoki brunet z gładko wygoloną twarzą. – Oni wszyscy wywodzą swe rodowody przynajmniej od wojny trojańskiej.

– A czy jest to niemożliwe? – zaciekała się królowna.

– Rzekłbym: możliwe, choć wysoce nieprawdopodobne.

Baron Kodály ubrany był cały na czarno, na szyi nosił złoty łańcuch.

– Większość z tych młodych Austriaków pochodzi z podupadłych rodzin – dodał z lekkim uśmiechem.

– Co też baron mówi!

– Lgną do księcia, aby zrobić karierę.

– A co w tym złego?

– W zasadzie nic. Ale musimy patrzeć na nich bardziej krytycznie.

– To jakaś nauka dla mnie?

– Tylko taka mała uwaga skromnego sługi. – Ukłonił się lekko, po czym odszedł.

Amalii wydawało się, iż przedtem dziwnie na nią spojrział. Poczła jeszcze szybsze bicie serca, dłonie jej się spociły. Czy mógł to być człowiek, którego rozmowę wczoraj podsłuchała? Nie, tamten miał inny głos. Mówił wolniej i w ogóle zupełnie inaczej.

– Nie lubię barona Kodályego – rzekła Jadwiga. – Jest złośliwy i wciąż krytykuje wiedeńczyków. Niektórzy nasi możni nie cenią nawet Habsburgów. Utrzymują, że Węgry im się nie należą.

– Ale przecież król tak zarządził – odparła niepewnie Amalia.

– Tak. I to zamyka sprawę.

Dyskusję przerwał ochrypły głos trąbek, obwieszczających rozpoczęcie zawodów. Przez kolejną godzinę dziewczęta obserwowały popisy najmłodszych rycerzy, którzy zamiast walczyć ze sobą, jak to się dzieje

podczas poważnych turniejów, atakowali kopiami słomianą kukłę. Nie było to zbyt emocjonujące, w dodatku uczestnicy mieli poważne problemy ze swoimi rumakami, które tańczyły pod nimi, wzbijając kopytami grudy ziemi, i nie chciały się podporządkować woli jeźdźców. Mimo to młodzieńcy nagradzani byli oklaskami i zachęceni okrzykami. Złocistowłosy Karol wystąpił na końcu, w mediolańskiej zbroi, z narzuconą na nią haftowaną tuniką, i w cylindrycznym hełmie z rogami, w którym wyglądał bardzo groźnie. Zanim rozpoczął swój popis, podjechał do trybuny, gdzie siedziała Hedwig, i pozdrowił ją dwornie, a królowna rzuciła w jego stronę bukiet kwiatów.

Z miejsca, gdzie siedziały, nie widać było, czy Karol trafił w kukłę, ale gromkie brawa oznaczały, że chyba nie przyniósł Jadwidze wstydu.

Nastąpiła przerwa. Po niej młodzieńcy mieli strzelać z kusz do zatkniętego na żerdzi wypchanego gołębia. W tej dyscyplinie mógł już startować sam książę Wilhelm. Ale nic z tego nie wyszło, bo nagle niebo się zachmurzyło i lunął okropny deszcz, w jednej chwili przemieniając plac w olbrzymie bajoro. Osłaniane przez paziów daszkami dziewczęta z piskiem uciekły do zamku, podczas gdy dzielni rycerze schronili się w namiotach.

Wróciły do komnaty, aby wysuszyć się przy ogniu. Suknia Amalii pociemniała od wilgoci, a ciżmy były całkiem przemoczone.

– Jeszcze się rozchorujemy – zaśmiała się piegowata Zofia.

– To ciepły deszcz – uspokoiła ją Jadwiga. – Mimo wszystko trzeba się jednak napić czegoś gorącego.

Za oknem narastał szum ulewy, w komnacie zrobiło się mroczno jak o zmierzchu i wyglądało na to, że resztę dnia przyjdzie im spędzić przy kominku.

Ale ten wieczór wcale nie miał być nudny.

Po osuszeniu ubrań i włosów część towarzystwa przeniosła się do przestronnej i lepiej oświetlonej sali muzycznej we wschodnim skrzydle zamku, gdzie przy dźwiękach lutni młodzi zadawali sobie zawiłe zagadki, a dorośli rozmawiali o polityce.

Najważniejszym tematem dyskusji była nie tak dawna i wciąż budząca emocje śmierć Joanny, królowej Neapolu. Ta wiadomość wywołała na Węgrzech olbrzymie zadowolenie i uznano ją za przejaw boskiej sprawiedliwości, na którą oczekiwano od bez mała czterdziestu lat. Podobnie jak król Ludwik, Joanna pochodziła z dynastii Andegawenów, tyle że w przeciwieństwie do pobożnego i szlachetnego władcy miała w sobie coś z diablity. Była wnuczką króla Neapolu Roberta, a ponieważ wiekowy monarcha nie pozostawił po sobie męskich potomków, ku zaskoczeniu wszystkich to właśnie młodziutką wtedy Joannę wskazał jako pierwszą w kolejce do tronu.

Szkopuł w tym, że w tamtym czasie o koronę papieskiego lenna upominał się również młodszy brat króla Ludwika, Andrzej. Jako mężczyzna miał nawet większe prawa. Aby zapobiec waśniom, postanowiono połączyć Andrzeja i Joannę węzłem małżeńskim. Na pozór wydawało się to znakomitym, umacniającym dynastię rozwiązaniem. Doszło zatem do ślubu – równo czterdzieści lat temu – który dawał widoki na jaki taki kompromis. Niestety, węgiersko-włoski mariaż szybko okazał się iluzją. Neapolitańczycy niechętnie patrzyli na przybysza z Budy, koronę otrzymała Joanna, on zaś musiał się zadowolić tytułem księcia, słowem, uznano go za mało znaczący dodatek do królowej. Tego z kolei nie mogła zaakceptować dumna i energiczna matka Andrzeja, Elżbieta Łokietkówna. Pomiędzy nią a Joanną rozpoczęła się bezwzględna walka o rzeczywistą władzę w mieście, nad którym wznosił się groźny Wezuwiusz. Obydwie nie szczędziły złota, by wkraść się w papieskie łaski, zjednywały sobie pomniejszych stronników i przez długi czas nie wiadomo było, na czyją stronę przechyli się szala zwycięstwa.

I wtedy właśnie nastoletnia diablityca zadała decydujący cios.

Było to rozwiązanie w iście neapolitańskim stylu, choć dla Madziarów nieoczekiwane i kompletnie szokujące. Joanna zleciła zabójstwo niewygodnego dla niej małżonka. Pewnej nocy nieszczęsny Andrzej został uduszony w swojej sypialni, a jego ciało zrzucano z balkonu wprost na dziedziniec, gdzie czekali już grabarze z łopatami, by je szybko zakopać. Zniknęłoby pewnie bez śladu, gdyby zbrodniczej akcji nie dostrzegła pokojówka i dawna niańka Andrzeja. Kobieta narobiła krzyku i cała sprawa się wydała.

Wydawać by się mogło, iż po takim skandalu nastąpi rychły koniec panowania Joanny. Dwór węgierski zażądał od papieża natychmiastowego procesu i pozbawienia jej korony. Prawdopodobnie liczono nawet na karę śmierci. Jednakże królowa Neapolu nie była jakąś Klarą Zach, której Elżbieta mogła obciąć nos i wargi. Klemens IV wcale nie kwapił się do wymierzania sprawiedliwości. Mimo że ochoczo przyjął blisko sto tysięcy węgierskich florenów, zwlekał i lawirował. Od samego początku niechętnie patrzył na Węgrów, obawiając się wzrostu ich potęgi. Nie zrobił zatem nic w sprawie politycznego morderstwa, a jakby wszystkiego było mało, pobłogosławił kolejne małżeństwo Joanny, które diabolicznie zawarła z własnym kuzynem.

Tego było za wiele. Zorientowawszy się, iż za pomocą dyplomacji niczego nie wskórają, Węgrzy wyruszyli na wojnę z Joanną. Aby pomścić brata i zagarnąć tron, Ludwik, niczym Hannibal, przeprowadził swoją armię przez Alpy i nie napotykając żadnego oporu, wkroczył do Neapolu. Pojmał wielu spiskowców, jednych stracił, innych uwięził, jednak nie udało mu się schwytać najważniejszej osoby.

Joanna zdążyła czmychnąć do Prowansji.

Także i sam Neapol wkrótce wymknął się Ludwikowi z rąk. Do opuszczenia miasta zmusiła władcę straszliwa epidemia dżumy, która wybuchła tam rok po wkroczeniu madziarskich wojsk. Niewątpliwie jakaś klątwa musiała ciążyć nad tym królestwem.

Dlatego teraz, gdy na Węgry dotarła wiadomość, że pięćdziesięciosześcioletnia Joanna została pojmana przez Karola z Durazzo, a następnie uduszona w więzieniu na zamku San Fele, nie ukrywano satysfakcji. Po latach bezowocnych starań o sprawiedliwość ta wreszcie nadeszła. Wprawdzie późno, ale król Ludwik mógł się nią jeszcze nacieszyć.

– Nareszcie trafiła do piekła – stwierdził teraz ojciec Albert, siedzący przy samym kominku, z dłońmi splecionymi na wydatnym brzuchu. – Pytanie tylko, czy była występna z przyrodzenia, czy też to pragnienie władzy wtrąciło ją w otchłań nieprawości.

– Pragnienie władzy jest cechą wszystkich królów – baron Bertok uśmiechnął się lekko.

– Mówimy jednak o umyśle niewiasty, o wiele bardziej podatnym na podszepty szatana – odrzekł nieco rozdrażniony tą uwagą duchowny.

Baron nic nie odpowiedział, zdając sobie sprawę, że to grząski grunt. Trudno było zaprzeczyć słowom ojca Alberta, ponieważ przedstawiały opinię Kościoła, niemniej sytuacja polityczna czyniła tę kwestię dużo bardziej skomplikowaną. Nie tylko ród w Neapolu wygasł, nie doczekawszy się męskich potomków. Taka sama sytuacja panowała teraz w Królestwie Polskim, a co najważniejsze: wkrótce miała nastąpić i na Węgrzech. Po Ludwiku pozostaną same córki – jedna miała władać w Budzie, druga w Krakowie. Mężów dla nich trzeba było szukać wśród obcych rodów. Coś osłabiało szlachecką krew, pozwalając wygasać dynastiom. Czuło się, że świat zmierza ku upadkowi. Może więc rację mieli ci, którzy uznawali, iż obecne stulecie ma być ostatnim w dziejach świata? Baron Bertok byłby skłonny w to uwierzyć. Rozdarcie w łonie Kościoła, epidemie, upadek obyczajów, a do tego wszystkiego zmierzch wielkich rodów, podczas gdy na dzikiej, barbarzyńskiej Litwie niedawny jej władca spłodził aż dwunastu krzepkich synów. Czyż nie jest to oznaką nadchodzącego końca?

Zachował jednak owe przemyślenia dla siebie. Wprawdzie w pobliżu nie było królowej ani nikogo z jej najbliższego otoczenia, ale ostrożności nigdy zbyt wiele.

– Horoskop Joanny wskazywał podobno, że jej życie będzie naznaczone zbrodnią i rozpustą – wtrącił Miklosz Szabo, stary rycerz z długimi siwymi włosami, od lat poruszający się o lasce.

– Szkopuł z tymi horoskopami jest taki, że powstają zwykle po fakcie. – Ojciec Albert się skrzywił.

– Ten podobno sporządzono nad kołyską.

– Więc trochę za późno poznajemy jego treść.

– Zatajoną ją.

– Nie przypuszczam – powoli odparł duchowny. – Jak żyję nie widziałem jeszcze astrologa, który by oświadczył rodzicom, iż życie ich dopiero co narodzonego dziecięcia będzie naznaczone zbrodnią i rozpustą. Gwiazdy gwiazdami, ale żyć z czegoś trzeba.

– Takie krążą słuchy. Powtarzam tylko, co mi mówiono w Neapolu.

– Neapol to miasto kłamców i złodziei – podsumował ojciec Albert.

– Dobrze by było jednak, aby znalazł się w naszych rękach – rzekł baron.

– Najjaśniejszy król zapewne chciałby zostawić go w spadku małej Jadwidze. Pomyśleć tylko: Buda, Wiedeń, Neapol. Imponujące.

Siwowłosy rycerz chrząknął.

– Istotnie. Aż można się zadławić – powiedział sucho.

– Cóż macie na myśli? – obruszył się Miklosz Bertok.

– Posłuchajcie, dostojny panie. Jestem już na tyle stary, że mogę mówić wprost, nie bawiąc się w gładkie słówka. Byłem w Neapolu, wiem ja dobrze, jacy ludzie mieszkają w tym przeklętym mieście. Tam nigdy nie będzie spokoju. – Dla podkreślenia swych słów uderzył końcem laski o posadzkę. – Spójrzcie tylko, co się dzieje na Bałkanach, z Serbami mamy same kłopoty. Pytam zatem, kto utrzyma w garści wszystkie nasze zdobycze.

Mówiąc to, stary rycerz popatrzył kwaśno na Jadwigę i Wilhelma, którzy wraz z grupką innych młodych zasiedli na poduszkach wokół szachownicy.

Amalia z zachwytem wpatrywała się w rzeźbione z kości słoniowej figurki: króla, królową, jeźdźców na stojących dęba koniach, słonie, wieże i małych piechurów z mieczami. Szachy były kolejnym prezentem Wilhelma dla Jadwigi. Wykonano je w jakimś arabskim kraju, tak kunsztownie, że nie można było oderwać od nich oczu. Stały na stoliczku będącym jakby pomniejszeniem całej sali muzycznej, której posadzka też została ułożona w czarno-białe kwadraty.

Sam Wilhelm promieniał z dumy, tłumacząc Jadwidze, jak poruszają się figury.

– Księżę ojciec powiada, że każdy władca musi umieć w to grać – wyjaśnił.

– Przecież to tylko zabawa. – Jadwiga uśmiechnęła się niepewnie.

Miała dzisiaj na sobie szafirową suknię, a jej wysokie czoło zdobiła pozłacana obręcz. Zwykle aż tak się nie stroiła.

– Nieprawda – odparł Wilhelm. – To nie zabawa. Tu się rozgrywają całe bitwy. Popatrzcie, jeśli wyjdzie się tymi piechurami tutaj, to nikt nie broni króla. Wtedy bierzemy rycerza...

– Czemu rycerz przeskakuje nad piechurami? – Zaglądając księciu przez ramię, Amalia nie wytrzymała.

Wilhelm odwrócił głowę i spojrzał na dziewczynkę z politowaniem.

– Bo jest na koniu.

- Nad królową też może skakać?
- Hmm – zawahał się. – Może. Choć nie jest to mile widziane.
- Dlaczego?
- Mogę skończyć swój ruch?

Amalia zamilkła.

- No i wtedy stawiam rycerza tutaj, a wrogi król musi się przesunąć.
- A kiedy gra się kończy? – zapytała Jadwiga.
- Gdy król nie ma już miejsca ucieczki. Na przykład teraz mogę zepchnąć go do rogu tym manewrem...
- Przewidziałam ten ruch – mruknęła dziewczynka.
- On będzie musiał zasłonić się tak, ale ja wtedy biję tu i... król jest bezbronny.

Wilhelm zdjął z szachownicy wysoką figurkę władcy i wrzucił ją do szkatułki.

- Koniec gry... Na tym to właśnie polega, żeby...

Przerwały mu dochodzące zza okna hałasy. Rozległy się pokrzykiwania straży, a następnie do komnaty dotarł zgrzyt łańcuchów i odgłos otwieranej bramy.

- Któż przybywa o tej porze? – zaniepokoił się baron Bertok.

Zastukały kopyta na dziedzińcu.

- Musi to być jakiś posłaniec – odparł ojciec Albert, szybko podnosząc się z zydla.

Muzyka ucichła i wszyscy spojrzeli po sobie lękliwie.

Niedługo potem zamek obiegła straszna wieść:

Król Ludwik, chrześcijański władca Węgier, Polski, Dalmacji, Kroacji, Ramy, Serbii, Galicji, Lodomerii, Komarii i Bułgarii, oddał ducha Bogu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wilno

Czy ten człowiek, który wczoraj mijał nas na targu, to twój znajomy? – spytała nieśmiało Milda, patrząc na Inę, gdy ta wygarniała popiół z paleniska.

Bratowa nie odpowiedziała od razu. Zagryzając wargi, odgarnęła z czoła włosy, schowała je pod czepek i przez chwilę wydawało się, że nie usłyszała pytania. W końcu jednak powiedziała cicho:

– Nie ma o czym rozmawiać.

Był pogodny poranek, ale w izbie panował ponury nastrój. Nocą Milda słyszała nerwowe szepty dobiegające zza przepierzenia, za którym znajdowało się posłanie Varnasa oraz Iny. Wiedziała, że rozmawiają o tym dziwnym człowieku. Nie wszystkie słowa do niej docierały, lecz samo brzmienie głosu jej brata wskazywało na to, że Varnas jest zaniepokojony.

– Może ci się tak tylko zdawało? – spytał w pewnej chwili nieco głośniej.

Ina coś odparła, a potem Milda usłyszała jej cichy płacz.

Teraz bratowa też miała lekko podpuchnięte oczy, była blada i przez cały ranek wypowiedziała ledwie kilka słów.

– Mam przygotować koszyki? – cicho spytała dziewczynka.

– Nie. Pójdiesz dzisiaj do lasu po zioła. Kończą mi się już zapasy mięty pieprzowej, borówki brusznicy i wrzосу.

Milda chciała zaprotestować, że przecież największą moc mają zioła zbierane nocą, przy świetle księżycy. Sama ją tego uczyła. I że miały iść razem do chorych. Już otwierała usta, kiedy nagle Ina spojrzała na nią błagalnie i poprosiła cicho:

– Po prostu idź, muszę zostać sama. Proszę.

– A chorzy?

– Dam sobie radę.

Milda poczuła się zawiedziona, lecz już bez słowa sięgnęła po kozik i zarzuciła wiklinowy kosz na plecy. Młoda kobieta w milczeniu podała jej zawiniątko z chlebem i kawałek sera na drogę.

No tak, pomyślała dziewczynka, chce się mnie pozbyć na cały dzień. Dobrze, niech jej będzie. Mogę zostać w lesie nawet przez noc. Niech się martwią.

Wzięła prowiant i nie patrząc Inie w oczy, wyszła z chaty. Czowała żal o to, że potraktowano ją jak dziecko, a przecież już nim nie była. Wprawdzie miała dopiero osiem lat, ale życie sporo ją nauczyło. Cokolwiek groziło Inie, ona, Milda, mogła jej służyć pomocą.

Idąc ulicami, wciąż zastanawiała się, dlaczego ten mężczyzna tak nastraszył tamtych dwoje. Nie był ani wojownikiem, ani kapłanem, niczym nie różnił się od bogatych kupców, jakich spotykało się na każdym kroku. Tylko oczy miał jakieś dziwne – przebiegłe, świdrujące. Ale przecież Varnas jedną ręką pokonałby kogoś takiego. A jednak się niepokoił.

Minęła ostatnie zabudowania i weszła na wydeptaną przez pasterzy oraz ich trzody ścieżkę, która prowadziła na pastwiska, a potem w las. Gdy znalazła się wśród drzew, poczuła się wreszcie wolna. Umilkł gwar miasta, zniknęły zapachy dymu, nawozu, przypalonego tłuszczu, fetor jatek. Kochała puszcę, czuła się w niej bardziej u siebie niż w domu brata. Wiedziała, jak się zachowywać, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Umiała rozpoznawać tropy dzikich zwierząt, wiedziała, których z nich należy absolutnie unikać, a które nie zrobią jej krzywdy, jeśli ich nie sprowokuje.

Była dzieckiem lasu, wszystko tutaj przypominało jej utracone dzieciństwo i rodzinę. Po raz pierwszy od pamiętnych wydarzeń podczas ślubu siostry Milda pozwoliła sobie na płacz. Głośny, rozpaczliwy i rozdzierający duszę. Usiadła pod dębem i pozwoliła, by łzy płynęły jej po twarzy. Tutaj nikt jej nie widział ani nie słyszał. Tylko przyjazne drzewa. I ptaki, przyglądające się ciekawie z góry. Pod zamkniętymi powiekami widziała ukochane twarze matki i ojca, ale te zaczynały się już powoli zacierać. Ich miejsce zajmował obraz człowieka z blizną na twarzy, tego, który wraz ze swoimi kompanami zabił całą jej rodzinę. Wiedziała, że jego

rysów nie zapomni do końca życia, do momentu, aż pomści śmierć bliskich. Wtedy jej twarz będzie ostatnią, którą ten łotr zobaczy w swym życiu.

Gniewnym ruchem starła łzy z twarzy i oparta o pień dębu, rozejrzała się wokół. Jesienne słońce przeświecało przez gałęzie i kładło się złotymi plamami na pokrytej ściółką ziemi. Milda zauważyła pojedyncze już jagody, błyszczące fioletowo wśród otaczających ją krzewinek. Pamiętała, ile ich rosło w pobliżu domu i jak zbierała je z mamą, a potem razem robiły przetwory. Mama. Łzy znowu zapiekły ją pod oczami, ale szybko się opanowała. Wstała i ruszyła w stronę pobliskiego wrzosowiska, ostrożnie, żeby nie nastąpić na żmiję, która mogła się tu wygrzewać w ostatnich promieniach słońca. Zamiast niej zauważyła całą gromadę brązowych kapeluszy borowików, które kolorem zawsze przypominały jej skórkę dobrze wypieczonego chleba. Nie miała jeszcze zbyt wielu ziół w koszu, ale zapowiadało się na to, że przy okazji przyniesie z lasu sporo grzybów. Uśmiechnęła się do siebie zadowolona.

Chodziła po lesie przez cały dzień, przysiadając czasami na polanach lub na brzegach strumieni, o wiele spokojniejsza niż rankiem. Wrześnie słońce zniżyło się, światło nabrało bardziej złocistej barwy. Coraz dłuższe cienie, kładące się na leśnych polanach, zwiastowały nadchodzący wieczór. No a ona jeszcze nie zebrała wszystkich ziół, po które została wysłana. Starając się już nawet nie patrzeć na mijane po drodze grzyby, skupiła uwagę na ziołach. Wiedziała, w jakich miejscach szukać, więc szybko uporała się z tym zadaniem. Gorzej było ze znalezieniem drogi powrotnej. Nie знаła tych okolic, nie rozpoznawała żadnego mijanego przedtem miejsca. Poczła ukłucie niepokoju, zdając sobie sprawę, iż po zapadnięciu zmroku może w ogóle nie wyjść z puszczy. Z mocno bijącym sercem dotarła do bagien i musiała zawrócić, żeby nie dać się wciągnąć w zdradliwe mokradła. Słyszała straszne opowieści o ludziach zwabionych przez złe ogniki na bagnach, którzy zostali tam już na zawsze.

Do tego wszystkiego poczuła głód. Już dawno zjadła przygotowany jej przez Inę chleb z serem, popijając go wodą ze źródła. Miała nadzieję trafić na jakieś ludzkie osady, ale okolica stawała się coraz bardziej dzika. Jedyne ścieżki, wydeptane między drzewami, należały do zwierząt.

Kiedy straciła już nadzieję i szukała po prostu miejsca na bezpieczny nocleg, usłyszała jakieś hałasy, a potem zobaczyła między drzewami blask ognia.

Ludzie!

Byli jeszcze daleko, ale przynajmniej wiedziała, w którą stronę się udać.

Dotarła do ogromnej polany i zatrzymała się na skraju lasu jak wryta. Ogień nie był ogniskiem, przy którym można się było posilić i zabawić. To był olbrzymi stos pogrzebowy.

Ustawiony pod wielkim kamiennym ołtarzem, płonął wysokim ogniem, rzucając krwawe blaski na zgromadzonych wokół ludzi. To musiał być pogrzeb kogoś ważnego, jakiegoś bojara – poznała to od razu po liczbie kapłanów ubranych w białe szaty, z zielonymi wieńcami na głowach. Wśród nich stał naczelnny arcykapłan w spiczastym kapturze, opuszczonym aż na twarz. W ręce trzymał krzywą laskę, którą wznosił ku granatowemu niebu, śpiewając do bogów wysokim, prawie nieludzkim głosem. Wokół uwijali się młodzi wojownicy na koniach, z maczugami i brzeszczotami w rękach, wołający:

– Precz, precz, ustąpcie, duchy zła, siły nieczyste!

Poprzez języki ognia Milda widziała kształty złożonych na stosie ludzi, zwierząt i przedmiotów. Jak kazał rytuał, wielki pan wybierał się w zaświaty wraz ze swoimi małżonkami, służbą, końmi i sokołami. Przy głównym stosie znajdował się mniejszy, wciąż nierozpalony, na którym mieli spłonąć niewolnicy zmarłego. Milda domyśliła się, że to niewolni, gdyż mieli obce rysy i podobne ubrania. Może byli to Polacy, a może Prusowie? Jeszcze żyli, siedzieli na trawie obok stosu, skrupowani powrozami, nieruchomi i bierni. Odurzono ich wywarami, więc potulnie czekali na śmierć. Niczym baranki przed złożeniem ofiary. Milda wiedziała, że kapłani najpierw ich uduszą, a potem położą na słomianych posłaniach i podpalą. Dostrzegła młodą dziewczynę z rozpuszczonymi włosami, która siedziała i kołysała się, jakby śpiewała. Była trochę podobna do Iny.

Żałobnicy i płaczkowie zawodzili głośno, w powietrzu unosił się zapach dymu i kadzideł. Ogień był czerwonopomarańczowy, straszny i zarazem dziwnie fascynujący, wręcz piękny. Ale jego obraz przywoływał wspomnienie stosu, na którym płonęły ciała bliskich dziewczynki, a także trawionej ogniem wioski. Czują, że bije od niego czyste zło.

Nagle jeden z jeźdźców oderwał się od swoich i ruszył stępą w kierunku Mildy. W zapadających ciemnościach rozpoznała sylwetkę Varnasa.

– Co ty tu robisz? – zapytał ostro. – To nie jest widowisko dla dzieci.

– Nie jestem... – zaczęła protestować, ale nie dał jej dokończyć.

– Szukam cię już od kilku godzin – syknął, pomagając jej wspiąć się na grzbiet konia. Kosz, wypełniony grzybami i ziołami, przytroczył do boku wierzchowca. – Ina się niepokoi. Wyrzuca sobie, że to przez nią uciekłaś.

– Wcale nie uciekłam – zdołała wysapać, kiedy już udało jej się usiąść w siodle. – A czyj to pogrzeb?

– Bardzo bogatego pana. Księcia. Nie powinnaś była tu być.

– Dlaczego? Nie mogę być na pogrzebie księcia?

– Nie możesz. – Varnas dosiadł konia i ścisnął jego boki łydkami, dając sygnał, by ten ruszył z miejsca. – Dlaczego nie wróciłaś do domu?

– Bo... – Milda była zadowolona, że siedzi z przodu i brat nie może widzieć teraz jej rumieńca wstydu. – Bo zgubiłam się trochę...

– Ty? Ty się zgubiłaś?

– Za daleko poszłam. Ina chciała być dzisiaj sama.

– Aha.

– Varnas?

– Tak?

– Ona się kogoś boi?

– Każdy się kogoś boi.

– Nawet ty?

– Oczywiście.

– A Ina tego kupca, prawda?

Odchrząknął.

– Skąd wiesz?

– Też go przecież widziałam. Czy to był ktoś z jej znajomych?

– I tak, i nie – mruknął w odpowiedzi. – Ale na pewno ktoś, kto jej źle życzy.

– Kto mógłby źle życzyć Inie? – zdziwiła się.

Varnas milczał przez dłuższy czas, aż pomyślała, że zapomniał o jej pytaniu.

– Lepiej, żebyś się nie wtrącała w te sprawy – odparł wreszcie. – Może kiedyś, jak podrośniesz, Ina sama ci opowie.

Kiedy dotarli w końcu do miasta, niebo rozświetlały już gwiazdy. Wpuszczono ich przez bramę tylko dlatego, że Varnas należał do drużyny księcia i znał strażników. Zatrzymali się na trawiastym, osrebrzonym światłem księżycy podwórzu domu. Zmęczona dziewczynka z trudem dźwignęła ciężki kosz podany jej przez brata i ruszyła w stronę chaty. Varnas w tym czasie poszedł odprowadzić konia do stajni. Kiedy weszła do ciemnej, oświetlonej tylko nikłym blaskiem żarzącego się ognia izby, zauważyła siedzącą nieruchomo Inę, a naprzeciwko niej, przy samym wejściu kogoś, kto w tym świetle przypominał tylko ciemną bryłę.

– Widzę, że domownicy wrócili – odezwał się nieznajomy. – W takim razie nie będę już przeszkadzał...

Milda zeszywniała, natychmiast zdając sobie sprawę, kto ich odwiedził. Nie rozpoznała jego rysów, ale po prostu wiedziała, że to on. Jakby ciemną postać otaczała jakaś złowroga aura.

– A cóż to za ptaszyna? – spytał jowialnie mężczyzna, podniósłszy się z ławy. – Nie może być przecież twoją córką, Ino.

– Bo nie jest – odparła cicho bratowa Mildy.

– Varnas ma inną żonę?

– Nie wspominaliście, że już wychodzicie?

– O tak, rzeczywiście. Czas na mnie. Miło się gawędziło, ale na zewnątrz głucha noc, jak to się mówi.

– Kim jesteś? – Głos Varnasa zabrzmiał tak nieoczekiwanie, że Milda aż podskoczyła z przestachu. Nie słyszała, żeby brat wchodził. – I co robisz tak późno w moim domu?

Ina bez słowa dorzuciła drew do ognia i wewnątrz chaty rozjaśniło się blaskiem, w którym można już było rozróżnić rysy nieoczekiwanego gościa. Był to wysoki, chudy mężczyzna o surowej twarzy, długiej brodzie i przenikliwym spojrzeniu.

– Przepraszam, młodzieńcze. Jestem dawnym sąsiadem Iny. Rytis, syn Gedyminasa... Znam twoją piękną żonę od czasu, gdy była o taka. –

Zatrzymał otwartą, zwróconą ku ziemi dłoń na wysokości swoich bioder. – Zupełnie jak ta mała.

– Pytałem, co tu robicie tak późno, panie Rytis – przerwał mu zimno Varnas. – W dodatku pod nieobecność gospodarza, sam na sam z jego żoną.

– Rzeczywiście, nie powinienem, moja wina, ale tak się ucieszyłem ze spotkania z krajanką, że musiałem tu przyjść i się przywitać. Tym bardziej, że jutro z samego rana wracam do domu.

– Skoro już się przywitaliście, nie zatrzymuję. Szerokiej drogi!

Mężczyzna pochylił głowę, chcąc przejść przez niskie drzwi, ale nagle przystanął w pół kroku, jakby tknięty jakąś myślą, i odwrócił w stronę Varnasa. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Ale niebawem wracam. Jestem kupcem, handluję żelazem. Towar w sam raz dla księżęcej drużyny, nieprawdaż? Na pewno brakuje wam tanich ostrzy do oszczepów. Albo podków.

– Może tak, może nie.

– Nie bójcie się, nie zamierzam wam niczego sprzedawać. Przynajmniej dzisiaj. – Zmrużył oko.

– Nie jestem od zaopatrzenia.

– Rozumie się samo przez się. Waszym rzemiosłem jest walka. Bohaterska walka. Jak masz na imię, malutka? – Nieoczekiwanie wyciągnął dłoń i uszczypnął stojącą przy Varnasie Mildę w policzek. Odskoczyła spłoszona, a mężczyzna uśmiechnął się dobrodusznie.

– Strachliwa – powiedział.

– Żegnam. – Varnas niemal wypchnął go barkiem za próg.

– Niech bogowie mają w opiece wasze piękne domostwo – rzucił tamten na odchodnym i rozpląnął się w ciemnościach.

– Czego ten tutaj chciał? – spytał Varnas, gdy już umilkły kroki kupca. – Kiedy przyszedł?

Ina siedziała w kącie izby, poza blaskiem ognia, nieruchomo, jakby ktoś rzucił na nią urok. Zaciskała dłonie na podolku.

– Ogłuchłaś czy co? – podniósł głos.

– Nie krzycz.

– Zadałem ci pytanie.

- Nie przy dziecku.
- I tak już wystarczająco wiele usłyszała.
- Przyszedł przed zmierzchem. Nie wiem, czego chciał.
- Co mówił?
- Wypytywał, jak mi się wiedzie.
- Czyli?
- O to, co robię.
- Tylko to?

Pokiwała głową.

Varnas odpiął metalowy pas, powiesił go obok okna. Wciąż był w skórzanym pancerzu, spod którego wystawały tylko muskularne ramiona. Zaczął niespokojnie krążyć po pomieszczeniu.

– Wie o świątyni – wyszeptała Ina.

Zatrzymał się, przez chwilę zaciskając i rozluźniając pięści jak przed walką.

– Naturalnie, że wie – odparł już spokojnie. – Pochodzi z twoich stron. Wspominał coś o niej?

– Nie, ale mam wrażenie, że tylko się ze mną bawił. Wiedziała, że wcześniej czy później ktoś nas tutaj odnajdzie. To koniec...

– Przestań. – Varnas usiadł ciężko obok żony. – Coś wymyślę.

– Niby co? – Ukryła twarz w dłoniach.

– Jeszcze nie wiem. Ale nie pozwolę, by ten parszywy kundel zniszczył nam życie. Prędzej utopię go w rzece.

– Przestań!

– Klnę się na bogów.

Milda przypatrywała się temu wszystkiemu, stojąc nieruchomo przy ścianie. Bała się nawet pisnąć.

Czuła, że zło, które kiedyś przybrało postać niemieckiego rycerza, odnalazło ją w snach i powróciło w nowej postaci.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wyszehrad – Buda

Królowa Elżbieta stała przy wysokim oknie swej komnaty, patrząc w zamyśleniu na zamglone łąki, rozciągające się za murami zamku, kiedy oznajmiono jej, że przybył palatyn Garai.

– Miłościwa Pani... – Chudy mężczyzna skłonił się i pozostał ze spuszczoną głową, póki królowa nie odwróciła się do niego.

– Dziękuję, że tak szybko przybyliście, drogi przyjacielu. Pora jest bardzo wczesna – powiedziała.

Miała na sobie czarną suknię, a na głowie białą podwikę – chustę zasłaniającą szyję i boki twarzy. Nosiła żałobę bardziej na wzór włoski niż francuski i wyglądała teraz jak mniszka. Jej piękna niegdyś twarz wydawała się nieruchoma i blada niczym gipsowa maska.

– Moje najgłębsze kondolencje – wyszeptał palatyn. Miał około czterdziestu lat, był wysoki i lekko przygarbiony. Rzadkie włosy zaczesywał do tyłu, odsłaniając wysokie czoło. – I tak nie mogłem spać, pani.

– Podobnie jak ja.

– To dla nas wszystkich bolesne chwile.

– W istocie. Przeląłam morze łez.

– Wasz małżonek był świętym człowiekiem...

Bez słowa skinęła głową.

O tak. Król Ludwik mógł uchodzić za wzór chrześcijańskiego władcy. Pod koniec życia chciał nawet wstąpić do klasztoru. Tę religijność odziedziczył chyba po matce, surowej i twardej Łokietkównie. Zakładał klasztory, każdego ranka uczestniczył we mszy, wielką wagę przywiązywał również do świętych relikwii. W specjalnej szkatułce przechowywał drzazgi z Krzyża Pańskiego, skrawki szat apostołów, trzonowy ząb Jana

Chrzyciela. Potrafił wieść o te relikwie zacięte polityczne spory. Kiedy Wenecja, na mocy traktatu pokojowego, przesłała mu szczątki Pawła Eremity, wpadł w prawdziwy gniew, odkrywszy, iż święte ciało pozbawione jest głowy oraz trzech palców.

– Teraz odbiera zasłużoną nagrodę w niebieskich komnatach Boga – dodał Garai. – Może odpocząć od ziemskich udręk.

– Bez wątpienia – odparła królowa. – My natomiast, którzy pozostaliśmy na tym padole łez, niestety, nie możemy sobie pozwolić na odpoczynek. Nawet w czas żałoby.

Palatyn przytaknął.

– Dlatego też was wezwałam o tej wczesnej porze. Zanim jeszcze wrócimy do stolicy, chciałam omówić kilka spraw.

– Naturalnie. Wieloma już się nawet zająłem.

– Miło mi to słyszeć.

Na zewnątrz biły dzwony, a z korytarza i sąsiednich pomieszczeń dobiegały hałasy – to służba pakowała ostatnie kufry przed podróżą do Budy. Pierwsze wozy już wyjechały, królowa i jej córki miały opuścić zamek wyszehradzki w południe.

– Co do uroczystości pogrzebowych – rzekł palatyn – wszystkim zajmie się biskup. Posłałem do niego gońców. Poluje gdzieś tutaj w okolicy na kuropatwy. Powinien był już otrzymać wiadomość.

– Znakomicie. Doniesiono mi, że ciało króla jest już w drodze do Székesfehérvár. Pozostają jeszcze inne kwestie.

– Tak, Miłościwa Pani?

Podeszła do kredensu, na którym stała klepsydra. Podniosła ją delikatnie, wpatrzona w przesypany się piasek.

– Czy rada królewska zbierze się już jutro?

– Jutro? Szczerzę wątpię. Wielu jej członków jest teraz poza stolicą.

– Muszą powrócić jak najrychlej.

– To kwestia kilku dni.

Elżbieta westchnęła.

– Obawiam się, że niektórzy zapragną przedłużyć tę sytuację.

– W jakim celu?

– Nie wszyscy są nam przychylni. Wiecie o tym równie dobrze jak ja, przyjacielu.

W rzeczy samej, dla części możnych, a przede wszystkim rycerstwa, perspektywa kobiecych rządów nie była zbyt miła. Całkiem jawnie rozważano przekazanie władzy księciu Durazzo z Neapolu, temu samemu, który niedawno zabił diabolicę Joannę.

– Ta zwłoka nic nie zmienia, Miłościwa Pani. Muszą obwołać was regentką. Do czasu, aż nasza umiłowana Jadwiga...

– Wiem, wiem – przerwała mu niecierpliwie. – Nie musicie mi tłumaczyć. Mam na myśli to, że brak odpowiedniego aktu prawnego sprzyja zamieszaniu. Już nawet nie chodzi o mnie. Jak mają w takiej sytuacji funkcjonować sądy?

Palatyn wzruszył ramionami.

– Po staremu – rzekł. – To będzie tylko oficjalne potwierdzenie. Formalność. Regentką możecie się czuć już teraz.

– Rozmawiałam z prawnikami, nie byli aż tak optymistycznie nastawieni jak wy, palatynie.

– Na tym polega ich zawód, aby komplikować proste rzeczy. Nikt nie ośmieli się zakwestionować testamentu umiłowanego króla.

– Mówicie tak, jakby podobne rzeczy nie zdarzały się ciągle i wszędzie.

– Większość rady to wasi sojusznicy, pani. Ci ludzie kochali króla, kochają was i wasze córki. Wasz małżonek przed śmiercią rozmawiał z nimi wszystkimi. Wy i Jadwiga macie pełne wsparcie, gwarantuję to.

– Właśnie. Jadwiga. O niej też chciałam porozmawiać.

Garai odchrząknął.

– Wiem, że ciężko przeżywa śmierć ojca – rzekł ostrożnie, nie wiedząc, do czego zmierza Elżbieta.

– Tak, tak – odparła w roztargnieniu. – Jest jeszcze taka młoda. Właściwie to dziecko... – urwała.

Nie odpowiedział, spoglądając na nią wyczekująco. Wiedział, że królowa nie ma zbyt wielkiego doświadczenia w takich rozmowach, toteż nie zamierzał wybijać jej z rytmu.

– Chciałam najpierw porozmawiać z wami bez świadków – rzekła po chwili milczenia, wciąż przyglądając się klepsydrze. – Ufam waszej mądrości i dyskrecji.

– Wszystko tu powiedziane pozostanie między nami – odpowiedział ostrożnie.

– Wiem, że pora na takie dyskusje może wydawać się niestosowna. Dopiero dotarła do nas straszliwa wieść o śmierci mego małżonka, winniśmy teraz myślni być przy jego duszy i modlić się do Boga o jej zbawienie. To czas smutku i łez. Wszelako istnieją kwestie, które należałoby rozstrzygnąć już teraz, zanim zbierze się rada. Dla dobra królestwa.

– Czego dotyczą te kwestie?

– Spraw najistotniejszych, drogi palatynie. Zapytam was jak przyjaciela. Czy nie sądzicie, że tak długi okres regencji, jaki nas teraz czeka, może być niekorzystny dla Węgier?

– Co macie na myśli, pani?

– Jadwiga ma dopiero osiem lat.

Garai patrzył na nią przez chwilę.

– Przecież takie były postanowienia – odezwał się w końcu.

– Naturalnie. Wiem o tym. Nie spodziewaliśmy się jednak, że nasz król tak szybko odejdzie.

To akurat nie było prawdą. Ludwik chorował od wielu lat, w ostatnim czasie lekarze i astrologzy nie dawali mu już żadnej nadziei. Jego ciało pokrywały wrzody, niemal całkowicie wyłysiał i był chudy jak szkielet, a z powodu drętwienia mięśni rzadko podnosił się z łoża. Mówiono też, że jest już prawie ślepy. To dlatego pilnie chciał się widzieć z Wilhelmem i Jadwigą. Pragnął im udzielić ostatnich rad, zanim umrze. Nie zdążył.

– Chodzi mi o to, drogi przyjacielu, że Hedwig osiągnie wiek kobiecy dopiero za kilka lat. Wilhelm, który jest doprawdy słodkim chłopcem, ma już lat dwanaście, a więc...

– A więc obawiacie się, Najjaśniejsza Pani, że Habsburgowie zaczną tu robić nowe porządki?

– Otóż to. A konkretnie ojciec Wilhelma, stary Leopold.

– Ależ to było wiadome od razu.

– Teraz jednak będą mieli ośmioletnią dziewczynkę, która nie ma pojęcia o polityce. Bezwolną lalkę. I swojego chłopca, który zaraz stanie się mężczyzną.

– Wilhelm nie zostanie królem jeszcze przez kilka lat. Rządzić będziecie wy, Najjaśniejsza Pani. Jako regentka.

Prychnęła.

– Myślicie, że będą się ze mną liczyć? Rycerstwo nie zniesie tylu lat moich rządów. A Leopold to szczywany lis, będzie mieszał w głowach naszym baronom. Jakże okrutnie postąpił z własnym bratem, Albrechtem. Podstęp i perfidia nie są mu obce.

– Obawiam się, Najjaśniejsza Pani, że za późno na tego rodzaju refleksje. Układy są układami.

Królowa odłożyła wreszcie klepsydrę. Twarz Elżbiety wyrażała teraz zdecydowanie.

– I tu też zasięgnęłam porady prawników, palatynie. Może spoczniecie? – Wskazała skrzynię przykrytą brokatową narzutą.

Mężczyzna usiadł ciężko, strzeliło mu w stawach. Czuł, że czeka go trudna rozmowa z osobą, która postanowiła stworzyć niemałe zamieszanie już na początku swej regencji.

– Otóż w tych układach – zaczęła mu wyjaśniać – nie jest powiedziane, która z moich córek ma zasiąść na polskim tronie. Z początku miała to być Katarzyna, świeć Panie nad jej niewinną duszyczką. Ale sprawy się bardzo pokomplikowały. Wyzaczyliśmy Marię. Zgodzili się. Tyle że traktat wcale nie zmusza nas do tego rozwiązania. Równie dobrze możemy wysłać do Krakowa Jadwigę.

Palatyn przez jakiś czas milczał, rozważając te słowa. O tej porze nie potrafił zebrać myśli, zwłaszcza że królowa, co tu dużo kryć, bardzo go zaskoczyła. Chyba pierwszy raz w życiu.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Ale co by to miało nam dać? Luksemburgowie zamiast Habsburgów? Jeśli mam być szczerzy, to wcale nie jest dla nas słodsza wizja. W dodatku Austria jest bliżej niż Brandenburgia i wydaje mi się, że połączenie jej z Węgrami jest bardziej naturalne.

Elżbieta się skrzywiła.

– Dobrze wiecie, że to księstwko niewiele znaczy. Jeśli ktoś miałby skorzystać na takim układzie, to Habsburgowie, nie my.

– Wybaczcie, Miłościwa Pani, ale król Ludwik był innego zdania – zauważył nieśmiało Garai.

– Palatynie, król Ludwik przedwczoraj umarł. Według medyków przez ostatni rok choroba nie pozwalała mu na prawidłową ocenę sytuacji politycznej. Jan Radlica bardzo się z tego powodu niepokoił.

Tego rodzaju argumentów palatyn się nie spodziewał. Wyglądało na to, że nie tylko prawników radziła się Elżbieta, ale i głównego królewskiego medyka.

Królowa zaczęła powoli krążyć po komnacie, głowę miała lekko opuszczoną, dłonie splotła za plecami.

– Pomyślmy zatem. Maria ma już czternaście lat, jest prawie kobietą. Zna lepiej dwór węgierski, bo mieszka tu od urodzenia. Hedwig zaś wiele czasu spędziła w Wiedniu, u nas jest dopiero od czterech lat. Maria na pewno będzie miała dużo więcej do powiedzenia. Mam też z nią lepszy kontakt. A jej małżonek, dzielny Zygmunt, jest teraz w Polsce, tłumi rozruchy.

– No tak – odrzekł w zamyśleniu Garai. – Zanim wróci, pozostaje trochę czasu na opanowanie sytuacji.

– To właśnie mam na myśli. Na przygotowanie gruntu pod jej rządy. Zabezpieczenie naszych pozycji.

Palatyn powoli pokręcił głową. Nie podejrzewał Bośniaczki o taką polityczną zapobiegliwość. Przez całe życie tkwiła w cieniu męża i energicznej teściowej, która nigdy nie liczyła się z jej zdaniem. Choć wyglądała teraz jak przeorysza klasztoru, najwidoczniej wciąż buzowała w niej bałkańska krew ojca. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to myśl, że musiała snuć plany już od dawna. Skoro zdążyła rozmawiać z prawnikami i medykami króla, zaczęła działać jeszcze przed śmiercią Ludwika. W tajemnicy przed wszystkimi. Ciekawe, ile osób o tym wiedziało. I czemu wśród nich nie znajdował się on sam, formalny zastępca władcy?

– Zygmunt jednak i tak będzie musiał zostać królem – zauważył sceptycznie.

– Niekoniecznie – odparła królowa.

Teraz naprawdę się przestraszył. Czyżby Elżbieta oszalała i zamierzała postąpić w stylu Joanny? Czyżby chciała usunąć młodego Luksemburczyka? Sprawy toczyły się zdecydowanie za szybko.

– Nie róbcie takiej miny – rzekła Bośniaczka. – Nic się chłopcu nie stanie. Po prostu ogłosimy Marię nie królową, a królem Węgier.

Garai głośno wypuścił powietrze. Ta kobieta coraz bardziej go zadziwiała.

– Wtedy nie będzie już marionetką w rękach Luksemburgów. Będzie rządzić naprawdę.

– Zrazimy sobie wszystkich... – wyszeptał palatyn, choć wizja królowej zaczynała mu się podobać. Ba, nabierała coraz piękniejszych barw.

– I cóż z tego, że zrazimy? Luksemburgowie jakoś to przełkną, za bardzo im zależy na utrzymaniu z nami. A z Polakami załatwię sprawę sama.

Uśmiechnął się krzywo.

– Z nimi ciężko jest cokolwiek załatwić. Mają tam prawie wojnę domową. Nie dacie im Marii, pani, wybiorą sobie na króla jakiegoś miejscowego watażkę.

– Damy im zatem Hedwig.

– Mogą już stracić cierpliwość do tych roszad. Najpierw liczyli na królewskiego syna, potem ślubowali Marii...

– Gra warta ryzyka. Nie sądzicie?

– Przyznam, że mam w głowie mętlik. Ile osób wie o tych planach?

W myślach robił już przegląd wszelkich prawdopodobnych kandydatów: Kodály? Szabo? Benko? Bertok? To nawet by do nich pasowało, nigdy nie byli nazbyt lojalni wobec Ludwika. Zrozumiał też, dlaczego wcześniej go nie wtajemniczono: wszak był zaufanym człowiekiem króla, a to właśnie polityczny testament Ludwika zamierzano teraz unieważnić, zanim jeszcze monarcha spocznie w krypcie. Dopóki władca żył, palatyn Garai nie mógł się o niczym dowiedzieć. Był za stary na to, aby się dziwić czy chować urazę – tak właśnie robi się politykę, kto, jeśli nie on, mógł to wiedzieć lepiej?

– Kilka – odparła wymijająco królowa. – To ważne osoby i wszystkie przyznają mi rację w tej sprawie. Uważają, że będzie to najlepsze rozwiązanie dla naszych Węgier.

Czy dla Węgier, pomyślał ponuro palatyn, to się jeszcze okaże. Na razie wygląda to na najlepsze rozwiązanie dla Elżbiety Bośniaczki, która niespodziewanie poczuła smak władzy. Maria zapewne nie będzie marionetką Luksemburgów, ale za to stanie się nią w rękach matki, co do tego Garai nie miał żadnych wątpliwości. Mimo że była starsza od Jadwigi, wydawała się bardziej uległa i powolna z nich dwóch.

Pytanie tylko, czy Elżbieta udźwignie wszystko. Nie miała żadnego doświadczenia, a trafi między niemieckie, polskie i węgierskie wilki.

– Czy mógłbym to wszystko jeszcze przemyśleć? – zapytał, pocierając obolałe kolana i podnosząc się ze skrzyni.

– Obawiam się, że nie ma już czasu na przemyślenia.

Teraz to on zaczął spacerować po komnacie, kiwając głową i mrużąc coś do siebie. W końcu przystanął i rzekł:

– Podejrzewam, Najjaśniejsza Pani, że moim zadaniem będzie przekonać tych nieprzekonanych, zanim jeszcze zbierze się królewska rada? – zapytał wreszcie.

Po raz pierwszy tego poranka Elżbieta pozwoliła sobie na nikły uśmiech i znów wydała mu się piękna.

– Zaiste czytacie w moich myślach, palatynie.

Trzy godziny później Elżbieta siedziała już w trzęsącym się powozie zmierzającym w kierunku Budy. Pogoda była iście jesienna, o dach i ścianki pojazdu uderzały krople deszczu, mocno wiało. Co roku o tej porze dwór opuszczał wyszehradzki zamek, który służył głównie za królewską letnią rezydencję. Tym razem jednak wyjeżdżano w pośpiechu, śmierć Ludwika nie pozwalała na beczynność.

Okienka powozu były zasłonięte, wewnątrz panował półmrok. Królowa podróżowała tylko w towarzystwie milczącego kapitana straży przybocznej, który miał na sobie kolczugę i hełm z podniesioną przyłbicą, przez co wyglądał nienaturalnie w ciasnym, obitym ałasem pudle. Mogła nareszcie spokojnie pomyśleć, nienękana ciągłymi kondolencjami, wizytami zatroskanych dworzan i duchownych. Do stolicy nie było daleko – zaledwie kilka godzin drogi – w sam raz, aby poukładać sobie w głowie pewne rzeczy.

A więc gra się rozpoczęła. Kości zostały rzucone. Teraz do udziału w rozgrywce zaprosiła samego palatyna, którego opinii najbardziej się lękała. Czuła lekkie oszołomienie na myśl o tym, że przyszło jej decydować o tak poważnych sprawach. Strach mieszał się z czymś w rodzaju podniecenia. Oddech miała płytki, serce biło jej mocno. Co innego planować, kiedy wszystko pozostaje w sferze wyobraźni, co innego przejąć stery w swoje ręce, gdy każdy fałszywy krok może oznaczać polityczną katastrofę.

Teraz wreszcie rozumiała, co musiał odczuwać Ludwik, gdy przez dziesięciolecia podejmował ważne decyzje, wypowiadał wojny i zawierał traktaty, decydujące o układzie sił w tej części świata. No tak, ale on szykowany był na władcę od dzieciństwa. A ona? Córka Stefana Kotromanicia, bana Bośni, zawsze tutaj obca, od początku przeznaczona

była tylko do rodzenia dzieci. W młodości słynęła z urody i była to chyba jedyna zaleta, jaką w niej dostrzegano. Wiadomo: piękne lico oznacza dla ludzi słaby umysł. Teściowa patrzyła na nią jak na jedną z bałkańskich dwórek, może zazdrosna o syna, a może po prostu zdając sobie sprawę, jaką rolę ma odgrywać bośniackie dziewczę. Ślub z Ludwikiem Elżbieta wzięła w wieku czternastu lat, a więc była niewiele starsza niż dzisiaj jej córka Maria. Czuła się wiecznie zalękniona, zagubiona, tęskniła za domem. Miała nadzieję, że fakt, iż zarówno w niej, jak i w Elżbiecie Starszej płynie krew polskich Piastów, zbliży je jakoś do siebie. Myliła się jednak. Teściowa była dla niej zawsze oschła, a kiedy się okazało, że królewska małżonka nie potrafi dać Ludwikowi męskiego potomka, tamta zupełnie się od niej odwróciła.

Na wspomnienie świekry Bośniaczka wciąż odczuwała niechęć i strach. Przygarbiona, surowa, pod koniec życia nazywana przez zagranicznych wrogów Królową Kikutą z powodu odrąbanych przez Zacha palców. Religijna aż do dewocji, a zarazem twarda w kwestiach politycznych, nie obawiała się nawet ostrych sporów z Ojcem Świętym, którego nieraz strofowała. Urodzona władczyńi. Gdyby teraz była na miejscu synowej, zapewne też wzięłaby szybko sprawy w swoje ręce, nie pozwoliłaby Luksemburgom ani Habsburgom zbyt obrosnąć w piórka. Ta myśl przekonała czterdziestodwuletnią wdowę po Ludwiku, że postępuje słusznie. Nie może stać się bezwolną figurą w rozgrywce, jaka właśnie się zaczyna.

Tak więc postanowione. Jadwiga nie zasiądzie na węgierskim tronie. Była pupilką zarówno Elżbiety Łokietkówny, jak i ojca, lecz ci zeszli już z politycznej sceny.

A wkroczyła na nią ona – córka walecznego Stefana Kotromanicia, Elżbieta Bośniaczka.

Najważniejsza osoba w państwie.

Może nie była już tak piękna jak niegdyś, ale pozbyła się lęku.

Podczas gdy powóz królowej był dopiero w połowie drogi do stolicy, pojazd, którym podróżowała Amalia wraz z czterema innymi dwórkami, powoli zbliżał się do bram miasta. Jechały głównym traktem, w gęstym

deszczu, mijając pola uprawne i pastwiska, grupki chłopów, a także czekających na jałmużnę żebraków. Nastrój w pojeździe panował poważny, choć wynikało to raczej z obyczaju niż rzeczywistych uczuć dziewcząt. Były za młode, aby rozpaczać nadmiernie z powodu śmierci króla, którego widywały bardzo rzadko i tylko z daleka, gdyż należały przecież do dworu królowej Jadwigi. Dlatego też szeptały do siebie, a nawet uśmiechały się nieśmiało, wskazując sobie wzajemnie różne rzeczy za oknem. Tylko Amalia była posępna. Po pierwsze, żal jej było Hedwig, która niemal rozchorowała się na wieść o śmierci ojca. Po wtóre zaś, wciąż rozmyślała o tym, co usłyszała na korytarzu podczas uczt. Wyrzucała sobie, że nie ostrzegła Jadwigi przed knowaniami tamtych. Może teraz było już za późno? Jeśli ci dwoje mówili prawdę, dojdzie teraz do strasznego oszustwa. Do kradzieży korony.

– Spójrzcie na niego! – Siedząca przy okienku Ilona wskazała palcem na półnagiego, kudłatego brodacza, który, nie zważając na deszcz, wymachiwał przy drodze wielkim drewnianym krzyżem.

– Nie patrzcie mu w oczy, bo rzuci na was urok – ostrzegła je Lenka.

– Wygląda jak Żyd. – Ilona szybko odwróciła wzrok.

– Głupia. Żydzi nienawidzą krzyża – mruknęła Amalia, spojrzawszy ukradkiem na mężczyznę. – W dodatku król wygnał ich z Węgier.

– Nie wszystkich – rzekła Lenka. – Tych, co zrozumieli błędy swojej wiary, nie wyrzucił.

– To i tak nie Żyd – odparła niezrażona Amalia. – To jakiś... – zabrakło jej słowa. – Prorok.

– Tacy mówią o końcu świata – stwierdziła siedząca do tej pory cicho Aldona, rozdrapując na przedramieniu rankę po ugryzieniu komara. – Może przewidział, że król umrze, i już od dawna tu stoi.

– Nie trzeba przewidywać, że ktoś umrze, bo wszyscy umierają. – Amalia popatrzyła na dziewczynkę z politowaniem. – Nie drap, bo będzie bardziej swędzieć.

– Wszyscy oprócz Jezusa.

– On też umarł. Tylko potem ożył.

– Zmartwychwstał.

– To jest to samo.

Powóz podskoczył na jakimś wyboju i dwórki zderzyły się kolanami.

- Teraz włożą koronę Jadwidze – powiedziała Lenka, kiedy przestało huścić. – Będziemy dużo ważniejsze.
 - Jeszcze nie teraz – odparła Amalia.
 - Ale już niedługo.
 - Albo i nie.
- Spojrzały na nią wszystkie z zakłopotanymi uśmiechami.
- Polityka – skwitowała krótko dziewczynka i z mądrą miną odwróciła twarz ku oknu. Widać już było za nim mury i wieże kościołów Budy.

Kiedy przybyły na zamek, deszcz przestał padać, ale i tak panował ponury nastrój. Nie tylko z powodu żałoby – w porównaniu z siedzibą w Wyszehradzie ten gmach wydawał się ciasny i surowy, pozbawiony życia. We wszystkich kościołach miasta biły dzwony, z zamkowej kaplicy dobiegały żałobne śpiewy. Przy tych dźwiękach służba rozpakowała wozy, w milczeniu, bez zwykłych pokrzykiwań, śmiechów i przekleństw. Wszyscy zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, wiedziano, że nastał czas wielkich zmian. Król Ludwik panował przez czterdzieści lat, tak więc wraz z jego śmiercią kończyła się cała epoka. Przygotowywano się na nowe porządki. Żaden urzędnik ani zwykły stajenny nie mógł być pewien swojej przyszłości, zwłaszcza jeśli należał do otoczenia zmarłego władcy. Wiadomo było, że na dwór przybędzie teraz wielu nowych ludzi, zwłaszcza z Austrii, a ci sprowadzą ze sobą własną służbę. Dlatego też wszędzie wyczuwało się wielkie napięcie.

Amalia nie mogła sobie znaleźć miejsca. Kiedy w komnatach przeznaczonych dla dwórek ustawiano na nowo skrzynie i rozwijano kobierce, ona krążyła po zamkowych krużgankach i korytarzach, unikając kontaktu z innymi dziewczętami. Nie miała ochoty na płocze rozmowy. Wciąż nie opuszczało jej niejasne poczucie winy z powodu sekretu, którego nie wyjawiała Jadwidze.

Czy w ten sposób w jakimś sensie jej nie zdradziła?

– Co się tak kręcisz? – Aż podskoczyła, wyrwana z zamyślenia przez ostry głos pani Csaksy, która nieoczekiwanie wyrosła przed nią na zakręcie korytarza. – Nie masz żadnych zajęć?

Że też na tę kobietę natrafić można było wszędzie, niezależnie, w jakim kierunku się skręciło! Jakby istniało kilkanaście pań Csaksy porozstawianych niczym wartownicy we wszystkich częściach zamku.

– Nie chcę przeszkadzać – wybąkała dziewczynka.

– Pomyślałby kto.

– I jest mi smutno z powodu śmierci króla.

Cioteczka spojrzała na nią bacznie, mrużąc oczy.

– Inne dziewczęta też są smutne, a pomagają wypakowywać rzeczy. Próżniactwo jest zaproszeniem dla płochych myśli.

– Moje myśli dotyczą teraz śmierci – odparła z poważną miną Amalia.

– Przestań się ze mną drażnić. Jesteś za młoda i za głupia na takie refleksje. Przeprosiłaś już kucharkę?

– Naturalnie – skłamała gładko.

Zupełnie wyleciało jej to z głowy. Czy cioteczka nie ma ludzkich uczuć? Umarł król Ludwik, a ona wciąż wracała do tej głupiej kobiety, którą wystraszył bezpański kot.

– I jej rodzinę?

– Tak.

– Dobrze. Ale nie myśl, że tym samym sprawa skończona. Królowa w swoim czasie dowie się o twoim postępkach. Teraz nie pora na zawracanie głowy dostojnej pani, mimo to nie zapomnę w przyszłości powiedzieć jej, jaka z ciebie dwórka.

– Odpokutuję ten grzech.

– Och, nie mam co do tego wątpliwości. A teraz wracaj do wszystkich. Albo poczekaj... – zawahała się. – Jeśli już wykręciłaś się od pomocy dziewczętom, postaraj się przynajmniej pocieszyć Hedwig.

– A gdzie ona jest? – Amalii mocniej zabiło serce.

– Siedzi w ogrodzie.

Nic nie powiedziała, ukloniła się tylko i natychmiast ruszyła w kierunku skrzydła zamku, gdzie znajdowało się wyjście do niewielkiego ogrodu. To była niepowtarzalna okazja. Mogła się uwolnić od Csaksy, a także znaleźć się wreszcie sam na sam z Jadwigą. I pozbyć się ciężaru, który od trzech dni leżał jej na sercu. Zbiegła po drewnianych schodach, przemknęła przez dziedziniec, minęła jedną, potem drugą bramę, skręciła w lewo i znalazła się pośród błyszczącej od deszczu zieleni. Od razu ujrzała królową siedzącą na kamiennej ławce w zadaszonyj części ogrodu, nad stawem

z karpiami. Była sama i podobnie jak matka ubrana na czarno. Jej opiekunka stała kilkanaście kroków dalej, gawędząc z brzuchatym ogrodnikiem. Amalia ruszyła zwirowaną alejką, przecięła poletka, obramowane starannie przyciętymi żywopłotami, i podeszła do królowny.

– Amalia? – Jadwiga podniosła na nią spojrzenie. Była blada, miała podkrążone oczy. – Co tutaj robisz?

– Przyszłam z ostrzeżeniem – wypaliła bez żadnych wstępów.

– Z jakim ostrzeżeniem? O czym ty mówisz?

– O zdradzie.

Królowna poruszyła się na ławce, marszcząc czoło.

– Czy to znowu jakiś głupi żart? – spytała poważnie.

– Nie, to najprawdziwsza prawda – odparła szeptem Amalia, siadając obok.

I opowiedziała Jadwidze o wszystkim.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wilno

Obcy jadą! – krzyknął ktoś od strony straganów z rybami i od razu na targu się zakotłowało. – Proporce mają!

Kobiety odwróciły się w kierunku wschodniej bramy, a towarzyszące im podczas zakupów dzieci ruszyły pędem do barierki odgradzającej targ od traktu. Milda była zbyt ułożona i lękliwa, by rzucić się wraz z nimi, pozostała więc przy Inie, choć także była niezmiernie ciekawa gości. Może to Tatarzy na swoich małych, kudłatych konikach?

– Zbrojni!

– Nie! Poselstwo jakieś!

– Polacy!

– Niemcy!

Przekupnie wyszli ze swoich kramów, mrużąc oczy od wrześniego słońca. Z ziemi podnieśli się wróżbiarze, odgadujący przyszłe losy z grochu i kurzych kostek, długowłosi gęślarze odłożyli instrumenty. Nawet udający kulawego dziad jakby nagle ozdrowiał i wyprostował się dyskretnie.

– Uważaj na jajka – ostrzegła Mildę Ina. – Zaraz nam je porozbijają. Rycerzy nie widzieli czy co?

Żona Varnasa nie trzymała przy domu kur, gdyż mieszkali blisko lasu i wszelkie próby hodowli drobiu niweczyły ataki kun i lisów. W końcu młoda kobieta musiała po prostu zrezygnować i kupowała jajka na targu. Teraz właśnie Milda niosła niemal pełen ich kosz. Przytuliła go do siebie, osłaniając przed przepychającymi się ludźmi niczym matka trzymane przy piersi niemowlę.

Coraz więcej osób wykrzykiwało:

– Do kniazia jadą!

– Ależ konie mają! Niemieckie!

Jednakże pierwszy ukazał się nie żaden Niemiec, lecz jeździec litewski z drużyny Jagiełły. Wzniesając tumany kurzu, wpadł na plac, po czym ściągnął konia.

– Miejsce robić! – krzyknął gromko. – Poselstwo do zamku!

Był w skórzanym pancerzu z naszytymi prostokątnymi blaszkami i w wysokim hełmie w kształcie stożka. Na plecach nosił przywiązaną okrągłą tarczę oraz łuk, a przy siodle kołczan wypełniony strzałami. W pierwszej chwili Milda pomyślała, że może to jej brat, ale nie – ten był starszy i miał twardszy, nawykły do wydawania komend głos.

W ślad za jeźdźcem na targ wpadli piesi pacholki i zaczęli przeganiać pałkami kręcące się przy drodze świnię. Rozległy się śmiechy, bo zwierzęta nie kwapiły się do odejścia w krzaki.

– Za nic mają posłów! – krzyknął wesoło mężczyzna handlujący bursztynowymi wisiorami.

– I dobrze – odpowiedział ktoś. – Pluć na nich, Niemców, kurwich synów.

Ponad głowami gapiów Ina dostrzegła trzepoczące na wietrze białe proporce i naraz dotarło do niej, jaki widok za chwilę ukaże się Mildzie, więc przestraszona chciała odciągnąć dziewczynkę na bok. Za późno. Niemal skamieniała, gdy oczom zgromadzonych ukazali się pierwsi wysłannicy Zakonu.

Jechali powoli i majestatycznie, na olbrzymich koniach, nakryci długimi białymi płaszczami z czarnymi krzyżami. Mieli obce, surowe rysy i zdawali się nie dostrzegać niczego wokół. Dwóch z nich wymieniało jakieś uwagi, poważnie kiwając głowami. Zapanowała cisza, słychać było tylko parskanie koni oraz pobrzękiwanie uprzęży.

Milda poczuła nagle, że ręce jej cierpną i miękną kolana. Coś boleśnie zakłuło ją w serce, oddech stał się szybki oraz płytki. Spoconymi dłońmi mocniej ścisnęła kabłąk kosza z jajkami.

– Milda, idziemy stąd – rzekła Ina, patrząc na pobladłą dziewczynkę.

Ale ta jakby jej nie słyszała. Zakręciło jej się w głowie, zaczęła się w popłochu wycofywać, tyłem, wciąż kurczowo ściskając kosz. Zanim Ina zdążyła ją przytrzymać, dziewczynka potknęła się o leżący na ziemi dyszel od wozu i wpadła do porośniętego pokrzywami rowu.

– Dobrze, że to tylko to. – Bratowa grubo owijała jej kostkę liśćmi z kapusty. – Mogłaś sobie skrócić kark.

Milda siedziała przy palenisku, Ina klęczała przy jej nodze. Na zewnątrz słońce chyliło się już ku zachodowi.

– Przepraszam za te jajka – wybąkała dziewczynka.

– Stało się – odparła tamta. – Ja powinnam była je nieść.

– Varnas będzie zły.

– Myślę, że ma większe zmartwienia. Nie ruszaj się.

– Boli.

– A jak tutaj dotknę?

– Też.

– Już spuchło. Przez jakiś czas będziesz musiała siedzieć w domu.

– Myślałam, że to ten morderca, co zabił...

– Wiem. Niepotrzebnie pozwoliłam ci na nich patrzeć.

Tak, Ina była zła na siebie, że nie zareagowała w porę. Varnas na pewno okazałby więcej zdecydowania. A ona stała jak zaczarowana, gdy dostrzegła ów złowrogi orszak. Nic dziwnego, że Krzyżacy wzbudzili taki lęk w biednej dziewczusce, zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszła. Zwichnięta kostka to nic, teraz powrócą złe sny, a Milda stanie się jeszcze bardziej lękliwa. Trzeba przygotować dla niej jakieś zioła na uspokojenie.

– Dlaczego oni tu przyjechali? – spytała dziewczynka.

– Nie wiem. Jeśli do księcia, wieczorem brat ci wszystko wyjaśni.

Varnas wrócił późno, kiedy odmówiły już modlitwę do Gabety, Królowej Jesionu i Ognia. W milczeniu wysłuchał relacji Iny, ze współczuciem spojrzął na leżącą przy ogniu siostrę.

Powiedział, że Niemcy przyjechali do Wilna ustalić datę spotkania Jagiełły z Mistrzem Krzyżackim, jakie ma się odbyć niebawem, na jednej z wysp Dubissy. Będą tam omawiali warunki rozejmu. Z jednej strony to dobrze, bo ustaną napady i nic nie zakłóci handlu z Rygą, a z drugiej – niepokojono się, ponieważ ludzie szepczą, że jednym z warunków porozumienia jest to, iż Litwa ma w ciągu kilku lat przyjąć niemiecką wiarę.

– Porzucić swoich bogów? – zdumiała się Ina.

– A czemu nie? – odparł, odrywając kawałek chleba. – Od dawna się na to zanoszą. Każdy kraj już tę wiarę zachodnią wyznaje. Większość bojarów też by chciała, tylko nie mają odwagi się przyznać. Mówi się po cichu, że to wzmocni Litwę, bo nasi bogowie albo osłabli, albo dokądś się przenieśli. Że idzie nowe. Popatrz na zamek książęcy, jest tam już cerkiew, w której modli się matka Jagiełły. Nikomu to nie przeszkadza.

Ina powoli pokręciła głową.

– Kapłani nie pozwolą – stwierdziła.

– Nic tu nie mają do gadania. To zgraja darmozjadów. Lud klepie biedę, a oni zawsze mają pełne brzuchy. Wtrącają się do wszystkiego, aby zyskać jak najwięcej przywilejów. Do handlu, do wojowania. Zresztą ty chyba najlepiej wiesz, jacy to ludzie.

– Tak, ale...

– Ale?

– Bogowie nas ukarzą...

– Mówią, że niemiecki bóg mocniejszy jest i wszystkich innych pokonuje.

– Też tak myślisz?

Sięgnął po kubek z piwem.

– Co ja myślę, to mało ważne. Te rzeczy nie są na mój rozum. Wiem, że jest w świecie coś większego niż ja czy nawet książęta, jakaś siła, która wszystkiemu przewodzi. Ale się nad tym za bardzo nie zastanawiam.

Ina słuchała go w zadumie. Już dawno zauważyła, że jej mąż nie za bardzo wierzy w święte węże ani duchy opiekuńcze, a wszystkie rytuały odprawia tylko z nawyku. Kiedyś, gdy podczas nocnej burzy leżeli wtuleni w siebie pod żubrzą skórą, śmiał się z piorunów: „Tylko głupie baby z lasu mogą w nich dostrzegać jakiegoś powietrznego kniazia Niebios”, uznał.

Ją zaś nauczono wierzyć święcie we wszystko. Odrzucenie tego byłoby jakby wyrzeczeniem się samej siebie. Z drugiej strony...

– Varnasie?

– Tak.

Nagle poczuła dziwny przypływ nadziei.

– Tak sobie myślę – zaczęła cicho – że gdyby rzeczywiście miało dojść do tego, o czym mówisz, to... to nasz występki nie byłby już tak wielki, prawda?

Spojrzał na nią uważnie.

– Chyba tak – odrzekł po chwili zastanowienia. – Wszystko, co dawne i kapłańskie, przestałoby się liczyć.

– Właśnie.

Potańczał palcami skronie, znów zasępiony.

– Daleko jeszcze do tego, o ile w ogóle coś podobnego nastąpi. Nie wiem, czy mamy tyle czasu.

– Gdybyśmy tylko załatwili rzecz z tym człowiekiem, moglibyśmy później spać spokojnie. Nie musielibyśmy się ukrywać do końca życia.

– Zobaczymy, jak się to wszystko potoczy – odparł z westchnieniem Varnas. – Tylko przypadkiem nie mów nikomu o tych układach z Niemcami.

Ina skinęła głową, myślami będąc już gdzie indziej.

Podczas gdy jej mąż spał jak kamień, Ina wierciła się na pościeli, nie mogąc zmrużyć oka. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że noce stały się dla niej długie, a jeśli nawet udawało jej się zapaść w krótki sen, nękały ją wtedy tak męczące obrazy, iż natychmiast budziła się cała zlaną potem, tłumiąc krzyk.

Zza cienkiej ścianki dzielącej chatę na dwie części słyszała teraz odgłosy przewracającej się z boku na bok Mildy. Postanowiła do niej pójść. Biedne dziecko musi wciąż odczuwać strach po tym, co niedawno ujrzało, a co więcej, małej na pewno dokuczał ból. Ina wyplątała się spod muskularnego ramienia Varnasa i uniosła na pościeli, naga, z rozpuszczonymi włosami. Po omacku sięgnęła po koszulę, włożyła ją przez głowę. Najciszej, jak mogła, by nie obudzić męża, prześlizgnęła się do tej części chaty, gdzie leżała Milda.

– Nie śpisz? – spytała szeptem, usiadłszy obok jej siennika.

– Nie – wymruczała sennie dziewczynka.

– Boli?

– Już nie tak bardzo.

– Opowiedzieć ci bajkę?

– Proszę.

– Dobrze. Ale to będzie smutna bajka.

Mała uniosła się na łokciu.

– Nie szkodzi.

– No to słuchaj. – Ina usadowiła się wygodniej i nabrała tchu. – Przed laty żył sobie ubogi kupiec, który nie miał synów, tylko trzy córki. Dwie starsze wydał za mąż, ale wiedział, że dla najmłodszej nie zgromadzi już posagu. W dodatku dziewczynka była chorowita.

– Na co chorowała? – zaciekała się Milda.

– Nieważne. Słuchaj. Kiedy dziewczynce upłynął siódmy rok, ojciec wezwał ją do siebie i odezwał się w te słowa: „Ukochana córko, jesteś taka mądra i dobra, że żal mi będzie ciebie oddawać za mąż jakiemuś hultajowi, który by cię bił. Nie mam też pieniędzy na posag dla ciebie, aby cię poślubił ktoś lepszy – popatrz tylko, jaki jestem biedny. Zamyśliłem więc posłać cię do przybytku świętych dziewic, na służbę bogom, aby byli dla mnie bardziej przychylni”. Dziewczynka skromnie spuściła oczy i odpowiedziała: „Jesteście moim ojcem. Róbcie ze mną, co chcecie”. Następnego dnia o wschodzie słońca kupiec zaprowadził córkę do gaju, gdzie stała świątynia i zarzył się święty ogień. Były tam drzewa obsypane pięknymi owocami, a na łące pasły się złotogrzywe konie o sierści błyszczącej jak jedwab.

– Mogła na nich jeździć?

– Nie mogła. Nie przerywaj. Najstarsza kapłanka o imieniu Danuta ubrała dziewczynkę w białą szatę i rzekła: „Będiesz się teraz uczyć przez lat siedem, a kiedy ten czas minie, staniesz się jedną z nas”.

Ina przerwała, po czym podjęła na nowo:

– Upłynęło siedem lat. Dziewczynka nauczyła się wszystkiego: leczenia chorych, składania ofiar, wrózenia z lotu ptaków i mowy zwierząt.

– Mowy zwierząt? – powtórzyła sceptycznie Milda.

– Wiedziała, kiedy coś im dolega.

– Aha.

– I choć z tęsknoty za rodzinnym domem często roniła łzy, bez szemrania wykonywała wszystkie polecenia. Stała się jedną z kapłanek i pozwolono jej pilnować świętego ognia. „A pamiętaj, żeby nigdy nie zgasł – upominała ją Danuta. – Bo wtedy biada nam wszystkim”. Dziewczynka pilnowała więc płomieni, a o dawnym świecie prawie zapomniała.

Lecz zdarzyło się, że pewnej księżycowej nocy do świątyni zajechał młody woj o długich, czarnych jak u kruka włosach. Zabłądził w okolicznych nieprzebytych lasach i szukał drogi do stolicy. Ujrawszy

dziewczynę siedzącą przed świątynią, w której palił się święty ogień, rzekł: „Zgubiłem drogę, bogom poślubiona dziewico, i nie wiem, jak wrócić do Wilna”. Złękła się przybysza, bo od siedmiu lat nie widziała nikogo obcego. „Nie wolno wam tu przebywać, szlachetny wojowniku – upomniała go. – To święte miejsce. Jeśliby cię zobaczyła najstarsza kapłanka, oboje bylibyśmy zgubieni”. „Wskaż mi tylko drogę, a niezwłocznie odjadę” – gorąco zapewnił ją młodzieniec. Objąśniała mu wszystko, a on, zgodnie z obietnicą, opuścił święte miejsce.

Jednak kiedy tylko rozpląnął się w ciemnościach, pojawiła się Danuta. „Z kim rozmawiałaś?” – spytała. „Był tu młody woj, który zabłądził w lesie i szukał drogi do Wilna” – odrzekła dziewczyna. Wtedy kapłanka przeraziła się. „Nieszczęsna – jęknęła. – Nie wiesz, że nie wolno nam rozmawiać z obcymi? Za to, że złamałaś zakaz, będziesz teraz mieszkać w leśnym szałasie, aby się oczyścić, a żadnej, ale to żadnej z kapłanek nie wolno cię będzie odwiedzać”. I dziewczyna musiała przenieść się do głuszy, gdzie za jedyne towarzystwo miała leśne ptaki. Żle i smutno jej było na takim wygnaniu.

Któregoś dnia siedziała przed szałasem, a tu na siwym koniu nadjeżdżał ten sam woj o kruczonych włosach. „Dowiedziałem się, jaki los cię przeze mnie spotkał – ozwał się, nie schodząc z wierzchowca. – I zrobiło mi się ciębie żal. Pojedź ze mną do Wilna, bo nadchodzi zima i nie przeżyjesz w tej puszczy”. Dziewczyna odpowiedziała smutno: „Dziękuję, szlachetny wojowniku, za twą troskę, ale nie mogę złamać ślubów, bo sprowadziłabym na mnie i na ciebie okrutny gniew bogów”. „Nie jesteś już kapłanką, skoro cię wygnano – odrzekł młodzieniec. – Nie możesz żyć sama, za jedyne towarzystwo mając tylko leśne ptaki. Uczynię cię swoją żoną i będę się tobą opiekował”.

Dziewczyna na to tylko pokręciła głową i...

Ina usłyszała, że Milda cicho pochrapuje. Uśmiechnęła się smutno w ciemnościach i starannie przykryła ją baranią skórą.

Zakończenie bajki już chyba znasz, pomyślała.

Następnego dnia Varnas wstał przed świtem i szybko udał się z powrotem na zamek, gdzie po wczorajszej uczcie miano przystąpić do dalszych

rozmów litewsko-krzyżackich. Ostatni czas był niespokojny, nie minął jeszcze miesiąc od chwili, gdy Jagiełło odbił Wilno – ten wilczy gród – z rąk swego stryja, osiemdziesięcioletniego Kiejstuta. Varnas uczestniczył w pojmaniu wojowniczego starca, którego odwieziono potem w łańcuchach do zamku w Krewie, gdzie więzień powiesił się po czterech dniach siedzenia w ciemnym lochu. Aby pokonać Kiejstuta, chytry Jagiełło musiał posunąć się do rodzinnej zdrady, a także sprzymierzyć z Zakonem. Wielu patrzyło na to krzywo, pamiętając, jak wiele młody książę zawdzięczał staremu, szanowanemu przez wszystkich stryjowi. Ale taki był właśnie Jogaiła; przebiegły i bezwzględny, nie wahał się przed paktowaniem ze śmiertelnym wrogiem Litwy. Słuchał wyłącznie matki, Rusinki, księżniczki twerskiej, która modliła się do greckiego boga, nie szanując starych wierzeń. To podobno ona stała za ostatnimi decyzjami wileńskiego księcia.

Zwolennicy Jagiełły uważali jednak, że tylko on może uratować Litwę przed zagrażającymi jej ze wszystkich stron wrogami: od północy czyhali Krzyżacy, od wschodu Moskwa, od zachodu Polska, a od południa tatarska Orda. Powiadali, że bardziej jest politykiem niż należący do starego pokolenia, odrzucający wszystko, co obce, Kiejstut. Litwa potrzebuje nowych rządów – mówiono – inaczej zostanie rozszarpana na strzępy przez wszystkie otaczające ją wilki. Dlatego wybaczone księciu sprawę z Kiejstutem i Krzyżakami – przecież zrobił to wszystko dla dobra kraju.

Gdy Varnas wychodził, Ina nie spała. Podniosła się godzinę później. Przyszykowała dla siebie i Mildy śniadanie, po czym obudziła dziewczynkę.

– Jak stopa? – spytała.

– Chyba lepiej.

– To dobrze. Jeśli chcesz, możesz cały dzień leżeć. Ale gdyby ci się nudziło, są warzywa do obrania.

– Dobrze – odparła Milda schrypniętym od snu głosem.

– Trzeba by też oczyścić kocioł z sadzy.

– Mhm.

– Ja idę na targ. Bo jakaś niezdara rozbiła wczoraj jajka.

Na twarzy dziewczynki pojawił się zawstydzony uśmiech.

– Gdybyś miała jakieś kłopoty, wołaj sąsiadów. Stary Kukis będzie dzisiaj cały dzień naprawiał płot. Obiecał mieć na ciebie oko.

– Sama dam radę. Nie jestem dzieckiem – odparła tamta, ziewnąwszy szeroko.

– Wiem. Ale mówię ci to na wszelki wypadek.

Kiedy Ina wyszła, Milda zwlokła się z posłania i z trudem pokuśtykała na podwórze, żeby się wysikać. Słońce świeciło jasno, ale w powietrzu czuć już było jesienny chłód. Pachniały dojrzałe jabłka, wokoło unosiły się niskie dymy z palonych liści. Załatwiła swoją potrzebę, usiadła na pieńku przy wejściu do domu i przez jakiś czas myślała o historii, jaką opowiedziała jej nocą Ina. Za nic nie chciałaby być taką kapłanką, doszła do wniosku, obserwując mrówki, które kręciły się wokół jej stóp. Nawet gdyby w świątyni były złotogrzywe konie. Wołałaby wyjść za męża. Za kogoś bogatego. Mieliby dużo zwierząt, a najwięcej psów. Zza sadu dobiegało do niej podśpiewywanie starego Kukisa, gdzieś z oddali dochodził odgłos młotka. Szkoda, że nie może teraz pójść nad rzekę albo do lasu. Z tą głupią kostką będzie musiała całymi dniami siedzieć w domu. Postanowiła od razu zabrać się do obierania jarzyn, żeby nie siedzieć tak beczynnie.

Przyniosła z chaty wiklinowy kosz z burakami i już miała usiąść z powrotem na pieńku, gdy usłyszała trzask gałęzi na ścieżce prowadzącej do jej chaty. Zadrzała, uważnie wpatrując się w zarośla. Któż to mógł być? Ina nie wracałaby tak wcześnie. Kukis wciąż śpiewał, pracując za jabłoniemi.

Kupiec, pomyślała z nagłą pewnością. To musi być on.

Lękliwie cofnęła się w kierunku chaty, ale przybysz już się wynurzył spośród liści.

– A, dzień dobry, rybko – rzekł z uśmiechem.

To rzeczywiście był on. Ubrany w płaszcz z drogiej tkaniny, w wysokiej czapie, wyglądał jak jeden z tych bojarów, których wożono powozami w kierunku zamku. Twarz miał zaczerwienioną, oczy chytre.

– Sama jesteś?

Potwierdziła bez słowa.

– Varnas pewnie u księcia? Szkoda, bo mam do niego sprawę.

– A wy nie mieliście wyjechać? – wydusiła z siebie wreszcie.

– A co? – Mężczyzna zmrużył oko. – Tak macie mnie dość? Mówią coś o mnie?

Przysiadł tuż obok niej, na małej beczce.

– Zmieniłem plany – rzekł z przeciągłym westchnieniem, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Za dużo mam tutaj do załatwienia. Choćby interes z twoim bratem. Nie bój się mnie, nie gryzę.

– Nie wolno mi rozmawiać z obcymi.

Uderzył się dłonią w kolano.

– I bardzo słusznie. Ale ja prawie jak rodzina. Z tych samych stron, co Ina. Powiedz mi, dobrze ci tutaj?

– Dobrze.

– Nie biją cię po tej ślicznej, twardej pupie?

– Nie. Czemu mieliby mnie bić?

– Mnie ojciec lał zdrowo. – Odsłonił drobne, pożółkłe zęby w wilczym uśmiechu. – Raz nawet myślał, że mnie zabił. Ale dzięki temu jestem teraz silniejszy, nie dam sobie w kaszę dmuchać.

– Bicie dziecka to żadna sztuka – odparła. – Tak jak psa.

– Co racja, to racja. Ale Varnasowi musi być ciężko cię karmić, bo – rozejrzał się – niebogato tu ma, jeśli mam być szczery. Chata licha, strzecha się zapada, zwierząt niewiele. Mało gospodarny ten twój brat, prawda?

Odwróciła się w kierunku sadu, mając nadzieję, że może Kukis usłyszy obcy głos i przyjdzie sprawdzić, kto przyszedł. Ale staruszek wciąż podśpiewywał.

– Popatrz – odezwał się obcy, wyjmując dłoń z kieszeni płaszcza. Uniósł ją na wysokość oczu dziewczynki, zgiął nadgarstek, schował palce, później na powrót je wyprostował i nagle ujrzała między nimi srebrną monetę.

– Ładna sztuczka?

Nie odpowiedziała.

– Chcesz pieniążka? Może być twój.

– Nie potrzebuję – odparła. – Muszę obrać jarzyny.

– Mądre dziecko – stwierdził, sapiąc. – Choć w gruncie rzeczy duża już z ciebie dziewczyna. Dorodna, gdzie trzeba. Niedługo do ślubu trzeba będzie iść, mam rację?

– Wcale nie.

Najwyraźniej nie zamierzał odchodzić, bo rozsiadł się wygodniej, rozstawiając szeroko kolana. Wciąż pilnie przyglądał się wszystkiemu

wokół jak wężący pies.

– To twoje zabawki? – Wskazał głową na słomiane lalki i drewniane zwierzątka przy wiadrze.

– Moje. A co?

– Ładne. Ale moja córka to dopiero ma cudeńka. Nie uwierzyłybyś, jakie zmyślne. Zawsze jej coś przywożę, jak wracam z podróży. Ostatnio w Kijowie kupiłem jej cały malowany domek z otwieranymi drzwiczkami i okienkami.

– Naprawdę? – zainteresowała się wbrew swojej woli. O takich domkach jeszcze nie słyszała.

– Ano tak. Gdybyś była moją córką, też bym ci taki sprawił.

– Ale nie jestem – oprzytomniała szybko.

– A szkoda. Miałabyś u mnie lepiej.

Teraz już się nie rozglądał, tylko patrzył wprost na nią. Ubrana była jedynie w cieką prześwitującą koszulę, przez co czuła się, jakby zupełnie nic na sobie nie miała. Jego wzrok, nieruchomy jak u gada, sprawiał, iż miała ochotę zarzucić coś na siebie, ale jakoś nie potrafiła ruszyć się z miejsca. Rozumiała już, dlaczego Ina tak się boi tego mężczyzny. W jego obecności odczuwało się coś zimnego i złego, jakby to był Kusiciel albo leśny demon.

Ogarnął ją wstręt.

– Tu mi dobrze. – Znów spojrzała nerwowo w kierunku gospodarstwa Kukisa. Pragnęła, by ten nieprzyjemny człowiek wreszcie sobie poszedł.

– Może byś chciała do mnie na służbę, co? – Wciąż przyglądał jej się natarczywie. – Kochałbym cię jak córkę, a kto wie, może nawet i bardziej.

– Muszę pomagać Inie przy chorych.

Roześmiał się ochryple.

– Och, z pewnością. Ale Ina sobie poradzi, nie bój się, rybko. Podejdz tu do mnie, nie bój się. Lubię dzieci.

– Mam spuchniętą kostkę – jęknęła. – Nie mogę.

– Pomogę ci – zaczął się ciężko podnosić.

– Nie trzeba.

– Usiądziesz sobie wygodnie na moich kolanach, ślicznotko. Pokuśtam cię trochę, zobaczysz, jakie to miłe. No, bądź grzeczna, bo powiem Varnasowi, że nie szanujesz starszych.

– Zawołam sąsiada, żebyście sobie porozmawiali – odparła zdesperowana. – Jest tutaj obok. Ma siekiere.

Twarz mu się zmieniła, spojrzenie miał rozbiegane.

– Nie, nie trzeba – rzucił szybko. – Szkoda mi czasu na pogaduszki z twoim sąsiadem. Będę już szedł.

Otrzeptał płaszcz, pogładził brodę i wyprostował się powoli.

– Pozdrów swoich, malutka. Bądź grzeczna, pracowita i pamiętaj o szacunku wobec bogów. – Pokiwał palcem. – I wobec starszych.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Buda

Ciało zmarłego króla Ludwika znajdowało się już w drodze do Székesfehérvár, gdzie zgodnie z tradycją miało zostać pochowane w Bazylice Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. W całym królestwie panowała żałoba, biły dzwony, odprawiano msze za duszę władcy, ludzie z niepokojem spoglądali w przyszłość. Wielka dynastia Andegawenów nie doczekała się męskiego spadkobiercy, co dla wielu oznaczało koniec świetności Węgier, do niedawna jeszcze najbogatszego państwa chrześcijańskiej Europy. Coraz częściej wspominało się o komecie, która pojawiła się na niebie niedługo przed śmiercią króla, i nadawano temu niebiańskiemu zjawisku coraz bardziej złowróżbne znaczenie. Nie tylko dla prostego ludu, ale i dla duchowieństwa stanowiło to widomy znak, iż nadchodzą trudne czasy.

Kto wie, może i dni ostatnie.

Na dworze w Budzie nie było jednak czasu na rozmyślenia o tajemniczych znakach na niebie ani podobnych przesądach. Elżbieta energicznie formowała stronnictwo, dzięki któremu chciała jak najszybciej osadzić na węgierskim tronie starszą córkę Marię. Na razie zamiary te zachowywano w najgłębszej tajemnicy przed poddanymi, aby nie drażnić nieprzychylnych regentce możnowładców, a przede wszystkim Habsburgów, których przedstawiciele wraz z księciem Wilhelmem jak na złość przebywali teraz w stolicy. Sprawa była niezwykle delikatna i wymagała precyzyjnych działań. Co więcej, w umyśle Elżbiety dojrzewały nowe pomysły. Wbrew woli zmarłego małżonka, który bardzo był przychylny Niemcom, szukała sposobu, by odsunąć Zygmunta Luksemburskiego od rządów. Wraz z palatynem szykowała już poselstwa do Francji oraz Neapolu, w poszukiwaniu nowego kandydata do ręki córki.

Tak więc pod osłoną żałoby w owe wrześnie dni toczyła się na zamku królewskim twarda polityczna walka.

Dwórki Jadwigi i Marii, podobnie jak wszyscy w Budzie, nosiły się na czarno i większość czasu spędzały w kaplicy lub u ojca Alberta, który najlepiej, jak umiał, starał się wytłumaczyć dziewczętom sens śmierci monarchy.

– Otóż przebywa teraz nasz umiłowany król w niebie planety Jowisz, w dolinie sprawiedliwych władców – przekonywał pewnego deszczowego popołudnia w komnacie, gdzie zwykle uczyły się o żywotach świętych. W kominku huczał ogień, a duchowny, jak zawsze, siedział na trójnogim taborecie z dłońmi splecionymi na brzuchu, ze zmrużonymi oczami, zdając się drzemać. – Musicie pamiętać, drogie dzieci, iż każde niebo ma swoje sklepienie, wewnątrz którego poruszają się gwiazdy i planety. Niebo Jowisza sąsiaduje z niebem Marsa, gdzie zamieszkują dusze rycerzy walczących o Grób Pański w Jerozolimie, oraz z niebem Saturna, siedzibą zmarłych teologów i ojców Kościoła.

– Czy spotkał tam aniołów? – spytała Amalia, która przycupnęła przy samym duchownym.

– Naturalnie, że tak. Jednakowoż nie wyobrażaj sobie, dziecino, tych bytów jako ludzi ze skrzydłami.

– A jak?

– Już Dionizos Areopagita dowodził, iż Pismo posługuje się takimi obrazami na użytek prostaczków. Prawdziwi aniołowie to gwiazdy, płomienie, ogniste koła i krzyże. Tworzą świetliste korowody w odwiecznym niebiańskim tańcu.

Poglądy ojca Alberta zawsze były oryginalne, więcej czerpał z potępianych przez papieży poetów Italii niżli z oficjalnych nauk Kościoła, dzięki temu jednak dziewczęta słuchały go z wielkim zainteresowaniem. Często zbaczał z tematu, roztrzásając kwestie plam na księżycu czy też języka, jakim posługiwali się w edeńskim ogrodzie Adam i Ewa.

– Bo raj to przede wszystkim światło – ciągnął ojciec Albert. – Kiedy dusza do niego wchodzi, jest tak, jakby z mrocznej, zatechłej szopy wyszła na rozświetloną, wiosenną łąkę. Z początku blask oślepia, oczy muszą

przyzwyczaić się do niego. A potem dusza dostrzega już wszystkie szczegóły. Albowiem światło to także wiedza. W momencie przekroczenia bram boskiego państwa dusza pojmuje wszystko, co było dla niej niejasne podczas krótkiego ziemskiego żywota, kiedy rozpraszały ją zwierzęce namiętności. Mówiąc najkrócej, boskie dziecię powraca z wygnania do domu.

– Ale Joanna z Neapolu trafiła do piekła? – upewniła się Aldona.

Dziewczynki zwykle wołały służyć o torturach szykowanych przez diabelskich oprawców dla grzeszników.

– Tak. Ona nie doznała Łaski.

– I co teraz musi tam przechodzić, w tym piekle?

Duchowny westchnął przeciągle.

– Umarło w niej wszystko, co ludzkie – odrzekł tym samym beznamiętnym tonem, jakim opowiadał o niebiańskim świetle. – Jej nogi zrosły się w ogon, a skórę pokryła gadzia łuska.

Rozległo się ogólne dziewczęce westchnienie.

– Jak każda rozpustnica znajduje się pośród okropnej burzy, smagana wichrami gorącymi jak żar ognia. Ale to nie koniec jej udręki, gdyż diabelskie straże przyszykowały też dla niej jezioro wrzącej krwi, w którym – jak wszyscy gwałtownicy – będzie musiała się kąpać.

– Na pewno żałuje swoich zbrodni – westchnęła Aldona.

– Za późno na skruchę, oddzieliła się bowiem od Boga. Uciekła od Światła. A co więcej...

Amalia uważniej nastawiła uszu, lecz w tym właśnie momencie do komnaty wkroczyła pani Csaksy.

– Przepraszam, czcigodny ojczy, że przeszkadzam – rzekła. – Ale muszę zabrać ze sobą Amalię. Ktoś ważny chce z nią rozmawiać.

Ojciec Albert beznamiętnie skinął łysą głową w geście przyzwolenia, a dziewczynce zrobiło się naraz gorąco. Dobrze wiedziała, z jakiego powodu została wezwana. I nie chodziło wcale o kucharkę czy cygańską kłótnię.

Kiedy tamtego dnia w zamkowym ogrodzie zdradziła Jadwidze straszny sekret, ku jej zaskoczeniu królowna zareagowała lekceważącym uśmiechem. Powiedziała, że Amalia albo zmyśla, albo coś źle usłyszała. Nie chciała w ogóle o tym rozmawiać, jakby rozdrażniona podobnym

pomysłem. „Polityka to poważna sprawa – rzekła tylko tonem doświadczonej władczyni. – Nie powinnaś się tym zajmować, Amalio”.

Po tych słowach dziewczynka poczuła się dziwnie: z jednej strony była zmieszana i zawstydzona, może nawet odrobinę zła, z drugiej natomiast – trochę jej ulżyło, iż sama Jadwiga nie traktuje tej sprawy poważnie. Więc może nie była to aż tak straszna zdrada, skoro królowna tylko wzrusza ramionami, zamiast wzywać strażę? Może niepotrzebne były te wszystkie niepokoje i czarne proroctwa?

Lecz teraz już tak nie myślała. Odprowadzana zaciekawionymi spojrzeciami innych dziewcząt, na sztywnych nogach wyszła z komnaty, w przekonaniu, że Hedwig podzieliła się jej informacjami z królową. Co najgorsze, sama pani Csaksy wyglądała na przestraszoną, a przestraszyć tę kobietę doprawdy nie było łatwo. Nie odzywała się do Amalii przez całą drogę prowadzącą chłodnymi korytarzami do części zamku, gdzie znajdowały się komnaty królowej Elżbiety. Uzbrojeni strażnicy dziwnie patrzyli na dziewczynkę eskortowaną przez ochmistrzynię niczym skazaniec prowadzony na przesłuchanie i tortury. Amalia chciała zapytać, dokąd właściwie idą, ale bała się, że każdym wypowiedzianym słowem pogorszy tylko swoją sytuację. Bo o tym, że jest już ona zła, była całkowicie przekonana. Nic nowego. Chciała dobrze, a wyszło jak zawsze.

Wreszcie dotarły na sam koniec korytarza we wschodnim skrzydle zamku, do małego pomieszczenia strzeżonego przez dwóch zbrojnych w kolczugach, z halabardami, które były wyższe od nich.

W środku, na krześle z wysokim oparciem, zwrócony twarzą do okna, siedział szczupły, siwy mężczyzna w czarnej szacie. Na kolanach trzymał małego, białego pieska, przypominającego kupkę puchu. Uśmiechnięta mordka spoglądała przyjaźnie na gościa.

– Jesteście – powiedział cicho, nie odwracając w ich kierunku głowy. – To dobrze. Czy moglibyście, dostojna pani Csaksy, zostawić nas teraz samych z Amalią?

Ochmistrzyni tylko dygnęła i szybko wyszła.

Amalia stanęła pośrodku pomieszczenia, na kamiennej posadzce, bojąc się nawet rozejrzeć wokół.

– Nie lękaj się, dziecko. – Mężczyzna wreszcie odwrócił się ku niej. Miał pociągłą twarz z dwiema pionowymi bruzdami na policzkach. Sprawiał

wrażenie przyjaznego. – Chciałbym ci zadać kilka pytań. A potem będziesz mogła powrócić do swoich przyjaciółek.

Powoli skinęła głową, przełykając ślinę.

– Jesteś prawdomówna, mam rację? – Pogłaskał psa po karku.

– Tak.

– Nigdy nie kłamiesz?

– Nigdy – skłamała właśnie w tej chwili.

– To dobrze. Kłamstwo jest grzechem. I może sprowadzić na człowieka nieszczęście. Ale to nie twój przypadek, jak widzę. Jesteś grzeczną i prawdomówną dziewczynką, więc szybko załatwimy, co mamy do załatwienia, a ty będziesz wolna. Chcesz pogłaskać pieska?

Podeszła nieśmiało i podrapała białą kulkę za uszami. Zwierzak oblizał jej dłoń.

– To bichon frise, taka rasa. I ma na imię Karol. Dziwne imię jak dla psa. Ale to córka tak go nazwała. Prawda, Karolku? – Z uśmiechem nachylił się ku zwierzakowi. – Popatrz, jaka ładna dziewczynka. Prawie jak twoja Zofia. No dobrze. – Spoważniał nagle. – Opowiedz mi teraz, Amalio, o tym, co słyszałaś podczas uczyty po przyjeździe księcia Wilhelma. Bardzo zaciekały mnie te informacje, które przekazałaś naszej umiłowanej Jadwidze.

A więc jednak. Hedwig ją wydała.

– Ja... Ja się chyba wtedy przesłyszałam.

– Przesłyszałaś się...

– Po prostu źle zrozumiałam słowa.

– W takim razie powiedz mi, co źle zrozumiałaś.

Odchrząknęła.

– Zdawało mi się, że mowa jest o tym...

– No dalej.

– Żeby Jadwiga nie była królową Węgier.

– Tak powiedzieli ci ludzie?

– Tak mi się przesłyszało.

– Aha. A rozmawiali po węgiersku czy po niemiecku?

– Po niemiecku.

– Jesteś pewna?

Przytaknęła energicznie głową.

– Jak zgaduję, bardzo dobrze znasz niemiecki. Mieszkałaś w Wiedniu. Chyba nie mogłaś źle zrozumieć?

– Mówili cicho.

– No dobrze. – Postawił psa na posadzce, a ten natychmiast zaczął biegać po komnacie, obwąchując sprzęty. – Nie widziałaś ich twarzy?

– Nie. Byli ukryci w korytarzu.

– Taka mądra dziewczynka jak ty na pewno poznała po głosach, czy byli to młodzi ludzie, prawda?

– Młodzi.

– Jesteś pewna? To bardzo ważne.

– Jestem pewna – oświadczyła.

– Poznałabyś je?

– Nie wiem.

– Z nikim ci się nie kojarzyły?

– Chyba nie.

– Teraz opowiedz mi jeszcze raz, co powiedzieli. Słowo w słowo.

Powtórzyła swoją relację, a on słuchał, powoli kiwając głową. Kiedy skończyła, przesunął palcami po skroniach, jakby zdejmował z twarzy niewidoczną pajęczynę.

– Wierzę ci, Amalio. Podśluchałaś zdrajców i kłamców. Bardzo dobrze, że poinformowałaś o tym królową. Mam jeszcze tylko jedno pytanie: czy mówiłaś o tym komuś innemu?

– Nie. Nie mówiłam. Bałam się.

– I słusznie. Bo to bardzo poważna sprawa.

Piesek z groźnym warczeniem zaczął szarpać zębami frędzle jakiegoś gobelinu. Dziewczynka przyglądała mu się kątem oka.

– Mam więc prośbę, Amalio – ciągnął mężczyzna. – Dalej nikomu o tym nie wspominaj. Gdyby ci się coś przypomniało, poproś o rozmowę ze mną. Dobrze?

– Dobrze.

– No to ja już nie mam więcej pytań do ciebie. Dziękuję, możesz iść.

Ukloniła się i wyszła na korytarz.

– I co? – spytała szeptem Csaksy, spoglądając na dziewczynkę z mieszaniną ciekawości i strachu.

– Zadawał pytania.

– Krzyczał na ciebie?

– Nie.

– Ten człowiek oślepił niedawno szlachcica podejrzanego o sprzyjanie Wenecji. To Miodrag. Cała Buda drży przed nim ze strachu. Nazywają go Bałkańskim Rzeźnikiem.

– Naprawdę? – wyszeptała Amalia. – Był miły. Ma ślicznego pieska.

– Modliłam się za ciebie, ty mały diable.

– Modliła się cioteczka za mnie?

– O tak. Do Matki Boskiej, najświętszej z niewiast. – Tamta się przeżegnała. – Aby ci żadnej krzywdy nie zrobił. Słusznie postąpiłaś, że doniosłaś Jadwidze o tych gadach. Trzeba być lojalnym.

Chyba pierwszy raz w życiu pani Csaksy przyznała, że Amalia postąpiła słusznie.

Przez resztę dnia dziewczyna czuła się niezmiernie dumna i miała wrażenie, jakby z serca spadł jej olbrzymi kamień. To, co zapowiadało się tak źle, przyniosło jej zrozumienie i pochwały dorosłych. We własnych oczach wydawała się ważna i dzielna. Koniec końców to Jadwiga okazała się dziecinna, lekceważąc jej słowa. Najważniejsze jednak, że wszystko się wyjaśniło. Miodrag, który zadawał jej pytania, powiedział przecież jasno, że Amalia podsłuchiwała zdrajców i kłamców. Właśnie: kłamców. Wszystko to było kłamstwem.

Jej dobry nastrój trwał jednak tylko do następnego dnia. Niedługo po śniadaniu, gdy wraz z kilkoma dziewczętami haftowała w sali z oknami wychodzącymi na mokry ogród, jak zawsze pod czujnym okiem ochmistrzyni, usłyszały na korytarzu podniecone głosy. Pani Csaksy zmarszczyła brwi, po czym podniosła się ciężko z wyściełanego atłasem taboretu, zarzuciła na ramiona pelerynkę i wyszła z sali, nakazując dziewczętom spokój. Nie było jej przez dłuższą chwilę, podczas której dwórki przestały haftować, starając się podsłuchać, o czym się tam rozmawia. Już wtedy Amalia poczuła pierwsze ukłucie niepokoju.

– Może to Hedwig jest chora? – zasugerowała Aldona. – Prawdę mówiąc, nie widziałam jej od wczoraj.

– Ja też – odparła dwunastoletnia Klara. – A jaka blada była po śmierci ukochanego króla...

– Czy to kometa go zabiła? – spytała jasnowłosa Maria.

– Zabiły go jady ukryte we krwi – stanowczo oświadczyła Amalia. – Tak twierdzą biegli w sztuce lekarskiej.

– Mówili ci to? – prychnęła Aldona.

– Głupia jesteś.

Zarzewie sprzeczki ugasiło wejście pani Csaksy. Była blada, usta miała zaciśnięte w wąską kreskę.

– Moje panny – powiedziała uroczyście, stanąwszy na środku pomieszczenia. – Dostyc na dziś haftowania. Musimy rozpocząć przygotowania do wielkiego święta. Jutro, jak już wiecie, odbędzie się pogrzeb króla. Ale przekazano mi też, że pojutrze czeka nas koronacja młodej królowej.

Dziewczyny rozpromieniły się i zaczęły gorączkowo szeptać między sobą.

– Cisza! – przerwała im ostro przełożona. – Rada postanowiła dzisiaj, że koronę węgierską włoży nasza umiłowana Maria.

Wszystkie uśmiechy naraz zgasły, zastąpiły je nerwowe, niedowierzające spojrzenia. Wiedziały, iż pani Csaksy jest ostatnią osobą, która pozwoliłaby sobie na taki żart, jednakże patrzyły na nią, nie wiedząc, czy mają się teraz roześmiać, czy nie. Tylko Amalia nie miała żadnych wątpliwości. Stało się. Jadwiga została zdradzona.

Wszystkie one należały do otoczenia Hedwig, a nie Marii, a więc decyzja Rady dotykała je osobiście. Oznaczała jedno: nie będą dwórkami królowej Węgier, na co czekały od dnia, w którym dowiedziały się o śmierci Ludwika. Wygrały te zadzierające nosa starsze dziewczyny ze świty Marii.

Dopiero teraz wszczął się gwar.

Ochmistrzyni z trudem uciszyła je ruchem ręki.

– Mam wam przekazać, iż przy podjęciu decyzji Rada Królewska kierowała się najrozumniejszymi przesłankami i najszczerzą chęcią uczynienia tego, co dla królestwa jest teraz najkorzystniejsze – wyrecytowała pani Csaksy ponurym tonem, cała czerwona od tłumionego gniewu. – To miałam wam powiedzieć i to wam powiedziałam. A teraz

pochowajcie swoje przybory i przebierzcie się w najlepsze suknie. Aldona, ty masz zrobić porządek z tymi włosami. Upnij je jakoś. Za godzinę spotykamy się w sali błękitnej. Przyjdzie do was starsza królowa i palatyn. Macie zachować się, jak należy, żadnych smutnych ani nadąsanych min. Żadnych pytań ani komentarzy. Przepelnia was teraz szczęście, nawet nie ważcie się o tym zapomnieć. Zwłaszcza ty, Amalio.

Niemal natychmiast rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do dwóch wielkich uroczystości. Pośpiech, z jakim wyznaczono datę koronacji na dzień po pogrzebie króla, sprawił, iż wszystko toczyło się w niezwykłym tempie. W głowie Amalii cały ten okres zlał się w jeden obraz, pełen zamieszania i skrajnych emocji. Zaledwie ciało Ludwika Wielkiego spoczęło w kaplicy, zaczęło się coś w rodzaju festynu. Na ulicach Budy rozłożono barwne kobierce, ze wszystkich stron świata zjeżdżali goście oraz liczący na łatwy zarobek kupcy. Zabijano setki wołów, baranów, gęsi i kur, sprowadzano do miasta beczki ze śledziami oraz rakami, sery, wino i garnce musztardy. Dwórki stroiły się i uczyły, jak mają się zachować zarówno podczas uroczystości pogrzebowych, jak i w trakcie koronowania Marii. Nieustannie biły dzwony, aż uszy bolały od tego hałasu. Nie było czasu na myślenie, bo wciąż miało się coś do roboty. Dziewczęta musiały pomagać w kuchni i podczas dekoracji sal, przystrajając dziedziniec girlandami kwiatów.

Sama uroczystość koronacyjna była niemiłosiernie długa i nudna, a dla dwórek Jadwigi mało radosna. Tego dnia padało, ludzie w rozświetlonej tysiącami świec katedrze byli przemoczeni, czuło się zapach mokrych ubrań i panował tak niesamowity ścisk, że zza pleców dorosłych trudno w ogóle było ujrzeć wynoszoną na tron Marię. Potem nastąpiła uczta, tańce i śpiewy, które tylko pogłębiały smutek Amalii.

Przez kilka dni po koronacji Jadwiga prawie w ogóle się nie pokazywała wśród dziewcząt. Jak zawsze w takich sytuacjach krążyły najrozmaitsze plotki: niby to pakowała się, aby wyjechać na stałe do Wiednia i tam zostać rakuską księżną, niby – co było już mniej prawdopodobne – zamierzała pójść do klasztoru i przygotowywać się do życia mniszki. Mówiono też, że najdalej zimą ma opuścić Budę i w zastępstwie Marii udać się do Polski.

Dwórki Jadwigi żyły w niepewności co do swych przyszłych losów, a pani Csaksy okupiła całe to zamieszanie chorobą.

Wszystkie te pogłoski okazały się nieprawdziwe. Królowa nie wybierała się na razie ani do Wiednia, ani do Krakowa, ani tym bardziej do klasztornej celi. Jej przyszłość była jeszcze jedną wielką niewiadomą, podobno królowa regentka wciąż szukała najlepszego dla Węgier rozwiązania.

Amalii udało się spotkać Hedwig dopiero w ostatnich dniach września, nad sztucznym stawem przy południowym murze zamku, w miejscu odosobnionym, gdzie niedoszła władczyni szczególnie lubiła przebywać. Teraz stała nad wodą, na grubym kobiercu z opadłych złotobrazowych liści, w towarzystwie opiekunki. Na ramionach miała podbitą gronostajem pelerynkę, na głowie skromną chustę. Nie wyglądała już jak królowa, lecz jak dziecko, jedna z dwórek, jakby zdrada matki nagle pozbawiła ją całego otaczającego królownę do tej pory nimbu. Amalia przyszła akurat nakarmić karpie – też lubiła ten staw osłonięty klonami, oddalony od krzątającej służby. Na widok Hedwig stanęła, niepewna, czy powinna zakłócać jej spokój. Jednak tamta już ją zauważyła i natychmiast przywołała dyskretnym gestem ręki.

– Też przyszłaś nakarmić rybki? – spytała, gdy dziewczynka podeszła bliżej.

Amalia przytaknęła, choć nie nazwałaby rybkami pływających tutaj stworów.

– Ogrodnik za dużo pije i często o nich zapomina – stwierdziła Jadwiga. – Te liście z wody też mógłby wyłowić.

– Jest już stary.

– Ale ma syna do pomocy. Nie ciebie powinni posyłać.

Amalia pociągnęła nosem, była lekko przeziębiona po ociekającej deszczem koronacji.

– I tak lubię tu przychodzić.

– Tak. To miłe miejsce.

Przez chwilę milczały, Amalia sypała do stawu okruchy chleba.

– Słuchaj – odezwała się wreszcie Jadwiga. – Przepraszam, że cię wtedy wyśmiałam. Powinam była...

– Nic nie szkodzi.

– Ty jedna okazałaś się moją prawdziwą przyjaciółką.

– Żadna z dziewcząt nie wiedziała.

– Bo są głupie. To dzieci. Ty zawsze umiesz coś podsłuchać.

Był to raczej dwuznaczny komplement, ale Amalii nie pozostało nic innego, jak przyjąć go za dobrą monetę.

– Wszystkim nam jest przykro z powodu tej decyzji – rzekła.

– Przykro? – Jadwiga spojrzała na nią zaskoczona.

– No... a nie powinno?

– Królowa matka uczyniła to dla dobra Węgier. I dla mojego. Wszystko mi wytłumaczyła.

Och, z pewnością, pomyślała dziewczynka, lecz rozsądnie nie skomentowała.

– Maria jest prawie dorosła. Matka chce, abym ja mogła jeszcze nacieszyć się dzieciństwem. Potem – mówi – i tak zostanę królową.

– Będą dwie królowe?

– Głupia. Królową Polski.

Królowa Polski. No tak, krążyły takie pogłoski. Amalia bezwiednie zmarszczyła nos, jak zawsze, kiedy nad czymś intensywnie myślała. Tym razem jednak proces ten nie zaowocował niczym więcej niż stwierdzeniem:

– Tam jest bardzo zimno, prawda?

– Och nie. Prawie jak u nas. Może tylko zimy są trochę bardziej srogie.

– Ojciec Albert mówi, że tam trwa jakaś wojna domowa, jest dużo zbójców. No i mówią niezrozumiałym językiem. Znam tylko jedno polskie słowo.

– Jakie?

– Strzecha.

Wypowiedziała je w taki sposób, że wyszedł z tego jakiś nieartykułowany odgłos, czym wywołała uśmiech na twarzy Jadwigi.

– Co ono oznacza?

– Chyba dach.

– Okropnie trudne.

– No.

– Ale szybko się nauczę – powiedziała spokojnie Jadwiga. – Moja babka była przecież Polką.

– Naprawdę?

– Nie wiedziałaś? W każdym razie matka chce dla mnie jak najlepiej. Tak jak twoja dla ciebie.

Amalia zmarszczyła brwi.

– Moja? – spytała po chwili ciszy.

– Masz przecież matkę – odparła niepewnie Jadwiga. – Nie powinnaś teraz już do niej jechać? Nie pakujesz się?

– Jak to? Nikt mi o niczym nie mówił.

Miała matkę, ale nigdy jej nie widziała, ponieważ po śmierci ojca Amalii rodzicielka odsunęła się od świata, aby wieść życie mniszki w klasztorze klarysek. Podobno nie tylko z wielkiej pobożności, powiadano, iż strata męża zaraz po narodzinach ich dziecka poważnie zaszkodziła jej nerwom i umysłowi. To dlatego Amalia trafiła na dwór w Budzie.

– Nie mówiono ci? – Jadwiga się zmieszała. – Och, może to dlatego, że cioteczka Csakys leży chora. Twoja matka bardzo chce cię zobaczyć, tak słyszałam wśród urzędników królowej. Przypilnuję, aby dzisiaj ci to przekazali, bo pewnie zapomnieli. Tyle się teraz dzieje.

Amalia nie odpowiedziała, zaskoczona i przepełniona sprzecznymi uczuciami. Przez całe lata trudno jej było się oswoić z myślą, że w ogóle ma jakąś matkę. Prawie nigdy nie wspomniano przy niej o tej obcej, ponoć szalonej kobiecie, zamkniętej w klasztornych murach. Jej jedyną rodziną były dziewczęta z dworu, Jadwiga i surowa ochmistrzyni. Tak więc nie wiedziała teraz, jak zareagować – cieszyć się czy martwić.

Może chcą pozbyć się jej z dworu? Czyżby miała teraz zamieszkać z matką w ponurym klasztorze?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wilno

Na błotnistym dziedzińcu wileńskiego zamku trwały właśnie przygotowania do wielkich łowów.

Była to ulubiona rozrywka młodego kniazia Jagiełły, który w odróżnieniu od ojca znacznie bardziej wolał polować, niż wyprawiać się po łupy na Polaków czy Tatarów. Stolica, otoczona lasami, mająca już w samej nazwie ukryte imię wilka, powstała na terenie dawnego obozowiska myśliwych, była więc wymarzoną bazą dla polujących na grubego zwierza.

Tymi łowami, mającymi, jeśli pogoda dozwoli, potrwać przynajmniej dziesięć dni, książę chciał uczcić ostatnie pertraktacje z Zakonem oraz wrześnie zwycięstwo nad stryjem Kiejstutem i odzyskanie swojego miasta. Udział w nich zapowiedziała nawet jego czcigodna matka, Julianna, niekryjąca radości z powodu śmierci „starego diabła”, jak nazywała Kiejstuta. Tak więc od samego świtu krzątano się wokół koni, dopinano popręgi, czyszczono uprzęż, ładowano wozy, a sokolnicy żywo rozmawiali między sobą, zachwalając myśliwskie zdolności swych drapieżnych ptaków o przykrytych teraz skórzanymi kapturami głowach. Głosy ludzkie mieszały się z ujadaniem podnieconych całym tym zgiełkiem psów myśliwskich.

Krótko mówiąc, jak zwykle w takich sytuacjach panowało ogólne zamieszanie.

Tylko Varnas beznamiętnie obserwował tę krzątanicę ze swojego stanowiska nad główną bramą. Po pierwsze, nie brał udziału w łowieckiej wyprawie, gdyż wyznaczono go do załogi, która miała pilnować miasta i zamku podczas nieobecności kniazia, po drugie zaś – myślami był teraz zupełnie gdzie indziej. Kiedy kilka dni temu, gdy Milda opowiedziała mu o ponownej wizycie Rytisa w ich chacie, w pierwszym odruchu chciał odnaleźć kupca i najzwyczajniej w świecie zatłuc go jak psa. Gdyby nie

interwencja Iny, nawet może by to zrobił, na szczęście wykazała się większym rozsądkiem niż zapalczywy wojownik. Wytłumaczyła mu, iż w tak trudnej sytuacji nie można podejmować decyzji pod wpływem złości, bowiem to najszybsza droga do całkowitej zguby. Należy wszystko przemyśleć na zimno, aby znaleźć najlepsze wyjście. Było to wbrew naturze Varnasa, który zwykł załatwiać sprawy natychmiast i najprostszymi środkami, w tym przypadku jednak, kiedy już nieco ochłonął, musiał przyznać swej kobiecie rację.

Dlatego od tego czasu myślał nad rozsądniejszym rozwiązaniem, tyle że na razie nic takiego nie przychodziło mu do głowy.

– Nie żal ci, że nie jedziesz z nimi?

Z zadumy wyrwał go głos Senelisa, dowódcy konnej drużyny. Mówiono na niego Senelis, czyli dziadek, bo zbliżał się już do czterdziestki i miał siwiejące włosy oraz wąsy.

– Nieszczerólnie. – Varnas spojrział w ołowiane niebo. – Po mojemu będzie padać. To zła pora na polowanie.

– Ano racja. Lepiej wtedy siedzieć pod dachem. I popijać grzane piwo.

– Nie wiem, czy będzie okazja. Mamy naprawiać drogę do zamku.

– Żebyście się nie nudzili?

– Pewnie tak.

– Posłuchaj, Varnasie. – Senelis oparł się plecami o mur. – Przyszedłem do ciebie z pewną sprawą.

Młody wojownik spojrział w pokrytą bliznami twarz dowódcy.

– Z jaką sprawą?

– Widzisz, chodzą słuchy, że mają mnie przenieść do Kowna, gdzie miałbym pod sobą całą załogę.

– Gratuluję.

Senelis wykrzywił wargi w uśmiechu.

– Nic jeszcze pewnego. Ale gdyby co, to trzeba będzie mnie tu zastąpić. – Ruchem głowy wskazał na dziedziniec pod nimi. – Pokierować konnymi.

– Odpowiedzialne zadanie.

– Otóż to. Dumiałem nad tym długo i pomyślałem, że nadawałbyś się do tego.

– Ja?

– A czemu nie? Jesteś lojalny, Jogaiła cię lubi, nie pijesz za dużo, twoja żona jest szanowana w mieście.

Ostatnie słowa sprawiły, że Varnas zaczął szybciej oddychać. Tak, jego żona jest szanowana, ale to może się szybko zmienić, kiedy kapłani każą ją utopić albo zakopać żywcem.

– Nie pochodzę z bojarskiej rodziny – odrzekł ostrożnie.

– I co z tego? – mężczyzna machnął lekceważąco ręką. – To już nie czasy Olgierda. Książ lubi młodych i zdolnych. Nie chce się otaczać bogatymi nicponiami, którzy w życiu nie zaznali żadnych niewygód. To szansa dla ciebie.

Varnas podrapał się po głowie.

– No, nie wiem.

– Powiem ci tak: przemyśl to sobie. Dzisiaj po południu, kiedy was zmienia, mógłbyś się spotkać Pod Złotym Kozłem z Dymitrem, moim człowiekiem. On ma posłuch u księcia. Przy piwie wyjaśni ci, co i jak. Chyba że wolisz układać do końca życia kamienie na tej zasranej drodze.

– Naturalnie, że nie.

– No więc dobrze. – Senelis poklepał go po ramieniu. – Będziesz dzisiaj Pod Złotym Kozłem?

– Przyjdę. Dziękuję za propozycję.

Kiedy dowódca odszedł, Varnas starał się uporządkować myśli. Nie spodziewał się takiej propozycji. Rzecz jasna, była spełnieniem jego marzeń, lecz przyszła w najmniej chyba dogodnym momencie, gdy jego reputacja wisiała na włosku.

Jeśli ostatnio miał mętlik w głowie, to teraz zapanował w niej istny chaos.

– Myślę, że powinniście na jakiś czas zniknąć z oczu temu zasańcowi – postanowił, kiedy tuż przed zmierzchem wrócił do domu i opowiedział Inie o propozycji, jaką otrzymał. Siedzieli przed chatą, patrząc na mroczniejące niebo. – Razem z Mildą. On nie spocznie, dopóki nie postawi cię przed sądem kapłańskim i nie skompromituje mnie w oczach Jogaiły.

– Przecież mógłby to zrobić już dawno – odparła żona.

– Bawi się nami.

– Albo liczy na coś.

– Na pieniądze? – Varnas prychnął i rzucił kamykiem w jabłoń Kukisa. – Wie dobrze, że ich nie mamy. W dodatku sam jest bogaty, to nie jakiś

gołodupiec potrzebujący się napić za nasze marne miedziaki. Co innego mu chodzi po głowie, ale jeszcze nie wiem co. W każdym razie podoba mu się sytuacja, kiedy może nas dręczyć.

– Zawsze był taki...

– Łatwo mi w to uwierzyć. – Kolejny kamyk poszybował w kierunku sadu sąsiada, strasząc przechodzącą kaczkę. – W każdym razie kiedy wy wyjedziecie, ja postaram się to jakoś załatwić. Powiem wszystkim, że pojechałaś do chorej matki i zabrałaś ze sobą Mildę, żeby nie została sama bez opieki, kiedy ja będę miał nowe obowiązki. Gdyby Rytis mnie jednak dopadł, przynajmniej wy będziecie bezpieczne. Bo nie sądzę, żeby kapłanom chciało się was szukać po kniejach.

– Gdzie mamy się niby schować? – Ina zadrzała i wtuliła się w ramiona męża.

– U rodziców. To wystarczająco daleko.

– Tam będą szukać w pierwszej kolejności. W dodatku dla mojego ojca świątynia to poważna sprawa. Pewnie już wiedzą, że uciekłam. Nie sądzę, by chcieli mnie teraz znać. Według nich swoim uczynkiem sprowadziłam na całą rodzinę gniew bogów. Nie wybaczą mi tego.

Varnas zastanowił się chwilę.

– Masz jakichś innych krewnych? – spytał.

– Tylko ciotkę.

– Cóż to za ciotka?

W oddali syn Kukisa poił przy studni owce; pomachał obojgu, a oni bez uśmiechu odwzajemnili pozdrowienie. Z chaty za nimi dobiegał cichy śpiew Mildy, która bawiła się swoimi lalkami.

– Trochę szalona. Jest pokłócona ze wszystkimi i mieszka sama niedaleko Grodna.

– Mieszka sama?

– Tak. Mówię, że to dziwna kobieta.

– Ino, przecież to brzmi jak najlepsza kryjówka. Przyjęłaby cię?

Jego żona wzruszyła ramionami.

– Bo ja wiem? Nie cierpi mojego ojca, więc może mnie przyjąć na złość jemu. Nie jest też zbyt pobożna, nie powinno jej obchodzić, że zdradziłam świątynię.

– To jesteśmy chyba uratowani.

Varnas starał się nadać pewność swojemu głosowi, tak naprawdę jednak wcale taki pewien nie był. Po szalonej kobiecie można oczekiwać każdej reakcji, no, ale zbytniego wyboru nie mieli.

– Rytis wie, gdzie ona mieszka?

– Wątpię, czy wie nawet o jej istnieniu.

– Znakomicie. A więc pojedziecie do niej.

– Kiedy?

– Jak najszybciej.

– To... może się udać.

– To musi się udać – odrzekł z naciskiem. – Jak tylko wszystko tutaj załatwię, przyjadę po was. Gdzie mam szukać tej ciotki?

– Dojedziesz do Grodna i zapytasz o starą Gabetę. Znają ją tam, bo zajmuje się zaklęciami.

– Wiedźma?

– Powiedzmy.

– No dobrze. Nie mamy czasu do stracenia, jutro o świcie się spakujecie, a ja wam znajdę jakiś transport.

Milczeli przez chwilę, przytuleni do siebie.

– Boję się, Varnasie – wyszeptała wreszcie Ina.

– Ja też, moja kochana. Ale bardziej będę się bał, kiedy tu zostaniesz.

– Przyjmiesz tę propozycję Senelisa?

Uśmiechnął się.

– Tak. Byłoby podejrzane, gdybym jej nie przyjął. Teraz muszę iść do Żółtego Kozła obgadać sprawę.

– Nie pij za dużo.

– Właśnie że wypiję.

– No dobrze, dzisiaj ci wolno. Zawsze wiedziałam, że daleko zajdziesz, mój dzielny wojowniku.

Było już ciemno, gdy Varnas dotarł do gospody przy opustoszałym teraz targu rybnym. To tu najczęściej pili ludzie z drużyny książęcej, a także przyjezdni kupcy. Zwykli obwiesie nie mieli w niej czego szukać, bo gospodarz – Niemiec z Frankfurtu, zwany Rudolfem – nie życzył sobie żadnych burd, dbał o czystość, a i ceny piwa miał wysokie, za wysokie dla

zwykłych wileńskich łachmaniarzy. Słowem, w karczmie Pod Złotym Kozłem można było wypić w spokoju, nie wyławiając z kubków spadających z sufitu karaluchów i nie opędzając się nieustannie od żebraków oraz podpitych robotników, którzy zastawiali przy szynkwasię ostatnie portki.

Już z zewnątrz sprawiała solidne wrażenie. Zbudowano ją z grubych bierwion niczym jakiś bojarowski dwór, miała dranicowy dach i zadaszony ganek, z blaszanym koziołkiem przy drzwiach. Wewnątrz była jedna – pośrodku dębowy stół, wokół ławy, w kącie palenisko. Na okopconych ścianach wisiały zwierzęce łby, w większości ofiarowane gospodarzowi przez bogatszych klientów.

Tego wieczora w izbie było nieco zbyt dużo dymu, pewnie napalono wilgotnym drewnem. Wszedłszy do środka, Varnas zmrużył oczy i rozejrzał się po skąpo oświetlonym kagankami pomieszczeniu. Przy stole siedziało tylko dwóch brodatych bojarów w ciężkich szubach i wysokich czapach, jakby właśnie jechali saniami, a nie pili w nagrzanej izbie. Dymitra jeszcze nie było. Może to i dobrze. Będzie chwila na przemyślenie jutrzejszego wyjazdu żony i siostry. Varnas podszedł do szynkwasiu. Nic nie musiał mówić, Rudolf od razu nalał mu piwo do dzbanka.

– Nie na polowaniu? – spytał gospodarz po litewsku, acz z twardym akcentem.

– Wolę polować na białe płaszcze niż na jelenie. – Varnas zmrużył oko. – Na twoich pobratymców.

– Jacy ci oni moi pobratymcy? – obruszył się Rudolf. – Te psy są braćmi tylko dla siebie.

– Ale mówisz ich językiem.

– Albo oni moim. Ja jestem porządny człowiek, a nie zbój napadający na wioski. Powinni byli dalej siedzieć w Jerozolimie.

– Co racja, to racja. Nie było tu Dymitra?

Rudolf przecząco pokręcił głową.

Varnas zabrał dzbanek i usiadł z dala od bojarów. Sączył piwo, zerkając na drzwi. Dymitr na pewno wkrótce się pojawi. Był to solidny człowiek. Niewiele młodszy od Senelisa, należał do starej gwardii, która jeszcze z Olgierdem wyprawiała się dwa razy na Moskwę i pustoszyła ruskie ziemie. Jagiełło otrzymał drużynę w spadku po ojcu. Gdyby nie ci zaprawieni w bojach wojacy, nie wiadomo, czy utrzymałby się w Wilnie.

Jego bracia i stryj nie byli zachwyceni, że stary książę na swojego następcę wybrał najmłodszego z synów. W dodatku wiedzano dobrze, że maczała w tym palce jego ruska żona Julianna. Jak mogła, nastawiała starego Olgierda przeciwko wszystkim, byle tylko wywyższył jej ulubionego syna. Nie podobało się bojarstwu, że to niewiasta, w dodatku nietutejsza, pociąga za sznurki. Było to wbrew wielowiekowej tradycji. Gdyby nie stara gwardia Olgierda, młodzik Jagiełło nie porządziłby zbyt długo.

Ale utrzymał się przy władzy. I on, i Julianna triumfowali, a Kiejstut i jego bojarzy przenieśli się do krainy zmarłych.

Kiedy Varnas wypił już połowę piwa, drzwi do karczmy uchyliły się nagle i do środka weszło dwóch mężczyzn. W półmroku nie dojrzał wyraźnie ich twarzy, dostrzegł tylko, że jeden z gości jest wysoki i barczysty, ogolony na łyso. Dopiero po chwili młody wojownik rozpoznał jego towarzysza.

Serce zabiło mu mocniej.

Rytis.

Ten człowiek był jak złowrogi cień.

– O, kogo ja widzę – jowialnie zaśmiał się kupiec na widok pobladłego ze złości Varnasa. – Księcia nie ma w mieście, to wysiadujemy przy piwie, mam rację?

– Co tu robisz? – warknął wojownik.

– Jak to co? Przyszedłem wychylić dzbanek wina.

– Akurat tutaj?

– Wiedziałem, że spotkam tu doborowe towarzystwo. Gospodarzu, bułgarskiego wina!

– Może i dobrze, że jesteś. – Varnas podniósł się z ławy. – Bo musimy pogadać.

– Też tak sędzę, przyjacielu. Ale może lepiej usiądźmy.

– To nie będzie długa rozmowa.

– Po co te nerwy?

Wysoki drab za jego plecami zrobił się czujny. Miał cofnięte czoło i olbrzymie łuki brwiowe, pod którymi kryły się wąskie oczka, puste jak u gada. Varnas zrozumiał, że kupiec wynajął go do ochrony. Nie szkodzi, jak będzie trzeba, zatłucze ich obu.

– Mam ci do powiedzenia jedno: precz od mojej rodziny! Uciekaj z Wilna, póki masz jeszcze nogi!

– Ej, nie przekraczaj miary, Varnasie.

– Bo co?

– Bo pokazujesz swój strach. Czego się boisz?

– Nie boję się, nie pochlebiaj sobie. Po co znowu przyszedłeś do mojego domu?

– Chciałem pogadać.

– Z dzieckiem?

– Nie takie to już dziecko, cycuszki jej rosną. A i...

Varnas ruszył ku niemu, ale drab zastąpił mu drogę. W jego dłoni pojawił się rzeźnicki nóż.

– Nie radzę – powiedział grubym, spokojnym głosem.

Gospodarz struchlał za szynkwasem, dwaj bojarzy zostawili piwo i szybko wyszli z gospody. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Rytis się uśmiechnął.

– Dobrze, już dobrze. Nie znasz się na żartach? Nalegam jednak, abyśmy usiedli, jak przyzwoici ludzie.

Varnas splunął pod nogi.

– Nie jesteś przyzwoitym człowiekiem, tylko zwykłą gnidą. – Usiadł jednak, głośno sapiąc ze złości.

– No dobrze, skoro uprzejmości mamy już za sobą – rzekł kupiec, usiadłszy naprzeciwko – to nie traćmy czasu na owijanie w bawełnę. Wiem, jakiego świętokradztwa się dopuściłeś. Kryjesz się z tym przed kapłanami i kniazem. Och, miłość bywa ślepa, młodość też, wiem coś o tym. Ale prawda jest taka, że wpakowałeś się w niezłe bagno, Varnasie, naprawdę w niezłe bagno. Bardzo lubię twoją Inę, lecz chyba nie potrafię wam pomóc.

– Nie potrzebujemy twojej pomocy – odparł wojownik, nie spuszczać wzroku z noża, który towarzyszył Rytisa wciąż ścisnął w dłoni. Wojownik czekał na okazję, by mu go wyrwać, ale zbir był ostrożny.

– Nie przerywaj teraz – powiedział Rytis.

Gospodarz przyniósł wino i szybko uciekł do siebie.

– Nie chcę wam przysparzać zmartwień – rzekł kupiec, pociągnąwszy spory łyk. – Ale rozumiesz, jestem człowiekiem interesu i chciałbym coś z tego mieć. Jakiś prezencik.

– Czego chcesz? Pieniądzy?

– Pieniądzy? – zaśmiał się Rytis. – Mam ich wystarczająco dużo. A ty ich nie masz w ogóle.

– Więc czego?

– Proponuję taki układ, Varnasie. Ja nie wyjawię twojego sekretu Jagielle, a ty oddasz mi na służbę swoją uroczą siostrę.

– Mam ci oddać Mildę? – zapytał tamten cichym, zimnym jak stal głosem. – Czy ty postradałeś rozum?

– Będzie miała u mnie jak w pałacu. Taki prezencik wynagrodzi mi wszystko, naprawdę. A jej żadna krzywda się nie stanie, klnę się na bogów.

– Uśmiechnął się oblesnie, oblizując wilgotne usta.

Varnas zerwał się z ławy, lecz w tym momencie zaskrzypiały drzwi i do izby wkroczył Dymitr. Ujrzał Varnasa i przyjacielsko do niego pomachał.

– O, widzę, że przyszedł twój kompan – rzekł Rytis. – Nie będę ci dłużej przeszkadzał. – Podniósł się z ławy. – Zastanów się nad moją propozycją. Do jutra chcę znać odpowiedź. Jeśli z nią do mnie nie przyjdiesz, znaczy, że się nie porozumieliśmy. No i wtedy będę musiał spełnić swój obowiązek przykładowego i bogobojnego Litwina. Do jutra, Varnasie.

Zostawił niedopite wino, położył na stole monetę i wraz z ponurym drabem wyszedł z karczmy.

Godzinę później Varnas także opuścił izbę i ruszył poprzez nocne ciemności do domu.

Rozmowa z Dymitrem nie kleiła mu się, bo był zbyt wzburzony, aby myśleć teraz o czymś innym niż słowa kupca. Wciąż nie mógł ochłonąć i żałował, że od razu nie skręcił tamtemu karku. Z trudem skupiał się na rozmowie z człowiekiem Senelisa. Coś tam niby ustalili, ale stary wojak wyczuł chyba, że kandydatowi na dowódcę brakuje entuzjazmu. Prawdopodobnie nic z tego nie wyjdzie, pomyślał Varnas, idąc opustoszałymi uliczkami. Tyle że teraz nic a nic go to nie obchodziło. Jedyne, o czym myślał, to bezpieczeństwo Iny oraz Mildy. Teraz już nie miał wątpliwości, że dziewczynka na pewno nie może tutaj zostać bez opieki. Obie koniecznie muszą uciekać z samego rana.

Wstanie przed świtem i znajdzie kogoś, kto je wywiezie z Wilna.

Co do Rytisa, podjął już decyzję. Postanowił go zabić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Okolice Budy

Ranek był mglisty i chłodny.

Amalia, wciśnięta w kąć trzęsącego się na wertepach powozu, niechętnie spoglądała na mijany po drodze krajobraz: szary Dunaj, drzewa i gęste zarośla, wszystko to oświetlone ponurym jesiennym światłem. Była niewyspana i zmarznięta. Wiadomość, że matka chce się z nią widzieć, zaskoczyła ją i wzbudziła w Amalii jedynie niechęć. Wcale nie miała ochoty spotykać się z kobietą, której nawet nie pamiętała, a która teraz nazywała ją swoją córką. Słyszała powtarzane przez służbę plotki, że matka postradała zmysły i została zamknięta w klasztorze krótko po jej narodzinach. Mówiono, że to dlatego, iż nieszczęsna kobieta nie mogła się pogodzić ze śmiercią swojego męża, ojca Amalii. Poległ on w walce z wrogami króla Ludwika i uznano go na Węgrzech za bohatera. Dziewczynka nie odczuwała braku rodziców, cały dwór traktował ją jak swoją, otaczali ją życzliwi ludzie, miała wszystko, czego tylko zapragnęła.

A królowa Hedwig była dla niej jak siostra.

A teraz, po latach, matka przypomniawszy sobie nagle o Amalii i wzywała ją pilnie do siebie.

– Nigdy przedtem nie chciała mnie widzieć – odezwała się teraz buntowniczo do siedzącej naprzeciwko damy dworu, wysłanej wraz z nią w tę podróż. – Dlaczego akurat teraz sobie o mnie przypomniawszy?

– Bo widocznie uznawała, że nadchodzi jej czas i chce pozajątwiać wszystkie swoje ziemskie sprawy – usłyszała suchą odpowiedź. – Nie tobie dyskutować z decyzjami dorosłych.

– Ale gdyby mnie kochała, to zostałaby ze mną. Myślicie, pani, że chce mnie prosić o wybaczenie?

Rózsa Kovács, surowa i kostyczna kobieta w średnim wieku, wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, być może. Nigdy nie oceniam ludzi, zanim nie poznasz ich prawdziwej historii. A może właśnie tak bardzo cię kochała, że pozostawienie cię na dworze uznała za najlepsze, co mogła ci dać?

Dziewczynka się skrzywiła.

– Akurat – mruknęła cicho.

– Doceń, że w ogóle możesz się z nią zobaczyć.

– Jak to?

– Z tego, co wiem, wcale nie zamierzano cię powiadamiać o prośbie matki. Dopiero interwencja królowny Hedwig sprawiła, że obie tu teraz marzniemy.

– Czemu chcieliby to przede mną zataić?

– Skąd mam wiedzieć? Pewnie uważają, że matka może ci tylko namieszać w głowie.

– Niby jak?

– Nie jest, że się tak wyrażę, całkiem zdrowa na umyśle.

– Wiem, podobno oszalała.

– Nie wolno tak mówić o matce!

– Przecież wszyscy starają się to właśnie mi powiedzieć.

– Właśnie: starają się, ale delikatnie, nie wypowiadają się wprost. Ty też powinnaś nauczyć się tej sztuki.

Amalia otuliła się szczelniej pelerynką podbitą króliczym futrem. Wyrzała przez okienko powozu na porośnięte lasami wzgórze wznoszące się po drugiej stronie Dunaju. Jechali traktem wzdłuż rzeki, w dole, w świetle wstającego dnia, połyskiwały jej szeroko rozlane wody.

– Daleko jeszcze? – spytała marudnym głosem po kolejnej godzinie. – Muszę siusiu.

– Dama nigdy nie chodzi siusiu – upomniała ją ostro kobieta. – Dama...

– Jak to? – nie dała jej dokończyć zdumiona dziewczynka. – Damy nie robią siusiu? To co robią, jak im się chce?

Kobieta ze zniecierpliwieniem przewróciła oczami.

– Kto cię, dziecko, uczył manier? Zachowujesz się jak prostaczka. Dama nigdy nie chadza siusiu. Zapamiętaj to sobie. A jeśli już naprawdę musi, nie mówi o tym głośno, tylko po prostu dyskretnie wychodzi na stronę.

– Ale jak mam dyskretnie wyjść z jadącego powozu?

Jej opiekunka z trudem ukryła uśmiech rozbawienia i końcem laseczki zastukała w sufit pojazdu. Woźnica wstrzymał konie, a do podróżniczek podjechał natychmiast jeden z dwóch konnych, wysłanych z kobietami dla bezpieczeństwa. Obaj byli uzbrojeni na wypadek rozboju, o jaki nie było trudno w tych odludnych okolicach.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? Co się dzieje? – spytał, rozglądając się czujnie wokół.

– Nic takiego. Musimy trochę rozprostować nogi.

Obie weszły w głąb lasu, rosnącego po drugiej stronie drogi. Różsa także postanowiła wykorzystać chwilowy postój i ruszyła w stronę gęstych krzaków. Amalia kucnęła pod drzewem i z nudów zaczęła się rozglądać wokół siebie. Kiedy podniosła wzrok, zauważyła jedną z licznych tu jaskiń, które zdążyła już zauważyć wcześniej podczas jazdy. Odcinały się ciemnymi plamami na tle skał i drzew przybranych już w jesienne barwy. Była ciekawa, kto w nich mieszka. Czy dzikie zwierzęta, czy też zbójcy, o których nieraz słyszała z opowiadań służby. A może święci pustelnicy? Ale sama nie miała zamiaru tego sprawdzać. Poderwała się szybko i gnana nieokreślonym lękiem, pobiegła w stronę powozu. Pani Różsa już na nią czekała. Dyskretnie strzepywała z sukni zeschnięte liście i resztki pajęczyn. Wsiadły bez słowa i ruszyły w dalszą drogę brukowanym traktem, wiodącym ich do ledwie widocznej w porannej mgle wioski.

– To już niedaleko – powiedziała z wyraźną ulgą w głosie dama dworu.

Podróżowanie drogą wyłożoną polnymi kamieniami nie należało do najprzyjemniejszych. Koła powozu podskakiwały na nierównościach i czuła już niemal każdą kość swojego chudego ciała.

– Wydaje mi się, że to jest wieś należąca do naszego klasztoru.

Po chwili zobaczyły kilka nędznych chatynek skupionych wokół zamku ze zrujnowaną wieżą. Z bliska widać było ślady po niedawnym pożarze, po wieży zostały tylko osmalone fragmenty. Reszta budowli wyglądała na nienaruszoną.

– A gdzie jest klasztor? – spytała Amalia, wyglądając ciekawie przez okienko.

– Nie powinien być daleko stąd. Opactwa zwykle budowane są w pobliżu źródła wody, więc na pewno zaraz go znajdziemy.

Minęli jeszcze wyschnięte łożysko rzeki, pokryte grubą warstwą okrągłych kamieni, a po jego przejściu zobaczyli trakt prowadzący od rzeki

w kierunku wschodnim. Woźnica nie miał innego wyjścia, jak tylko nim podążyć. Pojawiła się kolejna osada i kolejne zgliszcza zamku. Chaty wokół pogorzelska wyglądały na opuszczone. Nikt nie kręcił się w pobliżu, nie biegały dzieci ani zwierzęta. Różsa poruszyła się niespokojnie na swoim miejscu.

– Mam nadzieję, że woźnica nie zgubił drogi – szepnęła z obawą, zegnając się szybko. – Boże, miej nas w swojej opiece.

Chwilę później mgła w końcu się podniosła i z jej resztek wyłonił się klasztor zbudowany na niewielkim wzgórzu. Nie był zbyt duży, ale z pewnością stary. Kiedy podjechały bliżej, widać było porośnięte brunatnym mchem kamienne mury.

W klasztorze klarysek było już po tercji i zakonnice w milczeniu, ze wzrokiem opuszczonym na kamienną posadzkę w korytarzu, wracały z kaplicy do swoich zajęć. Jedna z nich, drobna nowicjuszka w brązowym habicie i białym welonie, uprzedzona widać przez siostrę furtiankę, podeszła do przybyłych, żeby się przywitać. Potem zaprowadziła je do pomieszczeń gościnnych klasztoru. Weszły do wysoko sklepionej sali z olbrzymim krzyżem wiszącym na murze.

– Powiadomię przeoryszę – oświadczyła nowicjuszka i wyszła.

Stały pośrodku pomieszczenia, wciąż zziębnięte, nieprzyzwyczajone do ciszy, jaka tu panowała.

– Pamiętaj, nie przynieś nam wstydu – powiedziała szeptem Różsa. – Jesteś w świętym miejscu.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo.

Amalia przez cały czas obawiała się, że królowa matka postanowiła odesłać ją na stałe do klasztoru, aby krnąbrna dziewczynka zamieszkała ze swoją opętaną matką. Mogło to być konsekwencją wszystkich występków młodziutkiej dwórki. Niczego teraz nie pragnęła bardziej, niż powrócić na zamek. To miejsce sprawiało przygnębiające wrażenie, było niczym grobowiec.

Po kilku chwilach pojawiła się przeorysza, starsza, przygarbiona kobieta opierająca się na lasce.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powitała je w drzwiach.

– Na wieki wieków – odpowiedziały obie.

– Ty, dziecko, chodź ze mną.

Amalia posłusznie ruszyła za staruszką, czując coraz większy lęk.

– Zaprowadzę cię do matki – bez zbędnych wstępów oznajmiła przeorysza, kiedy przeszły na teren objęty klauzulą. – Pamiętaj, że ona jest chora... – przez chwilę jakby szukała odpowiedniego słowa – ...nie tylko na ciele, ale i na umyśle, który niekiedy zasnuwa mgła. Zabarwia swe wyobrażenia i słowa fałszem wyobraźni. Dlatego nie wierz we wszystko, co ci powie.

Dziewczynka nie mogła oderwać wzroku od ogromnej brodawki na samym końcu nosa zakonnicy. Z fascynacją obserwowowała, jak ten olbrzymi twór poruszał się w takt wypowiedzianych przez zakonnice słów. Bała się, że lada chwila narodził z obrzydliwym plaśnięciem upadnie na posadzkę. Ostry głos przywołał ją do porządku.

– Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

– Tak, tak – potwierdziła szybko. – A jak powie, że jest moją matką, to też mam nie wierzyć?

– To akurat jest prawdą. Wszystko inne może być wytworem jej chorego umysłu. Chodźmy.

Amalia ruszyła w milczeniu za swą przewodniczką. Zdążyła się już zorientować, że przeorysza nie należy raczej do zbyt gadatliwych, poza tym z jakiegoś powodu sprawiała wrażenie niezadowolonej z jej przybycia. Bez słowa szły ciemnym korytarzem. Tkwiące w uchwytych na murach pochodnie nieco rozświetlały im drogę. Tańczące w przeciągu płomienie rzucały tajemnicze cienie, jakby oprócz Amalii i mniszki przemykały tamtędy duchy żyjących tu kiedyś zakonnicy. Dziewczynka poczuła nieprzyjemny dreszcz grozy i miała ochotę zawrócić, na szczęście dotarły w końcu do infirmerii.

Przeorysza pchnęła drzwi i natychmiast otoczył je przyjemny aromat ziół. Wzdłuż wąskiej sali, na klepisku z ubitej ziemi, stało kilka prostych łóżek. Dwa z nich były zajęte. Na jednym leżała jakaś postać odwrócona twarzą do kamiennego muru, na drugim starsza kobieta z zamkniętymi oczami. Amalia rozejrzała się z ciekawością po pomieszczeniu. Przy jednej ze ścian stała wysoka szafa z mnóstwem szufladek, a przy niej stół z moździerzami, szpatułkami i tajemniczymi naczyniami. Nieco dalej znajdowała się półka pełna ksiąg i manuskryptów.

Siostra infirmerka spojrzała ze współczuciem na dziewczynkę.

– Chodź – powiedziała cichym, łagodnym głosem. – Przywitaj się ze swoją rodzicielką.

Wzięła ją za rękę i poprowadziła do łóżka, na którym leżała starsza kobieta z rozpuszczonymi siwiejącymi włosami, odziana w białą koszulę. Amalia spojrzała na zakonnice zaskoczona.

– Tak. – Tamta ze smutkiem pokiwała głową. – To twoja matka. Choroba zmieniła ją nie do poznania.

Chora poruszyła się niespokojnie i otworzyła oczy. Z początku jej zamglone spojrzenie przesunęło się obojętnie po twarzy dziewczynki, lecz nagle zapalił się w nim błysk.

– Kim jesteś? – Usiłowała się podnieść, żeby lepiej widzieć, ale była zbyt słaba na taki wysiłek i ciężko opadła z powrotem na posłanie.

– Jestem waszą córką, Amalią – wyszeptała dziewczynka.

Kobieta znów uniosła się na posłaniu. Zamrugła powiekami, żeby lepiej widzieć.

– Moje dziecko... To naprawdę ty? Jakaś ty piękna... – Głos załamał jej się nagle i przeszedł w łkanie. Wyciągnęła drżącą dłoń w kierunku córki, żeby się przekonać, czy to nie zjawa albo wytwór jej wyobraźni.

Amalia podeszła bliżej, lekko pchnięta przez przeoryszkę.

– No, przywitajże się z matką. A my – zwróciła się do siostry infirmerki – zostawimy was na chwilę same. Na pewno macie sobie dużo do powiedzenia.

Kiedy obie wyszły do drugiego pomieszczenia, Amalia poczuła się niepewnie. Leżąca na skromnej drewnianej pryczy kobieta wydawała jej się zupełnie obca. Dolatywał od niej nieprzyjemny, kojarzący się z chorobą zapach. Dziewczynka bała się dziwnego blasku w jej zapadniętych oczach. Nie wiedziała, co ma powiedzieć, jak się odezwać. Poza tym, ku własnemu zaskoczeniu, nagle poczuła gniew.

– Dlaczego mnie nie chciałaś, pani? – wyrzuciła z siebie zamiast powitania. – Prawdziwa mama by mnie nie porzuciła.

Kobieta rozkaszała się gwałtownie.

– Nie porzuciłam cię, kochanie – odrzekła cicho. – Nigdy nie przestałam cię kochać.

– To dlaczego...?

– Bo powiedzieli mi, że umarłaś. Zaraz po tym, jak zginął twój ojciec, a mnie zamknięto w tym klasztorze.

– Przecież wcale nie umarłam!

– Czułam to od samego początku. To są źli ludzie, okłamywali i mnie, i ciebie. To szatańskie gady!

– Wcale nie są źli – zaprotestowała dziewczynka. – Dbają o mnie.

– Zabrali mi cię.

– Bo jesteś chora.

– Mówisz, że dbają o ciebie?

– Tak.

– Masz zabawki? – Matka uśmiechnęła się blado.

Miała cienie pod oczami, szczególnie widoczne na tle bladej cery. Takie osoby Amalia dostrzegała, kiedy przejeżdżała przez miasto; ubrane w łachmany, o skołtunionych włosach, wyciągały ręce po jałmużnę.

– Mam dużo zabawek.

– Lalki?

– Też.

– Muszą ci je dawać. Ze względu na pamięć ojca. Zrobił im wielką przysługę, schodząc z tego świata.

– Nie rozumiem.

– Jego też zdradzili.

Amalia otworzyła już usta, aby zadać kolejne pytanie, ale przypomniała sobie ostrzeżenie przeoryszy. Nie powinna wierzyć w to, co mówi matka, ponieważ jej rozum jest pomieszany. Stała zatem w milczeniu, modląc się w duchu, by ta wizyta jak najszybciej się skończyła.

– Tak mi się chce pić. – Chora oblizała spieczone usta i obejrzała się w poszukiwaniu wody.

Dziewczynka podeszła do stołu i wzięła stamtąd cynowy kubek. Obok stał dzban z wodą, napełniła nim naczynie i podała kobiecie. Ta łapczywie upiła łyk, a potem nieznacznym ruchem głowy dała znać, że już dość.

– Podejdź bliżej – poprosiła córkę. – Chcę cię wreszcie przytulić, moje dziecko.

Amalia bez entuzjizmu objęła kościste ciało chorej. Czuła, jak drży.

– Zimno wam, matko? – spytała, już przyjaźniejszym tonem.

– Och, żebyś wiedziała jak bardzo. Od tych murów bije taki śmiertelny ziąb.

– Musicie się przykryć, matko.

– Już niedługo, już niedługo.

– Już niedługo co?

– Ja umieram, córeczko – wyszeptała kobieta. – Ale dziękuję Bogu, że przed śmiercią mogłam cię zobaczyć i dotknąć. Jesteś taka piękna. Ja też taka kiedyś byłam, ale...

Znów się rozkaszała, tym razem trwało to dłużej.

– Jesteś dwórką Jadwigi? – zapytała, kiedy atak minął.

– Tak.

– Przyszłej królowej?

– Królową została Maria. A raczej królem. Jadwigę zdradzono.

– No tak, wszystkich zdradzają. Żmijowe plemię.

Amalia odchrząknęła.

– Nie są tacy źli. To polityka.

– Posłuchaj, córeczko, bo nie dadzą nam dużo czasu. O tym, że żyjesz, dowiedziałam się niedawno. Bóg, Władca Niebios, wysłuchał moich modlitw, bo nigdy nie wierzyłam, że naprawdę umarłaś. Wiedziałam, czułam, gdzieś tu, że moje dziecko żyje.

Położyła drżącą dłoń na piersi, zapewne starając się uspokoić gwałtowne bicie serca. Przez chwilę z trudem łapała oddech, potem znów zaczęła mówić. Zdyszonym głosem, szybko, jakby w obawie, że zabraknie jej czasu na powiedzenie wszystkiego.

– Oznajmiono mi niedawno, że żyjesz i masz się dobrze, a to dla mnie najważniejsze. Ale dowiedziałam się też, że zostałam na dworze u... niego. U swojego prawdziwego ojca. I wtedy zrozumiałam, dlaczego przez tyle lat mnie okłamywano. Nie mogli dopuścić do tego, żeby świat się dowiedział, kto tak naprawdę...

Amalia usłyszała nagle cichy szelest dobiegający z drugiego pomieszczenia.

– To myszy – uspokoiła ją matka, która też usłyszała ten odgłos. – Pełno ich tutaj, nocą biegają po łózkach, wchodzą w sienniki, wplątują się we włosy.

Dziewczynka otrząsnęła się ze zgrozą.

– Jak to prawdziwego ojca? – przypomniała sobie ostatnie zdanie matki. – Przecież mój ojciec nie żyje. Zginął bohatersko na wojnie.

– Bohatersko zginął mój mąż. Wydano mnie za niego, kiedy się okazało, że jestem brzemienna. Żeby uniknąć skandalu. A teraz twój prawdziwy ojciec również nie żyje. Może dlatego właśnie pozwolono mi zobaczyć się z tobą. A może dlatego, że nie odmawia się prośbie umierającego.

– Kim zatem był mój ojciec?

Kobieta dała znak, żeby Amalia nachyliła się nad nią.

– Te mury mają uszy – wyszeptała. – Nie mogę wyjawić na głos jego imienia, ale pod tym siennikiem jest list do ciebie. Tam znajdziesz odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Weź go teraz, póki nikt nie widzi.

Za plecami Amalii rozległ się szelest i z pomieszczenia obok infirmerii wyszła nagle przeorysza, jakby tylko czekała na odpowiedni moment.

– Koniec wizyty, nie możesz tak długo męczyć matki. – Uderzyła laską o podłogę. – Dokończycie rozmowę następnym razem.

– Błagam, jeszcze tylko chwilę! – jęknęła chora. – Może już nie być następnego razu. Chcę się nacieszyć widokiem mojej córki. Tak długo na to czekałam.

Zakonnica skinęła głową, ale widać było, że tym razem nie ma zamiaru wychodzić. Stała w takiej odległości, żeby móc słyszeć każde ich słowo.

Matka i córka musiały więc się pilnować, nie mogły powiedzieć sobie wszystkiego. Amalia powoli nabierała coraz większego zaufania do rodzicielki, teraz już skłonna była uwierzyć, że dwór królewski także i ją – podobnie jak Jadwigę – potraktował niesprawiedliwie. Potwierdziły się słyszane przez nią od czasu do czasu plotki, mówiące o pięknej damie dworu, ulubienicy króla Ludwika, która pewnego dnia nagle zniknęła. Mówiono też, że zamknięto ją w klasztorze, bo straciła zmysły po śmierci swojego męża i małej córeczki. A teraz okazało się, że tym rzekomo zmarłym dzieckiem była ona, Amalia. Ale te rozważania zostawiła dla siebie, czuła, że nie może rozmawiać szczerze przy pilnującej ich przeoryszy. Opowiadała więc o swoim życiu, o zabawach z Hedwig, balach i przyjęciach, o groźnej ochmistrzyni, którą udawało jej się czasami przechytryć. I o narzeczonym Hedwig, Wilhelmie. Chętnie opowiedziałyby też matce o tym, co podsłuchiwała kiedyś na dworze, a co dotyczyło przyszłości królowej Jadwigi, ale w takich okolicznościach nie mogła tego wyjawić. Zakonnica nie spuszczała z niej oczu przez całą rozmowę, dziewczynka nie mogła więc sięgnąć pod siennik po leżący tam list.

– Czy możemy zostać na chwilę same? – spytała cichym głosem matka Amalii. – Chciałabym się pożegnać z córką na osobności. Czuję, że to już nasze ostatnie spotkanie.

Niestety, ta prośba nie zmiękczyła serca przeoryszy, która chłodnym tonem oznajmiła, że mogą się pożegnać przy niej. Będzie udawała, że nie słyszy.

Amalia odchodziła od łóżka matki przepełniona dziwnymi emocjami. Dopiero ją poznała, a już przyszło im się żegnać. Ona również czuła, że więcej już takich spotkań nie będzie. Martwiła się też, że nie miała okazji zabrać listu.

– Żegnaj, moje serce – szepnęła matka, kiedy dziewczynka pochyliła się, żeby ją ucałować na pożegnanie. – Może znajdę sposób, by przekazać ci ten list. Mam tu kilka zaufanych osób... Bądź szczęśliwa. I pamiętaj, że nigdy, przenigdy nie przestałam cię kochać.

Tydzień później na dwór przyszła wiadomość, że matka Amalii zmarła. Spokojnie, podczas snu. Dziewczynka wybrała się znów z panią Rózsą do klasztoru, na skromny pogrzeb. Matka, była dama dworu, żona bohatera, została pochowana na skromnym przyklasztornym cmentarzyku, w pobliżu kaplicy. Kiedy przeorysza przekazywała dziewczynce rzeczy pozostawione przez zmarłą, nie było tam listu.

– Jaki list? – zdziwiła się stara zakonnica. – Nie było żadnego listu. A siennik, na którym spała, od razu spaliłyśmy. Tak robimy po każdej śmierci.

Nie mówiłam, że list był pod siennikiem, pomyślała z goryczą Amalia. Teraz już miała pewność, że matce nie udało się nikomu go przekazać i że on również spłonął. Jej tajemnica nie miała ujrzeć światła dziennego.

Nigdy przedtem nie zastanawiała się nad swoim pochodzeniem, przyjmowała za dobrą monetę opowieści o tym, że król zaopiekował się dzieckiem swojego zmarłego na placu boju przyjaciela. Sierotą, która jednocześnie straciła też matkę, zamkniętą w klasztorze z powodu obłąkania. Ale teraz, po wizycie u niej, zaczęła się zastanawiać nad wiarygodnością tych opowieści. Matka wcale nie wyglądała na obłąkaną, raczej na umierającą, nieszczęśliwą kobietę, której odebrano dziecko.

Zamkniętą w klasztornej celi do końca życia. Kim zatem był jej prawdziwy ojciec? Czy to możliwe, aby...

Nie, to niepodobna.

Czuła, że nigdy się tego nie dowie. List, w którym z pewnością znalazłaby odpowiedź, zniknął. Nie miała wątpliwości, że przełożona klasztoru zdążyła się zapoznać z jego treścią, zanim wrzuciła papier do ognia razem z siennikiem. I że od początku musiała znać tajemnicę jej matki.

Ktoś bardzo zadbał o to, żeby prawda nigdy się nie wydała.

Kim tak naprawdę jestem? – zastanawiała się bez końca Amalia. Nie wiedziała i zapewne nigdy się tego nie dowie. A co najgorsze, czuła, że akurat tą tajemnicą nie może się podzielić z Hedwig.

Świat nagle przestał być taki piękny i radosny jak kiedyś. Poczowała ogromny smutek.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wilno

Szczęśliwie dla Varnasa miejscowy młynarz wybierał się do odległej osady, żeby kupić tam taniej zboże do swojego młyna. Jechał dokładnie w tym samym kierunku, w którym zamierzały udać się Ina i Milda, więc ustalili, że dowiezie je najdalej, jak tylko się da, głównym traktem, a potem będą już musiały radzić sobie same. Varnas pożegnał się z nimi szybko i bez czułości, żeby nie wzbudzać podejrzeń u młynarza. To miał być zwykły, zaplanowany wyjazd córki do chorej matki. Głośno prosił o przekazanie staruszce życzeń zdrowia i dodał, że z niecierpliwością będzie czekał na powrót żony i siostry.

Kiedy tylko wyjechały, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mógłby unieszkodliwić kupca. Miał na to sporo czasu, bo Senelis w ostatniej chwili poprosił Jagiełłę, by ten zwolnił Varnasa od naprawy książęcej drogi i zamiast tego posłał go do zamkowej zbrojowni, gdzie mógłby nadzorować spisywanie i segregowanie broni zdobytej niedawno na wojsku Kiejstuta. Tak więc podczas gdy przydzieleni Varnasowi ludzie przerzucali sulice, krzyżackie miecze, łuki, proce, kindżały i osadzone na drzewcach haki, które Kiejstut odebrał z kolei Tatarom, on sam obmyślał desperacki plan zabicia Rytisa.

Zdawał sobie sprawę, jak wielkie podejmuje ryzyko. Tamten nie był byle kim, jego śmierć z pewnością zostanie zauważona. Co gorsza, widziano obu razem, a karczmarz Rudolf był nawet świadkiem ich sprzeczki Pod Złotym Kozłem. Kiepska sprawa, ale żadne inne wyjście nie wchodziło w grę, trzeba było postawić wszystko na jedną szalę. Rytis nie mógł pozostać wśród żywych. Dotychczasowe próby dogadania się nie wypaliły, a kupiec już nawet nie krył się ze swoimi planami wobec Mildy, zatem sam podpisał na siebie wyrok śmierci.

Nazajutrz po wyjeździe Iny z Mildą Varnas pozostawił swoich ludzi w zbrojowni i udał się na targ, okryty szarą opończą, z nasuniętym na twarz kapturem. Zamierzał odnaleźć kupca, pochodzić za nim trochę i sprawdzić, gdzie ten mieszka. Wymagało to cierpliwości, Rytis pojawił się bowiem pośród straganów dopiero po południu. Towarzyszył mu ten sam drab, co w karczmie. Wyglądało na to, że mężczyzna nie załatwia żadnych interesów, po prostu oglądał towary, życzliwie pozdrawiał sprzedawców, na koniec kupił tylko końską uprząż, zjadł pieroga z grzybami i popił piwem. Varnas obserwował go z bezpiecznej odległości, czując się jak niemiecki szpieg w przebraniu wędrowca. Tuż przed zachodem słońca Rytis znów udał się do karczmy Pod Złotym Kozłem i młody wojownik czekał pośród mżawki dobre dwie godziny, zanim tamten wyszedł. Ciemności ułatwiały teraz Varnasowi zadanie. Ruszył za kupcem i jego zbirem cichy i niewidzialny jak duch – tej umiejętności nauczył się podczas łupieskich wypraw Jagiełły.

Śledzeni przez niego mężczyźni szli w kierunku huczącej w ciemnościach rzeki, co uznał za sprzyjającą okoliczność. A więc łotr czuł się bardzo pewnie, nie mieszkał w pobliżu zamku, pośród ludzkich siedzib, tylko gdzieś na przedmieściach. I rzeczywiście, po krótkim spacerze wzdłuż Wilii dotarli do bojarskiego dworu, znajdującego się na stromym brzegu. Tutaj Rytis znalazł gościnę. To wystarczyło Varnasowi, więc szybko zawrócił.

Następnego dnia przed świtem udał się nad rzekę i w zarośniętym szuwarami miejscu, ukrytym za wierzbami, schował dwa wielkie worki po mące oraz zebrał kilka ciężkich kamieni. Do worków zamierzał włożyć ciała, a kamienie miały je obciążyć tak, by poszły na samo dno rzeki. Jeśli bogowie okażą się łaskawi, nie wypłyną. Varnas nie czuł się z tym dobrze, był wojownikiem, a nie pospolitym zbrojnym, ale tamten nie pozostawił mu wyboru. Ktoś, kto zagraża jego najbliższemu, zasługuje na śmierć.

Potem pojechał na zamek, by dopilnować książęcych spraw. Tego dnia trzeba było ustalić, jaka broń dostanie się konnym, jaka oddziałom złożonym z mieszczan, a jaka zaciągniętym do piechoty chłopom. Cieszył się, że ma jakieś zajęcie i nie musi beczynnie czekać na zapadnięcie zmierzchu. Późnym popołudniem powrócił nad rzekę i – uzbrojony w sztylet, pomazawszy twarz błotem, aby nie była widoczna w ciemnościach – zaczął się pośród drzew, przy ścieżce, którą poprzedniego dnia wracał Rytis. Czekał tak aż do nocy, wsłuchując się

w chlupot niewidocznej w ciemnościach rzeki i pohukiwanie puszczyków, ale jak na złość tamten nie wrócił dziś do bojarskiego dworu.

Powtórzyło się to i następnego wieczora, przez co Varnas zaczął się zastanawiać, czy chytry kupiec nie zmienił przypadkiem siedziby. Może wyczuł zagrożenie? Zauważył, że jest śledzony? Czas naglił, pogoda była coraz gorsza, należało się spodziewać szybszego powrotu Jagiełły z łowów. Musiał to załatwić w przeciągu jednego, dwóch dni, inaczej może być za późno.

Trzeciego dnia znów ukrył się nad rzeką. Jeśli dziś Rytis się nie pojawi, trzeba szukać go gdzie indziej.

Podczas gdy Varnas czekał w paprociach na kupca, Ina i Milda zbliżały się już do Grodna.

Łysy jak kolano młynarz okazał się gadatliwy i wyraźnie zainteresowany Iną, ale ta nie miała nastroju na rozmowy. Mężczyzna próbował zagadywać ją o męża, żartując grubo, że pewnie przed nim ucieka, a gdyby tylko zechciała, to on mógłby...

Przerwała mu grzecznie, tłumacząc, że za bardzo martwi się o chorą matkę, żeby rozmawiać teraz na błahe tematy. Milda też milczała, na poły przestraszona całą tą wyprawą, na poły zaś podekscytowana. Nie słyszała wcześniej o chorobie matki Iny i podejrzewała, że ta wyprawa ma coś wspólnego z tamtym obcym kupcem, czuła jednak, że nie powinna o to wypytywać przy młynarzu. Ten poczuł się nieco urażony chłodną odmową Iny, ale już po chwili zaczął wesoło pogwizdywać i w swej prostoduszności zapomniał o całej sprawie. Ina tymczasem martwiła się, co zrobi, kiedy nie zostanie ciotki w domu. Staruszka była wiekowa, mogła już przecież umrzeć. Czy wtedy zdecyduje się zwrócić o pomoc do rodziców? Oni też mieli już swoje lata. A jeśli nadal żyją, ale nie wpuszczą jej do domu? Nie wiedziała przecież, jak zareagowali na wieść, że złamała śluby. Naraziła ich na wstyd, mogli ją wykląć, udawać, że dla nich umarła.

Ina od początku traktowana była inaczej niż jej siostry. Pojawiła się na świecie tak późno, że mogłaby być wnuczką, a nie córką swoich rodziców. Była słaba i długo obawiano się, czy przeżyje. Ale przeżyła, choć wymagała większej troski niż w przypadku innych dzieci. Wyrosła na

piękną, lecz chorowitą dziewczynę, której mogłoby zabraknąć sił, żeby się w przyszłości zaopiekować rodzicami. A oni nie mieli majątku, żeby zapewnić jej posag i kiedyś korzystnie wydać za mąż. Wszystko wydali na wyposażenie starszych córek. Kiedy zdali sobie sprawę, że nikt nie poślubi ubogiej i słabowitej dziewczyny, postanowili poświęcić ją bogini Praurimie.

Ina pamiętała dzień, w którym jej to oznajmiono. Przeplakała całą noc i wcale nie czuła się ani wybrana, ani zaszczycona, jak według wszystkich powinna się czuć. Była zwykłą dziewczyną, marzyła o mężu i dzieciach, o własnym domu i zwierzętach. Tymczasem miała zostać poślubiona bogini i porzucić zwyczajne życie.

Świątynia zdała jej się miejscem obcym i surowym. Główna kapłanka, zasuszonej staruszka o zimnym spojrzeniu, traktowała Inę ostro, pewnie dlatego, że ta nie pochodziła z bogatej rodziny jak większość kandydatek. Kary cielesne były na porządku dziennym. Przez długie lata nauki dziewczyna czuła się po prostu nieszczęśliwa. Siedziała w chramie z innymi wajdelotkami, w środku puszczy, przy ogniu, przędła wraz z nimi wełnę, pomagała przy chorych i zbierała oraz przygotowywała lecznicze zioła. Kapłani uczyli ją rozumieć mowę ptaków i wróżyć z ich lotu. Jednakże z biegiem lat stawała się coraz bardziej spokojna i pogodzona z losem. O dawnym życiu prawie zapomniała, rodzice nigdy jej nie odwiedzali, było to nawet zabronione. Stała się piękną, ale cichą i smutną młodą kobietą.

Kapłanką bogini Praurimy.

Czasami tylko, kiedy ogarniała ją tęsknota za dawnym życiem, płakała gdzieś w ukryciu albo w nocy, kiedy samotnie strzegła ognia. Najgorzej było, gdy kapłani uznawali, że nie jest zbyt pobożna i w związku z tym zasługuje na karę. Pokutę odbywała w oddalonym od chramu szałasie, sama, narażona na ataki dzikich zwierząt i wszechogarniający strach. Każdy szelest, każde trzaśnięcie gałązki w nocy przyprawiały ją o gwałtowne bicie serca.

I nagle przyszedł dzień, który wszystko odmienił.

Tego ranka, jak zwykle, Ina wyruszyła do lasu po zioła. W południe przystanęła nad strumykiem przepływającym między drzewami, żeby ugasić pragnienie, i nagle usłyszała tętent końskich kopyt. Do wody zbliżali się nieznani jeźdźcy. Jeden z nich, piękny jak marzenie, na jej widok

wstrzymał konia. Czarne jak skrzydła kruka włosy młodzieńca lśniły w słońcu.

– Mergajte²– zawołał. – Co robisz sama w tym lesie? Nie boisz się, że porwą cię leśne demony?

Jego towarzysze zaśmiali się hałaśliwie i zaczęli krążyć wokół niej na koniach, nie pozwalając Inie odejść.

Ina poczuła strach.

– Zbieram zioła – odpowiedziała cicho.

– A czyjaś ty? Gdzie twoja numa?

– Nie mieszkam z moim ojcem, panie. Jestem wajdelotką i strzegę świętego ognia wielkiej Praurimy. Zwą mnie Ina.

– Ina – powtórzył za nią nieznajomy. – A ja jestem Varnas. Może zechciałabyś, Ino, strzec ognia w moim domu?

Dziewczyna aż się cofnęła.

– Tak nie można, panie. Jestem kapłanką. Pozwólcie mi odejść w spokoju.

Porwała kosz z ziemi, przecisnęła się między dwoma wierzchowcami i pobiegła w głąb lasu, odprowadzana wzrokiem rozbawionych jeźdźców. Tylko Varnas siedział w siodle bez słowa, oczarowany widokiem pięknej dziewczyny.

Następnego dnia o świcie, kiedy pierwsze ptaki zaczęły budzić kapłanki w świątyni, Ina kończyła właśnie nocną służbę przy płonącym na głazie ogniu. Z cichym śpiewem witała nowy dzień, wrzucając świeże kwiaty na stos. Nagle usłyszała szelest gałęzi i obejrzawszy się, zobaczyła młodzieńca spotkanego poprzedniego dnia. W oczach miał żar, jakiego jeszcze nigdy u nikogo nie widziała. Wbrew sobie poczuła, jak jej serce zaczęło gwałtownie bić, a oddech stał się przyspieszony. Uświadomiła sobie, że od tamtego spotkania gdzieś w głębi serca czekała na jego powrót. Był taki piękny i tak dobrze patrzyło mu z oczu. Od czasu, gdy stała się kapłanką, prawie nie widywała mężczyzn, z wyjątkiem siwowłosych, ponurych kapłanów, a czasami kudłatego chłopca, który przywoził do chramu żywność i drewno. Widok tego młodzieńca poruszył w niej jakąś ukrytą strunę. Kojarzył jej się z życiem, którego jej odmówiono, z wolnością i poczuciem bezpieczeństwa. To był grzech tak myśleć, zdawała sobie sprawę, a jednak... Cała jej czysta i niewinna dusza wyrywała się do tego czarnowłosego jeźdźcy.

– Chodź ze mną, dziewczyno. Zostań moją żoną i pilnuj ognia w moim domu.

Ina załamała rękę.

– Nie mogę stąd odejść, jestem wajdelotką. Wielka Praurima będzie się gniewać.

– A chciałabyś?

– Ale bogini...

– Przebłagam ją, złożę hojną ofiarę.

– Żadna ofiara tego nie odkupi.

– Nie jesteś tu przecież szczęśliwa, poznaję po twoich oczach.

– Nie o moje szczęście tu chodzi.

– A o czyje? Tych zakłamanych starców?

– Nie wolno tak mówić.

– Bo co? Uderzy we mnie piorun?

– Idźcie stąd, panie! – zawołała z desperacją, ale on jej nie słuchał.

Postąpił tak, jak zawsze postępował – pod wpływem nagłego impulsu. Niczym leśny drapieżnik. Chwycił dziewczynę w pól, zarzucił na siodło swego konia, przykrył burką, po czym sam dosiadł wierzchowca i ruszył cwałem w kierunku traktu. Zaskoczona Ina nie potrafiła nawet wołać o pomoc. Zresztą co by to dało? Nikt nie byłby w stanie powstrzymać tego szaleńca.

Kiedy wiele miesięcy później wracała do owych chwil myślami, dochodziła do wniosku, że swoją bierną postawą sama sprowokowała jego czyn – niezbyt przekonująco się wzbraniała i musiał dostrzec, że jakaś jej część pragnęła ucieczki – lecz wtedy była przerażona jak dziecko. Bo w gruncie rzeczy wciąż była dzieckiem, niemal tą samą siedmioletnią dziewczynką, którą ojciec, również wbrew jej woli, wywiózł niegdyś z domu, aby oddać ją na służbę obcym. Lata spędzone w chrampie nie uczyniły z niej dorosłej kobiety, lecz bezwonną służebnicę. Dorosnąć miała dopiero dużo później, przy boku Varnasa. Do tej pory była jak zaczarowana, dopiero ten czarnowłosy jeździec brutalnie zdjął z niej zaklęcie.

Co się działo w pierwszych tygodniach po porwaniu – tego prawie nie pamiętała. Wszystko było nowe i przerażające. Varnas kupił jej nową suknię i wynajął konia, na którym, potulnie jak baranek, pojechała do Wilna, do skromnej chaty młodzieńca. Przez pierwsze dni chyba w ogóle

się nie odzywała, zapewne siedziała skulona gdzieś w kącie izby jak zwierzę, bojąc się zarówno kary bogów, jak i gwałtowności młodzieńca, a przede wszystkim tego, że ją zniewoli. Bo tak przecież postępuje się z brankami i niewolnicami. Czuła się jego wojenną zdobyczą i więźniem, nie umiała się przed nim bronić. Nie wiedziała chyba nawet, że to możliwe. Czas jednak mijał, a żadna kara z niebios nie nadchodziła, zaś wojownik traktował ją zaskakująco łagodnie i z troską, nawet nie tknął jej dziewczęcego ciała. W swoim domu był zupełnie innym człowiekiem niż wtedy, na koniu i w skórzanym pancerzu. Spokojnym i delikatnym. Złożył w ofierze kilka sztuk bydła, wszystko, co miał najcenniejszego, a Inie wciąż powtarzał, że się z nią ożeni i nikomu nie pozwoli jej skrzywdzić.

Ani kapłanom, ani nikomu innemu.

I choć wtedy mu nie wierzyła, tak naprawdę dotrzymał słowa.

Rytis i jego drab jednak się pojawili.

Byli chyba mocno podpici, bo kupiec śmiał się głośno i nie przestawał gadać. Tego popołudnia niebo zakrywały chmury, ale nie padało. Ukryty wśród zarośli, Varnas czekał na nich obu, czujny jak zwierzę. Prawą dłoń zaciskał na rękojeści sztyletu, oddychał powoli i głęboko, przez nos. Nie widział jeszcze swoich wrogów, ale słyszał, że jest ich tylko dwóch. Szli, czyniąc mnóstwo hałasu, trzaskały gałązki i szeleściły krzaki. Rytis musiał być bardzo pewny siebie. I dobrze. Nie docenił przeciwnika. Wydawało mu się pewnie, iż Varnas ze strachu przed księciem odda mu siostrę jako nałożnicę. Gorzej nawet, jako chwilową zabawkę, którą ten zbir zhańbi, a potem porzuci i odda swoim parobkom. Nieraz już pewnie tamten stawiał na swoim i przez to obecnie stracił czujność.

Tyle że Varnas prędeziej by spalił całe Wilno, niż pozwolił temu gadowi zabrać Mildę.

Śmiech i odgłos kroków dwóch mężczyzn zbliżały się do miejsca, w którym czekał młody wojownik.

– Stój! – Młynarz pociągnął za lejce i wstrzymał konia na skraju drogi. Wzdłuż niej rosły wysokie sosny z jasnobrązowymi, prześwieconymi słońcem pniami. Gdzieniedzie, w oddali, jaśniała biała kora brzoź. – Teraz już musicie radzić sobie same. Ja jadę prosto, a wy szukajcie drogi w tym lesie. Tylko uważajcie na mokradła.

Zeskoczyły z wozu, zabrały swoje węzłki i podziękowały sąsiadowi.

– Niech was bogowie prowadzą! – zawołał, poganiając konia. – A ty – zwrócił się bezpośrednio do Iny – wracaj szybko, bo nasi chorzy też potrzebują opieki.

– Wróć! – Pomachała mu na pożegnanie.

Miały przed sobą jeszcze kilka godzin drogi, więc nie zwlekając, ruszyły przed siebie. Nie odczuwały zmęczenia, jazda była wygodna i przyjemna. Ina miała czas, żeby przemyśleć sobie wszystko, co się do tej pory wydarzyło, i ułożyć plan na wypadek, gdyby nie zastała już ciotki w domu. Po jej odmowie młynarz niemal przez całą drogę drzemał na wozie, zdając się całkowicie na konia.

– Czy to z powodu kupca uciekamy? – Milda w końcu mogła zadać pytanie, które nurtowało ją od początku podróży. W dniu wyjazdu w domu panowało takie zamieszanie, że nie miała okazji, aby porozmawiać o tym z bratem.

– Tak. – Ina nie widziała już powodu, dla którego miałyby ukrywać przed dziewczynką prawdę. – Nie miałyśmy innego wyjścia, to zły człowiek, który chciał nam zrobić krzywdę. Nie tylko Varnasowi i mnie, tobie też.

Milda przypomniała sobie ostatnią wizytę obcego i spojrzenia, jakimi ją obrzucał. Skinęła głową na znak, że rozumie. Szła, szurając łapciami po zasypanej igliwem ścieżce.

– A więc ta dziewczyna z bajki, którą mi opowiedziałaś przed snem, to...

– Tak, to było o mnie. Teraz już wiesz. Zrobiliśmy z twoim bratem straszną rzecz, ale niczego nie żałuję. Kochamy się i to dla nas najważniejsze.

– Nie boisz się kary?

– Kara już nas spotkała, nie mamy dzieci. I pewnie już ich mieć nie będziemy. Ale jestem gotowa zapłacić taką cenę, żeby być u boku ukochanego mężczyzny. Poza tym mamy teraz ciebie.

Minęły sosnowy las, minęły brzezinę i zauważyły, że zaczęły się pojawiać drzewa olchowe. Widomy znak, że zbliżały się do bagien. Nagle nad lasem

pojawiła się chmara wron. Z ochrypłym krakaniem krążyły nad wędrującymi kobietami.

To zły znak, Ina zadrżała na całym ciele. Wiedziała, że we wronach tkwią zakłęte dusze nienarodzonych dzieci albo tych, które zmarły przy porodzie. Czyżby były wśród nich dusze jej dzieci i to one chciały ją przed czymś ostrzec?

A może czyhają teraz na ich dusze?

Varnas odczekał, aż tamci miną jego kryjówkę, po czym bezszelestnie wyskoczył na ścieżkę. Teraz już nie musiał myśleć, jego mięśnie działały same, wyszkolone do zabijania. Dobrze wiedział, co robić. Otwartą dłonią chwycił wyższego z mężczyzn od tyłu za twarz, odchylił mu głowę i jednym błyskawicznym ruchem poderznął gardło. Ciało zbira natychmiast zwiotczało, po palcach Varnasa spłynęła ciepła krew.

– Co...? – Rytis był tak zaskoczony, że stał nieruchomo jak posąg, jego roześmiana dotąd twarz zastygła w grymasie przerażenia. Tymczasem martwy olbrzym upadł bezwładnie na zasłaną butwiejącymi liśćmi ścieżkę.

– Ostrzegalem cię – rzekł do kupca Varnas. – Miałeś szansę, żeby stąd wyjechać i zachować życie. Nie skorzystałeś.

– Posłuchaj...

– Za późno na rozmowy.

Kopnął mężczyznę w kolano, a Rytis ukląkł z głośnym stęknieniem. Kolejne uderzenie powaliło go na plecy. Varnas usiadł na nim, udami unieruchamiając ręce ofiary.

Rytis oddychał spazmatycznie, w jego oczach krył się szaleńczy strach.

– Nie rób tego – wycharczał. – Do jednej zbrodni dodasz drugą, straszniejszą.

– Dlaczego po prostu nie wyjechałeś? – zapytał młody wojownik, niemal z żalem, po czym aż po rękojęść zanurzył sztylet w piersi mężczyzny.

W ustach kupca zabulgotało, na wargach pojawiła się różowa bańka śliny. Zesztywniał z szeroko otwartymi oczami, które nie patrzyły już w niebo, lecz w niezmiernie dale krainy cieni.

Varnas wyrwał sztylet z jego ciała i wytarł ostrze o trawę. Potem przez chwilę siedział nad Rytisem, ze spuszczoną głową, uspokajając oddech.

Stało się, pomyślał. Musiał teraz zaciągnąć ciała nad rzekę i zatopić je w głębinie.

Niech zajmą się nimi bezimienne podwodne demony.

Kiedy znalazły się na skraju bagien, Inę ogarnęło nagle straszliwe przeczucie, że stało się coś złego. Aż przystanęła, szybko łapiąc oddech.

Coś, co miało związek z Varnasem. Była pewna, że chodzi o niego. Nauczyła się odczytywać takie znaki od bogów. Ufała swoim przeczuciom, bo nigdy nie kłamały, a to obecne było tak silne, że aż zakręciło jej się w głowie.

Varnas zrobił coś strasznego.

Stało się.

Przez całą drogę nie dopuszczała do siebie myśli, że jej mąż może jednak zdecydować się na najgorszy krok – morderstwo. Jednak oszukiwała samą siebie, znała Varnasa i wiedziała, że od początku chciał załatwić sprawę z Rytisem w sposób ostateczny. Był dobrym i czułym mężem, ale przede wszystkim wojownikiem, okrutnym i bezwzględny. Zawsze tak działał. Dlatego też kazał jej wyjechać z miasta.

– Źle się czujesz? – zaniepokoiła się Milda.

– Nie, nie, wszystko dobrze.

– Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha.

Kto wie, pomyślała Ina. Może właśnie ujrzałam. Nie powiedziała tego głośno. Stwierdziła tylko:

– Teraz musimy być bardzo ostrożne.

Grunt pod nogami wyglądał jeszcze całkiem solidnie, ale lada chwila mogły wpaść w zdradliwe grzęzawisko. Gdzieniedzie widać było poczerńiałe resztki zatopionych kłód, pozostałości po prowizorycznych mostach budowanych tutaj przez dawnych mieszkańców okolic. Teraz dawne osady były już wyludnione. Ludzie przenieśli się w inne, bardziej przyjazne rejony. Ina dała Mildzie ostrzegawczy znak ręką i przystanęła, żeby zorientować się w terenie. Nie pamiętała dokładnie, jak wielki obszar zajmowały bagna w tej okolicy. Czuła jednak, że gdzieś tutaj powinny już zboczyć z drogi, żeby spróbować okrążyć trzęsawisko. Poprawiła węzełek

na plecach i wąską, wydeptaną przez zwierzęta ścieżką ruszyła między drzewa.

– Teraz idź tylko po moich śladach – powiedziała, odwracając skupioną twarz do Mildy – i nie zbaczaj nawet na krok, bo bagno cię wciągnie, zanim się zorientujesz.

Teren robił się coraz bardziej podmokły, był porośnięty brunatnozielonym mchem, pomiędzy którym bieleły gdzieś tam kwiaty wełnianki. Spod stóp obu kobiet zaczęły strzelać fontanny wody, mocząc im nowe buty z jeleniej skóry.

Mokradła, pomyślała Ina. Powinnyśmy gdzieś tu skręcić...

Nie dokończyła myśli, bo nagle grunt rozstał się pod jej nogami i poczuła, że zaczyna się zapadać w grząskim bagnie. Opadłe liście drzew starannie zamaskowały zdradliwe miejsce.

– Odsuń się stąd! – krzyknęła z wysiłkiem w kierunku Mildy, która odruchowo rzuciła jej się na pomoc. – Natychmiast!

Dziewczynka zatrzymała się, niemal tracąc równowagę. W ostatniej chwili uchwyciła się gałęzi jakiegoś rachitycznego drzewka.

– Ale co mam robić?! Jak ci pomóc?

Milda słyszała o ludziach wciągniętych przez bagna i wiedziała, że sami nie są w stanie się z nich wydostać. Skamieniała z przerażenia patrzyła na rozgrywającą się na jej oczach scenę. Tymczasem bagno wciągało Inę powoli i nieubłagane. Jeszcze chwilę wcześniej tkwiła w nim tylko po kolana, teraz gęsta, cuchnąca maź sięgała już ud. Ina starała się nie poruszać, żeby nie przyspieszać tego procesu, ale widać było, że przychodzi jej to już z trudem. Zamykająca się wokół niej z obrzydliwym mlaskaniem topiel uciskała ją jak obręcz, kobieta zaczęła wpadać w panikę.

Milda przez jakiś czas stała, nie mogąc się poruszyć, jakby bagno uwięziło także i jej nogi. Otrząsnęła się jednak z odrętwienia i zaczęła gorączkowo myśleć. Pamiętała opowieści ludzi, którzy próbowali ratować innych w takich sytuacjach. Przede wszystkim należało znaleźć jakąś gałąź i podsunąć ją tonącemu. Zerwała się z miejsca i pobiegła na poszukiwania, modląc się głośno do wszystkich przyjaznych bóstw o pomoc. Biegła z powrotem po ich własnych śladach, do miejsca, gdzie było jeszcze sucho, potykając się o leżące pod drzewami gałęzie. Niestety, były zbyt cienkie i krótkie, żeby mogły jej się przydać.

W końcu jednak modły zostały wysłuchane, bo natknęła się na leżącą pod jej nogami solidną gałąź. Wyglądało na to, że znajdowała się tam już jakiś czas, i teraz Milda zaczęła modlić się z kolei o to, żeby nie była zbutwiała i nazbyt krucha, by wytrzymać ciężar człowieka. Z trudem wyplątała swoje znalezisko z chaszczki, które porastały teren, i sapiąc z wysiłku, zaczęła je ciągnąć w kierunku bagna. Gałąź okazała się wcale nie aż taka ciężka, na jaką wyglądała. Odpowiednio giętka i solidna, mogła spełnić swoje zadanie.

Kiedy dotarła na brzeg mokradła, Ina zanurzyła się już po pas. Udręczonym spojrzeniem rozglądała się wokół jak zwierzę złapane w potrzask.

– Nie uciekłam przed zemstą bogów – powiedziała z rozpaczą.

– Uratuję cię! – zawołała Milda.

– To na nic. Nie masz tyle siły.

– Mam! Jestem już prawie dorosła! – Położyła się na brzuchu i wysunęła gałąź w kierunku Iny. – Złap ją.

Gdzieś w głębi puszczy rozległo się ponure wycie wilka.

2 Dziewczyna – litewski.



Część druga

DROGI PRZEZNACZENIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Okolice Bochni i Krakowa, rok 1384

Gromada bosonogich dzieci wbiegła na grzbiet trawiastego pagórka i przystanęła w niemym zachwycie. Jasnowłosa dziewczynka, najmłodsza ze wszystkich, ze zdumienia aż otworzyła buzię, wskazując palcem odległy zagajnik, przez który trzeba było przejść, aby dotrzeć do młyna. Choć był już październik, słońce świeciło jasno i teraz jego promienie odbijały się od czegoś, co pojawiło się na drodze pośród drzew. Jakby lśniły tam drogocenne kamienie.

– Jada – wyszeptał jej towarzysz, piegowaty chłopiec, wciąż podciągający za duże, połatane portki, które niedawno dostał po bracie.

– Madziarzy – dodał inny pędrak, w czapce opadającej na oczy.

Między nogami dzieci biegał czarny psiak, podniecony ich zdyszczanymi głosami, próbując zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Uciekajmy – powiedział chłopiec bojaźliwym głosem.

– Dlaczego? – Dziewczynka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Zobaczą nas.

– No i co? I tak tu jada.

Tymczasem od strony klasztoru i wsi nadciągali już pierwsi konni, aby przywitać nadjeżdżających.

Z dała dochodził głuchy odgłos trąb i warkot bębnow. Spomiędzy drzew wynurzyli się rycerze w zbrojach, trzymający bogato haftowane chorągwie oraz proporce. To właśnie od ich pancerzy odbijało się słońce. Pojawili się na drodze wiodącej do wsi i tak nie pasowali do tego wiejskiego krajobrazu, że dzieci miały wrażenie, iż śnią. Za rycerzami jechali inni jeźdźcy, w kaftanach i biretach, z długimi pelerynami na ramionach, a potem duchowni z wysokim krzyżem i kościelnymi chorągwiami.

– Może będą rzucać monety? – powiedziała dziewczynka, odgarniając z twarzy kosmyk włosów. – Biegniemy do drogi?

– No, nie wiem. – Jej towarzysz zawahał się.

– Ja biegnę.

Pognała w kierunku traktu, potykając się na stromym zboczu pagórka. Za nią pobiegł najpierw rozszczekany pies, a chwilę potem reszta dzieci.

Na drogę wtoczyły się pierwsze wozy, bogato przyozdobione, zaprzężone w piękne konie albo muły. Nadjeżdżały jeden po drugim, skrzypiąc pod ciężarem ładunku i ludzi. Orszak wydawał się nie mieć końca, coraz to nowi jeźdźcy, coraz to nowe pojazdy ukazywały się oczom wiejskich dzieci, które przystanęły niedaleko drogi pośród wysokiej trawy. Widywały już różne procesje, kościelne i książęce, bo tutejszy klasztor należał do najważniejszych w okolicy, ale nigdy nie były świadkami tak wielkiej i pięknej uroczystości. Wszystko mieniło się złotem, szkarłatem, najczystszym błękitem. Wiedziały od kilku dni, że z cudzego kraju, zza gór, przybywa ze swym orszakiem młoda królowa, która zasiądzie na tronie w Krakowie, więc z niecierpliwością czekały na chwilę, kiedy ją ujrzą. Teraz porzuciły pasące się na łąkach owce i stanęły oczarowane niecodziennym widowiskiem.

Przeszli muzykanci z piszczałkami, za nimi przetoczył się długi wóz pokryty drogą tkaniną.

– Popatrzcie.

Malec w za dużych portkach wskazał ciemnowłosą dziewczynkę, która dosiadała małego siwka. Mogła być w ich wieku, może trochę starsza, ale ubrana była jak królowa – w zieloną, wyszywaną perłami suknię, na którą zarzuciła długi niemal do ziemi, podbity futrem płaszcz.

Spojrzała na dzieci i uśmiechnęła się przyjaźnie. Ze strachu wszyscy odwrócili głowy.

Kiedy zebrali się na odwagę i znów popatrzyli na drogę, dziewczynki na siwku już nie było. Zobaczyli teraz orszak zbrojnych, od stóp do głów zakutych w żelazo, w rogatych hełmach, ubezpieczających coś w rodzaju bogato przystrojonej kolebki podtrzymywanej za pomocą skórzanych pasów przez konie. Nie wiedzieli, że podróżuje w niej niespełna jedenastoletnia przyszła królowa Polski – Jadwiga Andegaweńska.

Podczas gdy Hedwig i najważniejsze osoby z jej otoczenia wjeżdżały na teren klasztoru, gdzie przyszykowano już dla nich kwatery na noc, reszta orszaku rozkładała się w pobliskiej wsi, na placu, który zapewne służył mieszkańcom jako miejsce targu. To miał być ostatni nocleg w drodze do Krakowa i panowało spore ożywienie. Dość już przedzierania się przez lasy i strome góry, jazdy po zmroku, kiedy trakt oświetlają tylko trzymane przez konnych czy też przytwierdzone do wozów pochodnie, a także zimnych poranków i mglistych wieczorów. Rozładowywano wozy, miejscowi prowadzili gości do gospody i chat, niektórzy rycerze rozbijali swoje białe namioty na pobliskiej łące. Jak zawsze wszelkie koszty pobytu pokrywał węgierski skarbiec. Przyjezdni nie chcieli na samym początku zrażać sobie Polaków nadmiernymi obciążeniami. Zwłaszcza że wiadano dobrze, iż nie wszyscy mieszkańcy tego królestwa z życzliwością oczekiwali węgierskich gości. Po pierwsze, królowa Elżbieta bardzo długo zwlekała z przysłaniem im córki, po wtóre, był to kraj bardzo jeszcze tradycyjny i wizja kobiecych rządów budziła gorący sprzeciw, zwłaszcza dumnych możnowładców z Wielkopolski. Król Ludwik długo musiał pertraktować, posunął się nawet do uwięzienia poselstwa polskiego w Koszycach, zanim w tej sprawie postawił na swoim.

Ale i to nie pomogło. Poprzedniego roku, kiedy to ustalono pierwotny termin przybycia Jadwigi do Krakowa, na dwór w Budzie dotarły wieści, że Wielkopolanie sami sobie wybrali króla, niejakiego Siemowita z Mazowsza. Ów porywczy człowiek podobno zamierzał porwać młodziutką królową, kiedy ta tylko pojawi się w Polsce, ożenić się z nią i w taki sposób objąć władzę w kraju. Z tego też powodu tamten przyjazd Jadwigi odroczone.

Najgorsze, że ten szalony pomysł poparło wielu możnowładców i biskupów.

Tak, pomysł, aby białogłowa zasiadała na tronie, wciąż był tutaj odbierany jako sprzeniewierzenie się tradycji.

– Ja wam powiem, o co im chodzi – tłumaczył niedawno prawnik Miklosz, który studiował w Bolonii. Było to na początku podróży, gdy dwórki nocowały w żydowskiej karczmie u podnóża Karpat, niemal w samym środku gęstego lasu. Prawnik mówił do swoich kompanów przy

sąsiednim stole, ale Amalia jak zwykle wiedziała, w którym momencie nastawić ucha. – Nie tyle boją się władcy w czepcu, ile niekorzystnych zmian w sądownictwie. Do tej pory ich kobiety nie mogły dziedziczyć rodzinnych majątków. Wszystkie pieniądze i ziemie szły do nich, wielkich panów. Teraz, gdy białogłowa usiądzie na tronie, ten stan rzeczy zapewne się zmieni. Niby bronią tradycji, świętego u nich słowa, a tak naprawdę drżą o własne interesy. Oj, będzie miała nasza królowna z nimi ciężki żywot.

Jakby już jej nie było ciężko, pomyślała wtedy gorzko Amalia. Hedwig musiała przyjechać tu sama, bez matki, która z powodu politycznego zamętu na Węgrzech została w Budzie. Czekał na nią obcy kraj, obcy język i obyczaje. Od momentu, kiedy zapadła decyzja o wyjeździe, królowna posmutniała i stała się milcząca. Nic dziwnego, niby wysyłano ją do ojczyzny jej dwóch babek, lecz było to dla niej miejsce nieznanne, a, co gorsza, nie całkiem bezpieczne. Choć na dworze w Budzie bardzo starano się zachować to w tajemnicy, Jadwiga dowiedziała się o planie jej porwania. Ta wiadomość przejęła ją zgrozą. Nie tak wyobrażała sobie swoje panowanie. Potem przeżyła kolejne chwile strachu, kiedy do Budy zajechało poselstwo litewskie, by w imieniu swego pogańskiego księcia prosić o jej rękę. Rozmowy trwały długo, podejrzenie długo, a po ich zakończeniu Jadwidze nic nie powiedziano. Na całe szczęście niedługo potem przyjechali z Wiednia zaniepokojeni przedstawiciele jej wciąż aktualnego narzeczonego, trzynastoletniego już księcia Wilhelma, aby upewnić się, czy zaręczyny dzieci – sponsalia de futuro – pozostają w mocy. Królowa matka zapewniła zarówno Austriaków, jak i Hedwig, że nic się w tej kwestii nie zmieniło: młodzi spotkają się już w Krakowie, gdzie zgodnie z obyczajem i kontraktem nastąpi consummatio matrimonii, cielesny akt, który ostatecznie połączy ich nierozzerwalnym węzłem małżeńskim.

Lecz do przybycia Wilhelma do Krakowa i ślubu pozostały teraz jeszcze długie miesiące, kiedy Jadwiga miała pozostać samotna, otoczona nie tylko przyjaciółmi, lecz również wrogami.

Co do Amalii, prawdę mówiąc, dziewczynka aż tak bardzo się tą przeprowadzką nie zmartwiła. Rzecz jasna, wolałyby zamieszkać gdzieś, powiedzmy, w słonecznym Neapolu, nad brzegami szafirowego morza, gdzie na każdym kroku piękni i zgrabni poeci recytowali swe melodyjne

sonety. Ale podróż na północ też wydawała się ekscytująca. Zawsze to jakaś zmiana. Kraj, który jeszcze w Budzie wyobrażała sobie jako dziki i zimny, okazał się malowniczy, pełen sadów, zamków, zadbanej architektury, pokrytych złotem i czerwienią liści lasów. W dodatku bardzo katolicki. Ludzie w mijanych wioskach prawie nie różnili się od Węgrów, nie okazywali też żadnej niechęci, a tym bardziej wrogości. Wszędzie witano ich serdecznie. Także i w tej wiosce mieszkańcy byli bardzo życzliwi. Dziewczynka chciała porozmawiać z ciekawskimi dziećmi, które zauważyła przy drodze, ale te nie rozumiały ani po niemiecku, ani po łacinie, bały jej się i uciekały za każdym razem, gdy do nich podchodziła. Tylko jasnowłosa dziewczynka okazała więcej odwagi i z ciekawością dotykała jej sukni. Amalia pozwoliła jej na to, choć pani Csaksy stanowczo zabraniała kontaktów z gminem. No, ale cioteczka znajdowała się teraz z Jadwigą w klasztorze i trudno było przypuszczać, że obserwuje stamtąd Amalię.

– Nie kręć się tu, dziewczyno – ofuknął ją jeden z Węgrów zajmujących się końmi, starszy, długonosy mężczyzna w skórzanej czapce z nasznikami. – Przeszkadzasz.

Nióśł jakieś siodło, był naburmuszony i chyba zziębnięty.

– Pomogę wam – odparła Amalia, usuwając się na bok.

– Nie trza mi takiej pomocy. Panienska powinna być teraz pod dachem.

– Nie mam tam nic do roboty.

Słońce już powoli zachodziło, nadciągał jesienny zmierzch, zimny i wilgotny. Rzeczywiście powinna już siedzieć przy ogniu i wraz z przyjaciółkami jeść wieczerzę, ale ciekawska natura wciąż popychała ją do zaglądania we wszystkie nowe miejsca. Korzystała więc z okazji, że nie śledziło jej teraz czujne oko pani Csaksy.

– Chciałbym tak nie mieć nic do roboty – mruknął długonosy.

– Wy, panie, musicie już długo pracować przy królewskich koniach.

– Będzie dwudziesty rok. A co?

– Króla znaliście?

– Ano znałem. O tyle, o ile. Obiadów z nim nie jadałem ani się mnie nie radził w sprawach królowania, jeśli o to ci chodzi.

Odkąd dwa lata temu odbyła tę dziwną rozmowę z umierającą matką, wykorzystywała wszelkie okazje, aby dowiedzieć się czegoś więcej o zmarłym władcy. Królowny nie wypytywała, gdyż nie chciała wzbudzać

podejrzeń, i nikomu też nie zdradziła, co opowiadała jej matka. Za to często rozmawiała ze służbą, która kiedyś była blisko króla.

– I jaki był nasz umiłowany władca? – spytała najswobodniej, jak umiała.

– O co ci chodzi?

– No, mówili, że święty człowiek.

Mężczyzna splunął.

– Pewnie i święty. Szczególnie na starość. W chorobie.

– A wcześniej nie?

– Bardzo kościelny, po matce. Ale czy taki święty...

Amalii mocniej zabiło serce.

– Nie był?

– Przestań mi, panienko, głowę zawracać. Tyle ci tylko powiem: święci to są w Ewangeliach, a w życiu są ludzie z ziemskiej ulepieni gliny. Nieważne, czy papież, czy król, wszyscyśmy grzeszni, każdy na swój sposób. Ale na co ci ta wiedza? Kronikę chcesz pisać?

Zrobiła mądrą minę.

– Kto wie.

– Pyskata jesteś. Chyba mi o tobie opowiadali. Córka tej dwórki, co ją oddali do klasztoru?

Amalia spojrzała na niego czujnie.

– Oddali? To nie poszła sama?

– Pewnie, że nie sama. Za piękna była na klasztor. Oddali ją. No bo niby co mieli z nią zrobić? Przez nią tylko plotki się po dworze rozchodziły.

– Mistrz Albert mówi, że w każdej plotce tkwi ziarno prawdy.

Mężczyzna prychnął.

– Powinien więcej chodzić wśród służby, zamiast siedzieć w starych księgach, toby takich głupot nie gadał. U nas co dzień nowa plotka. Zmyśla się je z nudów. W żadnej prawie nie ma krzty prawdy.

– A co mówiono o mojej matce?

Długonosy odwrócił się do niej plecami.

– Tego ci nie powiem, boś za smarkata, żeby zrozumieć. – Ruszył w kierunku stajni, ale nagle się zatrzymał. Odwrócił głowę. – A co do króla Ludwika... – dodał jakby z wahaniem. – Może i kościelny był człowiek, ale wszyscy wiedzą, że ta choroba, która go zabiła, to nie wzięła się z zamkowych przeciągów.

– A skąd? – zaciekała się Amalia. Jeszcze żadna rozmowa o królu nie przyniosła jej tylu ciekawych wiadomości, dotąd wszyscy powtarzali tylko oklepane formułki, potwierdzające, że był to chodzący ideał.

– Chcesz wiedzieć skąd? – Mężczyzna się zaśmiał. Jego sylwetka zaczęła już się zacierać w zapadającym zmierzchu. – To zapytaj swojego mistrza Alberta.

Tej nocy długo nie mogła usnąć i przewracała się na pościeli ze słomy. Jednak wcale nie z powodu niewygody, do której już zdążyła przywyknąć podczas tej podróży. W głowie roilo jej się od najprzeróżniejszych myśli. Czego dotyczyły aluzje mężczyzny? O jakiej chorobie mówił? Czyżby to była kara boska za jakieś grzechy? Za jakie? Rzeczywiście tylko ojciec Albert mógłby jej to wyjaśnić, ale nie łudziła się, że będzie chciał z nią rozmawiać na takie tematy. W każdym razie długonosy potwierdził pogłoski, że jej matki pozbyto się z dworu z powodu jakiegoś skandalu. I że miało to związek z rodziną królewską, czyli nie wszystko, co mówiła rodzicielka, było wytworem jej chorej imaginacji. A co, jeśli także jej inne słowa, zwłaszcza te o ojcu Amalii, były prawdziwe? Dziewczynka nie potrafiła tego objąć swym dziecięcym rozumem, miała tylko wrażenie, że prawda jest o wiele bardziej skomplikowana, niż jej to dotąd przedstawiano.

Tak wiele myślała przez te miesiące o królu... Żałowała, że w ogóle nie interesowała się jego osobą, kiedy jeszcze żył – zawsze był gdzieś daleko, poza jej sferą, niedostępny i prawie nierealny, widywany tylko od święta, i to z daleka. Zapamiętała go jako schorowanego już prawie starca o zapadniętych policzkach i żółtawej cerze. Skąd mogła przypuszczać, iż pod wpływem dziwnych wyznań matki nagle stanie się tak bliski?

Ale on już nie żył. Od dwóch lat spoczywał w kaplicy węgierskich władców. Pozostała jego córka Jadwiga, śpiąca teraz niedaleko, w klasztornych pomieszczeniach gościnnych. Także i ona stała się dla Amalii kimś innym niż na początku.

Kim?

O tym dziewczynka bała się nawet myśleć.

Nazajutrz wcześniej rano wszyscy byli już gotowi do drogi. Ciemne chmury sunęły w kierunku Karpat, padał drobny deszcz.

Mieli przed sobą ostatni etap podróży, po południu powinni dotrzeć do Krakowa. A więc był to dzień, na który czekali od dawna, od kiedy Elżbieta ustaliła, że to jej młodsza córka zasiądzie na polskim tronie.

Kiedy Amalia wskakiwała na swojego konika, podtrzymywana przez jednego z młodych giermków, nieśmiało podeszła do niej jasnowłosa dziewczynka, która wczoraj dotykała jej sukni. Z zawstydzoną miną wręczyła Amalii niezgrabną drewnianą figurkę rycerza i powiedziała coś po polsku. Ta przyjęła prezent i uśmiechnęła się, żałując, że nie ma przy sobie czegoś, co mogłaby sama podarować tej małej sympatycznej wieśniaczce.

– Wiesz, co ona powiedziała? – spytał giermek, kiedy tamta odeszła, a Amalia siedziała już w siodle.

– Znasz jej język?

– Trochę. Mój ojciec przyjechał na Węgry z Tarnowa.

– Co mówiła?

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

– Rzekła: „Szczęśliwej drogi, królewno”. Ta głupia myśli, że to ty jesteś Hedwig, córką Ludwika.

Amalia w zadumie podążyła wzrokiem za odchodzącą dziewczynką.

Poczuła się dziwnie, bardzo dziwnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wilno

Pamiętaj, żeby nigdy nie zbierać ziół zaraz po deszczu – powiedziała Ina, a siedząca przy jej poślaniu Milda skwapliwie przytaknęła. – Bo szybko spleśnieją i wyrządzą więcej szkody niż choroba, którą będziesz chciała nimi wyleczyć.

Jej głos, przerywany gwałtownymi atakami kaszlu, był już tak słaby, że z trudem docierał do dziewczynki. Ze smutkiem patrzyła na gasnącą z dnia na dzień żonę brata. Na jej bladą, wymęczoną twarz z podkrążonymi oczami i bezkrwistymi, spękanymi wargami. Wiedziała, że tamta w połowie należy już do świata duchów, dzięki którym wprawdzie przeżyła dwa lata temu, lecz które nie chciały jej całkowicie wypuścić ze swych zimnych objęć, jakby, zauroczone delikatną urodą Iny, nie potrafiły się z nią rozstać. Stara Gabeta ostrzegała, że duchy nie są ani dobre, ani złe, ale jeśli wyświadczą człowiekowi przysługę, to wcześniej czy później przyjdą po swoją zapłatę.

Odkąd Varnas przywiózł je obie z głębi puszczy, młoda kobieta nie przestawała chorować. Wypadek na bagnach, po którym przemoknięta i zmarznięta na kość wędrowała z Mildą przez las do chaty ciotki, sprawił, że tłąca się od lat w jej płucach choroba powróciła ze zdwojoną mocą. Mijały kolejne miesiące, a Ina, zamiast zdrowieć, słabła coraz bardziej. Bywały długie okresy względnego zdrowia, ale potem gorączka powracała, za każdym razem dłuższa i trudniejsza do zwalczania. Bratowa nie miała już sił na odwiedzanie chorych w domach i wysyłała tam samą Mildę. Ale tylko do prostych zabiegów – w przypadku bardziej skomplikowanych przypadłości okoliczni mieszkańcy musieli szukać innych uzdrowicieli albo zdać się na łaskę lub niełaskę bogów.

Varnas sprowadził do żony najlepszych niemieckich medyków z Wilna oraz Kowna, lecz nawet oni niewiele mogli pomóc poza upuszczeniem złej krwi.

Czując, że być może niewiele pozostało jej życia, Ina starała się przekazać Mildzie jak najwięcej ze swojej wiedzy. Wierzyła jeszcze, że uda jej się odzyskać siły, gdyby jednak...

W razie czego pragnęła, by ta bystra dziewczynka także kiedyś potrafiła leczyć chorych.

Teraz starała się uspokoić oddech.

– Najlepiej je zbierać w suche i pogodne dni, kiedy słońce wypije już z nich poranną rosę. Słuchasz mnie uważnie?

– Tak.

– To powtórz.

– Zbierać w suche dni.

– Otóż to.

Przez okno wpadały ukośne promienie zachodzącego październikowego słońca. Napęniały złocistym światłem szeroką izbę ich nowej chaty. Odkąd Varnas został dowódcą drużyny konnych, przenieśli się do nowego, większego domu, przyklejonego do zamkowego wzgórza. W porównaniu z dawnym był to prawdziwy pałac i gdyby tylko Ina czuła się lepiej, przeżywaliby wszyscy wspaniały okres.

Rytis zniknął i więcej ich nie niepokoił. Varnas nic nie powiedział na jego temat prócz tego, że załatwił sprawę. Ina obawiała się najgorszego, jednak nie śmiała o nic pytać. Wiedziała, że mąż i tak nic jej nie powie. Po prostu starała się jak najmniej myśleć o kupcu. Zresztą sprawa zdążyła już przycichnąć. Z początku dużo o nim mówiono. Przypuszczano, że naraził się niewłaściwym osobom, oszukał kogoś i po prostu uciekł. Taką ostatecznie przyjęto wersję. Nie był spokrewniony z nikim z Wilna, nie miał tu przyjaciół ani kompanów, nikt więc nie drażył sprawy, zwłaszcza że zaginięcia w tych niespokojnych czasach zdarzały się bardzo często.

Był to był, a jak zniknął, to przestał być.

Taka kolej losu.

– Przynieść świeżej wody? – spytała Milda.

– Nie, nie trzeba. Przetrzyj mi tylko czoło, nie będę pić.

Dziewczynka zamoczyła szmatkę w misce z wodą.

– Jeśli potrzebne ci będą tylko liście – kontynuowała Ina. – Zbieraj je przed albo zaraz po kwitnieniu rośliny. Nigdy w trakcie. Jeśli zaś kwiaty, to tylko w pełni kwitnienia. Wtedy będziesz miała pewność, że zebrałaś te najbardziej wartościowe.

Szczególny nacisk kładła na informacje dotyczące niebezpiecznych i trujących ziół.

– Od tej wiedzy – podkreślała – może zależeć również twoje życie. W małej ilości każde może pomóc, ale jeśli nie zachowa się odpowiednich proporcji, zabije. Czasami wystarczy nawet, że osoba, która ma z nimi styczność, postąpi nieostrożnie.

– Jak z wilczym zieleń? To znaczy z tojadem.

– Tak. Nazywają go też mordownikiem z gór. Pamiętaj, że nigdy, ale to przenigdy nie dotykaj korzenia tojadu, jeśli masz jakieś skaleczenie na dłoniach. Trucizna dostanie się do twojego ciała razem z krwią i umrzesz, nim zdasz sobie sprawę z tego, co się dzieje. Zanim jednak tak się stanie, najpierw stracisz władzę we wszystkich członkach ciała. Nie będziesz mogła się poruszyć ani mówić. Potem przestaniesz oddychać i to już będzie koniec. Najbardziej niebezpieczne są młode rośliny, a właściwie ich korzenie. W nich jest najwięcej jadu.

– Nie widziałam go nigdy w naszych lasach.

– I nie zobaczysz. Przeważnie rośnie w górzystych miejscach, ale tutaj przywożą go czasem zaufani kupcy. Głównie sam korzeń, ale zdarza się też cała roślina. Mam taką w ogródku...

Kaszel jej przerwał. Wyczerpana osunęła się na posłanie, a na jej ustach pojawiła się krew. Milda poderwała się, żeby pomóc bratowej, ale ta powstrzymała ją ruchem dłoni.

– Spokojnie, to minie. Ale jak sama widzisz, być może nie zostało mi już zbyt wiele czasu, a tak dużo jeszcze mam ci do przekazania. Boję się, że nie zdążę...

Milda nie przerywała, wiedziała, że to tylko zdenerwuje chorą.

– Zasadziłam wilcze ziele w ogródku przy naszym starym domu. Będziesz musiała tam pójść i wykopać korzeń. Ostrożnie rozdzielaj bulwy, najlepiej przez jakiś gałganek, żeby nie dotykać korzenia gołymi rękami. A jak już ci się zdarzy, natychmiast opłucz dłoń wodą.

– Jak je rozpoznam?

– Ma mnóstwo pięknych ciemnoniebieskich kwiatów, kształtem przypominających hełm. Na pewno nie pomylisz go z żadnym innym.

Długo instruowała Mildę, w jakich ilościach można stosować wilcze ziele do uśmierzania bólu, a jakich nie można przekroczyć. I jak sporządzać z niego leki. Przypomniała o specyfiku na bóle kości, który robiła dla siebie samej ciotka Gabeta.

– Jest to bardzo skuteczny środek przeciwbólowy, ale tylko osoba mająca doświadczenie może go używać. Wiedziałaś, że myśliwi smarowali nim czubek strzały podczas polowań? Tylko sam czubek, ale nawet ta niewielka ilość zabijała zwierzę od razu.

Milda poruszyła się niespokojnie.

– Po co mi to wszystko opowiadasz? Jest tyle innych ziół, których mogę używać, nie muszę stosować akurat wilczego ziele.

– Ale musisz znać wszystkie. Mam przecucie, że ta wiedza kiedyś ocali ci życie. Tylko nie zdradź jej nikomu, nawet Varnasowi. To nasza kobieca tajemnica i nasza kobieca siła. On ma swój miecz.

Varnas przebywał teraz poza Wilnem. Wraz z wielkim kniazem zdobywał krzyżackie grody. Trwała kolejna wojna z Zakonem, tym razem u boku Jagiełły walczył też Witold, dzięki czemu Litwini byli górą.

Ina z trudem wzięła głębszy oddech.

– A więc najważniejsze: wilcze ziele, wilcza jagoda, cykuta. Z nimi szczególnie musisz bardzo uważać. Widziałaś nie raz, jak je przyrządzam, prawda?

– Tak. Pokazywałaś mi to już tyle razy, że...

– Ale nigdy za wiele – przerwała jej Ina. – Wciąż jesteś zbyt niecierpliwa i roztrzepana, a wtedy łatwo popełnić błąd. Śmiertelny, nie do naprawienia.

Milda skuliła się, jakby ktoś ją uderzył. Ina miała rację, ale dziewczynka czuła się już zmęczona. Słuchanie cichego głosu bratowej było nużące, zwłaszcza kiedy tamta robiła sobie dłuższe przerwy dla złapania oddechu i odpoczynku. Zamykała wtedy oczy i wydawało się, że zasnęła. Kiedy jednak wyczuła, że dziewczynka próbuje wstać, otwierała je natychmiast.

– Zostań, musimy się spieszyć. Nigdy nic nie wiadomo. Muszę być pewna, że nauczę cię wszystkiego tego, co sama umiem.

– A czy są jakieś zioła, które nie zabijają? – W głosie dziewczynki dało się wyczuć lekką prowokację, jednak Ina udała, że tego nie zauważa.

– Są, ale każde ziele, nawet to pozornie bezpieczne, lecz źle zastosowane czy też sporządzone w złych proporcjach może poważnie zaszkodzić. Dlatego takie ważne jest, żebyś wiedziała, jak je stosować.

– I znać sposób na pokonanie trucizny?

– W końcu to pojęłaś.

Wyczerpana tak wielkim wysiłkiem Ina zasnęła, a Milda cichutko odeszła w głąb izby. Przegoniła kręcącą się obok stołu kurę – wreszcie kupili sobie ich kilka, nie musząc się już obawiać kun ani lisów – po czym zarzuciła na ramiona wełnianą chustę i wyszła na podwórze. Było już chłodno, niebo czerwieniało. Nad nią dumnie wznosiło się zamkowe wzgórze, w oddali widziała domy, między którymi przeświecała rzeka. Na myśl o zimnej wodzie wciąż czuła dreszcze. Te chwile, gdy ratowała pogrążającą się w bagnie bratową, mimo że upłynęły dwa długie lata, wciąż do niej wracały. Były tak blisko. Widziała, jak topiel bezlitośnie wciąga Inę, i było to przerażające jak straszny sen, w którym nic nie można zrobić.

Ale bogowie pomogli...

Pamiętała wszystko.

Kiedy w końcu znalazła odpowiednią gałąź i podsunęła ją Inie, wyglądało na to, że młoda kobieta nie ma już sił, żeby się jej chwycić. Pokryte błotnistą mazią palce ześlizgiwały się z cieńszego końca, a każdy gwałtowniejszy ruch sprawiał, że bagno wciągało biedaczkę coraz głębiej. Bawiące się nieopodal na brzegu wydry spoglądały bez strachu swoimi paciorkowatymi oczami na ich zmagania. Spokojnie, jakby wiedziały, że żadna z tych dziwnych istot nie może im zrobić krzywdy. Błotne ptactwo poruszało się z ożywieniem w zaroślach, ale były to zupełnie zwyczajne odgłosy na bagnach. Tonąca obok kobieta nie przeszkadzała im ani ich nie interesowała. Życie puszczy toczyło się swoim zwykłym torem. Walka o przetrwanie oraz śmierć były nieodłącznymi elementami tego świata i nie budziły w nim żadnych emocji.

– Nie dam rady.

Milda bardziej odgadła niż usłyszała słowa tonącej.

– Dasz! – zawołała z rozpaczą. – Postaraj się, błagam!

Ina zacisnęła palce na gałęzi, niestety, chwilę później odłamany kawałek został jej w ręce. Milda starała się nie poddawać rozpaczy, położyła się na brzuchu i w ten sposób usiłowała podsunąć kobiecie dłuższy kawałek gałęzi. Bagnista mąż z obrzydliwym mlaskaniem natychmiast zaczęła pokrywać jej ciało. Z wielką ostrożnością i starając się nie robić gwałtownych ruchów, dziewczynka wycofała się, pełzną jak wąż. Udało jej się wrócić na pewniejszy grunt, z nieprzydatną już gałęzią w zaciśniętej dłoni. Rzuciła ją z rozpaczą za siebie i brudnymi rękami roztarła płynące jej po twarzy łzy bezsilności.

I nagle stał się cud – Ina wynurzyła się nieco z bagna, jakby ją coś wypchnęło od dołu. Milda szybko sięgnęła po leżącą obok gałąź i tym razem wyczerpanej kobiecie udało się uchwycić jej grubszą część. Powoli i z móżołem zaczęła pełznąć w kierunku ciągnącej ją z całej siły dziewczynki.

Jak się później okazało, szarpiąca się już desperacko Ina przypadkiem trafiła nogą na solidną kłodę, prawdopodobnie pozostałość po zatopionym pomoście albo części drogi do istniejącej tu kiedyś osady ludzkiej. Zatopiony bal był na tyle długi, że ciągnął się niemal aż do brzegu i Ina mogła się po nim przedostać na ląd, dodatkowo trzymając się końca gałęzi ciągniętej przez Mildę. Kiedy wyczerpana opadła na mech, całym jej drobnym ciałem wstrząsały dreszcze. Milda starała się ją rozgrzać, lecz nie bardzo wiedziała jak. Ona też miała mokre ubranie.

Tymczasem zaczęło się ściemniać i nie było mowy o dalszej wędrówce. Milda, dziecko puszczy, bez trudu rozpałała ogień – hubka i krzesiwo zabezpieczone były w grubym woreczku – i dzięki temu udało im się nieco ogrzać i wysuszyć. Zjadły zabrane ze sobą prowiant, zostawiając nieco na następny dzień rano, bo najpóźniej w południe miały nadzieję dotrzeć już do ciotki. Zasnęły wtulone w siebie, wsłuchując się z niepokojem w nocne odgłosy lasu. Milda spała czujnie, budziła się od czasu do czasu, żeby dołożyć gałęzi do ognia, nad ranem jednak zmorzył ją sen i obudziły się obie zmarznięte na kość przy wypalonym do cna ognisku.

Droga do ciotki Gabety nie zajęła im już zbyt wiele czasu. Spotkały drwała, który wskazał im właściwy kierunek. Chata stała na polanie, przy

strumieniu, ledwie widoczna na tle gęstego lasu. Przypominała wielki, brunatny grzyb.

Na progu powitała ich staruszka w bezkształtnej szacie w kolorze popiołu. Kobieta była sucha, jakby uwędzono ją w dymie, i nie wyglądała na zaskoczoną ich przybyciem.

– Witaj, Ino... – powiedziała na widok ślaniającej się na nogach, zziębniętej siostrzenicy. – Zachodźcie do środka, ogrzać się wam trza. Myślałam, że będziecie dopiero po południu.

Te słowa je zaskoczyły, ale obie były zbyt zmęczone i zmarznięte, by się nad nimi dłużej zastanawiać. Potem, lepiej już poznawszy Gabetę, Milda doszła do wniosku, że stara musiała je ujrzyć wcześniej, podczas jednej ze swoich wizji. No cóż, kto jak kto, ale ona potrafiła rozmawiać z duchami i dziewczynka nie miała wątpliwości, że niewidzialne oczy i uszy informują ją o wszystkim, co się dzieje w okolicy. Gabeta miała już przygotowany wywar z ziół dla rozgorączkowanej i wyczerpanej Iny. Nasmarowała ją niedźwiedzim sadłem i otuliła ciepłymi skórami. Na palenisku buzował ogień, nad którym stał trójnóg z glinianym kociołkiem. Zrobiło się ciepło i przytulnie.

Kiedy Ina spała, Milda – jedząc jęczmienne placki, ser i cebulę, w oczekiwaniu na gorący kapuśniak – opowiedziała Gabecie, co sprawiło, że musiały szukać u niej schronienia. Nie mogła uciec przed badawczym spojrzeniem staruszki, więc niczego nie zataiła.

– Tak, słyszałam coś o tym – odrzekła ciotka Iny, a jej odpowiedź ponownie zdumiała dziewczynkę. – Zrobiłam teraz, ile się dało. Ale to może nie wystarczyć. Jeśli do nocy gorączka nie minie, będę musiała wezwać pomoc.

– Czyją? – spytała Milda.

– Lepiej, abyś nie znała ich imion – odparła tamta, odganiając kosturem koguta, który kręcił jej się pod nogami.

Dopiero teraz dziewczynka poczuła się nieswojo. Siedziała w środku lasu, w małej chacie, u boku dziwnej kobiety, której każde słowo budziło niepokój. Ale jednocześnie czuła, że jest to teraz najlepsze miejsce dla Iny.

Kiedy nastąpiła ciemność, wręcz nieprzeniknione w tym odludnym i głuchym miejscu, Gabeta z westchnieniem podniosła się ze swojego miejsca. Nachyliła się nad chorą, a potem wyprostowała z dziwnym wyrazem twarzy.

– No to teraz wszystko się rozstrzygnie. Zaraz przyjdą – mruknęła.

Dołożyła gałęzi do ognia, po czym zaczęła ściągać z żerdzi jakieś wiązanki ziół. Szeptala coś do siebie, marszcząc brwi. Rozgorączkowana Ina wciąż spała, a Milda kulila się w kącie izby, podciągając derkę niemal pod sam nos.

– Zwykły śmiertelnik i tak nie może ich zobaczyć, więc nie musisz zasłaniać oczu. Ale lepiej zakryj sobie uszy – pouczyła ją staruszka. – Nie słuchaj. Są głosy i pieśni, których zwykły śmiertelnik nie powinien słyszeć, bo pochodzą z innych miejsc oraz innych czasów, starszych niż Księżyc i zamieszkałych przez istoty ze snów. Pamiętaj, że kiedy ty na nie patrzysz, one też patrzą na ciebie.

Więcej mówić Mildzie nie było trzeba, nie chciała ani patrzeć, ani słuchać. Gwałtownie narzuciła grubą derkę na głowę. Zasłoniła uszy, ale nie potrafiła tak mocno przycisnąć do nich dłoni, by powstrzymać wszystkie dźwięki. Tak bardzo chciałaby teraz być gdzie indziej. Gdziekolwiek, byle nie tu. Nie bój się, powtarzała sobie. Nie jesteś już dzieckiem. Masz przecież dwanaście lat.

Najpierw po zapachu zorientowała się, że Gabeta wsypała zioła do ognia. Gorzka woń podrażniła jej nozdrza. Potem światło w izbie jakby pojaśniało, przez zamknięte powieki Milda widziała pomarańczową poświatę. A do jej uszu zaczęły dochodzić dziwne dźwięki...

Ni to śpiew, ni mamrotanie. Starala się go nie słuchać, lecz mimo zakrytych dłońmi uszu słyszała. Głos stawał się coraz wyższy i coraz silniejszy, aż w końcu wydał się Mildzie nieludzki. I nie do zniesienia. Nie wytrzymała, odrzuciła derkę i otworzyła oczy. To, co ujrzała, przejęło ją lodowatym dreszczem. Zdało jej się naraz, że znajduje się w rozświetlonej krwistą poświatą jaskini. Postać Gabety była tylko ciemnym kształtem, kołyszącym się monotonnie w przód i w tył. Nie przypominała starej kobiety, raczej zwierzę o wydłużonym pysku, chyba wilczycę. Ale to przecież niemożliwe, myślała Milda, musiała to być gra cieni tańczących w izbie. Zaczęła rozróżniać poszczególne słowa, lecz nic jej one nie mówiły, pochodziły z jakiegoś dziwnego, gardłowego języka, którego nigdy przedtem nie słyszała. W tym również było coś zwierzęcego, prastarego i groźnego.

Gabeta nie przywoływała żadnych znanych Mildzie bogów.

Wzywała na pomoc coś, co nawet nie miało imienia w ludzkim języku. Po chwili wokół ognia zaczęły się pojawiać cienie, najpierw mgliste i rozmazane, później wyłaniały się z nich coraz wyraźniejsze kształty, na poły ludzkie, na poły zwierzęce. Na ich twarzach czy raczej pyskach malowało się takie okrucieństwo i dzikość, że Milda aż przycisnęła dłoń do ust, żeby nie krzyknąć ze strachu.

Światło zaczęło przygasać, Gabeta znieruchomiła i umilkła. Trudno powiedzieć, jak długo trwała ta cisza, bo wszystko działo się jak we śnie. W pewnym momencie jednak zza ścian chaty, gdzieś z głębi czarnego lasu, dobiegło Mildę wilcze wycie. Aż jęknęła i znowu zasłoniła twarz. Staruszka odpowiedziała coś zwierzęciu, które zawyło ponownie. Potem na powrót zrobiło się cicho, niesamowicie cicho.

– Oni byli straszni – wyszeptała wciąż przerażona Milda.

– Czyżbyś ich widziała? – Tamta odwróciła się gwałtownie w stronę dziewczynki. – Tych przy ogniu?

– Tak...

– Zatem ty również... – nie dokończyła myśli, spojrzała tylko na Mildę z mieszaniną dumy połączonej z lękiem.

Ona już wiedziała, że to dziecko posiada mądrość, jaka była dana tylko wybranym.

Milda długo jeszcze nie mogła zasnąć, mimo że ogień przygasał, a Gabeta przestała się do niej odzywać. Siedziała w kącie i kiwała się w takt wypowiedzianych szeptem niezrozumiałych słów, brzmiących jak zaklęcia.

Nazajutrz Ina poczuła się nieco lepiej.

Mogła rozmawiać, udało jej się nawet wstać z pośłania. Wypytywała ciotkę o rodzinę. Jak się okazało, rodzice Iny nie żyli. Młoda kobieta przyjęła to na pozór obojętnie, lecz Milda zbyt dobrze ją знаła, aby dać się nabrać na ten udawany spokój. Bratowa prawie nigdy nie okazywała emocji. Musiała się tego nauczyć podczas wieloletniej służby bogom.

Przez następne tygodnie Milda pomagała ciotce w opiece nad Iną, przyglądając się przy okazji leczeniu stosowanemu przez starą kobietę. Uczyła się też sporządzania wywarów i maści z ziół. O wielu z nich wcześniej nawet nie miała pojęcia. Jednakże ani razu nie zapytała ją o tę pierwszą noc. Kogo wtedy wzywała Gabeta? Czyje oczy zajrzały do chaty? Raz tylko, podczas zbierania chrustu w lesie, usłyszała od staruszki, że

duchy postanowiły ocalić Inę, choć jeszcze nie zdecydowały o jej ostatecznym losie. Ze strachu nie zadała żadnego pytania.

Mijały dni, jesień przeszła w zimę. Kiedy śnieg zasypał puszcę i zakrył małą chatkę niemal pod sam dach, do ich schronienia przybył Varnas. Nie chciał czekać do wiosny, żeby zabrać żonę i siostrę z powrotem do domu. Coś mówiło mu, że powinien się spieszyć, i – jak się szybko przekonał – przecucie go nie myliło. Wprawdzie Ina przestała gorączkować, ale była bardzo osłabiona i istniała obawa, że nie przetrzyma drogi powrotnej. A już na pewno nie zdoła jechać wierzchem, chociaż Varnas zabrał ze sobą dwa dodatkowe konie, które mogłyby unieść na swoich grzbietach je obie. Teraz nie wchodziło to w grę. Musiał więc szybko zbić solidne sanie i obdarowany przez ciotkę ciepłymi wilczymi i niedźwiedzimi skórami, umieścił w nich żonę i siostrę. Dwa silne konie z trudem przedzierały się przez zasy w drodze powrotnej, on jechał na swoim obok. Śnieg sypał się z mijanych po drodze drzew, wpadał za kołnierze, zalepiał oczy. Varnasowi wydawało się nawet, że pobłądzili, na szczęście konie spokojnie parły naprzód. One znały drogę.

W końcu wszyscy szczęśliwie dotarli do domu.

A tam zaczęło się nowe życie. Nowe, ale nie lepsze.

Zaczęło się powolne odchodzenie Iny.

Ina przebudziła się w środku nocy, cała zlana potem, czując niezwykle pragnienie. Nie pamiętała, kiedy zasnęła. Po chwili zrozumiała, że musiało to nastąpić podczas lekcji o truciznach, jakiej udzielała Mildzie. Od jakiegoś już czasu jej życie dzieliło się na krótkie okresy jawy oraz coraz dłuższe chwile ciemności. Dzień po dniu, noc po nocy, oddalała się od tego świata, stopniowo odpływając w nicość. Czowała, że niedługo nadejdzie moment, w którym już nie powróci do brzegu. Takie myśli nachodziły ją zwykle w środku nocy. Tak jak teraz.

Pogodziła się z tą myślą. Odkąd uciekła z Varnasem, gdzieś w głębi serca oczekiwała zemsty bogów. Nawet w najszcześniejszych chwilach zawsze czaił się cień. Można więc powiedzieć, że była gotowa. Teraz tylko musiała przekazać Mildzie tyle, ile zdoła. Dziewczynka była mądra i pojętna, miała

dobrze, wrażliwe serce. Okrutny los dotknął ją już na początku życia, ale być może dzięki temu będzie silniejsza.

Silniejsza niż ona sama. Delikatne dziecię, chowane z dala od życia.

Poświęcone bogom.

Zorientowała się, że Milda już śpi, postanowiła więc sama pójść po wodę. Z rozpalonym czołem, ciężko podniosła się z siennika. Przez chwilę łapała oddech, po czym ruszyła w kierunku stojącej przy wejściu do chaty beczułki. Nagle przystanęła, a jej serce zaczęło mocno bić. Ktoś stał obok drzwi. Widziała wyraźnie zarys postaci, ciemnoszary na czarnym tle. Usłyszała coś jakby chrząknięcie. W popłochu odgarnęła z czoła mokre włosy i chciała zapytać intruza, kim jest, lecz nie potrafiła wydobyć z siebie dźwięku. I wtedy zrozumiała. To był Rytis. Nie żył i przyszedł do niej, by poskarżyć się na Varnasa. Widziała już niemal jego twarz wyłaniającą się z mroku. Była opuchnięta, zniekształcona jak u topielca, ale Ina wyraźnie rozpoznawała rysy kupca. Czując napływ paniki, ruszyła przed siebie, chcąc złapać ducha za ramię.

Lecz jej dłoń chwyciła tylko powietrze.

Nikogo tu nie było.

To tylko jej rozgorączkowana wyobraźnia wzięła wiszący przy drzwiach kozuch za zaginionego mężczyznę. Odczucie ulgi sprawiło, że głośno wypuściła powietrze. Kiedy jednak napiła się wody i wróciła do łóżka, wcale nie miała już takiej pewności, że był to tylko majak.

Przeciwnie, czuła gdzieś w głębi duszy, że ktoś ją naprawdę odwiedził.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kraków, rok 1384

Zgodnie z przewidywaniami około południa węgierski orszak znalazł się już na wzgórzu Lasoty, na Krzemionkach.

Im bliżej byli Krakowa, tym więcej ludzi stało przy trakcie i tym częściej wyjeżdżały im naprzeciw grupy powitalne: możnowładcy, duchowieństwo, przedstawiciele mieszczaństwa. Ostatnie mile przebywali już wśród prawdziwych tłumów: gawieź wspinała się na dachy domów i na drzewa, aby móc lepiej zobaczyć Jadwigę, która ten ostatni etap podróży pokonywała konno, otulona obszernym, bogato haftowanym płaszczem, otoczona rycerzami w pozłacanych zbrojach. Pachołkowie musieli rozganiać gapiów blokujących trakt, przeważnie dzieci, ale także i nazbyt rozochoconych lub po prostu pijanych dorosłych.

Choć była połowa października, słońce świeciło jasno, w jego promieniach wspaniale lśniły zbroje, zdobienia uprzęży, złote łańcuchy moźnych, diademy ich małżonek. Jeszcze poprzedniego dnia obawiano się deszczu albo silnych wiatrów, ale pogoda dopisała, dzięki czemu uroczystość nabrała jeszcze większego blasku.

Na wzgórzu Lasoty młodą królową powitał uroczysty orszak złożony z duchowieństwa, mieszczaństwa i zwykłego krakowskiego ludu. Zebrały się tu tłumy. Po chorągwiach kapituły i klasztorów przedefilowało dostojne grono rajców miejskich, ubranych w bogate, jedwabne stroje, srebrzyste pasy, aksamitne kołpaki. Do pasa mieli przypięte kordy. Za nimi liczne cechy, ze swoimi herbami na chorągwiach, oddawały głębokie pokłony nowej władczyni, wręczając przy tym symboliczne dary na znak hołdu i poddaństwa. Zewsząd rozbrzmiewały okrzyki, gwizdy pospólstwa, szczerkały podniecone psy, grzmiały trąby, surmy, fletnie i piszczałki.

Siedząca na swoim koniku Amalia chłoneła to wszystko z wielkim zachwytem. Gdyby mogła, zeskoczyłaby z siodła i wmieszała się w tłum wiwatujących ludzi. Nie posłuchała napomnień pani Csaksy, żeby wjechać do miasta z godnością, w kolasce, wśród innych dwórek, ukryta za firankami. Za nic nie oddałaby możliwości przeżywania tej atmosfery na gorąco. Konsekwencjami swego nieposłuszeństwa postanowiła się przejmować później.

Ze wzgórza widać już było miasto: gęste zabudowania, nad którymi błyszcząły w słońcu blaszane dachy kościołów, fragmenty wysokich murów z basztami i bramami, równo wytyczone ulice i obszerne place. Kraków wydał się dziewczynce duży i niewiele się różnił od Budy, tylko opływająca go rzeka była nieco węższa niż Dunaj.

– Tam jest zamek – powiedział Amalii jeden z poznanych podczas podróży giermków, który podjechał do niej, wskazując na wysokie wzgórze, słabo widoczne zza przesłaniających je drzew.

– Nad samą rzeką?

– Tak. – Poklepał swojego konia po karku. – Podobno w jaskini pod zamkiem mieszkał kiedyś smok.

– Smok?

– Wielka bestia.

– Żartujesz, prawda?

– Tak mi mówiono. Pożerał dziewice, takie jak ty.

– Głuptas z ciebie.

Giermek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zapytaj, kogo chcesz.

– To jakaś dziecinna legenda – mruknęła, ale zapisała sobie w pamięci, że trzeba będzie koniecznie zobaczyć tę jaskinię.

– Przestraszyłaś się?

– Ani trochę.

Podczas wjazdu do miasta orszakowi towarzyszyli opłaceni z kasy miejskiej trefnisie i kuglarze, a także ubrani w czerwono-żółte stroje muzykanci. Przy bramie czekała na Jadwigę procesja odzianych w biel najpiękniejszych krakowskich dziewcząt. Wszystkie trzymały w rękach

zapalone świece. Powitały przyszłą królową wesołymi pieśniami, a głosy panien mieszały się z basami śpiewającej za grosz młodzieży szkolnej.

Nie wjechali główną bramą, tylko od południa, więc w drodze na zamek nie widzieli jeszcze właściwego miasta, z jego kamienicami, klasztorami, kościołami i Sukiennicami, o których tyle im opowiadano. Orszak, wraz z towarzyszącymi mu tłumami, posuwał się powoli wzdłuż grobli, oddzielających miasto od rzeki i łąk, na których pasło się bydło, kompletnie niezainteresowane historycznym wydarzeniem. Mijali jakieś młyny i drewniane szopy. Na podziwianie wszystkich wspaniałości polskiej stolicy był jeszcze czas.

Pochód posuwał się tak wolno i tak wiele było postojów, że kiedy w końcu Jadwiga wraz ze swym orszakiem wjechała na zamek, zbliżał się już wieczór. Wawelskie wzgórze okazało się wręcz oddzielnym miasteczkiem. Na spadzistym, pofałdowanym terenie wznosiły się budynki mieszkalne i gospodarcze – spichlerze, stajnie, kuchnie, zamkowe piekarnie i psiarnie. Sam zamek wydał się przybyszom nieco posępny i jakby wciąż w rozbudowie. Wszędzie widzieli rusztowania, drabiny, stosy kamieni i cegieł. Widać nie zdążono z remontem na przybycie nowej władczyni. Ale podróżni byli tak zmęczeni, że nie mieli siły o tym myśleć, marzyli już tylko o wypoczynku.

Także Amalia, którą wszystko już bolało od jazdy – siedzenie, łydki, plecy, a nawet szyja, bo podczas uroczystego wjazdu musiała utrzymać dumną, wyprostowaną postawę. Oczy same jej się zamykały, ale, zgodnie ze zwyczajem, po każdej dłuższej podróży trzeba było jeszcze wstąpić do świątyni i podziękować za szczęśliwe dotarcie do celu. Dotyczyło to nie tylko Jadwigi Andegaweńskiej, ale i całej jej świty.

Ponura i zimna katedra zamkowa rozświetlona była licznymi świecami. Drżąca od chłodu i zmęczenia dziewczynka patrzyła z podziwem, jak dzielna Jadwiga adoruje wynoszone przed nią święte relikwie i dla każdej z nich zostawia na ołtarzu hojny datek.

Kiedy wszyscy wyszli ze świątyni, było już zupełnie ciemno i widoczne z wysokich murów miasto przypominało rój świetlików – bowiem przy każdej kamienicy nakazano zapalić tego wieczoru latarnię.

W końcu, po skromnej wieczerzy, cały dwór mógł się udać do komnat na spoczynek, a na zamku zapanowała cisza. Tylko przez otwarte okna dobiegał z dołu odległy gwar bawiących się na ulicach krakowian. Ten wesoły lud, jak miała się później przekonać Amalia, korzystał z każdej okazji, żeby móc cieszyć się życiem.

Następny dzień stał pod znakiem olbrzymiego zamieszania. Rozpakowywano się, przydzielano komnaty, do Jadwigi przybywały coraz to nowsze poselstwa, aż przy bramie zrobił się zator. Amalia nie mogła sobie znaleźć miejsca, bo wszędzie komuś przeszkadzała. Nie widziała się z Hedwig, gdyż królowna przyjmowała niezliczonych gości, a także przygotowywała się do mającej nastąpić za kilka dni koronacji. Dziewczynka nie zazdrościła jej teraz tej odpowiedzialności – na Jadwigę zwrócone były oczy całego miasta i musiała już się zachowywać jak prawdziwa władczyni.

Jednym z warunków, jakie postawili Polacy, było otoczenie przyszłej monarchini krakowskim dworem, tak więc z Budy przyjechały tylko najbliższe Jadwidze osoby. Amalia należała do grona siedmiu wybranych dwórek. Wiele jej przyjaciółek zostało na Węgrzech, a z Polkami nie zdążyła się jeszcze zaznajomić. Wszystkie dziewczęta miały spać w ogromnej komnacie w zachodnim skrzydle zamku, skąd roztaczał się widok na Wisłę i jej rozlewiska oraz stojące tam młyny. Kiedy Amalia już się urządziła, nie wiedziała, co ze sobą począć. Zajęta sprawami organizacyjnymi, pani Csaksy w ogóle nie przejmowała się teraz dwórkami, chodziły więc z kąta w kąt zagubione i zdezorientowane.

Amalia szybko zapoznała się z nowym otoczeniem.

Vavelus dzielił się na dwie główne części: Zamek Górny oraz Zamek Niższy. Oddzielone były od siebie biegnącym wzdłuż wzgórza płytkim wąwozem. Na Zamku Górnym wznosiła się imponująca katedra z blaszanym dachem i znajdowała się tam rezydencja królewska – zlepek budynków oraz wież w różnych stylach architektonicznych. Królowna mieszkała w południowej części, niedaleko kościoła Świętej Marii Egipcjanki, prywatnej kaplicy Elżbiety, babki Jadwigi, z czasów, gdy stara królowa rządziła w Krakowie.

Apartamenty Hedwig mieściły się na piętrze budynku z czerwonej cegły, nazywanego Domus Magna. Była tam duża sala biesiadna, komnata królewska, sypialnia, kaplica, a także dwie świetlice z drewnianymi, malowanymi stropami. Wszystko to wydawało się surowe i mroczne, tchnęło nieco atmosferą klasztoru. Wąskie okna przypominały raczej otwory strzelnicze dla łuczników, tylko w sali biesiadnej i w sypialni były większe, ostrołukowe, ozdobione barwnymi witrażami.

Zamek Niższy stanowił jakby odrębną osadę. Znajdowały się tam dwa kościoły oraz przyklepione do północnego odcinka murów domy rycerzy, duchownych, a także urzędników, niektóre murowane, inne drewniane. Pomiedzy nimi rozpościerały się ogródki warzywne, a także rybne stawy. Obok Bramy Dolnej mieszkał odźwierny z rodziną, niedaleko jego domku stała kamienna łaźnia. Pozostałą przestrzeń wypełniały budynki gospodarcze: spichrze, piekarnie, wozownie i stajnie. Same fortyfikacje były właśnie przebudowywane, roiło się tam od murarzy, stały rusztowania i dźwigi podnoszone na wielkich kołowrotach. Wszędzie wały się drewniane kłocę i kłody.

To właśnie w Zamku Niższym Amalia spędzała teraz najwięcej czasu. Szukała dzieci w swoim wieku, by móc sobie z kimś porozmawiać.

Przeważali jednak dorośli: woźnice, tragarze, służba. Wszyscy byli podenerwowani, spieszyli się i przeklinali. Wreszcie Amalii udało się wypatrzeć jakąś jasnowłosą dziewczynkę, siedzącą na wozie wyładowanym owocami i glinianymi naczyniami. Na plecy miała zarzuconą obszerną opończę.

– Hej, przyjaciółko – odezwała się do niej po niemiecku.

Dziewczynka spojrzała na nią chmurnie i zeskoczyła z wozu.

– Coś ty powiedziała?

Amalia zarumieniła się, zdając sobie sprawę ze swojej pomyłki. To był chłopak.

Otrok, jak tutaj mówiono.

– Rozumiesz po niemiecku? – spytała speszona Amalia.

– A co mam nie rozumieć? Mało w mieście Niemców? Od chłopaków się nauczyłem.

– Przepraszam, że cię pomyliłam z dziewczyną. To przez te długie włosy.

– Albo masz słaby wzrok – mruknął.

Twarz też miał dziewczęcą, za ładną jak na chłopaka. Widać, że często tak się mylono, bo zdawał się rozdrażniony.

– Teraz widzę, żeś całkiem jak chłopak – próbowała załagodzić sytuację.

– No i co z tego?

Wzruszył ramionami, ale wyglądało na to, że gniew mu powoli przechodzi. Dla niego spotkanie z cudzoziemką, w dodatku ładną i bogato ubraną, też było jakąś atrakcją.

– Mieszkasz tu? – zapytała Amalia.

– Nie. Z ojcem przywożę owoce i powidła z Łobzowa.

Podeszła bliżej.

– A co to Łobzów? – Z trudem wymówiła dziwne słowo.

– Sady tam są.

– Aha.

Chłopak przyjrzał się dziewczynie uważniej.

– A ty Węgierka? – spytał, mrużąc oczy.

– No. Przyjechałam z królową.

– Tak właśnie myślałem.

– Mam na imię Amalia. A ty?

Musieli się odsunąć, bo właśnie przechodziło obok dwóch mężczyzn, dźwigających bogato zdobiony kredens.

– Szymek.

– Ładnie.

– Po mojemu zwyczajnie. Będziesz już tu na zawsze mieszkać?

– Chyba tak – odparła.

Podniósł z ziemi jakiś kamień i rzucił nim w kierunku muru, strasząc kaczki.

– Podoba ci się Wąwel? – spytał od niechcienia.

– Wąwel? Nie Vavelus?

– Tak tu mówimy.

– A co to znaczy?

– Po dawnemu chyba wąwóz. Tak go nazywali ci, co składali tu kiedyś cześć bałwanom i zabijali ludzi na kamieniach ofiarnych.

– Aha. Jest bardzo... duży.

– A miasto widziałaś?

– Nie za bardzo.

– A chcesz zobaczyć?

Zmarszczyła nosek.

– Nie wypuszczają nas.

– To zabierz się ze mną i z ojcem. Zaraz wyjeżdżamy.

– Do Łobzowa?

– Nie, do Krakowa, na rynek. Wracamy tu po południu. Jest takie zamieszanie, że nikt nie zauważy, że cię nie ma. Tylko narzuć sobie coś na tę strojną kieckę, bo wzbudzisz dziwowisko.

Zastanowiła się, czując, że znowu pakuje się w kłopoty.

– No nie wiem.

Machnął lekceważąco ręką.

– Tchórz. Od razu wiedziałem.

Poczerwieniała.

– Co? Ja tchórz? – spytała ostro.

Amalia pobiegła do królewskiej kuchni – olbrzymiego pomieszczenia z paleniskiem ukrytym pod kamiennym okapem oraz windą transportującą dania na piętro, do apartamentów królewskich, gdzie już wcześniej zwróciła uwagę na dziewczynkę w podobnym jak ona wieku. Na szczęście nie było w tej chwili w tym miejscu rządzącego kucharkami surowego mężczyzny, na którego trzeba było mówić „magister coquine”. Mogła działać bez przeszkód. Musiała szybko zdobyć dla siebie jakiś skromny płaszcz, którym zakryłaby suknię. Jej własne stroje były zbyt drogie i rzucające się w oczy, nie mogła przecież wzbudzać sensacji kosztownym płaszczem na krakowskich ulicach. Młoda służąca, chuda i piegowata, ubrana była w długą prostą wierzchnią suknię z zapaską, tworzącą na niej rodzaj spódnicy, a drobne ramiona zakrywała skrzyżowana pod piersiami chusta. Dziewczyna była czysta i schludna, co Amalii wydawało się teraz bardzo ważne, bo sama myślała o tym, że miałaby włożyć czyjś brudny łach, nawet gdyby to miał być tylko płaszcz, sprawiała, że skłonna była nawet zrezygnować z wyprawy.

Służąca nie знаła żadnego z języków, którymi Amalia się posługiwała, zupełnie więc nie rozumiała, o co chodzi tej wystrojonej i bogatej pannie, która przyjechała tu z królewną. Tym bardziej, że tamta, coraz bardziej zniecierpliwiona, dotykała jej ubrania, robiąc przy tym gest, jakby coś na

siebie zarzucała. Kiedy dwórka wyjęła śliczny kościany grzebyk do włosów, misternie rzeźbiony w kwiaty i ptaki, i wyciągnęła w jej kierunku, pojęła, że piękna panna pewnie chce coś za niego kupić.

– Chcesz moje suknie? – spytała po polsku. Zrobiła przy tym gest, jakby chciała się rozebrać.

– Tak, tak! – Uradowana Amalia pokiwała głową na znak, że zrozumiała. Nie wiedziała jeszcze, jak wytłumaczyć, że chodzi jej tylko o płaszcz, ale najważniejsze dziewczyna zrozumiała.

– Sprzedasz ostatnią koszulinę za grzebień? – ofuknęła ją starsza, czerwona od żaru kobieta, która stała obok i mieszając coś w wielkim garze, przyglądała się tej dziwnej konwersacji. – Chybaś głupia. Za dużo masz przydziewku?

Ale dziewczyna nie słuchała. Takiego grzebyka nie miał nikt w Krakowie, a tej sukni i tak nie lubiła. Zresztą w zeszłym tygodniu matka chrzestna uszyła jej inną, ładniejszą. Po co jej dwie suknie? Pokazała Amalii, żeby szła za nią do pomieszczeń dla służby. Po chwili wyszła stamtąd przebrana, trzymając w dłoniach zdjęte ubranie. Amalia pokręciła przecząco głową, ale dla zobrazowania, o co jej chodzi, wzięła zapaskę i zarzuciła ją sobie na ramiona jak płaszcz.

– Nie chce jaśnie panienska mojej sukni? – W oczach dziewczyny pojawiły się łzy zawodu. Nie rozumiała, co tamta robi z jej zapaską, przecież nie nosi się jej na ramionach. Nagle zrozumiała.

– Chodzi o chustę? – Chwyciła chustę i usiłowała ją podać Amalii.

Dwórka z desperacją pokręciła głową. Czuła, że jednak nie potrafi się z nią dogadać na migi. Jak, do czorta, jest płaszcz po polsku? Aż się skuliła, sama przestraszona tym przekleństwem, ale czas uciekał, a ona nadal nie załatwiła tego, po co tu przyszła. Nagle zauważyła leżący na skromnej drewnianej ławie szary materiał, przypominający pelerynę lub płaszcz. Skoczyła w tamtym kierunku i chwyciła go w rękę. To był płaszcz z kapturem! Sprany, mocno już zużyty, ale dla jej celów wręcz idealny.

– Aaa... chcecie mój płaszcz? – zmartwiła się służka. Suknie miała dwie, to za grzebyk mogła jedną oddać, ale płaszcz?

Amalia zauważyła wahanie dziewczyny i zrozumiała, że to było jej jedyne wierzchnie okrycie. Po chwili zastanowienia odpięła od sukni srebrną broszkę z bursztynem i wraz z grzebykiem podała ją służce. Szkoda jej było tej ozdoby, ale teraz nie mogła się już wycofać.

– Masz – powiedziała po niemiecku – kupisz sobie za nią nowy.

Nie wiadomo, co tak naprawdę dziewczyna zrozumiała, jednak chwilę później Amalia mogła już pobiec na dziedziniec zamkowy w narzuconym na suknię płaszczu. Szymek czekał na wozie ojca.

– Nie wiedziałem, że takie bogate panny noszą takie dziadowskie płaszcze. – Prychnął na jej widok.

– To nie mój. Kupiony – burknęła speszona, ale po chwili odzyskała rezon. – A co, może miałam włożyć pelerynę haftowaną perłami?

Ojciec Szymka, chudy mężczyzna w spiczastym kapeluszu nasuniętym niemal na same oczy, nie zadawał żadnych pytań. Wyglądało na to, że syn wcześniej uprzedził go o niespodziewanej pasażerce. Nie wyglądał na rozmownego ani szczególnie zainteresowanego Amalią.

– Wio! – Splunął na ziemię z wysokości kozła i pogonił chudą szkapę batem. Ruszyli w stronę bramy wyjazdowej z uniesioną kratą, gdzie stało trzech wartowników. Ci widocznie dobrze znali i ojca, i syna, więc nawet ich nie zatrzymali, nakazując woźnicy ruchami rąk, by jak najszybciej przejeżdżał i nie robił zatoru. Wóz zaczął się toczyć w dół, w kierunku miasta.

– Czy to prawda, że mieszkał tu smok? – zagadnęła Amalia, szczerzej otulając się płaszczem, bo na zewnątrz zaatakował ich zimny wiatr.

– Tak się straszy dzieci – odparł Szymek.

– Czyli to bajka?

– A u was, na Węgrzech, nie ma bajek?

– Są. Ale nie o smokach na zamku. Ojciec Albert mówi, że smoki mogły kiedyś żyć, tylko dawno, dawno temu. Potem wymarły. Ale przecież mogły jakieś jeszcze pozostać.

– Po mojemu nigdy ich nie było.

– Przecież Święty Jerzy walczył ze smokiem.

– Walczył albo i nie walczył – uciął dyskusję chłopak.

Zatrzymali się przy placu targowym na Okole, tuż przy kościele Świętego Andrzeja. Szymek zeskoczył z wozu i oznajmił ojcu, że ma zamiar pokazać dziewczynie Kraków, więc dalej pójdą pieszo. Ten nie bardzo był zadowolony, bo mieli razem zrobić jakieś większe zakupy, ale w końcu

machnął ręką. Umówił się z nimi w tym samym miejscu, tuż przed zachodem słońca. Stary dostawca musiał jeszcze raz obrócić na Wawel, a potem zdążyć z powrotem do domu, zanim zamkną bramy miasta.

– Pilnuj sakiewki z monetami, jeśli taką wzięłaś ze sobą – uprzedził ją Szymek. – Zwłaszcza dzisiaj pełno będzie złodziejasków, w takie dni jak dziś mają prawdziwe żniwa. Obetną ci ją tak, że nawet nie poczujesz.

Weszli w ulicę Grodzką i Amalii zdało się naraz, że wkroczyli do głębokiego leśnego wąwozu, ponieważ stojące po obu stronach wysokie kamienice nie dopuszczały zbyt wiele światła. Rynsztokiem na środku ulicy płynął strumień brunatnej wody, ale przy samych murach znajdowały się drewniane chodniki.

Panował na nich taki ruch, że ludziom trudno było się wyminąć.

Amalia i Szymek co chwilę musieli zeskakiwać na środek ulicy, by zrobić miejsce tragarzom czy też spacerującym ze swoją świtą bogatym mieszczanom. Był dzień targowy i z okolicznych wsi od rana ciągnęły do Krakowa tłumy kupujących i sprzedających. Zewsząd słychać było skrzypienie wozów i pokrzykiwanie woźniców. Chłopi przywozili hodowane przez siebie jarzyny, owoce i drób, a w zamian zaopatrywali się tu w miejskie wyroby.

Wytworne ciżemki Amalii – które nieco nie pasowały do płaszcza – szybko pokryły się rozjeżdżonym przez wozy błotem. O ile nie czym gorszym, pomyślała ze wstrętem, widząc biegające po ulicach świnię. Będzie musiała po powrocie wyrzucić buciki, żałowała teraz, że nie włożyła mniej eleganckich.

– To tutaj świnię mogą sobie biegać jak psy? – zdziwiła się, starając nie tracić z oczu Szymka, który zwinnie przeciskał się przez tłum.

– Nie mogą. Można je hodować, ale jest rozporządzenie, że nie wolno ich w mieście wypasać ani ubijać, a takie biegające samopas władze miasta mają prawo zarekwirować. Te, co tu są, pewnie uciekły z targu i to sprawa... – zabrakło mu słowa po niemiecku, więc wypowiedział je po polsku: – ...tutnarów, żeby je wyłapać.

– A co to są ci... – próbowała je powtórzyć za Szymkiem, ale sobie nie poradziła.

– Tutnarowie? Strażnicy targowi.

Wzdłuż Grodzkiej ciągnęły się sklepy i warsztaty rzemieślnicze. Na parterach skierowanych frontem do ulicy domów pootwierano poziome

okiennice tak, że ich dolne części służyły za lady, górne zaś stanowiły ochronę przed deszczem czy też zbyt silnym słońcem. Ujrzała grupkę eleganckich młodzieńców przed pracownią złotnika. Bogato ubrani mężczyźni oglądali wyroby z minami zdradzającymi znajomość rzeczy. Obok nich stał jakiś duchowny w białym habicie, z tonsurą.

– Niemcy – wyjaśnił Szymek. – Ci tutaj pracują w mennicy. Grube ryby. A w tym sklepie można kupić biżuterię i kościelne kielichy dużo taniej niż na kramach w Sukiennicach.

– A Węgrzy też tu mieszkają?

– Mało. Kiedyś było ich więcej, ale pobili się z naszymi, no i sporo ich wyrżnięto, a reszta wyjechała.

Wydawało się, że Szymek zna każdy zaułek i każdą wiążącą się z nim historię. Amalia była zaskoczona sposobem wyrażania się tego prostego chłopaka. A także jego wiedzą. Przez ten krótki czas, jaki zdążyli ze sobą spędzić, dowiedziała się o Krakowie więcej niż z wcześniejszych opowieści na dworze.

– Zaraz dojdziemy na rynek i tam dopiero zobaczysz, co to jest handel w Krakowie i co to Sukiennice. No i tylko tam można sprzedawać i kupować sukna, nigdzie indziej.

Na rynku panował jeszcze większy tłok niż na dochodzących do niego ulicach. Amalia czuła już zawrót głowy. Nad całym placem górowały dwie wysokie ceglane wieże, z których jedna należała do kościoła. W ich majestatycznym cieniu aż się kotłowało. Trwał gorączkowy handel. Mieszanina głosów, dźwięków i zapachów oszałamiała.

Szymek zaprowadził Amalię w pobliże ratusza i Wielkiej oraz Małej Wagi. Nazwy nic jej nie mówiły, ale nie pytała, wiedząc, że pewnie nie raz jeszcze się tu znajdzie i zdąży poznać przeznaczenie tych budowli. Minęli Dom Kuśnierza i topnię metali szlachetnych. Naprzeciwko cmentarza Mariackiego stały Kramy Żelazne, a po drugiej stronie Sukiennic, jak opowiadał niezmożony Szymek, Kramy Bogate. Wszystkie nazwy zaczęły jej się plątać, a od bogatych tkanin i przedmiotów, wystawionych na straganach, mieniło się w oczach. Wystrojone damy i brzuchaci panowie, obwieszeni złotymi łańcuchami, ze znudzonymi minami oglądali towar. Amalia poczuła zapachy smażonych kiełbas i wątróbki z cebulką, a to jej uświadomiło, że jest już trochę głodna.

– Ta część miasta jest dla majątnych – rzekł Szymek. – A większość mieszkańców żyje przy murach. Tam już nie jest tak ładnie.

– Zaprowadzisz?

– Nie ma tam nic do oglądania. I po głowie można oberwać.

– Od kogo?

Wzruszył ramionami.

– Od band. Jak nie obdartusy z Kleparza, to scholarze albo synowie rzeźników z jatek. Ci ostatni najgorsi, bo noszą ze sobą spore noże. Co tydzień z Wisły albo z Rudawy wypływa jakiś zakłuty trup.

– Och!

– Biją się między sobą albo urządzają walki ze strażnikami miejskimi. Zwłaszcza kiedy popiją. Trzeba też uważać na porywaczy dzieci.

– Porywają dzieci?

– A co myślałaś? Szczególnie te biedne, co się kręcą jak psy. Potem okaleczają je i każą dla siebie zebrać.

– Brr. Okropne. Może już wracajmy. Zgłodniałam.

– Dobrze. Ale nie masz się czego bać. Jesteś ze mną, ja cię obronię. Idziemy?

Spojrzała na niego z wdzięcznością i tylko pokiwała głową w odpowiedzi. Poczula się u jego boku jak dama w towarzystwie rycerza.

Szymek ujął ją za rękę i pociągnął za sobą w kierunku ulicy Świętego Ducha, gdzie przy studni pojono konie i bydło. Kiedy wyraziła zdziwienie, skąd krowy w mieście, wyjaśnił, wyciągając przed siebie rękę:

– Tam, za tymi domami są jatki rzeźnicze, a tutaj spędzane jest bydło.

Pod murem cmentarza przy kościele Najświętszej Marii Panny siedzieli i leżeli przyjezdni. Opatuleni w grube opończe, posilali się lub załatwiali interesy. Niektórzy grali w kości, inni drzemali. Wyglądali raczej nędznie, zarośnięci, w wyblakłych od słońca, sztywnych tunikach z szorstkiej wełny. Im bliżej rzeźni, tym więcej było psów, zwabionych zapachem świeżego mięsa.

W pewnej chwili zrobiło się zamieszanie. Zza kościelnego muru wyszedł potężny mężczyzna w zielonej opończy, ciągnący za włosy kilkuletniego chłopaka. Miał podłużną twarz o szarych, zimnych oczach i był kompletnie

łysy. Od razu dostrzegł Amalię i spojrzał na jej eleganckie cizemki, wystające spod zgrzebnego płaszcza. Wyróżniały się mimo pokrywającego je błota.

Zwrócił się do dziewczyny po polsku.

– Pyta, kim jesteś – przetłumaczył drżącym głosem Szymek.

– Powiedz mu – odrzekła niepewnie Amalia.

Chłopak zaczął coś tłumaczyć mężczyźnie. Tamten spojrzał na nią w taki sposób, że zrobiło jej się zimno.

Chciał jeszcze o coś zapytać, ale wyrostek, którego ciągnął za sobą, skorzystał z chwili nieuwagi, wyrwał się i zaczął biec w kierunku jatek.

Mężczyzna zaklął i pobiegł w ślad za uciekinierem, wyjmując zza pasa drewnianą pałkę.

– Kto to był? – spytała oszołomiona Amalia.

– Justyn. Dowódca straży miejskiej. Lepiej nie wchodzić mu w drogę. Okrutny. Potrafi zbić do nieprzytomności. Albo i zabić.

– Jestem w stanie w to uwierzyć.

– Pospieszmy się – powiedział Szymek, jakby dopiero teraz zauważył, że słońce chyli się już ku zachodowi. – Ojciec mnie zabije, jak nie zdążymy przed zamknięciem bram miasta. Resztę pokażę ci następnym razem.

Wrócili na zamek bez przeszkód. Kiedy Amalia, kompletnie wykończona wędrówką po mieście, kładła się spać, czuła nadal podniecenie i radość. Po pierwsze, nikt nie zauważył jej nieobecności, a po drugie, to życie poza królewskim dworem było takie fascynujące. Nie wszystko jej się spodobało, ale z natury była ciekawa wszystkiego, więc nawet opowieści o porywaczach dzieci ani twarz Justyna nie popsowały jej dzisiaj zabawy. Dyskretnie wyrzuciła ubłocone cizmy i włożyła nowe. Płaszcz dziewczyny z kuchni schowała na dnie kufra – mógł jej się jeszcze przydać.

Z obrazem roześmianej twarzy Szymka usnęła w końcu kamiennym snem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Litwini, wspomagani przez ruskie pułki, rozbili Krzyżaków oskrzydającym uderzeniem lekkiej jazdy, gdy niemieckie tabory próbowały przekroczyć bród na Niemnie. Książę Jagiełło, jak przystało na urodzonego myśliwego, już od dwóch dni szedł leśnymi bezdrożami śladem rycerzy zakonnych, którzy wycofywali się spod Kowna w kierunku twierdzy Marienwerder.

Starcie było krótkie, lecz gwałtowne.

Uderzeniami kopii, sulic i mieczy litewscy i ruscy wojownicy zepchnęli Krzyżaków do rzeki, zanim ci zdążyli zorganizować obronę. Pośród przenikliwego głosu rogów, wschodnich piszczałek, ludzkich wrzasków i rżenia koni Niemcy nie wiedzieli nawet, co się wokół nich dzieje. Nie słyszeli rozkazów swoich dowódców i byli jak owce zagnane do zagrody. Wielu usieczono, wielu pojmano, reszta rzuciła się do ucieczki w pław. Nie trwało to dłużej niż kilkanaście minut.

Potem wszystko ucichło, słychać było tylko szum rzeki i jęki rannych.

Wielki książę objeżdżał konno zarośnięty trzcina brzeg, w towarzystwie siwobrodego ruskiego dowódcy Siemiona Borzakowskiego. Mijali krzyżackie trupy, z których zwłóczono już zbroje i szaty. Leżały powykręcane, niektóre do połowy zatopione w mętnej od krwi przybrzeżnej wodzie.

– Ich naczelnik pojmany? – spytał Jagiełło. Miał na sobie kolczugę i naramienniki, ale był z gołą głową. Jego długie czarne włosy tańczyły na wietrze.

– Sami znacie: uciekał – odparł Rusin w litewskim narzeczu ruskiego.

– W lesie się nie ukryje.

– Niet.

– Chyba że czekają na jakąś odsiecz. Przepytałiście jeńców?

– O nijakiej odsieczy nie słyszno, wielikij kniaziu.

Od strony rzeki dobiegł nieprzyjemny skrzek wodnego ptaka. Klacz Jagiełły zastrzygła uszami, prychnęła niespokojnie. Książę delikatnie poklepał ją po aksamitnej szyi. Miał ją od niedawna, bo poprzedni wierzchowiec złamał nogę poniżej napięstka i trzeba go było zabić.

– Niemcy sobaki. Prawdy nie powiedzą, prędzej zdechną – westchnął, a potem uniósł na moment głowę i popatrzył na zaciągnięte niebo. Masy szarych chmur płynęły gdzieś z północy, znad zimnego morza, obojętne na małe ludzkie losy.

– Oby bogowie mieli nas w opiece, kiedy będziemy te wozy ciągnąć do Wilna.

Siemion, gorliwy prawosławny, zignorował pogańską prośbę i poprawiając na głowie żelazny szyszak, mruknął tylko:

– Budzie, co ma byt.

Rosyjskie pułki służyły u Jagiełły od dawna. Wielki książę zręcznie wykorzystywał niesnaski pomiędzy poszczególnymi kniaziami, w szczególności między Moskwą i Riazaniem, a także wielkie ambicje Tweru oraz samowolę na ziemiach smoleńskich i briańskich. Jego ruskim sojusznikom nie przeszkodziło nawet to, że w wojnie Dymitra z tatarskim psem Mamajem Jagiełło wziął stronę stepowego najeźdźcy.

– Zostaniemy tu na noc. Rano wyruszamy do Wilna – rzekł teraz.

Nagle od strony lasu zbliżyli się dwaj konni, gnający przed sobą jakiegoś brodacza w białym płaszczu. Jednym z jeźdźców był Varnas, dowódca wileńskiej drużyny konnych, ubrany w skórzany kaftan z naszytymi metalowymi płytkami. Jagiełło lubił tego chłopaka, gdyż był odważny i szybko myślał.

– Ten im przewodził – powiedział Varnas, gdy wraz z jeńcem znaleźli się przy księciu. – Znaleźliśmy go w szuwarach. Krył się jak zajac.

– Ich naczelnik? – spytał książę.

– Tak.

Brodacz był w sile wieku, otyły, ubłocony teraz i zdyszany. Z lękiem patrzył na Jagiełłę.

– Ktoś ty? – spytał wódz Litwinów.

Krzyżak nie odpowiedział, więc Varnas trącił go sulicą.

– Olaf Handke – wyszeptał tamten, spuszczając głowę.

– Zabrać go do obozu. Pogadamy sobie z nim dzisiaj. Ale pamiętaj, Varnasie, włos z głowy ma mu nie spaść, póki psa nie przesłuchamy.

Jagiello dużo wiedział o swoich wojownikach, także i to, że rodzinę Varnasa wymordowali zakonnicy.

Młodzieniec w milczeniu skinął głową. Wystarczyło spojrzeć w tę szczupłą, wilczą twarz z szarymi oczami, aby wiedzieć, że księżę nie żartuje.

Wieczorem nad rzeką zajaśniały ogniska, stanęły namioty. Litwini otoczyli obóz swoimi oraz zdobycznymi taborami. Świętowali zwycięstwo, pijąc wino i rozdzielając łupy. Wojownicy w kozuchach, tatarskim zwyczajem włożonych futrem na wierzch, śpiewali i tańczyli wokół ognia. Ciało zabitych wrogów były już dawno obdarte z szat. Na pobliskich drzewach powieszono dla zabawy kilku młodych niemieckich giermków, za których nie spodziewano się żadnego okupu, a chudego kłeryka pośród gwizdów i śmiechów utopiono w Niemnie.

Tuż po zachodzie słońca zwiad poinformował księcia, że odnalazł w lesie porzucone przez Krzyżaków dwie katapulty i maszynę oblężniczą, co wprowadziło Jagiełłę w jeszcze lepszy nastrój. Odkąd jego stryjeczny brat, Witold Kiejstutowicz, odzyskał wreszcie rozum, przestał się bratać z zakonnikami i przyłączył się do niego, wszystko zaczęło się znakomicie układać. Niemieckie psy poddawały twierdzę za twierdzę, czmychały do siebie z podkulonymi ogonami. Pozostawało tylko zdobyć Marienwerder, czyli Wyspę Najświętszej Panny, warownię zbudowaną przez Krzyżaków wielkim nakładem sił i środków. Ale i na to przyjdzie czas. Najpewniej przed zimą twierdza będzie w litewskich rękach.

No cóż, nie był to może najłatwiejszy sojusz, gdyż dawna zdrada Witolda, chrzest przyjęty od Niemców, a także fakt, iż Jagiełło uwięził jego ojca, Kiejstuta, i wyrzucił stojących przy nim bojarów – wszystko to wciąż kładło się cieniem na ich relacjach. Ale w polityce liczą się układy, a ten układ się sprawdzał. Zresztą obaj książęta byli do siebie podobni – chytry i przemyślni w zawieraniu i zrywaniu układów, no i krewcy.

Syn Olgierda wydawał się jednak lepszym graczem niż syn Kiejstuta – a w dodatku od jakiegoś już czasu znacząco rósł w siłę, dawał się poznać

w wielkich stolicach. Uważano go tam nie za dzikusa, lecz za nowoczesnego, obiecującego polityka, który na dodatek dysponował olbrzymią siłą militarną. Już oferowano mu rękę córki Dymitra Moskiewskiego, a także małąletnią Węgierkę, Jadwigę, którą Lachy sprowadzić miały właśnie do Krakowa, aby im panowała. Szykował się więc nowy sojusz, dużo ważniejszy – albo z Moskwą, albo z Polską.

A to oznaczało, że młody książę stawał się znaczącą figurą na politycznej scenie.

Krzyżackich jeńców spędzono kopniakami na podmokłą łąkę, jak bydło, i otoczono strażami. Pośród pojmanych byli nie tylko bracia zakonnicy, ale także Czesi i Brandenburczycy, trafiło się nawet kilku rycerzy z Burgundii. Ci przyjezdni szukali tu wojennej sławy, którą dworscy poeci mogliby potem opiewać w pieśniach. Znaleźli niewolę. Jagiełło zamierzał wymienić ich na swoich jeńców, lecz jeśli wojna będzie miała dalej tak pomyślny przebieg, pewnie sprzeda tych kurwich synów Rusinom albo Tatarom.

A kogo nie sprzeda, tego powiesi.

Podczas gdy książę, wraz ze starszyzną, przesłuchiwał w swym namiocie Olafa Handkego, chcąc się wywiedzieć, gdzie znajduje się teraz Konrad Wallenrod, Varnas przechadzał się w pobliżu jeńców. Trzymał w ręku pochodnię i ciekawie przyglądał się ich twarzom. Czynił tak po każdej wygranej bitwie. Zawsze zastanawiał się, czy pośród tych ścierw znajdują się mordercy, którzy spalili jego wioskę. Było to nieracjonalne, bo przecież nie widział tamtych napastników. Wiedział jedynie od Mildy, że jeden z nich, zapewne dowódca, miał rudą brodę i bliznę na twarzy. Wypatrywał kogoś takiego, ale brodaczy z bliznami było wśród tych drani wielu, toteż przypominało to szukanie igły w stogu siana. Nie rezygnował jednak. Nie mógł się powstrzymać. Chciał widzieć strach w niemieckich oczach.

Dzisiejsi jeńcy siedzieli na mokrej trawie, bez zbroi, z podkulonymi kolanami, związani po dwóch plecami do siebie. Większość spuszczała wzrok, kiedy przechodził, lecz niektórzy hardo podnosili oczy. Takich miał ochotę zarznąć na miejscu. Albo lepiej: poprzybijać do drzew, tak jak na wizerunkach ich fałszywego boga Krista. Jednakże wiedział, że Jagiełło wyrzuciłby go za to z drużyny. Na wybryki prostych wojaków przymykał oczy, ale od dowódców wymagał dyscypliny i zimnej krwi.

– Szukasz kogoś konkretnego? – zapytał go zniemacka jeden ze strażników, wysoki Litwin ze szpakowatą bródką. Trzymał w dłoni

kubek z piwem, na ramieniu oparł zdobyczną kuszę. – Chcesz sobie do nich postrzelać, musisz zapłacić.

Varnas pokręcił głową.

– Dla tego, którego szukam, byłaby to zbyt lekka śmierć.

– Nadepnął ci na odcisk podczas dzisiejszej bitki?

– Nie, wymordował mi rodzinę.

Tamten umilkł, upił piwa.

– Uff, poważna sprawa – rzekł wreszcie. – I widziałeś go nad rzeką?

– Nie.

– Jak wygląda?

– Ruda broda. Blizna na twarzy. Niemłody. Znaczny.

Strażnik zastanowił się chwilę.

– Jak rudy, to może być Johann Rist. Czerwony Diabeł.

Varnas drgnął.

– Jest tutaj?

– A skąd! On siedzi przy Konradzie Wallenrodzie. Najbardziej zaufany jego człowiek. I prawdziwy rzeźnik, łupił Żmudź i okolice Wilna, nie przepuszczał nikomu. Każdy chciałby go dorwać.

– Powiadasz Johann jaki?

– Rist.

– Rist. Zapamiętam.

Trzy dni później powrócili do Wilna, ciągnąc za sobą wozy z krzyżacką bronią i srebrem, a także katapulty. Maszynę oblężniczą trzeba było rozebrać, bo nie mieściła się na wąskich leśnych drogach.

Gdy Varnas wrócił do domu, zastał swoją żonę w łóżku, śmiertelnie bladą i wychudłą.

– Jak się czujesz? – Uklęknął przy niej i dotknął jej czoła. Ściemniało się, izbę rozświetlał mdły płomyk kaganka.

– Dzisiaj lepiej.

– Pomagają wywary?

Uśmiechnęła się smutno.

– Jak widzisz, trzymają mnie przy życiu. A ty? Nie jesteś ranny?

Lekceważąco machnął ręką.

– Tylko stłuczone żebro i skaleczone dłonie. Szkoda gadać. Podczas bitki w karczmie gorzej można oberwać.

– Bogom dzięki.

– I ty wyzdrowiejesz. Przywiozłem ci to.

Wyjął zza pasa okrągłą złotą broszkę, którą dostał od kupca za zdobyczny krzyżacki sztylet.

– Bułgarska.

– Piękna – szepnęła Ina.

– Gdzie Milda?

– Zdziwisz się.

– Tak?

– Poszła pomagać przy porodzie.

– Taka smarkuła? – zaśmiał się Varnas, choć nie był to śmiech tak wesoły, jak by pragnął.

– Ona już mnóstwo umie. I ludzie jej zaczynają ufać. Będzie z niej dobra uzdrowicielka.

– To będę miał dwie uzdrowicielki w domu.

Nie odpowiedziała, a Varnas uciekł w bok spojrzeniem.

Znowu poczuł, jak zalewa go fala smutku. Kiedy był na wyprawie, walczył, przedzierał się przez lasy, nie miał czasu myśleć o zmartwieniach, żył chwilą obecną, jak zwierzę, ale za każdym powrotem do domu na widok tej ukochanej, wypełnionej cierpieniem twarzy doznawał wstrząsu. Ina umierała. Nie było dla niej ratunku. Choć starał się odpychać tę myśl od siebie, wracała uparcie. Doszło do tego, że pragnął nowych wojen, nowych wypraw, byleby tylko nie być bezsilnym świadkiem tego umierania.

– Daleko poszła Milda? – spytał, otrząsając się z ponurych myśli.

– Do żony Korybuta, tego garbarza.

– Znam go. Nie mam za dużo czasu, niedługo muszę wracać na zamek. Pójdę po nią, żeby sama się nie kręciła po mieście. Za dużo tu wojska. Podczas wyprawy wojacy trzymanii są w ryzach, ale jak ich rozpuścić, zachowują się jak najgorsza hołota. A nasza Milda to już młode dziewczę.

– O tak. Nad wiek rozwinięta.

– A dopiero co była dziewczuszką z puszczy, prawda?

– Czas szybko leci.

– Potrzebujesz czegoś?

– Nie. Idź, bo już prawie ciemno.

Szedł dranicowym chodnikiem, przyciśnięty do drewnianych budynków śródmieścia. Było już ciemno, ale wszędzie paliły się pochodnie, a zza rozpiętych w oknach błon przeświecało światło kaganków i łuczyw. Wilno świętowało dzisiaj zwycięstwo. Słyszał krzyki i pijackie śpiewy, widział zataczających się wojaków. Dzielnica garbarzy była nad samą rzeką, przy wałach. Musiał przeciąć targ mięsny, a potem przejść przez sady i minąć niedawno zbudowaną, zapewne z polecenia Julianny, ruską cerkiew.

Chłodne powietrze podziałało na niego zbawiennie, znów poczuł się swobodnie, choć wyrzucał sobie, że w jakiś sposób ucieka od zaduchu i ponurej atmosfery swojego domu. Kiedy mijał gospodę Pod Złotym Kozłem, ujrzał gospodarza toczącego przed wejściem beczkę z piwem. Niemiec zauważył go również.

– O, Varnas. Nie świętujesz?

– Nie mam czasu. Na zamku mamy mnóstwo jeńców.

– Nazbieraliście ich jak grzybów.

– Tyle że to same trujące grzyby.

– Prawda, utłuc by ich. Szkoda żarcia dla takich.

– Pójdą na wymianę.

Gospodarz rozprostował grzbiet, wytarł ręce o fartuch.

– Słyszałeś już wieści? – spytał.

– Jakie wieści?

– Ano znaleziono tego Rytisa.

Varnas zaczął szybciej oddychać, ale udał obojętność.

– Kogo?

– No, tego kupca, z którym miałeś u mnie sprzeczkę. Nie wiesz, że zaginął?

– A, tak. Pamiętam go.

– Ktoś go zabił i wrzucił do rzeki. Ciało znaleźli chłopcy, kiedy łowili ryby. Wydawało im się, że to worek ze szmatami, zaczęli trącać kijem, aż zobaczyli wystającą napuchniętą rękę. Całe miasto o tym mówiło.

Varnas pokiwał głową, starając się nie okazywać zainteresowania, ale serce biło mu szybko.

– Mówisz, że ktoś go zabił?

– Na pewno. Wsadził do wora, obciążył kamieniem. Ale sznur, którym głaz był przywiązany, przegnił i puścił. Ciało praktycznie nie do rozpoznania.

Varnas odchrząknął.

– To skąd wiadomo, że to on?

– Rozpoznano sygnet i naszyjnik z wilczych kłów. Rytis chwalił się tymi zębiskami w gospodzie, mówiąc, że napadła na niego kiedyś wilcza wataha, a on wszystkie bestie pozabijał i teraz ma pamiątkę po tym zdarzeniu. Łgał jak zawsze, ale ludziom utkwilo to w pamięci.

Varnas zaklął w duchu. Powinien był pomyśleć o tym przed wrzuceniem ciała do wody. Ale nie przypuszczał, że porządny sznur tak szybko przegnije.

– Znaleźli już mordercę? – spytał.

Karczmarz pokręcił głową.

– Nie, ale szukają kogoś, komu mógł się narazić.

Po tych słowach spojrzał dziwnie na Varnasa, po czym dodał:

– Muszę iść. Wołają mnie. Dzisiaj poszły już trzy beczki.

Varnas uśmiechnął się, wkładając w to całą siłę woli.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ponieważ nikt nie zauważył wyprawy Amalii i Szymka do miasta w drugi dzień pobytu w Krakowie, dziewczynka uznała, że los ewidentnie jej sprzyja, zatem można go prowokować dalej. Nazajutrz po pierwszej eskapadzie znów wyruszyła z chłopakiem, tym razem w kierunku jego rodzinnego Łobzowa. W swej naiwności pomyślała, że do czasu koronacji, kiedy trwać miało największe zamieszanie, będzie mogła urządzać sobie takie wycieczki codziennie.

Bardzo się pomyliła.

Kiedy po powrocie z Łobzowa, zadowolona z własnego sprytu, weszła do komnaty, w której mieszkała, jedna z jej przyjaciółek, dziesięcioletnia Helena, powitała ją zaaferowaną miną i słowami:

– Masz iść do ochmistrzyni, natychmiast.

– Po co?

– Lepiej nie pytaj. Wszyscy są wściekli.

No to ładnie, pomyślała przestraszona Amalia. Czy ta kobieta ma jakiś szósty zmysł? Zamek przypominał teraz mrowisko, a pani Csaksy potrafiła wyczuć chwilową nieobecność jednej małej mrówki.

Z duszą na ramieniu, przygotowując sobie w myślach usprawiedliwienie, wspięła się po schodach na piętro, gdzie mieściły się pokoje najstarszych dwórek. Odnalazła komnatę ochmistrzyni, uchyliła drzwi.

Ale cioteczki w środku nie było. Zamiast niej Amalia zobaczyła szczupłą kobietę o podłużnej, surowej, poznaczonej drobnymi bliznami twarzy, w białej szacie i takiej samej podwice z nałożonym na nią czepcem. Mogła mieć trzydzieści lat i prawdopodobnie była Polką, ponieważ dziewczynka widziała ją pierwszy raz na oczy.

– Ty jesteś Amalia? – spytała jednak po niemiecku. Głos miała zaskakująco łagodny i cichy.

– Tak, proszę pani.

– Zamknij za sobą drzwi.

Wykonała polecenie.

– Jeszcze się nie znamy – rzekła kobieta. – Jestem Krystyna. Będę tu nową ochmistrzynią.

Amalia zdumiała się.

– Jak to? A co z cioteczką Csaksy?

– Wraca na Węgry zaraz po koronacji.

– Ale dlaczego?

– Dostojni polscy panowie uznali, że królowa i dziewczęta powinny nasiąkać tutejszym językiem. I kulturą.

Dziewczynka potrzebowała chwili, aby przetrwać tę wiadomość. Walczyły w niej sprzeczne uczucia. Z jednej strony nie znosiła cioteczki, bała się jej jak diabeł święconej wody, lecz z drugiej... przyzwyczała się już do niej, była ochmistrzynią, odkąd Amalia pamiętała.

– W dodatku czcigodna pani Csaksy ma kłopoty ze zdrowiem – ciągnęła Krystyna – i nie bardzo już nad wami panuje. Czego najlepszym dowodem jest twój przypadek, słodka Amalio.

Podeszła do jednego ze stojących pod ścianą kufków, wyjęła z niego lichtarz, po czym postawiła go na parapecie okna. Wyglądało na to, że już urządza się w pokoju cioteczki. Amalii nie spodobało się to. Wcale a wcale.

– Bardzo dobrze nad nami panuje – odparła hardo.

– Obawiam się, że jest zbyt pobłażliwa.

Pobłażliwa? Dziewczynka ze zdziwienia aż uchyliła usta.

– Nie rób takiej głupkowatej miny, dziecko, bo wyglądasz teraz jak wiejska dziewczucha.

Amalia przybrała stosowny wyraz twarzy.

– Doniesiono mi, że wymykasz się z zamku do miasta. Prawda to?

Przytaknęła. Nie było sensu zaprzeczać.

– Wiesz, że u jednej z dziewczyn kuchennych znaleziono przedmioty, których mieć nie powinna? Broszkę i grzebyk.

Wróciła do kufra i wydobyła z niego figurkę przedstawiającą Świętego Piotra z rybacką siecią.

– Oskarżono ją o kradzież i wyrzucono z zamku – powiedziała bez emocji, rozglądając się za najlepszym miejscem dla apostoła.

– Ona nie ukradła tamtych rzeczy – zaprotestowała Amalia. – Ja jej dałam.

– Ty jej dałaś. A były twoje? Zarobiłaś na te przedmioty?

– No nie.

– Tak właśnie myślałam.

– Ale dostałam je w prezencie od...

– Nieważne. Po co włóczyłaś się po mieście?

Amalia przełknęła ślinę.

– Z ciekawości.

– Widzisz, tak sobie myślę: może ty nie pasujesz tutaj? Może powinnaś zamieszkać razem z tym wieśniakiem, który cię przemycił za bramę?

– To nie wina Szymka. Zmusiłam go.

– Opowiadano mi, że jesteś nieznośna i zarozumiała. Że tylko z łaski trzymają cię na dworze.

Amalię zalała fala gniewu.

– Z żadnej łaski! Są to winni mojej matce!

Twarz Krystyny zmieniła się gwałtownie, aż w komnacie powiało chłodem.

– Milcz! Ty arogancka smarkulo! Nikt i nikomu nie jest nic winien. Nastąpiły nowe porządki, a ty, jeśli chcesz pozostać przy naszej królowej, masz odtąd mnie słuchać. Zrozumiano?

– Tak.

– Za karę nauczysz się na pamięć dziesięciu psalmów, począwszy od sto dwudziestego siódmego. A po koronacji jeszcze sobie porozmawiamy. I zabraniam ci spotykać się z tym, jak mu tam? Z Szymkiem.

Amalia wróciła do siebie zdruzgotana. Nie dość, że wpadła, to jeszcze nowa ochmistrzyni okazała się dużo gorsza niż Csaksy. Nie wróżyło to dobrze na przyszłość. I co najgorsze, nie wolno jej było spotykać się z Szymkiem.

Przeplakała całe popołudnie.

Wieczorem dostała od ojca Alberta ujęty w drewniane okładki psalterz. Otworzyła go i pociągając nosem, zaczęła czytać:

*Jeśli Jahwe domu nie zbuduje,
Na próżno się trudzą ci, którzy go wznoszą...*

Nic z tego nie rozumiała, tym bardziej że myślami była teraz z Szymkiem pośród łobzowskich sadów.

Rano postanowiła odszukać cioteczkę Csaksy. Musiała jej zadać kilka pytań, zanim tamta wróci na Węgry. Poza tym nie wyobrażała sobie rozstania bez pożegnania z kobietą, która wychowywała ją od najwcześniejszego dzieciństwa. A ochmistrzyni nie pokazywała się ostatnio publicznie, jakby zupełnie odsunięta w cień przez zimną i wyniosłą Krystynę.

Był ciepły październik, słońce świeciło jeszcze dość mocno, więc jedynym miejscem, w którym mogła teraz znaleźć panią Csaksy, wydawały się królewskie ogrody. Umiejscowione na górnym tarasie, między wschodnią elewacją zamku a zewnętrznymi fortyfikacjami, zapewniały roślinom zaciszny zakątek, a spacerującym tam mieszkańcom Wawelu odosobnienie i spokój. Amalia zbiegła po stromych schodkach do ogrodu, gdzie na posadzce z kamiennych płyt, w ogromnych skrzyniach rosły kwiaty. Oszałamiający zapach jesiennych róż przyprawiał wręcz o zawrót głowy.

– Co ty tu robisz?

Pani Csaksy wyprostowała się nagle, zaskoczona obecnością dziewczyny. W dłoni trzymała urwane przed chwilą płatki przekwitającej róży. Spod wysokiego czepca spoglądały na Amalię zmęczone, zaczerwienione oczy.

– Szukałam cioteczki, bo... – Nie wiedziała, od czego zacząć, a ochmistrzyni nie zamierzała jej tego ułatwić. Wyglądała zresztą na nieobecna, jakby zadała pytanie odruchowo, ale wcale nie interesowała jej odpowiedź.

– Spójrz – delikatnie chwyciła ciemnoróżowy kwiat i przyciągnęła go w stronę Amalii – to róża damasceńska, jej jesienna odmiana. Kwitnie na przełomie września i października, więc, jak widać, zaczyna już przekwitać. Jest bardzo odporna na mrozy i pięknie pachnie. A tu – podeszła do drugiego krzaczka – *Rosa gallica*, czyli róża francuska. Kwitnie w czerwcu, więc już nie zobaczę...

– Cioteczko – przerwała jej cicho Amalia – dlaczego?

Przez chwilę wyglądało na to, że starsza kobieta nie usłyszała pytania. Zebrała kolejną garść przekwitłych płatków róży damasceńskiej i w końcu odwróciła się do Amalii.

– Dlaczego? Bo jestem już stara i nikomu niepotrzebna. Bo teraz przyszedł czas dla innych, młodszych i dla Polaków. Może to i racja, dla mnie już za późno, żeby się uczyć nowego języka i nowych zwyczajów. Swoje zrobiłam. Wychowałam między innymi ciebie i jestem z tego dumna.

Amalii z wrażenia aż zabrakło słów. Nigdy wcześniej pani Csaksy tak jawnie jej nie pochwaliła.

– Tak, to prawda. – Pokryta dziobami twarz cioteczki rozjaśniła się w nieoczekiwanym uśmiechu. – Jestem z ciebie dumna. Wiem, że może byłam zbyt surowa i wymagająca, ale to dlatego, że kochałam cię jak córkę. Kochałam też twoją matkę, ale żeby was chronić, musiałam się kryć ze swoimi uczuciami.

– Kim był mój ojciec?

Pani Csaksy drgnęła i odruchowo, zamiast zebrać zwiędłe płatki, złamała lodyżkę róży. Podniosła do ust skaleczony cierniem palec.

– Był dobrym człowiekiem, ale słabym. Lepiej dla ciebie, żebyś zbytnio nie dociekała. Z tego mogą wynikać kłopoty...

– Moja matka dała mi do zrozumienia, że...

– Cicho bądź! – Csaksy chwyciła ją za ramię i rozejrzała się wokół przestraszona. – Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nigdy nie wymawiaj tego imienia na głos! Nawet gdyby to była prawda, niczego to nie zmieni, a tylko może skomplikować ci życie. Nie zdajesz sobie z tego sprawy? Nie masz żadnych dowodów. Ja też nie mam. Są tylko plotki i przypuszczenia.

– Ale matka zostawiła mi list, w którym obiecała wszystko wyjaśnić.

– Masz ten list?

– Nie, podobno został spalony razem z jej posłaniem w klasztorze.

– Czyli nie masz.

– A cioteczce też nic nie mówiła? Przecież byliście blisko.

Starsza kobieta uciekła spojrzeniem w bok.

– Nie – odpowiedziała po chwili. – Prosiła tylko, żebym się tobą opiekowała i wychowała cię na wartościową kobietę. Tego słowa dotrzymałam. Więcej nic nie wiem.

W milczeniu ruszyły w stronę zamku. Amalia wiedziała, że niczego już się nie dowie od wiernej ochmistrzyni, która najwyraźniej przysięgła swojej poprzedniej wychowance, że dotrzyma tajemnicy. Cioteczka Csaksy zerwała pęk pachnącej, pięknie rozwiniętej róży i podała ją dziewczynce.

– Weź i zasusz ją w swoim modlitewniku. Niech ci przypomina o mnie, kiedy już wyjadę.

Amalia wzięła kwiat i nagle, jak małe dziecko, wtuliła się w ramiona swojej opiekunki. Stały tak przez chwilę obie w milczeniu, ale w poczuciu bliskości i ogromnego smutku.

Coś się kończyło dla nich obu i zdawały sobie z tego sprawę.

W dniu koronacji młodziutkiej Andegawenki już od samego rana na krakowskim zamku zaczęli się gromadzić dostojnicy koronni, duchowieństwo i możni panowie. Z Węgier przybył wraz z Jadwigą kardynał Dymitr, papieski legat, jej przewodnik oraz duchowy doradca. Towarzyszył mu biskup czanadzki Jan oraz przedstawiciele polskiego duchowieństwa, arcybiskup gnieźnieński Bodzanta i krakowski biskup Jan Radlica.

Rano po schodach wiodących na piętro do komnat ruszyła uroczysta procesja duchownych i zatrzymała się przed królewską sypialnią. Do środka, gdzie na łożu z baldachimem czekała przebrana już w dalmatykę Jadwiga, wkroczył metropolita w złocistej kapie i paliuszu, a także dwaj biskupi niosący kropidło i kadzielnice. Po wstępnej modlitwie arcybiskup okadził przyszłą królową i pokropił ją wodą święconą, a potem wyprowadził przez drzwi, za którymi czekali już czterej opaci, trzymający drążki pozłocistego baldachimu.

Wśród szpaleru duchowieństwa pochód ruszył przez sień ku schodom, a stamtąd na zewnętrzny dziedziniec. Arcybiskup zaintonował podchwycony zaraz przez duchowieństwo śpiew: *Ecce mitto angelum meum...*³, a górujący nad tłumem baldachim, który osłaniał kroczącą Jadwigę, przesuwał się, jakby płynąc w powietrzu, w kierunku katedry. Pogoda była słoneczna, choć wiał dość silny wiatr. Na czele pochodu szli możni panowie i szlachta, za nimi opaci z pastorałami i w infułach, biskupi w pontyfikalnych szatach i arcybiskupi, polski oraz węgierski, a potem dygnitarze koronni z insygniami królewskiej władzy. Koronę i berło nieśli kasztelan i wojewoda krakowski, jabłko i szczyrbiec zaś wojewodowie innych miast. Tuż za tymi godłami kroczyła młodziutka władczyni w stroju koronacyjnym, czyli w złocistych sandałach i królewskim płaszczu. Na

drogocenną kapę spływały jej piękne, rozpuszczone włosy koloru jasnego bursztynu.

Całemu przemarszowi towarzyszyło liczne grono trębaczy i fletnistów, a tłumy dworzan i szlachty z zapalonymi świecami w dłoniach wznosiły gromkie okrzyki na cześć nowej monarchini.

W katedrze, na centralnym miejscu ustawiono tron.

Jadwiga stanęła obok ołtarza, na którym przygotowano królewskie insygnia. Rozpoczęła się msza święta. Jeszcze przed odczytaniem Ewangelii arcybiskup spytał królową, czy ta chce zachowywać wszystkie prawa, swobody i przywileje narodu.

– Chcę – odparła dźwięcznym, dziewczęcym głosem.

– Chcesz wiary świętej katolickiej bronić i służyć jej sprawiedliwymi czyni?

– Chcę.

– Chcesz Kościoła i sług jego być opiekunem i doradcą?

– Chcę.

– Chcesz królestwem od Boga powierzonym rządzić i onego bronić?

– Tak mi, Boże, dopomóż i święta Ewangelio.

Po obrzędowych pytaniach Jadwiga uklękła przed arcybiskupem i położywszy dłoń na księdze, głośno powtórzyła za nim słowa przysięgi:

Promittimus bona fide, absque omni do lo cuiuslibet fraudis, sub sacramento fidei nostrae, ipsum coronam regni Poloniae...⁴

Opaci uroczyście, pod wspianiałym baldachimem, przynieśli z kapitulacza olej święty, w którym arcybiskup zanurzył prawy kciuk i namaścił nim kark i prawe ramię młodziutkiej królowej. Suknia koronacyjna była tak uszyta, że można je było z łatwością odsłonić. Zebrani w katedrze trwali w milczeniu, podczas którego jeden z biskupów wytarł jedwabiem namaszczone miejsca i z powrotem nałożył na ramiona Jadwigi odsunięte wcześniej szaty.

Następnie arcybiskup zdjął ostrożnie koronę z ołtarza i włożył ją na skronie niespełna jedenastoletniej Andegawenki. Po odśpiewaniu zaintonowanego przez niego hymnu *Te Deum* zagrzmiały trąby, a mury katedry rozbrzmiały echem okrzyków na cześć nowej władczyni. Kiedy odczytano już Ewangelię, Jadwiga mogła w końcu zasiąść na wyłożonym złotogłowie tronie. Dwaj dostojnicy kościelni unieśli koronę i trzymali ją nad królewską głowę aż do końca uroczystości. Korona była dość ciężka

i mogłaby zbytnio uciskać skronie Jadwigi. Zapisała ją przyszłej królowej Polski, którą z początku miała być Maria, sławna babka, Elżbieta Łokietkówna. Do tej pory korona ta spoczywała wraz z innymi królewskimi insygniami w węgierskim skarbcu i przywędrowała do Polski wraz z Jadwigą.

Z szerokiej, wysadzonej drogimi kamieniami obręczy wyrastały w górę łodygi rozkwitłych lilii. Pomiedzy każdą parą wysokich, tworzących górą wieniec kwiatów tkwił mniejszy, zakończony zamkniętym jeszcze pączkiem. Spod korony, według aktualnej francuskiej mody, spływały na rozpuszczone włosy długie i szerokie wstęgi, opadające na plecy i ramiona królowej. Berło, trzymane przez nią w prawej ręce, również zakończone było kielichem lilii o postrzępionych płatkach.

Podczas offertorium Jadwiga znów podeszła do ołtarza i złożyła tam chleb oraz wino w szczerozłotym naczyniu. Wszystkich zachwyciły jej pełne gracji ruchy, zupełnie jakby płynęła w powietrzu. Na chwilę zwróciła piękną, skupioną twarz w stronę zgromadzonych w katedrze wiernych, ale nie patrzyła na nikogo. Ze spuszczonego wzrokiem wróciła powoli na tron i zeszła z niego dopiero w chwili przyjęcia komunii świętej.

To był już ostatni akt ceremonii kościelnej, po którym cały orszak koronacyjny opuścił katedrę i wśród dźwięków grzmiących na nowo trąb i fletni oraz okrzyków zgromadzonych tłumów ruszył z powrotem na zamek. Tam na królową, jej dwór i wszystkich dostojnych gości czekała uroczysta uczta.

Dla Jadwigi przygotowano u szczytu długiego stołu specjalny tron. Dalej siedzieli wszyscy najważniejsi goście i dostojnicy kościoła. Służba miała przygotowane stoły w innym pomieszczeniu. Palily się setki świec. Wokół slychać bylo gwar rozmów, pod nogami plątały się psy, przyzwyczajone, że podczas posiłków zawsze spadało na ziemię coś smacznego. Panowało ogólne podniecenie, wszyscy komentowali półgłosem albo wręcz głośno niedawną ceremonię w katedrze.

Nagle rozległ się hejnał grany przez królewskich trębaczy i na salę wkroczyła służba kuchenna z polewkami. Były pośród nich: rosół gotowany na solonym mięsie, zupy z kaczej i gęziej krwi zaprawiane

szafranem, polewka z kaszy i polewka z grochu. Każdy z gości mógł wziąć tę, która najbardziej mu smakowała. Młodziutka królowa, przyzwyczajona do kuchni francusko-włoskiej, zupełnie nie знаła polskich dań, więc po krótkiej naradzie z głównym kuchmistrem, który osobiście usługiwał jej przy stole, wybrała ostrożnie żur z kiszanej mąki.

Wraz z drugim hejnałem wniesiono na stoły pieczone.

Kawałki mięsa ułożone były na ogromnych półmiskach tak, aby tłuszcz z tych bardziej tłustych mógł spływać na chudsze pod spodem. Wołowina mieszała się tam z wieprzowiną czy cielęciną, szynkami, kiełbasami i boczками. Dla amatorów drobiu nie zabrakło kapłonów, kurcząt, gołębi i pieczonych gęsi, duszonych w różnych sosach i nadziewanych rodzynkami lub owocami. Bardziej wyrafinowani smakosze mogli wybierać wśród zajęcy i dzikiego ptactwa: kuropatw, jarząbków i cietrzewi, zdobionych piórami. Dużym powodzeniem cieszyły się też ryby, głównie karpie, hodowane w specjalnych stawach. Nie gorsze od nich były sandacze, węgorze, trocie, okonie, karasie i inne. Dla Jadwigi przygotowano specjalnie dla niej sprowadzonego łososa. Po potrawach, które jadano palcami, a więc głównie po pieczystym, służba rozносиła miski z pachnącą wodą do umycia rąk przed kolejnym posiłkiem. Do ich wycierania służyły ręczniki, materia i wzorem dopasowane do obrusów na stołach.

Trzecie danie składało się głównie z warzyw, owoców i ciast. Te ostatnie były nie tylko na słodko, ale dla smakoszy gustujących raczej w ostrzejszych daniach przygotowane były placki na kruchym spodzie nadziewane mięsem. Największym powodzeniem jednak cieszyły się teraz te z owocami, serem i konfiturą. Na specjalną okazję królewski kucharz upiekł z białej mąki torty, pokryte masą serową i cynamonem. Królowej, jak zauważono z ogromnym zadowoleniem, bardzo smakowały powidła, zupełna nowość na królewskim stole. Z dziecięcą niemal fascynacją wyjadała przysmak z misternego naczynia z cienkiego szkła.

A do tego wszystkiego było wino. Mnóstwo wina, nie tylko przywieziona z Węgier, ale i tego z wawelskich piwnic. Zgromadzeni przy stole panowie z uznaniem komentowali jego smak. Damy raczyły się słodkim miodem. Podczas uczy, nie zagłuszając konwersacji, przygrywał dworski zespół, złożony z lutnistów i flectistów.

Uczta zakończyła się późno w nocy; niezjedzone resztki zostały zebrane ze stołów i rozdane zamkowej służbie. Największym powodzeniem cieszyły się resztki mięs i kielbas oraz pajdy białego, specjalnie wypiekanego w królewskiej kuchni chleba, nasiąkniętego smakowitymi sosami. Chleb ten służył wcześniej biesiadnikom za talerze, na których kładli pieczyście.

Jadwiga z trudem dotrwała do końca uroczystości. Była już tak zmęczona, że odprowadzono ją do komnat, zanim przyjęcie dobiegło kresu.

Kiedy jednak dwórka odpowiedzialna za ubieranie i rozbieranie królowej weszła do jej sypialni, zastała puste pomieszczenie. Na olbrzymim łożu pod baldachimem leżała przygotowana koszula nocna, w rogu komnaty płonął ogień w kominku, ale młodziutkiej królowej nie było.

Zaniepokojona pobiegła do pani Csaksy, żeby jej o tym powiedzieć.

– Jak to nie ma królowej? Jesteś pewna? – Tamta nie wydawała się zbyt przejęta. – Może wyszła na stronę, w końcu właśnie wróciła z uczty. Przestań panikować.

– Nie poszła, sprawdzałam.

Zrobiło się zamieszanie. Zarówno pani Csaksy, jak i nowa ochmistrzyni, Krystyna, zaczęły biegać po korytarzach i zaglądać do wszystkich komnat.

Amalia szykowała się już do snu, kiedy obie ochmistrzynie, wraz z zapłakaną dwórką, weszły do pokoju dziewcząt.

– Jest tutaj królowa? – spytała zdenerwowana cioteczka.

– Nie, a czemu miałyby tu być?

– Zaginęła!

Amalia natychmiast wyskoczyła z łóżka.

– Porwali Hedwig? – pisnęła przerażona.

Przypomniała sobie o demonicznym Siemowicie, który rok wcześniej planował uprowadzenie królewny.

– Nie Hedwig, tylko Jej Królewską Wysokość Jadwigę. Nie masz prawa... – poprawiła ją z godnością ochmistrzyni, lecz jej samej zadrżał głos. – To niemożliwe. Musi gdzieś być.

W komnacie zapanował hałas, dwórki zaczęły się przekrzykiwać, usiłując sobie przypomnieć, kto i gdzie widział ostatnio królową. Przyprowadzono

damy dworu, które odprowadzały ją do sypialni.

– Jej Wysokość prosiła, żeby ją zostawić samą – tłumaczyły się jedna przez drugą w odpowiedzi na zarzuty pani Csaksy i Krystyny, że zostawiły królową bez opieki. – Zresztą zaraz miała przyjść dziewczyna, żeby pomóc się rozebrać naszej królowej.

– Musimy coś zrobić, zanim to się rozniesie. A ty dokąd? – zawołała nagle Krystyna na widok ubierającej się spiesźnie Amalii. Dziewczynka zarzuciła na koszulę nocną wełniany płaszcz, a bose stopy wsunęła w ciżmy, nie zwracając już sobie głowy pończochami.

– Idę szukać Hed... to znaczy Jej Królewskiej Wysokości – odparła i nie czekając na reakcję tamtych, wybiegła z komnaty.

Korytarz zamkowy za ogromnymi drzwiami był ciemny i pusty. Nieliczne okna przepuszczały światło księżyca, tworzące na kamiennej posadzce tajemnicze czarno-białe wzory. Amalia zadrżała z zimna i ze strachu. Szczelniej otuliła się płaszczem i zaczęła się bacznie rozglądać. Nie знаła zamku w Krakowie, ale jak już zdążyła się zorientować, był inny niż na Węgrzech. Zimniejszy i bardziej surowy. Ogromne schody prowadzące na poszczególne piętra zdawały się nie mieć końca.

Gdzie mogła się ukryć Hedwig? – zastanawiała się Amalia. Nie wierzyła w porwanie. Królowa była młoda, ale silna i rosła, więc nie dałaby się porwać bez walki. A żadnych takich śladów w jej sypialni nie było. Amalia zdążyła już tam zajrzeć w nadziei, że królowa wróciła. Niestety, zobaczyła tylko to, co opisywała wcześniej służąca. Ogień płonął spokojnie w kominku, łóżko pozostało nietknięte. Nie było śladów walki, nic nie leżało na posadzce, kwiaty stały w wysokich wazonach. Brakowało tylko Jadwigi. Dostrzegła, że pod łóżkiem, niewidoczne na pierwszy rzut oka, leżały porzucone w nieładzie złociste sandały, które królowa miała na nogach podczas koronacji i uczyty. Musiały być niewygodne, skoro je zdjęła zaraz po wejściu do komnaty.

Chyba nie poszła nigdzie boso? – przeraziła się Amalia. Wprawdzie posadzki w komnatkach były podgrzewane, poza tym napalono w kominkach, ale na korytarzach i na schodach czuło się zimno. Nieprzyjemny chłód ciągnął od nieszczelnych okien i drzwi.

Amalia wyszła z sypialni i odwróciła się w kierunku schodów. Może Jadwiga zeszła na dół? Nie wiedziała, co znajdowało się w komnatach przylegających do sypialni królowej, i nie miała zamiaru tam wchodzić. Nie sądziła zresztą, żeby Hedwig tam właśnie szukała schronienia. Raczej zapragnęła być sama.

Bo co do tego, że gdzieś się ukryła, nie miała już żadnych wątpliwości.

– Hedwig? – zawołała półgłosem, stojąc u szczytu schodów.

Naraz usłyszała ciche pociągnięcie nosem, jakby ktoś bezgłośnie płakał. Serce uderzyło jej mocniej. Zbiegła na dół i pod schodami, między oknem a drzwiami do ciągu pomieszczeń na parterze, zobaczyła majaczącą w ciemnościach skuloną postać.

– Moja kochana... – Z radości zapomniała o dobrych manierach i podbiegła do królowej najszybciej, jak tylko mogła.

W świetle księżycy zobaczyła mokrą od łez twarz Hedwig, wpatrującej się w nią z prawdziwą rozpaczą.

Jadwiga kurczowo trzymała w objęciach jedną z lalek, które przywiozła ze sobą do Krakowa, spod strojnej sukni wystawały jej bosa stopy.

Nie wyglądała już jak dumna królowa, lecz jak zapłakane dziecko.

– Hedwig – wyszeptała Amalia.

Usiadła obok przyjaciółki, po czym objęła ją i przytuliła.

Tamta wtuliła zapłakaną twarz w jej ramię, wstrząsana bezgłośnym szlochem.

– Chcę do domu – wyszeptała.

– Już dobrze – powiedziała Amalia. – Jestem przy tobie, wracajmy do sypialni.

– Dobrze. A zagrasz mi na lutni?

3 „Oto sję swego anioła...”

4 Przyrzekamy w dobrej wierze, bez jakiegokolwiek podstępu, pod świętością wiary naszej, tę oto koronę Królestwa Polskiego...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wilno

Ostatnio Milda miała wrażenie, że nocami ktoś odwiedza Inę.

Najpierw myślała, że żona brata w gorączce mówi do siebie, ale kiedyś, zbudzona w środku nocy głosem chorej, wstała i zajrzała do jej izby. Przerazona zdała sobie sprawę, że chyba ktoś stoi nad posłaniem Iny. To tylko wyobraźnia, pomyślała, choć na ów widok przejął ją taki chłód, że zaczęła się trząść.

Przypomniała sobie słowa Gabety o umierających, których w pewnej chwili zaczynają witać duchy zmarłych.

Niedługo Varnas posiedział w Wilnie, bo już na początku listopada Jagiełło zarządził łowy. Potrzebowano mięsa na wielką wyprawę, która została zaplanowana na drugą połowę miesiąca. Jeszcze przed nastaniem śniegów wielki książę zamierzał zdobyć Marienwerder, aby pozbawić Krzyżaków ich najmocniejszej twierdzy w tym rejonie.

Varnas opuszczał miasto ze wstydliwym poczuciem ulgi. Nie chodziło tylko o to, że już nie dawał rady przyglądać się bezsilnie chorobie Iny, przede wszystkim uciekał od sprawy Rytisa, która po znalezieniu ciała kupca znów rozpałała umysły mieszkańców. Pechowo dla młodego wojownika okazało się, że ten gad był znaczną osobą, znaną w wielu litewskich i ruskich miastach, toteż wieść o jego śmierci wzburzyła ludzi, zwłaszcza innych kupców. Sam Jagiełło był zły z powodu tego zabójstwa, bo nie chciał, aby Wilno uchodziło za niebezpieczne, dzikie miejsce, gdzie strach robić interesy. Obiecywał znaleźć sprawcę i przykładowie go ukarać.

Jeśli kiedykolwiek Varnas czuł, że jego los wisi na włosku, to właśnie teraz. Co najgorsze, akurat w tym czasie zyskiwał największe zaufanie kniazia.

Dlatego też wszystkie pochwały Jagiełły przyjmował z bólem serca, bo w głębi duszy czuł się jak przestępca i zdrajca. Prawda mogła wyjść na jaw w każdej chwili, a wtedy zawiódłby nie tylko swoją rodzinę, ale i władcę.

A że mogła wyjść, było dla niego jasne. Widywano go przecież w towarzystwie Rytisa, karczmarz słyszał ich sprzeczkę w gospodzie. Ktoś mógł też widzieć, jak kupiec dwa razy odwiedził dom Varnasa. Jak zaczął węszyć, Ina lub Milda mogły szybko zmięknąć i dać po sobie poznać, że Rytis był dla nich intruzem.

Nie powiedział Inie o odnalezieniu ciała. Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chciał jej przysparzać zmartwień w chorobie. A po drugie, ważniejsze, bał się przed nią tłumaczyć.

Dlatego też chętnie opuszczał miasto, licząc, że pod jego nieobecność sprawa ponownie przycichnie. Zbliżająca się wyprawa na Marienwerder też była sprzyjającą okolicznością, gdyż wielki kniaz miał zbyt dużo na głowie, by jeszcze zamartwiać się jakimś kupcem.

Łowy trwały dziesięć dni.

Nie tak znowu długo, ponieważ pogoda się popsowała i prawie przez cały ten czas padał deszcz. Rozłożyli się obozem w puszczy, jakieś piętnaście wiorst od Wilna, nad brzegiem Niemna. Polowano codziennie, z psami i sokołami, ale dla Jagiełły była to również okazja, aby rozmówić się ze swoimi braćmi, Witoldem, Skirgiełłą, Dymitrem i Korybutem, którzy wraz z nim ruszyli na łowy.

A mieli niemało do omówienia. Przede wszystkim należało przedyskutować propozycję Polaków, którzy chcieli widzieć Jagiełłę w Krakowie jako swojego króla. Propozycja ta wydawała się interesująca, podobny sojusz z pewnością odstraszyłby Krzyżaków. Wiązałoby się to naturalnie z przyjęciem zachodniej wiary, lecz akurat ta sprawa nie stanowiła dla wielkiego kniazia problemu – dawno już obiecywał zakonnym chrzest, choć, prawdę mówiąc, ciągle się od niego migał. Od kogo przyjmie boga Krista, nie miało dla niego większego znaczenia. Zdawał sobie sprawę, że bez tego ani rusz i jeśli nie chce pozostać na

zawsze w puszczy, jako leśny watażka, musi się w końcu ochrzcić. Najbardziej należała na to jego ruska matka.

Mimo to należało się dowiedzieć, jak widzą to jego bracia. Z Witoldem sprawa była najprostsza, bo w momencie przenosin Jagiełły do Krakowa to on stałby się władcą Litwy. Trudno się więc dziwić, że gorąco popierał pomysł stryjecznego brata. Pozostali nie mieli już tyle do zyskania, a dawne uprzedzenia i umiłowanie tradycji mogły nastawiać ich niechętnie do takich planów. Dlatego każdego dnia po polowaniu, kiedy w obozie zdzierano skóry i ćwiartowano mięso, Jagiełło zabierał ze sobą na przejażdżkę któregoś z braci, aby w spokoju, przy śpiewie leśnego ptactwa, podyskutować sobie o polityce.

Przedostatniego dnia łowów wyruszył wraz ze Skirgiełłą.

Z nim było najtrudniej, bo nigdy nie trzeźwiał i często zapominał, o czym rozmawiali poprzedniego dnia. W dodatku miał porywczy charakter i wszelkie decyzje podejmował pod wpływem impulsu. Tak więc Jagiełło zabrał go na przejażdżkę już po raz trzeci w przeciągu ostatnich czterech dni. Bracia wzięli ze sobą kilku konnych i wyruszyli w las. Wśród ludzi Jagiełły znajdował się Varnas, który, chcąc nie chcąc, przysłuchiwał się rozmowie.

– Ja ci jeszcze raz radzę, bracie, weź chrzest od prawosławnych, jak ja i nasza ukochana matka – grzmiał Skirgiełło.

Miał na sobie szubę i kołpak, przez co wyglądał całkiem jak Rusin, a owo podobieństwo podkreślała jeszcze czerwona, obrzmiała od alkoholu twarz o małych, błyszczących oczkach. Chwiał się w siodle i co chwila sięgał po bukłak.

– Musiałbym się wtedy bratać z Moskwą – odparł beznamietnie Jagiełło.

– I co? Żle?

– To wschód.

– A tobie zachód się marzy? Zjedzą cię tam.

Jechali wąską ścieżką, gęsiego, Skirgiełło na przedzie, musiał więc odwracać głowę, kiedy mówił.

– Ruś słaba, rozdarta. Każdy kniaź ciągnie w swoją stronę – mówił Jagiełło.

– To byś ich zjednoczył.

– Akurat. Z Tatarami na karku.

Czuć było wilgotny oddech puszczy. Parskały konie i dzwoniła uprząż, w gałęziach drzew uwijały się ptaki.

– Z Tatarami trzeba się tylko dobrze ułożyć – rzekł Skirgiełło. – Ty się znasz na takich sprawach jak nikt inny.

W jego słowach zabrzmiała ironia, ale Jagiełło udał, że jej nie dostrzegł.

– Jakbym miał pojechać do Krakowa, zrobię cię namiestnikiem Litwy – odparł.

– Nareszcie mówisz z sensem.

– Dostaniesz ziemię trocką.

– Miód na moje uszy, braciszku.

Wjechali na szeroką polanę i dostrzegli leżące na jej środku zwierzęce ścierwo. Była to kłępa łosia, prawie już całkiem rozwleczone przez wilki i lisy. Krążyły nad nią chmury owadów.

– Jej małżonek pewno dawno już uciekł albo leży gdzieś obok – zaśmiał się Skirgiełło.

– Z pewnością – odparł Jagiełło. – Ale wracając do tematu...

– Ciii... – Jego brat przyłożył palec do ust, a potem skinął na jednego ze swych ludzi: – Dawaj mi, Oleg, sulicę.

Jeździec podjechał i podał mu oszczep. Wszyscy wstrzymali konie.

– Co robisz? – spytał Jagiełło.

– Braciszku, słuch to ja mam jeszcze dobry. W tamtych krzakach – ruchem głowy wskazał na zarośla po prawej stronie – ktoś się przed nami kryje. A ja już wiem kto. Pan małżonek.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Skirgiełło ścisnął piętami boki konia i ruszył stępą w kierunku krzaków. Powolnym ruchem uniósł w górę oszczep. Patrzyli, jak celuje, niebezpiecznie chwiejąc się w siodle. Koń, wyraźnie przestraszony, opierał się, rzucał łbem, gryzł wędzidło, ale jeździec był uparty. Kiedy znalazł się kilkanaście kroków od gęstwiny, cisnął w nią oszczepem. Rzut był niezdamny, Skirgiełło stracił równowagę i zsunąwszy się z siodła, upadł na kolana. Kołpak zleciał mu z głowy. Rozległ się śmiech jego ludzi, przyzwyczajonych już widać do podobnych scen.

Jagiełło tylko zacisnął usta.

– Trafiłem drania – wymamrotał Skirgiełło, dźwigając się na nogi. – Oko jeszcze dobre. A siodło za luźne. Źle mi popręgi dociągnęli.

Brat chciał mu odpowiedzieć, że takim hałasem dawno już przepędził zwierzyne, lecz nagle od strony zarośli rozległ się trzask gałęzi, a potem niskie, chrapliwe pomruki. Wszyscy zamarli.

Z gęstwiny wystrzelił brązowy kształt.

To nie był łoś.

– Niedźwiedź! – krzyknął Jagiełło.

Zwierz w kilku niezwykle szybkich susach dopadł Skirgiełłę i uderzeniem łap o wielkich szponach powalił go na ziemię jak kukłę z gałganów. Wszystkie konie oszalały, rżąc dziko i stając dęba. Kiedy jeźdźcy próbowali je okiełznać, niedźwiedź capnął zębami za szubę wrzeszczącego wniebogłosy Skirgiełłę i potrzęsając łbem, zaczął szarpać mężczyznę na wszystkie strony. Mimo że tamten był ciężki, zwierz unosił go nad ziemią, bezskutecznie usiłując przy tym obrócić swoją ofiarę na plecy. Skirgiełło wiedział jednak, że w takich przypadkach należy chronić brzuch, więc kulił się, chowając ręce i nogi pod siebie.

– Ratujcie!

Wielki pysk, z którego opadały lśniące nitki śliny, zbliżył się do głowy nieszczęśnika. Zaraz zedrze mu skórę wraz z włosami, pomyślał Varnas, błyskawicznie zeskakując z konia. Zareagował najszybciej ze wszystkich. Znał takie przypadki, jednemu z jego znajomych niedźwiedź odgryzł całą twarz. Do Skirgiełły miał jakieś kilkanaście kroków, a zwierz już przekrzywił łeb, próbując chwycić zębami głowę wijącego się pod nim mężczyzny. Varnas podbiegł do niego szybko, zaciskając dłoń na drzewcu oszczepu. Niedźwiedź, nie mogąc się dostać do twarzy i brzucha Olgierdowicza, jeszcze raz chwycił go zębami za szubę i zaczął nim na nowo potrzęsać. Varnas zaszedł bestię od tyłu, ugiął kolana i wstrzymał oddech. Musiał teraz działać precyzyjnie. Jeśli trafi w kość, broń się złamie. Wymierzył oszczep pod lewą łopatkę i pchnął z całej siły. Ostrze zanurzyło się aż po drzewce. Niedźwiedź ryknął zaskoczony, uniósł się na tylnych łapach i obrócił łeb w kierunku Varnasa. Na szczęście pozostali jeźdźcy już się ocknęli i otoczyli bestię, uderzając sulicami. Wreszcie zwierzak zwał się na ziemię. Z jego cielska wystawało sześć włóczni.

Varnas ukląkł, łapiąc oddech. Obok niego wciąż leżał na brzuchu dyszący spazmatycznie Skirgiełło.

Podjechał do nich wielki kniaź.

– Żyjesz? – spytał brata.

- Niewiele brakowało – wysapał tamten.
- Prawda, niewiele. Jesteś dłużnikiem Varnasa. Ci twoi są jakby troszeczkę powolni.
- Ozłocę chłopaka.
- Mam nadzieję, że przynajmniej wytrzeźwiałeś.

Milda domyślała się, kto stał za zabójstwem kupca, ale nie śmiała o to pytać brata. Czasami bała się jego mrocznego i groźnego spojrzenia. Wiedziała, że nie zrobiłby jej żadnej krzywdy, ale czuła, że w obronie najbliższych mógłby tę krzywdę zrobić każdemu, nawet samemu księciu. Z niepokojem wysłuchiwała rozmów na targu i podczas swych wizyt u chorych, kiedy zastępowała Inę. Nie leczyła tych ludzi, zanosila im jedynie leki i zioła, które przygotowywała pod czujnym okiem bratowej. Wszyscy w okolicy żyli sprawą tajemniczego morderstwa.

- Czy ten kupiec nie zachodził czasami do was? Znaliście go?

Milda aż drgnęła, słysząc nieoczekiwany dźwięk głosu sąsiada, starego Kukisa, kiedy wykopywała korzenie tojadu w ich dawnym ogródku. Z wrażenia aż upuściła szmatkę, przez którą dotykała trującej rośliny.

– Ależ mnie przestraszyliście, sąsiedzie! – krzyknęła. – Nie spodziewałam się tu nikogo. O co pytaliście?

– O tego nieboszczyka, co to wypłynął niedawno z rzeki. Był tu kilka razy, pamiętam. Chyba go się bałaś.

Dziwne, wtedy jej się wydawało, że Kukis wcale go nie widział. A tak potrzebowała jego wsparcia.

– Tak, zajrzał tu raz albo dwa. To dawny krajan Iny, pewnie chciał ją po prostu odwiedzić i pogadać o dawnych czasach. Jak to sąsiad. – Milda starała się, żeby jej głos brzmiał pewnie i spokojnie. – Tak jak my teraz rozmawiamy. A bałam się, bo dla mnie to ktoś obcy.

– Tak mi się widzi, że chyba nie był tu u was życzliwie widziany. – Stary spojrział na nią podejrzliwie spod przymrużonych powiek. – Nie naraził się czymś Varnasowi?

– Nic nie wiem na ten temat. – Milda wzruszyła ramionami. – Mój brat mi się nie opowiada, ale nie wydaje mi się. A co do lubienia, to zna pan kogoś, kto go tu lubił?

Stary podrapał się po szpeciniastej brodzie.

– Tak po prawdzie to nie. Kręcił się tu i tam, drażnił ludzi, to się doigrał. Mnie tam wcale go nie żal.

Ani mnie, pomyślała Milda.

Po powrocie Jagiełły i jego ludzi do Wilna Varnas przeżywał dziwny czas.

Z jednej strony uratowanie życia Skirgielle uczyniło go sławnym w całym mieście – dostał futro z zabitego niedźwiedzia, które natychmiast zaniósł Inie, a sam brat wielkiego kniazia ofiarował mu konia z bogatym rzędem, a także sporo srebra, Jagiełło zaś zaczął go traktować jak jednego ze swych najbardziej zaufanych ludzi. Z drugiej – żył w ciągłej niepewności. Sprawa Rytisa wcale nie przycichła. Przeciwnie, teraz już mówili o niej wszyscy. Z niepokojem wysłuchiwał rozmów na zamku i w karczmie, do której zaglądał często w drodze do domu. Siedział osowiały w kącie, coraz bardziej przybity całą tą sytuacją – chorobą Iny i zacieśniającymi się podejrzeniami, że to on właśnie, Varnas, był ostatnią osobą, która widziała kupca żywego.

Ktoś zauważył go wieczorem tamtego dnia w pobliżu rzeki. Świadek nie był do końca pewien, że to Varnas, ale też nie mógł tego wykluczyć. Podobny, mówił, gdy któregoś dnia strażnicy przyprowadzili go do Varnasa. Calusieńki podobny.

– To może podobny zabił? – Varnas nie dał się wyprowadzić z równowagi. – Ty też jesteś do mnie podobny, jakbyśmy tak razem stanęli po ciemku.

Udawał spokojnego, ale tak naprawdę czuł, jak zaczyna mu cierpnąć skóra na grzbiecie. Nie bał się odpowiedzialności, był wojownikiem i znał twarde zasady rządzące światem: jeśli ty nie zabijesz przeciwnika, on zabije ciebie. Musisz być szybszy. Bardziej martwił go los, jaki spotkałby jego żonę i siostrę, gdyby go stracono. Rodzina mordercy nie mogła liczyć na współczucie ani pomoc.

Strażnicy lubili Varnasa i za bardzo nie wierzyli w gadanie świadka. Przyprowadzili go tylko dla formalności, zapewniając na koniec młodego wojownika, że to tylko pijackie zwidy tamtego.

– Rozumiem – powiedział Varnas. – Musicie sprawdzić wszystkich podejrzanych.

– Prawda. Żebyś wiedział, ile osób zgłasza się po to tylko, żeby się poczuć ważnymi. Gdyby brać poważnie każde zeznanie, trzeba by było powiesić pół miasta.

– Mam nadzieję, że wreszcie go dopadniecie.

– Na pewno.

I dopadli.

Pewnego dnia, kilkanaście dni po powrocie Varnasa z łowów, do zabójstwa przyznał się znany w mieście bandzior, który niedawno zgwałcił i zabił dwie młode praczki nad Niemnem. Nigdy nie zadzierał z nikim, kto byłby od niego silniejszy. Był zwykłym tchórzem i atakował tylko kobiety. Teraz czekał na szubienicę za zabójstwo kilkunastoletnich dziewczyn i, jak pomyślał Varnas, najprawdopodobniej zapragnął odejść „w chwale”. Głośne i niewyjaśnione do tej pory morderstwo było tym czymś, co mogło mu jej przysporzyć. Zawisłby nie jako zwykły rzeźmieszek, mordujący młode i słabe kobiety, ale prawdziwy zbój, który nie bał się stawić czoła silnemu kupcowi. Ze szczegółami opowiadał o swojej walce z Rytisem i o tym, jak łatwo go obezwładnił, zabił, zapakował w worek i wrzucił do rzeki. Przez owe chwile, odkąd się przyznał, czuł się prawdziwym bohaterem, był na ustach całego miasta. I był pewien, że pamięć o nim przetrwa lata.

Lecz Varnas niezbyt długo odczuwał ulgę z powodu tak niespodziewanego zakończenia jego kłopotów.

Tego samego dnia, kiedy dowiedział się o zeznaniach mordercy kobiet, umarła Ina. Cichutko, we śnie, tak że nikt tego nawet nie zauważył. Dopiero gdy Milda weszła do pokoju bratowej ze śniadaniem, zauważyła nienaturalnie nieruchomą twarz chorej. Ina wyglądała, jakby spała, tylko sine usta i jak gdyby zapadnięte oczy pod białymi powiekami zdradzały wszystko.

Uroczystości pogrzebowe trwały kilka dni. Zdruzgotany Varnas zapomniał o Rytisie i skazańcu, na którym w tym czasie zdążono wykonać wyrok – dla przykładu na turecki sposób nabito go na pal. Niczego nie dało

się już zmienić ani naprawić. Varnas został sam z ciężącymi mu na sumieniu zbrodniami. Czuł się też odpowiedzialny za śmierć ukochanej żony.

Bogini Praurima nie wybaczyła im obojgu tego, co zrobili.

Nie wybaczyła przede wszystkim jemu.



Część trzecia

RYCERSKI ROMANS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Okolice Krakowa, lato 1385

Coraz mniej chwały, coraz więcej sromu na świecie” – deklamował w duchu sędziwy poeta rakuski, Peter Suchenwirt, przyglądając się z wysokości siodła niezgrabnym poczynaniom księcia Wilhelma, któremu pacholek pomagał właśnie dosiąść konia.

Znajdowali się zaledwie kilka mil od murów Krakowa, w którym książę miał się połączyć cielesnie z niespełna dwunastoletnią królową Jadwigą, aby wreszcie móc się stać jej prawdziwym małżonkiem. Prawdziwym, a nie dziecięcym – in futuro – jak do tej pory. Śluby łączące Jadwigę i Wilhelma od czasu, gdy oboje byli jeszcze dziećmi, same w sobie nie miały zbyt dużego znaczenia. Musiały zostać dopełnione. A dopełnieniem była konsumpcja ich małżeństwa, do której według prawa mogli przystąpić dopiero teraz.

„Honor zginął, a skromność śmiertelnie chora” – recytował dalej w myślach poeta, próbując zwalczyć ogarniający go niesmak.

To widok księcia napawał go takim uczuciem. Zrobili ten postój specjalnie po to, by Wilhelm mógł się wystroić na spotkanie z królową Polski. Cały rakuski orszak czekał trzy godziny w morderczym upale na zakończenie owych upiększających zabiegów – a efekt, zdaniem starego Petera, okazał się iście błazeński.

Książę wyglądał jak tłusty paw.

Ufryzowany niczym kurtyzana, przyozdobiony kolorowymi piórami, budził ledwie skrywane uśmiechy politowania wśród swojej świty. Nie przypominał władcy, jakim zapewne chciałby zostać.

Sam Peter na ogół ubierał się nad wyraz skromnie. Miał na sobie opończę z szarej wełny, która kojarzyła się z habitem mnicha lub nawet pustelnika, na głowie nosił kapelusz z szerokim rondem. Żadnych klejnotów, żadnych

ozdobnych pasów. Włosów nie fryzował, co zresztą byłoby trudne, bowiem pozostał mu tylko skromny wianuszek wokół łysej głowy.

Gdzież dawne czasy książąt i rycerzy hołdujących skromności i męstwu? – zastanawiał się teraz. Towarzyszył wielu walecznym wojownikom i rozumnym hrabiom, choćby podczas kampanii na Litwie, na owej bohaterkiej „Litauenreise”, a teraz stał przy boku zepsutego zbytkiem, pryszczatego dzieciaka.

– Mistrzu, masz już gotową odę na cześć naszego triumfalnego wjazdu? – zapytał go Wilhelm, usadowiwszy się wreszcie w siodle.

Peter nie wiedział, czy pytanie to zadane zostało żartem, czy też poważnie.

– Jeszcze nie – odburknął ponuro. – Nie wiem nawet, czy będzie co opiewać.

– Jak to? – Twarz Wilhelma pokrywała cienka warstwa pudru, który, jak pomyślał poeta, rozpułnie się najdalej za kilka minut.

– Póki nie nałożysz polskiej korony, Najjaśniejszy Panie, wolałbym się wstrzymać z układaniem heroicznych rymów.

– No, chyba że ktoś znaczny w Krakowie właśnie umrze – zaśmiał się książę.

Była to już bezczelna złośliwość. Suchenwirt słynął z tego, że kiedy tylko dowiadywał się o śmierci jakiejś osobistości, natychmiast udawał się do jej miasta, by nad świeżym jeszcze trupem wygłosić mowę żałobną.

Teraz jednak nie dał po sobie poznać, że poczuł się dotknięty tym prostackim żartem.

– Macie ponurą minę, mistrzu – rzekł Wilhelm.

– Jak dobrze wiecie, Najjaśniejszy Panie, nie ufam ani Polakom, ani królowej węgierskiej.

Mówił prawdę.

Elżbieta Bośniaczka według niego była kłamliwą i niestałą zmiją. Za szatańskim podszeptem podeptała testament Ludwika, przez co dwór rakuski bezpowrotnie stracił szansę na węgierską koronę. Za nic miała wszystkie dawne umowy. Kiedy stary król umarł – Peter, rzecz jasna, uhonorował tę śmierć piękną mową – natychmiast rozpoczęła intrygi mające na celu odwrócenie dawnych układów.

Nie tylko Wilhelm został oszukany. Także mąż Marii, Zygmunt, odczuł na własnej skórze, czym jest niewieścia przebiegłość. Elżbieta, wbrew

wszystkim pertraktacjom, postanowiła odsunąć go od węgierskiego tronu i zastąpić księciem orleańskim Filipem. Co zaś się tyczy Wilhelma, zwodziła go, jak mogła, starając się nie dopuszczać chłopaka do swej drogocennej Jadwigi.

Kiedy do Wiednia dotarły wieści, że trwają rozmowy z posłami litewskimi, którzy chcieliby dostać dziewczynę dla swego pogańskiego władcy, stary książę Leopold, ojciec księcia, wpadł w istny szal. Natychmiast pchnął do Budy zaufanych ludzi. Wprawdzie Elżbieta zapewniła ich skwapliwie o ważności dawnych układów, ale wiedeńczycy stali się czujni. Wilhelm wiozł teraz ze sobą królewski pergamin, który gwarantował mu rękę Jadwigi i którego początkowe zdania poeta znał na pamięć:

My, Elżbieta i Maria, z Bożej łaski królowe Węgier, tudzież kardynał Dymitr, Władysław, książę opolski, i palatyn Mikołaj Garais, przyrzekamy, co następuje. Jak niegdyś Najjaśniejszy Pan Ludwik zawarł za życia swego związek małżeński między Jadwigą, córką i siostrą naszą, a Wilhelmem, księciem rakuskim, według dawnych umów pisemnych, które ciągle mają mieć wagę nienaruszoną, tak i my zgodnie z daną przysięgą obowiązujemy się doprowadzić przyrzeczone małżeństwo do skutku i połączyć wspomnianą parę łóżem małżeńskim (...). Dan w Budzie, w piątek po świętym Jakubie, roku Pańskiego 1385.

Dokument ten mógłby się wydawać definitywnym potwierdzeniem książęcych praw, lecz stary lis Suchenwirt za dobrze znał fałszywy świat dyplomacji, a przede wszystkim charakter Elżbiety, by bez reszty zaufać traktatowi. Wszystkie umowy można wszak przekreślić, czego już ta wszetecznicza nie raz dowiodła.

A pozostawali jeszcze sami Polacy.

Ci niechętnie patrzyli na małoletniego Wilhelma. W swej próżności oczekiwali kogoś znaczniejszego. Panowie z Wielkiej Polski wybrali sobie nawet na króla jakiegoś szalonego Siemowita, żeby tylko ratować ciągłość dynastii piastowskiej, zupełnie jakby należała ona do najświetniejszych w Europie. Nie chcieli nawet Andegawenki, ba, wielu z nich traktowało

Kraków i całą Małą Polskę jako peryferia, nie do końca należące do wielkiego piastowskiego królestwa.

Zapowiadało się więc, że Wilhelmowi przyjdzie się mierzyć z olbrzymim oporem.

Tyle że ten tłusty, niezgrabny dzieciak jak gdyby całkowicie nie zdawał sobie z tego sprawy.

Pochód posuwał się powoli, wzniecając na drodze tumany kurzu. Słońce rozgrzewało blaszane zbroje, oślepiało podróżnych. Spod hełmów i kapeluszy jeźdźców spływał pot. Brak najłżejszego powiewu sprawiał, że nawet sztandary i proporce oklapły.

Mijali wioski, ubogie i prymitywne, których mieszkańcy przyglądali się przyjezdnym z lękiem jak spłoszone zwierzęta. Peter Suchenwirt dziwił się, że nikt z Krakowa nie wyjechał im naprzeciw. Wypadałoby przecież powitać przysłego monarchę jeszcze przed bramami miasta. Tak nakazywał obyczaj, co powinno być wiadome nawet w takim na pół dzikim kraju. Ale, jak widać, nie było. Wprowadzenie tutaj zachodnich obyczajów i kultury to zadanie na długie lata, jeśli nie dziesięciolecia, a on sam, Suchenwirt, może już nie dożyć efektów tej pracy.

Tak więc im bliżej znajdowali się Krakowa, tym bardziej wzrastał niepokój poety.

Zrównał się z nim Władysław, książę opolski, największy polski sprzymierzeniec Wilhelma. Mimo gorąca miał na głowie wielki hełm zdobny w jakieś niewiarygodne figurki, rogi oraz wstążki. Dla starca był to kolejny dowód na zepsucie współczesnych czasów.

– Doniesiono mi, że jesteście nie w humorze – po niemiecku odezwał się do starca.

– To przez ten upał – odparł Peter. – A drogi tu jeszcze gorsze niż na Węgrzech.

– Z waszego głosu wnoszę, że nie tylko to was trapi.

Poeta westchnął.

– No dobrze. Mówiąc między nami, nie mam najlepszych przeczuć. Niepokoi mnie brak powitania ze strony Polaków. Jakby nie wiedzieli o naszym przybyciu.

– Och, ci, co mają wiedzieć, wiedzą na pewno.
– Czyli nie zjawiamy się tutaj oficjalnie?
– Raczej nie. Musimy zaskoczyć naszych przeciwników, najważniejsze, że mamy poparcie królowej. Krakowscy panowie ślepo służą Andegawenom. Nie odważą się sprzeciwić Bośniaczce.

– A kto wie, co teraz jest wobec niej sprzeciwem?

Władysław spojrzał uważniej na Petera.

– W jakim sensie? – zapytał.

– Wybaczcie szczerą, ale zdaje mi się, że królowa Węgier nieszczególnie jest naszemu księciu przychylna.

– Mamy przecież jej dokument.

– Tak, mamy – odparł kwaśno Suchenwirt.

Wjechali na drewniany most nad rzeczką, końskie podkowy głucho uderzyły o belki. Z powodu gorąca poziom wód bardzo się obniżył, widzieli teraz w korycie piaszczyste łachy.

– Nie ufacie królowej? – Opolczyk zmrużył oczy. – Nieładnie, mistrzu, nieładnie.

– No cóż, królowa potrafi być bardzo kapryśna.

Władysław gwizdnał pod nosem.

– Oho, odważnie powiedziane, choć może odrobinę za głośno. Przypominam wam, że jadą też z nami Węgrzy.

– Nie dbam o to. Jestem już stary i siwy – odparł sucho Peter. – Nie boję się mówić, co myślę.

– Widać straciliście ufność w ludzi.

– Być może.

– Bo zbyt długo chyba przebywaliście wśród słynących z przebiegłości Krzyżaków?

Poeta gniewnie spojrzał na rozmówcę.

– Po co powtarzacie pogańską propagandę, książę?

Krytykowanie Zakonu w obecności Suchenwirta było co najmniej grubym nietaktem. W rycerzach-mnichach mistrz Peter widział ostatnich prawdziwych krzyżowców, bastion dawnych chrześcijańskich cnót. Dziewięć lat temu był z nimi na ziemiach pruskich, litewskich i ruskich, gdy walczyli na chwałę Boga i Dziewicy Maryi. Opiewał ich militarne zwycięstwa nad pomiotem diabła. Tam poznał, jak dzielni i gorliwi

w nawracaniu na chrystusową wiarę są to ludzie. Nie mógł pozwolić, by jakieś polskie książątko wyrażało się o nich w sposób tak plugawy.

Dodał więc ostrzejszym tonem:

– Wasza polska nienawiść wobec zachodniej cywilizacji też jest przyczyną moich zmartwień.

– Rozchmurzcie się, mistrzu – rzekł pojednawczym tonem Władysław. – Pomyślałby kto, że jedziecie na pogrzeb, nie na koronację.

Znowu aluzja do pogrzebów! Czy oni wszyscy zmówili się dzisiaj? Peter zacisnął zęby. Z czubka długiego nosa ześliznęła mu się kropla potu i spadła na długą siwą brodę.

A tymczasem Opolczyk zaczął z emfazą recytować jego wersy:

– Den christen gwin, den haiden flüst...

– Drwicie sobie ze mnie? – spytał cicho poeta.

– Skądże znowu? Wychwalam przecież Zakon.

Powiedziawszy to, spiął konia i ruszył na czoło pochodu, zostawiając starca jeszcze chmurniejszego niż wcześniej.

Zrobili jeszcze postój w jednej z mijanych po drodze wiosek, ponieważ jakiś towarzyszący Wilhelmowi duchowny – posunięty już w latach węgierski dominikanin – zasłabł z powodu gorąca. Część rycerzy zebrała się wokół studni, sam książę zaś wszedł do jakiejś chaty, aby w cieniu napić się miejscowego piwa. Suchenwirt czekał na zewnątrz, nawet nie zsiadając z konia. Jak najszybciej chciał już być na miejscu. Opędzając się od owadów zdjętym z głowy kapeluszem, spoglądał ponuro na otaczające wieś pola, przydrożne wierzby, majaczące w oddali zagajniki. Krajobraz niewiele się różnił od węgierskiego czy austriackiego, ale sam kraj pozostawał dla niego tajemnicą. Niby chrześcijański, a jednak wciąż zacofany jak wszystkie słowiańskie ziemie.

Nieopisany jeszcze przez żadnego poetę.

Czy to właśnie jemu, Peterowi Suchenwirtowi, było przeznaczone zostać Homerem tych ziem? No cóż, niewykluczone. Lecz jakich tematów mógłby tu szukać Homer? Opisywać żywot ludzi poczciwych i uroki wsi? Sławić małżeństwo dzieci? Peter nie widział tutaj kruszcu, który mógłby przetopić w nieśmiertelną sztukę.

Kiedy tak spoglądał w dal, nagle zauważył podnoszący się na horyzoncie kurz. Zmrużył oczy, przyłożył otwartą dłoń do czoła, by osłonić je przed blaskiem.

Jeźdźcy!

Dostrzegły ich już przednie strażę rakuskiego orszaku.

– Jada Polacy! – zakrzyknięto.

Zobaczyli proporce, a potem kilkunastu konnych. Zbyt mało jak na grupę powitalną. Wyglądało to raczej na poselstwo.

Książę wyszedł z chaty, zawadzając pawimi i strusimi piórami hełmu o niskie wejście.

– Królowa? – spytał.

– Nie sądzę – mruknął Peter Suchenwirt.

– Pewnie rajcy z kluczami do miasta.

Owa bardzo optymistyczna księżęca wizja nie doczekała się komentarza ze strony zgorzkniałego poety. Podjechał do wsiadającego właśnie na koń księcia Władysława.

– Co to za ludzie? – spytał.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł tamten z irytacją. – Po proporcach widzę, że z Krakowa. Czyli jednak dowiedzieli się o naszych planach i nie mają innego wyjścia, jak nas teraz uroczyście powitać.

– Wysłano by taką garstkę?

– Wkrótce się dowiemy, mistrzu. I z łaski swojej nie zawracajcie teraz głowy biadoleniem. Nasłuchałem się waszych żalów przez całą drogę.

Wraz z kilkoma rycerzami ruszył na spotkanie przybyszów. Książę też chciał jechać, lecz bezceremonialnie go zatrzymano. Do spotkania doszło na skraju wsi, Suchenwirt mógł jednak dostrzec gestykulację obu stron. Nie wyglądała na przyjazną. W miarę jak rozmowa się przedłużała, powoli tracił wszelkie złudzenia. W końcu rycerze austriaccy zawrócili, a na ich twarzach poeta dostrzegł gniew.

Coraz mniej chwały, coraz więcej sromu na świecie...

– O co chodzi? – spytał młody Wilhelm.

– Chyba nie wpuszczą nas na Wawel – odpowiedział spokojnie mistrz Peter Suchenwirt.

Książę całkiem po dziecięcemu rozdziawił usta, ale w tej chwili stary poeta nawet na niego nie patrzył.

ROZDZIAŁ DRUGI

Już zimą poprzedniego roku Amalia ustaliła, że już najwyższa pora, by Szymek został jej osobistym rycerzem.

Rzecz jasna takim wymyślonym, dla zabawy, ale, tak czy inaczej, traktowała tę fantazję śmiertelnie poważnie. W każdym włoskim czy francuskim romansie dama miała swego szlachetnego wielbiciela, który ją chronił i składał jej hołdy. Bez tego nie mogła się obyć żadna miłosna pieśń. Rycerze brali udział w turniejach, dokonywali bohaterskich czynów, aby zaimponować swym damom, a także wychwalali na całym świecie ich piękność oraz czystość.

Tak nakazywał obyczaj. A ten obyczaj bardzo jej odpowiadał.

– Dziecinada – mruknął Szymek, kiedy mu o tym powiedziała.

Rozmawiali wtedy na zamkowym dziedzińcu, pośród prószonego śniegu, obok wozu, którym ojciec Szymka przywiózł nową dostawę powideł z Łobzowa. Nie musieli już się kryć ze swoimi spotkaniami, bo od czasu koronacji Amalia była tak blisko związana z młodą władczynią, że pani Krystyna złagodniała. Oczywiście dziewczynka musiała zapomnieć o kolejnych wycieczkach do miasta, ale przebywać ze sobą i rozmawiać było im wolno.

– Co jest dziecinadą? – obruszyła się Amalia. – Tak robią wszyscy dorośli.

– Właśnie – dorośli. A my byśmy tylko udawali.

– To byłaby miłość in futuro – odparła z mądrą miną.

– Że co?

– Nieważne. Królowa miała narzeczonego w wieku czterech lat.

– Królowa to co innego.

– We mnie też płynie królewska krew.

Wyjawiała tę tajemnicę Szymkowi już podczas trzeciego ich spotkania. Nie potrafiła się powstrzymać.

– Sama mówiłaś, że nie wiesz tego na pewno – odrzekł sceptycznie.

– Wiem prawie na pewno.

– To w dalszym ciągu śmieszne. Ale niech ci będzie.

Nabrała głębiej tchu.

– A więc dobrze. Jak każdy rycerz musisz nosić przy sobie jakiś element mojego stroju.

Wręczyła zdumionemu chłopakowi wstążkę, którą tego ranka odcięła od jednej ze swoich sukni.

– Mam ją nosić na wierzchu? – spytał bezradnie.

– Kategorycznie tak.

Nie miała pewności, czy rzeczywiście to robił, ale zawsze kiedy się spotykali, miał wstążkę należycie przypiętą do rękawa. To jej musiało wystarczyć. Inne dwórki natychmiast dowiedziały się o „romansie” i mimo początkowych kpin chyba zaczęły jej trochę zazdrościć. Szymek był wprawdzie chłopakiem z gminu, ale bardzo podobał się wszystkim dziewczętom. Uważały, że jest ładniejszy i zgrabniejszy od chłopców na dworze. Nawet ochmistrzyni zaaprobowała ten związek. Kiedy doszły do niej wieści o rycerzu Amalii, podobno zareagowała śmiechem, co w jej przypadku oznaczało odgłosy zwykle kojarzące się z kaszlem albo krztuszeniem się. Ale nie drażyła sprawy.

W zamian za wstążkę Szymek musiał przywozić Amalii z miasta różne prezenty: drewniane figurki, owoce, jakieś pozbawione wartości drobiazgi. No i miał ją chronić. Wprawdzie nie bardzo było wiadomo, przed kim lub przed czym, ale sama gotowość musiała jej na razie wystarczyć. Czasami, kiedy nie mogła zasnąć, wyobrażała sobie w łóżu, że Szymek walczy z legendarnym smokiem, który w jej fantazjach wciąż mieszkał w pieczarze pod zamkiem. Nie przyznawała się mu do tych rojeń, gdyż na pewno uznałby je za dziecinne, a tego wolała uniknąć.

Zwłaszcza że naraz poczuła się dużo bardziej dorosła.

Odkąd rozpoczęła tę ekscytującą grę, coraz większą uwagę poświęcała swojemu wyglądowi. Wszak damy muszą być przede wszystkim piękne i powabne. Ona też chciała taką być. W komnacie, w której mieszkała, wisiało małe wypukłe lustro ze szkła podlanego ołowiem, sprowadzone podobno aż z dalekiej Bazylei. Stanowiło raczej element dekoracyjny niż przedmiot użytkowy, ponieważ dawało słabe, ciemne i lekko zdeformowane

odbicie, lecz dziewczynka potrafiła uzupełniać ów obraz swoimi wyobrażeniami.

Spędzała przed tym lustrem mnóstwo czasu, strojąc się i pozując. Rozpuszczała swe lśniące czarne włosy i pozwalała im spływać w dół. Jak pogańska tancerka wplatała w nie kwiaty, a czasami owijała głowę ręcznikiem, aby poczuć się jak wschodnia księżniczka. Używała przy tym wielu najdziwniejszych rekwizytów. Udawała też polską lub węgierską królową, starając się odnaleźć podobieństwo do Jadwigi.

Lecz nie była do niej podobna.

Hedwig miała w sobie coś, co wyrastało ponad jej wiek, jakąś godność i dostojeństwo, Amalia natomiast, ku swemu rozczarowaniu, wyglądała dokładnie tak, jak powinno wyglądać dziecko przebierające się za dorosłych. Nieraz zastanawiała się, z czego to wynika. Czy naprawdę mogła być choć trochę spokrewniona z Jadwigą? W takich chwilach bardzo w to wątpiła. Królowa była od niej wyższa, mocniej zbudowana, miała inną twarz, inne włosy. A co dopiero mówić o charakterze. Odkąd zasiadła na tronie, stała się zupełnie inną osobą – poważną i opanowaną. Nie licząc tej chwili słabości tuż po koronacji, dzielnie odgrywała swoją rolę władczyni, budząc u wszystkich zachwyty godną postawą.

Czy zatem Amalia naprawdę mogła być jej przyrodnią siostrą?

Aby nieco rozjaśnić tę kwestię, Amalia postanowiła chytrze podejść uczzonego ojca Alberta.

Duchowny lubił popisywać się swą rozległą wiedzą, więc niewinne pytanie nie powinno było wzbudzić niczyjej czujności. Podczas jednej z lekcji geografii, jakie prowadził z dwórkami wczesną wiosną, opowiadał im właśnie o ludach zamieszkujących Afrykę.

– A więc dobrze, podsumujmy, moje panny – rzekł po zakończeniu godzinnego wykładu. – Miasto Berenice zamieszkują Etiopowie o czarnej skórze, nieznający ludzkiej mowy, ale potrafiący poruszać się szybciej niż konie. Wspomina o nich Pismo Święte. Na wschód od nich żyją Etiopowie z Nubii. Istnieją trzy grupy tego ludu: Hesperowie, Garamanci oraz Indowie. Wszystko to opisuje kto?

– Pliniusz – odpowiedziały chórem dziewczęta.

– Znakomicie. W jakim dziele?

– W *Historii naturalnej*.

Twarz duchownego rozjaśnił szeroki uśmiech. Amalia wyczuła swoją szansę.

– A czemu właściwie ludzie są tak od siebie różni? – spytała nieśmiało.

– Dobre pytanie, Amalio – odrzekł z zadowoleniem Albert. – Można przecież powiedzieć, iż wszyscy pochodzimy od pierwszych rodziców, Adama i Ewy. Powinniśmy być zatem tacy sami. A nie jesteśmy.

– No właśnie...

– Odpowiedź tkwi w układach planet i gwiazd, moja droga. Każde miejsce na ziemi poddane jest innej sile gwiazdnej materii i przez to ludzie, rośliny oraz zwierzęta w różnych krajach przybierają nieco inne formy. Chodzi o kąt padania promieni. Matematycznego aspektu tego prawa na razie jeszcze nie pojmiesz, musiałabyś poznać najpierw ostrosłupy mistrza Bacona.

– A bez ostrosłupów się nie da?

– Nie ma tak łatwo. Wiedza wymaga wysiłku. Na razie niech ci wystarczy, że gwiazdy formują przeróżne istoty.

– Czasami nawet rodzeństwo różni się znacznie od siebie, prawda? – ciągnęła Amalia.

– O tak. Choćby Kain i Abel. Działa tu różnica między ojcem i matką, przez co siły gwiazdne rozdzielają się już w nasieniu.

– Co to jest nasienie? – chciała wiedzieć Helena.

– Pomińmy teraz ten szczegół. Kiedy już dziecko przychodzi na świat, podlega nowemu oddziaływaniu gwiazdnych konstelacji, dla każdego narodzin innych, więc powstają odmienne cechy fizyczne oraz charaktery. Kiedy konstelacje są złe, człowiek skłania się ku rzeczom złym, a wygląd może mieć szkaradny. Kiedy dobre, zyskuje naturę szlachetną. Dlatego też rodzeństwo tak często różni się od siebie.

Nie było to dla Amalii zbyt pokrzepiające, bo mogło oznaczać, że po prostu urodziła się pod złą gwiazdą.

Ale zadała jeszcze jedno pytanie:

– A czy za pomocą samych wykresów nieba można ustalić, czy ktoś jest, na przykład, czyjąś siostrą? Albo córką?

Tym razem duchowny zastanawiał się dłużej, w zamyśleniu grzebiąc palcem w uchu.

– Być może – odezwał się wreszcie. – Ale nie znam takiego przypadku. Na pewno istnieje jakiś przyrodniczy sposób na ustalenie pokrewieństwa. Jak bowiem naucza filozof Seneka w szóstej księdze swego dzieła zatytułowanego *Naturalium*: „Ludzie przyszłych wieków poznają wiele z tego, co dla nas jest nieznanne, i nadejdą czasy, gdy ci, którzy przyjdą po nas, dziwić się będą, że nie znaleźliśmy tego, co jest tak oczywiste”. Koniec na dzisiaj, młode damy!

Amalia jedynie westchnęła w duchu. Jak zawsze nałykała się starożytnych oraz astrologicznych mądrości, lecz w dalszym ciągu miała w głowie mętlik.

Pewnego sierpniowego dnia Szymek oświadczył Amalii, że stoczył pierwszy pojedynek o jej honor.

– Taki jeden szewczyk śmiał się z ciebie, ale zaraz pożałował – powiedział z dumą.

– Ze mnie? – spytała czujnie.

– To znaczy z tego, że się spotykamy. Nazwał cię dworską lalką.

– Och, co za gbur. Przyłożyłeś mu?

– Tak. Odszczekał wszystko.

Już nie mogła się doczekać, kiedy opowie o tym swoim przyjaciółkom, może tylko z pominięciem tej „lalki”.

– Powiedziałem mu na koniec... – zaczął Szymek.

Przerwał, bo na dziedziniec wpadła Elżbieta, jedna z dwórek Jadwigi.

– Amalio! – krzyknęła. – Nadjeżdża książę Wilhelm. Jest już pod murami. Wiezie całe wozy prezentów.

Czekano na niego od dawna.

Miał nocą poślubną przypieczętować swoje małżeństwo z Jadwigą. Gwarantował mu to dokument podpisany przez królową Elżbietę Bośniaczkę, matkę królowej, według którego powinno się to odbyć piętnastego sierpnia, czyli w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Wprawdzie oblubienica oficjalnie nie skończyła jeszcze

wymaganych przez prawo dwunastu lat, ale dla księcia Leopolda II, ojca Wilhelma, nie było to żadną przeszkodą. Bez większego trudu wystarał się o kościelną dyspensę, stwierdzającą, że Jadwiga jest przedwcześnie dojrzała i może uprawiać miłość cielesną w wieku jedenastu lat i sześciu miesięcy. A czas naglił, ponieważ do Leopolda doszły słuchy, że Bośniaczka, niezależnie od danej obietnicy, udzieliła już błogosławieństwa nowemu związkowi córki z litewskim księciem. Za wszelką cenę trzeba więc było doprowadzić do oficjalnego skonsumowania małżeństwa. Przecież byli już poślubieni w dzieciństwie, dopełnienie tego aktu miało stanowić tylko zwykłą formalność.

Niezwłocznie wysłał więc Wilhelma do Krakowa.

Nie była to oficjalna ani zapowiedziana wizyta, książę miał wszystkich zaskoczyć, tym bardziej że najważniejsi polscy dostojnicy przebywali właśnie na Litwie, gdzie ustalano ostatnie szczegóły umowy z Jagiełłą. Wyglądało na to, że los sprzyja młodemu księciu. Jednak wieści o jego wizycie zdołały dotrzeć na Wawel. Przed dworskimi szpiegami niewiele dało się ukryć.

Na zamku powstało olbrzymie zamieszanie. Polscy panowie, w tym przewodniczący rozprawy, byli zaniepokojeni i wściekli.

Natomiast Jadwiga nie posiadała się ze szczęścia.

Wprawdzie od ostatniego spotkania z Wilhelmem minęły już prawie trzy lata i prawdę mówiąc, niewiele go pamiętała, ale był jej przyjacielem z dzieciństwa. Bawili się i wychowywali razem od czasu, gdy niedługo po ślubie z Wilhelmem została wysłana przez rodziców na dwór książęcy do Austrii. Wilhelm był wówczas jej pierwszym i jedynym towarzyszem zabaw. Jego przyjazd oznaczał chwilowy powrót do tamtych radosnych i beztroskich czasów. Do znanych, lubianych twarzy oraz wesołej atmosfery.

Co ważniejsze jednak, oznaczał, iż zostaną dopełnione dawne układy. Nikt już nie sprowadzi na Wawel tego pogańskiego Jagiełły. Opowiadano o księciu straszne rzeczy: że jest stary i owłosiony jak niedźwiedź. Albo wilk. Jadwiga wyobrażała go sobie właśnie jako wilka, przerażającą dziką bestię. Naturalnie, ojciec Albert wytłumaczył im, że Litwini nie mają aż tak owłosionych ciał i wyglądają całkiem zwyczajnie, jak Rusini, ale wszyscy wiedzieli, że to dziki naród. Wciąż pamiętano o ich łupieżczych wyprawach, spustoszeniu Mazowsza. Musiała więc teraz zrobić wszystko,

żeby uniknąć małżeństwa z wodzem Scytów, jak często nazywano Litwinów. Znała warunki umowy małżeńskiej, lecz zdążyła również poznać krakowskich możnych i ich upór w sprawach, które uważali za ważne dla Polski.

Miała więc nadzieję, że matka oraz dwór rakuski tym razem ich przechytrzyli.

Amalia cieszyła się radością swej królewskiej przyjaciółki. Ona również nie mogła doczekać się spotkania z ludźmi, których poznała w Wiedniu. Była to dla niej atrakcja, radosna odmiana, gdyż życie na Wawelu było raczej monotonne i pozbawione rozrywek.

– Mój Boże, czemu dowiedziałam się tak późno? – narzekała królowa. – Nie zdążę się przygotować.

– Ani ja – odparła Amalia.

Jadwiga spojrzała na nią z wyrozumiałym uśmiechem.

– O tak, to najważniejsze – odrzekła.

Nigdy nawet słowem nie powróciła do tamtej nocy po koronacji, Amalia jednak wiedziała, że młoda królowa jest jej wdzięczna. Zawsze traktowała ją lepiej niż inne dwórki, w końcu niemal wychowywały się razem, ale teraz na każdym kroku dawała jej odczuć, że jest jej bliska. Oczywiście dziewczynka odnosiła się do królowej z całym szacunkiem i przestrzegała etykiety, ale kiedy były na chwilę same i wyrwało jej się „Hedwig” zamiast „Wasza Wysokość”, królowa nie zwracała na to uwagi. Amalia wiedziała, że może przyjść do Jadwigi z każdą sprawą i zawsze zostanie życzliwie wysłuchana, królowa zaś czuła, że ma w niej najwierniejszą przyjaciółkę. Co na obcej ziemi i wśród obcych ludzi było szczególnie ważne i cenne.

– Powiedz mi lepiej, którą suknię włożyć – powiedziała teraz Hedwig.

– Tę szafirową.

Królowa w zadumie pokręciła głową.

– Mam takich z dziesięć.

– Tę z odsłoniętymi plecami.

– Aha. Wiem już którą. Jakaś pomada?

– Oczywiście. I róż.

– A co z włosami?

Amalia zastanowiła się chwilę.

– Rozpuszczone – oświadczyła w końcu.

– No nie wiem. Będzie wyglądało, że bardzo chcę się mu spodobać.

Inne dwórki kręciły się obok, zajęte własnymi przygotowaniami. Biegały od swych kufrów do okien, w nadziei, że uda im się wypatrzeć książęcy orszak. Poszcze kiwały pieski ze srebrnymi obrożami, których namnożyło się ostatnio w apartamentach, bowiem każdy gość na dworze przywoził w prezencie jakiegoś szczeniaka. Było to ostatnio bardzo modne. Jednego podarował Amalii Szymek, znalazł go zmarzniętego przy Bramie Świętego Floriana. Zwierzak otrzymał uczone imię Platon i każdej nocy spał w nogach łóżka dziewczynki.

– Teraz wszystko już będzie dobrze, tak jak dawniej – westchnęła Jadwiga. – Nawet nie wiesz, Amalio, jaki kamień spadł mi z serca.

– Najważniejsze, że znowu się uśmiechasz, Hedwig. Przepraszam, chciałam powiedzieć, Najjaśniejsza Pani.

– Nie szkodzi.

Obie czekały, aż wybawiciel Wilhelm wkroczy wreszcie do zamku w blasku sierpniowego popołudnia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wiadomość, że rakuski książę Habsburg nie zostanie wpuszczony na Wawel, lotem błyskawicy obiegała cały dwór i wywołała ogromne poruszenie.

Jadwiga, zwykle tak opanowana i spokojna, wpadła w prawdziwą furję, co wielu osobom przypomniało o krążącej w jej żyłach południowej krwi.

– Jestem królową! – mówiła podniesionym głosem. – Nikt nie ma prawa decydować w moim imieniu!

Natychmiast pojawił się kasztelan Dobiesław, a z nim kilku członków Rady, przypominających kruki. Wszyscy oni zaczęli uspokajać władczynię, prosząc, aby porozmawiała z nimi na osobności, a nie w towarzystwie dwórek i służby.

– To są moje przyjaciółki – odparła ostro Jadwiga. – One nie zdradzają mnie tak jak wy, panowie. Co więcej, zdradzacie też królową Elżbietę oraz szargacie pamięć mojego ojca, któremu ślubowaliście.

Zza okna dobiegały odgłosy z obozu, który Wilhelm rozbił nad brzegiem Wisły.

– Najjaśniejsza pani. – Sześćdziesięcioletni kasztelan Dobiesław z Kurozwęk wydawał się mocno zakłopotany tak gwałtowną sceną. Miał gładko ogoloną twarz i siwe, opadające na ramiona włosy. – Nie jest to żadną zdradą. Pozwól sobie wszystko wytłumaczyć na osobności.

– Czemu na osobności? – zaprotestowała królowa. – Wstydzicie się czegoś, panowie?

– Nie mamy czego się wstydzić – odparł tamten z godnością. – Działamy wedle życzenia waszej czcigodnej rodzicielki.

– Nieprawda!

Wszystkie dwórki z niepokojem przysłuchiwały się tej kłótni, również Amalia, która dawno nie widziała Hedwig tak zdenerwowanej.

– Przysięgam, że tak jest – odparł spokojnie Dobiesław. – Wypełniamy jej polecenie.

– Czyli królowa matka zabroniła księciu spotkania się ze mną? – Głos Jadwigi załamał się. – Nie wierzę w to. Wydała dokument.

– Ustalenia uległy zmianie.

– Macie to na piśmie?

– Oczywiście.

– Chcę zobaczyć.

– Nie teraz. Musicie się uspokoić, Wasza Miłość. Nie zachowujcie się jak dziecko.

Jadwiga wzięła kilka głębszych oddechów.

– Żądam wpuszczenia księcia na Wawel – oznajmiła stanowczo, złożonywszy dłonie na wąskich dziewczęcych biodrach.

– Nie zapominajcie, Najjaśniejsza Pani, że ten zamek nie jest waszą własnością – sucho odezwał się jeden z członków Rady, barczysty mężczyzna z krzaczastymi brwiami.

– Wilhelm to mój małżonek.

– Jeszcze nim nie jest – sprostował Dobiesław.

– Ponieważ uniemożliwiacie mu dopełnienie aktu.

Kasztelan odchrząknął i rzekł:

– Wszystko to dla dobra królestwa.

W oczach Jadwigi nagle pojawiły się łzy.

– Dla dobra królestwa – powtórzyła. – A co ze mną?

– Habsburg nie jest dla was odpowiednim kandydatem, królowo.

Zdjęła z głowy wianek, który przed kilkunastoma minutami przymierzała, cisnęła nim ze złością w kąt komnaty i szybkim krokiem wyszła na korytarz, aby nikt nie ujrzał jej płaczącej. Polscy panowie spojrzeli po sobie niespokojnie, po czym powoli ruszyli za nią.

– Nie zobaczymy wjazdu książęcego orszaku na zamek? – spytała Helena, kiedy wyszli. Wszystkie dziewczęta były zawiedzione, dla nich młody książę i ich królowa stanowili niemal postacie z bajki.

– Spałaś podczas tej rozmowy? – zirytowała się Amalia. – Królowa znowu oszukała Hedwig.

– Ciszej – upomniała dziewczynę Elżbieta.

– A co? Ktoś wyśle posła na Węgry, aby na mnie doniósł?

– Nie, ale tutaj ściany mają uszy. Po co czynić sobie wrogów?

– Oni i tak nas nie lubią – odparła Amalia, krzywiąc się. – Zależy im tylko na tym okropnym Litwinie. Pytanie, co zrobi teraz Jadwiga. Jak ona się uprze, to...

– To co? – spytała Helena.

– To coś wymyśli.

Rzeczywiście, królowa udała się od razu do ludzi Gniewosza z Dalewic, który w przeciwieństwie do starego Dobiesława był przychylny rakuskiemu księciu. Po jakiejś godzinie wróciła do komnaty dwórek, już uspokojona i po dawnemu pewna siebie.

– Szykujcie się – powiedziała z lekkim uśmiechem triumfu. – Wieczorem udamy się do klasztoru franciszkanów, aby tam spotkać się z przyszłym królem Polski. Wielki pan kasztelan może nie wpuścić go na zamek, ale nie ma prawa mnie tu zatrzymać. Posłałam ludzi do rakuskiego obozu oraz do przeora.

Słońce już zachodziło, barwiąc niebo purpurą, pozostało więc niewiele czasu na przygotowania. Dziewczęta odzyskały humor i zaczęły się stroić, lecz Amalia wciąż czuła niepokój. Niewiele wiedziała o akcie małżeńskiej „konsumpcji”, niejasno zdawała sobie jednak sprawę, iż mury klasztoru nie są odpowiednim otoczeniem dla królewskich pokładzin. Dopóki Wilhelm nie znajdzie się na Wawelu, w komnacie Jadwigi, z małżeństwa nici. A polscy panowie nie wyglądali na takich, co łatwo odstąpią od swych planów.

Zatrzymała te przemyślenia dla siebie. Hedwig jest mądra, z pewnością coś wymyśli. Tymczasem szykowałą się zabawa, nie należało nikomu psuć nastroju. Wbrew wszystkim krakowskim panom Jadwiga chciała się dzisiaj rozerwać.

Podczas ostatnich przymiarek słuchała najnowszych wieści relacjonowanych przez jednego z ludzi podkomorzego Gniewosza z Dalewic. To właśnie u niego, we dworze przy Baszcie Legackiej u stóp Wawelu, miał się teraz zatrzymać Wilhelm. Mógł wjechać do Polski i do Krakowa tylko dzięki naciskom Władysława Opolczyka. Niestety dla młodej pary, wpływy księcia kończyły się przy bramie wawelskiego zamku. Tu już rządził surowy Dobiesław z Kurozwęk, stronnik opcji litewskiej. Tak

więc wielobarwny orszak musiał zatrzymać się u stóp królewskiej siedziby. Na nic zdały się pogróżki, prośby, a nawet próby przekupstwa podejmowane przez Wilhelma. Brama pozostała przed nim zamknięta. Wyglądało to na koniec marzeń Habsburga o koronie.

Ostatecznie Władysław oraz przedstawiciele Gniewosza porozumieli się z kasztelanem na tyle, że ten pozwolił na spotkanie młodej pary w mieście. Warunkiem Dobiesława było jednak, iż ma się ono odbyć w którymś z klasztorów – dominikanów lub franciszkanów – czyli w miejscu wykluczającym wszelką intymność, w dodatku w obecności jego ludzi, mających pełnić funkcję swoistych „przyzwoitek”. Warunek sam w sobie dość obraźliwy dla młodej królowej, bo wskazujący na brak zaufania do jej cnoty, lecz na nic więcej przyjezdni nie mogli liczyć.

Padło na klasztor franciszkanów, znany z gościnności i dobrej kuchni. Często owa gościnność była wykorzystywana przez natrętów, których bezskutecznie usiłował zatrzymywać przy furcie opat, i nieproszeni goście wypełniali krużganki, refektarze, a nawet cele braci zakonnych, śmiali się, tańczyli, słowem, zakłócali spokój mnichom.

No, ale w przypadku królowej braciszkwowie nie mogli odmówić.

Było już ciemno, gdy orszak Jadwigi opuścił mury wawelskiego zamku. Ponieważ klasztor znajdował się niedaleko Grodzkiej, wyruszono pieszo. Tylko królową niesiono w ozdobnej zamkniętej lektyce, której okna przesłaniały błękitne firanki. Na przedzie kroczyli rycerze z pochodniami, a za nimi zamkowi muzykanci, umilający drogę grą na piszczałkach i bębenkach. Mimo tych pozorów wesołości wszyscy uczestnicy pochodu wydawali się spięci. Stronnicy księcia i zwolennicy Jagiełły patrzyli na siebie podejrzliwie, doszukiwano się szpiegów pośród własnych ludzi.

Dwórki szły, unosząc brzegi swoich ciężkich sukien, a paziowie podtrzymywali ich długie treny. Kiedy muzyka na chwilę ucichła, Amalia usłyszała dobiegające od strony stawów granie świerszczy. Zawsze lubiła ten dźwięk, przywoływał ciepłe letnie wieczory w Wyszehradzie, czyli w jej domu. Na chwilę nastrój jej się polepszył, lecz zaraz jej uszy zaatakowały piskliwe dźwięki jakiegoś ludowego tańca.

Minęli Okół, gdzie mieściły się dworki wawelskich kanoników, po czym weszli w Grodzką, którą na ten czas zamknęła królewska straż. Z okien kamienic wyglądali ciekawscy mieszkańcy, słychać było okrzyki i gwizdy. Od strony klasztoru dochodziły już dźwięki melodii granych przez książęcych grajków.

Furta siedziby franciszkanów była szeroko otwarta, choć strzegli jej zbrojni z halabardami. Stali też przy niej kasztelan Dobiesław oraz książę Władysław Opolczyk. Amalia zastanawiała się, czy przy takiej „opiece” Wilhelm i królowa będą mogli sobie pozwolić choćby na ukradkowe dotknięcia czubkami palców podczas tańca.

Minęli wirydarz otoczony krużgankami. Hałas był tu już jak w karczmie podczas wesela. Kiedy Jadwiga w otoczeniu swoich dwórek pojawiła się w refektarzu, gwar ucichł jak przecięty nożem, a wszystkie oczy zwróciły się w jej kierunku. Wysoka, o dumnej postawie, wyglądała niczym bogini Wenus. A gdy dwórki zdjęły z niej płaszcz podbity łabędzim puchem i spięty szafirowymi klamrami, wszyscy wręcz zamarli z zachwytu. Piękne jasne włosy królowej spływały łagodnymi falami na haftowaną złotem aksamitną suknię o barwie głębokiego szafiru, wspaniale współgrającego z kolorem jej oczu. Obcisły stanik sięgający poniżej talii ozdobiony był gronostajowym futrem i wstęgami wyszywanymi perłami, dołem szerokiej spódnicy biegła obwódka ze szczerego złota.

Chwilę później rozległ się szmer podziwu, jakby goście dopiero teraz pozwolili sobie na wypuszczenie powietrza z płuc.

Oczy wszystkich przeniosły się teraz na księcia Wilhelma, który zdjawszy z głowy czarny kapelusz ozdobiony perłami i rubinami, podszedł do Jadwigi i przykląkł przed nią w powitalnym ukłonie. Odrzucił na bok poęg długiego do kolan aksamitnego czarnego kubraka, obcisłego w talii i szerokiego dołem, obszytego złotą lamówką, a przy bufiastych rękawach – sobolim futrem. Spod niego widać było czarne, obcisłe spodnie i pantofle ze spiczastymi noskami. Oboje wyglądali tak zachwycająco, że w oczach niejednej kobiety załśniły łzy wzruszenia.

Oto wspaniała królewska para. Nikt tak jak oni bardziej nie pasował do siebie.

– Pani. – Wilhelm uniósł głowę i wciąż jeszcze klęcząc, spojrzał na Jadwigę. – Unizony sługa nie znajduje odpowiednich słów na twój widok. Zdaje mu się, że to sam anioł z niebios zstąpił, aby go powitać.

Jadwiga z niewzruszoną miną pokazała mu, żeby powstał z kolan, i podała czubki palców do ucałowania.

– Witaj w Krakowie, księżę. Bądź moim gościem.

Tyle rzeczy chciała mu powiedzieć, tyle sekretów młodego serca wyjawić, ale ograniczała ją sztywna etykieta dworska. Miała nadzieję, że uda im się rozmówić, gdy będą tańczyć, i że oboje znajdą jakiś sposób na bliższe spotkanie, podczas którego przypieczętują swoje dziecięce śluby. Tylko to się teraz liczyło.

Amalia obserwowała z boku królewsko-książęcą parę. Jadwigą była zachwycona, jednak na widok Wilhelma czuła się trochę zawiedziona. Wydał jej się jeszcze grubszy i mniej zgrabny niż wtedy, kiedy go ostatnio widziała. Rysy jego twarzy były lekko rozmyte, jakby opuchnięte. Czyżby ten nadmiar pudru obok nosa księcia miał skrywać jakiś pryszcz? Pod brodą Wilhelma coraz wyraźniej rysował się drugi podbródek.

Z rosnącym lękiem, podszytym jednak rozbawieniem, Amalia spoglądała na obcisły strój księcia, bojąc się, że podczas klękania pękną szwy i dojdzie do katastrofy.

Po wypiciu powitalnego toastu zarządzono tańce. Wszyscy czekali, aż Wilhelm pierwszy poprowadzi królową, a potem za nim inni podeszli do swoich dam. Pary nie miały zbyt dużo okazji, żeby móc swobodnie porozmawiać, bo układ taneczny wymagał częstych zmian partnerów, w dodatku należało śpiewać, niemniej jednak Wilhelm znalazł sposobność, żeby przy każdym kontakcie zapewnić Jadwigę o swoim nieustającym uczuciu i tęsknocie. Z niecierpliwością wypatrywał, kiedy taniec znów zbliży ich do siebie, i uśmiechał się sztucznie do dam ubranych w mięsiste atłasy i złotogłów, poruszających się z trudem pod ciężarem grubych naszyjników, zdobnych w drogie kamienie obręczy, kolczyków, pierścieni i suto haftowanych sukien. Wszystkie kobiety wydawały mu się brzydkie, pretensjonalne i sztuczne. Jadwiga natomiast miała w sobie dziewczęcą świeżość i naturalne piękno. Nie zauważył na jej twarzy żadnych bielideł ani różu. Policzki miała naturalnie zaczerwienione, oczy jej błyszczały, pełne, lekko uchylone usta przyprawiały go o zawrót głowy.

– Panienska należy do dworu królowej? – Amalia usłyszała obok siebie lekko zdyszany głos dworzanina z otoczenia księcia.

Młodzieniec wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć, na jego czole błyszczały krople potu, łapał powietrze otwartymi ustami, przypominając Amalii karpia wyłowionego z wody. Słyszała już wcześniej, że ci chłopcy byli ściskani sznurówkami, żeby wydawali się szczuplejsi w talii. Oczami wyobraźni widziała ciasno zasznurowany gorset na torsie młodzieńca i z trudem zapanowała nad ogarniającym ją śmiechem. Zanim zdążyła odpowiedzieć, już gdzieś zniknął, porwany przez taneczny korowód. Widziała tylko migające w tłumie kolorowe nogawice i srebrzyste ciżmy z wąskimi, zagiętymi w górę noskami. Rozpoznawała je pośród innych, bo każda nogawka jego ubioru miała inny kolor. Młodzieniec wyraźnie upodobał ją sobie, bo zauważyła, że zaczął tak lawirować w tłumie tancerzy, aby znów się przy niej znaleźć.

O nie... jęknęła w duchu, widząc przed sobą znajomą twarz z rozmazującym się pod wpływem potu pudrem. Zrobiła przepraszającą minę i szybkim krokiem wycofała się z korowodu. Po chwili zniknęła w tłumie.

Grajkowie zrobili sobie przerwę, żeby zebrać siły do kolejnego występu. Wszyscy zasiedli przy stołach, zarumienione z wysiłku damy wachlowały się chusteczkami, panowie dyskretnie ocierali pot z twarzy i karków. Rozległ się gwar rozmów, tu i ówdzie ktoś zaśmiał się głośno, a inny zakaszłał. Tymczasem muzykanci znów zaczęli grać, a ich grupa powiększyła się o jeszcze jednego grajka, młodego lutnistę, ubranego kolorowo jak pozostała część zespołu. Jedyne, co go od nich odróżniało, to nasunięty głęboko na twarz kaptur. Drobny, o zgrabnej i pełnej wdzięku postawie, grał tak pięknie, że zaczął zwracać tym uwagę siedzących za stołami gości, zwłaszcza młodych panien.

– Masz, pani, zdolnych ludzi na swym dworze – pochwalił Wilhelm, zwracając się do Jadwigi. – Kim jest ten tajemniczy lutnista?

Siedzieli obok siebie, mógł więc do woli zaglądać jej w oczy i chętnie pytałby o cokolwiek, byle tylko móc się nachylić do jej ucha. Z powodu gwaru panującego w refektarzu, jak i grających muzyków, tak bliski kontakt był nawet koniecznością.

– Nie wiem. – Jadwiga spojrzała w kierunku grającego wciąż młodzieńca. Coś w jego ruchach wydawało jej się znajome, nie mogła jednak odgadnąć

co. To charakterystyczne pochylenie głowy, ten wdzięczny, niemal pieśczośliwy ruch dłoni dotykającej strun. Gdzieś to już wcześniej widziała... – Zapytam go później sama.

Tymczasem lutnista skończył grać i postanowił sam ujawnić swoją tożsamość. Odłożył instrument, wstał i kłaniając się królowej, jednym ruchem zsunął kaptur z głowy. Lśniące czarne włosy rozsypały się wokół drobnej, uśmiechniętej twarzy. Nie wszyscy go rozpoznali, ale Jadwiga nie miała żadnych wątpliwości. Kłaniający się z uśmiechem długowłosey, kolorowo ubrany młodzieniec nie był nikim innym jak jej dwórką, Amalią.

– To ty... – Jadwiga była bardziej rozbawiona niż zaskoczona. Już od pewnego czasu domyślała się, kto może się kryć pod tym przebraniem.

– Tak, pani. – Zaróżowiona z emocji dziewczynka skłoniła się raz jeszcze. – Chciałam sprawić niespodziankę Waszej Wysokości i jej gościowi.

– I udało ci się. Nieprawdaz, panie? – zwróciła się do zaskoczonego Wilhelma.

Wprawdzie znał Amalię, ale nie wiedział, że potrafi ona grać na lutni. I tak sprytnie przebierać się za mężczyznę.

– Tak, istotnie. Gratuluję, Amalio.

Od stołów dał się słyszeć cichy jęk zawiedzionych panien. Tajemniczy młodzieniec okazał się dziewczyną, co za pech!

Amalia ukłoniła się raz jeszcze i korzystając z zamieszania, wybiegła na krużganki, żeby trochę odetchnąć i przebrać się w swoje suknie. Zostawiła je za jednym ze skrytych teraz w cieniu filarów.

Pozostała tam dłużej, niż było to konieczne. Zaduch refektarza, hałas i ścisk nie służyły jej tego wieczora. Jedynym przyjemnym dla niej momentem była gra na ulubionej lutni, teraz jednak nic jej już nie cieszyło. Czuła narastający ból głowy i marzyła tylko o powrocie na zamek. Z refektarza dobiegły do niej znowu dźwięki muzyki, zabawa trwała w najlepsze. Nagle Amalia usłyszała szelest sukni za plecami. Obejrzała się i ujrzała zbliżającą się do niej Hedwig.

– Ukrywasz się? – spytała królowa. – Czy znowu chcesz coś podsłuchać?

– Nie, pani, zrobiło mi się po prostu słabo.

– Zaskoczyłaś mnie swoim występem. – W panującym na krużgankach półmroku Amalia wprawdzie nie dostrzegła uśmiechu Jadwigi, ale wyczuła w jej głosie wesołość. – Przyznam, że słuchałam twojej gry z wielką przyjemnością. Jesteś w tym coraz lepsza.

– Dziękuję, pani. Zagrałam właśnie po to, aby sprawić ci przyjemność, i cieszę się, że mi się udało. Teraz jednak musiałam trochę odetchnąć.

– Ja również, dlatego wyszłam. Zwłaszcza że książęcy poeta zaczął recytować jakieś okropne wiersze o zabijaniu Litwinów.

– Jednego sama bym najchętniej zabiła – odparła Amalia.

– Nie wolno ci tak mówić. Patrzą na nas szpiedzy kasztelana. – Wskazała wzrokiem miejsce za sobą, gdzie w cieniu majaczyła sylwetka jednego z pilnujących jej mężczyzn.

– Ale nas nie słyszą.

– Miejmy nadzieję. Czuję się winna.

– Winna czego?

Jadwiga potarła czoło.

– No wiesz, to ja wysłałam poselstwo po księcia. W tajemnicy przed Polakami. I wychodzi na to, że postawiłam go w bardzo trudnej sytuacji. Został upokorzony.

– Nie mogłaś tego przewidzieć, królowo.

– Powinnaś być. Postąpiłam dziecinnie. I samolubnie.

Amalia nie odpowiedziała.

– A teraz sama znalazłam się w sytuacji bez wyjścia – ciągnęła Jadwiga. – Nie ma sposobu na to, aby książę dostał się na Wawel.

Amalia, jak zawsze w chwilach umysłowego wysiłku, zmarszczyła nos. Przez jakiś czas się zastanawiała, po czym rzekła szeptem:

– Miałabym chyba pomysł, jak można to zrobić.

– To mi go zdradz, a ja ci pomogę zasznurować suknię. Jak ci się udało włożyć ją na nowo bez żadnej pomocy?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ogólne zarysy planu narodziły się jeszcze tej samej nocy, w klasztorze franciszkanów, a szczegóły zostały dopracowane nazajutrz, gdy Jadwiga zaprosiła Amalię do swoich komnat.

Cały pomysł wydawał się prosty i bazował na jedynej przewadze, jaką dziewczynka miała nad innymi dwórkami z otoczenia królowej, mianowicie na znajomości z osobami z zewnątrz, konkretnie zaś z Szymkiem i jego ojcem. Obaj od dawna dostarczali powidła i owoce na Wawel i byli dobrze znani wartownikom przy bramie. Jak zauważyła Amalia, strażnicy nigdy nie fatygowali się, by sprawdzić wjeżdżający i wyjeżdżający łobzowski wóz. Między innymi dzięki temu ona sama mogła wymknąć się poza mury i powrócić do zamku bez wzbudzania czujności wartowników. Jeśli więc chciało się kogoś niepostrzeżenie przemycić na zamek, ten sposób wydawał się niezawodny.

W pierwszym momencie Jadwiga się zawahała. Następnego dnia też nie była do końca przekonana.

– To będzie trudne – powiedziała, gdy siedziały same w jej sypialni. Rozmawiały szeptem w olbrzymim łożu królowej, zasłonięte ciężkimi kotarami baldachimu, jak dziewczynki bawiące się w namiot. – Kasztelan z pewnością nakazał bardziej surowe kontrole przy bramie.

– Możliwe – odrzekła Amalia. – Ale wiesz przecież, królowo, jaki tam panuje ruch. Gdyby każdego szczegółowo sprawdzali, zrobiłby się wielki zator. Myślę, że będą zwracać uwagę na tych, którzy wydadzą się im podejrzani. Syn dostawcy powideł z Łobzowa to ktoś, kogo nikt nie będzie podejrzewał o układy z wiedeńskim księciem.

– Na ile można mu ufać?

– Mnie przewiózł.

– Uciekałaś z zamku? – Królowa popatrzyła na nią ze zdumieniem.

– To długa historia...

- Chyba nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. Kto to taki?
- To Szymek, mój przyjaciel.
- Przyjaciel...
- Zrobi wszystko, co mu każe.

Siedziały na materacu ze świeżego siana, powleczonego barchanem, oparte o wypełnione puchem poduszki z czerwonej skóry. Zielona, atłasowa kołdra była zwinięta w rulon w rogu łoża.

- Ale wiesz, że jeśli wpadnie, będzie miał kłopoty?

O tym do tej pory Amalia nie pomyślała. Rzeczywiście, w przypadku niepowodzenia nie tylko Szymek, ale i jego ojciec mogą już nie mieć wstępu na Wawel, o ile nie czekałyby ich jeszcze poważniejsze konsekwencje. To byłaby katastrofa.

– Mam nadzieję, Najjaśniejsza Pani – odparła po chwili zastanowienia – że w razie czego nie pozwolisz, by Szymkowi stała się krzywda.

- Jeśli mi pomoże, będzie moim przyjacielem.
- Na pewno pomoże!
- Nie tak głośno.

Zamilkły na chwilę, konspirując w półmroku zasłoniętego łoża. Wiedziały, że za dwuskrzydłowymi drzwiami sypialni czekały już służki, gotowe wejść, aby pomóc królowej w porannej toalecie, a także inne, mające za zadanie sprzątnąć pościel oraz uporządkować komnatę. Na korytarzu musiało być tłoczno. Niewykluczone, że stali tam też ludzie kasztelana. Wprawdzie nie przyszłoby im do głowy, by posądzać jedenastoletnią Amalię o jakieś wywrotowe działania, lecz ostrożności nigdy za wiele.

– Ale czy książę zgodzi się na taką awanturę? – zastanowiła się królowa, gładząc w zamyśleniu poduszkę. – Musiałby się przebrać za wieśniaka...

- Gorzej, musiałyby się ukryć pod towarem. Wszystko już przemyślałam.
- Tak?
- Nie może się przebrać za wieśniaka, bo jest zbyt wymuskany i za gruby.
- Amalio...
- Zbyt dobrze odżywiony, chciałam powiedzieć. W dodatku ma inne rysy niż Polacy. I strażnicy go nie znają. Wzbudziłby podejrzenia.
- Masz rację.
- Zatem trzeba go ukryć pod derkami i słomą.
- Nigdy się na to nie zgodzi.

– Jeśli was kocha, to chwilę pocierpi. Wóz przejedzie przez bramę, nie sprawdzą go, bo nigdy nie sprawdzają, a potem skieruje się na dziedziniec od strony spichlerza. Bliżej stajni, gdzie kręci się mniej ludzi. Na dany znak książę wyskoczy spod słomy i pobiegnie do szopy z drewnem. Ja już tam będę czekać.

– Może lepiej nie.

– Muszę.

– Trzeba zdobyć dla niego ubiór pazia. Jakiegoś korpulentnego.

Jadwiga tylko westchnęła, ale nie przerywała.

– Książę się przebierze w dworski strój, żeby nie wzbudzać podejrzeń na korytarzach.

– Poznają go przecież.

– Nie będzie nikogo z dworu – z pewną siebie miną oświadczyła Amalia.

– Jak to?

– Zarządzisz, Najjaśniejsza Pani, aby w tym czasie cała służba zebrała się w jakiejś sali.

– Żebym mogła im coś ważnego przekazać?

– Aha.

– Sprytne. Ale co z wartownikami i szpiegami kasztelana?

– Szpiedzy na pewno będą chcieli usłyszeć, co takiego królowa chce powiedzieć służbie. A uwagę wartowników odciągnę ja. Najważniejsze, aby książę dostał się do waszych pokojów.

Jadwiga przymknęła oczy i namyślała się przez chwilę, kiwając miarowo głową.

– Szalone, ale może się udać – zawyrokowała w końcu. – Wychodzimy...

Odsunęły kotarę i cicho opuściły łoże. Sypialnia rozświetlona była w niemal bajkowy sposób, a to dzięki ostremu sierpniowemu słońcu przebijającemu się poprzez barwny witraż ostrołukowego okna. Oprócz łoża w komnacie znajdował się stolik, kominek oraz pulpit do czytania, na którym leżał otwarty psalterz. Na ścianach wisiały haftowane złotem i perłami tkaniny, w niszach stały szafy, a sufit, podparty smukłą kolumną, zdobiły malowidła. Po prawej od okna znajdowały się drzwi prowadzące do małego pomieszczenia o nazwie locus secretus, aby królowa nie musiała korzystać ze wspólnej latryny, która znajdowała się na zewnątrz. Po przeciwnej zaś stronie było wejście do prywatnej kaplicy Hedwig.

– Na pewno się uda – odparła Amalia. – Chciałabym zobaczyć miny Dobiesława i jego pachołków, kiedy już dopełnicie z księciem ślubów.

– A ja wolałabym ich nie oglądać. Posłuchaj, Amalio. Tak czy inaczej, musimy w ten plan wtajemniczyć tych, którzy nam sprzyjają. Księcia Władysława z Opola przede wszystkim. Nie mogą być zaskoczeni naszym postępkami. Porozmawiam dzisiaj z ludźmi Gniewosza, zapytam o zdanie. Jeśli się zgodzą, dam ci znak. Możesz już wstępnie porozmawiać z tym swoim... przyjacielem.

Amalia cieszyła się na tę przygodę. Było jak w książkowych opowieściach: nieszczęśliwa królewna uwięziona w zamkowej wieży i szlachetny rycerz przybywający jej na ratunek. Tu wprawdzie chodzi o królową, ale reszta się zgadza. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie się o tym opowiadać przez długie lata.

Może nawet ktoś napisze poemat.

Delikatna, niemal dziewczęca twarz Szymka wyrażała najwyższe zdumienie połączone ze świętym oburzeniem.

– Diabeł ci w głowie pomieszał?! – Z emocji podniósł głos, aż zwrócił tym na siebie uwagę kręcących się na Zamku Niższym ludzi. Ten i ów obejrzał się zaskoczony, może nie tyle tonem chłopaka, co jego poufałością w stosunku do młodej dwórki królowej. Byli to głównie murarze obrabiający dłutem kamienie mające służyć do rozbudowy północnego odcinka muru. W większości nosili słomkowe kapelusze, byli ogorzali od słońca i mieli żylaste ręce. W oddali unoszono na skórzanych pasach dźwigu olbrzymi skalny blok.

Szymek i jego ojciec przyjechali tego dnia ze świeżą dostawą, prosto z łobzowskich sadów.

– A tobie zaćmił umysł? – odparowała rozgniewana Amalia. – Może stań na murach zamku i ogłoś publicznie wszystkim, o co cię poprosiłam. Tutaj nie wszyscy usłyszą. Widzę, że popełniłam błąd, licząc na twoją pomoc. Zapomnij.

Szymek zmiętygował się lekko.

– Naprawdę postradałaś chyba zmysły – zniżył głos tak, żeby już nikt nie mógł podsłuchać. – Przecież jak mnie złapią, to zawisnę na szubienicy za

zdradę, a i ciebie kara nie ominie. Za współuczestnictwo.

– Taak? – Zmrużyła oczy jak polujący na ofiarę kot. – Czyli wydałbyś mnie? Ty, mój rycerz, który ślubował...

– Nie – przerwał jej gwałtownie. – Przecież wiesz, że bym cię nie wydał, ale w końcu samo by się wydało. Wiedzą, że się spotykamy i rozmawiamy ze sobą. Nie trzeba dużej przenikliwości, żeby do tego dojść.

– Królowa zapewniła mnie, że włos ci z głowy nie spadnie.

– To ona wie?

– Naturalnie, że tak. Myślałeś, że cała ta operacja to tylko mój pomysł? Że władczyni nie ma o niej pojęcia?

– No cóż, czasami miewasz szalone myśli. Ale to trochę zmienia sytuację.

– A więc?

– Tyle że...

– Tyle że co?

– Królowa jest jeszcze bardzo młoda. Panowie krakowscy są potężniejsi. Nie wiem, czy zdoła nas uratować, gdyby to wszystko się nie udało.

Zawiedziona Amalia opuściła ramiona i westchnęła głośno.

– Boisz się.

– Co?... Ja się boję?

Chwilę później stali ukryci za wozem ojca i udając, że rozmawiają na temat dostawy, ustalali szczegóły karkołomnego planu. Był niebezpieczny, ale tak szalony, że miał wszelkie szanse na powodzenie. Szymek wciąż jeszcze trochę się wahał, więc Amalia kuła żelazo, póki gorące.

– Jeśli wszystko się uda, będziesz przyjacielem królowej – powtórzyła mu słowa Hedwig.

– A jeśli się nie uda?...

Amalia nawet nie chciała myśleć, że coś mogłoby pójść nie tak. Czuła, że królowa nie dałaby im zrobić krzywdy i że mogliby liczyć na jej pomoc w każdej sytuacji. Ale co, jeśli sama wpadłaby w tarapaty?

– Plan jest tak dobry, że na pewno się powiedzie – odparła, nie chcąc ujawniać własnych wątpliwości. Przecież już obiecała Jadwidze pomoc.

Nagle Szymek zmienił głos:

– Proszę, niech panienka spróbuje. Świeże, prosto z drzewa – powiedział głośno, podając Amalii błyszczące jabłko, które wcześniej wytarł w szeroki rękaw swojego kubraka. Odegrał tę scenkę, ponieważ obok przechodzili właśnie dwaj murarze z wiklinowymi koszami, w których nieśli swój posiłek. A już ciszej dodał:

– No to niech księżę czeka w klasztorze za dwa dni od dzisiaj, przed zachodem słońca.

– W ten dzień nie będzie tańców – rzekła Amalia. – Wiem, bo zbliżają się uroczystości i królowa wieczorem ma gościć u siebie duchownych oraz rajców.

– To świetnie się składa.

Oboje zgodzili się co do tego, że lepiej będzie nie wtajemniczać w te plany ojca. Był prostolinijnym, uczciwym i niezdolnym do kłamstwa człowiekiem, toteż gdyby się dowiedział, kto będzie leżał pod derką na wozie, mógłby się czymś zdradzić przed wartownikami przy bramie. Im mniej osób wie, tym większe bezpieczeństwo tego przedsięwzięcia.

– Przyjadę sam – powiedział Szymek. – Jakoś to ojcu wytłumaczę i na pewno pozwoli mi wziąć wóz.

Amalia wróciła do komnat, gdzie z niecierpliwością wyczekiwała momentu, kiedy mogłaby porozmawiać sam na sam z Jadwigą. W końcu młoda królowa zauważyła jej podniecenie i domyśliła się, o co chodzi.

– Amalio – zwróciła się do dziewczynki, która wraz z innymi dwórkami siedziała przy wykuszu okiennym i haftowała jakiś skomplikowany wzór na okrągłym tamborku. – Czy mogłabyś mi pomóc rozczesać włosy? Jestem już zmęczona, chciałabym trochę odpocząć w swojej komnacie.

– Jest przyzwolenie od naszych ludzi – szepnęła Jadwiga. Usiadła na krześle przed zwierciadłem, mając za sobą Amalię. – Bardzo im się spodobał twój plan.

Dziewczynka ucieszyła się i przekazała królowej treść rozmowy z Szymkiem.

– Cały czas nie wiem, czy dobrze postępuję. – Jadwiga skrzywiła się lekko, kiedy przy czesaniu włosy wplątały się w szczotkę. Amalii z podniecenia trzęsły się ręce. – Ale przecież to nie grzech, prawda? To mój

mąż, zaślubiony przed Bogiem, i mam prawo się z nim spotkać. Jeśli są ludzie, którzy dla własnych korzyści chcą nam w tym przeszkodzić, moim obowiązkiem jest do tego nie dopuścić.

– Jesteście już królową, pani – odparła Amalia. – A nie bezwolnym dzieckiem. Możecie zmieniać decyzje innych. Tak jak wasza matka zmieniła testament króla Ludwika.

Królowa spochmurniała, spoglądając w zamyśleniu w kryształowe zwierciadło, które przyjechało wraz z nią z Budy. Było o wiele lepsze i wierniej odtwarzało widok niż wszystkie te, które wisiały na Wawelu. Amalia czesała ją w milczeniu.

Wreszcie przerwała je Jadwiga.

– To zupełnie inna sprawa. Matka jest dorosła. Z kimś tak młodym jak ja nikt się nie liczy, zwłaszcza w obcym kraju. Ale i tak musimy spróbować. Chociaż obawiam się niepowodzenia. Nad tymi pokładzinami wisi jakieś fatum. Horoskop, jaki postawił mój astrolog przed przyjazdem księcia, był wielce niekorzystny. Dowiedziałam się, że Wilhelm też pytał swoich uczonych, zanim udał się w podróż, i tamte wykresy nieba okazały się jeszcze gorsze. Gdyby nie ustalony przez królową matkę termin, pewnie poczekałby na lepszą konfigurację gwiazd.

– Ale wiecie, Najjaśniejsza Pani, co zawsze powtarza nam ojciec Albert?

– Przypomnij mi.

– Że horoskopy wskazują tylko na pewne ogólne niebezpieczeństwa. Ludzka wola może zmienić koleje losu. A przede wszystkim wola boska. Dlatego na końcu każdego napisanego horoskopu widnieje zastrzeżenie: „Będzie tak, jeśli Bóg pozwoli”.

– Czasami odnoszę wrażenie, że znasz odpowiedź na wszystko. Raz zachowujesz się jak dziecko, kiedy indziej zaś odpowiadasz mi niczym doktor prawa. Kim ty jesteś?

Amalia się zarumieniła.

– Waszą przyjaciółką – rzekła.

– Ja myślę o tobie prawie jak o siostrze – odrzekła Jadwiga, co spowodowało szybsze bicie serca dziewczynki.

Czy potrzebowała teraz czegoś więcej do szczęścia?

ROZDZIAŁ PIĄTY

W dniu, na który zaplanowano przewiezienie księcia przez wawelską bramę, od samego rana zanosił się na burzę. Było niezwykle duszno i parno, ludzie z niepokojem spoglądali w zachmurzone sierpniowe niebo.

Tylko Szymek patrzył na nie z nadzieją, wręcz modląc się o pioruny i ulewę. Gdyby rozszalała się burza, miałyby ułatwione zadanie. Wprawdzie przemókłby do suchej nitki, lecz przy złej pogodzie wzrastały szanse, że nikt nie zauważy, jak księżę Wilhelm wskakuje na jego wóz. Zarówno mieszkańcy zamku, jak i ewentualni szpiedzy będą musieli znaleźć jakieś schronienie, przecież nikt nie będzie sterczał w ulewę przed budynkiem franciszkańskiego klasztoru.

Tak, powodzenie akcji w jakimś sensie zależało teraz od przychylności niebios. Cały plan, który podczas rozmów z Amalią wydawał się w miarę prosty i skuteczny, w fazie realizacji ujawniał wszystkie swoje dziury oraz niedociągnięcia i krok za krokiem coraz bardziej się komplikował, aż nadszedł moment, iż pozostawało liczyć po prostu na szczęście.

Jak dotąd sprzyjało im. Najpierw Szymek musiał zdobyć środek transportu, nie informując o tym ojca. Ich wóz odpadał – nie dało się go wyprowadzić z wozowni w tajemnicy przed właścicielem. Dlatego też chłopak pożyczył pojazd wraz z koniem od mieszkającego pod Łobzowem wuja, wytłumaczywszy mu, że ma wykonać dodatkową pracę dla klasztoru.

Ten etap okazał się jeszcze w miarę łatwy.

Od tej chwili jednak zaczynały się kłopoty. W okolicach klasztoru musiało się kręcić wielu ludzi kasztelana, obserwujących wszystkich, którzy pojawiali się w okolicach bramy. Wedle planu austriacki księżę miał się pojawić u franciszkanów dzisiejszego popołudnia, aby wziąć udział w nabożeństwie. Ale szpiedzy nie byli głupi, wiedzieli, że młody Wilhelm szuka w Krakowie nie tyle duchowej stawy, ile kolejnej okazji do połączenia się z królową. Będą zatem bacznie obserwować wszystkich

ludzi i wszelkie pojazdy pojawiające się przy furcie. Szymek wiozł zakonnikom kilka worków jabłek potrzebnych do produkcji cydru, dostał je z królewskich zapasów, a uprzedzony o wszystkim opat miał go wpuścić na teren klasztoru. Tutaj nie spodziewał się żadnych trudności, gorzej będzie przy wyjeździe. Jeśli szpiedzy zainteresują się wozem opuszczającym klasztor, zrobi się naprawdę nieprzyjemnie.

Dlatego Szymek czuł wciąż narastający niepokój. Zaczynał powoli żałować, że dał się wciągnąć w tę eskapadę. Jechał wozem przez ulice Krakowa, poganiając chudą szkapę w kierunku Grodzkiej, cały czas czujny i przejęty. Ruch był duży, musiał wymijać inne pojazdy i grupy konnych oraz przechodniów, a wóz niemal ocierał się o ściany kamienic. Pokrzykiwano na niego, a dzieciarnia ze śmiechem czepiała się boków furmanki.

– Uważaj, jak jedziesz! – krzyknął jakiś duchowny, nadjeżdżający z przeciwka na karym koniu.

– Dobrze, dobrze, ojczulku – mruknął chłopak.

– Nie nauczono cię szacunku dla Kościoła? Zrób nam miejsce!

Jechało za nim dwóch giermków. Jeden z nich, grubas z młodzieńczym zarostem, splunął i rzekł:

– Możemy go uświadomić, czym są dobre maniery, wielebny ojcze.

Tylko spróbuj, pomyślał Szymek, dotykając leżącej przy nim pałki, którą woził wszędzie ze sobą.

– Nie mam na to czasu, Bolko – odparł duchowny i z wyrazem pogardy na twarzy wyminął wóz z jabłkami.

Gdybyście wiedzieli, na czyje polecenie tu jestem... – pomyślał chłopak.

Gładko przełknął upokorzenie – był do takich odzywek przyzwyczajony – i po zniknięciu tamtej trójki wjechał na Grodzką, a potem skręcił w stronę klasztoru.

Na placu przed bramą kręciło się wielu ludzi i na pierwszy rzut oka nie dało się stwierdzić, kto może być wysłannikiem kasztelana. Szymek zeskoczył z kozła, podszedł do furty i pociągnął za dzwonek. Niemal natychmiast uchyliła się klapka w drzwiach.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekł niepewnym głosem.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedział mu starczy bas.

– Przywożę jabłka dla opata.

Rozległo się głębokie westchnienie, a potem zgrzyt zasuw.

Chłopca aż korciło, żeby się odwrócić i sprawdzić, czy nikt go teraz nie obserwuje, doszedł jednak do wniosku, że byłby to dla tamtych aż nazbyt czytelny sygnał, iż czegoś się boi. Postanowił zatem zachowywać się tak naturalnie, jak tylko w tej chwili był w stanie. Podrapał się po głowie niczym wiejski głupek, któremu nigdy nie przyszłoby nawet na myśl kogokolwiek oszukiwać.

Furtian rozchylił skrzydła bramy.

– Wjeżdżajcie – polecił. – Tylko ostrożnie, bo wąsko. Ostatnio dostawcy drzewa tak nam uszkodzili furtkę, że nie dało jej się domknąć.

– Postaram się.

Wskoczył na wóz, kątem oka przyglądając się ludziom na placu. Nikt chyba nie zwracał na niego uwagi. Cmoknął na konia, delikatnie uderzył lejcami w jego chudy grzbiet i powoli wsunął się w wąski przejazd. Udało mu się zmieścić, miał duże doświadczenie w powożeniu, wszak ćwiczył się w tym zajęciu od wczesnego dzieciństwa. Kiedy znalazł się na dziedzińcu klasztornym, furtian zamknął bramę.

I wtedy w oddali zagrzmiało.

Matko niebios, najczystsza z dziewic, pomyślał z nadzieją Szymek. Niech rozpęta się burza z piorunami. Uczyń to dla mnie i dla królowej. Potrzebujemy biblijnego potopu.

Z budynku żwawym krokiem wyskoczył opat. Nie był taki stary, jak to sobie chłopak wyobrażał, i wyglądał na przestraszonego.

– Ty jesteś Szymek? – spytał, łapiąc oddech. Miał długą twarz z końską szczęką.

– Tak.

– Grzmi. Poczekajmy, aż lunie. To powinno przegonić niepotrzebnych gapiów z placu.

– Też tak pomyślałem.

– Wyładujmy te jabłka, będą nam potrzebne puste worki.

Zabrali się do pracy, co chwila spoglądając w niebo. Kolejny grzmot, tym razem głośniejszy, przetoczył się gdzieś na zachodzie. Kiedy skończyli, opat zrobił coś nieoczekiwanego: z jego ust wydobył się ostry dźwięk, naśladujący pisk drapieżnego ptaka. Najwyraźniej był to umówiony sygnał. Zdumiony Szymek ujrzał, jak zza jednego z rosnących przy murze drzew wyłania się postać w szarej opończy. To był książę, choć wcale w tej chwili nie przypominał kandydata do polskiego tronu. Wilhelm, otyły i raczej

niezgrabny, dopadł do wozu i próbował jednym skokiem na niego się dostać. Ale wybił się za lekko i uderzył kolanem o jakąś belkę.

– Donnerwetter! – zaklął, bardzo odpowiednio, zważywszy na okoliczności.

Bo znów zagrzmiało i zaczęło kropić.

Dwóch zakapturzonych mnichów podbiegło do pojazdu i zaczęło przykrywać leżącego na nim księcia pustymi workami po jabłkach. Zanim skończyli, rozpadało się na dobre. Szymek zdjął z kozła przygotowaną na tę okoliczność opończę z ogromnym kapturem.

Nałożył okrycie, gotów już do drogi.

– Poczekaj! – powstrzymał go opat. – Zerknę, czy ktoś nie stoi na zewnątrz.

Wrócił po chwili, kuląc się przed deszczem.

– Droga wolna. Pewnie ukryli się w karczmie, jak zwykle. Odjeżdżajcie, z Bogiem.

Szymek wyjechał na zalany wodą plac. Grzmoty były już tak bliskie, że za każdym uderzeniem kulił ze strachu ramiona. Nawet się nie oglądał, czy ktoś na niego patrzy, tylko poganiał zalęknionego konia, aby jak najszybciej dotrzeć na zamek. Mogło się wydawać podejrzanym, że ktoś, zamiast przeczekać burzę pod dachem, rusza prosto w największą ulewę, ale Szymek musiał zaryzykować. Teraz nie było czasu na myślenie; uda się albo się nie uda. Na dwoje babka wróżyła. Miał tylko nadzieję, że po drodze nie trafi go piorun jak jednego z jego sąsiadów, łysego Bartosza. Byłoby to dziwaczne zakończenie całej tej przygody.

Z powodu burzy ulica opustoszała, toteż nie musiał już manewrować wozem ani czynić niepotrzebnych postojów. Wjechał na Okół, rozglądając się uważnie. Zgodnie z umową ktoś powinien tu na niego czekać. I rzeczywiście, ujrzał wóz ukryty pod rozłożystą wierzbą. Nadbiegł z tamtej strony mężczyzna z rudym zarostem, kryjący się pod rozpostartą nad głową płachtą.

– Nareszcie! – wykrzyknął. – Nie mogliście wybrać gorszej pogody?

– Nie ja decyduję – odparł Szymek, wycierając wodę z oczu. – Królewski rozkaz.

– Kurewski rozkaz – burknął tamten.

– Nie gadaj tyle, do roboty.

Szymek miał tutaj załadować nowe worki z owocami, aby mieć co przewieźć przez zamkową bramę. Przerzucili je migiem z jednego wozu na drugi. Mężczyzna rzucił ostatni i zamarł, kiedy usłyszał zduszony jęk. Spojrzał na Szymka zdumiony.

– Co to ma być, jakaś białka? – zmrużył oko w porozumiewawczym uśmiechu.

– Nie twoja sprawa. – Szymek przyłożył palec do ust. – Dzięki.

Wskoczył na wóz i ruszył dalej. Niedaleko Wawelu odwrócił się i rzekł głośno po niemiecku w kierunku księcia:

– Zaraz będziemy przy bramie, postarajcie się więc, Najjaśniejszy Panie, nie wydawać już żadnych dźwięków.

– Jawohl – usłyszał przytłumiony głos.

Napięcie sięgnęło zenitu, gdy Szymek dotarł pod zamkowe mury. Krata była uniesiona, chociaż nikogo przy niej nie dostrzegł. Po chwili z budki wybiegł wartownik, w kolczudze, ale z gołą głową. Szymek dobrze go znał – na szczęście.

– A ty co? – krzyknął żołnierz. – W taki deszcz jeździsz?

– Spieszno mi.

– Dopiero wczoraj byliście.

– Jak zamawiają, to przyjeżdżam z towarem.

– Bez ojca?

– Popił wczoraj w karczmie i dzisiaj choruje.

Wartownik obszedł wóz.

– Muszę cię sprawdzić, takie są nowe przepisy.

– Sprawdzajcie do woli. – Serce Szymka zaczęło bić jak młotem. Spełniały się jego najgorsze obawy. Jak ten człowiek zacznie teraz grzebać pośród worków, będzie koniec.

W pobliżu huknęło tak, że aż zadzwoniło im w uszach.

– Do diabła! – krzyknął mężczyzna. – Zginę tutaj przez ciebie i twoje zasrane jabłka.

– To mnie po prostu puśćcie. Nie mam tam ukrytych Tatarów.

– Nie wozisz już tej smarkatej dwórki, mam nadzieję?
– No co wy? Nogi by mi powyrywali.
– No myślę. Pilnuj się, bo i tak się z nią nie ożenisz, a kłopoty na ciebie sprowadzi.

W to akurat jestem w stanie uwierzyć, pomyślał kwaśno Szymek.

– Dobra, zejdź mi z oczu! – machnął ręką strażnik. – Tylko odczekaj z wyjazdem, aż się uspokoi.

– Poczekam!

Fala ulgi, jaka w tej chwili zalała Szymka, była potężniejsza od burzy oraz ulewy. Swoją część planu wykonał, teraz niech się martwi Amalia.

Ulewny deszcz bębnił wściekle o dach szopy na drewno. Niedbale sklecona buda stała przyklejona do muru, między stajnią a bramą prowadzącą na dziedziniec zamku. Było to idealne miejsce, z którego już tylko krok dzielił od wejścia do pomieszczeń mieszkalnych i komnat królowej. Zdrętwiała od niewygodnej pozycji Amalia powoli zaczęła tracić nadzieję na powodzenie akcji. Czemu to tyle trwa? – zastanawiała się pełna niepokoju. Czyżby wartownicy zatrzymali jednak Szymka przy bramie i odkryli przewożony ładunek? Podświadomie wyczekiwała krzyków, zamieszania i odgłosów pogoni.

Zadrzała; wilgoć przenikająca przez szpary w deskach jej schronienia sprawiła, że dziewczynka zaczęła pociągać nosem. Jeszcze chwila, a będzie kichać i zdradzi swoją obecność. Wtedy usłyszała stukanie końskich kopyt, zbliżających się ku szopie. Spokojne, miarowe dźwięki nie wskazywały na jakikolwiek pośpiech czy też ucieczkę przed wartownikami. Udało się!

Chwilę później do szopy wpadły dwie zakryte opończami postaci. Kiedy rzuciły kaptury, Amalia rozpoznała Szymka i księcia Wilhelma. Utytułowany nieszczęśnik był zupełnie przemoczony, jego jasne długie włosy mokrymi pasmami przykleiły się do twarzy, elegancki jedwabny strój był aż ciemny od wilgoci.

– Miłościwy Książę. – Dziewczynka dygnęła grzecznie przed Wilhelmem. – Proszę, oto suche ubranie na zmianę. Jego Wysokość będzie musiał się przebrać za dworzanina.

Podążyła mu starannie złożony i przede wszystkim suchy pakunek.

– Nikt was nie widział? – spytała szeptem, kiedy Wilhelm przebierał się za stertą drewna.

Chyba pierwszy raz w życiu musiał radzić sobie sam z wkładaniem garderoby, o czym świadczyły dobiegające do nich gniewne posapywania i stłumione przekleństwa.

– Wszystko poszło dobrze – równie cicho odpowiedział Szymek. – Przed klasztorem nie zastaliśmy szpiegów, bo kiedy rozpętała się burza i lunął deszcz, zapewne schronili się w pobliskiej karczmie. Jak wynikało ze słów opata, od początku niezbyt przykładali się do swojego zadania. Przyjechali za księciem do klasztoru, bo taki był rozkaz, ale szybko odkryli karczmę w pobliżu. Tłumaczyli opatowi, że z okna karczmy jest dobry widok na klasztorną bramę.

– No to chwała opojom, którzy w tym czasie spoglądali raczej w swoje kufle, skoro was nie zauważyli – zaśmiała się bezgłośnie Amalia.

– A przed wjazdem na zamek wymieniałem tylko z wartownikami pozdrowienia. W taką burzę nawet nie chciało im się sprawdzać wozu, bo musieliby to robić w strugach deszczu. Wóz zajął tyle miejsca w bramie, że nie mogliby tego zrobić pod dachem, na czas przejazdu musieliby wyjść. Niebo nam dzisiaj sprzyja. – Uśmiechnął się do niej szelmowsko.

Z kąta wyszedł Wilhelm w przebraniu dworzanina. Strój pasował na niego rozmiarem, ale książe i tak co chwilę nerwowo go obciągał i poprawiał.

– Kiedy zaprowadzicie mnie do komnat Najjaśniejszej Pani? – spytał rozdrażnionym tonem. Najwyraźniej czuł się niezręcznie w obecności dwójki poddanych. Nie w takiej roli powinni go widzieć.

– Musimy poczekać, aż trochę się ściemni, Wasza Wysokość – odpowiedziała Amalia. – Teraz ktoś mógłby was zauważyć i rozpoznać. Jak zapadnie zmrok, łatwiej będzie udawać dworzanina. Po ciemku wszyscy wyglądają tak samo.

Szymek musiał już wracać, żeby zdążyć przed zamknięciem bram miasta, i Amalia została sam na sam w szopie z krążącym jak niedźwiedź w klatce Wilhelmem. Nie odzywał się do niej, coraz bardziej rozdrażniony.

– Jak się Waszej Księżęcej Mości udało wyjść z domu bez wzbudzenia podejrzeń? – odważyła się w końcu przerwać nieznośne milczenie.

W pierwszej chwili wyglądało na to, że nie usłyszał albo nie chciał odpowiedzieć na to pytanie. W końcu burknął niechętnie:

– Powiedziałem, że chcę spędzić noc na modłach w klasztorze.

– Uwierzyli?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie interesuje mnie to. Wysłano za mną dwóch szpiegów, ale udało mi się im wymknąć. Gdyby tacy ludzie pracowali dla mnie, to... – Zacisnął pięści, lecz zaraz uświadomił sobie, że dzięki lekkomyślności tamtych udało mu się ukryć na wozie. – Nieważne. Kiedy się w końcu ściemni?

Wszystkie dwórki wraz ze służbą zamkową zebrały się w wysoko sklepionej, dość ponurej komnacie, rozjaśnionej licznymi łożowymi świecami. W kącie stał kaflowy piec, teraz zimny. Wokół ścian biegły wyściełane kolorowymi kobiercami ławy, nikt jednak nie miał odwagi na nich usiąść, zanim przyjdzie królowa i na to zezwoli. Zgromadzono się na środku pomieszczenia, skąd można było oglądać słabo teraz widoczne malowidła na ścianach. Wąskie okna odbijały chybotliwy blask świec i cienie poruszających się dworzan. Nikt nie wiedział, w jakim celu mieli się tu zgromadzić, wiadomo było jedynie, że to na rozkaz królowej.

Kiedy Jadwiga pojawiła się w drzwiach, wszyscy pochyłili głowy w ukłonach.

– Dziękuję wam za przybycie. – Jadwiga usiadła na specjalnie dla niej przygotowanym krześle, ciężkim i bogato rzeźbionym. Dla wygody królowej położono na nim poduszkę pokrytą zielonym suknem. – Przede wszystkim jeszcze raz chciałabym wam podziękować za piękne bukiety, które przygotowaliście na święto Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny. Jeszcze nigdy wcześniej takich nie widziałam, to były prawdziwe dzieła sztuki.

Popatrzyła na zebranych i z przyjemnością zauważyła wśród nich radosne poruszenie. Młodym dziewczętom aż zaświeciły się oczy.

– Postanowiłam więc, że od teraz każdego roku będziemy przygotowywać bukiety do krakowskich kościołów. Przez cały sierpień. Najpiękniejszy, który sama wybiorę, będzie przystrajał naszą katedrę, a ten, kto go wykona, dostanie ode mnie nagrodę. Musimy dbać, żeby nasze kościoły były najpiękniejsze w całym kraju.

Znów rozległ się podniecony szmer, a królowa z lekkim uśmiechem spojrzała w kierunku drzwi. Usiłowała sobie wyobrazić miny podsłuchujących za nimi szpiegów, kiedy się zorientowali, że tajemnicze spotkanie poświęcone jest kwiatom do kościołów. I chociaż był to tylko pretekst dla odwrócenia uwagi tamtych, Jadwiga była bardzo zadowolona ze swojego pomysłu. Już wcześniej zwróciła uwagę na skromne, szybko więdnące wiązanki ozdabiające kościelne ołtarze i zastanawiała się, jak to zmienić.

Tymczasem na ciemnym dziedzińcu pojawiły się dwie równie ciemne postaci. Przecięły bezszelestnie pustą przestrzeń i po chwili widać było, jak przemykają się przez krużganki. Zniknęły w jednym z wejść do pomieszczeń mieszkalnych tak szybko, że nikt nie zdążył się zainteresować ich obecnością. Zresztą widok w tym miejscu dworzanina i panny służebnej, a może nawet dwórki, nikogo nie powinien specjalnie dziwić.

Kiedy Amalia i Wilhelm znaleźli się w pobliżu komnaty królowej, zobaczyli tam stojących przy drzwiach dwóch zbrojnych w halabardy strażników. Amalia ruchem ręki pokazała księciu, żeby zatrzymał się za rogiem korytarza, a sama podbiegła do tamtych.

– Ktoś tam jest! – zawołała, udając strach, co wcale nie przyszło jej z trudem. Bała się, że za chwilę zostaną odkryci i rozpęta się piekło.

– Gdzie? – Wartownicy rozpoznali w niej dwórkę królowej, więc po pierwszej gwałtownej reakcji już spokojniej spojrzeli w stronę, którą wskazywała im dziewczynka. Wiadomo było nie od dzisiaj, że niewiasty miewają skłonność do przesady.

– Tam widziałam jakiegoś obcego mężczyznę! – Amalia wyciągnęła rękę w przeciwnym kierunku, niż znajdowało się miejsce, gdzie schronił się Wilhelm.

– Nikt tu nie ma prawa być – oświadczył flegmatycznie jeden z mężczyzn. Poprawił halabardę, przy okazji zmieniając niewygodną pozycję. – Słyszelibyśmy albo widzieli coś.

– Dobrze. – Amalia wzruszyła ramionami. – W takim razie wpuście mnie do Najjaśniejszej Pani i sama ją ostrzegę. Powiem, że nie chciało się wam...

Kiedy wartownicy, świecąc sobie pochodniami, ruszyli w głąb mrocznego korytarza, drzwi od komnaty królowej uchyliły się lekko, a następnie zamknęły bezszelestnie za wyczekiwany gościem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jedno tylko określenie nadawało się na podsumowanie całej akcji przemycenia Wilhelma na Wawel – a było nim słowo „katastrofa”.

Okazało się, że stronnicy Jagiełły wiedzieli o wszystkim już od dawna – prawdopodobnie dzięki szpiegom umieszczonym w najbliższym otoczeniu królowej, może nawet wśród dwórek – i w pełni kontrolowali sytuację, a w zasadzie kierowali wydarzeniami w taki sposób, aby jak najboleśniej pogrzyść przeciwnika. Pozwolono zatem księciu bez przeszkód przedostać się do komnaty królowej, w zabawnym przebraniu pazia, po to tylko, aby móc przyłapać intruza w odpowiednim momencie, jak dzieciaka, który zakradł się do spiżarni po słodycze. Wilhelm został wyprowadzony z Wawelu, pod osłoną nocy, jedną z bocznych furt. Wszelako dyskrecja owa nie miała bynajmniej na celu zaoszczędzenia Austriakowi wstydu.

Wprost przeciwnie, chodziło o to, by go całkowicie skompromitować.

Już następnego dnia bowiem na dworze rozpuszczono niszczycielską plotkę, że młody Habsburg musiał uciekać z sypialni królewskiej przez okno, w koszu na brudną bieliznę. Miały mu w tym pomóc pokojowe Jadwigi.

Przebrany za pazia. Ukryty w koszu.

Na bieliznę.

Plotka błyskawicznie obiegła całe miasto. Gorzej dla reputacji Austriaka chyba już być nie mogło. Panowie krakowscy starannie zadbali, by Wilhelm w żadnym przypadku nie był postrzegany jako bohater rycerskiego romansu, młody rycerz, który próbował uwolnić ukochaną z rąk złych panów. Przydzielono mu więc rolę głupka w jarmarcznym przedstawieniu. Nawet Amalia zdawała sobie sprawę, że tej hańby książę z siebie nie zmyje i że jest to ostateczny koniec jego marzeń o koronie.

Zwolennicy Jagiełły triumfowali. Ta akcja spadła im jak z nieba, mogli teraz ośmieszyć Wilhelma w oczach nie tylko miasta, ale i całej

chrześcijańskiej Europy. Działania rozpoczęły się natychmiast. Przeciwnicy Habsburga byli nimi tak zaabsorbowani, iż nawet jakoś specjalnie nie starali się dociec, kto brał udział w spisku. Amalii i Szymka na szczęście w ogóle nie brali pod uwagę, zwłaszcza że strażnicy przy bramie zaklinali się na wszystkie świętości, że szczegółowo kontrolowali wjeżdżające na Wawel wozy. Być może uznano, iż cała wina leży po stronie Austriaków, Gniewosza i księcia Władysława.

Sama królowa przez dwa tygodnie niemal nie pokazywała się publicznie. W tym czasie przebywała w otoczeniu krakowskich duchownych, którzy nie odstępowali jej ani na krok. Musiała też zwrócić pierścień zaręczynowy rakuskiemu księciu. Co gorsza, kolejna dworska plotka wymierzona w monarchinię głosiła, iż Jadwiga chciała uciec z Wawelu do ukochanego i nawet zamierzała otworzyć sobie bramę za pomocą topora. No cóż, historia mało subtelna, by nie rzec: toporna, jednak prosty lud ochoczo w nią uwierzył. Kiedy więc małopolskim panom udało się już przedstawić królową i księcia jako parę niepoważnych i rozkapryszonych dzieci, można było przystąpić do osvajania Jadwigi z myślą o małżeństwie z Jagiełłą.

Związek ten nie został jeszcze formalnie potwierdzony – ani przez jedną, ani przez drugą stronę – lecz wiadomo już było, że dojdzie do skutku najpóźniej na początku następnego roku.

Od miesięcy na dworze nie wolno było nazywać litewskiego księcia dzikusiem ani łupieżcą, nie mówiąc już o opisywaniu go w kategoriach jakiejś zwierzęcej istoty. Mówiono o nim najczęściej z niemiecka: Jagel albo Jago, jakby zmiana języka miała mu dodawać dostojęstwa. Przedstawiano go jako wielkiego władcę, wprawdzie poganina, ale w sercu już niemal nawróconego na prawdziwą wiarę.

Także dwórki poddawano podobnemu szkoleniu, a zajmował się tym, rzecz jasna, ojciec Albert. Podczas przedpołudniowych lekcji przedstawiał im żywoty słynnych władczyń, które nawracały swych małżonków i całe ludy. Dowiedziały się więc o niejkiej Teodelindzie z Bawarii, żonie lombardzkiego króla Agilulfa, która ochrzciła swego syna Adaloalda, co ułatwiło później całej północnej Italii przejście na katolicką wiarę. A także o hiszpańskiej Teodozji, która przywróciła Bogu swego męża Leowigilda,

księcia Toledo. I o angielskiej Bercie z Kentu, ratującej w ten sam sposób nieśmiertelną duszę króla Ethelberta.

– Niemal wszędzie w Europie kobiety były zwiastunami naszej religii – nauczał duchowny, przechadzając się po komnacie. – Ale najpiękniejszy przykład to żywot Klotyldy z Genewy. Pochodziła, jak się domyślacie, z krainy Helwetów i została poślubiona Chlodwigowi, wodzowi Franków, którego umysł wtedy błąkał się jeszcze w mrokach pogańskich zabobonów. Owa święta niewiasta, młodziutka wtedy, całkiem jak nasza ukochana królowa, nie mogła znieść przywiązania męża do bałwanów i przemówiła do niego takimi oto słodkimi słowami: „Bóstwa, które ty czcisz, panie, są niczym, niezdolne ani przyjść z pomocą, ni zatroszczyć się o potrzeby bliźniego. To bożki z drewna, kamienia czy metalu. To magicy, ich moc nie jest pochodzenia boskiego. Bóg, któremu należy oddawać cześć, to ten, którego Słowo stworzyło z niczego ziemię, niebo i morze”. Piękne te perswazje utorowały sobie drogę do serca dzielnego męża, gdyż przyjął on chrzest dokładnie w Boże Narodzenie.

– Och – westchnęły oczarowane dziewczęta.

– To nie koniec. Król ów osiedlił się ze swym ludem w Lutecji, w osadzie, którą stworzyli niegdyś członkowie plemienia Paryzjów. To był początek wielkiego miasta o nazwie...

Zrobił wyczekującą minę. Dwórki zaczęły intensywnie myśleć.

– Paryż? – odważyła się wreszcie szepnąć Helena.

– Otóż to! Dzięki temu, że osada ta stała się chrześcijańska, Bóg ocalił ją przed zniszczeniem przez straszliwego zbója Attyłę. Gdyby nie to, nikt dzisiaj nie słyszałby o Paryżu. Mamy więc za co dziękować Klotyldzie, prawda?

Dziewczęta były już całkowicie przekonane. Widziały Jadwigę w roli kolejnej czystej niewiasty, składającej ofiarę z własnego serca i niosącej całemu ludowi słowo Boże. Zapewne i sama Hedwig nasłuchiwała się podobnych umoralniających powiastek. Powoli oswajano ją z myślą o odegraniu zaszczytnej roli w boskim dziele. Jej dzieciństwo definitywnie się kończyło, wkraczała na scenę historii.

Lato i jesień upłynęły dość szybko, początek zimy zaś stanął pod znakiem gwałtownych wichrów zupełnie niespotykanych do tej pory w Krakowie, a przynajmniej nieodnotowanych w żadnej kronice. Żywioł łamał drzewa, zrywał dachy, a wielu ludzi zginęło z powodu upadających ciężkich konarów. Nieprzyjemne zimno wdzierало się do zamku przez wszelkie szczeliny w murach, wiatr wył w kominkach, gasił ogień, rozrzucał iskry po kątach komnat mieszkalnych. W niektórych kręgach te zjawiska pogodowe odczytywano jako zły znak. A nawet gniew Boży, spowodowany zaproszeniem do stolicy dzikiego poganina. Naturalnie możnowładcy bezwzględnie tępiли owe zabobony. Nie wierzyli w znaki, za to wierzyli w pieniądź. Doskonale zdawali sobie sprawę, iż przyłączenie do Korony olbrzymich terytoriów Litwy oraz Żmudzi oznacza szansę szybkiego wzbogacenia się. Od nowego władcy oczekiwano nadawania lojalnym stronnikom ziem oraz majątków. Już przebierano nogami na myśl o sutych darowiznach oraz nowych przywilejach, toteż wszelkie wątpliwości co do wyboru na króla Polski właśnie Jagiełły duszono w zarodku.

Mocno w niego zainwestowano i powoli nadchodziła pora nagrody.

– Mam coś dla ciebie, Amalio.

Już od jakiegoś czasu Szymek miał prawo pojawiać się na zamkowych korytarzach. Pozwolenia udzieliła mu sama królowa, która nie zapomniała o jego sierpniowej przysłudze. Teraz znalazł Amalię w świetlicy, gdzie czekała na codzienne dyspozycje „cioteczki” Krystyny. Za oknami sypał gęsty śnieg, było bardzo zimno, chłopak miał na głowie czapkę z nausznikami.

– Tak? – Dziewczyna jak zawsze ucieszyła się na jego widok.

– Znalazłem coś.

– Pokaż.

– Zaraz, zaraz. Dłonie mi zgrabiały.

Poszperał w kieszeni kubraka i po chwili wyjął mały okrągły przedmiot.

– Moneta? – spytała Amalia.

– Tak, jakaś dziwaczna.

– Skąd ją masz?

– Znalazłem w wykopie. Może to część skarbu?

Od wielu tygodni poszukiwali „skarbu” na placu budowy obok północnego muru. Robotnicy rozkopali cały tamtejszy teren i pewnego dnia na dworze rozeszła się pogłoska, iż znaleziono biżuterię z czasów, kiedy wzgórze należało jeszcze do pogan. Były to jakieś bursztynowe wisiorki i miedziane obręcze oraz zausznice. Na wieść o tym Amalia i Szymek postanowili przeszukać wszystkie wykopy. Ale póki pracowali tam robotnicy, nie było większych szans, bo tamci nie chcieli ich dopuścić do tych miejsc. Teraz jednak była już zima, wszelkie prace budowlane ustały, tak więc każdego dnia Szymek schodził do dołów i przerzucał ziemię. Do tej pory nie znalazł żadnych skarbów, jedynie skorupy glinianych garnków i jakieś gwoździe.

- Chyba srebrna – oceniała Amalia, przyjrząwszy się uważnie monecie.
- Też tak pomyślałem.
- Napis jest po łacinie.
- Mhm. Czyli co to oznacza?
- Że może być rzymska.
- Papieska?
- Nie, raczej z czasów dawnych cesarzy. Bardzo stara.
- Jak stara?
- Bo ja wiem? Może mieć i tysiąc lat.

Szymek gwizdnął cicho pod nosem, podczas gdy Amalia patrzyła na przedstawiony na monecie wizerunek mężczyzny: ujętą z profilu twarz z krótką brodą i kędzierzawymi włosami, na których widniał laurowy wieniec.

- Muszę ją pokazać ojcu Albertowi, on będzie wiedział, z jakich czasów pochodzi – oświadczyła w końcu.
- Zabierze ci ją – zaprotestował chłopak.
- Ojciec Albert nie jest złodziejem.
- No, wiadomo – zmieszał się. – Ale pamiętaj, że znalazłem ją dla ciebie.
- Pamiętam. Dziękuję, że mi ją ofiarowałeś.

Najbliższa okazja, by pokazać znalezisko duchownemu, nadarzyła się po południu, podczas zaplanowanej na ten dzień lekcji geografii. Jednakże okazało się, że ojciec Albert się przeziębił, więc w zamian miało się odbyć

czytanie historii z Pisma. Tym razem dziewczęta musiały wysłuchać – po raz nie wiadomo już który – opowieści o Józefie na dworze faraona. Jak zwykle czytała Katarzyna, jedna ze starszych dwórek, bowiem to ona miała najładniejszy i najdonośniejszy głos.

Ponieważ Amalia znała tę historię na pamięć, nie słuchała zbyt uważnie i kiedy Józef ustami stojącej przy pulpicie Katarzyny objaśniał faraonowi sny o tłustych oraz chudych krowach, dziewczynka spoglądała przez okno na leniwie padający śnieg oraz zamarznąętą Wisłę. Chciałaby lepiej poznać jej bieg. Wiedziała, że rzeka dzieli się na dwa koryta, jedno biegło pośród wapiennych skał, drugie prowadziło obok miasta, które nie tak dawno wznosił król Kazimierz, brat babki Jadwigi. Miasto nazywało się Nova Cracovia i podobno miało swoje własne fortyfikacje, rynek oraz sukiennice. Amalia chciałaby je kiedyś zobaczyć, najchętniej z Szymkiem – choć to akurat mogłoby być trudne do zrealizowania.

Po kilku stronach historii Józefa zrobiła się senna, nie tylko z powodu monotonnego głosu Katarzyny, syjącego śniegu oraz ciszy zimowego dnia, ale przede wszystkim z powodu ciepła wypełniającego komnatę. Wydobywało się ono z wysokiego kominka i spod posadzki. Takie podłogowe ogrzewanie znajdowało się w najważniejszych pomieszczeniach Wawelu i stanowiło prawdziwe błogosławieństwo dla jego mieszkańców w czasie srogich zim. Amalia nie byłaby sobą, gdyby nie chciała dowiedzieć się wszystkiego, co tylko było możliwe na temat tego udogodnienia.

Poprosiła kiedyś jednego z ludzi, obsługującego komorę paleniskową, zbudowaną poniżej podłogi, żeby jej wszystko pokazał i objaśnił. Młody człowiek czuł się tak zaszczycony prośbą pięknej dwórki, że zgodził się od razu, chociaż w gruncie rzeczy wstęp do tych urządzeń był dozwolony tylko dla pracujących tam osób. Dziewczynka przyrzekła mu solennie, że nikt się nie dowie o jej prośbie, i wzmocniła obietnicę drobną monetą.

W komorze pod podłogą rozpalano ogień i na specjalnym ruszcie umieszczano kamienie. Kiedy już były odpowiednio gorące, z zewnątrz wpuszczano powietrze, a gdy zostało już odpowiednio nagrzane, kierowano je dmuchawami do pomieszczeń zamkowych poprzez system specjalnych otworów w podłodze. Były tak sprytnie rozmieszczone, że tylko wtajemniczeni mogli zauważyć drobne dziurki w spojeniach między kamiennymi płytkami podłogi. Amalia przystawała w tych miejscach

i z przyjemnością ogrzewała zziębnięte stopy w delikatnym strumieniu ciepłego powietrza, który się stamtąd wydobywał. Ciepło wpływało również pod suknie, gdzie utrzymywało się przez długi czas.

Taka podłoga była również w sypialni królowej, dlatego pamiętnego wieczoru, po koronacji, Hedwig zmarzła dopiero na korytarzu. Amalia pamiętała dobrze, że w sypialni było ciepło, ale sądziła, że komnatę ogrzał ogień rozpalony w kominku. Niestety, jak się później sama przekonała, nawet największy kominek nie był w stanie dostatecznie rozgrzać pomieszczeń na zamku.

– Nie przeszkadzajcie sobie. – Z zadumy wyrwał ją nagle głos królowej Jadwigi, która właśnie weszła do komnaty.

Pośród dziewcząt zapanowało poruszenie, ale Katarzyna nawet się nie zająknęła podczas czytania. Władczyni usiadła skromnie przy kominku i też zaczęła słuchać o perypetiach Józefa, syna Jakuba. Była w zwykłej wełnianej sukni, z zarzuconym na szyję futrzanym kołnierzem, włosy miała schowane pod pozłacaną siatką. Wyglądała na lekko zakatarzoną. Amalia ucieszyła się, że królowa do nich przyszła, ostatnio bowiem Jadwiga nie znajdowała zbyt wiele czasu dla swoich dwórek. Trwały przygotowania do wizyty Jagiełły, którą zaplanowano na pierwszą połowę lutego.

– „Jam jest wasz brat Józef, którego sprzedaliście do Egiptu” – rozbrzmiało echem w wysokim pomieszczeniu o kamiennych ścianach, a Jadwiga przymknęła oczy, jak zawsze podczas głośnej lektury. Otworzyła je, dopiero kiedy starodawna opowieść dobiegła kresu. Wtedy spojrzała badawczo na Amalię, a ta dopiero teraz zorientowała się, że przez cały ten czas bezwiednie obraca w palcach otrzymaną od Szymka monetę.

– No dobrze, pokaż, co tam ukrywasz. – Jadwiga podeszła do Amalii na korytarzu, nie kryjąc lekkiego uśmiechu.

– To... to prezent od Szymka.

– Ach, od twojego rycerza?

– Już tak go nie nazywam – odparła zakłopotana.

– Czemu? To takie urocze. Dostałaś jakąś błyskotkę?

– Nie. Monetę.

– Mogę zobaczyć?

– Oczywiście. Jest starożytna. Miałam zapytać ojca Alberta, który to cesarz, ale...

– Wiem, zachorował. Pokaż.

Amalia wyjęła zza stanika monetę i wręczyła ją królowej.

– Oho, to rzeczywiście stare – powiedziała Jadwiga z podziwem, który sprawił dziewczynce przyjemność. – Cesarz Hadrian.

– No cóż, nie słyszałam o nim.

– Wybudował wielki mur u Brytów. Skąd Szymek ją ma?

– Znalazł na placu budowy.

– No tak, niesamowite, jak długie są dzieje tego miejsca. – Jadwiga się zamyśliła. – Tylu ludzi mieszkało tu przed nami. I tak niewiele o nich wiemy. My pewnie też będziemy kiedyś dla następnych pokoleń już tylko odległą historią. Może odnajdą nasze monety. Albo naszyjniki... Posłuchaj, Amalio, dobrze, że to się łączy z Szymkiem, bo chciałam właśnie o nim porozmawiać.

Dziewczynka zeszywniała. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to myśl, że królowa woli jednak, aby chłopak z Łobzowa nie kręcił się po korytarzach zamku.

– Tak? – spytała niepewnie.

– Winna mu jestem wielką wdzięczność. Wprawdzie tamten pomysł był ogromnym błędem, który już zrozumiałam, ale Szymek okazał się wtedy bardzo dzielny, sprytny i oddany.

– Bo taki jest – zapewniła ją skwapliwie Amalia.

– Wiem, wiem. Spokojnie. Według mnie jest za sprytny na to, by przez całe życie wozić jabłka i śliwki. Myślałam o innym zajęciu dla niego.

– Naprawdę? Jakim? – Oczy Amalii się rozpromieniły.

– Przejdźmy tam. – Królowa ruchem głowy wskazała sąsiedni korytarz. – Bo tu jest zbyt tłoczno.

Przez chwilę szły w milczeniu. Wreszcie stanęły obok drzwi prowadzących do królewskiej kaplicy.

– Otóż – rzekła królowa, patrząc Amalii w oczy – scholastyk ze szkoły przykatedralnej potrzebuje pomocnika, chłopaka, który byłby niegłupi i w miarę ułożony. Od razu pomyślałam o Szymku.

– Scholastyk? – zapytała Amalia.

– Tak, naucza tu, na Wawelu. Profesorowie przygotowują teraz nowe pomieszczenia dla akademii, którą ufundował kiedyś król Kazimierz. Ma

powstać wydział prawny. Jest przy tym mnóstwo pracy, bo trzeba odnowić sale i poprzemścić księgi. Zresztą scholastyk naucza także w domach przy rynku oraz w Novej Cracovii. Słowem, potrzebuje...

– Posługacza.

– W pewnym sensie. – Jadwiga uśmiechnęła się łagodnie. – Ale nie takiego zwykłego, tylko bystrego. Księgi to poważna sprawa. Szymek mógłby zamieszkać na Zamku Niższym.

– Och!

– Dostałby piękne ubrania, a przy okazji może nauczyłby się czytać i pisać.

– Wspaniale! – krzyknęła Amalia. – Powiem mu jutro. Na pewno się ucieszy.

– Dobrze. Powiedz mu. Jeśli się zgodzi, porozmawiam ze scholastykiem.

Nazajutrz, od samego rana, czekała na Szymka, aby móc mu przekazać radosną nowinę. Wyobrażała sobie uśmiech przyjaciela, kiedy ten się dowie, że królowa tak bardzo mu zaufała. Nie będzie już musiał więcej marznąć na wozie, zamieszka na zamku i cały ten scholastyk wprowadzi go w tajemnice iluminowanych ksiąg.

Wyglądała przez okna na dziedziniec i często schodziła na dół, aby – przytupując na mrozie – zapytać wartowników, czy nie przyjechał wóz z Łobzowa. Ale minęło południe, a Szymka wciąż nie było. Śnieg nadal padał i porobiły się olbrzymie zasy. Być może drogi są nieprzejezdne, myślała zawiedziona Amalia. A ojciec Szymka pewnie nie ma sań. Albo po prostu na dzisiaj nie zaplanowano żadnej dostawy.

Tego dnia Szymek nie przyjechał.

Za to wieczorem pojawił się goniec z Węgier.

Przywiózł bardzo złą wiadomość: w Budzie doszło do zmiany władzy. Koronę przywłaszczył sobie czterdziestoletni Karol z Durazzo.

To oznaczało, że siostra Jadwigi, Maria, właśnie została pozbawiona tronu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na Wawelu zrobiło się bardzo nerwowo.

Wszyscy naraz uświadomili sobie w całej wyrazistości, jak efemeryczne mogą być rządy nastoletniej królowej – choćby nazwanej królem – pozbawionej oparcia w politycznie silnym mężu. W powszechnym przekonaniu królowa Elżbieta Bośniaczka przeceniła swoje siły, myśląc, iż uda jej się za pośrednictwem córki kierować państwem. Najwyraźniej nie wyczuła nastrojów w kraju, za bardzo ufając w swój polityczny spryt. Tymczasem szlachta z południowych Węgier nie miała zamiaru znosić rządów kobiet. Aby je obalić, posłużono się tym samym bezwzględny człowiekiem, który przyczynił się do śmierci „piekielnej” Joanny z Neapolu – Karolem z Durazzo.

Maria nosiła zatem koronę zaledwie przez trzy lata.

Co zrozumiałe, najbardziej wstrząśnięta tymi wiadomościami była Jadwiga. Musiała sobie zdawać sprawę, w jak wielkim niebezpieczeństwie znalazła się teraz jej matka oraz starsza siostra. Po prostu bała się o ich życie. Była już na tyle zorientowana w polityce, aby wiedzieć, że walka o władzę jest brutalna i jeśli trzeba, nikt się nie cofnie przed stosowaniem drastycznych środków. Dopiero co zamordowano przecież Joannę, wcześniej życie stracił w Italii brat króla Ludwika, wuj Jadwigi. Młoda władczyni spędzała więc teraz większość czasu w kaplicy, modląc się o bezpieczeństwo swojej węgierskiej rodziny.

Amalia, zdając sobie sprawę z nastroju królowej, nie śmiała wypytywać jej o pracę dla Szymka. Przekazała wprawdzie chłopakowi propozycję – na którą zareagował raczej zdziwieniem niż entuzjazmem – lecz wiedziała, że nie jest to odpowiedni czas na absorbowanie Jadwigi tak błahymi sprawami. Postanowiła odczekać.

Królowa jednakże zaskoczyła ją, sama powracając do tematu.

Zdarzyło się to trzy dni po przybyciu węgierskiego gońca, podczas spaceru poza murami zamku, nad brzegiem Wisły. Ociepliło się trochę i nie padał już śnieg, na dworze uznano więc, że świeże powietrze wszystkim dobrze zrobi.

– Amalio – w pewnym momencie okutana w futro Jadwiga przywołała do siebie dwórkę.

– Tak, Miłościwa Pani?

– Chciałabym sobie trochę z tobą pogawędzić na osobności.

Na te słowa najbliższe osoby dyskretnie się oddaliły i Jadwiga z Amalią zostały same, za jedyne towarzystwo mając kręcące się pod nogami pieski.

– Pytałaś Szymka?

– Tak, jest przeszcześliwy. – Dla dobra sprawy nieco przesadziła, bo chłopak był bardziej zaskoczony niż zadowolony.

Taki przeskok musiał napawać go lękiem. Nigdy nie widział na oczy żadnej księgi, nie wiedział też, jak powinien się zachowywać w towarzystwie uczonych duchownych, słowem, obawiał się wejścia w obcy, zupełnie nieznany mu świat. Ale Amalia zamierzała tak długo przekonywać Szymka, aż ten poczuje prawdziwy entuzjizm.

– To doskonale. Niech się jutro zgłosi do szkoły przykatedralnej i zapyta o scholastyka Andrzeja. Wiesz, gdzie to jest?

– Za katedrą?

– Dokładnie. Taka przybudówka. Na drzwiach jest wizerunek Świętego Jerzego walczącego ze smokiem.

– A, to wiem.

– Niech się mu przedstawi i powie, że to ja go przysłałam.

– Dobrze.

Jeden z piesków obsikał pobliski głąz, po czym, ujadając wesoło, rzucił się w kierunku odlatującego gołębia.

– Dziękuję, Najjaśniejsza Pani – powiedziała Amalia.

– Obiecałam.

– Wiem, ale to dla was ciężkie chwile.

Jadwiga pociągnęła nosem, wpatrzona gdzieś w dal, na drugi brzeg rzeki, gdzie stały młyny i rozciągały się przysypane teraz śniegiem pola.

– Tak. Wiesz, o czym jeszcze myślę, Amalio?

– O czym?

– Że przecież to ja mogłam być teraz na miejscu Marii, prawda?

– No tak, na to się zanosilo.

– Moze Bóg jednak nade mną czuwa?

W górze rozległ się krzyk ptactwa.

– Z pewnością. Macie, Najjaśniejsza Pani, misję do spełnienia.
Nawrócenie pogan.

– Tak, tak. Ciagle to słyszę. A wiesz, że księżę Jagiełło jest całkiem...
kształtny?

– O tak, ojciec Albert powtarza nam to codziennie – odparła z przekąsem
Amalia.

– Ale ojciec Albert – Jadwiga zniżyła głos – nigdy nie widział go na oczy.

– A kto widział?

– Tylko nie rozpowiadaj.

– Nikomu ani słowa.

– No więc dobrze. – Królowa przystanęła, rozglądając się, czy nikt nie
stoi zbyt blisko. – Posłałam rycerza Zawiszę z Oleśnicy, aby pojechał do
księcia i dobrze mu się przyjrzał.

– I?

– Poszli razem do łaźni.

Amalia przykryła usta dłonią w rękawiczce, aby zamaskować śmiech.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Jadwidze też trudno było zachować powagę, choć tylko jej
oczy się śmiały. – No i, wyobraź sobie, podobno Jagiełło wygląda całkiem
zwyczajnie. Nie jest ani nadmiernie owłosiony, ani gruby, ani...

– Ani garbaty?

Hedwig wreszcie się roześmiała.

– Nic z tych rzeczy. W dodatku lubi kąpiele.

– Nie zyska zatem w oczach ojca Alberta – skwitowała z udawaną
powagą Amalia.

– A to niby dlaczego?

– Bo ojciec naucza, że zbyt częste mycie się to oznaka pogańskich
zwyczajów, które wiodą ku potępieniu. Prawdziwy chrześcijanin nad
sprawy ciała ma przedkładać życie duchowe. A co najgorsze, od zbyt
częstego mycia skóra robi się coraz cieńsza i człowiek w końcu umiera.

Jadwiga z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Niczego takiego w Piśmie nie ma, więc się nie przejmujemy. To wygląda
na osobistą awersję do wody i mydła naszego duchownego albo wpływ

jakiejś niezbyt mądrej lektury. Między nami mówiąc, ojcu Albertowi przydałaby się od czasu do czasu porządna kąpiel.

Doszły już do nadbrzeżnych trzcin i trzeba było zawrócić.

– W każdym razie, Amalio, księżę wygląda na dużo bardziej cywilizowanego człowieka, niż na ogół się sądzi – powiedziała królowa. – A w dodatku jest wielkim wojownikiem i nie ucieknie jak mąż mojej siostry, Ludwik. Nie pozwoli mi odebrać korony.

Ostatnie zdanie wypowiedziała z naciskiem, a w jej oczach pojawiła się determinacja oraz duma.

Pierwszego dnia pracy dla scholastyka Andrzeja Szymek miał ochotę uciec na piechotę do Łobzowa. Było gorzej, niż przypuszczał w najczarniejszych snach. Kiedy zgodnie z poleceniem zgłosił się o świcie do budynku szkoły przykatedralnej, najpierw długo nie otwierano mu drzwi i musiał stać na oblodzonym progu, a gdy wreszcie ktoś łaskawie wpuścił go do środka, chłopakowi przyszło się zmierzyć z taką niechęcią duchownego, że tylko wysiłkiem woli udało mu się zachować spokój.

– Od królowej, mówisz? – burknął scholastyk, nawet na niego nie patrząc. Szukał czegoś na wysokiej półce. Był mężczyzną w średnim wieku, niewysokim, ze zmierzwioną kasztanową brodą. – A skąd pomysł, że ja w ogóle chcę jakiegoś pomocnika? Czy ja kogoś potrzebuję?

– Nie wiem – odparł Szymek, rozejrzawszy się po pomieszczeniu, małym i zagraconym, pełnym ksiąg, stosów pergaminów, jakichś przyrządów astrologicznych, wypchanych ptaków.

– Wiadomo, że nie wiesz. To było pytanie retoryczne! Nie chodzi w nim o odpowiedź, lecz o sugestię.

– Aha.

– Nie udawaj, że rozumiesz. Bo nie rozumiesz. Chodzisz do jakiejś szkoły?

– Nie, Wasza Miłość.

– Pięknie.

Szymek odchrząknął.

– Ale szybko się uczę – odparł nieśmiało.

– Podaj mi drabinę, jest przy oknie.

Chłopak natychmiast spełnił polecenie.

– Królowa myśli, że jestem stary i schorowany – gderał scholastyk, ze stękaniem wspinając się po szczeblach. – Pewnie tak jej powiedzieli ci kanonicy z Zamku Niższego. Chcą mnie przedstawić jako niedołęgę. Że niby sam sobie nie umiem rozpalić ognia ani odszukać ksiąg. Gdzież ten przeklęty traktat? Zawsze tu był. Ktoś widocznie już go przeniósł. Potrzymaj drabinę.

Szymek posłuchał, a uczony wspiął się ostrożnie o szczebel wyżej.

– Nie potrzebuję takiego wiejskiego parobka jak ty – kontynuował. – Nie umiesz czytać, na bystrego mi nie wyglądasz, raczej na szelmę, no i nie znasz języków...

– Znam niemiecki – odparł Szymek.

– Och, niemiecki – zaczął go przedrzeźniać scholastyk. – A grekę, łacinę, hebrajski?

– Ani trochę.

– Właśnie, a to są prawdziwe języki. Nie wiem, czemu królowa osobiście poleciła akurat kogoś takiego jak ty, ale możesz jej przekazać, że ja nikogo nie potrzebuję. Jestem samowystarczalny.

Szymek w duchu odetchnął z ulgą, ponieważ ani trochę nie spodobał mu się ten zgryźliwy człowiek. Myśl, że miałyby teraz spędzać każdy dzień w zagraconym, zakurzonej pomieszczeniu w towarzystwie tego zrzędy, wydała mu się nieznośna.

– A więc mogę już iść? – spytał cicho.

– Zaraz, zaraz – odrzekł tamten. – Skoro już tu jesteś, to przeniesiesz ze mną tablicę do nowych pomieszczeń.

Po wykonaniu tej pracy Szymek musiał jeszcze narąbać drew do kominka, a potem w nim napalić. Na tym nie koniec: scholastyk rozkazał mu również odśnieżyć drogę do szkolnych sal oraz posypać piaskiem oblodzony ganek. Ani się Szymek obejrzał, kiedy minęło południe. Zjadł ze scholastykiem, wciąż burkliwym i niechętnym, gorący posiłek, po czym musiał pomóc mężczyźnie pozdejmować ciężkie księgi z najwyższych półek. Kiedy skończyli, duchowny spojrział na chłopaka, krzywiąc się, jakby przyglądał się żabie.

– W tym kozuszkę wyglądasz jak pastuch albo łobuz ze Stradomia. Wstyd się z tobą gdziekolwiek pokazać. Idź na piętro, zapytaj o ojca Wirgiliusza, niech ci da jakieś ludzkie odzienie.

Kilkanaście minut później Szymek obciągał na sobie czarny aksamitny kubrak, w którym czuł się jak tresowana małka na jarmarku.

– No, teraz wreszcie przypominasz istotę ludzką – podsumował scholastyk. – Jeszcze włosy nad czołem trzeba przystrzyc.

– Jak to? – zdumiał się chłopak. – Przecież u was nie zostaję! Sami mówiliście, Wasza Miłość, że nikogo nie potrzebujecie.

– Nie pyskuj, tylko słuchaj, co mówię.

Na tym dyskusja się zakończyła. Szymek pomagał uczonemu aż do zachodu słońca, wykonując najprzeróżniejsze drobne prace. Wreszcie mistrz Andrzej poinformował go, że może już iść.

Tyle że Szymek nie za bardzo wiedział, gdzie właściwie miałby się teraz podziać. Wracać do Łobzowa? Ale jak? Na nogach? W tym dworskim przebraniu? Żadnej izby mu na Wawelu nie przydzielono, więc nie zanosilo się na nocleg w murach zamku. Musiał koniecznie porozmawiać z Amalią. Nie widział się z nią przez cały ten dzień, bo po prostu nie miał na to czasu. Odnalazł ją na korytarzu królewskiej rezydencji.

– No proszę! Wyglądasz jak włoski poeta! – wykrzyknęła na jego widok.

– Daj mi spokój. To jakieś nieporozumienie.

– Dlaczego?

– Ten gbur mnie nie chce.

Zrelacjonował przyjaciółce wydarzenia dnia. Dziewczynka słuchała uważnie, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Nie masz chyba zamiaru się poddawać? – zapytała, gdy skończył.

– To nie dla mnie, Amalio.

Szymek przyglądał się noskom cizemek, które dostał od scholastyka.

– To dopiero pierwszy dzień – przekonywała przyjaciółka. – Przyzwyczaj się do ciebie, a ty do niego.

– Wątpię – skrzywił się Szymek.

– Przestań. Nie możesz stracić takiej szansy. Chcesz do końca życia wozic owoce jak twój ojciec? Co z tego ma? Mówisz, że ciągle choruje na płuca i że nie stać go nawet na nowego konia.

– Ja tu nie pasuję.

– Gadanie. Nikt nie pasuje pierwszego dnia. Poza tym pomyśl o królowej. Wyświadczyła ci przysługę, głupio byłoby teraz zachowywać się jak niewdzięczne dziecko.

– Łatwo ci mówić. Zresztą on sam mnie nie chce.

Amalia zrobiła jedną ze swoich władczych min.

– On nie ma tu nic do gadania – oświadczyła zimno. – To woła królowej.

– A niby jak mam mu to wytłumaczyć?

– Ja to zrobię – odrzekła stanowczym tonem.

Musiała wziąć sprawy w swoje ręce, bo wiedziała, że tego dnia królowa jest zbyt zajęta, aby zawracać jej głowę głupstwami. Narzuciła na ramiona sobolowe futerko i ruszyła w kierunku szkoły. Uderzyła w drzwi ze Świętym Jerzym tak mocno, że otworzyły się same.

– Co znowu? – spytał z głębi pomieszczenia scholastyk Andrzej. Nie krył irytacji.

– Przybywam na polecenie królowej – odparła niezrażona Amalia.

– Kolejne dziecko?

– Dorośli nie mają teraz czasu na takie sprawy.

– Oho, cóż za tupet. – Uczony wynurzył się zza przykurzonej kotary. – O co chodzi, młoda damo?

– O nocleg dla waszego nowego pomocnika.

– Nie potrzebuję pomocy. Już mu to mówiłem.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, którego stan żywo przeczył słowom mężczyzny: wyglądało na to, że nikt tu od dawna nie sprzątał.

– A co chłopak robił przez cały dzień? – zapytała.

– No...

– Pomagał?

– Trochę.

– Czyli chyba jednak potrzebujecie pomocy – podsumowała Amalia. – Królowa chce mieć pewność, że Wasza Miłość należycie się zatroszczy o Szymka.

– On ma na imię Szymek? – autentycznie zdziwił się scholastyk.

Godzinę później nowy pomocnik przy szkole katedralnej rozkładał swoje rzeczy w izdebce na Zamku Niższym, obok sal wykładowych. Gdy się rozbierał do snu przy blasku łożówki, nurtowały go sprzeczne uczucia. Lecz

rozumiał jedno: przy swojej przyjaciółce nie miał szans na wycofanie się z tego zajęcia. Z nią nie warto było zadzierać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Napięcie w sali tronowej sięgało zenitu.

Wszyscy zebrani niemal wstrzymali oddech, kiedy na zewnątrz zabrzmiały trąby, obwieszczające wjazd księcia Jagiełły na Wawel. Nawet siedząca na tronie królowa, na pozór spokojna i opanowana, przygryzła dolną wargę i bezwiednie dotknęła włosów. Choć starała się nie okazywać emocji, Amalia zbyt dobrze ją znała, by nie odczytać drobnych sygnałów świadczących o zdenerwowaniu Hedwig, takich jak nadmierne mruganie czy właśnie lekkie przygryzanie wargi. Życie w rodzinie królewskiej nauczyło Jadwigę panować nad emocjami, lecz była przecież człowiekiem, właściwie wciąż dzieckiem. A dzisiaj nadszedł jeden z najważniejszych dni w jej życiu. Miała poznać przyszłego męża, który wraz z nią będzie rządzić olbrzymim europejskim krajem, powstałym z połączenia dwóch narodów.

Miesiące przygotowań do tego spotkania, ślubu i rządu miały jej teraz pomóc w uporaniu się z wielkim historycznym wydarzeniem.

Dlatego też lekkie oznaki niepokoju nie mogły naruszyć jej długo wypracowywanej pewności siebie. Wyglądała jak prawdziwa władczyni – wyprostowana, nieruchoma, z dumnie uniesionym podbródkiem, okryta królewskim płaszczem, w wysokiej koronie, która dodawała wzrostu i tak już dużej jak na swój wiek dziewczynie. Z daleka – z miejsca, gdzie stała Amalia, czyli niemal pod południową ścianą – można było odnieść wrażenie, że na królewskim podwyższeniu, pod purpurowym, haftowanym złotem baldachimem zasiada nie dwunastolatka, a młoda kobieta, całkowicie przygotowana do swojej roli. Tak, Hedwig zawsze była nad wiek rozwinięta, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym, wszelako w ów poniedziałkowy dzień szczególnie rzucało się to w oczy.

Sama Amalia nie potrafiła zachować aż takiego spokoju, choć w odróżnieniu od Jadwigi nie musiała obawiać się presji, ponieważ nikt na nią teraz nie patrzył, nie oczekiwano od niej ani spokoju, ani majestatu.

Nerwowo przestępowała z nogi na nogę, było jej gorąco w odświętnej sukni i ozdobnym czepcu na głowie. Próbowwała sobie wyobrazić, co sama by czuła na miejscu przyjaciółki. Na pewno umierałaby teraz ze strachu. Królowa wydawała się taka samotna na swoim tronie ustawionym pośrodku olbrzymiej sali, mimo że była otoczona niemal całym dworem. Nikt nie potrafił zdjąć ciężaru odpowiedzialności, jaki teraz spoczywał na jej barkach. Amalia zaś nie mogła pocieszyć Hedwig – już od kilku dni dwórki nie miały dostępu do swej pani.

Może zniesie to lepiej niż własną koronację? – myślała z nadzieją Amalia. Jest już przecież o ponad rok starsza, dużo też się od tamtego czasu wydarzyło: Jadwiga musiała wydawać dekrety, pożegnać się z myślą o małżeństwie z Wilhelmem, negocjować z krakowskimi panami. Na pewno stała się silniejsza i twardsza.

Dzień był zimny i ponury, wciąż wietrzny. Zapowiadało się na śnieg i od rana wszyscy się modlili, aby ewentualna zawieja nie zasypała drogi książęcemu orszakowi i nie opóźniła wjazdu Jagiełły na zamek. Pośród przygotowań i nerwowej krzątaniny wciąż powtarzano sobie najnowsze wieści od konnych wysłanników królewskich, o miejscach, które minęli już Litwini. Opowiadano, jak wielu ich przybywa, ile wozów im towarzyszy. Takiego zjazdu dawno już nie było w Krakowie.

– Przyjechali! – zwielokrotniony okrzyk niósł się po wszystkich korytarzach zamku, aż dotarł do sali tronowej.

Rozległ się szmer, jakieś stłumione szepty, a potem nastąpiła cisza. Królowa wyprostowała się jeszcze bardziej i dyskretnie zaczerpnęła powietrza.

Amalia stała nieruchomo, wraz z innymi dwórkami, i z ciekawością wyciągała szyję w kierunku wysokich dwuskrzydłych drzwi. Oczekiwanie przedłużało się niemiłosiernie, widocznie na korytarzu ustalano jeszcze ostatnie wytyczne dotyczące etykiety. Książę też musiał odczuwać podenerwowanie przed oficjalnym spotkaniem z przyszłą małżonką. Być może poprawiano jego strój i dawano Litwinowi ostatnie rady. Wreszcie strażnicy otworzyli drzwi na całą szerokość i do środka wpadło chłodniejsze powietrze z zewnątrz. Przeciąg spowodował, że zachwiały się

płomyki świec. W progu pojawił się herold, obwieszczając donośnym głosem:

– Przybywa wielki książę Jagiełło, władca Litwy i Żmudzi!

Odsunął się, aby zrobić miejsce dla znakomitego gościa.

Do środka z godnością wkroczył szczupły, średniego wzrostu mężczyzna w czerwonym płaszczu podbitym futrem i jedwabiem. Pod spodem widać było srebrną zbroję. Jeśli ktoś spodziewał się zobaczyć dzikiego olbrzyma z puszczy, z potarganymi włosami i długą brodą, to musiał doznać zawodu. Jagiełło niczym się nie różnił od moskiewskich, a nawet polskich książąt. Cerę miał wprawdzie smagłą, a rysy ostre, lecz był gładko wygolony i poruszał się z godnością. Na widok królowej zdjął z głowy szkarłatny kołpak i z chrzęstem zbroi podszedł do tronu, śledzony przez setkę zaciekawionych spojrzeń. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy padł na kolana i pochylił się nad wyciągniętą ku niemu upierścienioną dłonią młodziutkiej władczyni.

Czyż był to ów groźny Jogaiła, który niczym dziki Tatar pustoszył Mazowsze, uprowadzał ludzi, czcił panny leśne i wodne, który zamordował – jak powiadali Krzyżacy – własnego stryja? Teraz można było skonfrontować jego czarną legendę z rzeczywistością. Wielu obserwatorom tej sceny z pewnością ulżyło na widok powierzchowności oraz ogłady przybyłego. Zwłaszcza że, gdy jeszcze klęczał, przemówił do królowej kilkoma polskimi i łacińskimi zdaniami, których nauczo go z pewnością podczas długiej podróży.

Jadwiga przyjęła ten miły gest lekkim uśmiechem i pozwoliła mu wstać. Amalia dostrzegła, iż Jagiełło patrzy na Hedwig z wyraźną przyjemnością. Z pewnością nigdy nie widział tak pięknych włosów, które teraz miękkimi złotymi falami spływały na jej okryte płaszczem plecy i ujmowały w ramy twarz polskiej władczyni. Czy Jadwiga była równie zadowolona z jego powierzchowności? Amalia nie potrafiła przeniknąć jej wyrazu twarzy – oficjalnie grzecznego i zdystansowanego. Jagiełło, mimo że niewysoki, miał mocno zbudowaną sylwetkę. Widać było od razu, że nie spędza czasu przy stole i na rozrywkach, a raczej na koniu i polowaniach. Wesoły wzrok zdradzał pogodne usposobienie, a orli nos dodawał szczupłej twarzy księcia rzymskiego charakteru. No cóż, ten Litwin nie był ani trochę podobny do Wilhelma. Swoich długich czarnych włosów nie zakrywał złotą siatką jak tamten, tylko pozwalał im opadać swobodnie na ramiona, od czasu do czasu

zakładając niesforne kosmyki za wystające uszy. Był inny. Przed wszystkim był mężczyzną, a nie chłopcem. Władcą, a nie synem pomniejszego księcia.

Minęły już czasy dziecięcych zabaw oraz niepoważnych małżeństw, Jadwiga musiała to zrozumieć.

Kiedy Jagiełło odszedł od tronu, do sali zaczęli wchodzić po kolei jego bracia oraz kuzyni. Ci już wyglądali całkiem jak ruscy bojarzy; mieli na sobie ciężkie szuby i wysokie czapy, które zdjęli teraz przed obliczem królowej. Za każdym z nich kroczył sługa, dźwigający kuferki i szkatuły z prezentami dla Jadwigi. Widać było po nich wszystkich wpływy wschodniego ceremoniału – kiedy klękali, niemal bili głowami o kamienną posadzkę. Herold przedstawiał każdego z nich po imieniu, dodając wszelkie litewskie i ruskie tytuły, a słudzy uchylali wieka szkatuł, pokazując królowej z daleka ich ceną zawartość, po czym dyskretnie, idąc bokiem, przesuwali się pod ściany, gdzie byli ustawiani w odpowiednich miejscach przez czuwających nad przebiegiem całej ceremonii krakowskich panów.

Trwało to bardzo długo, wreszcie królowa podniosła się z tronu i po łacinie przywitała wszystkich, a także podziękowała za dary.

Na dany znak do sali weszli muzykanci i zaczęli grać na fletach oraz lutniach.

Oficjalne powitanie dobiegło końca.

Kilka dni później w katedrze wawelskiej odbył się chrzest Jagiełły oraz ludzi z jego orszaku. Uczestniczyli w nim nie tylko bracia i kuzyni księcia, lecz także zbrojni, służba i pachołkowie. Arcybiskup Bodzanta, chudy i całkiem łysy, chrzczył ich wszystkich po kolei, a potem oni, ubrani w białe gieźła, padali na kolana z zapalonymi świecami w dłoniach i gremialnie płakali. Podobno w ten sposób Litwini wyrażali radość i szczęście. Tak później tłumaczył ich zachowanie zdumionym dziewczętom ojciec Albert.

Amalia, która wraz z otoczeniem królowej również uczestniczyła w chrzcie, zauważyła wśród ludzi Jagiełły młodziutką, czarnowłosą dziewczynę. Była prawdopodobnie w tym samym, co ona, wieku i z trudem panowała nad sobą, żeby się nie rozglądać dookoła z ciekawością. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, w oczach Litwinki pojawiło się coś na

kształt dumnego wyzwania. Widać było wyraźnie, że została zmuszona do uczestniczenia w tej ceremonii i teraz całą swoją postawą wyrażała sprzeciw. Amalia zastanawiała się, jaką funkcję pełni nieznajoma na królewskim dworze i kim ona jest.

Czyżby córka Jagiełły?

Przecież, jak mówił ze zgorzeniem ojciec Albert, Litwini miewali po kilka żon.

Ślub Jadwigi i Jagiełły, który na chrzcie otrzymał imię Władysław, po swoim chrzestnym ojcu, księciu Władysławie z Opola, odbył się trzy dni później. Huczna uroczystość, podczas której małżeństwo zawarło jeszcze sześćdziesiąt innych par, długo jeszcze była wspominana przez mieszkańców Krakowa. Jadwiga wyglądała prześlicznie w swojej białej, powłóczystej sukni z trenem, niesionym przez dwanaście dziewcz, i w rucianym wianku ozdobionym liliami i perłami. Idąca w tym orszaku Amalia z trudem powstrzymywała łzy wzruszenia, a także żalu. Oto żegnała się z dzieciństwem, którego uosobieniem od zawsze była Hedwig. Teraz jej przyjaciółka stała się już królową Polski Jadwigą i żoną króla Władysława Jagiełły. Koronacja jej męża zaplanowana była na marzec i teraz mieli panować wspólnie, na równych prawach.

Nadchodziły nowe czasy.

Milda niewiele pamiętała z samej uroczystości chrztu w zupełnie jej obcym państwie i mieście. Było zbyt dużo ludzi, zbyt wielkie panowało przy tym zamieszanie. Wszyscy dostali jednakowe białe gieźła i świece do ręki, przez co wyglądali tak samo i trudno było rozróżnić poszczególne osoby. Wyglądali jak jedna zwarta biała masa.

Do Krakowa przyjechała wraz z otoczeniem księcia Jagiełły, jako krewna Varnasa. Po śmierci Iny brat nie miał już nikogo bliskiego oprócz niej i choć tak naprawdę była prawie dorosła – miała dwanaście lat – nie mógł jej zostawić samej na Litwie. Uprosił Jagiełłę, żeby księżę pozwolił mu

zabrać siostrę do Polski. Ten zgodził się bez oporów, nawet obiecał znaleźć dla Mildy miejsce na dworze.

– Czy twoja siostra potrafi gotować? – spytał.

– No cóż...

– Jest ładna i niegłupia, myślę więc, że przyda się mojej przyszłej żonie jako dwórka.

I na tym zakończył rozmowę, a nawet, o czym był przekonany Varnas, zapomniał o niej natychmiast.

Kniaź miał wtedy za dużo innych spraw na głowie. Czekał go nie tylko chrzest, ale i ślub z Jadwigą oraz koronacja na króla Polski.

Przeprowadzka do Polski stanowiła dla Mildy ekscytującą zmianę, dziewczynka była ciekawa świata i wręcz nie mogła się doczekać wyjazdu. Z rodzinnymi stronami już nic jej nie łączyło. Straciła rodziców i rodzeństwo, został jej tylko Varnas, więc to było zrozumiałe, że pojedzie za nim wszędzie. Przykra okazała się dopiero konieczność zmiany imienia na chrzcie.

Nie mogła być już pogańską Mildą – stała się Anną. I jako Anna została przedstawiona królowej Jadwidze. Uprzedzono ją wcześniej, że królowa nie mówi po litewsku, zna tylko kilka użytecznych zwrotów, tak więc potrzebny był tłumacz. Sprowadzono jednego z ludzi, którzy przyjechali wraz z Jagiełłą z Litwy. Był to młodzieniec o przyjaznym obliczu i zaskakująco dobrych manierach. Skłonił się z szacunkiem przed królową i wyczekująco stanął z boku, w postawie pełnej szacunku.

Po drugiej stronie tronu stała wysoka i szczupła kobieta w średnim wieku, nosząca wysoki biały czepiec, ochmistrzyni Krystyna. To ona przyprowadziła Mildę przed oblicze królowej. Wcześniej wytłumaczyła jej, na ile mogła, jak należy się zachowywać w obecności władczyni. Nauczyła Mildę, jak się kłaniać i jak potem wycofać sprzed oblicza królowej. Do tego niepotrzebna była znajomość żadnego języka.

Milda stała oszołomiona i zagubiona. Przez całe swoje dotychczasowe życie przyzwyczajona była do swobodnego wyrażania myśli, przed nikim nie musiała klękać ani słuchać niczyich rozkazów. Bała się, że sobie nie poradzi. A Varnas, odkąd przyjechali, był nieosiągalny, widziała go zaledwie raz, i to tylko w przelocie. Cały czas zajmował się swoimi obowiązkami.

Dziewczynka pokłoniła się tak, jak ją uczono, i stała bez słowa, wpatrując się w czubki swoich nowych cizemek. Według ochmistrzyni Krystyny nie powinny były wystawać spod sukni, więc albo suknia była za krótka, albo cizemki miały za długie noski. Milda czekała, aż królowa odezwie się pierwsza. O tym wiedziała sama, bez specjalnych wyjaśnień.

– Jak masz na imię? – Ku zdumieniu Mildy królowa zadała jej to pytanie po litewsku.

– Milda, Najjaśniejsza Pani – odpowiedziała cicho, wciąż nie śmiejąc podnieść oczu. – To znaczy Anna – poprawiła się szybko.

– No to jak w końcu, Milda czy Anna? – W głosie królowej słychać było lekkie rozbawienie. – I spójrz na mnie, chciałabym zobaczyć twoją twarz.

Milda wyprostowała się i spojrzała na królową. Jadwiga wydała jej się najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziała. Miała prześliczne włosy koloru złotego bursztynu, rozpuszczone na ramiona i plecy, i ogromne jasne oczy, spoglądające na nią teraz z życzliwością i ciepłem.

– Mildą byłam przedtem, na Litwie – odpowiedziała pewniejszym już głosem. – Teraz, po chrzcie, jestem Anną.

Ta dłuższa przemowa chyba okazała się już zbyt trudna dla Jadwigi, bo ta spojrzała pytająco na tłumacza. Ten szybko przełożył słowa Litwinki.

– Ach tak! – Królowa uśmiechnęła się do Mildy i znów zwróciła się do niej po litewsku: – Przyzwyczaisz się. Chciałabyś zostać moją...

Znów spojrzała na tłumacza, a on zgrabnie podrzucił odpowiednie słowo:

– Dwórką.

– Właśnie, dwórką. Chciałabyś?

– Tak, Najjaśniejsza Pani. Chciałabym. Dziękuję bardzo.

Wcale nie była taka pewna, czyby chciała i czy da sobie radę, ale musiała chociaż spróbować. Młodziutka królowa od razu podbiła jej serce.

Ochmistrzyni zaprowadziła Mildę do komnaty dwórek i tam zostawiła ją pod opieką innych dziewcząt.

– Zajmijcie się nią – poleciła sucho, jakby sama zmęczyła się już rolą przewodniczki i tłumaczki. – Nie zna polskiego, ale mam nadzieję, że szybko ją nauczycie.

Kiedy wyszła, grzechocząc wiszącym u jej pasa drewnianym różańcem, Milda wciąż stała na środku komnaty, czując na sobie zaciekawione spojrzenia zgromadzonych tam dziewcząt. Niektóre były w jej wieku, inne młodsze.

– Chodź. – Poczwała czyjaś ciepłą dłoń na ramieniu i odwróciła się przestraszona. – Nie bój się.

Bardziej domyśliła się niż rozumiała, co ta śliczna dziewczyna z kręconymi czarnymi włosami chce jej powiedzieć. Miała wrażenie, że gdzieś ją już widziała. Zmarszczyła brwi i przypomniała sobie te wesołe czarne oczy, wpatrujące się w nią w katedrze podczas ceremonii chrztu. Tak, to ta sama dziewczyna. Jedyna przyjazna twarz, którą wtedy była w stanie wyłowić z tłumu obcych ludzi.

– Jestem Amalia. – Tamta położyła dłoń na swojej piersi, a potem wskazała na Mildę. – A ty?

– Milda – odparła odruchowo. – Nie, nie – szybko potrząsnęła głową – jestem Anna.

– Milda? – Amalia uśmiechnęła się do niej przyjaźnie. – Podoba mi się. Jak chcesz, mogę tak się do ciebie zwracać.

Milda nie rozumiała z tego ani słowa, oprócz swojego imienia, lecz na wszelki wypadek pokiwała twierdząco głową.

Amalia pokazała dziewczynie jej posłanie i kącik, w którym mogła złożyć swoje rzeczy. Nie było tego wiele, tylko najważniejsze pamiątki z rodzinnego domu, z którymi Milda nie potrafiła się rozstać. Między innymi był tam też zielnik sporządzony przez Inę. I jej przepisy na leki oraz sposoby leczenia niektórych chorób. Nie mówiąc już o wykazie wszystkich najważniejszych ziół, zwłaszcza tych trujących i niebezpiecznych w rękach osób niewtajemniczonych. Były po litewsku, więc Milda nie musiała się obawiać, że ktoś je wykradnie i zrobi z nich użytek.

Jedyną taką osobą mogła być tylko pani Krystyna i to jej dziewczyna postanowiła się strzec. Sucha, kostyczna kobieta nie wzbudziła w niej zaufania. Miała w sobie coś, co kazało Mildzie trzymać się na dystans.

I wcale nie chodziło o jej nieprzyjemny sposób bycia.



Część czwarta

ZAMIEĆ

Ruś Czerwona, marzec 1387

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ze skrępowanymi z tyłu rękami, tylko w szarej, poszarpanej sukni, Fiona – kochanica czarta, jak ją nazywano we wsi – została zepchnięta z ganku na zaśnieżony dziedziniec.

Upadła na kolana, rozglądając się wokół przerażonym wzrokiem, jak zaszczute zwierzę. Zmierzwione pasemka czarnych włosów opadały na jej dziewczęcą twarz z diabelskim znamieniem na czole; znakiem, który dla wszystkich stanowił teraz niekwestionowany dowód jej winy. Nikt już zdawał się nie pamiętać, że miała to znamie od urodzenia, stare baby powiadały nawet, że jej matka musiała się przestraszyć ognia, kiedy chodziła z brzuchem. Teraz było po prostu dowodem i ostatecznym potwierdzeniem jej konszachtów z diabłem.

Fiona zerwała się z klęczek i próbowała uciec, natychmiast jednak otoczyli ją chłopci, ponurzy, w obszarpanych kozuchach, w większości podpici. Było też kilka kobiet, zakutanych w chusty, bezkształtnych jak stogi siana, lecz jeśli dziewczyna liczyła, iż okażą jej litość, natychmiast rozumiała, jak bardzo się myli. Baby patrzyły na nią z jawnym okrucieństwem, chyba jeszcze większym niż ich mężowie.

Nienawidziły Fiony – jej urody, hardej postawy, tego, że nie chodziła do cerkwi i mieszkała z dala od wszystkich. Gdyby mogły, same rozszarpałyby ją teraz gołymi rękami. Dopóki żył jej ojciec, stary Fiodor, nikt jej nie ruszał. Wszyscy bali się silnego jak niedźwiedź chłopca, który potrafił zadusić człowieka jedną ręką. Niestety, odkąd przywaliło go drzewo w lesie i sam wymagał opieki, wszystko się zmieniło. A kiedy w końcu zmarł, dziewczyna stała się zupełnie bezbronna. Chociaż starała się jak najrzadziej opuszczać skromną chatę na skraju lasu, zawsze znalazł się ktoś, kto próbował napaść na biedaczkę. Była zbyt ładna i ponętna, żeby amatorzy łatwych podbojów zostawili ją w spokoju. Bo o małżeństwie z chłopką

należącą do właściciela wsi Popowka nikt nawet nie myślał. Była własnością swojego pana, jak pozostała reszta inwentarza.

I to właśnie jemu, pięćdziesięcioletniemu Siemionowi Iwanowiczowi Pogorielskiemu, należała się satysfakcja ukarania diablicy. Byłego lwowskiego bojara uważano tutaj za pana życia i śmierci. Stał teraz na progu swojego dworku, w zarzuconej na ramiona sobolowej szubie i w przekrzywionej czapie, ujmując się pod boki, zadowolony z siebie niczym tatarski chan.

– Na co się gapicie? – ofuknął zebranych. – Zabrać sukę nad rzekę!

Na ten rozkaz dwóch młodych mężczyzn ujęło Fionę pod ramiona i zaczęło ciągnąć ją w kierunku sadu, za którym płynął Biały Potok. Podniecone zamieszaniem chude psy ujadały wściekle i gryzły się nawzajem.

– Błagam! – krzyknęła dziewczyna. – Zostawcie mnie! Nie jestem niczemu winna!

– To już zostało rozstrzygnięte przed sądem – odparł Siemion, ostrożnie schodząc po oblodzonych stopniach ganku. – I przed Bogiem. Nieprawdaż, ojczy Nikodemie?

Przy ostatnich słowach odwrócił się do zgrzybiałego popa o wklęsłym czole i z sięgającą pasa siwą brodą, który, trzęsąc się jak w febrze, trzymał przed sobą wielki drewniany krzyż.

– Bóg zdecydował – odparł przymilnie duchowny. – Macie słusność, Siemionie Iwanowiczu...

Tak naprawdę jednak zdecydował sam były bojar. Od dawna chciał się zemścić na dziewczynie za to, że mu się opierała, gdy próbował zaspokoić na niej swoje żądze. Pierwszy raz zgwałcił ją, kiedy miała trzynaście lat, lecz od tamtego czasu ta diabelska suka nie pozwalała mu się tknąć, posuwając się do tego, że kiedyś, w stodole, rozorała mu pazurami czoło. Do dzisiaj miał różowawe blizny nad prawym okiem. Rzuciła też na niego jakieś zaklęcie, bo stracił wówczas swoje męskie siły. Wykorzystał więc odpowiedni moment, gdy mieszkańcy wsi przyszli do niego ze skargą, że Fiona rzuciła czar na ich krowy. Rzeczywiście, w tym miesiącu dwie z nich padły na dziwną – wedle ich właścicieli – chorobę.

A wiadome było, że jedyną osobą we wsi zdolną do takich czarów jest narzeczona diabła. Siemion Iwanowicz mógł więc za jednym zamachem załatwić trzy sprawy: ukarać bezczelną dziewuchę, pomścić zranioną dumę

i przywrócić spokój w swoim majątku. Co do krów nie miał pewności, czy to rzeczywiście czary, według niego zwierzęta padły z głodu, lecz ważne było, jak na to patrzy ciemny lud, którym w głębi duszy gardził.

A lud widział w tym rękę Szatana.

Fiona została skazana na śmierć poprzez utopienie.

– Pożalujecie tego, spadnie na was kara boska! – krzyczała wleczona po śniegu dziewczyna.

– Bacz na słowa – ostrzegł ją Siemion. – Nie dodawaj grzechów do swego plugawego rachunku, bo niedługo zdasz go przed Bogiem.

Było mroźno, niebo przybrało stalowoszary kolor, wokół wsi ciągnęły się białe pola zamknięte czarną linią lasów, odległych i dzikich. Pusty, martwy krajobraz, kraina, której Siemion Iwanowicz czuł się władcą, odkąd popadł w niełaskę we Lwowie.

Prawdziwy pan i władca tych ziem.

– Jeśli mnie zabijecie – wydyszała Fiona – sami będziecie musieli się usprawiedliwić przed Panem. Popełniacie śmiertelny grzech.

– Nie bluźnij – upomniał ją łagodnie pop Nikodem. – W twych ustach imię boskie brzmi jak szyderstwo.

Dziewczyna splunęła i spojrzała na starca w taki sposób, że ten aż cofnął się o krok.

– Szatan znów w niej siedzi! – zawyła jakaś baba, a reszta kobiet, podchwyciwszy tę opinię, też zaczęła głośno lamentować.

– Niedługo go z niej wypędzimy – uspokajał je Siemion. – Nie wyjcie tak, bo uszy bolą. Pomyślałby kto: stado suk! Załatwmy to szybko, nie mam czasu na głupie ceregiele.

Wszyscy – kobiety, mężczyźni, dzieci i psy – ruszyli w kierunku rzeki. Dziewczyna próbowała się rzucać, lecz prowadzący ją mężczyźni byli silniejsi. Ich twarze nie wyrażały żadnych emocji poza tępym, zwierzęcym uporem. W oczach mieszkańców Popowki Fiona stanowiła przyczynę wszelkich nieszczęść, jej utopienie było jak uбиение grasującego we wsi wilka.

Nic więcej.

Przebyli nagi, ponury wiśniowy sad, przeszli przez furtkę w chruścianym płocie, potem minęli przykrytą burą słomą chatę kowala i stromym, ośnieżonym teraz zejściem ruszyli w kierunku Białego Potoku. Na widok

szarych fal niosących ze sobą spore tafle kry dziewczyna zaszlochała. Jedna z bab uderzyła ją za to kijem w głowę, mówiąc:

– Za późno na płacze.

Fiona chciała ją ugryźć, lecz kobieta zdążyła cofnąć rękę, a potem pospiesznie się przeżegnała.

Dotarli na brzeg, gdzie spośród śniegu wyrastały wierzby oraz nagie badyle nadrzecznych krzewów. Rzeka nie była głęboka, brzegi miała skute lodem, a płynąca środkiem woda sięgała dorosłemu chłopu do piersi, ale to wystarczyło, by przy takim mrozie szybko utopić drobną, na dodatek związaną dziewczynę. Nie trzeba było nawet przytrzymywać jej głowy pod powierzchnią.

Zimny wiatr szczypał ludzi w policzki, mimo że wszyscy rozgrzani byli perspektywą egzekucji, a raczej jakiegoś rytualnego mordu, który miał uwolnić wioskę od Szatana. Chłopi przytupywali niecierpliwie i zabijali zgrabiałe ręce, czekając na polecenia Siemiona i popa. Duchowny nadszedł ostatni, zasapany, czerwony od mrozu i wysiłku, bo z trudem poruszał się w głębokim śniegu. Oczy miał szare jak rzeka i puste niczym oczy świętych na ikonach. Siemion wyjął zza pazuchy bukłak z winem, pociągnął długi łyk, chuchnął głośno i wierzchem dłoni otarł oszronione wąsy.

– No więc, prawosławni, do dzieła – dziarsko rzekł ze szczerbatym uśmiechem, brakowało mu bowiem dwóch przednich zębów. – Najwyższa pora na to, aby stała się wola boska. Powiadam wam, prawosławni, nie traćmy czasu. Jeśli ojczulek Nikodem chce teraz coś swoim zwyczajem zaśpiewać, niechaj śpiewa, byle szybko, bo mróz dzisiaj okrutny.

Fiona jeszcze raz się szarpnęła, usiłując dojrzeć w otaczających ją twarzach choćby odrobinę ludzkich uczuć. Ale równie dobrze mogłaby oczekiwać litości od rzeki czy też nadbrzeżnych wierzb. Gdyby jeszcze potrafiła leczyć jak jej babka, Sonia, która pomagała kobietom podczas trudnych porodów i mężczyznom przychodzącym do niej z ropiejącymi ranami po wybatożeniu przez właściciela wsi. O tak, wtedy byłaby użyteczna, nie podnieśliby na nią ręki, ponieważ w promieniu kilkudziesięciu wiorst nie było żadnego medyka. Lecz ona nie odziedziczyła daru babki. Była tylko głupią dziewczuchą, gadającą do siebie, żyjącą we własnym świecie, widującą duchy, otaczającą się głównie zwierzętami. Mieszkała od zawsze wraz z ojcem i bratem za polami, przy samym niemal lesie, potrafiła tylko zbierać grzyby albo wałęsała się bez

celu. Jednak ojciec – też człek szalony – już nie żył, brat był drwalem, ale teraz, jak każdej zimy, siedział w Haliczu, gdzie miał kochankę.

Dzisiaj nie miał jej kto bronić.

I Siemion Pogorielski dobrze o tym wiedział.

Mróz stawał się coraz bardziej dokuczliwy, lecz mieszkańcy Popowki za nic nie przepuściliby takiego widowiska. Stali ze spuszczoneymi głowami i głuchymi pomrukami ponaglali trzymających Fionę oprawców. Ta wciąż starała się kąsać ich jak wściekły pies, rzucała głową i wrzeszczała. Z wysiłkiem zaciągnęli ją tyłem do rzeki. Trzasnął łód przy brzegu i jeden z podtrzymujących dziewczynę mężczyzn wpadł nogą do wody. Zawył ze strachu i przeraźliwego zimna. Ponury tłum na brzegu zaczął mu wtórować, chociaż nie wszyscy mogli zobaczyć, co się naprawdę wydarzyło.

Przez to, że chłop wpadł do wody, puścił Fionę, a ta bez trudu wyrwała się drugiemu z mężczyzn i na kolanach, wciąż z rękami skrępowanymi powrozem na plecach, zaczęła desperacko uciekać od wody. Natychmiast ją złapano i przygnieciono do ziemi.

– Wszyscy jesteście durnie! – zapieklił się bojar. – Tfu, niedojdy! Dziewki nie potraficie utrzymać! Sam mam to zrobić?

Miał już mocno w czubie – alkohol i podniecenie wprowadziły go w jakiś amok.

Kątem oka dostrzegł, że psy, które do tej pory uwijały się wśród ludzi, z ujadaniem popędziły w stronę wsi. Jego własny – Grilla – też pobiegł w tamtą stronę. Mimo zamroczenia bojar poczuł dziwne ukłucie niepokoju; ki czort? Ktoś obcy? Ale skąd tu obcy? Na tym pustkowiu?

Spojrzał na popa Nikodema, ten jednak, chyba równie pijany jak Pogorielski, wydawał się nie wiedzieć, co się wokół dzieje, a jego mina świadczyła, że zaraz pewnie będzie wymiotował.

– Cisza! – nakazał grzmiącym głosem Siemion.

Wszyscy popatrzyli na niego zaskoczeni, choć ten i ów też zaczęli spoglądać teraz w stronę wsi.

– Dlaczego te psy tam biegną? – zapytał bojar.

I właśnie wtedy od strony sadu nadbiegł chłopak, syn Dymitra, jednego z chłopów, którzy ciągnęli Fionę w lodowatą topiel.

– Jacyś zbrojni tu jadą! – wykrzyknął przestraszony. – Rycerze!

Mieszkańcy Popowki, skamieniali z przerażenia, patrzyli, jak spomiędzy drzew w sadzie wyłaniają się trzej konni.

Przybysze zakuci byli w metalowe pancerze i mieli dziwne hełmy na głowach – Siemion od razu zrozumiał, że to nie ruscy wojownicy. Aż się zachwiał z wrażenia i zmrużył oczy, aby lepiej widzieć.

– Co...?

Jeden z jeźdźców zjechał na brzeg i ściągnął czarnego, przykrytego białym czaprakiem rumaka. Na zbroję miał zarzuconą czerwoną tunikę z wyhaftowanym na niej srebrnym orłem.

Lachy... – pomyślał zdumiony Siemion Iwanowicz.

Skądże tu oni?

Ludzie rozbiegli się przestraszeni, baby zaczęły na nowo lamentować. Dziewczyna, uwolniona z rąk oprawców, leżała na śniegu, ciężko dysząc.

– Co tu się wyrabia? – zapytał po rusku jeździec. Miał surową, szczupłą twarz o szarych oczach.

– A wy kto? – Pogorielski próbował zachować odrobinę godności w oczach wieśniaków, ale głos mu się załamał.

Rycerz, ignorując pytanie, spojrzał na Fionę.

– Czemu ta niewiasta jest związana?

– Co wam do tego?

– Odpowiadaj, sobaczy synu!

– To czarownica.

– Chcieliście ją topić?

– Zgrzeszyła...

– Rozwiązać!

– Ale...

– Rozkazuję w imieniu Jadwigi z Andegawenów, z Bożej łaski królowej Polski, najwyższej księżnej Litwy i dziedziczki Rusi.

Siemionowi zakręciło się w głowie, tymczasem jakiś chłop zaczął już pospiesznie rozwiązywać dziewczynę.

– Kto jest właścicielem wsi? – zapytał konny.

Kilku innych jeźdźców dołączyło do pierwszej trójki, z zaciekawieniem przyglądając się tej scenie.

– Ja nim jestem – odparł słabo Pogorielski.

- Wy kazaliście topić?
- Pop nakazał.
- Wszyscy do wsi. Dziewczyna też.
- Nie macie prawa rządzić się na ruskiej ziemi.
- Ta ziemia należy do królowej Polski. Pójdiesz sam czy mam cię, zapity łbie, ciągnąć na powrozie?

We wsi stały już z rozwiniętymi sztandarami przednie straże polskiego wojska i ciągle przybywało nowych zbrojnych. Od strony drogi widać było całą długą kolumnę zbrojnych, wiła się pośród białych pól niczym olbrzymi wąż. Mieszkańców Popowki zebrano na placu przed drewnianą cerkwią; stali zbici w gromadę, jak zwierzęta w zagrodzie, przestraszeni i milczący. Siemion ze strachu całkowicie wytrzeźwiał. Patrzył na wielobarwne sylwetki polskich wojowników, próbując zrozumieć, co się tu dzieje. Królowa Polski tutaj? Od dawna nie bywał ani we Lwowie, ani w Haliczu, nie znał wieści ze świata. Trwała jakaś wojna? Pamiętał, że namiestnikiem Rusi jest Władysław Opolczyk, a co większe zamki zostały obsadzone węgierskimi załogami. Skąd tutaj Lachy – ze swoją władczynią?

Ale najbardziej zdumiał się, gdy ujrzał polską królową.

Nadjechała w otoczeniu zakutych w żelazo mężów. Siedziała na srokatej klaczy, dumnie wyprostowana, w futrzanym kapeluszu, podbitym białymi gronostajami długim futrze i...

I wyglądała jak dziecko.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tak, na czele zbrojnej wyprawy na Ruś stała zaledwie trzynastoletnia królowa.

Przez ostatni rok, od momentu małżeństwa z Władysławem, wiele się w jej życiu zmieniło. Jadwiga przestała być już tylko bezwolną lalką w rękach krakowskich panów, stała się prawdziwą władczynią, posiadającą takie same uprawnienia jak jej mąż. Rządzili wspólnie, oboje wystawiali dokumenty we własnych kancelariach, decydowali o nadaniach i nominacjach. W jednym młoda monarchini miała nawet przewagę nad małżonkiem – była dziedziczką Królestwa i przyszłą założycielką dynastii.

Domina naturalis.

Teraz zapewne oboje przebywaliby na Litwie, aby razem chrystianizować tamtejszy lud, wszelako na misję apostolską udał się tylko król. Jadwiga nie mogła z nim pojechać, a tym samym spełnić swych marzeń o nawracaniu pogan.

Miała przed sobą inne, niespodziewane zadanie.

Jak się to już wcześniej zdarzało, sprawy zaczęły się komplikować za przyczyną dziwnych i niefortunnych decyzji matki polskiej królowej, Elżbiety Bośniaczki. Węgierska pani znowu pozmieniała reguły gry, i to w sposób jeszcze bardziej drastyczny, niż czyniła do tej pory. Kiedy jej pozycji na Węgrzech zagroził Karol z Durazzo, zdecydowała się na fatalny w skutkach czyn: rozkazała go zabić.

Morderstwo to – dokonane za pomocą podstępu, gdy ofiara była bezbronna – odbiło się szerokim echem w Europie, rzucając cień na całą rodzinę Elżbiety. Bo co tu kryć, wykorzystano metodę rodem z Neapolu,

metodę, jakiej ongiś użyła piekielna Joanna, tak przecież na Węgrzech znienawidzona. Podstępne zabójstwo niewygodnego przeciwnika.

Już samo zabójstwo było polityczną katastrofą, ale jego konsekwencje okazały się jeszcze tragiczniejsze. Od tej chwili dni przebiegłej Elżbiety były policzone. Nieświadoma, iż zawisło nad nią śmiertelne zagrożenie, Bośniaczka poczuła się znowu rzeczywistą panią Węgier. Oficjalną królową była, rzecz jasna, jej córka Maria, ale wszyscy doskonale wiedzieli, kto tak naprawdę rządzi w Budzie – wdowa po Ludwiku oraz jej kochanek, były palatyn Garais.

Tak, kochanek.

Wieści o ich związku również obieży natychmiast europejskie stolicy, dotarły także do Krakowa, do uszu Jadwigi...

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko, na karę niebios nie trzeba było długo czekać. Elżbieta wciąż lekceważyła niebezpieczeństwo, toteż gdy wybrała się wraz z Marią na południe kraju, towarzyszyła jej skromna eskorta. Lecz to właśnie w tamtych stronach miała największych wrogów. Jednym z nich był ban Kroacji, Jan Horwat, stronnik neapolitańskich Andegawenów. Jego ludzie napadli na królewski orszak. Garais już na miejscu, w pyle drogi, został skrócony o głowę, natomiast Elżbieta i Maria trafiły do lochu. Zamierzano wysłać je do Neapolu, do wdowy po zamordowanym Karolu.

Wszakże nie doszło do tego.

Kiedy mąż Marii, Zygmunt, przybył na odsiecz uwięzionym kobietom, Elżbietę uduszono na oczach córki, a jej ciało wywieszono na murach.

Tak dokonała żywota Elżbieta Bośniaczka.

Zarówno śmierć matki, jak i uwięzienie siostry, a także okoliczności, które do tego wszystkiego przywiodły, były dla polskiej królowej ogłuszającym ciosem. Lecz nie była to już dawna Jadwiga, ta sprzed dwóch lat, płacząca z tęsknoty na schodach. Teraz była to królowa Polski, która musiała się podnieść po takim ciosie.

Kiedy minęła żałoba po śmierci Elżbiety, nadszedł czas na działanie. Tu już krakowscy panowie wiedzieli, co robić. Kryzys na Węgrzech otworzył Królestwu Polskiemu szansę na ponowne zagarnięcie Rusi Czerwonej. Te ziemie, kiedyś zagrabione dla Korony przez Kazimierza, a później przejęte przez węgierskiego Ludwika, obecnie stały się głównym celem Wawelu. Jadwiga – jako córka ostatniego węgierskiego Andegawena, sama

Węgierka – zdecydowała się teraz o nie upomnieć. Choć mogło to wyglądać tak, jakby korzystając z faktu, iż jej własna siostra przebywa w niewoli, postanowiła przywrócić Ruś swojej nowej ojczyźnie, nawet kosztem dawnej.

Zbyt często ją oszukiwano i traktowano jak zabawkę, by teraz miała okazać polityczną słabość.

Wyruszyła zatem na Ruś w otoczeniu najznakomitszych mężów; towarzyszyli jej między innymi kasztelan Dobiesław z synem Krzesławem z Kurozwęk, młody Spytko z Melsztyna z bratem Jaśkiem Tarnowskim, Sędziwój z Szubina, wojewoda kaliski, Drogosz z Chrobrza, sędzia krakowski, a także Gniewosz z Dalewic i Krystyn z Ostrowa – marszałek dworu królowej. To oni, rzecz jasna, tak naprawdę kierowali działaniami militarnymi, ale rola królowej wcale nie była w tej wyprawie minimalna czy też tylko dekoracyjna. Wprost przeciwnie, Jadwiga, bardziej nawet niż Jagiełło, przemawiała swym autorytetem do wyobraźni europejskich dworów i łatwiej mogła skłonić do posłuszeństwa Rusinów oraz Węgrów – była wszak córką Ludwika.

Dlatego uznano ją za wodza wyprawy i wszyscy panowie słuchali jej poleceń z szacunkiem należnym wielkim dowódcy.

No cóż, nie był to najlepszy okres na wojenną kampanię – trzymał mróz, drogi były zasypane śniegiem, a w każdej chwili można było się spodziewać wiosennych roztopów, które łatwo zamieniłyby te obszary w kompletnie nieprzejezdne rozlewiska i morza błota. Naturalnie, lepiej było wyruszyć latem, lecz czas naglił – chaos na Węgrzech nie potrwa wiecznie, utrzymywali krakowscy panowie, w końcu Zygmunt opanuje sytuację i Polakom trudniej będzie upomnieć się o dawne ziemie.

Na szczęście Węgrzy oraz Rusini na ogół poddawali się bez walki, nie trzeba było prowadzić prawdziwej wojny.

Wielkie przestrzenie Rusi wydawały się królewskiemu orszakowi bezkresnym pustkowiem, zwłaszcza teraz, zimą, gdy stepy i pola pokrywał śnieg. Było to prawdziwe bezludzie, od dawna nękane najazdami tatarskimi i litewskimi, zdawało się, że pod olbrzymim niebem mieszkają tylko dzikie zwierzęta. Wioski i osady pojawiały się rzadko, najczęściej były

wyludnione, ich mieszkańcy albo zginęli, albo zostali uprowadzeni w niewolę, albo uciekli w bardziej przyjazne strony. Ci, którzy pozostali, żyli jak dzikie zwierzęta. Królowa pierwszy raz w życiu odwiedzała te ziemie, opisywane niegdyś przez Herodota, do czasów najazdów mongolskich bogate i przesiąknięte grecką kulturą, rojące się od wschodnich kupców, teraz zaś posępne i martwe, jakby zapomniane przez Boga.

W tej wyprawie Jadwidze towarzyszyli głównie mężczyźni, ale – by mieć z kim rozmawiać w wolnych od polityki chwilach – monarchini zabrała ze sobą także trzy ulubione dwórki: Amalię, Helenę oraz Annę, czyli dawną Mildę. Jasnowłosą Litwinę wszyscy od razu polubili. Okazała się mądra i ułożona, szybko nauczyła się też języka polskiego, tak podobnego do ruskiego, który poznała jeszcze w Wilnie. Potrafiła ciekawie opowiadać o ojczystych zwyczajach, no i wszyscy wiedzieli, jak dramatyczne było jej dzieciństwo. Anna-Milda szybko zaprzyjaźniła się z Amalią, najbardziej bezpośrednio i ciekawą świata ze wszystkich dwórek, w dodatku równolatką. Od momentu przyjazdu Litwinów do Krakowa dziewczęta stały się niemal nierozłączne.

Tego mroźnego dnia, kiedy orszak królewski zawitał do wsi Popowka, również trzymały się razem. Siedziały teraz we dworze pojmanego przez straż byłego bojara Siemiona, przy kaflowym piecu, opatulone w futra i ciekawie spoglądały na skuloną po drugiej stronie izby dziewczynę, którą, jak się dowiedziały, mieszkańcy wsi chcieli tego dnia utopić.

– Nie wiedziałam, że tutaj panują takie zwyczaje – szepnęła Amalia. – Brr, nawet nie chcę myśleć o tej lodowatej wodzie.

– Będzie miała szczęście, jak się nie rozchoruje od samego leżenia w śniegu – odparła Milda.

– Na Litwie też się topi ludzi? – spytała zaciekawiona Amalia.

– Pewnie tak, ale raczej nie w Wilnie. W osadach co innego, tam panują barbarzyńskie obyczaje.

– Składa się ofiary bogom?

– To się zdarza. Niektórzy kapłani są okrutni.

– Teraz to się zmieni, prawda?

– Chyba tak. Chrzesz i łaciński Kościół pozbawią ich dawnych przywilejów.

– I bardzo dobrze!

– Ale w zapadłych wsiach nie tak łatwo będzie wykorzenić stare zwyczaje. Tak jak tutaj. Popatrz, niby mają kościół grecki, cerkiew i popa, niby też chrześcijaństwo, a jednak...

– No tak.

Obie ze współczuciem spojrzały na rozczochraną dziewczynę, która szeptała coś do siebie.

– Nie trzeba ci czegoś, przyjaciółko? – spytała po rusku Milda.

Tamta spojrzała na nią przestraszona, po czym pokręciła przecząco głową.

– Może grzanego wina? – nalegała Litwinka.

– Nie, dziękuję.

– Nie bój się, jesteś teraz pod opieką polskiej królowej, nikt ci nie zrobi krzywdy.

– Oni mi nie darują.

– Zabierzemy cię stąd. A cały ten Siemion odpowie w Haliczu za swoje postępowanie. Nigdy go już nie ujrzysz.

– Naprawdę?

– Obiecuję.

– Jak masz na imię?

– Fiona.

– Ładnie.

– A wy?

– Amalia i Milda.

– Jesteście Laszkami?

– Nie za bardzo. – Litwinka się uśmiechnęła. – Ale takimi samymi poddanymi królowej Jadwigi jak ty teraz.

– Widziałam królową – szepnęła tamta. – Jest bardzo młoda. I bardzo piękna.

– Tak, to prawdziwa władczyni – odparła z dumą Amalia.

Ustalono, że część wojsk rozlokuje się na noc we wsi, część w odległym o dziesięć wiorst od Popowki monasterze, a sama królowa, wraz

z najbliższą świtą, wyruszy od razu w stronę zamku, którego węgierska załoga już wyjechała jej naprzeciw, aby się poddać. Amalia, Helena oraz Milda miały towarzyszyć Jadwidze, więc musiały teraz pożegnać się z Fioną i przygotować do drogi. Trzeba było zdążyć przed zapadnięciem zmierzchu, który o tej porze roku nadchodził szybko, pogrążając całą Ruś w nieprzeniknionych ciemnościach.

Kiedy wyruszyły, zaczęło tak śnieżyć, iż nie widać było drogi. Królowa musiała zrezygnować z konnej jazdy i przenieść się do sań, gdzie siedziały już jej trzy dwórki. Dziewczęta wtulały się w siebie, przykryte po nosy niedźwiedzią skórą, osłonięte od śniegu wielkim baldachimem. Było coś ekscytującego w tej jeździe poprzez nieprzenikniony żywioł, w obcym kraju, przy wtórze dzwonek i pobrzękiwania uprzęży. W takich chwilach instynktownie nasłuchuje się, czy wśród ponurego wycia wichru nie zabrmi również wilczy śpiew. Baldachim łopotał na wietrze, pojedyncze płatki śniegu osiadały na twarzach, a każdy oddech zamieniał się w obłoczek pary.

– Kto zaopiekuje się Fioną, Najjaśniejsza Pani? – spytała w pewnej chwili Amalia.

– Nie wiem – odparła Jadwiga. – Zawieziemy ją do Halicza. Tam się zastanowię.

– Tyle wycierpiała, musi odzyskać zaufanie do ludzi.

– Tak. Ale jeśli, Amalio, chcesz mnie nakłonić, by zabrać ją na nasz dwór, to od razu mówię, że to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Nie pasuje do nas. To po pierwsze. W dodatku ciągle będzie się za nią ciągnąć oskarżenie o czary. A mój małżonek...

– Nie chce takich plotek.

– Otóż to. Chociaż – Jadwiga uśmiechnęła się lekko – sam powinien nad sobą popracować. Wiecie, że do dzisiaj rzuca na ziemię jakieś słomki i czyni inne dziwne rytuały, których nauczył się na Litwie?

– Naprawdę? – zdumiała się Milda. Ona sama musiała się cały czas pilnować, aby nie wracać do niektórych dawnych przyzwyczajzeń, jak choćby modlitw przed ogniem.

– Tylko nikomu, broń Boże, nie mówcie – pouczyła je królowa. – Król byłby wściekły, gdyby na dworze zaczęto się z tego śmiać. Bardzo się przejął rolą chrześcijańskiego apostoła.

– Na szczęście mój brat nie miał żadnych pogańskich przyzwyczajzeń – rzekła Milda. – Śmiał się z tego, co mówili kapłani.

– Tak, Varnas jest wyjątkowy – odparła królowa.

– I taki ładny – westchnęła Amalia.

– Ładniejszy niż twój Szymek? – zaśmiała się Milda.

– Przestań! Żaden tam mój!

– Twój rycerz!

– Ej!

Do zamku dotarli przed zmierzchem, niebo się nieco przejaśniło i już z daleka widać było wysoką basztę wyrastającą pośród ciemnoczerwonych murów. W tych okolicach rzadko spotykało się murowane budowle, wszystko wznoszono tu z drewna, więc zamek wyróżniał się na tle krajobrazu i dawał poczucie normalności. Węgierską załogą obsadził go jeszcze król Ludwik, teraz przechodził w posiadanie jego młodszej córki.

– Nie wiem jak wy – wesoło rzekła Jadwiga – ale ja jestem już głodna jak wilk.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy zbliżali się do murów, śnieg na szczęście przestał już padać, tylko pojedyncze płatki wirowały w mroźnym, ciemniejącym powietrzu.

Aby wszystko odbyło się zgodnie z powagą majestatu, ostatni odcinek drogi Jadwiga przebyła nie w saniach, lecz na białej kłaczycy i w otoczeniu dostojników. Przy dźwiękach rogów z zamku wyjechała jej naprzeciw straż w barwach węgierskiego królestwa, ze złotymi liliami wyhaftowanymi na wysoko powiewającej chorągwi. Na czele znajdował się dowódca twierdzy, stary rycerz – Istvan Orban.

Był to potężny mężczyzna o nalanej twarzy, w kolczudze opinającej wielkie brzuszysko.

– Bądź pozdrowiona, królowo! – odezwał się tubalnym głosem, wstrzymawszy konia. – Dziedziczko korony Arpadów!

Podczas gdy Istvan składał hołd Jadwidze, wojownicy polscy i węgierscy przyglądali się sobie nawzajem w milczeniu, uważnie oceniając rumaki, broń i zbroje. Żołnierze królowej prezentowali się bez wątpienia korzystniej – mieli na sobie pozłacane i posrebrzane napierśniki, kolcze czepce, hełmy z przesuwanymi zasłonami, często także złocone i przystrojone piórami. Na owalnych tarczach oraz narzuconych na zbroje tunikach błyszcząły srebrne orły. Polacy wydawali się jeszcze potężniejsi z powodu narzuconych na ramiona futer, jak również śniegowych czap, które utworzyły im się na ramionach. Przypominali mitycznych wojowników z północy, budzących grozę samym swym widokiem.

W porównaniu z nimi Węgrzy wyglądali trochę jak przypadkowo i pospiesznie zebrana załoga. Każdy miał inne wyposażenie, na głowach nosili stare hełmy w kształcie kapeluszy z niskimi rondami, a ich twarze zdawały się wymizerowane.

Jedni i drudzy patrzyli na siebie nieufnie – w końcu była to wyprawa wojenna, a polska królowa odbierała właśnie ziemie władczyni Węgier,

swojej własnej siostrze.

Zamek był niewielki i zbudowano go jedynie w celach obronnych. Ostatnimi laty służył głównie jako garnizon lub więzienie. Im bardziej się do niego zbliżali, tym posępniejsze sprawiał wrażenie. Jego okrągła baszta przypominała teraz – o zmierzchu, pośród zimowej pustki – ciemną skałę wyrastającą na tle szarego morza. Mury wprost błagały o remont, a wzgórze, na którym je wzniesiono, chyba nigdy nie było karczowane.

Hufiec Jadwigi, poprzedzany węgierską strażą, wjechał przez bramę na dziedziniec, na którym krzatali się już pacholki z pochodniami. Część z nich odebrała od jezdnych konie, pozostali zaprowadzili gości do mrocznego wnętrza okrągłej baszty i spiralnymi schodami powiedli ich na pierwsze piętro, gdzie znajdowała się owalna, wysoko sklepiąca sala, główne pomieszczenie twierdzy. W wielkim kominie z okapem płonęły już świeże polana, ale wciąż panował tu ziąb. Poprzez wąskie otwory strzelnicze nie wpadało prawie żadne światło, zwłaszcza o tej porze dnia, więc wnętrza oświetlały tylko pochodnie umieszczone w przytwierdzonych do ścian żelaznych uchwytych. Można tu było poczuć się jak w lochu.

– Kolacja będzie zaraz. – Istvan Orban zatarł ręce. – A jeszcze wcześniej grzane wino.

– Znakomicie – ucieszyła się królowa, rozglądając się po surowym, niczym nieozdobionym pomieszczeniu, gdzie znajdował się jedynie stół otoczony drewnianymi ławami. Mury zdawały się wilgotne, a ze wszystkich szpar wydobywało się mroźne powietrze.

– Żyjecie tu iście jak mnisi – rzekła Jadwiga, podchodząc do komina.

– O tak – odparł kapitan straży. – A nawet jeszcze skromniej, Najjaśniejsza Pani.

– Nie macie pieniędzy na remont zamku?

– Od czasu, gdy Bóg wezwał przed swoje oblicze waszego umiłowanego przez nas wszystkich ojca, królowo, chyba o nas w Budzie zapomniano.

– No tak. Było dużo... zamieszania.

– A tym, co zbierzemy tutaj w daninach, też trudno się wyżywić. Ludu tutaj mało, a jeśli już jest, to prawie nic nie posiada.

– Miasta wam nie pomagają?

– Trzeba im wyrywać każdego rubla – odparł stary żołnierz, zdziwiony, że trzynastoletnia dziewczyna zadaje tak konkretne pytania. – Nie są biedni, ale pilnują swego. Bojarzy – chytry ludzie. Na Rusi wzbogacają się tylko nieuczciwi, a ja jestem człowiekiem honoru. Jak to mówił nieodżałowany Cezary z Heisterbachu, kimkolwiek był, w każdym razie rzekł on kiedyś: „Każdy bogacz jest złodziejem albo synem złodzieja”.

Umilkł nagle, uprzytomniwszy sobie, iż ma przed sobą najbogatszych krakowskich panów, których własnością są całe miasta i wsie. Wprawdzie tamci nie rozumieli języka węgierskiego, w którym toczyła się rozmowa, ale monarchini mogła im to przecież przetłumaczyć.

– To się tyczy, rzecz jasna, jedynie tutejszych ziem – dokończył nieprzekonującym tonem.

Jadwiga tylko uśmiechnęła się lekko na te słowa, grzejąc plecy przy kominie, obok którego wmurowana była kamienna ława. Sala nagrzewała się coraz bardziej, topniejący śnieg z butów utworzył wokół stóp zebranych brudne kałuże, a futra, hafty i aksamity zaczęły parować.

– Czego tu właściwie pilnujecie? – spytała królowa. – Wszak to pustkowie.

– Brodów na rzece.

– Przed Tatarami?

– Głównie przed nimi. Chociaż pojawiają się rzadko. Co mieli złupić, dawno już złupili. Ostatnią z nimi przeprawę mieliśmy wiosną poprzedniego roku. Podeszli całkiem blisko zamku. Pobiliśmy gadów, jednego trzymam w lochu, takiego ich... czarownika chyba. Służy nam jako lekarz, bo nasz pan medicus dwa lata temu, jak by to rzec, po pijanemu spadł z muru i skręcił sobie kark.

Na słowa o uwięzionym poganinie Amalii, która też stała teraz w pobliżu ognia, wyciągając ku niemu zmarznięte dłonie, zaświeciły się oczy. Nigdy nie widziała na oczy Tatara. Opowiadano o tych ludziach straszne rzeczy. Ponad sto lat temu napadli na Węgry, czyniąc prawdziwe spustoszenie. Dzicy i okrutni, nie oszczędzali ani kobiet, ani dzieci. A już na sam ich widok rycerzom odechciewało się walki.

– Niedługo wrócicie na Węgry – rzekła Jadwiga. – Jeszcze się naradzę, czy zamek wyremontuję i obsadzę swoją załogą, czy nie będzie takiej potrzeby. Skoro mówicie, że nie ma on tu czego bronić... Już sama kampania sporo nas kosztuje.

– No, tylko wilki nas zimą odwiedzają – uśmiechnął się Istvan. – Pod mury podchodzą. Może i tej nocy będą.

Przyniesiono wino. Wszyscy zasiedli wokół dębowego, opartego na kozłach stołu. Alkohol rozgrzał ciała i głowy, zaczęto głośniejsz rozmawiać.

– Musicie wiedzieć, Wasza Wysokość, że przez lata byłem wiernym towarzyszem waszego ojca, świeć Panie nad jego duszą – rzekł Istvan Orban. – To z nim przybyłem tutaj. A wcześniej walczyłem w Neapolu.

– Tam chyba było przyjemniej? – uprzejmie zapytała Jadwiga.

– Bez porównania. Ale ludzie zdradliwi, sami truciele. No i więcej wtedy walczyliśmy. Pamiętam, jak podczas oblężenia murów wielki Ludwik dostał kamieniem i wpadł do fosy. Myśleliśmy, że już po nim, a się wylizał. Odważny to był człowiek. Szalenie odważny. Waleczny jak Dawid, a mądry jak Salomon.

– To prawda.

– A i was, królowo, pamiętam. Kiedy byliście jeszcze malutka. Potem zabrano was do Vienny.

– A mnie, panie, pamiętacie? – jak zwykle wtrąciła się siedząca obok Amalia.

– To córka barona Mladena – wyjaśniła Jadwiga, ocierając usta chusteczką.

– Ach! – Kapitan zmieszał się nagle i uciekł spojrzeniem w bok. – Nie pamiętam, ale znałem jej ojca.

– I jaki był? – Dziewczynka nie mogła się od tego pytania powstrzymać.

– Bardzo dzielny.

– Dobrze go, panie, znaliście?

– Tak.

Widać było, że Istvan nie za bardzo chce na ten temat rozmawiać, co dla Amalii stanowiło sygnał, iż stary wojak może wiedzieć coś więcej na temat jej ojca. Postanowiła to wykorzystać, kiedy kapitan będzie bardziej pijany. Trzeba pilnować, by w kielichu nie brakowało mu wina, postanowiła.

Tymczasem na stole pojawiła się kolacja.

Biorąc pod uwagę, jak zaniedbany był zamek, a także wysłuchawszy narzekań jego dowódcy na biedę, należało się spodziewać najprostsz potraw, a jednak posiłek okazał się nadspodziewanie wykwintny, jakby stworzony z myślą o królewskim stole. Na szerokich drewnianych półmiskach podano barszcz z kołdunami, rybę w korzennym sosie, zrazy

bite pod cebulą, a do tego ciemny chleb, plastry wędzonej słoniny, kwaszone ogórki i ser. Usługiwały młode dziewczyny, z włosami splecionymi w warkocze, z wyglądu Rusinki, które z pewnością sprowadzono, być może przemocą, z okolicznych wsi. Wyglądały na zastraszone, spuszczały oczy, a kiedy postawiły naczynia, szybko wycofały się w głąb pomieszczenia i przycupnęły na kamiennej ławie pod ścianą, poza obrębem światła.

– Toż to prawdziwa uczta! – ucieszyła się Jadwiga.

– Wiedzieliśmy o waszym przyjeździe już dawno, Miłościwa Pani – odrzekł uradowany jej pochwałą kapitan – toteż posłałem ludzi do wszystkich bogatych dworów, nawet tych, które mi, że tak powiem, nie podlegają. Królowej nie mogli odmówić.

– Bravo! Powiedzcie mi, kapitanie, co to są za ludzie? Skoro mam nad nimi panować, muszę coś o nich wiedzieć.

– Gnuśni i tępi – bez ogródek wypalił Istvan. – Bliżej im do stepu niż do cywilizacji. Ale słuchają władzy. Rzadko się buntują, przyzwyczajeni widać do jarzma.

– A ich religia?

Z komina powiało i posypały się iskry.

– Nie wyznaję się na tym – rzekł stary wojak, sięgając po puchar. – Choćby mnie łamali kołem, nie powiem wam, Miłościwa Pani, czym się różni od naszej, prócz tego, że śpiewają po swojemu i nie używają języka łacińskiego. Na pewno to nie czarownicy jak te tatarskie psy, które niby to wyznają Proroka, a dalej przyzywają swoje azjatyckie duchy.

– W moim królestwie będzie miejsce na wszelkie zwyczaje. Rzecz jasna, te cywilizowane. I żydowskie, i prawosławne.

– I słusznie. Bardzo mądrze. Choć Żydom bym akurat nie ufał. Wasz ojciec dobrze zrobił, że ich popędził. Jeśli ktoś by mnie pytał o zdanie, wszystkich ich bym wygnał z Europy. Niech szukają Ziemi Obiecanej na pustyni.

– Ale nikt was nie pyta – chłodnym głosem odparła królowa.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. – Skarcony przez trzynastolatkę weteran pochylił głowę. – Nie było moim zamiarem...

– Dobrze już, dobrze – przerwała mu Jadwiga. – Gdzie będziemy spać?

– Wy, Wasza Wysokość, oraz wasze dwórki w komnacie nad nami. Tam są szybki w oknach i duży piec. Dołożymy kilka trójnogów z węglem. Nie

powinniście, Pani, zmarznąć. Zawsze to kamienne mury, a nie słomiany dach karczmy.

- Racja. Wyjeżdżamy o świcie.
- Wszystko będzie przygotowane.
- Cieszy mnie to niezmiernie.

Amalia wciąż nie przestawała myśleć o tym, co ów gruby żołnierz mógł wiedzieć na temat jej ojca.

– Mildo – zwróciła się szeptem do przyjaciółki, siedzącej po jej prawej ręce.

– Tak? – Litwinka była zmęczona jazdą, jadła w milczeniu, walcząc z ogarniającą ją sennością.

– Znasz dobrze ruski?

– Ano znam. Wiesz przecież.

– Mam zatem prośbę.

– Słucham cię pilnie.

– Może podeszłabyś do tych dziewczuch pod ścianą? Tych, co nam usługują.

– I?

– I poprosiła którąś, aby ciągle dolewała wina temu kapitanowi. Najmocniejszego.

– Po co?

– Potem ci powiem.

Litwinka pochyliła się ku przyjaciółce i rzekła konspiracyjnym tonem:

– Nie ufam temu człowiekowi. Niby wesoły i miły, przypochebia się, a wygląda na okrutnika.

– Możliwe. Ale zależy mi na tym, by stał się jeszcze bardziej gadatliwy niż teraz.

– Chodzi o ojca?

– Zgadłś.

– Myślisz, że powie ci prawdę?

– Muszę spróbować, lepszej sposobności nie znajdę. Trzeba go opić tak, by mu jutro pękał ten olbrzymi łeb.

Milda zachichotała.

– Da się zrobić.

Godzinę później kolacja dobiegała końca. Wszyscy byli już najedzeni i zmęczeni. Na zewnątrz hulał wiatr, co zapowiadało kolejną zamięć. Jadwiga pierwsza opuściła salę, udając się na górę, za nią zaczęły wychodzić kolejne osoby.

Kapitan Istvan Orban był w doskonałym nastroju; podśpiewywał wojskowe piosenki o tym, kto pamięta rok siedemdziesiąty piąty, a kto wolałby o nim zapomnieć, uderzał pięścią w stół, przepijał do wszystkich. Amalia wyczuła, że nadszedł odpowiedni moment – jeszcze trochę, a żołnierz uśnie przy stole w kompletnym zamroczeniu.

– Dostojny rycerzu! – rzekła, podchodząc do niego ze słodkim wyrazem twarzy.

– Tak, sikoreczko?

– Obiecaliście pokazać nam tego Tatara, co go trzymacie w lochu.

Chciała znaleźć się z Węgrem na osobności, z dala od Polaków z wawelskiego dworu.

– Obiecałem? – Kapitan zmarszczył czoło.

– Tak – przytaknęła Amalia, a potem spojrzała na Mildę. – Prawda?

– Prawda – potwierdziła Litwinka.

– No, skoro obiecałem – ciężko podniósł się z ławy, trącając misę – to obietnicy wypada dotrzymać. Istvan jest człowiekiem honoru. Chodźcie, chodźcie, przepióreczki. To w piwnicach, zejdziemy do piekieł. Niech mi ktoś, do diabła, przyniesie pochodnię!

ROZDZIAŁ CZWARTY

To rzeczywiście przypominało zejście do piekieł.

Jeśli już sam zamek, ze swoimi mrocznymi pomieszczeniami, kruszącymi się murami oraz wszechobecnymi przeciągami, sprawiał wyjątkowo ponure wrażenie, to podziemia, do których właśnie mieli zejść, przyprawiały wręcz o dreszcz grozy. Na samą myśl o tym, że ktoś może tam być zamknięty na stałe – wszystko jedno, poganin czy chrześcijanin – robiło się strasznie na duszy.

Nikt nie zasłużył na taki los.

Bo to było gorsze od śmierci.

Amalia nie miała już ochoty oglądać tego diabelskiego Tatara, czarownika czy kimkolwiek był ten nieszczęśnik, przestał być dla niej interesujący, jednakże musiała wyprowadzić kapitana gdzieś na ubocze, aby móc swobodnie z nim porozmawiać, a podziemia świetnie do tego się nadawały.

I miała dobry pretekst.

Wcześniej, jeszcze przy stole, poprosiła Mildę, aby jej towarzyszyła. Po pierwsze, z przyjaciółką zawsze raźniej, po drugie, nie wyglądało to już tak podejrzanie jak wyjście z Istvanem sam na sam. Litwinka, rzecz jasna, zgodziła się, pomimo że wyprawa do lochów była w tej chwili ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, gdyż marzyła już o położeniu się spać.

No, ale przecież nie mogła odmówić. Nie Amalii, którą traktowała już jak siostrę i na którą też zawsze mogła liczyć.

Tak więc podążyły tam razem, w ślad za Istvanem, który, chwiejąc się niebezpiecznie na nogach, oświetlał drogę pochodnią. Mimo że miały na sobie pelerynki z lisiego futra, było im zimno, z ich ust wydobywały się obłoczki pary. Stary Węgier prowadził je w dół stromymi schodami

o wąskich kamiennych stopniach, koło wilgotnych ceglanych ścian, na których tańczyły pokraczne cienie.

– Lubicie się bać, prawda? – zapytał, sapiąc ciężko.

– Wcale się nie boimy – odparła Amalia.

– Ani trochę?

– Przecież jesteśmy w towarzystwie dzielnego rycerza – powiedziała głosem tak słodkim, że aż sama się przestraszyła, czy nie zabrzmiało to jak kpina.

Wszelako zmacony umysł kapitana nie wyczułby teraz kpiny, nawet gdyby była całkowicie jawna i podkreślona na dodatek akrobacjami jarmarcznych wesołków.

– Ha! Wygadana jesteś, sikoreczko – odrzekł. – Nie ma co. Uważajcie, bo tu stopień jest ukruszony.

Ale to on sam się na nim potknął i musiał wolną ręką przytrzymać się ściany, by nie upaść.

– Do diabła! – krzyknął.

– Ostrożnie, panie rycerzu.

– Coraz gorzej widzę. I coraz bardziej się męczę. Kiedyś, miłe panny, potrafiłem w pełnym rynsztunku przejść dziesięć mil i nawet się nie spocić, a dzisiaj, no cóż, same widzicie, kilka kroków na schodach, a plecy boją mnie tak, jakby ktoś je obił kijem.

Pomarańczowe światło pochodni wydobywało tylko plamy jasności przed nimi, cała reszta ginęła w mroku, jakby znaleźli się w jaskini. Schody, tutaj szersze, przypominały teraz żebra jakiegoś uwięzionego w skale szkieletu – smoka lub innego mitycznego potwora. Im niżej schodzili, tym ciszej robiło się wokół, dawno już przestały docierać do nich odgłosy biesiady.

– Tylko nie przyglądajcie się za bardzo temu diabłu – ostrzegł dziewczęta kapitan. – Nie patrzcie mu w oczy. Bo to czarownik.

– Umie rzucić zaklęcie? – spytała Amalia.

Istvan wysmarkał się w palce.

– Gada z duchami zwierząt, to wszystkiego można się spodziewać. Gdyby nie to, że potrafi leczyć rany i złamania, zatłuklibyśmy go jak psa. No, ale na razie jest potrzebny. Powiedziałem mu, że póki leczy, będzie żyć. Jak mu ktoś umrze, zapłaci gardłem. Uczciwa oferta, nie mam racji?

– Ale wolności nigdy nie odzyska?

– Mielibyśmy go wypuścić?

– Więc to tylko odwlekanie śmierci. Nic z tego nie ma.

– Może liczy, że jego pobratymcy odbiją zamek. Za słabi są na to, dziewczyno. To już nie te czasy, że wszyscy się ich bali. A twoja przyjaciółka czemu taka milcząca?

– Nie rozumie po węgiersku.

– Polka?

– Litwinka.

Istvan czknął.

– Litwini też dzikusy – odparł po chwili. – Czasami tu się pojawiali, aby ludzi brać w niewolę, a potem sprzedawać innowiercom. Kudłate sukinsyny, przepraszam za słowo.

– Teraz podlegają naszej królowej i królowi Władysławowi. Ochrzcili się.

– Wiem, wiem, młoda damo. Ale za stary jestem, aby wierzyć w ich przemianę. Wilki nałożyły owcze skóry, ot co. Ależ twoja przyjaciółka urodziwa. Tak jak i ty.

Amalia nie skomentowała tych słów, czując coraz większe obrzydzenie do tego cuchnącego winem prostaka. Mierziło ją, że musi być dla niego miła, ale nie miała wyboru, jeśli chciała pociągnąć go dzisiaj za język. Jutro opuszczali to miejsce i drogi ich obojga zapewne nigdy już się nie skrzyżują.

Znaleźli się wreszcie w piwnicach, gdzie cuchnęło stęchlizną, wilgocią i... czymś jeszcze. Czymś zwierzęcym. W nikłym blasku pochodni nie widać było ani sklepienia, ani tego, co znajdowało się wokół.

Dla Mildy ta nocna wyprawa stawała się z każdą chwilą coraz bardziej nieprzyjemna, choć lepszym określeniem byłoby chyba „niepokojąca”. Od samego początku nie zapowiadała się miło, to prawda, ale od jakiegoś czasu dziewczynka zaczynała czuć się dziwnie podenerwowana, coś uciskało ją w piersi, nie pozwalając swobodnie oddychać. Ta wędrówka trochę przypominała sen na jawie. Zdawało jej się, że słyszy odległe bicie bębnow – głucho i ponure. Pragnęła już tylko jak najprędzej wrócić na górę, otulić się futrem i zasnąć, jednak nie zapowiadało się na to, by miały stąd zaraz wracać.

Nie żeby bała się ciemności czy też lochów; w swoim niedługim życiu musiała stawiać czoło straszniejszym rzeczom i dawno pozbyła się dziecięcych lęków, tyle że miejsce, do którego prowadził je nieprzyjemny rycerz, otaczała jakaś złowroga aura i choć nie potrafiła tego wrażenia jasno określić, instynktownie wyczuwała, iż nie powinno jej tu być, że popełnia błąd, schodząc do tych lochów.

Tak, pomysły Amalii nie zawsze były, delikatnie rzecz ujmując, najlepsze, bo przyjaciółka często działała pod wpływem impulsu, przez co pakowała się w kłopoty. Ten należał właśnie do kategorii owych „nie najlepszych”. Tatara Milda nie była ciekawa w ogóle, w Wilnie napatrzyła się na tych stepowych wojowników. Wyglądali rzeczywiście dziwnie i obco na swoich małych, kudłatych konikach, z płaskimi twarzami i dzikimi oczami, ale do wszystkiego można przywyknąć. Przecież jej własny brat był synem tatarskiej branki.

A że czarownik?

Wielkie rzeczy. Mało to takich mieszkało na Litwie? W każdej wiosce mieszkał ktoś, kto miał kontakt z bogami. Czyż Gabeta, ciotka Iny, wzywająca po nocach duchy zwierząt w swojej zagubionej w leśnej głuszy chatce, nie była również czarownicą?

Właśnie.

Gabeta.

Dziwne, że o niej teraz pomyślała. A może wcale nie dziwne? Bo to wspomnienie akurat bardzo pasowało do odczuć, jakie ją ogarnęły w tej chwili. Nie było miłe, lecz cóż z tego, skoro samo się narzucało. Obrazy wypłynęły, pojawiły się jak bańki powietrza na powierzchni wody, a może raczej wypadałoby powiedzieć – bagna.

Milda w jednej chwili przypomniała sobie noc w litewskiej puszczy, chorą Inę, Gabetę kołyszącą się przy ogniu i dziwne cienie w chacie. Wtedy czuła się tak jak w tej chwili. Też miała wrażenie, że śpi, że czas zwolnił albo raczej się rozciągnął, a wszystko wokół otoczyła ta aura. Nie chciała tego wspominać i przez ostatnie lata wolała trzymać niepokojące obrazy z dala od swojego umysłu, zresztą tyle się potem wydarzyło, iż nie musiała aż tak bardzo się starać.

Ale teraz...

Aż się wzdrygnęła, ale Amalia, zajęta rozmową z Istvanem, tego nie zauważyła. Byli w jakimś korytarzu, po którego obu stronach widać było

zakratowane drzwi, zapewne prowadziły do więziennych cel.

Z jednej z nich wydobywała się czerwona poświata.

Zanim jeszcze zbliżyła się do kraty, przy której stał już z pochodnią Istvan, mówiący coś po węgiersku do Amalii, poczuła niezwykłą moc wydobywającą się z tego miejsca. Ta moc aż zatykała jej oddech. Nie była związana z owym dziwnym blaskiem, ten pochodził z kosza z żarzącym się węglem, który stanowił jedyne ogrzewanie małej celi. Kiedy oczy Mildy przyzwyczyły się do nowego światła, ujrzała jakiś szary kształt w kącie pomieszczenia. Przypominał zwierzę, co podkreślał ostry zapach, a raczej smród wydobywający się z tego miejsca. To był jednak człowiek. Opatulony w futro wyłożone włosami na wierzch, z gołą głową, siedział na małym sienniku i mrucał monotonicznie coś, co przypominało modlitwę, przemieszana z wyższymi dźwiękami, jakby ktoś pojękiwał.

Milda przyjrzała mu się uważniej. Serce biło jej mocno. Półmrok nie pozwalał dostrzec wszystkich szczegółów, lecz zobaczyła nieruchomą jak maska, mroczną twarz o wydatnych kościach policzkowych i skośnych oczach, prawie pozbawioną nosa, z cieniem zarostu – jakby cienkimi wąsami i krótką bródką – raczej się ich domyślała na podstawie tego, co widywała kiedyś u Tatarów, niż rzeczywiście je widziała. Wiek mężczyzny pozostawał dla niej zagadką, ale coś mówiło Mildzie, że jest on stary. Bardzo stary. Nawet starszy niż... to możliwe. Jakkolwiek dziwacznie by to nie brzmiało.

Prócz siennika, trójnogu i kubła na nieczystości w celi nie było żadnych innych sprzętów, tylko na środku majaczyło coś, co przy dokładniejszym spojrzeniu okazało się miską z jedzeniem, pozostawioną tam przez strażników, jak dla psa. Bo więzień nie był teraz dla nich niczym więcej niż dziką bestią, pojmaną i trzymaną w klatce. Atmosfera nieszczęścia i grozy była wręcz namacalna i Milda poczuła, że dłużej tu nie wytrzyma. Chciała odejść i już zrobiła pierwszy ruch, gdy niespodziewanie Tatar umilkł i na nią spojrział.

Zamarła.

Jakaś część jej umysłu wiedziała, co się zaraz stanie.

Mężczyzna ciężko podniósł się z siennika, nagle wydał się bardzo duży. Amalia instynktownie cofnęła się o krok, lecz Milda stała jak zaklęta. Bo rzeczywiście była zaklęta. Tatar zbliżył się do nich, brzęcząc łańcuchem przymocowanym do nogi – teraz widziała jego twarz o wiele wyraźniej, wciąż jednak nie potrafiła odgadnąć wieku szamana.

Co najgorsze, Tatar wpatrywał się tylko w Litwinkę, jakby w ogóle nie dostrzegał obecności Amalii ani Istvana, który warczał na niego po węgiersku.

– Khongor mini – wyszeptał, patrząc wprost na Mildę, a jego oczy przypominały dwa ciemne tunele prowadzące do środka ziemi.

– Tand beleg baina...

– Co on powiedział? – zapytała słabym głosem Amalia.

Lecz Milda jej nie słyszała.

– Tand beleg baina...

Znów odgłos bębnów. A może to tylko jej dudniło w głowie?

Poczuła, że ciemność się rozplywa, a wilgotne mury znikają, pozostawiając ją jakby zawieszoną w pustce, gdzie pojęcia takie jak góra czy dół traciły sens. Unosiła się w przestrzeni, nienależącej już do świata, który znała, w jakiejś duchowej sferze, wytworzonej przez przypominającego diabła więźnia.

Dała się uprowadzić jego umysłowi. Nie miała na to wpływu.

Chwilę potem stało się coś jeszcze dziwniejszego: uświadomiła sobie, że stoi na środku wielkiego, pofałdowanego stepu pod jaskrawym niebem, pod Wielkim Niebem, które jest bogiem i stwórcycalem wszystkiego – ludzi, zwierząt i duchów. Stoi tak, czując na twarzy podmuch wiatru, zapach rozgrzanych ziół. Dochodziły też do niej intensywne zmieszane wonie dymu z ogniska i gotowanej baraniny. Rozejrzała się i ujrzała dziwne, półokrągłe namioty i chodzące wokół nich owce. Im bardziej się skupiała, tym więcej docierało do niej szczegółów: rozpięte na żerdziach wyprawione skóry, miedziane kotły, zagroda dla zwierząt. Wizja była tak wyrazista, że nie przypominała snów z ich zwykle rozmazanymi konturami i dziwacznymi dodatkami. Zobaczyła młodych, nagich do pasa chłopców ujeżdżających na oklep chude koniki pośród śmiechu i pokrzykiwań. Znała nawet imiona jeźdźców: Jeke, Sorkan, Dzebe.

Czuła się z nimi tak blisko, jakby byli jej braćmi.

Lecz nie byli jej braćmi. To bracia szamana, z czasów jego dzieciństwa. Jakaś część jej umysłu wiedziała o tym, nie wiadomo skąd, po prostu wiedziała, jakby Milda dotarła do najgłębszych wspomnień więźnia – to on ją tam poprowadził. I nagle zrozumiała jego język, wiedziała już, co jej przed chwilą powiedział.

Obrazy następowały po sobie w obłądnym tempie: piękna twarz kobiety z czarnymi warkoczykami, o której Milda wiedziała, że ma na imię Orbaj i była młodzieńczą miłością więźnia, widok kołującego na niebie jastrzębia, przeprawa tatarskiego tumenu przez górską rzekę, pokryty śniegiem step, białe szczyty na horyzoncie.

A potem wszystko zakrył cień, cały świat pograżył się w mroku i Milda zdała sobie sprawę, że stary Tatar powoli umiera, że śmierć już po niego idzie.

Spojrzała w górę i...

I znów była przed celą, a Amalia potrząsała nią gwałtownie.

– Mildo! Co z tobą?

Pokręciła głową.

– Już... dobrze. Zrobiło mi się słabo. Chodźmy stąd.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mój Boże! – zawołała Amalia, przyjrzawszy się przyjaciółce w świetle pochodni. – Krew ci leci z nosa.

– Co? – Milda machinalnie potarła grzbietem dłoni miejsce nad górną wargą.

– Rzeczywiście... – stwierdziła po chwili. Pomiedzy kciukiem a nadgarstkiem widniała czerwona smuga. – To nic.

– Jak to nic? – zdziwiła się Amalia.

– Zakręciło mi się w głowie. Zaraz przejdzie.

– Jesteś blada jak śmierć. I przez moment stałaś jak skamieniała!

Przez moment? To ciekawe, bo Mildzie wydawało się, że jej dziwna podróż w czasie i przestrzeni trwała przynajmniej kilka minut albo i dłużej. Może nawet całe lata, kto wie? Wyglądało jednak na to, iż w tym świecie upłynęła zaledwie chwila. W tej właśnie chwili Milda zdążyła odwiedzić dziesiątki odległych miejsc, zajrzeć do wspomnień szamana i powrócić do swego ciała. Czy coś takiego w ogóle jest możliwe?

Część jej, ta bardziej racjonalna, nie potrafiła albo nie chciała w to uwierzyć, lecz w głębi duszy Milda już od dawna przecież przypuszczała, że taki moment kiedyś nadejdzie. Wskazywały na to wszystkie znaki na niebie i ziemi. Czekala na niego z obawą i ciekawością, trudno zatem powiedzieć, aby była całkowicie zaskoczona. Zdumiała ją najwyżej siła tego doświadczenia. Jakby została rzucona na pastwę żywiołu.

Serce wciąż waliło jej mocno, bardzo mocno. Milda bała się, że zaraz wymiotuje, z trudem przełykała gorzką ślinę. Zamknęła oczy.

– Co z tobą? – coraz bardziej niepokoiła się Amalia.

– Muszę gdzieś usiąść – wyszeptała Milda.

Istvan, zdumiony nieco tym wszystkim, zaprowadził dziewczyny do ciasnej izby strażniczej, gdzie dwóch brodatych mężczyzn grało właśnie w kości przy świetle tkwiącego w żelaznym uchwycie łuczywa. Kapitan kazał im się wynosić, po czym posadził dwórki przy stole, obok okienka wychodzącego prawdopodobnie na bramę.

– Dajcie wody – poprosiła Amalia.

– Wody? – zdumiał się Węgier. – To dobre dla zwierząt w oborze, dziewczucha potrzebuje czegoś mocniejszego. Zobaczysz, od razu wróci jej życie.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do półki przy wejściu, po czym wrócił z dzbanem i trzema kubkami.

– Gdybym wiedział, że takie jesteście wrażliwe – mruknął – tobym was, dziewczęta, nie zabierał do lochu. Co prawda od tego pogańskiego smrodu samemu chce mi się czasami rzygać, ale...

– Bądźcie już cicho, proszę.

Amalia naląła przyjaciółce. Milda chwyciła kubek drżącą dłonią i wychyliła zawartość duszkiem. Zakrztusiła się i przez moment nie mogła zaczerpnąć tchu, z oczu popłynęły jej łzy. Kiedy wszystko wróciło do normy, przetarła twarz dłonią i złapała głęboki oddech.

– Lepiej?

Milda przytaknęła.

– Przepraszam, że cię w to wciągnęłam – rzekła Amalia, która straciła już ochotę na wypytywanie kapitana.

– To nie twoja wina.

– Chyba jednak moja – odparła kwaśno przyjaciółka, nalewając również sobie. Kapitan sam się już obsłużył i teraz usadowił się na ławie obok okna.

– Jak zwykle zresztą. Co on ci właściwie powiedział?

– Nie wiem – skłamała Milda. – Coś po tatarsku.

Nie zamierzała teraz tłumaczyć całego tego szaleństwa. Może później, o ile w ogóle się na to zdecyduje. Nie chciała być uważana przez Amalię za osobę niespełna rozumu albo przesadną poganę.

– Rzucił na ciebie zaklęcie?

O, żebyś wiedziała, pomyślała Litwinka. Rzucił. Ale nie za pomocą słów. To, co powiedział, było tylko informacją. Krótką i treściwą, bo Tatar nie bawił się w formalne uprzejmości.

Przekazał Mildzie, że ta posiada dar.

Nie rozumiała, rzecz jasna, jego języka, ale na tym poziomie komunikacji nie stanowiło to żadnej bariery, wyczytała przecież wszystko wprost z jego umysłu. Rozpoznał w niej pokrewną duszę, jakkolwiek osobliwie by to brzmiało. Bo co krakowska dwórka mogła mieć wspólnego z tatarskim szamanem, który wyglądał i śmierdział jak sam diabeł z kazania ojca Alberta? A jednak. Jak się okazało, było coś takiego. Obydwoje posiadali dar widzenia rzeczy dla innych ukrytych. Tatar miał ten zmysł o wiele bardziej rozwinięty niż Milda, to nie ulegało wątpliwości, ćwiczył go zapewne poprzez całe swoje długie życie – poszcząc, pijąc specjalne wywary, żując tajemnicze korzonki i wprawiając się w dziwny stan za pomocą monotonnego śpiewu oraz uderzania w bębny. W porównaniu z nim była niczym iskierka obok ogniska, lecz to, co posiadała, najwidoczniej w zupełności wystarczyło, by Tatar natychmiast ją rozpoznał i – co więcej – nawiązał kontakt.

Tak wiele dróg i ścieżek prowadziło do tego miejsca, niektóre porosły chwastami, o innych dawno zapomniała albo raczej chciała zapomnieć, teraz jednak wszystkie one objawiły jej się z całą okrutną wyrazistością.

Mała Milda, która zawsze była „inna”. Nawiedzały ją przeczucia i, jak to nazywała jej matka, przebłyski. Miała sześć lat, gdy ujrzała we śnie Olega, syna kowala. Miał nieruchomą twarz pokrytą tłustymi robakami. Zapłakana opowiedziała o tym rodzicom, a ci przekonywali ją, że sny są nieprawdziwe i że musi przestać o nich myśleć, bo jest już dużą dziewczynką. Nie przestała, aż do wieczora, gdy okazało się, że podczas wichury Olega przygniotło drzewo w lesie. Zginął na miejscu. Od tego momentu ojciec i matka nieco inaczej patrzyli na jej sny. Niby to swobodnym tonem co rano wypytywali, czy nie miała jakichś koszmarów.

Ale podobny przebłysk już się nie powtórzył. Pojawiały się za to inne. Zawsze jakoś wiedziała wcześniej, kiedy w wiosce miał się pojawić kupiec – nie było to związane z żadnymi obrazami, po prostu czuła to, choć nie potrafiła wytłumaczyć jak. Coś jakby mrowienie z tyłu głowy, lecz dlaczego miało to oznaczać akurat wizytę łysego kupca? – tego nie wiedziała. Widywała też różne barwy otaczające ludzi; coś, co przypominało poświatę wokół ich głów i całych postaci. Kolory bywały czasami wyraźne i nasycone, innym razem zaś przybrudzone i ciemne. Szybko odkryła, że „brudne” kolory pojawiają się wokół osób złych, a blade, niemal białe, towarzyszą chorym i umierającym. Im ktoś był

blizszy śmierci, tym jego światło stawało się bledsze. A gdy stawało się już szaroniebieskie, z migającymi w środku srebrnymi iskierkami, znaczyło to, że człowiek umiera. Widywała często taką poświatę u chorych, których odwiedzała z Iną, a potem u niej samej. Światło młodej kobiety stopniowo gasło, a kiedy Milda zauważyła te migające srebrne iskierki, chwilę później Ina nie żyła.

Zawsze wiedziała, gdzie znajduje się zagubiona rzecz czy też dziecko, które zabłądziło w lesie. To były drobne sprawy, niegroźne wizje, można by je uznać za zwykłą intuicję, nic więcej. Wszyscy w wiosce przyzwyczaili się do tego, więc siłą rzeczy i Milda przestała traktować swoje zdolności jako coś wyróżniającego ją spośród innych. Przywykła. Byłaby zupełnie przeszła do porządku dziennego nad swoimi zdolnościami, gdyby nie wizyta u ciotki Gabety.

Tak, przez ostatnie lata wmawiała sobie, że to, co wtedy ujrzała, było jedynie przywidzeniem, spowodowanym lękiem, dziwną aurą, zmęczeniem, być może ziołami, które ciotka wrzucała do ogniska. Nie chciała wracać myślami do tamtej nocy, ukryła wspomnienia bardzo głęboko, tyle że wciąż w niej tkwiły, gdzieś na pograniczu umysłu. I teraz wypłynęły.

Nie miała wtedy zwidów. Postaci, widziane w chacie, były realne. A ona, Milda, najwyraźniej okazała się jedną z tych nielicznych osób, które potrafią je dostrzec.

Tego wszystkiego było teraz dla niej za dużo, musiała to sobie uporządkować w głowie. Nie chciała takiego daru, pragnęła normalności, a nie przerażających podróży po niezbadanych światach i odrzucenia przez innych ludzi, a tym samym samotności. Oby to więcej się nie powtórzyło, myślała. Bo co, jeśli kiedyś znów porwie ją żywioł, niczym rozszalałe morze, i zabierze gdzieś tak daleko, że nie będzie mogła powrócić do samej siebie?

I dlaczego, skoro podobno jest tak potężnie obdarzona przez los, bóstwa czy też chrześcijańskiego Boga, nie przewidziała tragedii, jaka dotknęła jej rodzinną wioskę, nie dostrzegła żadnych znaków? Żadnego mrowienia w tyle głowy, żadnych snów.

Tyle pytań, tak mało odpowiedzi.

- Wracamy na górę? – spytała z troską w głosie Amalia.
- Miałaś się czegoś dowiedzieć o ojcu.
- To teraz nieważne.

– Ważne. Jeśli nie zapytasz, wszystko to dzisiaj okaże się niepotrzebne. Masz zapytać tego wieprza o swoją rodzinę, rozumiesz?

Amalia uległa przyjaciółce.

I zapytała.

Było już dobrze po północy, kiedy wreszcie położyły się spać, każda ze swoją pilnie strzeżoną tajemnicą. Leżały obok siebie, na zwykłych siennikach, okryte futrami, a na zewnątrz i wewnątrz zamku huczał wiatr. Wilki nie podeszły pod mury, aby odśpiewać im na dobranoc swą mroczną pieśń, jakby uznały, że obie dziewczyny miały już dość niesamowitości i grozy jak na jeden wieczór.

– Śpisz? – mruknęła Amalia.

– Nie. A ty?

– Ja też nie. Nie mogę zasnąć.

– To tak jak ja.

– Coś mnie chyba pogryzło w pięty – rzekła Węgierka.

– Pluskwy?

– Być może.

Podczas tej wyprawy nie raz już musiały walczyć z robactwem, bo nocowano w różnych miejscach, rzadko komfortowych.

– I co ci powiedział? – po chwili ciszy spytała Milda.

– Kapitan?

– No a kto?

Amalia westchnęła.

– Ach, nic ciekawego. Za bardzo był pijany.

Ton przyjaciółki wydał się Mildzie podejrzenie beztroski, lecz uznała, że nie będzie naciskać. Jeśli tamta poczuje, że chce jej się zwierzyć, zrobi to bez namawiania. Każdy ma swoje sekrety, kto jak kto, ale Milda doskonale o tym wiedziała.

– No tak – odparła. – Niezbyt wiarygodny człowiek.

– Pijak i kłamca. Szkoda o nim rozmawiać. Słuchaj, ciągle nie daje mi spokoju, w jakich warunkach trzymają tego Tatara. To przecież nie po chrześcijańsku.

– A co to znaczy po chrześcijańsku? – spytała tamta.

– Z miłosierdziem.

Milda uniosła się na łokciu.

– Powiem ci coś, moja droga – oznajmiła szeptem – coś, nad czym już od dawna się zastanawiałam i co muszę wreszcie komuś wyjawić. To znaczy nie komuś, tylko tobie. Otóż jestem tu od niedawna, zaledwie od roku, ale zdążyłam zauważyć, że to chrześcijańskie miłosierdzie, o którym mówisz, można znaleźć głównie w księgach i w ustach księży. Na pewno nie na królewskich dworach.

– Nie wydaje mi się... – niepewnie odparła Amalia.

– Przemoc i okrucieństwo są tutaj takie same jak u pogan, tyle że próbuje się nadać temu inną, wznioślejszą formę. Popatrz na babkę Jadwigi, Elżbietę. Opowiadałaś mi o niej – jaka to była religijna, szlachetna i dobra.

– Bo była! – Amalia podniosła głos, czując, że musi bronić honoru rodziny Hedwig, ale nie tylko, także świata, w którym się wychowała, swojego dziedzictwa.

– Ciszej, bo obudzisz wszystkich – upomniała ją Milda, po czym ciągnęła: – Tak, była dobra, bo fundowała klasztory i kolekcjonowała relikwie.

– Nie tylko. – Amalia ściszyła głos, ale nadal brzmiała w nim nuta urazy.

– Ale popatrz, co zrobiła dwórcę, tej pięknej Klarze, dziewczynie prawdopodobnie całkiem niewinnej. Jak mówią, to właśnie ona sama wepchnęła ją do łożnicy Kazimierza. Takiego wymyślnego okrucieństwa, którego się później dopuściła, mógłby jej pozazdrościć wódz Hunów. W porównaniu z losem Klary nieszczęście tego Tatara wydaje się dużo mniejsze.

Amalia nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, więc milczała, odrobinę zakłopotana. Jej towarzyszka przemawiała nie jak trzynastolatka, lecz jak ktoś dorosły, a co najgorsze, Amalia nie potrafiła znaleźć żadnych sensownych argumentów.

– Codziennie gdzieś w tej chrześcijańskiej Europie pali się ludzi na stosach, łamie kołem, rozrywa końmi, oślepia – mówiła bezlitośnie Milda.

– A dobroczynność władców? Dobrze sobie. Jeśli masz tyle pieniędzy, że resztki z obiadu wynosisz psom, to parę groszy rzuconych biedakom jest raczej niską opłatą za wejście do rajy. Tanim kosztem można się poczuć szlachetnym.

– Nieprawda. Jadwiga wspomaga cały szpital dla biednych.

– Jaki to koszt w porównaniu z tym, co wydaje się na zabawy, maskarady i turnieje rycerskie? Prawdziwe miłosierdzie jest wtedy, kiedy się pomaga, samemu mając niewiele, prawda?

– Zbyt surowo sądzisz ludzi. Ojciec Albert mówi, że człowiek jest istotą niedoskonałą. Ale my, chrześcijanie, mamy przynajmniej ideał, do którego chcemy dążyć. A co mają poganie?

– Ideał, powiadasz? Poganie też je mają.

– No właśnie.

– Dlatego uważam, że miłosierdzie oraz ideały są tylko w księgach. W prawdziwym życiu ludzie zachowują się inaczej.

Nastała cisza.

– Hedwig nigdy by nie postąpiła tak jak jej babka... – mruknęła po chwili Amalia.

– Wiem. Ona jest wyjątkowa.

– Dlatego jutro wspomnę jej o tym biednym poganinie.

– Za późno – odparła smutno Milda. – On umiera, Amalio.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

Przez jakiś czas leżały w milczeniu, wsłuchane w wycie wiatru, który pośród tych bezkresnych pól wydawał się prawdziwym władcą Rusi.

– Mildo? – odezwała się jeszcze raz Amalia.

– Tak?

– Dziękuję, że zwierzyłaś mi się ze swoich przemyśleń. Ale... raczej nie dziel się nimi z kimś innym.

– Przecież wiem. – Przyjaciółka zaśmiała się cicho. – Nie jestem taka głupia, żeby narażać się na ekskomunię. Powiedziałam tobie, bo prócz brata jesteś teraz najbliższą mi osobą.

– Ty dla mnie też jesteś najważniejsza. Wiesz co? Mam pomysł.

– Oby z tych lepszych.

– Najlepszy.

– No to mów. Bo zapowiada się na coś ważnego.

– Bo to jest ważne. – Tym razem to Amalia uniosła się na posłaniu. – Obiecujmy sobie teraz, że nigdy nie zdradzimy nikomu swoich sekretów i cokolwiek by się działo, zawsze, ale to zawsze będziemy się wspierać i nigdy nie zostawimy tej drugiej w potrzebie. Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Ja też.

W ciemności odnalazły swoje dłonie i uściśniły je mocno. Trzymając się za ręce, w końcu zapadły w sen.

O świcie już nie wiało, padał tylko lekki, puszysty śnieg, osiadający na zbrojach rycerzy, grzbietach koni i futrach dwórek, gdy na dziedzińcu trwały przygotowania do wyjazdu. Dowódca zamku, Istvan Orban, asystował Polakom, póki wszyscy nie siedzieli już w siodłach. Był wyraźnie chory po wczorajszym pijaństwie: miał przekrwione oczy i ciągle się krzywił. Kiedy królowa się z nim pożegnała, podszedł jeszcze do Amalii i Mildy, które mościły sobie miejsca w krytych saniach.

– Pogański pies zdechł tej nocy – oświadczył pogodnie. – Wygląda na to, że wasza wizyta nie wyszła mu na zdrowie.

Amalia spojrzała najpierw na niego, później na Mildę, która, sądząc po jej minie, od razu zrozumiała, co się stało, i przyjęła to jako oczywistość.

– Mała strata – podsumował kapitan. – Tylko gdzie ja znajdę jakiegoś medyka?

Zadumał się, po czym rzekł:

– Aha, jeszcze jedna sprawa, młoda przyjaciółko.

Nachylił się nad Amalią, wsparty ciężko o poręcz sań, tak nisko, że poczuła kwaśny zapach jego oddechu.

– Wczoraj mogłem nawygadywać jakichś bzdur, bo, wiadomo, trochę dużo było wina, no i w ogóle. Zapomnij o tym, dobrze?

– Dobrze – odparła.

Lecz nie miała zamiaru niczego zapominać.

Prawdę mówiąc, kapitan zbyt wiele jej nie powiedział, chełpił się raczej swoją wojenną przeszłością, dużo mówił o dzielności jej ojca, znakomitego kompana i wojownika. Jednak wymknęło mu się coś jeszcze, czemu potem stanowczo zaprzeczał, stanowczo, tyle że zupełnie nieprzekonująco.

Podobno ojciec Amalii po pijanemu zwierzył się kiedyś przy ognisku swoim towarzyszom, że ona nie jest jego córką, a całe to małżeństwo zostało zaaranżowane, żeby ów fakt zatuszować.

W końcu wyruszyli. Minęli zamkową bramę, po czym wyjechali w białą pustą przestrzeń. Czekala ich długa podróż i dziewczyna miała dużo czasu

na przemyslenia.



Część piąta
ANIOŁ ŚMIERCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kraków, rok 1390

Jesteś pewna, że to był właśnie on?

– Całkowicie.

– Przecież wszyscy ci Krzyżacy wyglądają tak samo.

– Być może. Ale tego poznałabym na końcu świata. Jego rudą brodę i szramę na twarzy. No i jeszcze spojrzenie.

– Jakie spojrzenie?

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Okrutne i zimne, a jednocześnie jakby rozbawione – odparła Milda.

Była aż blada ze zdenerwowania, oddychała szybko, idąc obok Amalii poprzez błoto, słomę i śmieci kazimierzowskiej ulicy. Musiały unosić rąbki sukien, aby ich nie pobrudzić, ale zdawało się, że Litwinka robi to teraz bardziej z przyzwyczajenia, niezbyt dbając o czystość stroju. Miały już po szesnaście lat i obie wyglądały prześlicznie w zielonych sukniach i narzuconych na nie krótkich pelerynkach lamowanych jedwabistym futrem. Ich włosy, Amalii czarne, Mildy jasne, zaplecione w warkocze i ułożone w zgrabne zwoje nad uszami, przytrzymywały poślacane siatki. Dziewczęta stanowiły prawdziwą ozdobę dworu Jadwigi, a przy tym były najlepszymi przyjaciółkami i niemal się ze sobą nie rozstawały.

Królowa żartobliwie nazywała je swoimi liliami. Równie cennymi jak te z herbu dynastii Andegawenów, wyhaftowane na większości jej sukien i płaszczy.

– Myślisz, że on też cię rozpoznał? – spytała Amalia.

– Nie sądzę. Kiedy mnie widział ostatnio, miałam osiem lat i mieszkałam w zapadłej wiosce daleko stąd. Raczej nie spodziewa się mnie tutaj, na dworze polskiego króla.

– Racja.

– W dodatku pewnie nie pamięta tamtej zbrodni ani twarzy swoich ofiar. Dla niego wszyscy, których zabił lub choćby usiłował zabić, na pewno wyglądają tak samo. Nie sędzę, żeby zapamiętał choć jedną z tych osób.

Amalia bardzo dobrze знаła historię życia Mildy i jej tragiczne przejścia, gdy Krzyżacy napadli na rodzinną wioskę dziewczyny podczas wesela siostry. Przez tych kilka lat, jakie upłynęły od przyjazdu Litwinki na dwór królewski, zdążyła wysłuchać tej opowieści wiele razy, zawsze tak samo wzburzona i przerażona. Pierwszy raz podczas wspólnej wyprawy z królową na Ruś, potem, w miarę jak Milda poznawała coraz lepiej język polski, dodawała szczegóły, których wcześniej nie potrafiła opisać.

Na dworze w Budzie o Krzyżakach mówiono tylko dobrze, jako o szlachetnych obrońcach wiary, a sam król Ludwik był wielkim przyjacielem Zakonu, dlatego Amalii początkowo trudno było uwierzyć, że mogli się zachowywać jak banda pospolitych morderców. Zabijać kobiety i dzieci? W trakcie wesela? Nie, to nie mieściło się w głowie. Teraz, gdy król Władysław prowadził wojnę z Krzyżakami, dla nikogo nie było tajemnicą, jakiego rodzaju są to ludzie, lecz na początku Węgierka przeżyła prawdziwy szok.

– Gdybym mogła, wydrapałabym mu oczy – szepnęła Milda, patrząc pod nogi, wciąż zdenerwowana wspomnieniami. – Ale skamieniałam ze strachu.

Do nieoczekiwanego spotkania doszło kilka godzin wcześniej tego samego kwietniowego dnia, na Wawelu. Do królowej Jadwigi przybyło poselstwo krzyżackie, próbujące zapewne wpłynąć na Andegawenkę w sprawie wojny, jaką Jagiełło toczył na Litwie z Zakonem. Wiedząc, że władczyni jest córką tak kiedyś przyjaznego im króla Ludwika Wielkiego, myśleli zapewne, że będzie im bardziej przychylna niż Władysław i w jakiś sposób udobrucha męża. W skład poselstwa wchodziło kilku zbrojnych oraz paru duchownych.

Między nimi znalazł się on.

Czerwony Diabeł. Johann Rist.

Milda wiedziała już od Varnasa, jak go zwano. Diabeł. O tak, lepszego określenia sama nie umiałaby znaleźć. Zauważyła tego mordercę na dziedzińcu, kiedy zeskakiwał z potężnego konia. Jej uwagę najpierw zwrócił chrząst zbroi i głucho łupnięcie o ziemię, a potem wyłaniająca się spod hełmu potargana ruda broda i twarz przecięta blizną. Krzyżak spojrzał na Mildę z chłodnym zainteresowaniem – prawie jak siedem lat wcześniej,

na brzegu litewskiego lasu – teraz zapewne doceniając urodę młodej dwórki. Powiedział coś po niemiecku, lecz ona nie odpowiedziała. Po prostu nie mogła złapać tchu. Jakby ktoś rzucił na nią urok. Rycerz nie przejął się zbytnio jej przestraszaniem, tylko oddał wierzchowca giermkowi, a potem dał się zaprowadzić do sali królewskiej, gdzie czekała już Jadwiga w otoczeniu krakowskich panów.

– No i co zamierzasz z tym zrobić? – ostrożnie spytała Amalia.

Mijały teraz stajnie, skąd dochodziły zmieszane wonie siana, dziegiu oraz końskiego nawozu.

– Chciałabym go zabić.

– Przestań.

– Naprawdę. Nie może stąd wyjechać żywy.

– Przecież wiesz, że tego nie zrobisz.

– Dlaczego nie?

– Chcesz zamordować posła na krakowskim dworze?

– Kto powiedział, że na dworze?

– Przerażasz mnie.

– Gdyby tylko był tutaj Varnas...

Amalia pomyślała, że może to i dobrze, że brata Mildy nie było teraz w Krakowie, gdyż towarzyszył królowi na Litwie.

– Młode damy! – usłyszały ostry głos cioteczki Krystyny, która szła przed nimi, a teraz obróciła w ich stronę głowę w rogatym czepcu. – Nie garbić się i nie szeptać, proszę. Jesteście w orszaku królowej, a nie na pastwisku!

Spuściły skromnie oczy i przez jakiś czas szły w milczeniu niczym przykładowe mniszki spacerujące po terenie klauzuli.

– Ją też bym udusiła – syknęła wreszcie Milda, patrząc na Krystynę z wymuszonym uśmiechem.

– Oho, ale się rozpędziłaś – odparła Amalia.

– Ona mnie nienawidzi.

– Ciszej.

Rozmawiały, jak zawsze, po polsku, bo już od kilku lat jedynie w tym języku można się było porozumiewać w otoczeniu królowej. Amalia mówiła już tak, jakby od urodzenia mieszkała w Krakowie. Ta nowa umiejętność pozwoliła dziewczynie na swobodne pogawędki z ukochanym Szymkiem.

Miała nadzieję dzisiaj go zobaczyć. Dawny pomocnik scholastyka Andrzeja uczęszczał teraz do szkoły w Kazimierzu, kształć się na skrybę. Był już uczniem tercji, ćwiczył się w gramatyce łacińskiej i czytywał dzieła Hezjoda. Opłacała jego naukę sama królowa, więc scholastyk – choć jak zawsze skwaszony – nie mógł zaprotestować, tym bardziej że chłopak okazał się pojętny i pracowity. Wprawdzie z powodu szkolnych obowiązków oraz miejsca zamieszkania Szymka Amalia nie mogła się z nim widywać tak często jak na początku ich znajomości, była jednak niesamowicie z niego dumna. Kochała go, on kochał ją, czegoż więcej było jej trzeba?

A przed studentami właśnie się otwierały wspaniałe perspektywy.

Na ten ciepły wiosenny dzień królowa zaplanowała wizytę w podkrakowskim Kazimierzu, zwanym też Nova Cracovia. Chciała osobiście sprawdzić, na jakim etapie są prace mające na celu przywrócenie działalności uniwersytetu, założonego jeszcze przez jej znakomitego, tak wychwalanego tutaj przodka, króla Kazimierza, od którego imienia nazywano nowe miasto.

Między murami a kościołem Świętego Wawrzyńca pobudowano wtedy domy, izby i lektoria na mieszkania oraz miejsca wykładów dla doktorów i magistrów nowego uniwersytetu. Studium Generale miało być wzorowane na uczelni bolońskiej. Plany były wielkie i ambitne, niestety, projekt upadł wraz ze śmiercią ostatniego Piasta i nikt później nie był nim zainteresowany, ani ojciec Jadwigi, Ludwik, który objął polski tron bezpośrednio po Kazimierzu, ani jego matka, Elżbieta Łokietkówna, przez dłuższy czas sprawująca de facto władzę w Krakowie.

Dopiero teraz, w tym roku, pojawiły się plany wznowienia owego ambitnego projektu, przedstawił je królewskiej parze Piotr Wysz, znamienity prawnik, który studiował w Pradze i Padwie, teraz wspierany w swych zamierzeniach przez Jana Radlicę, byłego lekarza króla Ludwika, a także Bartłomieja z Jasła, Mikołaja z Gorzkowa i Stanisława ze Skalbmierza.

Król Władysław, mający na głowie zupełnie inne sprawy, głównie wojenne, odniósł się do tego pomysłu bez entuzjazmu, Jadwiga jednak

poczuła, że jest to misja w sam raz na miarę jej ambicji. Natychmiast zapragnęła wznowić prace i kontynuować dzieło brata swojej babki. Jako osoba wykształcona marzyła o uniwersytecie w mieście, w którym przyszło jej teraz mieszkać i rządzić, a które, niestety, pod względem oświaty odstawało od zachodniej Europy. Młodzi musieli wyjeżdżać na naukę za granicę, najczęściej do Pragi lub Heidelbergu, a wielu z nich już nie wracało do Polski. Duchowni rzadko potrafili czytać i pisać, tak więc przeważnie nie rozumieli Pisma Świętego – to bezdyskusyjnie należało zmienić.

Na wyobraźnię Jadwigi podziały też opowieści Piotra Wysza o francuskiej królowej Joannie, żonie Filipa Pięknego, która ufundowała kolegium nawarskie, gdzie mogła się kształcić uboższa młodzież, nieposiadająca wystarczających środków, by studiować na słynnej Sorbonie. Bez wątpienia sprytny prawnik wiedział, jak pobudzić ambicje młodej monarchini, która szczególnie teraz – po wszystkich tych paskudnych obmowach ze strony Austriaków i Zakonu – marzyła, by oczyścić swoje imię i stanąć w jednym szeregu z największymi chrześcijańskimi władczyniami.

Jako patronka oświaty mogła rozpocząć nowy okres swych rządów.

Przygotowywano już pismo do papieża z prośbą o pozwolenie na otwarcie wydziału teologicznego. Nie było łatwo, bo owemu pomysłowi sprzeciwiali się krakowscy dominikanie, prócz tego przyszłej uczelni brakowało gmachu, wykładowców, a przede wszystkim pieniędzy, jednakże Jadwiga się uparła. Tak jak jej mąż walczył twardo z Krzyżakami, tak ona postanowiła nie poddawać się żadnym przeciwnościom.

Wizyta królowej wywołała wśród mieszkańców Kazimierza oczywiste poruszenie. Okna górnych kamienic oraz strychów wypełnione były zaciekawionymi ludźmi. Po obu stronach głównej ulicy tłoczyli się ogorzali robotnicy w parcianych koszulach, z ciemnymi plamami od potu pod pachami i na plecach, dziewczki służebne w szarych spódnicach i białych czepkach, a obok nich rajcy w czarnych beretach przystrojonych piórami, obwieszeni złotymi łańcuchami, a także ich małżonki w jedwabnych sukniach i gustownych pelerynkach. Wszyscy przyglądali się z zachwytem

jadącej na białej klaczy szesnastoletniej królowej, którą pamiętano jeszcze jako dziecko, a która teraz tak bardzo przyczyniała się do rozwoju miasta.

Większość domów zbudowanych przez króla Kazimierza dla uniwersytetu zamieszkała była obecnie przez zwykłych obywateli miasta i tylko w jednym z nich panował bardziej ożywiony ruch. Młodzi żacy w różnokolorowych strojach wnosili do środka całe stosy ksiąg i jakieś tajemnicze przyrządy.

– Patrz, to chyba Szymek! – Amalia trąciła łokciem Mildę. – Tak, to on!

Chłopak w obcisłych spodniach i czerwonej tunice, przewiązanej pasem i narzuconej na koszulę, przystanął zaskoczony na widok małego orszaku zmierzającego w stronę domu. Odrzucił kaptur i pochylił się w głębokim pokłonie przed królową. Miękkie loki okalały jego bladą, szczupłą twarz. Był o wiele wyższy i chudszy niż wtedy, gdy Amalia widziała go po raz ostatni.

– Witaj, Szymku – odezwała się Jadwiga z wysokości siodła. – Miło cię tu widzieć. Jak nauka?

Szymek chętnie odpowiedziałby, że to, co teraz robi, niewiele ma wspólnego z nauką, ale w obecności królowej nie wypadało mu tego uczynić.

Uklonił się tylko jeszcze niżej.

– Dziękuję, Miłościwa Pani. Dobrze.

– Prowadź nas zatem do twojego mistrza. – Królowa uśmiechnęła się lekko, jakby odgadła jego myśli. – Musi mi zdać szczegółowe sprawozdanie z prac, które mu zleciłam.

Giermek pomógł Jadwidze zejść z konia, a zbrojni utworzyli szpaler prowadzący do bramy skromnego budynku. Pomieszczenia szkolne, jeszcze do niedawna służące za magazyn sukna, teraz były już puste i odświeżone. Prace remontowe zakończono przed miesiącem. Łukowe sklepienie zostało pobielone, ale na ścianach widniały jeszcze zacieki po zimie. Królowa wkroczyła do środka, w ślad za nią szły dwórki.

Trzy granitowe kolumny dzieliły przestrzeń na klasy. Każda z tych klas miała jakieś trzydzieści łokci długości i tyle samo szerokości. Światło wpadało do środka przez cztery wysokie okna z witrażowymi szybami, tworząc czerwone, niebieskie i zielone smugi. Drewniane ławki były puste, gdyż wszyscy żacy – dzisiaj głównie ci z primy i tercji – stali pod ścianami. Czuć było zapach niedomytych młodych ciał.

- Nie ma dzisiaj lekcji? – zapytała królowa, rozejrzawszy się po sali.
- Mistrz arithmeticus zachorował na febrę – wytłumaczył Szymek. –

Przenosimy księgi.

- A gdzie scholastyk Andrzej?
- Sprawdza dostawę drewna na podwórzu. Mam go zawołać?
- Nie, niech skończy. Wiem, że sam musi wszystkiego dopilnować.

Spojrzała na leżącą na pulpicie księgę.

– Co to?

– Bajki Ezopa – odparł Szymek.

– Aha. – Królowa się uśmiechnęła. – Też je czytałam na Węgrzech. Sami tutaj sprzątacie?

– Tak.

– To widać. Przydałaby się kobieca ręka.

– Mistrz scholastyk nie wpuszcza kobiet do szkoły – odparł Szymek.

– A powinien. Porozmawiam z nim o tym.

Ojciec Andrzej widać dowiedział się już, że w jego szkole jest królowa, bo przybył natychmiast, przejęty i zdyszany. Za nim kroczył custodius, tyczkowy mężczyzna w filcowym kapeluszu i rękawiczkach z psiego futra.

– Salve, pater – powitała scholastyka Jadwiga.

Mistrz skłonił się głęboko, o tyle, o ile pozwalał mu na to obcisły kubrak. Amalia pomyślała z satysfakcją, że mistrz musi teraz jakoś zaakceptować fakt, iż do jego szkoły wkroczyło tyle kobiet, w dodatku młodych. To musiało być dlań czymś na kształt profanacji. Co gorsza, pojawienie się tylu wystrojonych dwórek wprowadziło niemałe poruszenie w umysłach jego uczniów; widać było, jak żacy przestępują z nogi na nogę, szturchają się wzajemnie łokciami i uśmiechają głupawo. Będą pewnie mieli o czym mówić po południu przy piwie, uznała. Żacy nie mieli w mieście najlepszej reputacji. Często urządzali pijaństwa, awanturowali się na ulicach, toczyli walki z pachółkami miejskimi. Było wśród nich wielu synów bogatszych chłopów, rzemieślników, drobnego rycerstwa. Dziewczyna miała tylko nadzieję, że Szymek zachowuje umiar w tych hulankach. Był przecież protegowanym samej królowej.

Podczas gdy Jadwiga i scholastyk odeszli na bok, aby omówić sprawy organizacyjne, Amalia zaczęła przeglądać ułożone na pulpitach księgi. Nie bez rozbawienia kątem oka obserwowała reakcję zaków. Niesłychane,

kobieca dłoń dotyka ich świętych relikwii! Ujęte w drewniane, skórzane, inkrustowane drogimi kamieniami okładki tomy zawierały wiedzę zarezerwowaną dla mężczyzn i zazdrośnie przez nich strzeżoną. Zupełnie jak wiejskie czarownice ukrywają przed gawiedzią tajemnice swojej magii. Było to zabawne, choć jednocześnie trochę przykre. Amalia nie czuła się głupsza od tych chłopaków, a za taką pewnie ją uważali. Gdyby to ona rządziła, pozwoliłaby studiować również kobietom.

– Jak zawsze prowokujesz. – Szymek stanął za jej plecami. – Znam cię.

– Nie, ja tak z ciekawości.

– Akurat. Czemu Milda jest taka wściekła? Nie chciała tu przyjść?

– Chciała. Ale spotkała kogoś, kto popsuł jej nastrój.

– Krystynę?

– Gorzej. Opowiem ci o tym kiedy indziej, to długa historia.

– Może uda mi się jutro przyjść na Vavelus.

– Oho, już nie mówisz Wąwel – zaśmiała się Amalia.

– No co ty, teraz, kiedy muszę recytować po łacinie *Confessio Augustana*?

A także koniugować, deklinować i...

– I stopniować – dokończyła za niego. – Co ty poczniesz z całą tą mądrością, jak skończysz tu naukę?

– Nie mam pojęcia. Może napiszę kronikę. A może wyjadę na studia do Italii? Do Bolonii albo Padwy?

– Beze mnie?

– A na co ty mi tam? – zaśmiał się, kiedy udała, że zamierza się na niego otwartą dłonią.

Kiedy wizytacja się skończyła, Jadwiga pożegnała się z mistrzem oraz scholarzami i wyszli wreszcie na kwietniowe słońce. Natychmiast dostrzegli, że na kazimierzowskim rynku dzieje się coś niezwykłego.

– Linoskoczkowie! – wykrzyknęła jedna z dwórek.

Wszystkie dziewczęta odwróciły głowy we wskazanym przez nią kierunku. U wylotu ulicy Piekarskiej, pomiędzy dwoma najwyższymi piętrami przeciwległych kamienic, rozpięto linę, na którą wkraczała właśnie wiotka postać, z daleka przypominająca barwnego ptaka.

– Chodźmy tam – rzekła królowa, na co dwórki zareagowały entuzjazmem.

Wszystkie poza Mildą, która wciąż była milcząca i blada.

Przeszły przez tłum, rozstępujący się przed nimi niczym wody Morza Czerwonego przed Mojżeszem, i stanęły niemal pod samą liną. Akrobata był chłopcem, najwyżej trzynastoletnim, bardzo szczupłym, odzianym w obcisły kostium kojarzący się ze strojami karnawałowymi. Jedna z nogawic jego spodni była biała, druga – czerwona. Na głowie miał ściśle przylegającą do czaszki czapkę. Z dołu nie widać było rysów twarzy, ale nikt nie miał wątpliwości, że to jeszcze dziecko, co jeszcze wzmagало ekscytację gapiów.

Tłum wstrzymał oddech, gdy chłopiec lekko i zwinnie wstąpił na konopną linę, rozciągniętą kilkadziesiąt łokci nad brukowaną ulicą, unosząc szczupłe ramiona na boki. Lina zakołysała się, wiele kobiet zakryło oczy, a mężczyźni ukradkiem zegnali się znakiem krzyża. Gdyby śmiałek spadł, z pewnością by się zabił.

Amalia poczuła, jak poca jej się dłonie. Wyobraziła sobie, jak sama chodzi tak między niebem a ziemią, i na samą myśl o tym poczuła zawroty głowy. Ale linoskoczek wydawał się opanowany. Szybkim, tanecznym krokiem przedostał się nad środek ulicy i tam przystanął, zawieszony w pustce. Z ust widzów wyrwał się okrzyk zgrozy, gdy chłopak wykonał szybki obrót. Potem powtórzył go, tym razem w przeciwną stronę. Przez moment łapał równowagę, balansując ciałem i nieco uginając kolano, a podczas tych chwil Amalia modliła się, aby wreszcie wrócił w bezpieczne miejsce.

Przedstawienie coraz mniej jej się podobało. Miała wrażenie, że część publiczności boi się o chłopca, a część czeka, aż ten w końcu spadnie i skręci sobie kark. Ci drudzy zawsze zbierali się tam, gdzie mogło się wydarzyć coś okropnego – na publicznych egzekucjach, podczas rozruchów i tragicznych wypadków. Nie daj im, chłopcze, satysfakcji, prosiła go w duchu dziewczyna.

Zejdź już stamtąd.

Jednakże to nie był koniec. Ku przerażeniu wszystkich chłopak stanął na rękach i rozsunał nogi w różnobarwnych nogawicach, robiąc nożyce, po czym odbił się w powietrze i w przysiadzie wylądował na linie. Amalia zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero, gdy usłyszała brawa i gwizdy.

Akrobata zgrabnie kierował się ku oknu kamienicy, gdzie zaczepiony był jeden z końców liny.

Spojrzała na Mildę. Przyjaciółka obserwowała ten popis spojrzeniem bez wyrazu, jakby nieobecna. Amalia położyła dłoń na jej ramieniu.

– Przestań teraz o tym myśleć – powiedziała.

– Nie potrafię.

– Na pewne rzeczy nie mamy wpływu.

Litwinka spojrzała na nią z zaciętym wyrazem twarzy.

– Mylisz się – odparła krótko.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jadwiga spoglądała w milczeniu na czubek głowy, a właściwie na czubek czepca pochylonej przed nią w pokłonie pani Krystyny i z trudem starała się powstrzymać zniecierpliwione westchnienie.

Ta kobieta drażniła ją, chociaż trudno było zarzucić jej coś konkretnego. Opanowana, kompetentna, o nienagannych manierach, trzymała dwórki w ryzach. W dodatku udzielała się przy chorych i przynajmniej dwa razy w tygodniu, poza swoimi obowiązkami na dworze, odwiedzała umierających w szpitalu na Stradomiu. Krótko mówiąc, wzór chrześcijańskich cnót.

A jednak...

A jednak było w niej coś, co sprawiało, że wzbudzała w Jadwidze niechęć. Może chodziło o ten przesadnie bogobojny ton, którym przemawiała, czy też nienaturalną słodycz, kłócącą się z wyrazem oczu, wcale nie ciepłym i dobrotliwym, a raczej zimnym i jakby odrobinę chytrym. W porównaniu z nią poczciwa pani Csaksy wydawała się teraz Jadwidze prawdziwym aniołem. Owszem, była surowa i niepozbawiona wad, ale przynajmniej szczerza i bezpośrednia.

– Co mówiłyście, pani Krystyno? – Ocknęła się nagle, widząc, że ochmistrzyni wbija w nią pytający wzrok.

Przebywały w komnacie, w której królowa zwykle przyjmowała osoby z dworu. Było to dosyć surowe pomieszczenie, bardziej przypominające klasztorną celę niżli apartamenty władczyni. Tylko kilka najniezbędniejszych sprzętów, prawie żadnych ozdób na pobielonych ścianach. Ostatnio Jadwiga lubiła prostotę, a na dodatek miała świadomość, że niezbyt przytulne miejsce nie zachęcało przychodzących do nadmiernego gadulstwa, gdyż każdy jak najszybciej chciał się stąd oddalić.

Ale nie Krystyna.

– Mówiłam... – zaczęła kobieta wyniosłym tonem, jednakże szybko się zreflektowała i dokończyła już łagodniej: – Mówiłam, Miłościwa Pani, że przydałaby mi się pomoc w czuwaniu nad naszymi pannami.

– Pomoc?

– Och tak. Sama jedna nie mogę przypilnować wszystkich, a są już w takim wieku, że...

– Że co? – niechętnie spytała królowa, obracając na palcu pierścień. Siedziała na krześle z wysokim oparciem, tyłem do okna o zielonkawych szybkach.

– Że różne rzeczy im w głowach.

– Dlatego mamy postawić przy każdej z nich strażniczkę?

– Wystarczy jedna osoba do pomocy, jakaś pocziwa kobieta, która miałaby oko na dziewczęta, kiedy ja pomagam chorym.

– Wydaje mi się to zbędną troską. Są dorosłe.

– Wciąż zachowują się niepoważnie. W dodatku Anna wprowadziła na dwór niebezpieczną atmosferę.

– Anna? – zdziwiła się królowa.

– No tak, ta jasnowłosa poganka, która wciąż każe na siebie mówić Milda.

– Ach, Milda. Ona od czterech lat jest już chrześcijanką, wiecie o tym dobrze.

– Tylko na pozór, Wasza Miłość. W jej sercu nie ma prawdziwej wiary.

– A skąd możecie to wiedzieć? – W głosie Jadwigi zabrzmiała nutka irytacji.

– Obserwuję ją.

– I?

Krystyna udała, że waha się przed odpowiedzią.

– No cóż – powiedziała po chwili – nie chciałabym, żeby przeze mnie miała jakiegokolwiek kłopoty...

– Mówcie, pani, nie mam na tę rozmowę całego dnia. Skoro już zaczęłyście, widać i tak zamierzałyście mi o tym powiedzieć.

Ochmistrzyni udała, że nie zauważa zniecierpliwienia królowej, ale zdała sobie sprawę, że nie może przeciągać sprawy w nieskończoność.

– Obawiam się, że ona wciąż praktykuje pogańskie obrządkie...

Jadwiga spojrzała na kobietę uważniej.

– Obawiacie się czy rzeczywiście je praktykuje? – spytała chłodno.

Krystyna nie spodziewała się tak niechętej postawy królowej. Widać było, że Jadwiga darzy tę Litwinę sympatią.

– No, prawdę mówiąc, Miłościwa Pani – ukłoniła się jeszcze niżej – nie przyłapałam jej na niczym takim, za rękę nie złapałam, jak się to mówi, ale widzę, jak szepczą po kątach z Amalią, i obawiam się, że ta Litwinka wciąga niewinną dziewczynę w jakieś podejrzone sprawy. Kilka razy słyszałam, jak rozmawiały o plugawych zwyczajach Litwy, o strojach tamtejszych kobiet, płasach, a także o rzekomo opiekuńczych duchach. Często też, kiedy wchodzę do ich komnaty, milkną nagle, jakby przyłapane na grzechu. Mają zawsze takie rozbiegane spojrzenia, niezdrowe wypieki na twarzach...

– A może po prostu są zakochane i rozmawiają o młodzieńcach? Przecież to odpowiedni wiek ku temu.

– A jeśli o czarach? – napierała Krystyna.

– Milda nie jest żadną czarownicą. Tym bardziej Amalia. Czy to wszystko, co chciałyście mi przekazać?

Krystyna nabrała tchu.

– Tak – niemal wyszeptała.

– Zatem przyjąłam do wiadomości. Nie widzę powodu, aby zwiększać kontrolę nad dziewczętami. A wam, pani, radzę: skupcie się na swojej pracy, a do mnie przyjdźcie, jak wydarzy się coś naprawdę poważnego. Możecie odejść.

Jadwiga podniosła się z krzesła i nie patrząc już na wycofującą się tyłem Krystynę, podeszła do uchylonego okna.

Z zewnątrz napływało pachnące wiosenne powietrze, w dole widać było połyskującą w słońcu Wisłę i pasące się na błoniach krowy, przypominające stąd małe ciemne punkty.

Westchnęła, czując dziwny ciężar w piersiach.

Miała dokładnie tyle samo lat, co Amalia i Milda, ale jej życie wyglądało zupełnie inaczej. Często im zazdrościła. Nie mogła jak one marzyć o miłości i pięknych młodzieńcach. Była królową i mężatką. Tak, mężatką, ale uświadomiła sobie nagle, że od ślubu z Władysławem prawie nie widywała swojego małżonka. Mieli osobne sypialnie, osobno też jadali – król ze swoim dworem, ona ze swoim. Władysław wciąż był zajęty polityką, wyjeżdżał jeśli nie na spotkania z ważnymi osobistościami czy zbrojne wyprawy, to na polowania. Jadwiga nie lubiła polowań, dała się

namówić może raz czy dwa – było to nudne i męczące, przypominało jakąś małą wojnę – a później wymawiała się pod byle pretekstem. Król nie nalegał, prawdopodobnie wcale nie pożądał jej towarzystwa podczas swojej ulubionej rozrywki.

Ale czy w ogóle potrzebowali swojego towarzystwa? Wiedli równoległe żywoty, a jedyne, co ich łączyło, to ślub i sprawowana władza. Byli od siebie tak różni: ona, młoda dziewczyna wychowana na dworze w Budzie, przesiąkniętym włoską kulturą, on natomiast, dojrzały mężczyzna ze wschodu, jeszcze do niedawna walczył z Tatarami i oddawał cześć pogańskim bożkom. Na początku, tuż po ślubie, starali się robić dobrą minę do złej gry i udawali przed sobą oraz innymi, że ich związek to nie tylko polityka, ale w miarę upływu czasu owa iluzja słabła, aż w końcu zupełnie się ulotniła. Najgorsze stało się tuż po powrocie Władysława z Litwy, gdzie król chryścianizował swoich rodaków. Gniewosz z Dalewic przekazał jej pogłoski o tym, że król, będąc daleko od domu i żony, szukał pocieszenia w objęciach litewskich chłopskich dziewczyn. Kiedy, zdruzgotana, zapytała o to małżonka, ten nie zaprzeczył, a zamiast tego zaczął gwałtownie oskarżać ją samą o niewierność. Wtedy właśnie, podczas owej pamiętnej kłótni, ku swemu zdumieniu i przerażeniu dowiedziała się, jakie na jej temat krążą plotki na europejskich dworach.

Otóż zarówno Austriacy, jak i Krzyżacy rozpowiadali, iż podczas nieobecności Jagiełły Jadwiga spotykała się potajemnie z Wilhelmem. Że ich współżycie rozpoczęło się jeszcze przed ślubem z Litwinem, kiedy młodego księcia przemycono na zamek. Potem Habsburg miał jeszcze pojawić się w Krakowie podczas uroczystości ślubnych, w przebraniu kupca. Wtedy jakoby został zdemaskowany. Ukrył się w pałacu łobzowskim na Czarnej Wsi, u jednego ze swoich zwolenników. Kiedy się o nim dowiedziano i zaczęto szukać, gospodarz schował go w kominie na specjalnie tam umieszczonej desce, skąd mógł uciec pod osłoną nocy. Ale ta nieprawdopodobna historia nie wystarczyła oszczercom. Teraz mówiono, że także podczas pobytu Jagiełły na Litwie dochodziło do spotkań między królową a jej byłym ukochanym.

Tak więc zrobiono z niej ladacznicę. Ona, która chciała naśladować żywoty świętych władczyń, przedstawiana była w Europie jako rozwiązła młódka. A najgorsze, że sam Władysław dawał posłuch tym paskudnym plotkom.

To był dla niej wielki cios, zwłaszcza że jeszcze nie doszła do siebie po śmierci matki, Elżbiety, zabitej na Węgrzech przez politycznych przeciwników, oraz po uwięzieniu siostry Marii. Poczła się samotna i zbrukana. Przez wiele miesięcy nie zamieniła z królem jednego słowa. Ona płakała w swojej sypialni, pragnąc umrzeć, on wyżywał się podczas polowań albo szukał ukojenia w pracy i licznych wyjazdach.

Sytuację nieco uratowali panowie krakowscy. Widząc, co się dzieje, postanowili dotrzeć do źródła wszystkich dworskich plotek o zdradach obojga małżonków. Okazało się, że za pomówieniami stał jeden człowiek – Gniewosz z Dalewic. On to właśnie podburzał jedno przeciw drugiemu, powtarzając austriacką i krzyżacką propagandę.

To trochę poprawiło sytuację, wszakże w królewskich sercach pozostał chłód.

Chłód, którego już pewnie nigdy się nie pozbędą.

– Miłościwa Pani – do komnaty weszła jedna z dwórek, czarnowłosa dziewczyna ze znamieniem na policzku – czas przebrać się do obiadu.

– Dzisiaj mam zamiar pościć – odprawiła ją krótko Jadwiga. – Zaraz pójdę do kaplicy i życzę sobie, żeby nikt mi tam nie przeszkadzał.

Drzwi zamknęły się cicho i królowa znów została sama. Na wspomnienie tamtych dni w jej oczach pojawiły się piekące łzy. Otarła je, nakazując sobie spokój. Była królową, a nie dzieckiem. Musiała stawiać czoło wszelkim przeciwnościom. Tak uczono ją od dzieciństwa. Należy pokładać wiarę w Bogu, on widzi wszystkie ludzkie uczynki i potrafi zajrzeć w każde serce. Musisz być silna, powtarzała sobie. Zwłaszcza że za godzinę czekała ją rozmowa z krzyżackimi posłami, którzy zapewne będą ją nastawiać przeciwko Władysławowi. Nie mogła przy nich okazać słabości.

A wszystko przez tę marudną Krystynę. To ona wytrąciła ją dzisiaj z równowagi. Im dłużej teraz nad tym myślała, tym bardziej nedorzeczne wydawały jej się podejrzenia przełożonej dwórek. Znała dobrze Mildę. Była spokojną dziewczyną, nieco zamkniętą w sobie, lecz to zrozumiałe po tym, co w życiu przeszła. Jadwiga poznała jej historię i bardzo biedaczce współczuła. Potrzeba wiele siły, aby normalnie żyć po tak okropnych zdarzeniach. W dodatku żyć w obcym kraju, wśród obcych ludzi, tak nieprzychylnych jak Krystyna.

Właściwie dlaczego ta kobieta uwzięła się na Mildę? Zazdrościła jej urody? Młodości? Bała się jej pogańskiego pochodzenia? Cokolwiek to

było, należało tę sprawę załatwić. Wpadła na pewien pomysł.

Przywołała służkę.

– Tak, Miłościwa Pani? – W drzwiach znów pojawiła się dziewczyna ze znamieniem. – Jednak obiad?

– Nie. Zawołaj tutaj Annę. Tę dziewczynę z Litwy.

– Mildę?

– Tę właśnie.

Dwórka pojawiła się kilka minut później, blada, lecz raczej nie przestraszona, tylko pochmurna. Ukłoniła się bez słowa.

Jadwiga spojrzała na nią uważnie.

– Masz jakieś zmartwienia, Mildo? – spytała.

Tamta pokręciła głową.

– Na pewno? Widzę, że jesteś dzisiaj jakaś dziwna.

– Po prostu źle się czuję – odparła Milda. – Nic mi nie jest, Wasza Królewska Mość.

Jadwiga jej nie uwierzyła, ale nie miała czasu na drażnienie tematu.

– Posłuchaj. Chciałam zapytać, jak układają się twoje stosunki z cioteczka Krystyną.

Dziewczyna zacisnęła usta.

– No mów! Śmiało.

– Chyba mnie nie lubi.

– Nieprawda. Jest po prostu surowa. Życie ciężko ją doświadczyło i może dlatego wydaje się taka niedostępna.

Milda spojrzała pytająco na królową. Nigdy nie myślała o Krystynie jak o kimś, kto ma jakieś życie prywatne. Albo uczucia.

– Tak. – Jadwiga pokiwała głową, widząc zaskoczenie Mildy. – Mając zaledwie pięć lat, straciła całą rodzinę podczas epidemii dżumy. Rodziców, rodzeństwo i bliskich krewnych. Podobno przez wiele dni ukrywała się w pustym domu, mając za towarzystwo trupy bliskich i szczury. Była cała pokąsana i gdyby jej nie znaleziono na czas, zagryzłyby ją na śmierć.

Oczy Mildy stały się jeszcze większe ze zgrozy.

– Tak, to prawda. Dlatego postaraj się być dla niej bardziej wyrozumiała. Takie przeżycia w dzieciństwie mogą wpływać na zachowanie dorosłego

już człowieka. Tylko zachowaj tę wiedzę dla siebie, dobrze? Nie chcę, żeby treść naszej rozmowy wyszła poza mury tej komnaty.

Milda pokiwała głową na znak zgody.

W jaki sposób zatem Krystyna znalazła się na dworze? – pomyślała, ale nie miała odwagi pytać o to królową. Sierota, bez poparcia możnej rodziny. Tajemnicza postać... Poczła coś w rodzaju współczucia dla nielubianej ochmistrzyni. Aż się otrząsnęła, odpędzając przed oczu wizję szczerów atakujących nieszczęsne dziecko.

– Widzisz – kontynuowała tymczasem Jadwiga. – Zależy mi, aby na moim dworze panowała harmonia. Nie chcę żadnych przykrych sytuacji. Krótko mówiąc, musicie siebie nawzajem zaakceptować. Pomyślałam, że pomoże wam, jeśli pokażesz pani Krystynie, iż jesteś chętna do pomocy. Może zbliżyłybyście się do siebie, gdybyś choć raz poszła z nią do chorych na Stradom.

Dziewczyna popatrzyła w zdumieniu na królową.

– Wiem, że na Litwie pomagałaś siostrze swojego brata w leczeniu. Jak widzisz, jednak coś cię łączy z ochmistrzynią.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”, Mildo. Musicie się pogodzić, w przeciwnym wypadku któraś z was będzie musiała opuścić dwór. Nie stawiaj mnie przed tak trudnym wyborem.

– Tak, Najjaśniejsza Pani – odparła cicho dwórka, spuszczać oczy.

– Nikt nigdy nie pomaga Krystynie w tej szlachetnej służbie, na pewno więc doceni twoje dobre chęci. I twoje umiejętności. Co ty na to?

– Uczynię, co powiedziałyście, Najjaśniejsza Pani.

– Znakomicie! Możesz iść.

Kiedy Milda wyszła, Jadwiga poczuła się już lepiej. Być może jedną sprawę udało jej się załatwić. Sama też niezbyt lubiła Krystynę, ale uważała, że należy okazywać życzliwość każdemu człowiekowi. Każdej Bożej owieczce. Zwłaszcza tak skrzywdzonej przez los. Tę historię opowiedzieli Jadwidze ludzie, którzy zajęli się osieroconym dzieckiem i rekomendowali później Krystynę na dwórkę królowej. Sama zainteresowana natomiast prosiła o zachowanie dalszych jej losów w sekrecie.

Królowa poczuła lekkie wyrzuty sumienia, że zdradziła część tajemnicy Krystyny, ale po chwili uznała, że tak było trzeba. Nie mogła dopuścić do

jawnej wrogości między dwórkami, była pewna, że dzięki tej wiedzy wrażliwa Milda zmieni choć trochę swój stosunek do ochmistrzyni.

Sięgnęła po modlitewnik leżący na stoliku pod oknem i ruszyła w stronę swojej sypialni. Tam, ukryte za kotarą, znajdowały się drzwi prowadzące wprost do małej kaplicy, stworzonej specjalnie dla władczyni.

Przez nikogo nie niepokojona, uklękła przed obrazem Matki Boskiej i pogrążyła się w żarliwej modlitwie. Prosiła o spokój i wybaczenie grzesznych myśli i snów, jakie ją od dłuższego czasu nachodziły. Budziła się spocona, z dziwnym napięciem w brzuchu i oczekiwaniem na coś, czego nie mogła pojąć. Jak przez mgłę pamiętała rano delikatne muśnięcia, pocałunki lekkie jak dotyk skrzydeł motyla i uczucie szczęścia, jakie wtedy odczuwała. Nie widziała w tych snach niczyjej twarzy, żadnej postaci, a mimo to miała wrażenie, że ich bohaterem wcale nie był jej mąż. I to uważała za grzeszne.

Za to powinna odpokutować.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nadszedł czerwiec, a wraz z nim do Krakowa zawitała atmosfera zabawy.

– Dzisiaj będą puszczone wianki na Wiśle. Pójdiesz ze mną? – zaczął Szymek Amalię.

Właśnie przebiegała przypadkiem przez dziedziniec. No, może nie całkiem przypadkiem, bo już od południa wypatrywała swojego „rycerza” i gdy tylko zauważyła z okna charakterystyczną sylwetkę chudego jasnowłosego młodzieńca w kolorowym kaftanie, rzuciła robótkę i udając, że koniecznie musi wyjść, wybiegła z zamku.

– Wianki? – Skrzywiła się. – Ojciec Albert mówił, że to pogański zwyczaj i dzieją się tam wtedy jakieś straszne rzeczy.

– Jakie znowu straszne rzeczy? Ludzie tańczą, śpiewają, palą ogień i puszczały wianki na wodę. Co w tym strasznego?

– No właśnie chodzi o te tańce i pogańskie pieśni, śpiewane przez głupie niewiasty. Tak twierdzi ojciec Albert – zastrzegła się od razu. – I Kościół tego zabrania.

– Zabrania, ale odbywają się od zawsze.

– Wiem. Ale królowa Jadwiga nigdy nie pozwalała mi chodzić wtedy nad Wisłę. Mogłam tylko oglądać zabawę z okien.

– Masz już szesnaście lat.

– No i co z tego? Należę do jej dworu.

– Nie musi wiedzieć.

– Nie chcę jej oszukiwać.

– Nie chcesz, to nie. – Szymek wzruszył ramionami, ale widać było, że odpowiedź dziewczyny sprawiła mu przykrość. – Poproszę Mildę, ona chyba nie przejmuje się pogańskimi zwyczajami. Zresztą u nas nie będzie ognisk ani tańców, tylko same wianki.

Amalia zmieszała się nieco. Milda była jej przyjaciółką, ale nie na tyle, żeby się z nią dzielić chłopakiem. Udała, że się zastanawia.

– No, nie wiem – powiedziała w końcu – myślisz, że cioteczka Krystyna mnie puści?

– Myślę, że nie. Ale czy musisz ją pytać o zgodę? Wymkniesz się boczną furtką w murze, tą za tarasem ogrodowym, którą ci kiedyś pokazywałem. Nikt jej nie pilnuje, a teraz jest zarośnięta zielenią i prawie jej nie widać. Zresztą będzie już ciemno.

– A jak mnie jednak zauważy?

– Sama mówiłaś, że wcześniej chodzi spać. No, nie daj się prosić. Będę czekał na dole. Zobaczysz mnie od razu, jak zejdziesz ze wzgórza.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł do królewskiej kuchni, do której prawdopodobnie został wysłany przez scholastyka. Mistrz nie przepadał za jedzeniem w szkole, korzystając więc z zaproszenia królowej, wysyłał czasami chłopaka po smakołyki na Wawel.

Tymczasem Amalia wróciła do komnaty, gdzie dwórki, zgromadzone po dwie, trzy przy oknach, haftowały rozłożone na kolanach ogromne serwety i obrusy dla kościołów. Każda z nich zajmowała się innym motywem.

– Dlaczego zniknęłaś na tak długo? – Ostry głos pani Krystyny powitał ją w drzwiach.

– Za potrzebą – skłamała bez mrugnienia okiem.

Na szczęście dla niej okna komnaty nie wychodziły na tę część dziedzińca, w której spotkała się z Szymkiem.

Z całą gorliwością, żeby już się nie narażać ochmistrzyni, zajęła się robótką. Siadając przy Mildzie, nachyliła się nad nią i udając, że podziwia piękną lilię właśnie haftowaną przez przyjaciółkę, szepnęła jej do ucha:

– Muszę ci coś później powiedzieć. Koniecznie.

Kiedy wracały do swoich komnat, Milda zatrzymała się w pół kroku, żeby przyjaciółka mogła ją dogonić na korytarzu.

– No, mów, bo chyba pęknę z ciekawości – szepnęła, rozglądając się, czy nikt ich nie słyszy.

Na pozór uspokoiła się już po kwietniowym spotkaniu z mordercą swoich bliskich. Nie była już tak ponura i zdenerwowana jak na początku, potrafiła śmiać się i żartować, lecz Amalia nie do końca wierzyła w to, że przyjaciółka naprawdę o wszystkim zapomniała. Znała ją – Milda była

uparta i, co gorsza, nieprzewidywalna. Nikt nie wiedział, o czym akurat myśli i co zamierza. Nieufna jak leśne zwierzę, nie dawała łatwo się oswoić pośród zamkowych komnat. Amalia przypuszczała, że tamta nie spocznie, póki rudobrody potwór nie poniesie kary, a teraz tylko odkłada swoją zemstę na później, wyczekując sposobnego momentu. To ją w Mildzie nieco przerażało, ale i fascynowało. W jakiś niejasny sposób rozumiała, że lepiej się tamtej nie narażać.

Takiego wyczucia nie miała chyba cioteczka Krystyna. Jak było do przewidzenia, z niechęcią zareagowała na pomysł królowej, aby Milda pomagała jej przy chorych. Obie męczyły się ze sobą, w równym stopniu rozdrażnione niechcianym towarzystwem. Cioteczka wciąż warczała na Litwinkę, ta zaś nie kryła niechęci do niej. Jadwiga nie uczyniła cudu, te dwie się nie pojednały, lecz póki jej polecenie pozostawało w mocy, nie miały wyjścia – musiały pracować razem. Naturalnie, o żadnych pogańskich metodach leczenia Krystyna nie chciała nawet słuchać. Jej pomoc chorym polegała głównie na podawaniu im wody czy wina, a przede wszystkim na modłach. Milda była zaskoczona, jak niewiele się czyni, aby wyleczyć tych ludzi. Pamiętała swoje wizyty z Iną u chorych w Wilnie. Tam nie było odprawiania czarów, tylko wykonywało się konkretne zabiegi, w Krakowie zaś cała opieka nad tymi nieszczęśnikami ograniczała się do zapewniania im łóżek, w których mogliby spokojnie umrzeć. Zazwyczaj odwiedzały ludzi ubogich, do których nie pofatygowaliby się żaden medyk, by puścić im krew czy też przystawić pijawki. We wszystkim zdawano się na Bożą Opatrzność. A ta na ogół była dla tych nielitościwa.

Teraz Amalia powtórzyła przyjaciółce rozmowę z Szymkiem, nie pomijając nawet jego stwierdzenia, że skoro ona nie będzie chciała pójść, poprosi Mildę.

– Naprawdę tak powiedział? – Tamta zachichotała, zasłaniając usta dłonią. – W życiu by mi tego nie zaproponował, przecież z daleka widać, że się w tobie kocha, i wiedział, że ta groźba podziała.

– E tam, głupstwa pleciesz. Przecież się nie zgodziłam.

– Gdybyś się nad tym nie zastanawiała, tobyś mi o tym teraz nie mówiła. Zgodzisz się, prawda?

Amalia zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Zgoda, mogę pójść – zdecydowała w końcu – ale tylko pod warunkiem, że ty też z nami się wybierzesz.

– Mam być waszą przyzwoitką?

– Przestań. To nie jest żadna schadzka. Po prostu będzie nam razem raźniej.

– A co z cioteczka Krystyną? Naszym wawelskim smokiem?

Milda oczywiście opowiedziała Amalii w sekrecie o tym, czego się dowiedziała od królowej na temat ochmistrzyni, uznała bowiem, że przyjaciółce może zdradzić tajemnicę Krystyny. Wiedziała, że Amalia nie wyjawia tego nikomu innemu. A przed przyjaciółmi nie powinno się mieć żadnych sekretów. Obie jej współczuły, nie sprawiło to jednak, że udało im się zmienić stosunek do Krystyny. Nadal jej się obawiały i nie miały do niej zaufania. Teraz może nawet bardziej niż wcześniej.

– Poczekamy, aż zaśnie. Zwykle przed snem zażywa te swoje krople na noc i usypia od razu. A krople mają dziwny zapach rumu. – Amalia zmrużyła oko i obie jednocześnie parsknęły śmiechem.

– A królowa? – Milda wciąż miała wątpliwości.

– Podejrzewam, że Najjaśniejsza Pani znowu spędzi tę noc na modłach w swojej kaplicy. Od czasu śmierci matki stała się bardzo pobożna.

– Akurat dziś ta jej pobożność jest nam bardzo na rękę.

Jeszcze nigdy wieczorne godziny nie ciągnęły się Amalii tak długo. Jak na złość pani Krystyna nieustannie kręciła się po korytarzu, jakby kogoś czy czegoś szukała. Zaglądała do sypialni dwórek, popędzała je, żeby gasiły świece i kładły się do łóżek.

Kiedy wreszcie zniknęła w swojej komnacie, Amalia usiadła na korytarzu przy oknie i korzystając z ciepłego wieczoru, uchyliła je lekko. Z daleka, w amarantowej ciemności, widać było jasne, świecące punkciki ognisk, przeświecające przez drzewa. Wychyliła się, żeby usłyszeć śpiewy, lecz nic do niej nie dochodziło. Tylko jakiś przestraszony nocny ptak zatrzepotał skrzydłami i jak cień przeleciał obok okna. W dole Wisłą płynęły już pojedyncze wianki z wetkniętymi w nie zapalonymi łuczywami. Podskakiwały na drobnych falach rzeki jak małe iskierki.

– Już! – usłyszała cichy szept i poczuła, że ktoś delikatnie dotknął jej w ramię. Milda, owinięta chustą, odciągnęła ją od okna. – Możemy iść, tylko weź też coś, żeby się okryć.

Cicho, aby nie obudzić innych dwórek, Amalia wyjęła ze skrzyni płaszcz, który kupiła kiedyś od dziewczyny z kuchni, i na palcach wybiegła z sypialni. Włożyła go i nasunęła na głowę kaptur.

Bez większych trudności, niezauważone, przebiegły ciemnym korytarzem na dziedziniec, a stamtąd do ogrodu na tarasie. Amalia żałowała, że nie mogły zapalić łuczywa, by im oświetliło drogę. Co rusz zaczepiały sukniami o ostre kolce różanych krzewów.

– Gdzie jest ta furтка? – mruknęła, bardziej do siebie niż do przyjaciółki.
– Przecież powinna tu być.

W końcu wymacała w murze chłodną klamkę w kształcie głowy smoka. Zazgrzytało żelazo i furтка uchyliła się, ciągnąc za sobą oplatające ją pędy bluszczu. Widać było, że już od dawna nikt nie korzystał z tego przejścia. Na zewnątrz, wzdłuż kamiennego muru, biegła wąska ścieżka, prowadząca do ukrytych w zieleni schodków. Dziewczęta zbiegły nimi w dół i chwilę później były już na ulicy. Wydawała się pusta, ale nagle zza jednej z kamienic wyłonił się cień.

– Tak czułem, że przyjdziecie obie. – W głosie Szymka zabrzmiało rozbawienie.

– Rozczarowany? – mruknęła Milda.

– Skądże znowu. Im więcej osób, tym weselej. Chodźmy, szkoda czasu.

Cała trójka ruszyła w stronę Wisły, gdzie z daleka widać już było spory ruch. Podeszli bliżej i wmieszali się w tłum dziewcząt i młodzieńców. Dziewczęta rzucały zapalone wianki na wodę, a chłopcy biegli pędem wzdłuż brzegu Wisły, żeby wyłowić ten upatrzony.

Milda poczuła się dziwnie, owładnęły ją sprzeczne uczucia. Z jednej strony pociągała ją atmosfera zabawy oraz towarzystwo młodych ludzi, z drugiej jednak dzisiejsze święto przywoływało bolesne wspomnienia z dzieciństwa. Ileż to razy w rodzinnej wiosce palono podobne ogniska nad rzeką, tańczono i śpiewano. Przecież tak też było podczas wesela jej siostry, zanim...

Nie, nie wolno teraz o tym myśleć. To już zupełnie inne miejsce, inny czas, inni ludzie. Tutaj jest bezpiecznie, a dawne obrazy nie mogą jej przyćmić dzisiejszej radości. Tyle razy tamte straszne przeżycia zatruwały sny Mildy, że pora się od nich odciąć. Przynajmniej w tej chwili, bo i tak pozostaną z nią do końca życia.

– Szkoda, że my nie mamy wianków – zmartwiła się Amalia.

– Kto powiedział, że nie mamy? – Milda zdjęła z ramienia skórzaną sakwę, której ani Amalia, ani Szymek nie zauważyli wcześniej w ciemnościach. – Gdybyś nie zaproponował Amalii wyjścia, sama miałam to zrobić i na wszelki wypadek już się przygotowałam.

Wyjęła z sakwy dwa lekko pogniecione wianki i podała jeden przyjaciółce.

– Kiedy je uwiłaś? – zdziwili się niemal jednocześnie Amalia i Szymek.

– Dzisiaj po południu, w ogrodzie, gdy wyszliśmy odetchnąć świeżym powietrzem. Każda z nas robiła jakiś bukiet do kościoła. Tylko że ja zamiast bukietu zrobiłam wianki.

– No to nie traćmy czasu – zakomenderował Szymek. – Mam dwie łożówki, bo myślałem, że spleciemy razem z Amalią coś z tego, co rośnie na brzegu. Wziąłem dwie, na wszelki wypadek, jakby jedna zgasła, a teraz będą jak znalazł. Włóżcie świece do środka, a ja je zapalę.

Światełka w dłoniach dziewcząt i te płynące już z nurtem Wisły wyglądały jak błędne ogniki, unoszące się w powietrzu nad wodą. Delikatny wietrzyk niósł na brzeg zapach wodorostów, lekkiej zgnilizny i płonących świeczek. Zewsząd słyhać było radosne śmiechy lub okrzyki zawodu, gdy któryś z wianków zatonał albo fala zalała płonące łuczywo.

Amalia nachyliła się nad wodą i ostrożnie położyła swój wianek. Zakołysał się na fali, a potem popłynął, pięknie podświetlony. Milda również puściła swój i przez chwilę oba płynęły jeden obok drugiego, a ich blask odbijał się w ruchomej czarnej wodzie. Potem nagle wianek Amalii trafił na szybszy nurt i porwany nim obrócił się wokół własnej osi, po czym pomknął rażno przed siebie, wymijając inne. Szymek zerwał się z miejsca i pognał za nim.

– Chce go złapać pierwszy – Milda uśmiechnęła się do Amalii – bo to będzie znaczyło, że jesteście sobie przeznaczeni.

– Naprawdę?

– Nie znasz tego zwyczaju? Na Węgrzech go nie było? Noc świętojańska, noc Kupały, sobótka.

– Nie wiem, może i był, ale na dworze raczej czegoś takiego nie obchodzono. Prędzej na wsiach, ale my tam nie bywałyśmy.

– No tak, zapomniałam...

– Nie kończ. Wiem, co chciałaś powiedzieć o dobrze urodzonych pannach.

– Coś ty taka przewrażliwiona. Po prostu zapomniałam, że na katolickim dworze byłoby to nie do pomyślenia. I tyle.

Były już o krok od kłótni, na szczęście Szymek uratował niezręczną sytuację. Wrócił do nich z ociekającym wodą wiankiem Amalii.

– Złapałem! – zawołał uradowany. – Łatwo go można było przeoczyć, bo łożówka zgasła, ale od początku nie spuszczałem z niego oczu.

– Zgasła?

Amalia i Szymek spojrzeli na przestraszoną Mildę.

– No, zgasła. I co?

– Bo to niezbyt dobra wróżba... – zaczęła mówić, ale widząc zawód na twarzach przyjaciół, lekceważąco machnęła ręką. – Dajcie spokój, to tylko przesady. Nie będziemy się przecież nimi przejmować.

– Ale co to oznacza? Śmierć? – wyszeptała Amalia.

– Jaką śmierć, co ty opowiadasz!

– Ale coś złego?

– Nieee...

– Mów. I tak nie wierzę we wróżby.

– To po co tak się dopytujesz?

– Z ciekawości.

– Jeśli już tak się upierasz, to zgaszona świeczka najwyżej może zapowiadać jakieś kłopoty, trudności, ale na pewno nie śmierć. I tak wyjdiesz za tego, który jest ci przeznaczony.

Wbrew temu, co mówiła, Milda poczuła niepokój. Nauczona od dziecka kierować się znakami, wróżbami i przepowiedniami, odniosła wrażenie, że powietrze wokół stało się znacznie chłodniejsze i niosło ze sobą zapowiedź jakiegoś zagrożenia.

– Szkoda, że nie ma tu lasu – powiedziała wesołym tonem. – Moglibyście teraz oboje wybrać się na poszukiwanie kwiatu paproci. Kto go znajdzie, będzie miał wszystkie bogactwa tego świata i szczęście. U nas mówiono na niego perunowy kwiat. Kwitnie właśnie w tę noc i tylko przez chwilę, ale łatwo go wtedy zauważyć, bo podobno wygląda jak gwiazda świecąca w ciemnym lesie pośród liści.

– Ktoś go kiedyś znalazł? – spytała mimo woli zaciekawiona Amalia.

– Nie wiem, chyba jeszcze nikt. No dobrze – Milda wstała z kamienia, na którym na chwilę przysiadła – pójdę zobaczyć, co z moim wiankiem. Mam nadzieję, że nie wyłowił go jakiś pies albo że całkiem nie zatonął.

Odeszła, zostawiając ich oboje samych. Wiedziała doskonale, że Szymek marzył o tym od samego początku.

– Tylko poczekajcie tu na mnie! – zawołała na odchodne. – Nie chcę potem sama wracać na zamek.

Kiedy poszła, zapadło pełne zakłopotania milczenie. Pierwszy przerwał je Szymek.

– Zobacz – spojrzał za jej plecy, w kierunku wznoszącego się nad nimi Wawelu – wygląda na to, że na zamku wszyscy śpią, kiedy tu trwa taka radość i zabawa. Nie jest ci tam smutno na co dzień?

Ponura budowla majaczyła w ciemnościach rozjaśniona tylko wiszącym nisko ogromnym księżycem w pełni. Białe światło odbijało się w szybkach niektórych okien, potęgując atmosferę niesamowitości.

– Nie. – Amalia odwróciła się w tamtą stronę. – Jestem przyzwyczajona do takiego życia. Tego, które mi tu pokazałeś, wcześniej nie znałam.

– Bo takie zabawy odbywają się rzadko. Ludziom z miasta nie ma czego zazdrościć, co dzień harują od rana do wieczora i niewiele z tego mają.

– Wiem. Ja mam szczęście – odparła.

Kiedy znów odwróciła się w stronę Wisły, ich twarze nagle się spotkały. Amalia poczuła dziwny dreszcz i zamarła w oczekiwaniu. Nie musiała długo czekać. Usta Szymka szybko odnalazły jej wargi i musnął je delikatnie, jakby przypadkiem. Oboje odskoczyli od siebie jak oparzeni.

– Tylko mnie czasem za to nie przepraszaj – szepnęła zawstydzona Amalia.

– A powinienem?

– Nigdy w życiu.

Nachylił się nad nią i znów ją pocałował, tym razem dużo śmieiej.

– Zostaniesz moją żoną? Nie teraz – dodał szybko, widząc wahanie w oczach dziewczyny. – Jak już skończę nauki i zacznę pracować. Chciałabyś?...

Serce biło jej tak mocno, że niemal nie słyszała dochodzących zewsząd śpiewów.

– Tak – szepnęła tak cicho, że tylko zakochany chłopak mógł to usłyszeć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez kilka następnych dni Amalia miała wrażenie, jakby unosiła się na skrzydłach. Była szczęśliwa i cały świat wydawał jej się piękny, co podkreślała jeszcze letnia aura, stanowiąca jakby specjalną oprawę dla ich rodzącej się miłości. Dziewczyna nieustannie odtwarzała w myślach sceny nad Wisłą, słowa, jakie wtedy padły, wyraz oczu Szymka, dotyk jego warg. Czuła, że to musiało się wydarzyć, że narastało od dawna, chociaż głośno nigdy sama do tego się nie przyznawała. Odkąd ukończyła piętnaście lat, ich relacje zaczęły się zmieniać. Nie były już dziecięce, zaczynało się między nimi dziać coś dziwnego, mimo że ani jedno, ani drugie nie miało odwagi wypowiedzieć tego, co zdawało się oczywiste. I nareszcie to nastąpiło. Wydarzyło się w najpiękniejszych okolicznościach, jakie Amalia mogła sobie wymarzyć, podczas puszczania wianków na Wiśle, w ciepłą czerwcową noc nad rzeką.

To był najszczęśliwszy dzień w jej życiu. Bez wątpienia. Przepełniająca ją radość i ekscytacja pozwalały też nie przejmować się na razie wszelkimi wątpliwościami dotyczącymi tych oświadczeń. Gdzieś w głębi ducha wiedziała, iż sprawa nie będzie prosta, że tak poważny związek musi jeszcze zaakceptować królowa, jednakże pod wpływem euforii, jaka przepełniała Amalię, wszystko zdawało się jaśniejsze i bardziej optymistyczne niż w rzeczywistości, liczyła więc na zrozumienie Jadwigi, która przecież uważała dwórkę za swoją przyjaciółkę, a Szymka bardzo lubiła. Powinna więc pobłogosławić ich miłość.

No cóż, była naiwna. I bardzo się myliła.

– Hedwig, proszę... – Amalia złożyła dłonie jak do modlitwy i spojrzała błagalnie na królową.

Reakcja Jadwigi na zwierzenia miłosne dwórki była zimna i otrzeźwiająca jak wylane na głowę wiadro wody.

– Nie zgadzam się – powtórzyła Jadwiga, unosząc dumnie brodę i spoglądając z góry na dziewczynę. – I nie zapominaj, że rozmawiasz ze swoją królową.

– Wybaczcie, Najjaśniejsza Pani. – Skarcona Amalia skłoniła głowę. – Ale my się z Szymkiem kochamy, on skończy szkoły, zdobędzie dobry zawód i będzie mógł zarabiać. A ja też chyba nie zostanę bez grosza.

– Skryba to według ciebie dobry zawód i odpowiednia partia dla dwórki królowej?

Amalia nigdy wcześniej nie słyszała tyle pogardy w głosie swojej królewskiej przyjaciółki. Poczowała smutek, jakby nagle ktoś jej umarł. A to umarło dzieciństwo i dziecięca przyjaźń.

– Nie każ mi żałować decyzji, jaką kiedyś w związku z nim podjęłam – ciągnęła władczyni. – Jak nadejdzie pora, sama wybiorę ci męża. Odpowiedniego stanem i majątkiem.

– Nie chcę żadnego innego – mruknęła Amalia, czując, jak łzy napływają jej do oczu.

– Nie bądź dzieckiem. Nie ma znaczenia, czego ty chcesz, a czego nie. Tak już jest urządzony ten świat. O małżeństwie nie mogą decydować głupie porywy serca...

– Głupie?

– Tak. Dobrze usłyszałaś. Małżeństwo to inwestycja w przyszłe życie, a nie romantyczne puszczenie wianków. Byłoby hańbą dla mnie i mojego dworu, gdyby tak majątna i dobrze urodzona dwórka wyszła za mąż za sprzedawcę owoców z jakiegoś Łobzowa.

– Ale ja nie mam przecież żadnego majątku – odparła cicho Amalia, przełknąwszy lekceważenie, z jakim jej przyjaciółka mówiła teraz o Szymku.

Jadwiga zawahała się na moment.

– Nie rozmawialiśmy nigdy na ten temat – podjęła po chwili – ale twój zmarły ojciec zostawił ci spadek, który masz otrzymać w dniu swojego zamążpójścia.

– Kim był mój ojciec?

– Bohaterem, przyjacielem mojego ojca. Był też bogaty i gdyby nadal żył, na pewno nie zgodziłby się na ślub swojej jedynej córki z synem wieśniaka.

Amalia poczuła wzbierający gniew. Wiedziała, że popełnia błąd, ale była w tej chwili wściekła na Jadwigę, która zamieniła się w kogoś obcego i okrutnego. Jakby chciała się na mnie zemścić za swoje niechciane i nieudane małżeństwo, pomyślała.

– Pytam, kim był mój prawdziwy ojciec.

– Słucham?

W oczach Jadwigi pojawiło się zdumienie i jeszcze większy chłód.

– Chciałabym poznać prawdę – odparła dziewczyna.

– Jaką prawdę? O czym ty właściwie mówisz?

– O moim ojcu.

Królowa wstała na znak, że rozmowa skończona.

– Tylko przez wzgląd na naszą przyjaźń nie ukarzę cię teraz za bezczelność i sposób, w jaki zwracasz się do swojej władczyni. Możesz odejść.

Amalia wypadła z komnaty jak burza. Biegła korytarzami, potrącając po drodze zaskoczonych dworzaków, a jej twarz zalewały łzy. Na zakręcie wpadła na pokojową królowej, która niosła przed sobą kosz z czystą bielizną. Zawartość kosza wypadła na kamienne płyty podłogi.

– Co się stało? – spytała dziewczyna, kiedy obie zaczęły zbierać rozrzucone prześcieradła. – Wilki cię gonią czy co?

Amalia potrząsnęła przecząco głową i wytarła łzy rąbkiem sukni.

– Trudna rozmowa z królową.

– Biedna ta nasza pani – westchnęła tamta. – Właśnie niosę prześcieradła na zmianę, bo w nocy przyszedł jej czas. Znowu się nie udało...

Amalia poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Gdyby wiedziała, nigdy nie pobiegłaby do niej, żeby w takiej sytuacji opowiadać o swoim szczęściu. Zachowała się okrutnie i samolubnie. Tylko skąd miała wiedzieć? Hedwig już od dawna jej się nie zwierzała.

Ale współczucie dla królowej nie trwało długo, przesłonięte urazą, a także poczuciem własnej krzywdy. W tej chwili Amalia była pewna, iż władczyni jest po prostu zazdrosna o jej miłość, o Szymka i o własną utraconą młodość. Jej tego wszystkiego odmówiono, odesłano Wilhelma do Wiednia i kazano młodej władczyni poślubić obcego, dużo starszego mężczyznę, którego ani trochę nie kochała, ba, z którym z początku nie mogła nawet porozmawiać bez pomocy tłumacza. Jadwiga nie zaznała smaku młodzieńczych pocałunków, romantyzmu potajemnych schadzek, nie

patrzyła w piękne oczy młodego ukochanego. Nawet jeśli spotykała się wcześniej z Wilhelmem, nigdy nie byli sami, więc nie mogli sobie pozwolić na takie czułości. Była tylko figurą na szachownicy, w rękach politycznych graczy, w obliczu dobra królestwa jej szczęście się nie liczyło.

Tylko dlaczego ona, Amalia, też miała za to płacić? Nie była królową, od jej wyborów nie zależały losy kraju.

Jedyne, czego teraz już trochę zaczynała żałować, to pytania dotyczące ojca. Nigdy nie przypuszczała, że będzie w stanie zagadnąć o to Jadwigę. A teraz tak właśnie uczyniła, na dodatek w złości. To był błąd, bez dwóch zdań. Nie dość, że wyjawiała swój sekret, to jeszcze uczyniła to chyba w najgorszym możliwym momencie. Czuła, że ów błąd teraz zaszkodzi nie tylko jej, ale i Szymkowi. Jadwiga była bardzo rozgniewana.

Ale cóż, stało się. Teraz wciąż jeszcze czuła gorycz, smutek i gniew.

Pragnęła natychmiast opowiedzieć o wszystkim Mildzie, ale przyjaciółka wybierała się właśnie do szpitala na Stradomiu. Jeden z przydzielonych jej do opieki dworzan już czekał i dawał ponagląjące znaki. Jeśli mieli się nie spóźnić, musieli wyruszyć natychmiast.

– Nie teraz, nie teraz! – zawołała, wkładając w biegu pelerynę i czepek. – Ta smoczyca mnie chyba zje, jak znowu się spóźnię. Opowiesz mi wszystko, kiedy wrócę.

Wyblakłe, jasnoniebieskie oczy ojca Winicjusza, hospitalariusza szpitala w Stradomiu, spoglądały na świat bez wyrazu.

Nic w tym dziwnego. Napatrzyły się na tyle chorób i śmierci, że na zawsze utraciły dawny blask. Nie potrafiły płakać, a i wyraz smutku gościł w nich tak rzadko, że inni wcale go nie dostrzegali. Najczęściej patrzyły właśnie beznamiętnie, nadając okolonej kapturem twarzy duchownego – z szerokim, władcym nosem oraz wąskimi ustami – wyraz osoby całkowicie pozbawionej uczuć, bezdusznej jak miejski kat.

Ale to były tylko pozory.

Ojca Winicjusza przejmowała smutkiem i współczuciem każda choroba i każda śmierć, tyle że nie potrafił już tego okazywać. Żaden wojownik nie widział tylu martwych ciał, tylu ran i nieszczęść, co stary, chudy zakonnik podczas swej trzydziestoletniej służby w szpitalu.

To widok ludzi zdrowych, młodych i pięknych był dla niego rzadkością. Miał okazję oglądać ich tylko wtedy, gdy opuszczał swój szpital, a czynił to nieczęsto, tylko z konieczności. I widział w nich nie rozkwit, lecz właśnie załóżki starości oraz zepsucia.

Ciało ludzkie, czymże ono jest? – zastanawiał się jeszcze w młodości jako jasnowłosy, pełen radości życia student.

Starożytni nazywali je mikrokosmosem, odwzorowaniem świata, ze swoimi wewnętrznymi oceanami krwi, rzekami oraz strumykami w postaci układu krwionośnego i szkieletem na kształt skalnego podłoża ziemi. Tak, tego uczył się Winicjusz podczas studiów w Padwie. Czytał wtedy Senekę, podziwiał piękne ryciny, pokazujące człowieka jako mieszaninę żywiołów: ziemi, wody, powietrza i ognia.

Ale wszystko się zmieniło, gdy zaczął obcować z pierwszymi chorymi i umierającymi.

Wtedy zdał sobie sprawę, że w ludzkim ciele nie ma nic pięknego ani wzniosłego, a człowiek – jak nauczał jego boloński mistrz, Antonio Galeazzo – to *prima bestia infra le animali* – czyli po prostu zwierzę między zwierzętami. W ropiejących wrzodach, skórnych plamach, spuchniętych członkach nie było nic nadprzyrodzonego. Zakonnik widywał ludzi umierających z powodu trawiących ich od środka chorób, lecz także tych, którzy schodzili z tego świata z powodu ran od noża, miecza lub pałki. Widział poderżnięte gardła, w których po śmierci ofiary zalegały się muchy, czy też roztrzaskane czaszki. Krótko mówiąc, całą szpetotę doczesnej ludzkiej powłoki. Tylko istnienie w niej najczystszej duszy ratowało Winicjusza od całkowitego zniechęcenia.

Dlatego teraz, gdy do jego izby weszła sztywna jak kij wawelska dama dworu, Krystyna, aby powiadomić go o śmierci kolejnej osoby, skinął tylko głową na znak, że zrozumiał.

– To była piękna śmierć – rzekła kobieta pogrążona w jakiejś dziwnej ekstazie, która zakonnikowi wcale się nie podobała.

– Żadna śmierć nie jest piękna – mruknął, podnosząc się ze stołka. Miał na sobie habit z naszytym na lewej piersi białym krzyżem.

– Ta, ojczce, była pogodna i lekka.

– Czyżby?

– Nasz drogi Wacław usiadł na łóżku i z twarzą opromienioną, jakby w tej właśnie chwili ujrzał oblicze Zbawiciela, oddał ostatnie tchnienie.

Wacław był starszkiem, który – jak sam utrzymywał – miał już sto lat. Zdawał się wyschnięty na wiór, całkowicie pozbawiony tłuszczu i soków. Mała czaszka obciągnięta żółto-brunatną skórą przypominała leżący na poduszce kasztan. Co dziwne, do końca zachowywał przytomność umysłu, opowiadał o czasach króla Łokietka i jego sporze z wójtem Albertem, przywołując z pamięci zaskakująco wiele szczegółów. Nie narzekał na ból, jedynie na osłabienie i przenikliwie zimno, które nie opuszczało go nawet tego upalnego lata. Wszyscy wiedzieli, że jego dni są policzone.

Pater hospitalarius oraz odziana w całkiem niestosowną w tym miejscu suknię z flamandzkiego płótna Krystyna wyszli na zewnątrz i szybkim krokiem ruszyli w kierunku budynku w północnej części szpitala, gdzie przebywali sami mężczyźni. Trzeba było minąć małe domki przeznaczone dla kobiet i dzieci, klasztor, a potem niewielki cmentarz. Wszystko to było zaniedbane i wymagało porządków oraz remontu, lecz brakowało pieniędzy na podobne prace. Niby szpital znajdował się pod opieką samej królowej, tyle że przeznaczone na niego środki nie wystarczały na znaczącą poprawę warunków. Ojcu Winicjuszowi marzyła się rozbudowa i stworzenie osobnych pomieszczeń dla podrzutków oraz włóczęgów, jak w szpitalu Świętego Ducha. Wielokrotnie rozmawiał z dworskimi urzędnikami, panami z Magistratu i Ławy, ale ci nieodmiennie rozkładali ręce, zaklinając się, że nie mają już skąd brać pieniędzy. A potem okazywało się, że znowu urządzono jakiś festyn, na który wyrzucono całe kopy groszy. Winicjusz już nawet się nie złościł – tak urządzony był ten świat. Nie dla chorych i biednych, tylko dla bogaczy, którzy przede wszystkim chcą się bawić.

Dlatego też teraz szedł przed siebie z pochyloną głową i nawet nie patrzył na otoczenie.

Było gorąco, oddychał z trudem.

– Należy od razu przenieść ciało do kostnicy – powiedział. – Czy praefectus sanitatis jest już na miejscu?

– Nikogo jeszcze nie powiadomiłam.

– Zaraz kogoś pošlę.

Weszli do męskiej infirmerii, przebyli ciemny korytarz i wkroczyli do sali, w której między innymi leżał zmarły. Znajdował się tu ołtarz, a łóżka chorych ustawiono w komórkach przesłoniętych kotarami. Łóżko Wacława było teraz odsłonięte. Stała już przy nim młoda zakonnica, zatopiona w modlitwie.

– Czemu go nie zakryto? – surowo spytał hospitalariusz.

Rzucił okiem na zwłoki i wyraz twarzy starca wcale nie wydał mu się tak łagodny i promienny, jakby Waclaw ujrzał w ostatniej swej chwili Jezusa. Jego rysy zastygły raczej w grymasie cierpienia i strachu. Ale duchowny nie dopytywał już Krystyny, ta kobieta wzbudzała jego szacunek samą chęcią przebywania tutaj, wśród ubogich i umierających. Nikt z zamku nie miał na tyle miłosierdzia, aby pojawiać się w przykościelnym szpitalu w Stradomiu. Memento mori – tej sentencji woleli nie rozumieć żyjący w luksusie dworzanie.

Ach, prawda, ostatnio u boku Krystyny pojawiała się jakaś naburmuszona jasnowłosa dziewczyna, lecz widać było z daleka, iż nie przychodzi tutaj z własnej woli, tylko została do tego przymuszona.

Jakby Winicjusz wywołał ją samą myślą, Milda pojawiła się nagle w drzwiach, zdyszana i zakłopotana.

– Przepraszam za spóźnienie – wyjąkała cicho.

Ochmistrzyni tylko westchnęła z irytacją na jej widok, nie zaszczycając dziewczyny ani słowem. Nawet czuła lekką satysfakcję, iż ma kolejny argument, aby poskarżyć się królowej na niepunktualność i nieodpowiedzialność Anny (nigdy nie nazwała jej Mildą). Może wreszcie władczyni przejrzy na oczy i zrozumie, że pomysł z przysłaniem Krystynie tej byłej poganki był chybiony.

– Nadchodzisz, dziecko, w bardzo smutnym momencie – odezwał się za to Winicjusz. – Nieszczęsny Waclaw oddał właśnie ducha Bogu.

– Och! – Dziewczyna schyliła głowę. Zdążyła już polubić tego gadatliwego staruszka, który opowiadał takie ciekawe historie. Kiedy była tu poprzedniego dnia, wcale nie wyglądał na umierającego.

– Ukłęknij – syknęła Krystyna. – Ukłęknijmy wszyscy przed majestatem śmierci.

Dwórka wykonała polecenie, sama ochmistrzyni także padła na kolana, wołając:

– Módlmy się za jego nieśmiertelną duszę!

– Requiem aeternam dona ei, Domine... – zaintonował ojciec Winicjusz.

– Et lux perpetua lucent ei – dopowiedziała Krystyna.

Kiedy zmówili już modlitwę za zmarłych, wstali, a Krystyna zakryła twarz nieboszczyka spraną, wytartą derką.

– Czy cierpiał? – spytała nieśmiało Litwinka.

– Nie – odrzekła ochmistrzyni. – Gdyż przed śmiercią pojednał się z Bogiem.

– Modlitwy skończone – oznajmił zakonnik. – Opuśćcie teraz to pomieszczenie, bo będziemy musieli znieść ciało do piwnicy. Jest bardzo upalnie.

– Oczywiście – odparła Krystyna. – Nie chcemy przeszkadzać.

Wszyscy wyszli: Winicjusz po męską pomoc do przeniesienia zmarłego, ochmistrzyni i Milda stanęły na zewnątrz, na ganku ponurego, piętrowego budynku szpitala. Krążyło tu mnóstwo much, wiedzących doskonale, gdzie należy szukać żeru. Słońce świeciło ostro, obie zmrużyły oczy po wyjściu z mrocznej izby.

– Ja wracam na zamek – rzekła Krystyna. – Ale nie musisz mi towarzyszyć. Wrócimy osobno, tak jak osobno przyszliśmy – dodała znacząco, wachlując się welonem czepca.

– Tak, cioteczko.

Tamta oddaliła się z godnością i po chwili zniknęła za załomem muru. Na końcu ulicy widać było wyraźnie majestatyczną bryłę Wawelu, górującą nad miastem. Milda nie zamierzała jeszcze wracać, chciała coś sprawdzić. Coś, co przykuło jej uwagę podczas modłów. Kiedy klęczały, prosząc o łaskę dla duszy Waclawa, dziewczyna zauważyła pod łóżkiem zmarłego cynowy kubek. Od razu zdziwiło ją, skąd się tam wziął. Było to zdecydowanie nieodpowiednie miejsce. Gdyby chory go upuścił, powinien leżeć na łóżku albo obok niego. Ten jednak znajdował się pod wezgłowiem, przy samej ścianie. Jakby ktoś go tam specjalnie schował.

Tylko po co? I kto?

Na pewno nie Waclaw.

Nie namyślając się długo, wbiegła do środka i znów ogarnął ją półmrok, zaduch i smród szpitala. Wąskim korytarzem podążyła w kierunku obszernej izby, w której umarł Waclaw. Miała szczęście, nikogo z posługujących w szpitalu już tam nie było. Tylko zza zasłoniętych kotarami komórek, ustawionych wzdłuż ścian, dobiegały jęki chorych. Nikt na nią nie zwrócił uwagi. Weszła cicho i przyklękła obok pustego jeszcze łóżka. Lada chwila miał je zająć kolejny nieszczęśnik, dlatego musiała się spieszyć. Położyła się na kamiennej posadzce, by namacać dłonią kubek. Znalazła go niemal natychmiast.

Kiedy już miała wychodzić, zza drzwi prowadzących na korytarz dobiegł do niej szelest i stukot cichych kroków. Jednym skokiem schowała się za zasloną łóżka znajdującego się przy samym wyjściu. Leżący na nim chory miał woskową twarz i oddychał z wyraźnym trudem. Wbił przerażony wzrok w Mildę, która przyłożyła palec do ust, prosząc go bezgłośnie, żeby nie zaczął krzyczeć.

Tymczasem na korytarzu nagle zrobiło się głośno. Ktoś biegł z głośnym tupotem, ktoś się awanturował, a nad całym harmiderem górował głos hospitalariusza, przywołujący wszystkich do porządku. Wyglądało na to, że chorzy pobili się o roznoszony właśnie skromny posiłek, czyli czarny chleb i polewkę. Milda odczekała chwilę, ale do sali nikt już nie wszedł. Tajemnicza osoba, która zamierzała to zrobić, prawdopodobnie zrezygnowała, nie chcąc zostać zauważoną. Ostrożnie wyjrzała na pusty już korytarz i biegiem, bezszelestnie wróciła na ganek. Tutaj spojrzała na kubek. Był pusty, ale na dnie pozostał mętny osad.

Powąchała.

Zapach był dziwny i jakby znajomy.

Marszcząc w zadumie brwi, pełna złych przeczuć, schowała kubek pod połę peleryny i ruszyła na zamek, ponaglana przez towarzyszącego jej zniecierpliwionego dworzanina, który przez jej niewieście fanaberie mógł się spóźnić na posiłek.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Królowa widocznie poczuła jakieś wyrzuty sumienia po tym, jak chłodno potraktowała Amalię podczas rozmowy o Szymku, gdyż już następnego dnia, zaraz po porannej mszy w katedrze, poprosiła dwórkę na bok.

– Przespacerujemy się trochę? – zapytała łagodnie.

Dzień wstał raczej pochmurny i zanosiło się na deszcz. Ale było ciepło.

– Wedle życzenia, Miłościwa Pani. – Amalia wykonała głęboki ukłon przed Jadwigą, która z trudem zapanowała nad gniewem. Przesada w tym ukłonie i unizoność aż rzucały się w oczy, ale królowa westchnęła tylko w duchu, prosząc Boga o cierpliwość. Amalia miała prawo poczuć się przez nią zdradzona, ale sama Hedwig nie czuła się winna. Nie wszystko musi iść po naszej myśli, czasami trzeba z czegoś zrezygnować w imię ogólnego dobra.

I dla zasad.

– Niepotrzebnie się gniewasz – rzekła, gdy ruszyły powoli przez dziedziniec. – Jeszcze mi kiedyś za to podziękujesz.

– Nie gniewam się, Miłościwa Pani.

– Nie udawaj. Porozmawiajmy jak dawniej. Jak na Węgrzech.

Te czasy bezpowrotnie minęły, pomyślała gorzko Amalia, ale nic nie odrzekła. Wciąż przepełniona była żalem, tym większym, że miała już za sobą bolesną rozmowę z Szymkiem. Kiedy opowiedziała mu o reakcji królowej na jej wyznania, nie dał poznać po sobie upokorzenia ani smutku, powiedział tylko, że to było do przewidzenia, ale i tak nie zrezygnuje z nauki i jeszcze kiedyś okaże się godzien Amalii. Widać było jednak, iż sam w to chyba nie wierzy. Bo jakież perspektywy miał przed sobą? Mógł zostać skrybą, kopistą albo też marnie opłacanym nauczycielem domowym córki jakiegoś rajcy. Aby zdobyć tytuł magistra czy – co już zakrawało na fantazję – rektora, musiałby ukończyć zagraniczne studia, a do tego trzeba było pieniędzy. Ani on, ani Amalia nie wierzyli, by królowa mu je dała,

zwłaszcza po tym wszystkim, co zaszło wczoraj. No, chyba że chciałyby się go pozbyć z Krakowa. Ale czegoś takiego nie musiała przecież robić, wystarczył sam kategoryczny sprzeciw. Na sam koniec Szymek zazartował jeszcze, że jeśli mu się nie powiedzie, wróci do wożenia owoców i będzie pewnie jedynym w królestwie woźnicą, który potrafi recytować Plauta i Cyserona.

Ten ponury żart chyba najbardziej zasmucił Amalię, bo wiedziała, że jest rozpaczliwą obroną przed olbrzymim smutkiem.

– Teraz z pewnością czujesz do mnie żal – mówiła Jadwiga, wpatrując się w zwirowaną ścieżkę – myślisz, że to największe nieszczęście, jakie cię spotkało. Uwierz mi, mogło się to wszystko skończyć gorzej.

– Nie wyobrażam sobie...

Jadwiga schyliła się, by podnieść ze ścieżki biedronkę. Przez chwilę obserwowała, jak owad spaceruje po jej wskazującym palcu.

– No to spróbuj – powiedziała. – Wyobraź sobie, że rzeczywiście poślubiasz tego chłopaka, a on zostaje skrybą. Jedyne, co będzie mógł robić, to przepisywać czyjeś teksty, pisma, prośby, może listy zakochanych rycerzy do ich wybranek. Zamieszkacie w jakiejś ubogiej izbie, bo on, jako skryba, nie zarobi na nic lepszego.

– Przecież mam posag, sama mówiłaś, Najjaśniejsza Pani.

– Posag owszem, ale nie w przypadku takiego małżeństwa. Twój wybranek musi być ci równy, jeśli nie stanem, to choćby majątkiem. Nie może wzbogacić się twoim kosztem. Taki warunek postawił twój ojciec.

Amalia zacisnęła usta, w jej oczach pojawiły się łzy.

– No więc wróćmy do tej zimnej izby. – Jadwiga dmuchnęła i pozwoliła biedronce odlecieć. – Bo zakładam, że nie stać was będzie na porządny opał. Pojawią się na świecie dzieci. Będą głodować. Naprawdę chciałabyś dla nich takiego losu? Wasza miłość ich nie wyżywi ani nie ogrzeje.

– Zawsze możemy zamieszkać na wsi, u ojca Szymka.

– W Łobzowie?

– Tak. Mają tam całkiem sporą chatę i ogromny sad. Mogłabym im pomagać.

– Rzuciłabyś to, co teraz masz, i zamieniła dwór na życie chłopki?

– Tak. Jeśli tylko w ten sposób mogłabym być z Szymkiem. Już zdążyłam zauważyć, że ani bogactwo, ani dobre małżeństwo wcale nie muszą gwarantować szczęścia. Wręcz...

Jadwiga spojrzała na nią ostro, dotknięta tą niezbyt subtelną aluzją.

– Dosyć. Widzę, że nie chcesz zrozumieć, kiedy staram się być miłą. Nawet uraza nie upoważnia cię do tak bezczelnego zachowania.

– Przepraszam, nie chciałam...

Ale królowa wciąż była zła.

– Powtarzam raz jeszcze: nie wyrażam zgody i nie dam ci błogosławieństwa, jeśli zdecydujesz się związać z tym żakiem.

– On nie zawsze będzie żakiem...

– Nie przerywaj mi! Już postanowiłam.

Przez chwilę obie szły we wrogim milczeniu. Minęły piekarnie, skąd dochodził smakowity zapach świeżo upieczonego chleba, a potem skręciły między rusztowania i skierowały się ku rosnącym obok muru cienistym wierzbom.

– Mam już dla ciebie odpowiedniego kandydata – odezwała się wreszcie królowa.

Amalia pochyliła głowę, ramiona jej opadły. Poczowała się przegrana. Uznała to za duży brak wyczucia u królowej, że w takiej chwili natychmiast proponuje jej jakiegoś obcego mężczyznę – czyżby w Jadwidze wygasły wszelkie uczucia? A może Amalia tak naprawdę nigdy jej nie знаła?

– Nic nie powiesz? – spytała władczyni.

– A mam coś do powiedzenia?

– Nie jesteś nawet ciekawa, kto to?

Nie, nie była ciekawa, kim jest kandydat królowej. Zdała sobie jednak sprawę, że nie wygra z Hedwig.

Nie, nawet nie z Hedwig.

Jej przyjaciółka z dzieciństwa umarła, teraz władzę nad nią miała królowa Jadwiga.

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

– A więc kto to taki? – spytała głucho.

Jadwiga ożywiła się trochę.

– To rycerz, Zbigniew z Radziejowic.

Zaczął kropić, zerwał się silniejszy wiatr. Młode kobiety zawróciły w kierunku królewskich apartamentów i przyspieszyły kroku.

– Nigdy o nim nie słyszałam – odparła ponuro Amalia.

– A on cię już widział. I bardzo spodobało mu się to, co zobaczył.

– Kiedy mnie widział? – spytała, choć ani trochę jej to nie interesowało.

– Przed wyjazdem z królem na Litwę. Podczas pożegnalnej uczy. Zbigniew wywodzi się wprawdzie z bocznej gałęzi Gryfitów, ale jest niezwykle szlachetny, no i bogaty. Posiada mały zamek w Rożnowie i jest wdowcem. Jego żona zmarła wraz z dzieckiem podczas porodu.

– Bardzo stary?

Po pogardliwym tonie, jakim Amalia zadała to pytanie, Jadwiga zorientowała się, że dwórka nie pyta o wiek zamku.

– To mężczyzna w sile wieku, nie jakiś młokos. Ale trudno o nim powiedzieć, że jest stary – odparła królowa ostrzej, niż zamierzała. Po chwili dodała już łagodniejszym tonem: – Ma ponad trzydzieści lat. Zresztą sama zobaczysz, kiedy przyjedzie wraz z królem z Litwy.

Przez resztę dnia Amalia snuła się po zamku jak struta. Zupełnie bezmyślnie wykonywała swoje obowiązki, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy. Ten dzień okazał się jeszcze gorszy od poprzedniego. Nie dość, że musiała zapomnieć o Szymku, to na dodatek dowiedziała się, że chcą ją wydać za kogoś, kogo zupełnie nie zna. Do kogo już teraz czuła jedynie niechęć, a wręcz wstręt. I nie mogła nic zrobić. Jej los został przesądzony, a zdecydowała o tym dawna przyjaciółka, wcale nie przejmując się uczuciami Amalii.

Ucieknę ze dworu, pomyślała w rozpaczy dziewczyna. Choćbym miała mieszkać z Szymkiem w szałasie. W życiu nie poślubię jakiegoś Zbigniewa. A jeśli mnie zatrzymają, pójdę do klasztoru, jak matka. Niech potem Jadwiga żyje ze świadomością, że zniszczyła mi życie.

Kiedy podzieliła się swoimi przemyśleniami z Mildą, ta zaczęła ją uspokajać.

– Spokojnie, kochana – powiedziała, obejmując Amalię na korytarzu, z dala od ich komnat. – Nic jeszcze nie zostało przesądzone. Ten cały Zbigniew wojuje na Litwie. Może będziesz mieć szczęście i go tam ubiją. A jeśli nie, to do jego przyjazdu jest jeszcze dużo czasu. Może królowa zmieni zdanie?

– Nie sądzę.

– Sama przyznałaś, że wczoraj wyprowadziłaś ją z równowagi swoim zachowaniem i tym głupim pytaniem o ojca.

– To akurat prawda.

– No więc właśnie. Działa teraz pod wpływem gniewu. Podjęła już decyzję za ciebie i za niego, ale nie jesteś jeszcze nikomu poślubiona, nie mam racji? Nawet twój przyszły mąż nie wie o tych planach. Zbyt pospieszne to wszystko.

– Ona pewnie go sobie upatrzyła dla mnie już dużo wcześniej.

Obie rozejrzały się przestraszone, czy nikt nie usłyszał tego „ona”. Takie wyrażanie się o władczyni było niedopuszczalne i mogło zostać surowo ukarane.

– Tak – odparła szeptem Milda. – Ale mogłaś się spodziewać, że przyjdzie czas, kiedy będą cię chcieli wydać za mąż. Mnie czeka wkrótce to samo, tylko w jeszcze gorszej wersji, bo nie jestem szlachetnie urodzona.

– To wszystko wydaje się takie niesprawiedliwe.

– Powtarzam, masz jeszcze czas. A kiedy ten starzec się tutaj pojawi, rób wszystko, aby go zniechęcić.

– Czyli co? – Amalia wreszcie uśmiechnęła się blado.

– Mam już kilka pomysłów. Naprawdę obrzydliwych.

– Na przykład?

– Rób miny, jakbyś była słaba na umyśle. Ludzie boją się takich chorych.

Teraz już Amalia musiała się roześmiać. Milda zawsze potrafiła ją rozbawić.

– A ty co miałaś mi do opowiedzenia? – spytała przyjaciółkę. – Wróciłaś z tego szpitala z miną, jakbyś znalazła tam skarb.

– Powiem ci wieczorem, jeszcze muszę coś sprawdzić.

Serce Mildy biło mocno, gdy tego deszczowego popołudnia przekraczała próg szpitala. Przyszła tu sama, bez cioteczki Krystyny – ba, nawet bez jej wiedzy – i nie wiedziała, jak zareaguje na jej wizytę ojciec Winicjusz. Bała się tego człowieka, jego przenikliwych oczu i nieruchomej twarzy, a także surowego głosu, w którym zawsze pobrzmiwała nuta zniecierpliwienia. Milda potrafiła wyczuć, że duchowny zarówno ją, jak i ochmistrzynię uważa za natrętne damulki i gdyby nie fakt, że przybywały z Wawelu, pewnie by ich w ogóle nie dopuścił do chorych. Niestety, nie miał nic do

powiedzenia. Królowa otaczała osobistą opieką ten właśnie szpital na Stradomiu, nic więc dziwnego, że wysyłała tu swoje dwórki.

Ale tak naprawdę żadnej korzyści z nich tutaj nie było. Podawać wodę i modlić się mogły pracujące w szpitalu zakonnice. Damy dworu raczej tylko przeszkadzały. Kiedy tak kręciły się bez celu po salach, klęczały pobożnie obok łóżek, prawdziwym opiekunkom trudniej było wykonywać swoją pracę, zwłaszcza tak niewdzięczną jak przewijanie, obmywanie, opróżnianie nocników czy też mycie posadzki. Siostry chyba również nie były zachwycone obecnością dwórek.

No, ale Milda nie miała wyjścia, musiała tu dzisiaj przyjść. I, co gorsza, porozmawiać z samym hospitalariuszem, który, jak już dobrze wiedziała, nie znosił, kiedy zawracano mu głowę.

Podenerwowana weszła do przedsionka o beczkowym sklepieniu, wspartym na granitowej kolumnie, i natychmiast poczuła dobrze znany zapach choroby. Gdzieś stukwały naczynia, zapewne siostry przygotowywały posiłek. Jakiś chrapliwy męski głos recytował modlitwę: Pater noster qui es in coelis..., z piętra dobiegał głośny kaszel. Zsunęła z głowy wilgotny od deszczu kaptur, poprawiła rozpuszczone włosy. Nabrała głębiej powietrza i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku izby ojca Winicjusza. Po drodze minęła kilku zakonnych dostojników. Był wśród nich definito, czyli doradca przełożonego zakonu, i zarządca, praefectus sanitatis. Pozostałych Milda nie знаła, ale wyglądało na to, że wszyscy oni wyszli od ojca Winicjusza z jakiejś ważnej narady. Zawahała się, czy to odpowiedni moment na zaprzątanie mu głowy, ale innej okazji mogła już nie mieć.

Przeżegnała się szybko i zapukała do drzwi.

Hospitalariusz nie był sam. Towarzyszyła mu jakaś niemłoda już siostra zakonna z haczykowatym nosem, w habicie z najtańszego brązowego sukna. Mówiła coś cichym, monotonnym głosem, a duchowny zapisywał jej słowa w rozłożonej na stole wielkiej księdze. Gdy Milda cicho weszła do środka, podniósł wzrok znad pergaminu. Jak zwykle nie okazał ani zdziwienia, ani niechęci, ale dziewczyna i tak poczuła się jak intruz.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – wybąkała.

- Na wieki wieków.
- Przyszłam dzisiaj sama.
- To chwalebne.

Wrócił do pisania i Litwinka przez jakiś czas słuchała skrzypienia gęsiego pióra i patrzyła na wiszący na ścianie olbrzymi krucyfik z groźnym Chrystusem. Nie bardzo wiedziała, co powinna w tej chwili powiedzieć, nie przygotowała sobie żadnego wstępu, gdyż była zbyt podekscytowana tym, co odkryła.

- Masz jakąś sprawę do mnie, dziecko? – odezwał się wreszcie Winicjusz.
- Tak, ojcze.
- No więc słucham.

Milda wyjęła spod płaszcza kubek.

- Znalazłam to przy łóżku zmarłego Wacława – rzekła drżącym głosem.

Winicjusz ostrożnie odłożył pióro, a potem wytarł ubrudzone atramentem palce.

- Kubek? – zapytał.

- Owszem, leżał pod łóżkiem.

- I uznałaś, dziecko, za stosowne mnie o tym specjalnie powiadomić?

– Chciałam tylko zapytać, czy to własność szpitala. – Milda coraz bardziej traciła pewność siebie pod wpływem tego nieruchomego spojrzenia i cichego, pozbawionego emocji głosu.

– Naturalnie, że tak – odparł hospitalariusz, splótnszy dłonie nad stołem. – A skąd by się tu wziął jakiś inny? Wszystkie naczynia należą do szpitala.

Stojąca nad ojcem Winicjuszem zakonnica odchrząknęła dyskretnie, po czym powiedziała:

- Ten akurat nie jest nasz.

- Słucham? – spytał zakonnik.

– To nie nasz kubek. My mamy drewniane i gliniane, najtańsze, a ten jest cynowy. Chyba przyniesiony z Wawelu.

- Przez cioteczkę Krystynę? – żywo zainteresowała się dziewczyna.

– Pewnie tak. – Siostra wzruszyła ramionami. – To ona parzy w takich kubkach zioła.

- Parzy zioła? To nie wy je przygotowujecie?

– Przygotowujemy. Ale nie w takich kubkach. Ten jest jej, czasami sama zajmuje się wywarami, żeby nas odciążyć.

- Na pewno?

Ojciec Winicjusz wciągnął głęboko powietrze przez nos.

– Czy ktoś mi wytłumaczy, o co tu chodzi? – spytał. – Dlaczego rozmawiamy o głupstwach?

– Już nie przeszkadzam – odparła dziewczyna. Kręciło jej się w głowie od przepelniających ją emocji. – Dziękuję za wyjaśnienia.

Nie czekając na odpowiedź, wybiegła z pomieszczenia.

Po powrocie na zamek natychmiast odnalazła Amalię, która była teraz trochę spokojniejsza niż rano. Zamknęły się w świetlicy, w której zwykle odbywały się lekcje tańca.

– Co się stało? – spytała półgłosem Amalia. O szybki okien uderzał gwałtowny deszcz. – Po co ci ten kubek?

– To dowód.

– Na co?

Milda zignorowała pytanie i najpierw pokrótce opowiedziała przyjaciółce o śmierci starego Waława.

– Mówisz, że miał sto lat? – zaintrygowała się Amalia.

– Tak przynajmniej utrzymywał.

– No cóż, trudno zatem uznać jego śmierć za coś niezwykłego.

– Niby tak. Ale może dożyłby stu jeden, gdyby ktoś mu nie pomógł umrzeć.

– Po co ten ktoś miałby to robić?

– A skąd mam niby wiedzieć?

– Więc już nic z tego nie rozumiem. – Amalia bezradnie rozłożyła ręce.

Tamta odczekała chwilę, po czym postukała palcem w kubek.

– Znalazłam go pod łóżkiem zmarłego.

– No widzę. A co w tym dziwnego?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, podobno takie naczynia przynosi ze sobą Krystyna, żeby parzyć w nich zioła. W szpitalu mają inne, a nikt oprócz smoczycy tam się nie pojawia, by poić chorych swoimi eliksirami.

– Dobrze. A więc to jej kubek.

– Tak.

– No a po drugie?

Milda popatrzyła na Amalię w taki sposób, że ta poczuła na plecach zimny dreszcz.

– A po drugie, w środku była chyba trucizna.

Amalia potrzebowała kilku chwil, aby ochłonąć. To, co usłyszała, wydało jej się tak niedorzeczne, iż całkowicie zapomniała i o Zbigniewie, i o Szymku. Kiedy zrozumiała, że przyjaciółka nie żartuje, zapytała:

– Jesteś pewna?

– Niemal pewna. Kubek był pusty, jednakże na dnie zostało jeszcze kilka kropel czegoś, co staruszek musiał wypić przed śmiercią. Ostrożnie dotknęłam czubkiem języka brzegu tego kubka i wyczułam ostry, piekący smak. Znam go doskonale. Poza tym myślę, że ktoś specjalnie schował pod łóżkiem ten kubek, żeby później po niego wrócić.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem. – Milda wzruszyła ramionami. – Podejrzewam. Wygląda na to, że ktoś musiał zaskoczyć osobę, która to zrobiła, albo po prostu nie miała jak ukryć naczynia pod ubraniem. Czekala więc na odpowiednią chwilę.

Opowiedziała przyjaciółce o krokach słyszanych pod drzwiami sali. I o tym, że niespodziewane zamieszanie na korytarzu prawdopodobnie kogoś spłoszyło.

Amalia z przerażeniem wpatrywała się w przyjaciółkę.

– Chybabym umarła ze strachu... Ale czekaj, próbowałam czegoś, co może być trucizną?

– Nie obawiaj się, znam się na tym. Ina nauczyła mnie wszystkiego, co trzeba wiedzieć o truciznach. W małych dawkach są nieszkodliwe. A nawet mogą być stosowane jako lekarstwa. Jak na przykład to, co prawdopodobnie podano do wypicia sędziwemu Wacławowi.

– Czyli?

Milda miała triumfujący wyraz twarzy, dziwnie niepasujący teraz do sytuacji.

– Tojad – rzekła. – Jedna z najniebezpieczniejszych i działających natychmiast trucizn. Wygląda na to, że temu staruszkowi ktoś pomógł umrzeć. Ktoś, kto użył do tego kubka cioteczki Krystyny.

W powietrzu zawisły niewypowiedziane podejrzania. Zamiast je wypowiedzieć, Amalia zapytała:

– I co z tym zrobimy?

Milda była jej wdzięczna za tę liczbę mnogą. Wiedziała już, że może liczyć na przyjaciółkę.

– Nie wiem – odrzekła. – Na pewno nie możemy teraz nikomu o tym wspominać. To zbyt poważne oskarżenia. Musimy mieć całkowitą pewność.

– Pewność, że...? – Amalia chciała to wreszcie usłyszeć wprost.

– Że stoi za tym nasza pobożna cioteczka. Moim zdaniem tylko ona mogła to zrobić.

– To jakieś szaleństwo! – Oszołomiona Amalia pokręciła głową. Wciąż nie potrafiła w to uwierzyć. – Dużo można jej zarzucić, z pewnością jest niesamowitą jędrą, ale żeby od razu morderstwo?

– Posłuchaj, ani ja, ani ty tego nie wiemy. Ale nie zaszkodzi uważniej przyglądać się naszej Krystynie.

– No dobrze. Założmy, że ochmistrzyni coś ukrywa. Została tam, kiedy wyniesiono ciało zmarłego?

– Nie, wróciła na Wawel, a przynajmniej tak zapowiadała. Rzeczywiście, poszła w tamtym kierunku i szybko zniknęła za rogiem szpitala. Przecież mogła zawrócić.

– To prawda, mogła... Ale jedyne, co mamy, to ten kubek.

– Truciznę – poprawiła ją Milda.

– Albo lekarstwo, jak sama mówiłaś.

Milda prychnęła niecierpliwie.

– Jeśli miało to być lekarstwo, to skutecznie wyleczyło staruszkę ze wszystkich chorób tego padołu łez. Ujmę to tak: są dwie możliwości, jedna taka, że ktoś – może Krystyna – popełnił błąd podczas leczenia, źle odmierzył proporcje ziół i wysłał Wacława na tamten świat. Takie rzeczy się zdarzają, prawda? Lecz niepokoi mnie druga możliwość.

– Że ktoś – może Krystyna – umyślnie go zabił?

– Właśnie.

– W dalszym ciągu nie rozumiem po co.

– Ja też. Ale ludzie bywają dziwni. Kiedyś w Wilnie skazano na utopienie kobietę, która uśmierciła swojego chorego męża. Tłumaczyła, że chciała

zaoszczędzić mu cierpień i pomóc przenieść się do lepszego świata. Że był to akt łaski.

– Myślisz, że...?

– Przypomnij sobie o dzieciństwie Krystyny.

– Dżuma i szczury?

– Otóż to. Myślałam już trochę na ten temat. Jeśli jako dziecko napatrzyła się na tak okropne rzeczy, widziała powolną śmierć najbliższych, pogryzione ciała i szczury, to może jej się wydawać, iż dla cierpiących śmierć jest ocaleniem. A ona, przyspieszając zgon, posiada władzę nad człowiekiem i jego zbawieniem. Jest jak anioł. Zresztą w szpitalu niektórzy nazywają ją aniołem. Miłosierdzia.

Amalia przez chwilę milczała, w zamyśleniu skubiąc koronkę przy rękawie sukni.

– W twoich ustach wszystko to brzmi prawdopodobnie – przyznała wreszcie. – Ale to tylko przypuszczenia.

– Naturalnie. Niemniej mamy też kilka rzeczy, których możemy być pewne: gwałtowna śmierć Wacława, ukryty pod łóżkiem kubek, który nie należy do szpitala, trucizna, wiadomość, że to Krystyna podawała zioła.

– Trochę tego jest, prawda. Niepokoi mnie teraz inna rzecz.

– Tak?

– Jeśli rzeczywiście stoi za tym Krystyna, to wróciła po kubek. I go nie znalazła.

– Racja. Może więc zacząć podejrzewać mnie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nic nie wyszło ze śledztwa Mildy w stradomskim szpitalu, ponieważ nazajutrz po rozmowie w świetlicy królowa poinformowała ją, iż koniec już z pomaganiem pobożnej ochmistrzyni.

Czy Jadwiga sama uświadomiła sobie wreszcie bezcelowość tej współpracy, czy też cioteczka wyprosiła u władczyni tę decyzję – można się było jedynie domyślać. W każdym razie Milda nie miała już powodów, aby chodzić na Stradom. Z jednej strony naturalnie uradowało ją, iż nie musi więcej towarzyszyć smoczycy ani oglądać ludzkiego cierpienia, z drugiej jednak czuła pewne rozczarowanie.

Trucizna w kubku nie dawała jej spokoju, ale teraz dziewczyna nie mogła już wyjaśnić tej zagadki. Ciekawa była, czy hospitalariusz albo towarzysząca mu tamtego deszczowego popołudnia zakonnica wspomnieli coś Krystynie o niespodziewanej wizycie i dziwnych pytaniach jasnowłosej dwórki. Ojciec Winicjusz nie wydawał się człowiekiem szczególnie gadatliwym, ale tamta siostra... Kto wie? Kobieta pozostaje kobietą, nawet gdy nosi habit.

Jak powiadał ojciec Albert, żadna niewiasta nie potrafi zachować sekretu dla siebie, bo jest to sprzeczne z jej naturą. Jeśli zakonnica powiedziała coś ochmistrzyni, ta mogła poczuć się zagrożona i jeszcze tego samego dnia wyprosić u królowej, by uwolniła ją od niepunktualnej i krnąbrnej pomocnicy. To by miało sens, lecz w tym przypadku Milda musiała opierać się tylko na domysłach.

Na całe szczęście udało jej się utrzymać całą rzecz w tajemnicy. Kiedy odkryła śmiertcionośną zawartość kubka, poczuła zawroty głowy, jakby niespodziewanie stanęła nad brzegiem przepaści. Zachowała jednak na tyle przytomności umysłu, że nie podzieliła się podejrzeniami z zakonnikiem. Tego typu oskarżeń nie można rzucać ot tak sobie. Przez następne dni przyglądała się uważnie Krystynie na zamku, szukając jakichś śladów

niepokoju czy innego dziwnego zachowania, które mogłoby być efektem nieczystego sumienia.

Nie dostrzegła jednak żadnych zmian w zachowaniu cioteczki.

Co jeszcze niczego nie dowodziło. Jeśli ta kobieta była zdolna z zimną krwią podawać truciznę chorym, to zapewne umiała też nad sobą panować.

Jakim jednak potworem musiałyby być, aby posunąć się do takich czynów? Nie mieściło się to Mildzie w głowie. Nawet jeśli tamta rzeczywiście uznawała się za Anioła Miłosierdzia, który skraca cierpienia umierającym i doprowadza do szybszego zbawienia ich dusz, musiała przecież wiedzieć, że odbiera ludziom życie, co było śmiertelnym grzechem i groziło najwyższą karą tutaj, na ziemi. Czy Krystyna mogła być na tyle szalona, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy? Owszem, miała trudne dzieciństwo, lecz Mildzie też przecież nie było łatwo, a nie zmieniła się w demona. No cóż, każdy człowiek jest tajemnicą, kto może wiedzieć, co się dzieje w głowach innych ludzi? Litwinka wciąż miała nadzieję, że do nikomu niepotrzebnej śmierci stulatka przyczynił się błąd w sztuce medycznej. Krystyna nie była przecież żadną uzdrowicielką, mogła po prostu się pomylić, takie rozwiązanie zagadki wydawało się najprostsze.

Najmniej przerażające.

Tyle że Milda miała złe, naprawdę złe przeczucia. I jej źródłem wcale nie był jej nadzwyczajny talent czy też dar, jak to nazwał tatarski szaman.

Po prostu wyczuwała w tej kobiecie zło.

Zło w czystej postaci.

Podczas gdy tamta rozmyślała o wydarzeniu w szpitalu, Amalia powoli przyzwyczajała się do myśli o czekającym ją w niedalekiej przyszłości małżeństwie.

Kiedy pierwszy żal minął, boleśnie zdała sobie sprawę z tego, że plany związane z Szymkiem były tylko dziecinną mrzonką. Dała się ponieść uczuciom, oszołomić zmysłom, doznając czegoś, czego wcześniej nie знаła. Lecz ostatecznie jej marzenia nie wytrzymały konfrontacji z twardą rzeczywistością. Niestety, prawdziwe życie uświadomiło dziewczynie, że nie jest panią własnej woli – była królewską dwórką, a powaga królewskiego dworu ucierpiałaby znacznie, gdyby osoba z najbliższego

otoczenia władczyni poślubiła ubogiego chłopaka z Łobzowa. Życie na Wawelu, w pobliżu Jadwigi, było zaszczytem i oferowało mnóstwo korzyści, ale stawiało też specjalne wymagania.

Nic za darmo.

Z rezygnacją więc, jednak coraz częściej zastanawiała się, jaki jest ów rycerz, którego dla niej przeznaczono. Wprawdzie wciąż jeszcze samo jego imię – Zbigniew – budziło w niej niechęć, lecz czaiła się też pod nią rozumiała w takiej sytuacji ciekawość. Rycerze wydawali jej się do tej pory zupełnie obcymi ludźmi – hałaśliwymi, skłonny do okrucieństwa, spędzającymi większość życia w towarzystwie swoich kompanów.

Nie należało się zatem spodziewać czułego kochanka o poetyckiej duszy. Świeżo owdowiały wojownik, właściciel zamku, na pewno nie kierował się uczuciami, tylko własną korzyścią. Amalia była mu potrzebna do rodzenia dzieci, głównie synów, którzy odziedziczyliby po nim majątek i społeczną pozycję. Taka od zawsze była rola kobiety, a jeśli któraś się na to nie godziła, szła do klasztoru.

A po tym, jak przed kilku laty odwiedziła swoją biedną matkę, Amalia wiedziała, że życie pośród zakonnicy byłoby dla niej nie do zniesienia. Młoda, z temperamentem, kochała zabawy, a także piękne stroje i nie zamierzała dać się zamknąć w celi, sam na sam z udręczonym obliczem Zbawiciela. Nie czuła się nawet wystarczająco pobożna, by to uczynić. Tym między innymi różniła się od Jadwigi, która – zwłaszcza odkąd na jej temat zaczęły krążyć paskudne plotki – bezustannie się modliła i pościła.

Małżeństwo, choćby pozbawione miłości, wydawało się jednak mniej ponurą perspektywą niż życie w klasztornych murach. Amalia nawet przestała się łudzić, że jakimś cudem nie dojdzie do jej ślubu ze Zbigniewem. Jeśli nie on, zaraz znajdzie się inny kandydat. Czas wygnania nadejdzie wcześniej czy później. Bo czymże innym jest małżeństwo, jak nie wygnaniem ze dworu?

A także z dawnego życia.

Lato upłynęło szybko i powrót wojsk Jagiełły z Litwy stawał się coraz bliższy. Przez ostatnie tygodnie Amalia prawie w ogóle nie spotykała się z Szymkiem. Oboje wiedzieli, że takie kontakty pogorszą tylko i tak już

niełatwą sytuację. Dlatego też była bardzo zaskoczona, kiedy pewnego upalnego wrześniowego dnia młody student pojawił się na Wawelu i odszukał ją w ogrodzie różanym.

Mimo wszystko ucieszyła się na jego widok, brakowało jej szelmowskiego uśmiechu Szymka.

– Uciekłeś z wykładów? – spytała.

– Dzisiaj dzień wolny. Pobielają ściany w szkole, na polecenie królowej. Wszędzie śmierdzi wapnem. Mam je chyba nawet we włosach.

Przysiadł obok niej na kamiennej ławce, niedaleko altanki. Był w zielonym kaftanie, na głowie miał czerwony beret z piórem.

– Gorąco – wysapał.

– To prawda.

– Ty, jak widzę, też próżnujesz.

– Nie mamy teraz zbyt wiele zajęć. Królowa jest zajęta sprawami administracyjnymi, nie ma czasu na spotkania z nami.

– No tak. To może i dobrze się składa.

– Dlaczego?

– Bo mam pewien pomysł.

W jego oczach pojawił się znajomy błysk.

– Masz zamiar znowu przemycić mnie do miasta, jak pierwszego dnia? – zapytała z uśmiechem.

– Mam dużo lepszy pomysł.

– Szymonie, nie powinniśmy...

– To zupełnie niewinne.

– Jakoś trudno mi uwierzyć.

Zdjął z głowy beret i zaczął się nim wachlować. Długie i miękkie pióro połaskotało Amalię w twarz. W oddali zadźwięczały dzwony.

– Posłuchaj, wypożyczyłem od kolegi łódź. Co ty na to, abyśmy sobie urządzili wycieczkę po Wiśle.

– Żartujesz? – Amalia spojrzała na niego zdumiona.

– Jestem śmiertelnie poważny.

– Nie ma mowy. Po pierwsze, nie wolno nam się spotykać. Po drugie, ja... nie umiem pływać.

– Ale ja umiem. A rzeka jest spokojna. Lato było wyjątkowo upalne, poziom wody się obniżył, więc łódka się nie wywróci.

– To głupi pomysł.

Szymek podniósł się z ławki.

– Odkąd zrobiłaś się taka ostrożna? Nie poznaję cię.

– Może wydorostałam?

– Przyjdzie na to czas, jak cię oddadzą jakiemuś ponuremu staruchowi. Na razie nie jesteś jeszcze mężatką, powinniśmy się zabawić. Ostatni raz. Poczujmy się jak dawniej.

Przygryzła dolną wargę i mimo że wciąż kręciła przecząco głową, to – trochę wbrew sobie – zaczęła się zastanawiać nad słowami Szymka. Może to rzeczywiście nie był aż taki zły pomysł? Czemu już teraz miała się zachowywać jak stateczna żona rycerza? Jest młoda, czy resztę jej dni na Wawelu powinno wypełniać bezczynne oczekiwanie na ślub? A jednak... Czują, że nie może ulec pokusie, że to pogorszyłoby sprawę, na nowo rozbudziłoby to, co powoli przygasało, co powinno całkowicie zgasnąć.

– Nie, Szymku. Możemy porozmawiać sobie tutaj. Grzecznie i dostojnie.

Chłopak chwycił ją za rękę.

– Tutaj jest nudno. Zapomniałaś, że na tym świecie o losach kobiet decydują mężczyźni? – uśmiechnął się kpiąco.

– To nie jest śmieszne.

– Ten ostatni raz, proszę.

– Nie.

– Przygotowałem wino, ser i owoce. I teraz cały mój trud pójdzie na marne.

– Trudno.

– Wcale tak nie myślisz.

– Aż tak byłeś pewien, że się zgodzę?

– Znam cię. Tylko udajesz, że się zmieniłaś. Ale mnie nie nabierzesz.

– Jesteś bardzo pewny siebie.

– Taki się już urodziłem.

– A ja urodziłam się uparta.

W tej chwili dobiegło do nich spoza drzew klaśnięcie w dłonie i głos cioteczki Krystyny:

– Młode damy! Jeśli nie wiecie, co ze sobą począć w to piękne popołudnie, zapraszam na nabożeństwo. Podziękujmy Panu za słońce i zdrowie!

– O nie – jęknęła Amalia. – Tylko nie to.

– A może jednak modlitwa byłaby najlepsza? – rzekł z triumfującą miną Szymek. – Pomyśl o przyjemnym chłodzie kościelnej nawy.

– Gdzie masz tę łódkę? – spytała prędko.

– Pod Wawelem.

– Muszę się do tego przebierać?

Spojrzał sceptycznie na jej suknię w barwie zgaszonego fioletu, ale odparł natychmiast:

– Nie.

– To idziemy.

Łódź, całkiem spora, czekała przycumowana do jednego z pali na nadbrzeżu, pod samym Wawelem. Ledwie ją było widać pośród gęstych trzcin.

– Na pewno umiesz nią sterować? – upewniała się Amalia, próbując omijać najbardziej podmokłe miejsca.

– Lepiej niż wozem ojca. Wsiadaj.

– A ty?

– Muszę cię najpierw odepchnąć od brzegu.

– Boję się. Może to jednak zły pomysł?

– Nie ma się czego bać. Wskakuj, no już!

Podkasawszy zupełnie nieodpowiednią na tego rodzaju wycieczkę suknię, przycupnęła na poprzecznej desce. Lewą dłonią kurczowo uczepliła się wilgotnej burty, prawą uczyniła znak krzyża.

Szymek sprawnie odwiązał łódź i zepchnął ją na wodę, po czym sam wskoczył na pokład. Stanął w rozkroku na rufie, łapiąc równowagę, i długim wiosłem, które dotąd leżało w poprzek łodzi, odepchnął ich od brzegu. Leniwa fala uderzyła o burtę. Na wodzie unosiły się liście i kilka gałęzi drzew. Wisła nie wyglądała dzisiaj groźnie.

– Trzymasz się? – spytał.

– Trzymam.

Nie dbała o to, czy ktoś ich zauważy z okien zamku. Nie mogła już zmienić swojego przeznaczenia, cokolwiek by zrobiła. Zaczynało jej się to wszystko podobać. Poczowała się jak pątniczka, która weszła na pokład okrętu

zmierzającego do Ziemi Świętej. Tylko czekać na piratów, którzy ją porwą i sprzedadzą sułtanowi do haremu.

Rozległo się pluśnięcie, wiosło wynurzyło się z wody.

Po chwili wypłynęli już na środek rzeki, pod palącym wrześnieowym słońcem. Zobaczyła oba brzegi, porośnięte szuwarami, poczuła zapach mułu i rozgrzanej roślinności. Słysząc było krzyki wodnego ptactwa i brzęczenie owadów.

Nurt spychał ich na bok, łódka odrobinę chybotąła, ale Szymek sprawnie manewrował wiosłem, nie pozwalając, by woda ich zniosła.

– Dokąd płyniemy? – spytała Amalia.

– A dokąd chcesz?

– Do krainy Etiopów.

– Zgoda.

Wiśła była tutaj szeroko rozlana, dzieliła się nie tylko na osobne koryta, ale i na niezliczone odnogi, krótko mówiąc, tworzyła prawdziwy wodny labirynt, pełen wysepek, podmokłych brzegów, stawów, piaszczystych łąch. Krajobraz oszałamiał. Amalia poczuła się wolna po tych wszystkich dniach spędzonych w dusznych komnatach, kaplicach i na zagraconym dziedzińcu. Tutaj oddychała pełną piersią, nie czuła się przytłoczona ponurymi murami zamku.

– I jak ci się podoba? – spytał Szymek.

– Jest cudownie.

– A nie mówiłem?

– Będę miała czerwoną skórę od słońca.

– I co z tego?

– To nie przystoi damie. Tylko robotnicy i rolnicy są ogorzali.

– Ponieważ to oni żyją naprawdę.

– A ja nie?

– Ty jesteś zamknięta w kosztownej szkatule.

Płynęli powolutku, mijając nadbrzeżne wierzby, których pochylone gałęzie leniwie muskały ciepłą wodę. Silniejszy wir na środku rzeki poruszył łódką i Amalia aż się skuliła ze strachu.

– Spokojnie – rzekł Szymek.

– Łatwo ci mówić, przecież ja nigdy nie pływałam po Wiśle.

– Nic szczególnego. Moglibyśmy popłynąć teraz korytem Rudawy, ale boję się, że przy tej suszy łódka mogłaby nam osiąść na mieliźnie.

– To ty jesteś kapitanem statku – odparła, wciąż niepewnie rozglądając się na boki.

– Pożeglujemy wzdłuż Skalki – zdecydował.

Zanurzył wiosło i podpłynął bliżej brzegu. Pióro wynurzyło się z pluskiem i drobnym deszczem kropel zrosiło ich twarze. Niedaleko od nich płynęła barka wyładowana jakimś towarem, wywołując mnóstwo drobnych fal, które rozkołysały łódkę. Amalia zanurzyła palce w zielonkawej, chłodnej wodzie.

– Będzie mi tego brakować – rzekła smutno.

– Nie myśl teraz o tym.

Dobili do małej, zarośniętej krzakami wysepki. Przy jej brzegu rzeka była spokojna, zamulona. Szymek przywiązał łódkę w cieniu rozłożystej wierzby.

– Pora na posiłek – powiedział.

Odłożył wiosło, rozprostował ramiona, po czym sięgnął do sakwy i wyjął z niej skórzany bukłak.

– Wino kiepskie, ale na lepsze mnie nie stać.

– Teraz każde będzie dobre – odrzekła.

Podał jej naczynie, Amalia odkorkowała je i przyłożyła do spieczonych ust.

– Rzeczywiście paskudne – powiedziała, krzywiąc się.

– Nie psuj nastroju – odrzekł. A potem zaczął recytować z przesadną emfazą:

*Nos ad beatos vela mittimus portus
magni petentes docta dicta Sironis
vitamque ab omni vindicabimus cura.*

– Wergiliusz?

– Owszem. „Łódź moja płynie do błogiej przystani, gdzie według wskazań wielkiego Syrona wypłaczę życie z wszelkich trosk”.

Z niewielkiej wysepki widać było dobrze oba brzegi Wisły. Z jednej strony Skałka z kościołem Świętego Michała, z drugiej rozległe tereny gdzieś porośnięte brzoza i olchami, między którymi widać było małe chłopskie zagrody.

– Co tam jest? – spytała.

– Tam? – Szymek osłonił dłonią oczy i spojrział we wskazanym przez dziewczynę kierunku. – To Błonie. Wieś należąca do parafii na Skałce.

– A dlaczego nie widać pracujących wieśniaków? Przecież to jesień, powinni być chyba w polu.

– To tereny podmokłe, więc trudno na takich ziemiach coś wyhodować. Nasi biskupi mają tam stawy rybne. Stawy, cegielnie, wapienniki i młyn.

Amalia spojrzała na niego z podziwem; nieustająco imponowała jej rozległa wiedza chłopaka. Zwłaszcza ta na temat Krakowa.

– Czy istnieje jakieś pytanie, na które nie znasz odpowiedzi? – zażartowała.

Szymek posmutniał nagle. Wyciągnął do niej rękę po wino i pociągnął z bukłaka spory łyk.

– Tak, istnieje. Choćby to, dlaczego nie mogę poślubić niewiasty, którą kocham.

– Wiesz dlaczego. – Ona też posmutniała. – I oboje nie potrafimy tego zmienić.

– A ja wciąż czekam na cud. Mam nadzieję, że kiedyś nadejdą takie czasy, kiedy to wszystko, co nas teraz dzieli, nie będzie ważne. Najważniejsza będzie miłość, tylko ona się będzie liczyła.

– Proszę, nie mówmy teraz o tym. – W oczach Amalii pojawiły się łzy. Żałowała, że dała się namówić na tę wycieczkę. Znacznie trudniej było jej pogodzić się z czekającą ją przyszłością u boku niekochanego męża, daleko od Krakowa oraz przyjaciół, kiedy spoglądała w niebieskie, pełne uczucia oczy Szymka. – Nie psujmy tych pięknych chwil. Chciałabym je sobie zostawić w pamięci na czas, kiedy będzie mi źle i smutno.

– Będzie ci smutno beze mnie?

W odpowiedzi spuściła głowę i tylko nią pokiwała bez słowa.

Szymek dotknął podbródka Amalii i delikatnie przysunął jej twarz do swojej. Przez nieznośnie długą chwilę dziewczyna obawiała się, że jej nie

pocałuje. Wpatrywał się tylko z bliska w jej oczy pełnym żaru spojrzeniem. Czuła jego ciepły, przesycony zapachem kwaśnego wina oddech, a potem lekki dotyk jego ust na swoich. Zamknęła oczy i nagle doznała wrażenia, że unosi się nad ciałem. Szybowała w powietrzu wraz z ptakami, zanurzała się w białych obłokach, wszystkimi zmysłami chłonęła woń rzeki, drzew, pachnącego czymś słodkim wiatru. Nie chciała otwierać oczu. Zapomniała o zamku i czekającej ją niewątpliwie reprimendzie za wyjście po kryjomu, a także o królowej i zbliżającym się małżeństwie. Liczyła się tylko ta chwila, to cudowne i słodkie uczucie, ciepło obejmujących ją ramion Szymka.

– Kocham cię, Amalio – szepnął, odrywając się niechętnie od jej ust. – Pokochałem cię już w chwili, kiedy widzieliśmy się po raz pierwszy, a ty uznałaś mnie za dziewczynę.

Uśmiechnęła się przez łzy, przypominając sobie ową scenę.

– Co my teraz zrobimy, Szymku?

– To jest drugie pytanie, na które nie znam odpowiedzi. Nie pytaj dalej, bo znajdą się kolejne.

Słońce zachodziło powoli, czerwona kula odbijała się w migotliwej powierzchni Wisły. W oddali rozległ się głos dzwonu jednego z kościołów. Wyraźny, mocny dźwięk popłynął do nich po wodzie.

– Czas na nas. – Szymek zaczął pakować resztki sera i nieruszone nawet owoce z powrotem do koszyka. Niedojedzony chleb wrzucił do wody, skąd natychmiast rozległo się głośnie chlupanie i cmokanie. Pod powierzchnią kotłującej się wody widać było podłużne cienie żerujących w pobliżu ryb.

Amalia wstała z ciężkim westchnieniem, strzepując z sukni okruszyny i żdźbła trawy. Chociaż było jeszcze ciepło, poczuła nagły chłód i objęła się ramionami.

– Dziękuję ci za to popołudnie – powiedziała cicho. – To będzie moje najpiękniejsze wspomnienie, które wezmę ze sobą, kiedy...

Nie mogła dokończyć. Z płaczem przytuliła się do piersi chłopaka, a on objął ją delikatnie i znów pocałował. Z żarem oddawała mu pocałunki.

– Teraz to wspomnienie będzie jeszcze piękniejsze – powiedziała, kiedy już z trudem oderwali się od siebie. – Ja też cię kocham, Szymku. Ale oboje wiemy, że nasza miłość nie ma żadnej przyszłości.

Młody żak z trudem panował nad sobą. Zacisnął dłonie w pięści i wstrzymał oddech. Kiedy go ze świstem wypuścił, był już spokojny.

– A wiesz – odezwał się znowu, jakby chciał przerwać nieznośną ciszę i rozpaczliwie wypełnić słowami ogarniającą ich oboje pustkę – że po tamtej stronie Wisły, na brzegu, rosną na wiosnę kaczeńce? Wszystko jest wtedy żółte, całe kaczeńcowe łąki. Może do wiosny nie wyjedziesz i jeszcze je zdążysz zobaczyć?

Ale Amalia czuła, że nie będzie już takiej okazji. Że to ich ostatnia rozmowa i pożegnanie.

Pożegnanie z miłością.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Popołudnie spędzone z Szymkiem uświadomiło Amalii, że jej miłość do chłopaka wciąż jest żywa i długo jeszcze przyjdzie jej leczyć złamane serce. Przez chwilę nawet żałowała, że dała się namówić na tę przejażdżkę łódką, bez tego łatwiej byłoby jej o nim zapomnieć. Potem jednak dotarło do niej, że powinna dziękować za to losowi. Mogła na koniec przeżyć coś pięknego. I nie będzie już narzekać w przyszłości, że nigdy nie zaznała szczęścia. Przez to jedno popołudnie naprawdę była szczęśliwa.

Czuła się kochana i pożądana jak nigdy dotąd.

W tym miała przewagę nad królową, która nigdy nie mogła spotkać się z Wilhelmem bez wścibskich spojrzeń i przyzwoitek, nie poczuła słodczy niewinnych pocałunków. I chociaż Amalia zdawała sobie sprawę, że jej życie z Szymkiem nie byłoby przecież nieustającą romantyczną przygodą, taką jak w to ciepłe popołudnie na rzece, miała teraz mocniejsze niż wcześniej poczucie straty. Bardziej niż kiedykolwiek dręczyła ją bolesna pustka w sercu. Wydawało jej się, że nie może jej spotkać już nic gorszego niż życie u boku niekochanego mężczyzny.

Nie wiedziała jednak, że nad nią i jej najlepszą przyjaciółką zaczęły się właśnie zbierać ciemne chmury.

Wrześniowy dzień wciąż był słoneczny i ciepły, więc królowa postanowiła przenieść się ze swoimi dwórkami do ogrodu, żeby tam, w cieniu altanki i wśród oszałamiającego zapachu przekwitających już kwiatów, poczytać wspólnie o objawieniach Świętej Brygidy. Teraz już nie uznawała żadnych innych lektur niż tylko religijne. Dramatyczne lata, które nastąpiły po ślubie z Władysławem, bardzo ją zmieniły. Nie chodziło już tylko o ohydne plotki krzyżackie przedstawiające Jadwigę jako rozpustnicę,

lecz również o śmierć matki oraz uwięzienie siostry. Sama śmierć Elżbiety była dla niej tragedią, ale nie mniej bolesne okazały się jej okoliczności. Wszyscy na Wawelu wiedzieli, że zanim Bośniaczka została zabita, sama w podstępny sposób doprowadziła do śmierci Karola z Durazzo. To była plama na honorze całej królewskiej rodziny, morderstwo odbiło się szerokim echem w całej Europie. Tak więc Jadwiga czuła się podwójnie napiętnowana: jako córka morderczyni oraz niewierna żona Jagiełły. Wiedziała, że tylko praktyki religijne oraz nienaganny żywot mogą przywrócić dobre imię jej oraz całej węgierskiej rodzinie Andegawenów.

Wszystkie dwórki chętnie skorzystały z możliwości opuszczenia choć na chwilę zimnych i ponurych komnat zamkowych. Nagromadzony przez zimowe miesiące chłód nigdy nie opuszczał grubych, kamiennych murów. W gorące lata dawał wprawdzie przyjemne schronienie przed upałami, ale już od jesieni trzeba było rozpałać w wysokich kominkach.

– Dzisiaj przeczytamy fragment księgi trzeciej, w której matka wyjaśnia swojej córce słowa Chrystusa, porównując swoje życie do skarbu, Bóstwo do zamku, grzechy do dzikich bestii, a cnoty do murów.

Jadwiga lubiła czytać na głos i robiła to zawsze z wielką przyjemnością. Objawienia Świętej Brygidy były jedną z ksiąg, które poleciła przetłumaczyć na język polski, ponieważ nie wszystkie dwórki znały łacinę. Zrobiła to też ze względu na małżonka, którego również postanowiła umoralniać, bo język polski opanował już całkiem dobrze. Sama, na własny użytek, korzystała z łacińskiego oryginału.

Wśród śpiewu ptaków, uwijających się wokół altanki, popłynął jej melodyjny głos:

– Znam bowiem skarb, którego posiadacz nie będzie nigdy biedny. Kto go ujrzy, nie dozna cierpień ni śmierci. Kto go pragnie, będzie posiadał z radością to, czego chce. Lecz ten skarb jest ukryty w zamku strzeżonym przez cztery bestie.

Lekki wietrzyk przewrócił leżące na kolanach królowej stronicę księgi i musiała je teraz odwrócić. W swoich komnatach korzystała ze specjalnego pulpitu do czytania, tutaj trudno by go było ustawić na trawie czy na nierównej ścieżce. Poprawiła księgę i już nabrała powietrza, żeby powrócić do lektury, gdy nagle w drzwiach do ogrodu stanął ojciec Albert. Siwy wianuszek włosów na jego głowie był odgnieciony, jakby zakonnik dopiero

co wstał z łóżka, obwisłe policzki miał zaczerwienione, a na twarzy gościł bezradny uśmiech.

Zakonnik spojrzał w bezchmurne niebo, rozłożył szeroko ręce i zaczął śpiewać:

– Jużeś się wydała, jużeś jest po ślubie, wpuść ptaszka do gniazdka, niechaj se podziubie.

Wszystkie kobiety zamarły, patrząc na siebie ze zdumieniem, niektóre nawet z rozbawieniem. Bogobojny ojciec Albert śpiewający sprośną ludową przyśpiewkę? Nie zdążyły jeszcze ochłonąć, kiedy z ust zakonnika popłynęły strofy wiersza cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego, Henryka VI. Milda знаła ten fragment, cytowany kiedyś przez ojca Alberta, jako przykład poezji miłosnej.

*Ich mich ir verzige,
Ich verzige mich e crone...*

Wiele dwórek zachichotało cicho, myśląc zapewne, że mnich jest pijany, lecz obserwująca ów występ Milda pozostała poważna. Znała ten rodzaj zaćmienia umysłowego i wiedziała, czym się on zakończy. I nie myliła się. Nagle recytacja zamieniła się w niezrozumiały bełkot, uśmiech zamarł na ustach duchownego, a chwilę później ojciec Albert runął jak długi i stoczył się ze schodów, wprost pod nogi skamieniałego z przerażenia kobiecego dworu królowej, w końcu znieruchomiał w kałuży własnych wymiocin.

Królowa pierwsza odzyskała zimną krew i kazała bezzwłocznie wezwać naczelnego medyka. Ten nadbiegł po chwili, wycierając po drodze zatłuszczone od jedzenia palce w fałdy swojej obszernej czarnej szaty.

– Co mu się stało? – spytał. – Opity winem?

– Nie – odparła stanowczo Milda, a wszystkie twarze obróciły się w jej stronę.

– Skąd wiesz? – W głosie medyka słychać było powątpiewanie.

– Po prostu wiem.

Nie skomentował tej niezbyt grzecznej odpowiedzi, tylko ukląkł nad zakonnikiem, zbadał puls, uchylił nieprzytomnemu powiekę.

– Rzeczywiście. Nie czuję wina ani piwa – mruknął. – Jak to się stało?

– Śpiewał coś bez sensu, potem upadł – odparła Amalia.

- Miał drgawki? Uderzał głową o ziemię?
 - Nie.
 - Trzeba go przenieść do łóżka – zawyrokował medyk, podnosząc się z kolan.
 - Co to było? – spytała z troską w głosie królowa.
 - Pomieszanie umysłowe – odparł mężczyzna.
- Nie usłyszał, że po tych słowach Milda cicho prychnęła.

Ojciec Albert, wciąż nieprzytomny, przeniesiony został przez służbę do swojej sypialni i ułożony na pościeli, nad którym wisiał duży drewniany krzyż. Kilka dwórek – w tym Amalia i Milda – podążyło tam również, wciąż nie mogąc ochłonąć po tym dziwnym zdarzeniu. W surowej, mrocznej izbie, gdzie oprócz prostego łóżka ze zwykłym siennikiem stało jeszcze tylko kilka okutych kufrów, zrobiło się tłoczno. Medyk musiał się przepychać, by nożykiem z rękojeścią z kości słoniowej, wyjętym ze swojej tajemniczej skrzynki, puścić choremu krew. Jak wyjaśnił, należało bezzwłocznie uwolnić organizm od stanu humoralnego o nazwie plethora, czyli „wewnętrznego nadmiaru”, tym samym schłodzić wnętrze i wpuścić do nich powietrze. Bo, jak przecież wiadomo, choroba nie jest niczym innym, jak brakiem równowagi humorów w ciele. Według rzymskiego lekarza, Galena, owe humory to krew, dwa rodzaje żółci i śluz. Należało więc zacząć od krwi. Medyk podstawiał jakieś naczynie i jednym cięciem otworzył żyłę. Wszyscy w skupieniu przyglądali się temu zabiegowi, niemal wstrzymując oddech.

Ale pacjent wciąż nie odzyskiwał świadomości. Jego twarz wydawała się w nikłym popołudniowym świetle woskowobłada, ojciec Albert w ogóle nie był do siebie podobny. Jedna z dwórek, Helena, zaczęła cicho popłakiwać, lecz natychmiast kazano jej się uspokoić. Zanim wreszcie medyk wyprosił gapiów z sypialni, Milda zdążyła zauważyć opadający kącik ust zakonnika. Widziała już podobne objawy podczas swoich wizyt z Iną u chorych, a nawet niedawno, w stradomskim szpitalu. Ludzie dotknięci tą chorobą, jeśli w ogóle wybudzili się z omdlenia, tracili potem władzę w połowie ciała, mowę, a także zdolność chodzenia. Ina w takich

przypadkach również stosowała puszczenie krwi, bo, jak twierdziła, stan ten mógł być spowodowany jej nadmiarem.

Dwórki wróciły do ogrodu, ale królowa zakończyła czytanie. Uznała, że i tak nikt nie zdoła teraz się skupić na słowach płynących ze świętych ksiąg. Zaproponowała, żeby dziewczęta znalazły sobie jakieś bogobojne zajęcie, sama zaś poszła do ojca Alberta i medyków, którzy coraz liczniej pojawiali się przy jego łożu. Jak to zwykle bywa, każdy z nich miał własną teorię i proponował własny sposób leczenia. Musiała nad tym wszystkim zapanować.

Do końca dnia na zamku panowało duże zamieszanie, gdyż mimo swoich dziwactw ojciec Albert był kochany przez wszystkich, zwłaszcza przez uczennice.

– Anno! – Pani Krystyna zaczepiła Mildę na korytarzu, zaraz po wieczerzy. – Poczekaj chwilę. Chcę z tobą porozmawiać.

Litwinka aż zeszytniała. Serce zabiło jej mocniej.

– Tak, cioteczko?

Z niejakim zaskoczeniem dostrzegła, że ochmistrzyni ma oczy zaczerwienione od płaczu. Dziewczyna nigdy nie widziała u niej łez. Ten widok niemal nią wstrząsnął, bo nagle twarz Krystyny nabrała ludzkiego wyrazu, nie była już nieruchomą, zimną maską. Czyżby ta kobieta zachowała jakieś ludzkie uczucia?

– Mam nadzieję, Anno – rzekła łagodnie ochmistrzyni – że nasze wizyty w szpitalu nie poszły na marne i czegoś się tam dowiedziałaś.

Och, dowiedziałam się, pomyślała Milda, ale tylko skromnie skinęła głową.

– Bo widzisz, teraz twoje nowo nabyte umiejętności mogą się przydać.

– To znaczy?

– To znaczy, że czcigodny ojciec Albert, niechaj Bóg nad nim czuwa, wymaga specjalnej opieki. Oczywiście, ja będę przy nim tak często, jak to tylko możliwe. Ale chciałabym, abyś ty także go doglądała.

– Ja?

– Tak, ty, Anno. – Ochmistrzyni położyła dłoń na jej ramieniu. – Ojciec Albert bardzo cię lubi. Zawsze będziesz jego „małą poganką”. Pamiętaj,

jak cię nazywał na samym początku? – Błady uśmiech wykrzywił cienkie wargi Krystyny. – Ważne, aby w tych trudnych chwilach czuwał nad nim ktoś życzliwy, a nie jakaś obca dziewczka służebna.

Milda przyjrzała się podejrzliwie kobiecie w wysokim czepcu i w pokutnej niemal sukni w kolorze błota, z wiszącym przy pasie różańcem. Pani Krystyna wyglądała teraz jak uosobienie uczciwości i szczerości.

– Oczywiście – odparła Milda. – Będę się nim opiekować. Czy Amalia może odwiedzać go razem ze mną?

– Ależ naturalnie, że tak, drogie dziecko.

– W takim razie pójdę, by z nią porozmawiać.

– Dziękuję. Powiadomię królową o waszym poświęceniu.

Wprawdzie Mildzie niekoniecznie zależało na pochwałach monarchini, bo dla ojca Alberta i tak zrobiłaby wszystko, nie chciała jednak przedłużyć rozmowy, która z jakiegoś powodu wydawała jej się coraz bardziej niezręczna.

Krystyna ją zaskoczyła i Milda nie wiedziała jeszcze, co o tym myśleć.

Amalia, co było do przewidzenia, zgodziła się z ochotą czuwać przy chorym zakonniku.

– Będziemy mogły osobiście dopilnować, żeby ta smoczyca zanadto się do niego nie zbliżała – dodała konspiracyjnym szeptem, kiedy przystanąły na końcu korytarza, z dala od całego zamieszania.

– Tak – odparła Milda. – Ale trochę się niepokoję.

– Czym?

Znajdowały się na krużganku wewnętrznego dziedzińca, starając się, jak mogły, unikać towarzystwa innych dworzan.

– Po pierwsze, była dla mnie niespotykane miła.

– To rzeczywiście do niej niepodobne. Może ten atak ją zmienił?

– Może. Po drugie, czemu nas zagania do pomocy? Przecież sama na pewno nie będzie go odstępować na krok. Po co jej my? Nie lubi nas, a teraz będziemy musiały z nią się spotykać. W dodatku, jeśli rzeczywiście podtruwa chorych, to przecież wolałaby to robić bez świadków, prawda?

– Tak, to dziwne.

– I mocno podejrzane.

– Może jednak się pomyliłaś? – ostrożnie zasugerowała Amalia. – I może to nie była trucizna?

Milda tylko w milczeniu pokręciła głową.

Przystąpiły do swoich nowych obowiązków natychmiast i z pełnym zaangażowaniem. Kiedy tylko grono medyków przeniosło się do sąsiedniego pomieszczenia, żeby tam nadal kłócić się na temat sposobów leczenia chorego, dziewczęta zadbały, żeby ojciec Albert leżał w wygodnej pozycji. Niełatwo im przyszło odpowiednio przesunąć ciało, ponieważ zakonnik, co tu dużo kryć, sporo ważył, lecz w końcu dopięły swego. Już wcześniej któryś z dworzan zdjął zeń zabrudzony wymiocinami habit i przebrał zakonnika w długą koszulę nocną. Na ten czas wyproszono je z sypialni, żeby nie były świadkami nieobyczajnych scen, związanych z obnażaniem mężczyzny.

– Myślisz, że ojciec Albert umrze? – spytała szeptem Amalia, która do tej pory nie zetknęła się jeszcze z ludźmi ciężko chorymi, a nawet umierającymi.

Było to jej pierwsze doświadczenie i Milda musiała przyznać, że przyjaciółka zachowuje się bardzo dzielnie. Mimo zielonkawobladej twarzy i przestachu w oczach, bez oporów poprawiała nieprzytomnemu przykrycie, gładziła go po włosach i wilgotną szmatką przecierała mu czoło.

– Tego nikt nie może przewidzieć, wszystko w rękach Boga – odpowiedziała jej również szeptem Milda, jakby się obawiała, że chory ją usłyszy. – Czasami poprawia im się po kilku godzinach czy kilku dniach, innym razem umierają, nie odzyskawszy przytomności. Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje.

Z sąsiedniego pomieszczenia dochodziły coraz donośniejsze odgłosy narad. Ktoś przekonywał do puszczania krwi, ktoś inny przekrzykiwał go, żądając sprowadzenia pijawek. Narastający gwar świadczył o tym, że przeciwników i zwolenników obu metod było po równo.

– Zamiast ratować teraz ojca Alberta, kłóć się jak baby na jarmarku. – Milda z niesmakiem spojrzała w kierunku drzwi. – Powinni od razu coś

robić, a nie czekać, aż będzie jeszcze gorzej.

– Podśluchałam, że szykują miksturę do oczyszczenia mózgu – rzekła Amalia. – Nie pamiętam wszystkich składników, ale mówili coś o ałunie, goździkach, chyba o liściach szałwii. I wymieszaniu tego z octem winnym.

– W takim razie powinni już ją zastosować – odrzekła z lekką irytacją Milda. – Ina zawsze powtarzała, że liczy się czas. A ci urządzają sobie wieczne konsylium. Może jeszcze poczekają, aż główny astrolog sporządzi horoskop dla ojca Alberta.

– A ten eliksir pomoże?

– Nie wiem. Ale trzeba próbować. Od samego uczonego gadania nikt jeszcze nie wyzdrowiał.

Pod wieczór, kiedy w sypialni ojca Alberta zapalono już świece, przysła cioteczka Krystyna. Wyglądała już na dużo bardziej opanowaną niż podczas ostatniej rozmowy z Mildą.

– Jak tam nasz drogi chory? – spytała zatroskanym głosem.

– Bez zmian, ale chyba nie jest gorzej – odparła Milda. – Śpi spokojnie i już nawet tak dziwnie nie chrapie jak z początku.

Rzeczywiście, dziewczęta dopiero teraz zauważyły, że oddech chorego stopniowo się uspokajał, a po twarzy zaczęły przebiegać drobne skurcze.

– Wygląda, jakby... – Amalia z niedowierzaniem pochyliła się nad chorym – ...jakby zaczął się budzić.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła ochmistrzyni.

Odsunęła dziewczęta i sama nachyliła się nad zakonnikiem, niemal przykładając ucho do jego ust.

– Nie, on się nie budzi – wyprostowała się, poprawiając przechylony podczas tej akcji czepiec. – To tylko mimowolne skurcze. Obawiam się, że to początek najgorszego...

Przeżegnała się szerokim gestem i półgłosem zaczęła odmawiać modlitwę za umierających. Niecierpliwym gestem dała im znać, żeby się przyłączyły do modłów.

– Ale... – Popatrzyły niepewnie po sobie, a potem na nią. – Ale przecież ojciec Albert jeszcze żyje...

– Na modlitwy nigdy nie jest za wcześnie. – Krystyna wstała z klęczek i ze złością spojrzała na nie z góry. – Może być jedynie za późno! Tylko Bóg potrafi pomóc! To Pan zsyła choroby i Pan je leczy, człowiek i jego sztuka są bezradne wobec wyroków niebieskich!

Szybko jednak się opanowała, wygładziła suknię na brzuchu i westchnęła nabożnie.

– Cóż, możecie wrócić do siebie. Ja was zastąpię. Dziękuję wam, dziewczęta. Dziękuję z całego serca, Jezus Chrystus widzi wasze poświęcenie. Wyśpijcie się. Wróćcie tu jutro. O ile nasz biedny Albert dożyje jutra.

Te złowieszcze słowa zmroziły Amalię, lecz nie zamierzała dyskutować z panią Krystyną. Była już trochę zmęczona tym czuwaniem, wciąż nie mogła się też przyzwyczaić do mdlącego zapachu, dolatującego z łóżka chorego. Teraz już wiedziała, jak ciężką pracę wykonywała jej przyjaciółka w szpitalu. Nie było w tym nic wzniosłego, nic, co by przypominało barwne ilustracje w żywotach świętych, na których piękne królowe czy księżne obmywały stopy trędowatym. Choroba to brzydota, przykre wonie i nieprzyjemne odgłosy. Nie każdy potrafi to wytrzymać. Jednak Amalia bardzo się starała nie zawieść oczekiwań ochmistrzyni.

– Dobranoc, dziewczęta – rzekła Krystyna, wpatrzona w chorego jak w obraz.

Nie pozostało im nic innego, jak opuścić sypialnię.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jednakże tej nocy nie zamierzały kłaść się do łóżek. Postanowiły, że na zmianę będą się zakradać do skrzydła zamku, gdzie miał sypialnię ojciec Albert, i sprawdzać, co robi Krystyna.

– Nie ufam jej łzom ani miłym słówkom – powiedziała Milda, gdy siedziały w swojej komnacie, w ciemnościach, by nie budzić innych dwórek. Wpadające przez okienne szybki światło księżyca nadawało obu wygląd zjaw.

– Może jednak się mylimy co do niej? – zapytała szeptem Amalia.

– A jeśli się nie mylimy?

– Przecież nie możemy jej nieustannie obserwować.

– Chcę tylko wiedzieć, czy będzie przyrządzać jakieś lekarstwa. Nie może tego przecież robić w sypialni, bez naczyń, składników i ognia. Musi pójść do kuchni albo do apteki. Trzeba mieć oko na korytarz i schody.

– Przez całą noc?

– To konieczne.

Te ambitne zamierzenia okazały się jednak ponad ich siły. Chodziły po zamku do północy, walcząc z ogarniającą je sennością, a kiedy niebo na wschodzie zaczęło się już rozjaśniać, usnęły obie, leżąc w jednym łóżu.

Zbudziły się przestraszone i w poczuciu winy. Amalia natychmiast, jeszcze zanim dobrze się oporządziła, pobiegła do sypialni zakonnika, by sprawdzić, czy ten żyje. Nie było tam już cioteczki Krystyny. Dziewczyna podeszła do łóżka i odetchnęła z ulgą, widząc podnoszącą się i opadającą pierś duchownego. Wszystkie nocne obawy w świetle poranka wydały jej się teraz nieuzasadnione. Choć nigdy nie przyznałaby się przyjaciółce, coraz mniej wierzyła w to, że w szpitalnym kubku znajdował się tojad.

Milda musiała się pomylić.

Przyjaciółka miała bogatą wyobraźnię, była też nerwowa i przeczulona. Zapewne ciężkie przeżycia z dzieciństwa sprawiły, iż nieufnie odnosiła się

do ludzi, a Krystynę zniechęciła od pierwszego spojrzenia. Trwała między nimi wieczna wojna. Amalia wydawała się sobie bardziej racjonalna i ten racjonalizm mówił jej teraz, że Milda przesadza. Nauczona w swoim dawnym kraju ufać przeczuciom i kierować się zabobonami, wciąż pozostawała dzieckiem lasu. A w dodatku była niesamowicie zawzięta, jeśli kogoś nie lubiła, nigdy nie zmieniała zdania. Tak musiało być i teraz, po prostu Krystyna tak bardzo zasłużyła się młodej Litwince, że ta widziała w niej uosobienie zła i mimo braku jakichkolwiek dowodów uparcie trzymała się swego przekonania. Nie chciała się przyznać do pomyłki ani przed Amalią, ani pewnie przed samą sobą.

Amalia, w swoim mniemaniu rozsądniejsza od przyjaciółki – przynajmniej w takich kwestiach – uważała Krystynę za nieprzyjemną, złośliwą, pełną niechęci do ludzi, ale nic więcej. Wawelskie dwórki nie trują staruszków w szpitalach. Taki pomysł był niedorzeczny.

Tego dnia na Wawel dotarła wiadomość, że siły krzyżackie zaatakowały Wilno, w którym jednym z dowódców litewskiej załogi był Varnas. Mówiło się o spaleniu przez zakonnych większość zabudowań miasta, a także o rozpoczęciu oblężenia stołecznych zamków przy użyciu machin oblężniczych i bombard. Po stronie krzyżackiej walczyło wielu ochotników z zachodniej Europy; pod Wilno przybyli sławni angielscy łucznicy, rycerze z Francji, ze Szkocji, a wszyscy oni pragnęli bić pogan, za jakich wciąż uważali Litwinów i Jagiełłę.

Tego rodzaju wieści były szczególnie bolesne dla Mildy. Nie dość, że jej ukochany brat znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie, to jeszcze niszczone miasto, które przez kilka lat było jej domem. Z tego powodu dziewczynie trudno było się tego dnia skupić na obowiązkach przy chorym, była rozkojarzona i milcząca. Ale kiedy Krystyna dostrzegła jej nastrój i zaproponowała, że ją zastąpi, ta stanowczo odmówiła.

– Jesteś bardzo dzielna – rzekła ochmistrzyni.

Milda nie odpowiedziała.

Myślała w tej chwili o wileńskiej chacie, w której mieszkała z Varnasem oraz Iną. Na pewno została zniszczona...

Stan chorego ani się nie polepszał, ani nie pogarszał. Albert wciąż na dobre nie odzyskał przytomności. Medycy w długich płaszczach z gronostajowymi kołnierzami puszczały mu krew, podawali jakieś mikstury, mądrze kiwali głowami w czarnych beretach obszytych perłami, mówili coś o tajemniczej komórce w mózgu o nazwie sensus communis, lecz żadnych efektów owych zabiegów i dyskusji wciąż nie było widać.

– Jeśli ja czegoś w końcu nie zrobię, ojciec Albert nigdy nie powróci do żywych – niespodziewanie oświadczyła Milda, kiedy przyjaciółka przyszła, żeby ją zmienić przy łóżku chorego.

– Co masz na myśli? – z niepokojem zapytała Amalia, zdejmując z ramion krótką, obszytą futrem pelerynkę.

– Trzeba go zacząć leczyć. Naprawdę leczyć.

– Przecież ci na to nie pozwolą.

– Nie będę się nikogo pytać.

Amalia westchnęła głęboko.

– Mildo, uspokój się i pomyśl, na co się narażasz.

– A pomyślałaś, na co narażamy ojca Alberta? Jak tak dalej pójdzie, umrze od samych tylko modlitw Krystyny. Nawet nie trzeba go będzie truć.

– Przestań już o tym tożadzie – zniecierpliwiła się Amalia.

– Wiem, że mi nie wierzysz...

– To nie tak. Chodzi o to, że dowody są bardzo nikłe, a ty traktujesz sprawę, jakbyś przynajmniej złapała Krystynę za rękę.

– Dobrze, zapomnijmy o tym teraz. – Milda w roztargnieniu zawiązała czepek. – Ale nie wolno mi przyglądać się beczynnemu, jak ten człowiek odchodzi. Nie po to Ina uczyła mnie pomagać chorym, żeby teraz bała się gniewu jakiejś rozmodlonej i najwyraźniej opętanej kobiety.

– Są jeszcze medycy, księża. Zapomniałaś o nich? Postawią cię przed sądem, jeśli zaczniesz stosować metody, które oni uznają za pogańskie.

– Wiem, że to ryzyko. Ale dobro ojca Alberta jest w tej chwili najważniejsze. Ty, jeśli się boisz, nie musisz w tym uczestniczyć.

– Wiesz, że ci pomogę.

– To zbyteczne. Sama sobie poradzę.

– Czyli jak?

– Muszę sobie tylko przypomnieć, co w takich przypadkach podawała Ina.

– A skąd weźmiesz składniki?

– Z apteki.

Apteka zamkowa mieściła się w przyziemiu budynku gospodarczego, w pobliżu bramy wjazdowej na Wawel. Zajmowała dwie całkiem spore izby, z których jedna przypominała kuchnię z kominem, a w drugiej stały półki wypełnione niezbędnymi przedmiotami różnego rodzaju. Były tam metalowe alembiki, cynowe, srebrne i miedziane naczynia, puszkki i kamienne dzbany. W tych ostatnich trzymano wodę oraz wino i ocet. Na drewnianym stole pod oknem stał miedziany moździerz, wyglądający w promieniach słońca, jakby zrobiono go ze złota.

Milda знаła aptekarza, staruszka, który chyba nigdy nie wychodził z tego pomieszczenia, a z którym odbyła niejedną rozmowę na temat zastosowania ziół w leczeniu. Mężczyzna doceniał ludową mądrość, a także doświadczenie młodej Litwinki i często korzystał z jej wiedzy. Teraz też, dowiedziawszy się, co dziewczyna zamierza, wyszukiwał dla niej potrzebne zioła.

– Co tutaj jest? – spytała Milda, delikatnie potrząsając metalową puszką. Naczynie było wprawdzie opisane, ale po łacinie, której nie znała.

– Wyszuszone ropucha – odpowiedział spokojnie, rozglądając się po półkach w poszukiwaniu ostatniego potrzebnego składnika.

– A tu? – Wzięła kolejny pojemnik do ręki.

– Wolisz tego nie wiedzieć. – Staruszek zareagował urywanym, podobnym do kaszlu śmiechem. Pręgowany kocur, towarzyszący aptekarzowi od lat, wyskoczył na ten odgłos z kąta i przez uchylone drzwi uciekł na podwórze.

Milda nie należała do osób, które rzucają słowa na wiatr, toteż jeszcze tego samego popołudnia przyrządziła w kuchni pierwsze zioła na wzmocnienie dla chorego. Udało jej się podać mu wywar bez świadków. Nie wypił wszystkiego, duża część wypłynęła mu z wykrzywionych ust na brodę, lecz i tak była zadowolona.

Powtórzyła to następnego dnia nad ranem, tym razem używając nieco innej mieszanki. Podczas gdy Milda podawała wywar Albertowi, Amalia z niepokojem sprawdzała, czy aby ktoś nie nadchodzi korytarzem. Miały szczęście – po tym, jak minął pierwszy szok, coraz mniej osób kręciło się w pobliżu sypialni chorego.

Czwartego dnia terapii wydarzył się mały cud.

Ojciec Albert odzyskał przytomność. Wprawdzie wciąż jeszcze wydawał się oszołomiony, a opadający kącik ust uniemożliwiał mu mówienie, wyraźnie jednak wracał do żywych. Dwórki zauważyły nawet coś na kształt krzywego uśmiechu na ich widok, co znaczyć mogło tylko to, że zaczynał poznawać otoczenie.

Amalia natychmiast pobiegła po cioteczkę Krystynę. Ta wpadła do pomieszczenia niczym huragan i natychmiast przyklęła obok łóżka.

– Bogu niech będą dzięki! – wykrzyknęła z emfazą.

– Raczej Mildzie – odparła Amalia.

Ochmistrzyni spojrzała na dwórkę, nie bardzo chyba rozumiejąc, o co chodzi.

– Mildzie?

– I jej ziołom.

Uznała, że teraz, gdy duchownemu tak bardzo się poprawiło, nie muszą już trzymać swoich zabiegów w tajemnicy, ale rzut oka na niezadowoloną minę przyjaciółki uświadomił jej, że zanadto się pospieszyła.

– To zupełnie niewinne zioła na wzmocnienie – zaczęła się tłumaczyć. – Jak widać, pomogły.

– Tak, tak... – Krystyna pokiwała głową, jakby myśląc o czymś zupełnie innym. – Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Trzeba teraz powiadomić medyków.

Medycy, co było do przewidzenia, przypisali wszystko swoim metodom. Na wzmiankę o ziołach prawie nie zareagowali. W ogóle traktowali dziewczęta jak powietrze, uznając, że są przydatne tylko do zmieniania pościeli i zwilżania zakonnikowi czoła. Ale one wcale o to nie dbały, ciesząc się z efektów kuracji. Wyglądało na to, że ojciec Albert przeżyje.

I choć całkowity powrót do zdrowia wymagał jeszcze czasu, ta mała poprawa była już olbrzymim sukcesem.

– Czy podczas tego leczenia wypowiadałaś jakieś zaklęcia? – spytała któregoś dnia Krystyna, natknąwszy się na Mildę na wilgotnym od deszczu dziedzińcu. Ochmistrzyńni towarzyszył jakiś wsparty na lasce staruszek w sutannie.

– Zaklęcia? Nie. Czemu cioteczka pyta?

– Ot tak, z ciekawości. – Krystyna uśmiechnęła się i rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku swojego towarzysza. – Po prostu nie znam się na tych pogańskich praktykach.

– W ziołach nie ma nic pogańskiego. Chrześcijańscy medycy też często nimi leczą.

Staruszek się rozkaszał.

– Tak, ale to twoje okazały się skuteczne – rzekła cioteczka. – Ciekawa więc jestem, czy przygotowuje się je w zwykły sposób, czy też towarzyszy temu jakaś magia.

– W zwykły sposób.

– A jak było na Litwie?

– To znaczy?

– Czy wypowiadało się jakieś specjalne formułki?

– Czasami tak.

– Ty też tak robiłaś?

Milda się zawahała.

– Czasami.

– Czyli wzywałaś na pomoc demony?

– Raczej duchy opiekuńcze.

– One są tylko wcieleniami diabła – rzekł staruszek, który do tej pory tylko się przysłuchiwał z dobrotliwym wyrazem twarzy. – To demony. Pewnie nie słyszałaś, moja droga, o dziele Psellosa pod tytułem *Peri energias dajmonon*?

Milda się zjeżyła.

– Nie czytuję takich dzieł.

– Zatem powiadam ci – uniósł kościsty palec – że demonów jest sześć rodzajów: ognia, powietrza, ziemi, wody, podziemia i ciemności.

– Żadnego z nich nie spotkałam.

– Dobrze, już dobrze, wielbny ojczy – wtrącała się z uśmiechem Krystyna. – Nie straszmy młodej damy. Wiem, Mildo, że już jesteś chrześcijanką i nie trzeba ci diabła do pomocy. To Bóg sprawił, że zioła pomogły.

– Tak. To bez wątpienia Bóg.

Po kilku dniach zakonnik poczuł się na tyle dobrze, że Amalia postanowiła umilać mu długie dni rekonwalescencji czytaniem urywków z jego ukochanych ksiąg, zwłaszcza z dzieł geograficznych. Podawała mu tytuły, a on potakiwał albo kręcił przecząco głową, dzięki czemu wiedziała, na jaką lekturę miał ochotę. Każda próba wypowiedzenia przez niego jakiegoś słowa kończyła się jeszcze niepowodzeniem, a on sam wpadał wtedy w złość i zapewne swoim dawnym zwyczajem chciałby uderzyć pięścią w brzeg łóżka, niestety, ta ręka, którą się zwykle posługiwał, leżała bezwładnie na pościeli drewniana jak kłoda. Robił to teraz niezręcznie drugą, sprawną.

Zdążyła mu już przeczytać relację Pliniusza o świątyni Artemidy w Efezie, a także Geliusza o mauzoleum w Halikarnasie. Ostatnio jednak zakonnik wybierał głównie relacje z podróży kupca o nazwisku Marco Polo, więc popołudniami towarzyszyła im gruba, oprawna w cielęcą skórę księga pod tytułem *Opisanie świata*.

Pewnego dnia czytała fragment z tego właśnie dzieła, otulona płaszczem, przy blasku płonących na stoliku świec:

– Persja jest wielką prowincją, która w starożytności była bardzo sławna i potężna, ale obecnie Tatarzy ją spustoszyli i zniszczyli. W Persji leży miasto Sawa, skąd wyruszyli trzej Magowie, udając się w drogę, aby Jezusowi Chrystusowi, gdy urodził się w Betlejem, złożyć hołd. W tym mieście pogrzebani są trzej Magowie w trzech wielkich i pięknych grobowcach...

Ojciec Albert wydał z siebie lekkie stęknienie. Uniosła wzrok znad strony i spojrzała w jego woskową twarz.

– Coś ojca boli? – spytała.

Podniósł sprawną dłoń i wskazał na stolik.

– Wody?

Chory przytaknął z wysiłkiem.

Odłożyła ciężką księgę na skraj łóżka i podeszła do stolika. Drewniany kubek okazał się pusty, więc sięgnęła po dzban.

Nie było w nim wody.

Dziwne, dzisiaj rano napełniła go w kuchni, aby starczyło do wieczora. Czyżby staruszek aż tyle wypił? Nie spodobało jej się to. Musiała pójść do kuchni po świeżą wodę, ale to oznaczało, że chory na jakiś czas pozostanie sam, a wraz z Mildą miały do tego nie dopuszczać.

Jej przyjaciółka wyszła na wieczerzę dopiero przed chwilą, później miały się, jak zwykle, zamienić. Powinna niedługo wrócić, ale Amalia nie mogła przecież tak długo czekać, jeśli Albert odczuwał pragnienie. Być może miał gorączkę. Bezradnie obejrzała się wokół, nie wiedząc, co robić, podczas gdy zniecierpliwiony zakonnik zaczął głośno charczeć i chrząkać.

– Dobrze, dobrze, już idę po wodę – powiedziała, szybko podnosząc gliniany dzban. – Za chwilę wrócę.

Szybkim krokiem wyszła na ciemny korytarz. Nie bała się, że coś może się stać podczas jej krótkiej nieobecności, lecz raczej gniewu przyjaciółki, gdyby ta zauważyła jej wyjście. Amalii coraz trudniej przychodziło udawanie, iż wierzy w demoniczne skłonności Krystyny, a Milda chyba to wyczuwała. Gdyby teraz spostrzegła, że przyjaciółka lekceważy jej zalecenia, chyba byłaby zła, a na pewno zmartwiona. Kuchnia znajdowała się piętro niżej, trzeba było zbiec po schodach, przebyć duży przedsionek i jeszcze przejść kawałek korytarzem. Amalia rozglądała się uważnie, idąc po szerokich kamiennych stopniach, lecz nie spotkała nikogo. Była przecież pora wieczornego posiłku.

Wciąż w poczuciu winy, wpadła do kuchni, o tej porze pustej. Służba też jadła obiad. Zanurzyła dzban w stojącej przy drzwiach beczce i nie czekając nawet, aż napełni się całkowicie, wyjęła ociekające wodą naczynie i odwróciła się w kierunku wyjścia. Jednak nie uczyniła nawet kroku, bo w drzwiach stanął właśnie jeden z medyków zajmujących się ojcem Albertem, Spytko z Wieliczki.

Amalia zamarła zaskoczona.

– Oho, widzę, że nie tylko ja przychodzę tutaj podjadać – zaśmiał się mężczyzna.

Był wysoki i gruby, jego małe oczka tonęły w fałdach tłuszczu, na prawym policzku miał brodawkę. Wiedziała, że to jeden z najbardziej

wziętych medyków w Krakowie, biorący za swoje usługi nawet po cztery grzywny, a na taką zapłatę stać było tylko najbogatszych.

– Nie podjadam. Przyszłam po wodę dla chorego – odparła Amalia, choć z powodu własnych wątpliwości poczuła się, jakby przyłapano ją na czymś niewłaściwym.

– Ano tak. – Przyjrzał jej się uważniej. – Poznaję. Jesteś jedną z tych jego opiekunek.

– Staramy się pomóc.

– To chwalebne. Nie ma kucharek?

– Nie.

Spytko podszedł do półki z serami, sięgnął po duży kawałek i schował go do kieszeni czarnego płaszcza. Amalia chciała wyjść, ale jej na to nie pozwolił.

– Poczekaj – nakazał.

– Ojciec Albert jest spragniony.

– Jeśli umrze, to nie z pragnienia. Muszę cię o coś zapytać.

Oby szybko, pomyślała. Za chwilę Milda wróci z obiadu i zorientuje się, że chory został sam.

– To ty przyrządzasz te zioła, które rzekomo pomogły naszemu Albertowi?

– Nie rzekomo, tylko pomogły.

– Powiedzmy. Ale nie odpowiedziałaś mi na pytanie.

– Nie, nie ja. Milda.

– Milda? Cóż to za imię?

– Litewskie.

– Ach, rozumiem. Pogańskie praktyki.

– Muszę już iść.

– Nie tak szybko. Jestem odpowiedzialny za zdrowie ojca Alberta. Muszę wiedzieć, jakie eliksiry przyjmuje.

– Nie mam pojęcia, czcigodny panie. Musicie zapytać Mildę.

Podszedł do komina, przy którym wisiały pęta tłustej kiełbasy, i oderwał spory kawałek. Nie schował go do drugiej kieszeni, lecz od razu włożył do ust.

– Bo widzisz, młoda panno – odezwał się, przeżuając. – Astrolog postawił horoskop, z którego wynika, iż powinniśmy się wstrzymać jeszcze dwa dni przed podawaniem ziół, dopóki Mars nie znajdzie się...

– Milda nie traciła czasu na radzenie się astrologów – przerwała mu niecierpliwie Amalia.

– Jesteś bezczelna, dziewczyno. Ty i twoja przyjaciółka uważacie zapewne, że leczenie ludzi jest proste, wystarczy do tego trochę wiejskiej wiedzy, prawda?

Nie odpowiedziała, zerkając cały czas na drzwi.

– Cóż tam moje studia na Sorbonie! – ciągnął z jadowitą ironią Spytko. – Gdzież one mogą się równać ze szkołą, jaką nasza urocza Milda przeszła w jakiejś pogańskiej wiosce. Powinienem spalić swoje dyplomy i zmienić zawód, zostać bednarzem, ponieważ dwie przemądrzałe dwórki uznały, iż tracę czas na zasięgnięcie rady u najlepszego astrologa w Krakowie, mistrza z Pragi, Huberta. Jak myślisz, dlaczego mnie tu wezwano?

– Bo jesteście medykami?

– Bo jestem mistrzem w swoim fachu. Dlatego nie życzę sobie, aby ktoś, zwłaszcza ktoś niedouczony, zastępował mnie bez mojej wiedzy i zgody. Możecie przynosić Albertowi wody, przecierać mu czoło, a nawet przygrywać na lutni, ale leczenie zostawcie mądrzejszym od siebie. Zrozumiano?

Amalia przytaknęła.

– Nie wiesz, gdzie tu trzymają piwo? – spytał Spytko.

W drodze powrotnej Amalia aż kipiała ze złości na tego nadętego grubasa, który zarabiał fortunę, nie czyniąc nic bez spojrzenia w wykresy gwiazd. Zapomniała o Mildzie oraz o tym, że chory pozostał sam. Lecz gdy tylko przekroczyła próg jego komnaty, zdała sobie sprawę, że opuściwszy zakonnik, popełniła niewybaczalny błąd. Podchodząc do łóżka, ujrzała nienaturalną bladość na twarzy ojca Alberta. Jego szerokie oblicze błyszczało od potu, kącik ust był wilgotny, jakby mnich przed chwilą skończył coś pić. Zdrową ręką wskazywał nieporadnie na twarz, w jego oczach malowało się przerażenie.

Amalia nie wiedziała, o co chodzi.

– Czy ktoś tu był? – zapytała łamiącym się głosem.

Zakonnik zrobił ogromny wysiłek, jakby chciał coś powiedzieć, oczami wskazując przy tym na drzwi prowadzące do sąsiedniej komnaty.

– Kto?! – Dziewczyna pochyliła się nad starcem, ale nagle jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki. Z coraz większym trudem łapał powietrze. Chwilę później z wymiotował krwią i zastygł bez ruchu.

Zmarł na oczach przerażonej Amalii.

Zacząła krzyczeć, przerażona i zdruzgotana. Gliniany dzban wypadł jej z rąk i rozbił się o posadzkę.

Kiedy do sypialni wpadli zaalarmowani hałasem dworzanie wraz z nadwornym medykiem i panią Krystyną, zastali dziewczynę nieruchomą jak kamienny posąg.

– Co się stało? – spytała Krystyna.

– On... umarł – wyjąkała, wyciągając drżącą dłoń w kierunku łóżka.

– O mój Boże, a gdzie Milda?

W tej samej chwili tamta pojawiła się w drzwiach sypialni. Spojrzała na ciało duchownego, potem na Amalię i natychmiast pojęła straszną prawdę. Jej twarz nagle pobladła i niczym się nie różniła od świeżo pobielonej ściany pomieszczenia.

– To nie wasza wina, dziewczęta – rzekła łagodnym tonem Krystyna, podchodząc do łoża. – Opiekowałyście się nim znakomicie. Choć wasze metody być może nie były najodpowiedniejsze.

– Ale... – zaczęła Milda.

– Nie pora teraz na rozmowy – sucho przerwała jej ochmistrzyni. – Teraz nadszedł czas na rozmowę z Bogiem.

Chwyciła za skraj koca, pod którym leżał ojciec Albert, chcąc zasłonić jego martwą twarz. Kiedy pociągnęła za róg, z łóżka na posadzkę stoczył się z hałasem cynowy kubek. Odgłos był taki, jak gdyby ktoś uderzył w dzwon.

Milda zamarła.

– Czy to twoje zioła, dziecko? – zapytała cicho cioteczka Krystyna.

Litwinka chciała coś odpowiedzieć, ale nagle zabrakło jej powietrza. Zrozumiała wszystko.

Krystyna w końcu dopięła swego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Od tego momentu wszystko zaczęło toczyć się w takim tempie, że obie miały wrażenie, jakby tonęły. Wiedziały, że nic już nie będzie jak dawniej, że za sprawą knowań Krystyny znalazły się w sytuacji bez wyjścia. Przestraszone i oszołomione, a także upokorzone, mogły tylko oczekiwać kary, modląc się, by ta nie była zbyt surowa. Nawet nie miały siły się bronić, były zbyt zdruzgotane tym, co się stało.

Mimo że były już szesnastoletnimi kobietami, czuły się bezradne jak małe dziewczynki.

Prosto z sypialni ojca Alberta zostały odprowadzone do komnaty dla dwórek, z zakazem opuszczania jej do czasu, aż królowa postanowi, co dalej w ich sprawie. Chociaż podejrzenie padło na Mildę, nikt nie miał wątpliwości, że Amalia również brała udział w tym, jak zaczęto już mówić, zbrodniczym procederze. W końcu to one obie opiekowały się ojcem Albertem.

Najpierw siedziały w ponurym milczeniu, jakby odrętwiałe. Potem tama puściła.

– Mój Boże. – Amalia ze zdenerwowania wykręcała sobie palce u rąk. Z jej oczu ciekły łzy. – Jak to mogło się stać? Przecież tak uważaliśmy. Nikt teraz nie uwierzy, że nie miałyśmy nic wspólnego ze śmiercią ojca Alberta. Gdybym tylko nie wychodziła do tej kuchni...

– To ta żmija skorzystałaby z innej okazji – przerwała jej Milda. Nie płakała, lecz wciąż była śmiertelnie blada. – Ona tylko czekała na dogodny moment. Otruła go.

– A może to nie trucizna, tylko następstwo tego ataku? Może już był umierający, a my tego nie zauważyliśmy? – zastanawiała się na głos Amalia. – Słyszałam, że chorym czasami poprawia się przed samą śmiercią.

– Nie był umierający – przerwała jej niecierpliwie Milda. – Wiedziałabym o tym.

– Nie rozumiem...

Milda nie miała teraz nastroju na tłumaczenie przyjaciółce, na czym polega jej dar. Widziała, że poświata wokół ciała ojca Alberta robiła się z dnia na dzień mocniejsza, a kolory wyraźniejsze i bardziej żywe. Mogło to świadczyć tylko o zdrowieniu, a nie o zbliżającej się śmierci.

– Po prostu bym wiedziała – odparła tylko.

– No dobrze, ale wracając do tematu, jakim cudem Krystynie udałooby się tak szybko przygotować wywar? – spytała Amalia.

– Mogła go zrobić wcześniej, tojad nie traci tak szybko swojej mocy. Podała go ojcu Albertowi, kiedy tylko wyszłaś z jego sypialni.

– A on tak od razu wypił? Sama mówiłaś, że ten wywar jest gorzki.

Milda bezradnie wzruszyła ramionami.

– Był spragniony, pewnie dlatego. Musiał się na niego od razu rzucić i zanim poczuł smak, było już za późno.

Usiadły razem na łóżku i objęły się mocno, jedna u drugiej szukając pociechy. Wszystko zdawało się przemawiać przeciwko nim, zwłaszcza przeciw Mildzie. Chociaż ta przygotowywała swoje wywary dla chorego w zamkowej kuchni i z ziół z królewskiej apteki, zawsze mógłby się znaleźć ktoś, kto by zeznał, że używała czegoś ze swoich zapasów. Przekupienie kogoś takiego wcale nie było niemożliwe.

Jedyną ich nadzieją była teraz królowa, która nie mogła przecież pozwolić, żeby skazano je za niepopelnioną zbrodnię. Ale coraz bardziej docierało do nich, że tak właśnie może się to skończyć. Nie mogły przecież wiedzieć, czyja wersja wydarzeń przekona Jadwigę.

– Powiedz, dlaczego cioteczka Krystyna to zrobiła? – spytała Amalia, pociągając nosem. – Bo nie mam żadnych wątpliwości, że ona za tym wszystkim stoi. Za co nas tak nienawidzi?

– Myślę, że nienawidzi wszystkich ludzi. – Milda uśmiechnęła się gorzko.

– A za co nas? To jasne jak słońce. Musiała się dowiedzieć o moich podejrzeniach, wtedy, w szpitalu. O tym, że znalazłam kubek z resztkami trucizny. Od tamtej chwili stałam się dla niej realnym zagrożeniem.

– No tak, zapomniałam o śmierci Wacława... A mnie za co?

– Jesteś moją przyjaciółką, więc to jasne, że musiałam się z tobą podzielić podejrzeniami. Dlatego też postarała się, żebym już nie chodziła do szpitala, a teraz pewnie cały czas drży z obawy, że zaczniemy drażnić tamtą sprawę. Nie spocznie, zanim nie pozbędzie się nas obu z dworu. Chce nas

stąd usunąć, ale przede wszystkim pozbawić wiarygodności. I właśnie nadarzyła się ku temu wspaniała okazja, lepszej nie mogła sobie wymarzyć. Kto teraz nam uwierzy?

– Czyli nie ma dla nas ratunku?

– Obawiam się, że nie. Możemy tylko liczyć na łaskawość królowej... – Milda nie dokończyła. Bała się nawet pomyśleć, co się stanie, jeśli będzie inaczej.

Dopiero następnego dnia, późnym wieczorem, stanęły przed królewskim trybunałem, który zebrał się w oświetlonej łuczycami sali tronowej. Jadwiga siedziała sztywno na swym bogato rzeźbionym tronie, ze stopami blisko zsuniętymi pod szafirową suknię, zimna i wyniosła niczym posąg na nagrobku, a przed nią, na wysokich krzesłach, ustawionych tak, że tworzyły szeroką podkowę, siedzieli duchowni, medycy i kilku krakowskich panów, wszyscy w czerni, przez co wyglądali jak przycupnięte przed tronem kruki.

Dziewczęta stanęły pomiędzy królową a krzesłami, w należytej pozie, to znaczy ze spuszczonej nisko głowami. Wyglądały bezbrinnie i krucho pod surowymi spojrzeniami zebranych w tym dużym, podzielonym kolumnami pomieszczeniu. Był to prawdziwy sąd, choć nikt nie protokołował przesłuchania i żadna straż nie pilnowała doprowadzonych tutaj dziewcząt. Za wszelką cenę starano się uniknąć skandalu na dworze królewskim, dlatego też rozprawa miała nieformalny przebieg i żadne wieści nie mogły się przedostać na zewnątrz.

– Czy możemy już zaczynać, Wasza Wysokość? – spytał przewodniczący, powstawszy z krzesła.

Był to Erazm z Miechowa, Iuris Utriusque Doctor, czyli doktor prawa kościelnego i świeckiego. Ten uczony, absolwent Uniwersytetu w Bolonii, był od pewnego już czasu gościem na dworze krakowskim, bowiem królowa Jadwiga lubiła się otaczać światłymi ludźmi, z którymi mogła dyskutować godzinami. Teraz, na jej prośbę, zgodził się wziąć udział w osądzeniu dwóch dworskich panien podejrzanych o otrucie ojca Alberta.

Starszy, ubrany w czerń męczyzna, z przekrzywionym, złamanym chyba w młodości nosem, odczekał na znak przyzwolenia ze strony królowej, po czym przemówił wyćwiczoną na takie okoliczności głosem:

– Zebraliśmy się dzisiaj przed obliczem Najjaśniejszej Pani w niezwykle przykrew sprawie. Tym bardziej nieszczęśliwej, iż dotyczy ona osób znanych nam i – co więcej – kochanych przez nas z całego serca. Mówimy tu o dwóch istotach młodych i niezwykle szlachetnych, powinniśmy zatem traktować je dzisiaj z dobrotliwą ojcowską wyrozumiałością, jak nakazuje nam Jezus Chrystus, Pan nasz i Zbawiciel.

Wszyscy przytaknęli.

– Wszelakoż nie wolno nam przy tym zapominać również i o tym, że zarzuty, jakie zmuszeni jesteśmy postawić tym osobom, są tego rodzaju, iż zwykła pobłażliwość i łagodność mogłyby zmącić nasz wzrok, a tym samym mieć wpływ na sprawiedliwy werdykt.

Zrobił krótką przerwę, rozglądając się wśród zebranych, czy jego słowa zrobiły należyte wrażenie. Zwracał się teraz głównie do siedzących w pierwszym rzędzie kanoników. Tych nie mogło zabraknąć, kiedy rzecz dotyczyła pogańskich czarów. Siwowłosi i posępni ojcowie czekali na swoją kolej, uzbrojeni w teologiczne argumenty z ksiąg świętego Augustyna, Izydora z Sewilli, Grzegorza Wielkiego, słowem, w całą pogańską, a także chrześcijańską wiedzę o demonach i duchach nieczystych, jednakże Erazm, który napawał się swym darem eloquentiae, nie zamierzał tak łatwo oddać im głosu.

– Wczoraj oddał ducha Panu nasz umiłowany ojciec Albert – ciągnął swą przemowę. – Czyliż jego czysta dusza nie domaga się od nas pełnej powagi, dokładności oraz surowości w tym postępowaniu?

Dał się słyszeć cichy pomruk aprobaty. Królowa nie okazała żadnej reakcji, patrzyła gdzieś w przestrzeń ponad jego głową.

– A oto i nasze zarzuty. – Wreszcie przeszedł do sedna sprawy. – Te właśnie niewiasty – wskazał palcem na dwórki i podniósł głos – czy to za podszeptem złych sił, czy też za przyczyną przyrodzonej niewieściej słabości, dopuściły się praktyk, których nie można nazwać tutaj inaczej niż diabelskimi!

Milda podniosła głowę, widocznie chcąc zaprotestować, ale Amalia chwyciła ją uspokajającym ruchem za rękę. Nie wolno im było teraz przerywać ani się tłumaczyć.

Coś takiego tylko pogorszyłoby sytuację.

– Jak wszystkim nam wiadomo – kontynuował wciąż podniesionym głosem Erazm z Miechowa – jedna z tych nieszczęsnych niewiast, Anna,

przybyła do nas nie tak dawno temu z Litwy. Jeśli Najjaśniejsza Pani pozwoli, chciałbym zadać teraz Annie kilka pytań.

Królowa skinęła głową na znak zgody.

Mężczyzna zbliżył się do Mildy, która aż się skuliła pod jego spojrzeniem.

– Anno, moje dziecko, przysięgnij na krzyż, iż udzielać mi będziesz tylko zgodnych z prawdą odpowiedzi.

Zanim się odezwała, skinieniem dłoni przywołał siedzącego obok duchownego. Ten wstał i jakby był na to wcześniej przygotowany, wyciągnął w kierunku Litwinki drewniany krucyfiks.

– Przysięgasz? – spytał doktor.

– Przysięgam na Pana naszego, Jezusa Chrystusa – odrzekła martwym głosem.

– Ucałuj krzyż.

Posłusznie spełniła polecenie. Jej wargi drżały.

– Znakomicie, Anno – powiedział Erazm, dając znak duchownemu, że ten może już usiąść. – Teraz zatem, w zgodzie z przysięgą, odpowiedz mi, bez pokrętnych wybiegów ani przekłamań: czy prawdą jest, że mieszkając na pogańskiej ziemi, wraz ze swoją rodziną uzdrawiałaś ludzi za pomocą czarów?

Milda spojrzała na niego oburzona.

– Nie. To nieprawda.

Twarz Erazma zadrgała.

– Przypominam ci, że przysięgałaś na krzyż.

– Tak, wiem.

– Dlaczego więc okłamujesz Boga?

– Nie okłamuję!

– Anno...

– Nie uzdrawiałam nikogo czarami.

Doktor obojga praw pokiwał głową, jakby spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi, po czym zwrócił się do zebranych:

– Powiada, że nie uzdrawiała za pomocą zaklęć. Niestety, mamy świadków, że sama się do tego przyznała.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam – zaprzeczyła Milda.

– Nieobecna tutaj – z powodu nagłej niemocy – czcigodna dama dworu Krystyna oraz ojciec Prokop utrzymują, że podczas rozmowy z nimi

przyznałaś się do tego rodzaju praktyk. Ojciec Prokopie, czyż nie tak właśnie było?

Zwrócił się do siedzącego przy samym wejściu staruszka, w którym Milda rozpoznała księdza obecnego podczas jej rozmowy z panią Krystyną na dziedzińcu.

– Tak było – zaskrzeczał siwowłosy duchowny. – Chwaliła się tymi swoimi szatańskimi sztuczkami.

– To kłamstwo! – Milda aż poczerwieniała z furii.

– Uważaj na słowa – zimno napomniała ją Jadwiga. – Mówisz do osoby duchownej.

– Oni kłamią.

– Bo zaraz każę cię wyprowadzić i uwięzić.

– Pani...

– Dosyć!

Przez chwilę panowała cisza, potem Erazm z Miechowa znów się odezwał, tym razem spokojniej:

– Świadek tych dwóch czcigodnych osób powinno nam w zupełności wystarczyć. Sprawa jest oczywista: w swej pogańskiej ojczyźnie Anna, nieświadoma jeszcze grzechu, a zatem niewinna, dopuszczała się szkaradnych szatańskich praktyk. Teraz jest już chrześcijanką. Przyjęła chrzest, obmyta została w uświęconej wodzie. Ale zapytuję was, z tego oto miejsca, czy chwast diabelski i zatruty został wyrwany z korzeniami?

Ubrani na czarno mężczyźni pokręcili głowami na znak, że nie został.

– Znacnie zapewne te historie o Litwinach, których chrzcili nasz umiłowany król Władysław. Gdy obiecał za nawrócenie się na słuszną wiarę nowe ubrania, wielu z nich przystępowało wielokrotnie do chrztu w kolejnych miejscowościach, aby tylko zdobyć dodatkową koszulę. Nie ma w tym serca ani wiary, powiadam wam. Pomiędzy nimi wciąż pełzają węże. Pomiędzy nimi czają się zmije. Anna nie uwolniła się od pogańskich szkaradzeństw i przeniosła je tutaj, na Wawel. Wzywając na pomoc szatańskie duchy, zapewne w dobrej wierze, doprowadziła do śmierci ojca Alberta. A narzędziem Lucyfera były nie tylko zaklęcia, ale i... trucizna.

Zrobiło się bardzo cicho.

– Tak, trucizna – powtórzył z satysfakcją Erazm z Miechowa. – Tojad, Aconitum firmum. Tę substancję obecni tutaj medycy – Janko z Sandomierza i Zawisza ze Świdnicy – odkryli w kubku, w którym Anna

podawała nieszczęsnemu Albertowi rzekome lekarstwa. Użyła tojadu z własnych zapasów, bo przesłuchaliśmy już zamkowego aptekarza. Ten zacny człowiek jej go nie dał. Klnie się na Boga.

– To nie był mój kubek – zaprotestowała Milda. – Tego wieczora nie podawałam ojcu Albertowi żadnych ziół.

Pomyślała ze współczuciem o staruszkę z zamkowej apteki. Skoro nie był tu wzywany na świadka, tylko przesłuchiwany osobno, to... Bała się nawet myśleć, co to mogło oznaczać. Ale przynajmniej nie skłamał w jej sprawie.

– Skąd w takim razie znalazł się on w kubku chorego? – zapytał Erazm.

– Pani Krystyna go tam umieściła.

– W jakim celu, jeśli mogę zapytać?

– Aby padły na mnie oskarżenia.

Amalia poczuła, że nadszedł czas, by wesprzeć przyjaciółkę.

– Potwierdzam – odezwała się słabym głosem. – To nie nasz kubek, tylko cioteczki Krystyny. My używamy drewnianych, a ten był cynowy.

Jadwiga przestała wreszcie patrzeć w pustą przestrzeń i spojrzała na Amalię z widocznym zaciekawieniem, a potem przeniosła pytający wzrok na Erazma.

Ten nie stracił rezonu.

– Cóż za naiwna linia obrony! – zagrzemiał. – Przerzucać oskarżenia na osobę nieobecną, która nie może się bronić.

– Bardzo to dla niej wygodne być teraz nieobecną – odpowiedziała zimno Milda. – Wszyscy wiemy, że całe oskarżenie opiera się tylko i wyłącznie na jej słowach. A ona nie ma odwagi powtórzyć tego publicznie.

– Anno – przerwała jej królowa. – Obrażasz w tej chwili damę Krystynę.

– Ona kłamie w mojej sprawie.

– To ty tak mówisz.

– Po co miałabym truć ojca Alberta? Kochałam go jak wszyscy.

– Otóż właśnie – odezwał się łagodnie doktor. – Po pierwsze, nie uważamy, że chciałaś, dziecko, otruć tego człowieka. Nie jesteś osobą aż tak zepsutą, to nie ulega wątpliwości. Po prostu, w zgodzie ze zwyczajami, jakimi nasiąknęłaś pośród pogan, uznałaś, że niektóre trucizny, jeśli podane w małych dawkach, potrafią leczyć. Sama opowiadałaś o tym w towarzystwie dwórek, co dwie z nich mogą potwierdzić.

Słuchająca tych słów Amalia zacisnęła pięści, zastanawiając się, które z ich przyjaciółek zdradziły to, co w dobrej wierze kiedyś powiedziała

Milda.

– To nie są żadne pogańskie zwyczaje. Niemal każda trucizna podana w odpowiedniej ilości może leczyć i nie zabija. Taka wiedza znana jest wszystkim, zwłaszcza obecnym tu czcigodnym medykom – odparła Milda.

– Ale czegoś takiego nigdy nie wypróbowałyby na człowieku, który jest nieprzytomny.

– A jednak tojad znalazł się w kielichu. Czy raczej kubku.

– Nie po raz pierwszy – rzekła Litwinka. – Podobny kubek znalazłam w szpitalu, pod łóżem zmarłego, którym opiekowała się pani Krystyna. Tam też był tojad, znam jego zapach i smak.

– Czy ja dobrze słyszę? – Doktor stracił rezon, nie potrafił ukryć przykrego zaskoczenia. – Czy ty, dziecko, w tej właśnie chwili oskarżasz damę dworu o...?

– O dwa morderstwa – pewnym głosem dokończyła Milda.

Na sali zapanowało poruszenie, prawnik spojrział błagalnie na królową, jakby chcąc zapytać: „Czy pozwolisz na to, Najjaśniejsza Pani?”.

– To bardzo ciężkie oskarżenie – rzekła Jadwiga.

– Nie cięższe niż te, których tutaj ja sama wysłuchałam.

Amalia była dumna z przyjaciółki, z jej odwagi i poczucia godności. Ona sama umierała teraz ze strachu i przyznałaby się z płaczem do wszystkiego, nawet do tego, czego nie uczyniła, ale Milda nie dała się zastraszyć ani złotoustemu Erazmowi z Miechowa, ani nawet królowej. Walczyła o swoje jak wilczyca.

– Dlaczego dopiero teraz wspominasz o tym szpitalnym kubku? – zapytał tymczasem przewodniczący, który zdążył ochłonąć i przygotować nową linię ataku.

– Nie miałam pewności – odpowiedziała dwórka. – W przeciwieństwie do niektórych, rzucanie najcięższych oskarżeń nie przychodzi mi łatwo.

– Twoje śmiałe słowa wskazują na całkowite zepsucie duszy. Nie przystoi niewieście odzywać się tak hardo.

– Czcigodny Erazmie. – Jadwidze nie spodobał się chyba ten ostatni argument, zbyt wiele nasłuchiwała się o własnej „hardości”, by instynktownie nie wziąć teraz strony swej dwórki. – Anna ma prawo do obrony. Należy zbadać, co wydarzyło się w szpitalu. I dobrze by było, by do tego czasu pani Krystyna jednak wyzdrowiała. Zanim tak się stanie, zawieszam dochodzenie.

– Nie rozpatrzyliśmy jeszcze winy drugiej twojej dwórki, Najjaśniejsza Pani. Bez wątpienia była ona współniczką... – próbował oponować doktor, ale Jadwiga wstała z tronu na znak, że posiedzenie zakończone. Erazm nie miał więc innego wyjścia, jak tylko skłonić się z całym szacunkiem i tyłem wycofać na swoje miejsce.

Kiedy po wszystkim odprowadzono Amalię i Mildę z powrotem do komnaty, obie przez długi czas milczały. Zdawały sobie sprawę, iż wazą się teraz ich losy i że wszystko będzie zależeć od wiarygodności zeznań Krystyny, a także od tego, co powiedzą na temat Mildy ludzie ze stradomskiego szpitala. Nie miały już na to wpływu, więc szybko położyły się spać, wyczerpane przesłuchaniem.

Amalia przed snem zmówiła jeszcze modlitwę, chyba najgorętszą w całym swoim dotychczasowym życiu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Listopad 1390

Kiedy już wszystko zostało postanowione, pozostało jedynie poddać się wyrokom losu.

A raczej wyrokom królowej.

Amalia apatycznymi ruchami wyjmowała swoje suknie z kufra. Przyglądała się im bez emocji, nie mogąc wybrać tej, w którą się dzisiaj ubierze. Było jej to obojętne, doskonale zdawała sobie sprawę z faktu, że cokolwiek na siebie włoży, jej przysły mąż, pan na Rożnowie, Zbigniew, i tak nie zrezygnuje ze ślubu z bogatą dwórką królowej. Wszak miała spory majątek, zapisany przez nieznanego jej ojca, stanowiła więc doskonałą partię dla każdego konkurenta, niezależnie od jego zamożności.

Nawet nie wiedziała, jak jej przysły mąż wygląda. Z opisów Jadwigi wynikało, że to przystojny mężczyzna w średnim wieku – jednak jakże inaczej królowa miałaby opisać podstarzałego rycerza? Nieszczęśliwy wdowiec, który stracił żonę zaledwie rok po ślubie; zmarła podczas ciężkiego porodu, wraz z ich nienarodzonym synem. „W średnim wieku” oznaczało, że musiał być od niej dużo starszy – tyle zrozumiała. Ona sama za kilka miesięcy miała skończyć dopiero siedemnaście lat.

Z westchnieniem odłożyła bladoróżową suknię na bok. Ta czy inna, co za różnica? Podeszła do okna i w zamyśleniu spojrzała w dal. Wypukłe szybki zniekształcały obraz w dole, Wisła, po której jeszcze niedawno pływała szczęśliwa z Szymkiem, była teraz powykrzywianą wstęgą z licznymi rozgałęzieniami, wyglądającymi jak drapieżne szpony mieszkającego pod Wawelem smoka. Obraz był zamazany, nie tylko z powodu grubego szkła, Amalia zauważyła pojedyncze płatki śniegu, wirujące tuż za oknem. Śnieg gęstniał z minuty na minutę. Uśmiechnęła się smutno: dziś Dzień Świętego Marcina, to wtedy zwykle pojawia się pierwszy śnieg. Pamiętała, jeszcze

z dzieciństwa, obchody tego święta na Węgrzech, a także opowieści ojca Alberta o Marcynie z Tours.

Ojciec Albert...

To jego choroba, a potem śmierć zdecydowały o przyszłości Amalii i Mildy.

Obrady zwołanego przed kilkoma tygodniami przez królową wewnętrznego sądu nad dwiema dwórkami przeciągały się, sędziowie wciąż nie byli w stanie wydać jednoznacznego werdyktu. Tym bardziej, że na żądanie Jadwigi musiano zbadać sprawę nagłej śmierci chorego w stradomskim szpitalu. Królowa miała ten szpital pod specjalną osobistą kuratelą, nie mogła więc zostawić tej sprawy niewyjaśnionej. Ku ogromnej uldze Amalii i Mildy ojciec Winicjusz, hospitalariusz tego szpitala, stanął w obronie Mildy. Potwierdził, że kubek, w którym znaleziono resztki trucizny, należał do pani Krystyny, nie zaś, jak ta twierdziła, do młodej dwórki. Powiedział też, że wprawdzie nie może nic konkretnego zarzucić ochmistrzyni, to nie chce już jej obecności w szpitalu. Zwłaszcza że zabroniono tam przychodzić młodej Litwince, która naprawdę pomagała chorym, a nie tylko modliła się o ich zdrowie.

Krystyna wciąż nie była w stanie odpowiedzieć na żadne zarzuty, ponieważ stan jej zdrowia, zamiast się polepszyć, z biegiem czasu uległ znacznemu pogorszeniu. Przynajmniej tak kazała przekazywać królewskim wysłannikom. Tymczasem czas naglił. Lada chwila miał wrócić do Krakowa król Władysław, a wszystkim wiadomo było, że jako neofita potępi natychmiast sprawę, w której padnie choć cień podejrzenia o pogańskie praktyki. Jak powtarzały złośliwe języki na zamku – po chrzcie stał się bardziej chrześcijański niż wszyscy chrześcijanie razem wzięci.

Z początkiem listopada Jadwiga wezwała obie dwórki do siebie. Powiedziała im, że niedługo może zapaść wyrok, na mocy którego zostaną wypędzone z miasta. Za czary oraz doprowadzenie do śmierci duchownego nieumiejętnym leczeniem. Jakiegokolwiek były okoliczności tej tragedii, umarł człowiek i kara musiała zostać wymierzona. Ale królowa nie zamierzała dopuścić, aby jej dwórkom stała się aż tak wielka krzywda – w głębi duszy wierzyła im, a nie Krystynie, choć miała w tej kwestii

przeciw sobie niemal cały dwór. Postanowiła więc, że Amalia zostanie wydana za mąż wcześniej, niż było to planowane, a Milda wprawdzie opuści Wawel, ale będzie mogła pozostać w Krakowie. Tak długo, jak to będzie konieczne, czyli aż obie zostaną całkowicie oczyszczone z zarzutów. Obiecała jej pomoc finansową, a Szymek znalazł dla Mildy lokum w mieście Kazimierz, u praczki pracującej dla jego szkoły.

Jadwidze żal było tej bystrej i zdolnej dziewczyny. Milda wiele w życiu przeszła, ale nie utraciła radości życia. Była miła i mądra, szczerą, uczciwą i chętną do pomocy, potrafiła też leczyć chorych. Niestety, może właśnie z tego ostatniego powodu musiała odejść. Zaczęła przeszkadzać niektórym ludziom na zamku, zwłaszcza skostniałym medykom, którzy poczuli się zagrożeni. Podczas rozprawy to właśnie oni najbardziej nastawali na surowe ukaranie Litwinki i najchętniej oddaliby ją w ręce kata.

Drzwi do komnaty Amalii otworzyły się gwałtownie.

– Już jadą! – krzyknęła jedna ze służek. – Widziano ich przy Bramie Świętego Floriana!

Przybywał jej przyszły mąż. Amalia musiała się pospieszyć, jeśli miała go jeszcze dzisiaj przywitać. Z pomocą jednej z młodszych dwórek włożyła suknię, której radosny kolor ani trochę nie harmonizował z jej nastrojem. Głowę przyozdobiła diademem, lecz nawet nie spojrzała w zwierciadło, tylko natychmiast wyszła na korytarz. Przez wychodzące na dziedziniec wąskie okno ujrzała wjeżdżający rycerski orszak z proporcami i wielką chorągwią. Zakuci w stal jeźdźcy wydawali jej się wszyscy tacy sami.

Zaczęła powoli schodzić po schodach, zmierzając do sieni, gdzie miała czekać na pierwsze spotkanie ze Zbigniewem. Ścisnęła mocniej wilgotny od spoconej dłoni rąbek sukni i pokonała ostatnie stopnie. Z podniesioną głową szła na spotkanie ze swoim przeznaczeniem.

Podczas gdy Amalia oczekiwała Zbigniewa, Milda pakowała swój skromny dobytek na wóz podstawiony na dziedziniec przez nieocenionego Szymka. Królowa poprosiła go o pomoc i nie mógł odmówić, chociaż

najchętniej pomógłby teraz swojej miłości, Amalii. I to nie w wyprowadzce, ale w ucieczce. Niestety, nikogo na tym zamku nie obchodziły ich złamane serca.

Kiedy Milda wróciła na górę po ostatni kuferek, spojrzała jeszcze raz na rozciągający się za oknem komnaty widok, który towarzyszył jej przez kilka minionych lat. Patrzyła stąd na zmieniające się pory roku, a każda z nich napawała ją radosnym oczekiwaniem na to, co przyniesie jej los. Była młoda, mieszkała w królewskim zamku, znała królową, miała też najbliższą przyjaciółkę. I całe życie przed sobą.

A teraz? Straciła wszystko.

Świat za oknem wydawał się szary i ponury, nawet śnieg nie był w stanie go rozjaśnić. Grube płatki spadały na ziemię, gdzie natychmiast topniały w brudnym błocie. Po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem komnatę, w której spędziła ostatnie lata, szczęśliwa i beztraska. Wydawało jej się, że taki stan będzie trwał zawsze. I nagle wszystko się zmieniło w ciągu kilku zaledwie tygodni. Teraz była jedynie wygnaną z królewskiego zamku i życia dziewczyną, litewską poganką, domniemaną morderczynią, która tylko dzięki wstawiennictwu królowej nie zostanie wypędzona w niesławie poza bramy miasta.

Najbardziej bolał ją fakt, że nie zdążyła się zobaczyć z ukochanym bratem, Varnasem, który na pewno by się nią zajął, a może nawet wstawił za nią u króla Jagiełły. Przecież był jego ulubionym wojownikiem, druhem niemalże. Niestety, decyzja o opuszczeniu dworu przez obie winowajczynie zapadła przed powrotem króla Władysława i jego zbrojnych do Krakowa. Miała tylko nadzieję, że Varnas odzuka ją w mieście i zadba o nią jak brat. Nie pozwoli jej zginąć. Coraz bardziej jednak docierało do niej, że ta nadzieja może się okazać płonna. Król, w obawie o posądzenie go, iż sprzyja pogańskim praktykom, nie będzie się narażał krakowskim panom i ryzykował tym utraty wizerunku dobrego chrześcijanina.

A bez wsparcia króla Varnas niczego nie zdziała.

Nie wierzyła też do końca obietnicom Amalii, która zapewniała ją, że jak tylko się urządzi na zamku swojego męża, sprowadzi Mildę do siebie i zapewni jej godną przyszłość. Godną, czyli wyda ją za mąż za jakiegoś „godnego” starca, pomyślała gorzko. Obawiała się, że zamężna już Amalia niewiele będzie mogła zdziałać bez wiedzy i pozwolenia swojego

małzonka. Należało tylko modlić się teraz o to, żeby chociaż rycerz Zbigniew okazał się nie tyle godny, ile po prostu dobry dla jej przyjaciółki.

Zeszła na dziedziniec, do czekającego już na nią Szymka. Chłopak kulił się przed zacinającym coraz mocniej mokrym śniegiem. Z kuchni wyszło kilka osób, żeby pożegnać się z Mildą. Dziewczyna była lubiana przez służbę z powodu swojej życzliwości i szczerości, a także dobrego serca. Teraz więc ze łzami w oczach obejmowano ją i obdarowywano węzełkami z jedzeniem na drogę. Nikt nie wierzył w winę ani Mildy, ani Amalii, dwór jednak rządził się własnymi prawami. Nieważne, czy ktoś jest winien, czy też nie – ważniejsze, komu się naraził.

Szymek łagodnie ponaglił Mildę, żeby zajęła miejsce obok niego, bo sama też przemoknie i zmarznie. Nie mogła ryzykować choroby teraz, kiedy znajdzie się w obcym miejscu i bez pomocy bliskich jej osób. Wsiadła na wóz i podniosła wzrok w nadziei, że w jednym z okien zobaczy twarz przyjaciółki. Nadaremnie. Ciemne otwory okien ginęły w nasilającym się śniegu, kamienne mury Wawelu przypominały zakłętą i ponurą twierdzę.

Ruszyli w dół, do miasta.

Strażnicy przy bramie wyjazdowej pozdrowili gestem dłoni Szymka i młodą dwórkę. Oni także ją lubili; wprawdzie czasami była pyskata, co u kobiet jest zawsze wadą, jak twierdzili, ale rozbijała ich szczerym uśmiechem. Ze smutkiem patrzyli teraz na siedzącą na zwykłym chłopskim wozie drobną postać, okrytą szarą oponczą. Milda wstała na ich widok i odrzuciwszy kaptur z głowy, wyprostowała się dumnie. Pozdrowiła ich tak, jak to zwykła czynić, mijając strażę w drodze do miasta. Jakby opuszczała Wawel tylko na chwilę. Serca wartowników ścisnęło wzruszenie, oczy wypełniły się łzami.

Szymek ustalił z królową, że zawiezie Mildę do domu kobiety, która zajmowała się praniem bielizny dla profesorów z jego szkoły. Przygotowano tam dla dziewczyny osobny pokoik na tyłach domu, skromny, ale suchy i czysty. Miała w nim mieszkać do czasu, aż znajdzie dla siebie inne miejsce oraz inną pracę.

Bo na razie miała pomagać pracze.

No i dobrze.

Milda nie bała się ani pracy, ani surowych warunków. Była twarda. Przetrwiała już tak wiele dramatycznych wydarzeń w swoim

dotychczasowym życiu, że nic nie było jej w stanie zaskoczyć. Nie dała się zabić Krzyżakom, nie zginęła w puszczy, nie utonęła na bagnach, przetrzyma więc i to. A któregoś dnia tu wróci, żeby udowodnić niewinność swoją i Amalii. Musi zrobić coś, co przywróci im obu dobre imię.

Wjechali w Grodzką. Padający śnieg nie był już taki mokry, pokrywał teraz cienką warstwą bruk ulicy i dachy mijanych domów. Nad nimi wisiało olbrzymie ołowiane niebo. Milda otuliła się mocniej opończą, narzuciła na mokre włosy kaptur i odwróciła się, żeby po raz ostatni spojrzeć na górujący nad miastem Wawel, nad którym z ochrypłym krakaniem unosiło się stado wron.

Dumna niczym scytyjska księżniczka na wygnaniu, nie zamierzała się poddawać. Musiała walczyć.

Rozpocząła nowy etap w swoim życiu.

Koniec tomu pierwszego

Spis treści

PROLOG

Część pierwsza. ZNAKI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Część druga. DROGI PRZEZNACZENIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Część trzecia. RYCERSKI ROMANS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

Część czwarta. ZAMIEĆ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

Część piąta. ANIOŁ ŚMIERCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY